

KAROL MAY

NAD RIO DE LA PLATA

AM RIO DE LA PLATA

Edycja oparta została na wydaniu z 1911 r. ilustrowanego tygodnika „Przez Łądy i Morza” we Lwowie. Skład główny został wówczas dokonany w księgarni Gebethnera i Wolffa. Redaktorem i wydawcą był Edmund Uszycki.

ROZDZIAŁ I W MONTEVIDEO

Z obszernej zatoki La Plata ciągnął chłodny pampero i wznosił na ulicach Montevideo tumany kurzu zmieszanego z grubymi kroplami deszczu. Niepodobna było w taką porę wychodzić do miasta, więc siedziałem w swoim pokoju w hotelu „Oriental”, zajęty czytaniem książki o kraju, do którego przybyłem, a który nie był mi jeszcze znany. Książka ta była napisana w języku hiszpańskim, a ustęp, który właśnie przebiegałem oczyma, był mniej więcej tej treści:

„Ludność Urugwaju i krajów argentyńskich składa się z wychodźców hiszpańskich, z kilku nielicznych szczepów Indian i wreszcie z tzw. gauchów, mieszańców, będących potomkami dawnych osadników hiszpańskich oraz kobiet indiańskich. Gauchowie ci uważają się pomimo to za należących do rasy białej i są dumni z tego wielce, choć, żeniąc się najczęściej ponownie z Indiankami, wracają do pierwotnej swej rasy.*

Gaucha odznacza się szaloną odwagą dzikiego człowieka, ceni nade wszystko wolność i niezależność, ma jednak poczucie honoru, a obok dumy jest uczciwy, otwarty i nawet towarzyski jak prawdziwy hiszpański caballero. Skłonności wrodzone ciągną go jednak do życia koczowniczego i w ogóle do włóczęgi, pełnej przygód i niebezpieczeństw. Jest wrogiem wszelkiego przymusu, gardzi majątkiem, uważając go za zbyt ciężki kłopot i ciężar, natomiast lubuje się w błyskotkach, które wnet gubi lekkomyślnie, jak to czynią dzieci z zabawkami. Śmiały i odważny, a gdy chodzi o obronę rodziny przed niebezpieczeństwem, nawet bohaterki, jest jednak wobec niej surowy, zresztą podobnie jak wobec siebie samego. Będąc niejednokrotnie oszukiwanym, jest nieufny i podejrzliwy, zaś chytry jest jego cechą wrodzoną. Poważa obcych, nie okazując im wszakże serdeczności; służy mieszczaninowi bez zbytej uniżoności. Oburza go, że obcy śmiają wkraczać do jego ojczyzny i zajmować się hodowlą trzód, co dawniej było jego specjalnością. Pomimo to służy tym ludziom z dnia na dzień, nie troszcząc się o jutro.

Odkąd w kraju wytworzyła się klasa posiadająca, gaucha się rozleniwił i, mimo że ongi zwycięsko wy dobył się spod jarzma hiszpańskiego, zadowala się teraz skromną rolą strażnika cudzego majątku, nie żądając za to wiele, prócz chyba uznania, że jest wolnym obywatelem i służy z własnej ochoty.

Uzbrojenie gaucha składa się z długiego rzemienia z pętlą na końcu, zwanego lassem, oraz boli i na wypadek wojny — lancy. Słynie z niestychanej zręczności w rzucaniu owego lassa.

Rzemień, długości około trzydziestu metrów, przymocowany jest jednym końcem do nogi jeźdźcy, drugi zaś koniec zaopatrzony jest w pętlę, na którą gaucha chwyta uciekające zwierzę za głowę lub za nogi. Kiedy pętlica wskutek oporu złowionego zwierzęcia zaciśnie się, jeździec ciągnie je za sobą w miejsce, gdzie mu je łatwo obezwładnić. Ten rodzaj rzucania pętlą, zwany laceara muerte, jest bardzo niebezpieczny dla rzucającego i wymaga długotrwałych ćwiczeń. Zdarzają się liczne nieszczęśliwe wypadki wskutek nieumiejętnego obchodzenia się z lassem, zwłaszcza gdy idzie o zwierzę zbyt dzikie i silne. Na lassa chwytają zazwyczaj gauchowie konie, woły i skopy.

Bola jest to również długi rzemień zaopatrzony w trzy ciężkie ołowiane kule. Dwie z nich rzuca się tak, by objęły zwierzę lub oplatały mu nogi, przy czym wystarczy silne pociągnięcie, by ono upadło.

* Półdzicy pasterze bydła w pampasach Ameryki Południowej (wyraz hiszpański: ch czyt. cz, a więc wymawia się gauczo).

Słabą stroną gaucha jest hazard. Lubi on namiętnie karty i wystarczy, że się dwóch zejdzie, a przykucają wnet gdzie bądź i, zatknąwszy noże w ziemię, aby mieć możliwość w każdej chwili przebić niehonorowego partnera, grają zawzięcie.

W estancji pracuje gaucho tylko wówczas, gdy ma ochotę, a zachowuje się przy tym jak niezależny, wolny obywatel, ba, nawet jak caballero, i nie znosi, by go inaczej traktowano, jak tylko z uprzejmością towarzyską, praktykowaną w warstwach wykształconych. Jeżeli nie podoba mu się praca, której się podjął, wówczas oświadcza, że będzie pracował tylko do oznaczonej godziny i zgodnie z umówionymi warunkami. Gdyby zaś obchodzono się z nim mniej delikatnie, aniżeli się tego spodziewał, domaga się natychmiast zaPłaty, ale uprzejmie i z godnością, a otrzymawszy ją, dosiada konia i jedzie szukać zarobku w innej estancji, gdzie właściciel nie jest tak surowo względem robotników usposobiony.*

Taki jest gaucho i nie należy go utożsamiać z awanturnikami, którzy kradną i rabują, a nawet uprowadzają ludzi”.

Tyle wyczytałem we wspomnianej książce.

Co do mnie — przybyłem do Montevideo przed kilku godzinami i choć niewiele wiedziałem o kraju i o jego mieszkańcach, jednak informacje znalezione w książce wydały mi się niezupełnie prawdziwe.

Przed wszystkim zdążyłem już zauważyć, że ludność, o której była mowa w książce, składa się nie z samych tylko gauchów, Indian oraz „wychodźców hiszpańskich”, ale są tu również Anglicy, Francuzi, Polacy, Włosi, Niemcy, Węgrzy, nie licząc takich narodowości, jak Rusini, Czesi, Słowacy czy Szwajcarzy.

Nie dowierzałem też ścisłości opisu rzucania lassa. Czyż bowiem jest na świecie tak głupi jeździec, który przywiązałby sobie lasso do nogi i zarzucał je następnie na rozjuszonego byka? Przecież zaatakowane zwierzę ściągnęłoby go od razu z konia za nogę!

Z ciekawości zapytałem kogoś z inteligencji o autora książki i powiedziano mi, że jest to Adolf Delacour, redaktor „Patriote Français”, czasopisma wychodzącego w Montevideo. No — pomyślałem — taki pan zna zapewne stosunki miejscowe lepiej ode mnie. I doszedłszy do tej konkluzji, pocieszałem się nadzieją, że w krótkim czasie sprawdzę osobiście, czy opisy jego zgadzają się z rzeczywistością.

W tej właśnie chwili poczęło się niebo wypogadzać i wkrótce na ulicach ludnego portowego miasta zapanował wzmożony ruch. Postanowiłem wyjść. Zaledwie jednak włożyłem kapelusz na głowę, zapukał ktoś do drzwi i na słowo „proszę” wszedł do mego pokoju mężczyzna ubrany według mody francuskiej w strój uroczysty: frak, białą kamizelkę, lakierki; w rękach trzymał lśniący cylinder przyozdobiony długimi białymi wstążkami, z czego wywnioskowałem, że przybysz należy do orszaku ślubnego i pojawił się u mnie z zaproszeniem.

Elegancki ów człowiek ukłonił mi się z przesadną czołobitnością i rzekł:

— Moje najgłębsze uszanowanie panu pułkownikowi!

A następnie powtórzył ukłon jeszcze dwa razy z wyszukaną uprzejmością.

Co znaczy ten wojskowy tytuł? — pomyślałem zdumiony. — Czyżby w Urugwaju panowały te same zwyczaje, co na przykład w Galicji, gdzie kelnerzy każdego okazalszego gościa tytułują panem hrabią lub baronem?

Przybysz miał w twarzy coś odpychającego, dlatego odpowiedziałem krótko:

— Dzień dobry. Czym mogę służyć?

— Przychodzę złożyć do usług pana wszystko, czym rozporządzam — odezwał się, wywijając cylindrem w jedną i drugą stronę, i spojrzał na mnie z ukosa świdrującym wzrokiem.

— Tak? Może mi pan będzie łaskaw przynajmniej powiedzieć, z kim mam przyjemność...

— Nazywam się señor Esquilo Anibal Andaro i jestem właścicielem wielkiej estancji w okolicy San Fructuoso. Wasza łaskawość zapewne raczyła słyszeć już o mnie...

* Wielki folwark.

Zdarza się czasem, że już samo nazwisko człowieka coś o nim mówi. W tym wypadku nazwisko *Ajschylos Hannibal Przemutnik* nie wzbudziło we mnie zbytniego zaufania.

— Przykro mi — rzekłem — ale dotychczas nie miałem sposobności słyszeć podobnego nazwiska. Skoro jednak już je znam, może by mi pan powiedział, czym pan właściwie rozporządza.

— Ja? Cóż, mam pieniądze i... wpływy.

To powiedziawszy, znowu spojrział na mnie z ukosa, wzrokiem szelmowskim, jakby wyczekując odpowiedzi.

— Hm! Pieniądze i wpływy... To są rzeczy nie do pogardzenia. Czy pan przybył do mnie istotnie w celu ofiarowania mi usług tego właśnie rodzaju?

— Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby czcigodny pan raczył skorzystać...

Szczególnie! Obcy zupełnie człowiek oferuje mi pieniądze i rozmaite ułatwienia w stosunkach towarzyskich i społecznych! Co to ma znaczyć?...

— Dobrze, señor, zgadzam się na jedno i drugie, ale najpierw wezmę pieniądze.

— Wasza wielmożność raczy tedy oznaczyć wysokość sumy.

— Przydałoby mi się na razie pięć tysięcy pesos*.

— Drobnostka! — odrzekł ucieszony. — Wasza wielmożność otrzyma tę sumę w ciągu pół godziny... Tylko omówimy warunki, które przedłożyć się ośmielę.

— Słucham.

— Najpierw rad bym wiedzieć — rzekł, przybliżając się do mnie i spoglądając znacząco — czy pieniądze te pójdą na cele oficjalne, czy na wydatki osobiste?

— Oczywiście, że na osobiste wydatki.

— Jeżeli tak, to jestem gotów sumę tę wręczyć nie jako pożyczkę, lecz złożyć ją panu jako dar na dowód mego wysokiego szacunku dla waszej wielmożności.

— Nie mam nic przeciwko temu.

— Cieszy mnie to niezmiernie i rad bym tylko prosić waszą łaskawość, by raczyła położyć swój godny podpis pod kilkoma wierszami, które tu natychmiast skreślę.

— Jaką treść zawierać będą te wiersze?

— O, to drobnostka! Wasza wielmożność stwierdzi swoim podpisem tylko tyle, że ja, Esquilo Anibal Andaro, w określonym czasie i pod pewnymi ściśle oznaczonymi warunkami mam zaopatrzyć wasz korpus w karabiny. Jestem w tym szczęśliwym położeniu, że mogę w ciągu kilku dni postarać się o dostateczny zapas wspomnianego towaru.

Teraz dopiero domyśliłem się, że usłużny señor Andaro wziął mnie za jakiegoś oficera, do którego zapewne jestem podobny. Najwidoczniej chciał za pomocą łapówki wysokości pięciu tysięcy pesos pozbyć się zapasów dawno już przestarzałej i nie nadającej się do użytku broni, nabytej przez niego za bezcen po jakiejś wojnie zapewne hurtem w magazynach wojskowych.

Gość nazwał mnie pułkownikiem. Zadałem sobie jednak pytanie, czy pierwszy lepszy pułkownik może na własną rękę nabywać broń dla swego pułku... Chyba że byłby to tak zwany *libertador*, czyli oswobodziciel, jakich nad La Plata nie brak. Są to przywódcy band łupieskich, które mieszkańcom południowej Ameryki dały się już we znaki.

Sprawa zainteresowała mnie bardzo żywo. Ledwie bowiem wstąpiłem na terytorium obcego mi kraju, a już miałem sposobność wniknięcia w najtajniejsze miejscowe stosunki.

Ogarnęła mnie początkowo ochota do dalszego odgrywania roli osoby, za jaką mnie wziął w swej nieświadomości señor Andaro, ale się rozmyśliłem. Jeszcze bowiem przed podróżą starałem się dowiedzieć cokolwiek o tutejszych stosunkach i doszedłem do przekonania, że najlepiej będzie, gdy pozostanę zawsze tym, kim jestem, bez podszywania się pod obce nazwiska, jak to często w innych krajach byłem zmuszony praktykować.

Tak więc w odpowiedzi na propozycję señora Andaro odrzekłem:

* Srebrna moneta Ameryki Południowej.

— Niestety, nie mogę podpisać panu podobnego oświadczenia, gdyż nie miałbym co robić z karabinami, nie mając najmniejszej potrzeby użycia ich w jakimkolwiek celu.

— Jak to? — zapytał zdziwiony. — Przecież wasza wielmożność może w ciągu tygodnia zgromadzić wokół siebie tysiące ludzi?!

— Po co?

Cofnął się o krok i, przymrużywszy jedno oko, uśmiechnął się chytrze, jakby chciał w ten sposób wyrazić, że poznał się na moim wykręcie.

— Czyżbym miał sam przypomnieć to waszej wielmożności? Dowiedziałem się, że przybywa pan do Montevideo, a że mam honor już go tu oglądać, więc... i celu domyślać się nie trzeba, bo jest znany.

— Myli się pan, zapewne biorąc mnie za inną osobę.

— Niemożliwe! Osłania się pan tajemnicą dlatego chyba, że może panu nie odpowiada interes z karabinami. Ja jednak mogę zaofiarować różne inne usługi.

— I to się na nic nie przyda, bo niewątpliwie pomylił się pan co do osoby.

Zaprzeczenia moje nie wyprowadziły go jednak z błędnego mniemania, bo ciągle jeszcze uśmiechał się tajemniczo, nagabując mnie:

— Z rozmowy tej wnioskuję, że wasza wielmożność nie jest dziś skłonny do zawarcia jakiegokolwiek interesu, wolę więc zaczekać kilka godzin, a może nadejdzie szczęśliwsza dla mnie chwila. Pozwoli pan, że zgłoszę się później?

— Szkoda czasu. Nie jestem tym, za którego mnie pan uważa.

— To znaczy, że nie życzy pan sobie, abym przybył powtórnie?

— Tego nie powiedziałem. Być może towarzystwo pańskie będzie dla mnie miłe, ale pod warunkiem, że da pan sobie wytłumaczyć pomyłkę. Proszę mi przynajmniej powiedzieć, jak się nazywa owa osoba, która jest tak ładząco do mnie podobna.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głowy i, wzruszywszy ramionami, rzekł:

— Znam waszą łaskawość jako walecznego i wysoce zasłużonego oficera, który w najbliższej przyszłości wybije się na najważniejsze stanowisko w państwie. Zdolności dyplomatyczne, które od razu u pana można zauważyć, poświadczają to w zupełności.

— Sądzi więc pan, że się maskuję? Proszę, oto mój paszport. Podałem mu dokument, który on przejrzał, porównując szczegółowo rysopis, przy czym twarz mu się coraz bardziej wydłużała.

— Do diabła! — mruknął, rzucając paszport na stół. — Teraz doprawdy nie wiem, co myśleć. Nie tylko ja, ale również dwóch moich przyjaciół wzięło pana za kogoś innego.

— Kiedy mnie widzieliście?

— W chwili pańskiego przybycia, przed hotelem. Ale ten paszport sprawił mi niemały kłopot. Czy istotnie przybył pan z Nowego Jorku?

— Owszem, na „Seagallu”, który dotąd jeszcze stoi na kotwicy w porcie. Może pan to sprawdzić u kapitana statku.

— Niech pana diabli wezmą! — krzyknął gniewnie. — Czemu mi pan tego od razu nie powiedział?

— Bo pan o to nie pytał. Zachowanie pańskie było tego rodzaju, że musiałem przypuszczać, iż pan mnie zna doskonale. Dopiero gdy mi pan powiedział o karabinach, poznałem, że zaszła jakaś pomyłka, i zwróciłem na to pańską uwagę, co musi mi pan przyznać.

— Niczego nie przyznaję! Powinien był pan przedstawić mi się zaraz po moim wejściu! — odrzekł gburowato.

Na to spokojnym tonem zwróciłem mu uwagę:

— Bądź pan łaskaw przestrzegać zwykłej towarzyskiej uprzejmości, nie jestem bowiem przyzwyczajony do tego, by mi ktoś w żywe oczy diabłów wywoływał. Nie jestem zresztą prorokiem, abym, zobaczywszy obcego człowieka, mógł „natychmiast odgadnąć jego myśli i

zamiary. W końcu zwracam panu uwagę, że mógł pan zasięgnąć wiadomości o mnie u portiera albo u gospodarza hotelu.

— Owszem, dowiadywałem się, ale nie uwierzyłem, sądząc, że przybywa pan tu incognito. Zresztą mówi pan tak wyśmienicie po hiszpańsku, że już to samo mogło zrodzić wątpliwość co do pańskiego pochodzenia.

Uwaga ta mi pochlebiła. Bawiąc bowiem przed laty w Meksyku, pomimo gorliwego ćwiczenia się w języku hiszpańskim, kaleczyłem tę mowę niemiłosiernie. Praktyka jest jednak najlepszą nauczycielką: w ciągu długich podróży po Ameryce Środkowej i Południowej nabyłem widocznie wprawy, skoro gość mój tak otwarcie to przyznał.

— A zresztą — ciągnął dalej — dlaczego pan strzyże brodę na sposób mieszkańców naszego kraju?

— Przede wszystkim z uprzejmości dla nich, a następnie dlatego, aby mnie tu nie uważano za cudzoziemca.

— Otóż to! Sprawa jest jasna. Pan sam przyczynił się do tego, iż pana nie poznałem. Żadnemu bowiem cudzoziemcowi nie wolno naśladować naszych zwyczajów. Są na przykład liczne gatunki zwierząt, które w ten sposób postępują, a rozumny człowiek nie powinien doprowadzać do tego, by go z nimi porównywano.

— Jestem panu wdzięczny za tę wskazówkę, ale mimo to proszę uprzejmie, by zechciał się pan ograniczyć w udzielaniu mi lekcji. Dotychczas przyjmowałem je z grzeczności, ale teraz byłbym zmuszony odpłacić panu pięknym za nadobne.

— Grozisz mi, señor?

— Nie, tylko pana ostrzegam.

— Proszę nie zapominać, gdzie się pan znajduje!...

— Pan również winien sobie uprzytomnić, że nie jest w pokoju własnej hacjendy, lecz w pomieszczeniu należącym na razie do mnie! Zdaje mi się, że już tego wystarczy! Pozwoli pan, że go pożegniam...

Otworzyłem drzwi na oścież i ukloniłem mu się, zachęcając, by skorzystał z ułatwienia mu drogi odwrotu.

Wahał się chwilę, mocno zdetonowany moim sposobem pożegnania, po czym wybiegł szybko, grożąc mi pięścią zza progu:

— Do widzenia! Porachujemy się kiedyś ze sobą!

Taka była pierwsza moja rozmowa z tubylcem, a właściwie początek, niezbyt różowo wróżący mojemu dalszemu tutaj pobytowi. Nie obudziło to jednak we mnie żadnych obaw, gdyż miałem czyste sumienie. Człowiek ów obraził mnie i dlatego wyprawiłem go za drzwi; jest to rzecz prosta i sama przez się zrozumiała, nie miałem więc potrzeby nawet zastanawiać się nad tym. Zresztą ów mężczyzna nie robił wrażenia człowieka, przed którym strzec się należało.

Przed wyjściem do miasta wydobyłem kilka listów polecających, które przywiozłem ze sobą. Korzystając dawniej z tego rodzaju ułatwień w podróży, przekonałem się, że owo polecenie mnie przez znajomych innym osobom było bardziej uciążliwe niż użyteczne, i dlatego w czasie ostatnich swych wojaży wolałem nawiązywać znajomości na własną rękę i wedle własnego upodobania, a listy polecające oddawałem na krótko przed odjazdem z danej miejscowości, z czego adresaci byli bardzo zadowoleni.

Obecnie jednak postanowiłem z owych listów skorzystać od razu. Jeden z nich był od naczelnika biura wysyłkowego w Nowym Jorku do jego współnika, kierującego filią w Montevideo. Owemu jankesowi wyświadczyłem kiedyś drobną przysługę, za co poczytywał sobie za obowiązek polecić mnie listownie uprzejmości i opiece swego współnika. Ponadto w liście tym był przekaz bankowy na złożoną przeze mnie w Nowym Jorku sumę, którą miałem odebrać w rzeczonyj filii w Montevideo. Schowałem do kieszeni inne listy, a ten jeden rzuciłem na stół, ale tak niezręcznie, że spadł na podłogę, przy czym zabezpieczająca go pieczęć lakowa

odleciała całkowicie i koperta się otworzyła. List w takim stanie — rzecz prosta — nie mógł być doręczony i należało zapieczętować go ponownie, i to w taki sposób, aby tej zmiany na kopercie adresat nie dostrzegł. A korzystając ze sposobności, może nie zaszkodziłoby przejrzeć go bodaj pobieżnie? Czy jednak to uchodzi? Byłby to postępek niehonorowy.

Tak myślałem.

Ale kto wie — mówił mi głos wewnętrzny — czy ze względu na własne dobro nie należy właśnie dopuścić się tej niedyskrecji? Przecież tu idzie o mnie samego, o nikogo więcej.

Wyjąłem tedy arkusz z koperty i przeczytałem. Treść, po opuszczeniu wstępu, brzmiała następująco:

„List Pański otrzymałem i zgadzam się z jego treścią najzupełniej. Interes jest bardzo ryzykowny, ale, jeśli się uda, możemy liczyć na olbrzymi zysk, dla którego warto zaryzykować ewentualne straty. Proch załadowano na „Seagall”. Domieszczyliśmy doń trzydzieści procent węgla drzewnego i mam nadzieję, że uda się panu wyładować go na ląd, unikając oplaty celnej. Niniejszym upoważniam pana do zawarcia kontraktu z Lopezem Jordanem. Przesłanie dokumentu jest jednak bardzo niebezpieczne, gdyż w razie schwymania posłańca przez nacjonalistów i znalezienia przy nim papieru mógłby to przypłacić życiem. Na szczęście mogę Panu polecić pewnego człowieka, który nadaje się do tej roli przewybornie, a jest nim oddawca niniejszego listu. Należy on do niezwykle śmiałych i odważnych drabów, przez długie lata przebywał wśród Indian, posiada ogromne doświadczenie, ale przy tym jest głupi jak stołowa noga i nadzwyczaj łatwowierny. O ile wiem, dąży do Santiago i Tucuman, a zatem droga jego wiedzie przez prowincję Entre Rios. Niech Pan wręczy mu list polecający do Jordana, włożywszy do środka obydwie kontrakty. Jeśli go chwycą po drodze i rozstrzelają, to świat straci tylko jednego durnia i ludzkości nie stanie się przez to wielka szkoda. Oczywiście niech Pan nie kładzie swego podpisu na dokumentach; mogą być podpisane dopiero po odebraniu od Jordana. Zresztą podróżnik ten nie sprawi Panu kłopotu, bo nie ma zbytnich wymagań: szklanka kwaśnego wina i kilka słodkich słówek wystarczą do uszczęśliwienia go w zupełności”.

Oto, co pisał o mnie „życzliwy” jankes!

Gdybym nie przeczytał listu, kto wie, czy nie wpadłbym w pułapkę. Postępek jankesa względem mnie był iście „amerykański”... „Dureń” z Europy miał z woli łajdaka z Ameryki odegrać bezwiednie wielką rolę w wybuchu powstania! A bez wątpienia szło o to właśnie, skoro w liście była mowa o prochu i wymieniono nazwisko sławnego przywódcy bandy, który tak dalece zagalopował się w dziedzinę zbrodni, że kazał zamordować własnego teścia, byłego generała i prezydenta Urquiza. Temu opryszkowi zamierzano przesłać zapas prochu i gotówki, a w podpisaniu kontraktu ja miałem wziąć udział jako pośrednik.

Włożyłem pismo do koperty i zapieczętowałem ją na nowo za pomocą zapalki, po czym wyszedłem do sympatycznego przedsiębiorcy, który ród swój wywodził z Hiszpanii, nazywał się Tupido i miał swoje biuro przy Plaža de la Independencia.

Na ulicy nie było już po deszczu ani śladu błota; pampero również przeminął.

Montevideo leży na wąskim półwyspie o powierzchni siodłowanej. Z jednej strony teren spada do zatoki, z drugiej do morza. Wskutek takiej konfiguracji gruntu woda po deszczu spływa z miasta tak szybko, że ulice już po kilkunastu minutach są suche.

Piękna, urządzona na sposób europejski, stolica Urugwaju posiada ulice wybrukowane znakomicie, chodniki wygodne i gładkie, domy okazałe, przeważnie otoczone ogrodami, nie brak też przepysznych pałaców i willi, będących bądź własnością prywatną, bądź też mieszczących lokale różnych klubów, restauracji czy teatrów. Zdobnictwo domów prywatnych jest godne szczególniejszej uwagi. Upiększają je bogate i gustowne sztukaterie oraz marmury sprowadzane aż z Włoch, pomimo że w kraju jest ich pod dostatkiem.

Kto sądziłby, że mieszkańcy stolicy stanowią przeciętny typ ludności kraju, ten bardzo by się mylił. Na ulicy nie można spotkać ani jednego gaucha, rzadko też widzi się tu Indian, a Murzyna łatwiej zobaczyć w Hamburgu lub Trieście niż tutaj. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety hołdują modzie francuskiej, bo też i ludność prawie w połowie jest pochodzenia europejskiego. Wskutek pomieszania rozmaitych narodowości każdy prawie mieszkaniec mówi kilkoma językami. Cywilizacja w ogóle na wskroś europejska i jak długo podróżny obraca się w granicach rogatek miejskich, nie widzi żadnych oznak, świadczących, że znalazł się w Ameryce Południowej. Takie same bowiem stosunki, tę samą publiczność, ten sam ruch uliczny można widzieć w Bordeaux, Trieście, Genui i innych wielkich miastach portowych.

Nie spodziewałem się i ja, że napotkam tu tego rodzaju szablon, i tylko jedna oryginalna rzecz rzuciła mi się w oczy, a mianowicie białe lub czerwone wstęgi, które mężczyźni noszą na kapeluszach. Później dopiero dowiedziałem się, że ci, którzy noszą wstęgi białe, należą do partii politycznej zwanej blanco, a noszący wstęgi czerwone — do partii colorado. Señor Esquilo Anibal Andaro ze swymi białymi wstążkami przy cylindrze nie był drużbą, ale członkiem partii blanco, a najprawdopodobniej i pułkownik, za którego wziął mnie ten człowiek, musiał zaliczać się do tej partii.

Znalazszy się na Plaža de la Independencia, spostrzegłem olbrzymi sztyl falii sprytnego jankesa z Nowego Jorku. Dom ten wyglądał z zewnątrz bardzo okazale, aczkolwiek miał tylko jedno piętro. W parterze widniała brama, wykuta artystycznie z żelaza. Wchodziło się przez nią do sieni, wyłożonej marmurem, i dalej na dziedziniec, również marmurami przyozdobiony. Kwitły tu w olbrzymich wazonach rośliny egzotyczne, rozsiewając dokoła odurzającą woń.

Drzwi biura były zamknięte, mimo że poza nimi znajdowało się wielu interesantów. Pociągnąłem za dzwonek i otworzyły się wskutek odpowiedniego mechanicznego urządzenia same.

Lokal biurowy mieścił się po prawej ręce od głównego wejścia. Znajdowało się tu wielu ludzi zajętych pracą przy stolikach i biurkach. W jednym kącie stał długi stół, za którym siedział okazały mężczyzna, zapewne kierownik. Rozmawiał w tej chwili gburowato z jakimś nędznie odzianym człowiekiem.

Dowiedziawszy się od jednego z urzędników, że ów pan, rozmawiający z obszarpańcem, jest szefem biura, podszedłem bliżej i słyszałem całą rozmowę.

Señor Tupido niewątpliwie pochodził z Hiszpanii; zdradzały to jego ostre rysy i pyszałkowaty wyraz twarzy. Brodę strzygł według miejscowego zwyczaju w klin.

Jego interesant miał wygląd typowego włóczęgi. Bosy, w obszarpanych, krótkich powyżej łydek spodniach, miał na grzbiecie podarty kubrak nieokreślonego koloru. Zza pasa sterczała rękojeść noża. W ręku trzymał słomkowy kapelusz, pozbawiony jakiegokolwiek fasonu. Twarz miał opaloną od słońca i wiatru. Prawie brązowy jej odcień oraz wystające szczęki i długie czarne włosy kazały się domyślać, że w żyłach tego człowieka płynie po części krew rasy miedzianej.

Tupido nie zauważył mnie prawdopodobnie, gdyż zwrócony był do mnie bokiem.

— Długi i znowu nic tylko długi! — mówił wyniośle do interesanta. — To się musi skończyć! Pracujcie nieco pilniej! *Mate* obradza znakomicie i jest jej aż nadto wszędzie, trzeba tylko trochę dobrych chęci i pracy. Próźniak oczywiście nie uzbiera nic.

Bosy mężczyzna ściągnął brwi, ale odpowiedział spokojnie i uprzejmie:

— Próźniakiem nie jestem i nigdy nim nie byłem. Pracowaliśmy kilka miesięcy w dziewiczych lasach, żyjąc wśród dzikich zwierząt i jak dzikie zwierzęta. Trzeba też było walczyć z nimi na każdym kroku. A jednak nie zaniedbaliśmy pracy, ciesząc się z góry zaPłatą, której pan teraz nam odmawia, nie dotrzymując słowa.

— Nie obowiązuje mnie ono, skoro spóźniliście się z dostawą dwa dni.

— Dwa dni, señor? Czy to tak wiele? Czy poniósł pan jakieś straty z tego powodu?

— Oczywiście, bo wskutek waszego opóźnienia i ja muszę opóźnić wysyłkę o dwa dni, narażając się na zniżkę ceny co najmniej o dwadzieścia procent.

— Naprawdę?

— Tak, jeśli ja to mówię! Powinniście być zadowoleni, gdy odciągnę wam tylko tyle, a nie więcej. Obiecałem wam dwieście czterdzieści talarów papierowych za belę; od tego odpada dwadzieścia procent, zostają więc sto dziewięćdziesiąt dwa talary; dwa talary potrąca się za czynności biurowe, pozostaje zatem sto dziewięćdziesiąt. Pomnóżcie to przez liczbę bel, które dostawiliście, a przekonacie się, że jesteście mi winni sto talarów papierowych, to znaczy, że pobraliście o tyle więcej zadatku i teraz musicie to zwrócić.

— Rachunek istotnie zgadza się, jeżeli pan tyle potrąca. Ale proszę wziąć pod uwagę to, że pan liczył nam woły po sto pięćdziesiąt talarów, podczas gdy mogliśmy je kupić po sto. Podobnie policzył pan wszystkie inne artykuły dane nam w formie zadatku i teraz właśnie z tej przyczyny zamiast zaPłaty za pracę mamy długi! Zresztą nie mam ani jednego peso przy duszy i towarzysze moi również oczekują pieniędzy, bo nie mają nic. Co mi powiedzą, gdy wrócę z próżnymi rękoma i oświadczę, że mają jeszcze dług do spłacenia?

— Nie udawaj pan głupiego i nie tłumacz się brakiem pieniędzy. Odrobicie je.

— Ale my nie mamy na to ochoty, bo upatrzyliśmy sobie inne zajęcie.

— Ja również obejdę się bez was i znajdę lepszych zbieraczy *mate*. Ale w takim razie musicie mi wypłacić dwieście talarów w gotówce, i to zaraz!

— Niestety, powiedziałem już panu, że nie mam żadnych środków. Zresztą niech pan zważy, że byłaby to nasza krzywda. Policzył nam pan towary bardzo drogo, my zaś narażaliśmy własne zdrowie i życie przez parę miesięcy, dostawiając towar. I oto nagle spotyka nas taka niespodzianka. Dostyc tego! Nie będziemy już pracowali dla pana!

— Nic przeciw temu nie mam, tylko musicie natychmiast wypłacić mi dwieście talarów... Tam, przy kasie! Kto występuje tak śmiało jak wy, ten powinien mieć pieniądze.

Biedak zwiesił głowę. Współczułem mu, gdyż z opisów wiedziałem, jak niebezpieczne i pełne trudów oraz niewygód jest życie zbieraczy *mate*. I oto ludzie ci muszą wrócić do swoich rodzin bez grosza i być jeszcze zależni od bogatego przedsiębiorcy. Nie dziwota, że takiego właśnie człowieka dobrał sobie za współnika chytry jankes z Nowego Jorku.

Zbieracz *mate* począł teraz prosić o zmniejszenie żądanej kwoty bodaj o kilkanaście talarów.

— Jedno, co dla was mogę zrobić, to poczekać do wieczora — zdecydował w końcu nieugięty przedsiębiorca. — W przeciwnym razie pozostaniecie w mojej służbie pod przymusem, dopóki nie odrobiecie całej należności. To moje ostatnie słowo! Żegnaj!

Biedny człowiek zwrócił się ku drzwiom. Gdy przechodził koło mnie, szepnąłem:

— Zaczekać przed bramą!

Popatrzył na mnie zdziwiony i wyszedł, ja zaś podszedłem do przedsiębiorcy, który zmierzył mnie badawczo od stóp do głów, a skłoniwszy mi się, zapytał:

— Señor, czemu zawdzięczam zaszczyt tak niespodziewanej wizyty?

Z takiego powitania wywnioskowałem, że i on wziął mnie za kogoś innego. Odrzekłem więc uprzejmie, ale bez żadnej uniżoności:

— Obecność moja w pańskim biurze nie należy do rzeczy nadzwyczajnych. Jestem najzwyczajszym pod słońcem śmiertelnikiem podróżującym po świecie i zobowiązałem się oddać panu ten oto list.

Wziął ode mnie kopertę, przeczytał adres, obrzucił mnie raz jeszcze badawczym wzrokiem i zaśmiał się, że tak powiem, dyplomatycznie:

— Od mego współnika z Nowego Jorku! Czy pan utrzymuje z nim stosunki handlowe? Szkoda, że nie uprzedził mnie o pańskim przybyciu wcześniej.

— Z pańskim współnikiem zetknąłem się tylko przypadkowo...

Tupido nie słuchał moich słów, rozerwał kopertę, nie zauważywszy, na moje szczęście, naruszenia pieczęci, przeczytał list bardzo uważnie i wreszcie schował go do kieszeni.

— Szczególne! Czy pan istotnie jest owym podróżnikiem, o którym mowa w tym liście?

— Przypuszczam, że w liście jest mowa o mnie.

— Ależ rozumie się; wspólnik mój poleca mi pana jak najgoręcej i jestem gotów do wszelkich usług.

— Uprzejmie dziękuję, señor! Nie mam zamiaru narażać pana na trudy.

— Bynajmniej, panie, bynajmniej! Niech się pan nie krępuje! Z początku zdziwiłem się, zobaczywszy pana, borni pan przypomniał bardzo żywo pewną osobę...

— Czy mógłbym pana prosić o podanie mi jej nazwiska?

— Dlaczegoż miałbym odmówić panu tej przyjemności? Jest to pułkownik Latorre, o którym może już pan słyszał...

— Tak, słyszałem. Człowiek, który nosi to nazwisko jest podobno bardzo popularny i wiele sobie po nim obiecują. Proszę mi jednak wierzyć, że oprócz zewnętrznego wyglądu nie mam z nim nic wspólnego. Jestem zwykłym turystą bez talentów politycznych.

— Mówi pan to przez skromność. Mój przyjaciel z Nowego Jorku pisze właśnie, że przebywał pan kilka lat wśród Indian, a więc musi pan mieć talent, że się tak wyrażę, wojenny. Mam nadzieję, że zechce mnie pan łaskawie zaszczyścić dziś wieczorem swymi odwiedzinami w domu, a przy tej sposobności spodziewam się usłyszeć coś o pańskich przygodach.

— Jestem do usług.

— Pozwolę więc sobie zaprosić pana na obiad o godzinie ósmej. Adres mój — tu dał mi bilet wizytowy — znajdzie pan na tej karcie.

Czym jeszcze mogę panu służyć?

— Jeżeli można, prosiłbym o wypłacenie mi kwoty przekazanej przez pańskiego wspólnika — odrzekłem, podając mu przekaz, który señor Tupido obejrzał, napisał coś na nim i, oddając mi, wskazał kasę:

— Tam panu wypłacą. Tymczasem muszę pana pożegnać. Do zobaczenia wieczorem...

To mówiąc chciał odejść do drugiego pokoju. Ja jednak, zorientowawszy się, iż uprzejmy przedsiębiorca chciał mnie na przekazie okpić, zawołałem:

— Señor, proszę jeszcze, na sekundę!

— Cóż jeszcze? — spytał szorstko, jakby już nie ten sam człowiek.

— Prawdopodobnie zaszła tu mała pomyłka... Należy mi się nieco większa suma.

— Zapomina pan zapewne o należności dyskontowej...

— Za pozwoleniem! To jest przekaz i o należności takiej nie może być mowy. Potrąca mi pan pięć procent, jakby to był weksel na dłuższy termin nie zaś czek gotówkowy.

— U nas jest taki zwyczaj. Tyle się potrąca...

— Tak, zbieracz *mate* musi się stosować do pańskich zwyczajów, bo jest od pana uzależniony, ja jednak w innym znajduję się położeniu. Wspólnik pański nie wystawił mi tego przekazu z łaski lub przez grzeczność; wpłaciłem mu gotówką tyle co do grosza i tyle mi się należy bez żadnych procentowych potrąceń.

— Jak pan chce... Nie dam więcej.

— Wobec tego niech pan zatrzyma pieniądze, a przekaz proszę mi zwrócić.

— To niemożliwe, bo już zlikwidowany... Zresztą oddał mi go pan i od tej chwili jest on moją własnością.

— Spodziewam się, że nie na długo, tylko do momentu, aż wrócę tu z komisarzem policji. Żegnam.

Zaciekawieni sprawą pracownicy aż podkładali pióra, ja zaś kiwnąłem ich szefowi głową, zamierzając odejść. Ostatnie moje słowa wywarły jednak skutek.

— Proszę zaczekać, señor! — ozwał się Tupido, podążając za mną ku drzwiom.

Widocznie postraszenie policją napełniło go obawą, że sprawa tego rodzaju popsuje mu reputację; co ważniejsze jednak — zadarłszy ze mną, nie mógłby mnie już użyć w aferze obmyślonej przez jego nowojorskiego wspólnika.

Wydobył list, a przebiegłszy go szybko wzrokiem, rzekł z poprzednią uprzejmością:

— Przepraszam pana bardzo... przeoczyłem dopisek, w którym mój współnik zastrzega, abym nie ściągał procentu według naszego zwyczaju. Otrzyma więc pan całą sumę i spodziewam się, że wskutek tego małego nieporozumienia nie cofnie pan swego słowa i zaszczyci mnie swoją obecnością wieczorem.

— Oczywiście, ale pod warunkiem, że w domu pańskim nie spotkam się z jakimś innym tutejszym zwyczajem, który znowu zmusiłby mnie do protestowania.

— O, nie, nie! — usiłował mnie udobruchać i ze słodkim uśmiechem zniknął za drzwiami drugiego pokoju.

Odebrawszy swoje pieniądze, wyszedłem z biura. Przed bramą spostrzegłem zbieracza herbaty, któremu poprzednio dałem znak, aby zaczekał na mnie. Teraz skinąłem na niego, aby szedł za mną.

W Montevideo niema restauracji podobnych do naszych. Kawiarnie również nie nęcą Europejczyka, bo nie dostanie w nich kawy, lecz tylko *mate*, czyli herbatę paragwajską. Najbardziej zbliżone do naszych cukierni są cafeterie, w których można dostać niezłe ciastka, lody i napoje chłodzące.

Poprosiłem tedy zbieracza herbaty do cafeterii. Było tu pełno gości, należących, jak mi się zdawało, do „dobrego towarzystwa”. W chwili naszego wejścia oczy wszystkich zwróciły się na obdartusa, ale ani on, ani ja niewiele robiliśmy sobie z tego. Z chwilą gdy usiedliśmy przy stoliku, inni goście nieznacznie odsunęli się od nas, a zatem mieliśmy dosyć miejsca i było nam wygodnie. Czyż wobec tego, zamiast się oburzać na takie potraktowanie, nie powinienem być wdzięczny dystyngowanemu towarzystwu za uprzejme ustąpienie nam z drogi? I nie mogę powiedzieć, aby mój towarzysz nie umiał zachować się przyzwoicie. Jakkolwiek ubranie jego nie pasowało do otoczenia, to pod każdym innym względem nie ustępował wcale nawet eleganckim caballero. Proletariusze Ameryki Południowej różnią się bardzo pod tym względem od pospólstwa ze starego kontynentu. Pomimo nędznego ubrania tutejsi ludzie z gminu zdradzają w swoim zachowaniu i szlachetnych ruchach pewną dystynkcję, podczas gdy Europejczycy z tej sfery, choćby ich poubierał w mundury generalskie, zostaną sobą i z łatwością można ich odróżnić.

Pokryta silnym zarostem twarz mego towarzysza była bardzo interesująca. Z rysów jej, a zwłaszcza z oczu, przebijała wrodzona inteligencja i siła charakteru. Zdawało się, że człowiek ten ma dwie natury: jedną pokorną i potulną uciemionego robotnika, drugą śmiałą i butną bywalca światowego, który zdolny jest do czynów bynajmniej nie pospolitych. Wybierał on słodczy z takim znanstwem i spożywał z taką wytwornością, że mogłaby mu pozazdrościć niejedna elegancka dama, a przy tym nie zdradzał niczym, iż to ja będę za niego płacił. Jego gesty były zaś tak swobodne, jakby od dzieciństwa przywykł do tych wykwintnych lokali. I w wyrażaniu się jego nie można było dostrzec błędów stylistycznych lub wyrazów pospolitych.

— Dał mi pan znak — mówił — ażebym czekał. Spełniłem pańską wolę i oczekuję rozkazów.

— Nie mam zamiaru panu rozkazywać — odrzekłem. — Chciałem tylko prosić o jedno... Byłem świadkiem pańskiej rozmowy z Tupidem i wywnioskowałem z niej, że pozostaje pan w przykrej zależności od tego dorobkiewicza.

— Hm... niby tak — odparł z uśmiechem i miną człowieka, który mógłby wyrzucić tysiąc talarów bez zbytecznego uszczerbku dla własnej kieszeni.

— Słyszałem, że gdyby pan posiadał dwieście talarów, mógłby się pan wyzwolić spod jego władzy. Otóż czy byłby pan skłonny przyjąć ode mnie tę kwotę?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Kwota wprawdzie nie była wielka, ale dla biednego zbieracza maty mogła mieć ogromne znaczenie. Położenie tego człowieka wzbudziło we mnie coś w rodzaju litości i, aczkolwiek sam nie jestem bogaty, postanowiłem podarować mu te pieniądze.

— Pan żartuje, señor? Co pana skłania do tego?
— Co skłania? Po prostu radbym panu pomóc w przykrew sytuacji.
— Z litości? Chce mi pan dać jałmużnę?
— Nie, tylko zapomogę, a raczej pożyczkę. Uważam pana za caballero i nawet nie śmiałybym pomyśleć o jałmużnie. Więc przyjmie pan pożyczkę?
— Może... A może i nie. Zależy to od warunków. Czy mógłby pan je wyjawić?
— Otóż zapłaci mi pan trzy od sta. Wypowiedzenie roczne. Od tej chwili za rok zwróci mi pan kapitał z procentem.
— A jeśli się nigdy nie spotkamy?
— Wówczas zatrzyma pan pieniądze dla siebie albo je wręczy uboższemu.
— Señor, jesteś szlachetnym człowiekiem — rzekł, ściskając mi rękę. — Przyjmę pożyczkę i jestem pewien, że będę mógł ją zwrócić co do peso. Rad bym tylko wiedzieć, kim jest i skąd pochodzi señor, który okazał mi tak bezinteresownie swoją życzliwość.
Dałem mu kartę wizytową. Przeczytał ją i uśmiechnął się, a sięgnąwszy do bocznej kieszeni podartego kubraka, wyjął zupełnie przyzwoity portfel i wręczył mi swoją wizytówkę, na której było napisane:

Señor Mauricio Monteso
Guia y Yerbatero.

Był więc przewodnikiem podróży i herbaciarzem. Wiadomość dla mnie nie najgorsza.
— Po jakich okolicach pan podróżował? — zapytałem go. — Ja zmierzam do Santiago i Tucuman i potrzebuję dobrego przewodnika.
— Naprawdę? Mogę więc panu polecić dzielnego i doświadczonego człowieka, mego przyjaciela. Niech pan nie myśli, że to zwykły arriero, który tylko patrzy, jak wyzyskać podróżnego.
— A pan sam nie miałby chęci i czasu podjąć się tego zadania?
— Hm... — mruknął, patrząc na mnie badawczym wzrokiem. — Czy należy pan do ludzi bogatych?
— Nie.
— A... a... pieniądze mi pan pożyczą! Czy mogę zapytać, w jakim celu pan podróżuje? Czy nie jest pan poszukiwaczem złota? A może zajmuje się pan jakimiś spekulacjami?
— Nie.
— Może się namyśle... Kiedy pan stąd wyrusza?
— Jak najprędzej.
— Ja jednak nie mógłbym jechać natychmiast, bo muszę załatwić pewną niecierpiącą zwłoki sprawę. A zresztą mój przyjaciel, którego panu pragnę polecić, nie mieszka tutaj; musiałbym pana zaprowadzić do niego, a to kawał drogi w głąb Paragwaju. Nadłożenie drogi na pewno opłaciłoby się panu, bo przewodnik ów, zwany sendadorem, jest rzeczywiście w całym kraju najlepszy. Proszę więc pomyśleć nad tą sprawą i nie brać byle kogo, bo szkoda byłoby czasu i pieniędzy.
— Kiedyż więc i gdzie mógłbym się z panem spotkać, aby powiedzieć, co postanowiłem?
— Ja właściwie miałem zamiar spędzić tu tylko dzień jutrzejszy, ale przedłużę swój pobyt o dobę. Do swojej nory nie chciałbym pana zapraszać, więc lepiej będzie, gdy przyjdę do pana.
— Dobrze, proszę przyjść jutro w południe do hotelu „Oriental”. Przypuszczam, że do tego czasu podejmę decyzję.
— Przyjdę, señor. Czy pozwoli pan jeszcze zapytać, co pana łączy z Tupidem? Zapewne interesy?
— Wcale nie. Oddałem mu tylko list od wspólnego znajomego z Nowego Jorku.
— Zaprosił pana do siebie?

— Tak, na dzisiejszy wieczór do swego mieszkania.

— Wiem... przy bocznej, prowadzącej do La Unia, ulicy. Mieszka w pięknej willi, która się panu bardzo spodoba. Ale czy domownicy również spodobają się panu, mocno w to wątpię...

— Gospodarza już poznałem i nie jestem nim zachwycony... Doszło dziś nawet między nami do małej sprzeczki...

Zauważyłem, że od pewnego czasu towarzysz mój spozierał na ulicę, jakby kogoś tam obserwował. Nie mogłem jednak widzieć, co zajmowało jego uwagę, gdyż byłem odwrócony plecami do okna.

— Carramba! — rzekł z zakłopotaniem. — Obraził go pan może?

— Nie. Wymieniliśmy tylko kilka przykrych słów, ale do obrazy nie doszło.

— I mimo to zamierza pan pójść do niego wieczorem?

— Czemu nie miałbym iść?

— Słusznie. Tylko niech się pan ma na baczności. U nas ludzie obrażają się o byle co i mszczą się w sposób wyszukany, zachowując przy tym wszelkie pozory przyzwoitości.

— Czy ma pan jakieś podstawy do tego, żeby mnie ostrzegać przed tym człowiekiem?

— Proszę, niech się pan obejrzy — odrzekł. — Tam, naprzeciwko, stoi oparty o sztachety mężczyzna. Widzi pan?

Spojrzałem przez okno i istotnie zauważyłem po przeciwnej stronie ulicy człowieka, z którego postawy i zachowania można było od razu wywnioskować, że kogoś śledzi. Ubrany był na czarno, a na głowie miał sombrero o szerokim rondzie. Palił papierosa, rozkoszując się wonnym dymem z miną wytrawnego znawcy.

— Co to za osobnik? — zapytałem towarzysza.

— Jest to sławny i zdolny prywatny agent, specjalista w pewnych sprawach. Obecnie zadaniem jego jest śledzić... pana.

— Czyżby?

— Proszę mi wierzyć. Zauważyłem go jeszcze na Plaża de la Independencia, jak czatował na pana, udając, że spaceruje bez celu i dla zabicia czasu przygląda się obojętnie przechodniom. Potem, gdy pan wyszedł od señora Tupida, jegomość ten podążył za nami krok w krok. Jestem przekonany, że ma on na oku nie mnie, lecz pana.

— Ee, może się panu tylko tak wydaje? Przypadek, nic więcej.

— Przypadki podobne u nas się nie zdarzają, señor! Zresztą proszę poobserwować go chwilę, ale tak, aby tego nie zauważył. Czyż zachowanie jego nie zdradza, że kogoś szpieguje? Zobaczy pan, gdy się stąd oddalimy, że pójdzie za panem. Jutro powie mi pan, czy się myliłem; dziś jednak radzę szczerze zachować jak najdalej idącą ostrożność.

— Ależ, señor! Nie obraziłem Tupida tak śmiertelnie, aby aż godził na moje życie.

— Może u was nie zwraca się uwagi na błahe nieporozumienia, tu jednak inne są zwyczaje. Proszę wziąć pod uwagę, że ludność tutejsza, wywodząca się ze starej Hiszpanii, ma bardzo żywy temperament. Zresztą może się pan naraził i komu innemu.

— Ach, prawda! Jakiś bardzo komiczny señor był u mnie w hotelu i istotnie rozstaliśmy się w ten sposób, że groził mi pięścią... Jednak nie obawiam się ani trochę zemsty tego półgłówka.

— Hm! Komiczny señor... Zemsta... To nieco szczególne... Jak się nazywał ten pański gość?

— Esquilo Anibal Andaro.

— Do licha! Ależ to wcale nie komiczny człowiek! To najbardziej zagorzały *blanco*, jakiego znam, i po nim można spodziewać się wszystkiego. Znam go doskonale. Czy może mi pan powiedzieć, w jakim celu odwiedził pana?

Opowiedziałem towarzyszowi przebieg zajścia w hotelu, co przyjął z wielką powagą i wreszcie rzekł:

— Założę się, że to właśnie Andaro nasłał na pana tego draba. Niech się pan ma na baczności i nie wychodzi z domu bez broni!

— A owego pułkownika zna pan także?

— Nie widziałem go nigdy, wiem jednak, że pewna partia spodziewa się po nim wielkich rzeczy. Ponieważ señor jest do niego podobny, mogą z tego wyniknąć dla pana niepożądane następstwa. Żaden z wybitnych członków jednej lub drugiej partii politycznej nie jest nigdy pewny swego życia, może więc i na pana przygotują zamach.

— Do diabła! To rzecz nieprzyjemna, ale bardzo zajmująca!

— Dziękuję za tego rodzaju zajmujące rzeczy. Ów Andaro, sądząc, że pan to Latorre, dybie najwyraźniej na pańskie życie.

— To niemożliwe!

— Tak pan sądzi?

— Obaj przecież należą do jednego stronnictwa. Będąc pewnym, że jestem owym pułkownikiem, Andaro przybył, aby zawrzeć ze mną interes.

— Ja w ten interes wcale nie wierzę.

— Przecież ofiarował mi nawet pieniądze...

— Señor jesteś mołem książkowym, niczym więcej — zaśmiał się dobroduszenie. — W życiu jednak rzeczy układają się inaczej niż w książkach. Latorre nie należy do tego samego stronnictwa co Andaro. Jest to człowiek bardzo sprytny i przezorny, ale mimo to wiemy dobrze, do której partii należy.

— Dlaczego więc Andaro pragnie z nim handlować?

— Pozornie tylko stara się o to, aby go potem zdemaskować; tak przynajmniej mi się wydaje. Proszę sobie wyobrazić, co by to była za sensacja, gdyby biali mogli ogłosić, że mają podpis Latorre'a, którym ten potwierdza odbiór pięciu tysięcy za broń potrzebną do celów powstańczych! To by go po prostu zdruzgotało!

— Teraz pojmuję...

— Otóż Andaro uważa pana, mimo wszystko, za Latorre'a i jest wściekły, że nie dał się pan wciągnąć w sprytnie obmyśloną pułapkę. Albo też uwierzył, że jest pan kim innym, i również wścieka się, że tak nieopatrnie zdradził przed obcym tajemnicę swego stronnictwa i że mogą stąd wyniknąć dla niego i dla wszystkich członków następstwa bardzo niepożądane. W obu więc wypadkach nie powinien pan spodziewać się niczego dobrego od białych. A stąd wniosek, że musi pan jak najprędzej zniknąć im z oczu.

— Pan mnie po prostu straszy...

— I mam powody. Ów drab nie dla zabawy sterczy godzinami na ulicy. Ho, ho! Znam ja doskonale tutejsze stosunki i proszę mi wierzyć, że się nie mylę.

— Już na progu tego pięknego kraju spotykam się z tak przykrą awanturą...

— Radzę więc panu mieć się dziś na baczności, a jutro wyjechać stąd, i będzie wszystko dobrze. Jestem zresztą pewien, że tej nocy nie minie pana przygoda, i rad będę dowiedzieć się jutro, iż ostrzeżenie moje bardzo się przydało.

— Skorzystam chętnie z pańskiej przestrogi, a tymczasem wypłacę panu dwieście talarów. Wręczyłem mu pieniądze, które zawinął w chusteczkę z taką miną, jakby tu chodziło o bibułkę do papierosów, po czym uściśnął mi rękę, skłonił się uprzejmie i wyszedł.

Zająłem natychmiast jego miejsce, by mieć widok na ulicę, gdzie czatował wyżej wzmiankowany drab. Widziałem, że przypatrywał się uważnie wychodzącemu z cukierni *yerbaterowi* i miał minę bardzo zniecierpliwionego, spostrzegłszy, że pozostałem wewnątrz. Niebawem jednak wyszedłem i ja, udając, że nie zwracam uwagi na owo indywiduum.

Przebiegłem kilka ulic, zatrzymując się tu i ówdzie przed oknami wystawowymi, i przekonałem się, że indywiduum to nie spuszcza mnie z oczu.

Upłynęła może godzina i zaczął zapadać zmrok. Nagle odgłos dzwonów zwrócił moją uwagę i zorientowałem się, że stoję obok kościoła. Spytałem jednego z przechodniów, co to za kościół, i dowiedziałem się, że to katedra i że za chwilę rozpocznie się codzienne nabożeństwo „*Ave Maria de la noche*”. Zmieszałem się więc z tłumem wiernych i wszedłem do świątyni

pełnej jarzących się świateł i rozmodlonego ludu. Na górze śpiewał chór mieszany z towarzyszeniem organów. Śpiewacy byli niezłe wyćwiczeni, ale organista — pożał się Boże! Nie miał pojęcia o użyciu rejestrów i fałszował co chwila tak nieznośnie, że chciało się uszy zatykać!

Moim ulubionym instrumentem są organy, nic więc dziwnego, że od razu poznałem się na partactwie organisty. Wszedłem zaciekawiony na chór, aby zobaczyć tego fałszerza najpiękniejszej kompozycji Palestriny.

Był to niepokaźny i bardzo ruchliwy człowieczek. Spostrzegłszy, że mu się przypatruję, postanowił popisać się przede mną i aby to uczynić, powyciągał wszystkie rejestry. Rzecz prosta — organy huknęły z całą siłą, zagłuszając całkowicie głosy śpiewaków. Mimo to dyrygent chóru nie dał mu żadnego znaku i pieśń doprowadzono w takich warunkach do końca.

Nastąpiła krótka przygrywka znanej mi dobrze melodii. Niestety, organista wyciągnął w górze *vox angelica, vox humana, aeolina iflanta amabile*, a w basie najniższe i najsilniejsze rejestry, wskutek czego bas zagłuszył piękną melodię.

Tego było mi już za wiele. Nie zważając, że mogę z mistrza uczynić sobie śmiertelnego wroga, przystąpiłem do organów i zarejestrowałem inaczej. W pierwszej chwili organista popatrzył na mnie ze zdziwieniem, ale słysząc, że melodia po mojej poprawce wychodzi znacznie lepiej, grał dalej spokojnie. Po trzeciej zwrotce kapłan zaśpiewał głośno modlitwę, a organista, korzystając z chwili przerwy, szepnął do mnie:

— Gra pan na organach?

— Trochę.

— Może pan spróbuje?

— Jaką melodię?

— Otworzę panu śpiewnik. Są tylko trzy wiersze. Dam panu znak, kiedy zacząć. Najpierw bardzo miła i piękna przygrywka, potem melodia w tonacji dosyć silnej, a po trzecim wierszu fuga na wszystkie głosy i kontrapunkt.

Skłoniłem głowę twierdząco, mimo że jego wskazówki przekraczały moją znajomość rzeczy... Fuga... kontrapunkt...

Gdy kapłan skończył modlitwę, organista szturchnął mnie w bok, co niewątpliwie miało być umówionym znakiem. Zacząłem...

Jak grałem — mniejsza o to. Nie należę do wirtuozów i nie wiem, co by powiedział znawca na mój „kontrapunkt”. Ale ludzie, przyzwyczajeni do partackiej gry swego organisty, byli bardzo przejęci. Z katedry nikt nie wychodził, mimo że nabożeństwo już się skończyło, a śpiewacy otoczyli mnie kołem i słuchali w skupieniu. Musiałem dodać jeszcze jedną fugę i zakończyłem tłumacząc się brakiem czasu.

Zachwycony organista wziął mnie pod rękę, sprowadził z chóru i, kiedy znaleźliśmy się na ulicy, oświadczył, że muszę udać się do niego w gościnę.

— To niemożliwe, señor — wymawiałem się. — Właśnie jestem zaproszony gdzie indziej.

— Do kogo?

— Do señora Tupida.

— Jeżeli tak, to trudno. Ale może zechce mnie pan zaszczyścić jutro? Proszę pana do siebie na śniadanie.

— Z przyjemnością, señor.

— A więc spotkamy się u mnie o dziesiątej, a potem zagramy na organach na cztery ręce i cztery nogi. Mam znakomite nuty. Zostanie pan także na obiedzie.

— Co do obiadu, to niestety nie będę mógł skorzystać z pańskiej gościnności, gdyż o tej porze będę zajęty.

— Szkoda! A może to jakoś dałoby się zmienić? Nie znam pańskiego nazwiska i nie wiem, kim pan jest, ale jesteśmy niejako kolegami po fachu i spodziewam się, że...

— Oto mój bilet wizytowy.

— Dziękuję, niestety swoim służyć nie mogę, bo portfel mam w domu. Zresztą to drobnostka. Rad bym nauczyć się od pana rejestrowania, bo mi to sprawia najwięcej trudności. Między nami mówiąc, myślę się zawsze, wyciągam zgoła nie te rejestry, które należy. Zresztą trudno się dziwić! Człek musi w tym samym momencie pamiętać o rękach, nogach, nutach i śpiewniku, a przy tym jeszcze uważać na księdza, więc z rejestrami kłopot. Ale mam nadzieję, że pan mi pokaże, jak się to robi. A skoro pan zmierza do Tupidy, to pójdziemy razem. Mój dom znajduje się niedaleko jego kwinty*.

Opisał mi drogę do kwinty i jej położenie tak dokładnie, że mogłem trafić z zamkniętymi oczyma.

Tymczasem zapadł precudny, nie dający się opisać, wiosenny wieczór. Księżyc, będący właśnie w pełni, zalewał miasto potokami srebrzystych blasków, odbijających się od białych marmurów. Z ogrodów i parków szła odurzająca woń egzotycznego kwiecica.

Organista mieszkał za miastem, jak się wyraził, „na zielonym”. Nie było to jednak przedmieście, jakie spotyka się w Europie, z małymi domkami wyrobników, lecz dzielnica willi i pałaców. Uszedłszy spory kawał, towarzysz mój skręcił w wąską nie oświetloną uliczkę.

— Dokąd? — zapytałem.

— Do mnie. Musi pan przynajmniej wypić ze mną szklanek wino, a jutro nie będzie pan błędził, szukając mego domku.

Domek ów znajdował się niemal na samym końcu ogrodów i parków. Nie było w nim widać okien, a tylko niskie drzwi, prowadzące do wnętrza. Nie chciałem wchodzić do środka, gdyż obawiałem się, że spóźnię się z wizytą, więc rozmawialiśmy chwilę przed drzwiami. Nagle w uliczce, którą tu przybyliśmy, usłyszałem czyjeś kroki. Obejrzałem się i spostrzegłem sombrero. Pod tym kapeluszem musiała kryć się głowa ludzka, no, i jej właściciel. Zauważyłem, że chciał się chyba cofnąć, ale że wzbudziłoby to nasze podejrzenia, więc wybrał sposób inny: podszedł wprost ku nam. Był to ów drab, przed którym ostrzegał mnie *yerbatero*.

— Kim pan jesteś? Czego sobie życzysz? — pytał trwożnie organista, z czego wywnioskowałem, że drobny ten człowieczek miał równie „drobną”, lękliwą duszę.

Zapytany przystąpił jeszcze bliżej, ja zaś usiłowałem zajrzeć mu w oczy. Ale, mimo blasku księżyca, nie mogłem rozpoznać rysów twarzy, bo ją zakrywało szerokie rondo kapelusza.

Byłem pewny, że przyszedł tutaj, aby dokonać na mnie napadu.

— Pardon, señores! — odrzekł głosem przytłumionym. — Poszukuję domu Arriqueza i wskazano mi tędy drogę.

— Źle panu ktoś doradził. Tu nie mieszka nikt o podobnym nazwisku — wyjaśnił organista.

Nieznajomy postąpił ku nam jeszcze jeden krok, odwracając się od światła, co było dla mnie o tyle dogodne, że mogłem obserwować każdy jego ruch.

— Zapewne ktoś zakpił sobie z pana — zauważył znowu organista.

— O, wcale nie. Osobą o tym nazwisku ma być ów señor, który niedawno grał na organach w katedrze.

— Ten señor stoi właśnie przed panem... Ale nie nazywa się on Arriquez, lecz...

Mały człowieczek jeszcze do tej pory trzymał w ręku mój bilet wizytowy i teraz chciał przy świetle księżyca odczytać moje nazwisko. Wykorzystał to drab i w okamgnieniu rzucił się na mnie z wydobytym z kieszeni nożem.

Ponieważ Monteso ostrzegł mnie przed drabem w sombrero, miałem się — rzecz prosta — na baczności. W krytycznej chwili odskoczyłem w bok i ostrze noża błysnęło mi tylko przed oczyma. Jednocześnie wymierzyłem napastnikowi tak potężne uderzenie pięścią w skroń, że aż się zatoczył. Skorzystawszy z tego, chwyciłem go za gardło i rzuciłem nim jak piłką. Padł na ziemię, nie dając znaku życia, a organista z przerażenia wypuścił z ręki mój bilet. W pierwszej chwili oniemiał, a następnie zaczął krzyczeć:

* Willa.

— Gwałtu! Na pomoc!

— Cicho! — rozkazałem. — Nic ci się jeszcze nie stało.

— Jak to nic się nie stało? Tu musi być więcej zbójów! Uciekajmy! Ale dokąd? Co? Ach, prawda! Mam klucz od swego mieszkania... jestem uratowany!

Otworzył szybko drzwi swojego domu i, wbiegłszy do środka, zamknął je natychmiast, nie troszcząc się wcale, co będzie z zaproszonym gościem, czyli ze mną. Rad, że sam znalazł się w bezpiecznym miejscu, wołał do mnie zza kraty:

— Chwała Bogu, jestem uratowany! Niech pan ucieka czym prędzej!

— Dokąd mam uciekać? Najłatwiej byłoby panu przyjąć mnie w swoim domu...

— Dziękuję bardzo za radę, ale nie mam ochoty narażać się dla pana pięknych oczu. Niech pan już sobie idzie. Nie chcę, żeby pan stał przed moim domem!

— Ach tak? A przed chwilą nazywał mnie pan swoim przyjacielem i zapraszał na wino.

— Ee, gdy grozi mi niebezpieczeństwo, to odsuwam na bok wszelkie czułości... Nie mogę przecież dać się zarżnąć za pana jak baran tuczny...

— Tego od pana nie wymagam i... odchodzę. Do widzenia, do jutra.

I zawróciłem. Ale organista, słysząc owe „do jutra”, począł krzyczeć z przerażeniem:

— Co pan mówi? Ja nie życzę sobie, żeby pan jutro przychodził do mnie! Nie chcę w ogóle znać pana.

Trwoga organisty rozśmieszyła mnie. Drab, który napadł na mnie, leżał teraz, jak się zdawało, bez życia na ziemi. Byłem pewny, że nie ma żadnych pomocników, i czułem się zupełnie bezpieczny. Podszedłem więc do drzwi domu organisty i zawołałem, udając wielce zdziwionego:

— Nie, panie organisto! Pan mnie zaprosił do siebie i jutro o dziesiątej przyjdę do pana na śniadanie. Bezwarunkowo!

— Idź pan sobie na śniadanie do wszystkich diabłów, ale nie do mnie!

— Czego pan się boi? Przecież tu o mnie szło, a nie o pana!

— Niby tak, ale pan nie zna tych ludzi. Postanowili zgładzić pana, nie oszczędzą więc także i pańskich przyjaciół, bo tu idzie zapewne o sprawy polityczne. Niech pan ucieka i zezdnie mi z oczu raz na zawsze!

— Dobrze, ale może pan przyśle mi kogo do pomocy, abym mógł zaprowadzić tego draba na policję.

— Co też pan mówi! To byłoby wielkie głupstwo z mojej strony. Gdybym nawet miał tysiąc służących, nie wysłałbym ani jednego panu do pomocy. O, jestem na to za mądry, aby się niepotrzebnie narażać. No, ale nareszcie idzie moja żona ze światłem... Zegnam pana i niech pan ucieka, bo będzie pan żałował...

Zobaczyłem za kratą drzwi światelko i w tej samej chwili rozległ się swarliwy głos kobiecy. Widocznie połowica zanego organisty czyniła mu wyrzuty, że awanturuje się po nocy. Zwróciłem się teraz do draba, który właśnie zerwał się z ziemi jak spłoszony zając i rzucił się w to miejsce, gdzie leżał jego nóż. Musiałem się pospieszyć, aby przed nim chwycić nóż w swe ręce, bo nie miałem przy sobie żadnej broni. Gdyby on pierwszy podniósł mordercze narzędzie, na pewno rzuciłby się na mnie po raz drugi. Udało mi się jednak uprzedzić go, więc pogroził mi tylko pięścią i, uciekając w pole, zawołał:

— Niebawem trafię lepiej!

Byłbym łotra łatwo przytrzymał, ale zrezygnowałem z tego, bo odstawienie go do biura policji sprawiłoby mi sporo kłopotu. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli sam zniknie. Dzięki temu wypadkowi przekonałem się dowodnie, iż szykowano na mnie zamach. Nie czułem jednak z tego powodu zbyt dużej obawy; przezorność mogła mi tu zupełnie wystarczyć.

Podniósłszy porzucony przez zbójcę nóż, pobiegłem tą samą uliczką, którą tu przybyliśmy, nie spotykając już po drodze ani żywej duszy. Potem skierowałem się do kwinty Tupida.

Kroczyłem samym środkiem ulicy, aby nie wpaść niespodziewanie w ręce zaczajonych tu, być może, złoczyńców.

Niebawem stanąłem przed żelazną furtką, za którą był mały ogródek, a w głębi willa. Schowałem nóż do kieszeni i zadzwoniłem.

— Kto tam? — zapytał jakiś głos z ogródka.

Powiedziałem swoje nazwisko. Służący otworzył furtę i zaprowadził mnie, jednego słowa nie mówiąc, do wykwintnie urządzonego pokoju.

Tupido siedział na sofie, paląc wonne cygaro. Na mój widok wstał i, podszedłszy ku mnie, podał mi rękę ze słowami:

— No, nareszcie! Spóźnił się pan o cały kwadrans. Było mi bardzo przykro, gdyż z utęsknieniem oczekiwałem pana.

— Proszę mi wybaczyć niepunktualność, która zresztą spowodowana została nieoczekiwaną przygodą. Mam nadzieję, że pan to uwzględni.

— Ależ naturalnie! — śmiał się. — Jak mógłbym gniewać się o taką drobnostkę! Zresztą żona moja nie jest jeszcze gotowa, będzie więc pan zmuszony przez kilka minut zadowolić się moim wyłącznie towarzystwem.

Posadził mnie obok siebie na sofie i podał wytworne przybory do palenia. Skorzystałem z zaproszenia i, zapaliwszy cygaro, rozmyślałem nad uprzejmością, a właściwie doskonałą komedią uprzejmości mego gospodarza, który, położywszy mi rękę na ramieniu, mówił:

— Muszę przyznać, iż mocno jestem obowiązany swemu wspólnikowi, że dał mi sposobność poznania pana. Po pierwsze zawsze się bardzo cieszę, spotykając ludzi ze starego kraju, a po wtóre poczułem szczególną sympatię do pana, którego mi przedstawiono jako człowieka wielkich zdolności i wiedzy oraz przymiotów towarzyskich. Cieszę się tedy ogromnie, że raczył pan zaszczyścić mój skromny dom swoją obecnością.

Z całej tej tyrady wnosilem, że człowiek ten uważał mnie za bardzo naiwnego, skoro sądził, że pójdę na lep tak przesadnie czułych słówek. Odrzekłem tedy skromnie:

— Przykro mi, że list polecający spowodował, iż mylnie pan ocenił moją osobę. Podróżuję bowiem, aby się uczyć, a nie nauczać innych, i do tego ostatniego nie mam żadnych zdolności. Kto więc chwali mnie w żywe oczy, wprawia mnie jedynie w zakłopotanie.

— Spodziewałem się podobnej odpowiedzi, señor. Im ktoś więcej wart, tym zazwyczaj skromniejszy. Dajmy jednak temu pokój i pomówmy raczej o czym innym. W jakim właściwie celu przedsięwziął pan obecną swą podróż? Przypuszczam, że w sprawach kupieckich? A może dla badań przyrodniczych?

— Ani jedno, ani drugie, señor. Podróżuję dla... podróżowania. Nie jestem specjalistą ani w handlu, ani w naukach przyrodniczych. Są ludzie, którzy wybierają się co dzień na długie przechadzki jedynie po to, by rozkoszować się widokiem krajobrazów. Ja mam podobne upodobania, tylko czynię to na większą skalę. Niech więc pan nie ma o mnie niewłaściwego wyobrażenia i nie przecenia mojej wartości...

Odpowiedzi moje musiały go trochę ostudzić, gdyż nieco spuścił z tonu, pytając znowu:

— Nie wyobrażam sobie jednak, jak można odbywać tak dalekie podróże bez określonego celu... Należy pan widocznie do ludzi wyjątkowych, do idealistów. Mówi pan o przechadzce dla napawania się pięknymi widokami, a wybiera pan sobie kraj, który obfituje we wszystko, prócz pięknych krajobrazów. Zresztą czyżby pan naprawdę nie miał pojęcia o niebezpieczeństwach, jakie mogą panu zbyt często psuć wrażenia w podróży?

— Staralem się wcześniej poznać tutejsze stosunki, oczywiście, na ile to było możliwe, teoretycznie. Zresztą niechętnie zmieniam raz powzięte postanowienia.

— Podziwiam je, señor!

— Co? Moje postanowienia, czy też ryzykowne kroki, na które być może nie zdecydowałby się kto inny? Moim zdaniem, jeśli się jest niedoświadczonym, a pragnie się coś poznać i czegoś nauczyć, nie ma innego sposobu, tylko trzeba tego i owego doświadczyć. Trzeba ryzykować...

Potrząsnął głową znacząco, jakby chciał w ten sposób podkreślić, że uważa mnie za głupszego, niż sobie wyobrażał. Dlatego to zapewne pytał dalej prawie z odcieniem politowania:

— I pan naprawdę nie boi się podróży do Santiago czy nawet do Tucuman? A wie pan, jak to jest u nas? Przede wszystkim mamy w kraju liczne stronnictwa polityczne, które się zwalczają nawzajem nie przebierając w środkach. Te zaś okolice, przez które wypada panu droga, są właśnie najbardziej niespokojne i niebezpieczne. Istotnie ryzykuje pan bardzo wiele... może nawet życie... Toteż radziłbym panu zastanowić się dobrze nad swoim krokiem.

Poznałem z jego miny, że ta troskliwość jest udana, odrzekłem więc:

— Słyszał pan przed chwilą, że prawie nigdy nie zmieniam zdania i obecnie także chcę doprowadzić do końca to, co przedsięwziąłem.

— Ha, jeśli tak... Ja spełniłem swoją powinność i nie pozostaje mi nic innego, jak tylko ułatwić panu tę podróż, oczywiście, o ile to będzie w mojej mocy, no, i pod warunkiem, że pan się na to zgodzi.

— Ależ wdzięczny będę, bardzo wdzięczny, señor!

— Cieszy mnie to i sędzę, że skorzysta pan z mojej rady. Dla pana byłoby najwygodniej jechać stąd przez Buenos Aires. Ale, niestety, musiałby pan przedostać się przez okolice, w których grasują liczne bandy wojskowe. Biorąc to pod uwagę, radziłbym panu obrać inną drogę, nie uczęszczaną wprawdzie, ale za to bezpieczną. Wiedzie ona w poprzek przez Urugwaj i prowincję Entre Rios do Parany albo Santa Fe, a stamtąd już przez Cordobę do Santiago i Tucuman.

— Dziękuję, señor. Zdaje mi się, że to będzie najlepsza dla mnie droga.

— Z pewnością uczyni pan najrozsądniej, stosując się do moich wskazówek. W tym wypadku mógłbym nawet dać panu list polecający do pewnego oficera wysokiej rangi, który, mając rozliczne stosunki, niewątpliwie by panu pomógł. Jest to Lopez Jordan, zięć byłego prezydenta Urquiza. Słyszał pan o nim zapewne?

— Tylko tyle, że to osobistość bardzo wpływowa.

— O, tak. Nie ma wątpliwości, że wybije się on wkrótce bardzo wysoko w hierarchii społecznej naszego kraju. Mogę się poszczycić, że pozostaję z nim w serdecznej przyjaźni, i jestem pewien, że moja rekomendacja będzie dla pana korzystna. Polecono mi pana, mam więc obowiązek uczynić dla niego wszystko, co będzie w mojej mocy, nie zastrzegając sobie jakiegokolwiek rewanzu. I cóż? Zgoda?

— Oczywiście. Byłbym bardzo niemądry, gdybym nie skorzystał z takiej sposobności.

— Czy długo pan jeszcze pozostanie w naszej stolicy?

— Mogę wyruszyć w każdej chwili, bo nie mam tu żadnych spraw do załatwienia, a miasto nie budzi mojej ciekawości. Pilno mi raczej w głąb kraju, którego nie znam i który bardzo mnie interesuje.

— To bardzo dobrze, señor. Dziś jeszcze wiem, dokąd zaadresować list polecający, jutro byłoby już za późno, gdyż Lopez Jordan wybiera się właśnie na prowincję. Im wcześniej pan do niego przybędzie, tym lepiej dla pana. Byłoby nawet wskazane, aby przyłączył się pan do niego, bo on właśnie podąży w interesujące pana strony. Z tego względu radziłbym wybrać się w drogę jutro skoro świt.

Mówił to z taką, zdawało się życzliwością, że, nie znając treści listu z Nowego Jorku, byłbym mu uwierzył. Nie okazując ni cienia jakiegokolwiek nieufności, zgodziłem się niby i na to:

— Dobrze, wyjadę jutro rano.

— Znakomicie! Zaraz dam panu obiecane pismo. Otwarcie mówiąc, pomyślałem o tym jeszcze po południu, gdyż byłem pewny pańskiego przybycia, no, i tego, że się pan zgodzi na wszystko. List więc mam już gotowy. Lopez Jordan przebywa chwilowo w Paranie. Najkrótsza droga prowadzi przez Mercedes i Villaguay. W jaki sposób zamierza pan odbyć podróż?

— Nie wiem jeszcze — odrzekłem, wzduszając ramionami — i prosiłbym pana o udzielenie mi rady i w tym względzie.

— Niech pan jedzie dyliżansem. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znam pewnego woźnicę, który jutro rano w tamte strony wyrusza. Będzie pan mógł odbyć podróż tanio, a tak wygodnie, jak tylko w naszych warunkach jest to możliwe. Jeżeli pan pozwoli, napiszę list do tego człowieka.

— Proszę bardzo.

Uprzejmy gospodarz usiadł przy biurku i zabrał się do pisania.

Po chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wbiegli dwaj chłopcy. Jeden liczył może dziesięć, drugi około dwunastu lat.

Przypuszczałem, że w państwach południowoamerykańskich wychowanie dzieci stoi jeszcze na bardzo niskim poziomie, i nie myliłem się. Chłopcy, wystrojeni jak lalki, podeszli do mnie i zaczęli mi się ciekawie przypatrywać.

— Tatku! — odezwał się po chwili jeden z nich. — Czy to ten Europejczyk, o którym wspominałeś?

— Tak, moje dziecko — odpowiedział ojciec obojętnie, zajęty pisaniem.

Mały ciekawski zwrócił się następnie do mnie z pytaniem:

— Czy jesteś naprawdę idiotą?

— A kto ci o tym powiedział? — zapytałem.

— Tato mówił tak do mamusi — odezwał się drugi.

— Co ty pleciesz? — wtrącił ojciec. — Mowa była nie o panu, ale o robotniku z Europy, który pracuje u mnie i niczego nie można go nauczyć.

Ale malec nie dał się zbić z tropu i odrzekł:

— A jednak zaprosiłeś go w gościnę...

— Nie wtrącaj się! — zgromił go Tupido, mnie zaś zagadnął szybko: — Oto list do Jordana. Zaadresowałem go właśnie.

I podał mi dużego formatu kopertę tak grubą, że mieściła co najmniej trzy arkusze papieru. Koperta była zaklejona gumą arabską.

— Czy tu nie ma zwyczaju oddawania listów polecających bez opieczętowania?

— Nie, señor, tego się u nas nie praktykuje, gdyż zdarza się bardzo często, że w liście jest dopisek w innej jakiejś sprawie.

— Czy i w tym liście jest taki dopisek?

— Owszem.

— W takim razie musi on być bardzo obszerny i przyznam się szczerze, że byłoby mi o wiele przyjemniej, gdyby pan go odłączył od właściwego listu.

— Ee, po co ten kłopot? Taka drobnostka... Zresztą nigdy nie robię nic dwa razy i nie zmieniam powziętego zamiaru nawet w rzeczach tak błahych.

— Hm! Nie dalej jednak jak dziś zmienił pan postanowienie i wypłacił mi przekaz bez odliczenia procentu. Ale mniejsza o to. Oddam list w takim stanie, w jakim go otrzymałem.

Tupido podszedł ponownie do biurka, by zapieczętować drugą kopertę, gdy nagle starszy chłopak zbliżył się do mnie i zapytał:

— Co masz tutaj? Pokaż! — I chwycił za list, chcąc mi go wydrzeć.

— To nie dla ciebie — odrzekłem.

Ale... było już za późno; chłopak szarpnął kopertę, rozdarł ją i jej zawartość wysypała się na podłogę. Ucieszyło mnie to niezmiernie. Podniosłem szybko pismo, ale zrobiłem to tak, aby właściwy list oddzielił się od załączników.

— Podarłeś kopertę! — rzekłem surowo. — Papa musi teraz przygotować drugą... Ale... co to? Co ja widzę?

— Proszę nie czytać! — krzyknął Tupido, podskoczywszy ku mnie. Cofnąłem się, aby mi nie wyrwał papierów z ręki, ale on usiłował odebrać mi je przemocą. Byłem jednak silniejszy.

Trąciłem go tak mocno, że się przewrócił na sofę, a następnie wypchnąłem za drzwi niesfornych chłopców. Tupido jednak zerwał się z sofy i znowu rzucił się ku mnie, by odebrać papiery. Wtedy krzyknąłem gromko:

— Ani kroku dalej, bo rzucę pana o ścianę tak, że przylepisz się do niej jak gruda smoły! Dwa formularze kontraktu oddaję panu zaraz, bo te mnie nie obchodzą; ale list zatrzymam, bo dotyczy on mojej osoby... A na przyszłość niech pan więcej starań poświęci wychowaniu dzieci, aby się nie narażał na podobne przykrości!

— Zawołałam służbę, aby wydarła panu list przemocą i wyrzuciła pana za drzwi! — krzyczał wściekły.

— Ludzie pańscy nie odważą się ani na jedno, ani na drugie, bo kto by mnie tylko tknął, wnet padłby na ziemię bez ducha! Zresztą odejdę sam, bo w domu człowieka takiego jak pan nie mam co robić. Daję mu jednak do wyboru: albo pozwoli mi pan odczytać natychmiast treść listu, po czym go panu oddam, albo odejdę zaraz i zaniosę go tam, gdzie będę uważał za właściwe.

Musiałem postawić sprawę w ten sposób, gdyż w tej właśnie chwili ukazała się w drzwiach postać niewieścia w towarzystwie służącego. Patrzyli zdziwieni, co się tu stało, ale Tupido, zorientowawszy się, że ze mną nie ma żartów, kazał oddalić się obojgu i rzekł:

— To czytaj pan, do stu diabłów! Ale musi mi pan potem list oddać i zejść mi z oczu raz na zawsze!

Gdy obie postacie zniknęły za drzwiami, rozsiadłem się wygodnie w fotelu i zacząłem czytać:

„Señor! Otrzymałem właśnie wiadomość od swego wspólnika, że zgadza się na wszystko. Wobec tego posyłam panu kontrakty do podpisu i proszę o odesłanie ich przez zaufanego, pewnego posłańca. Kiedy je ponownie otrzymam, nastąpi wysyłka towaru.

Oddawca niniejszego nie wie o niczym. Jest to głupi Szwab czy też Francuz z Europy. Wiadomo panu, że przybysze z Europy są przeciwnikami pańskiego stronnictwa, wobec czego, pomimo że tu niby polecam tego durnia pańskim względem, może się pan z nim obejść, jak się panu spodoba, bez świadczenia mu jakichkolwiek grzeczności.

Upatrzyłem go sobie na posłańca z uwagi na to, że u obcego obieżyswiata, który dziś dopiero wysiadł ze statku, nie będą szukali tak ważnych papierów. A zresztą, gdyby go nawet schwytano i znaleziono je przy nim, dostanie kulę w łeb i na tym koniec. Na dokumentach nie ma żadnego podpisu, więc w najgorszym razie moglibyśmy się tłumaczyć, że to jakiś podstęp.

Nie napotka pan zbytnich trudności, chcąc pozbyć się tego idioty, bo jest on o wiele głupszy, niż wydaje się na pierwszy rzut oka. Najlepiej, gdyby go pan wpakował w szeregi swoich żołnierzy. Jest podobno niezłym strzelcem, a zresztą nie zaszkodzi, gdy mu się w potrzebie utoczy trochę krwi dla dobra ojczyzny...”

Tak brzmiał dotyczący mnie ustęp listu „polecającego”. Wstałem i, cisnąwszy go na stół, rzekłem do Tupida:

— Weź pan sobie tę swoją szmatkę! Może nabierze pan innego o mnie wyobrażenia, gdy mu powiem, że jeszcze przed przybyciem tutaj wiedziałem o przygotowywanej na mnie zasadzce. Taki głupi, jak się panu zdaje, nie jestem; przeciwnie, po tym wszystkim uważam, że pan, pomimo słynnej swej „uczciwości” i „honoru”, może być snadnie porównywany pod względem bystrości umysłowej z pierwszym lepszym południowoamerykańskim... łajdakiem! Nie widząc pana jeszcze, znałem go już dobrze...

— Kogo pan nazywa łajdakiem? — zapytał, schowawszy list do kieszeni.

— Zechce pan sam odpowiedzieć sobie na to pytanie.

— A czy pan wie, jak wielką obrazę stanowi ta odpowiedź? — wrzasnął, przybierając groźną postawę.

— Jeżeli się ma do czynienia z ludźmi honoru, tak, przyznaję, iż jest to obraza. Że jednak pan do nich nie należy, więc nie mam powodu łamać sobie głowy nad daną panu odpowiedzią...

— No, no! Zobacz pan jeszcze, co z tego wyniknie...

— Nie boję się, wiedząc z góry, że może to być jedynie zbójcka na mnie zasadzka, a w takich wypadkach umiem sobie radzić. Zresztą ludzie pańskiego pokroju nie są niebezpieczni. Wystarczy silna pięść, by się obronić. Gdyby pan jednak chciał grozić mi zemstą, to może pan być spokojny, że nie będę się włóczył po biurach policji, ale przyjdę tu wprost i obiję pana we własnym jego domu. Proszę to sobie zapamiętać... I żegnam pana, życząc, abyśmy się nigdy więcej nie spotkali!

Prócz grymasu lekceważenia i nienawiści nie dał mi żadnej odpowiedzi. Służący, któremu kazałem otworzyć sobie furtę, poprowadził mnie bez słowa na miejsce i dopiero gdy drzwi stanęły otworem, zapytał uraglowie:

— Więc opuszcza pan łaskawie nasz dom? Czy jednak nie schował pan czego do kieszeni? W takim razie...

Co byłby w takim razie uczynił, nie dowiedziałem się już nigdy, bo otrzymał ode mnie na pamiątkę tak siarczasty policzek, że zatoczywszy się kilka kroków, rozciągnął się na ziemi jak długi. Przypuszczam, że od tej chwili odechciało mu się raz na zawsze stawiać gościom podobne pytania.

Nie troszcząc się o to, w jakim stanie go pozostawiam, zatrzasnąłem furtę i poszedłem ku miastu. Trzymałem się — rzecz prosta — środka ulicy w obawie przed zasadzką.

Wkrótce przekonałem się, że ostrożność moja była uzasadniona, bo w pewnej odległości za sobą, po prawej stronie drogi, usłyszałem spieszne kroki dwóch ludzi. Zboczyłem na lewo w cień drzew, a po jakimś czasie, obejrzawszy się, zobaczyłem umykającą szybko przed jakimś mężczyzną postać kobiecą.

— Ratunku! — wołała głosem rozpaczliwym i drżącym. — Na miłość boską, ratujcie!

Oczywiście wysunąłem się z cienia na środek drogi, a kobieta podbiegła do mnie, błagając:

— Panie, ratuj! Patrz, ten łotr ściga mnie... Nie mam już siły uciekać! Mężczyzna, spostrzegłszy mnie, zawrócił co rychlej w kierunku, z którego przybył, i widziałem tylko jego plecy.

Napastowana kobieta, ubrana z miejską, miała na głowie, zamiast kapelusza, hiszpańską woalkę, która podczas ucieczki zsunęła się jej nieco na ramiona, i w świetle księżyca ujrzałem śliczną twarzyczkę dziewczęcia.

— O, señor! — ozwała się dziewczyna, oddychając głęboko. — Jakie szczęście, że trafiłam na pana! Jestem tak przerażona, że na nogach utrzymać się nie mogę...

Widząc, że dziewczyna istotnie chwieje się, podałem jej ramię.

— Wezmę panią pod swoją opiekę, więc nic złego się pani nie stanie.

— Ten bandyta — westchnęła ciężko, zwisając na moim ramieniu, jakby istotnie była bardzo osłabiona — pędził za mną od pierwszych domów i dalej już nie mogłabym uciekać.

— Któż to taki?

— Jakiś zbój! Nie widziałam go nigdy!

— Czy pani nie wiedziała o tym, że tą ulicą o tak późnej godzinie niebezpiecznie jest chodzić?

— Wiedziałam, ale musiałam pójść do apteki po lekarstwo dla chorej babki.

— Gdzie pani mieszka?

— Niedaleko stąd, ale bardzo się boję, bo ów opryszek może jeszcze wrócić...

— Jeżeli pani pozwoli, to zaprowadzę ją do domu.

— Jaki pan dobry! Chętnie skorzystam z pańskiej uprzejmości...

Patrzyła na mnie z powagą i ufnością, a jednak podejrzewałem, że sprawa jest nieco niewyraźna. Do tej chwili staliśmy w miejscu, teraz ruszyliśmy we wskazanym przez nią

kierunku, za miasto. Towarzyszka opowiadała mi po drodze, że jest sierotą i mieszka u babki, pochodzącej ze Szwajcarii. Zastanowiło mnie to, że wyraz „Szwajcaria” wymówiła ze szczególnym naciskiem, ale pozwoliłem jej opowiadać dalej. Minęliśmy willę Tupida i wkrótce wyszliśmy za miasto, w czyste pole, przez które wiódł gościniec wysadzany po obu stronach drzewami.

— Domek nasz znajduje się tam, w górze, niedaleko stąd — szczebiotą dziewczyna, wskazując ręką bielejący w odległości mniej więcej pięciuset kroków budynek. — Może pan zechce łaskawie podprowadzić mnie jeszcze kawałek, bo naprawdę boję się sama w tym polu.

Zgodziłem się. Uszedłszy jednak kilkanaście kroków, musiałem przystanąć, bo z cienia drzew wyłoniło się nagle pięć czy sześć postaci, z których jedna zaczęła biec ku nam.

— Stać! Ani kroku dalej! — krzyknąłem. — Czego chcecie?

Dziewczyna zadrżała i przytuliła się do mnie trwożliwie.

— Czego chcę? — odezwał się znajomy mi skądś głos. — Czekamy tu na pana! Jestem... Czyżby naprawdę pan mnie nie poznał? Mauricio Monteso!

Był to istotnie *yerbatero*; poznałem go, gdy się zbliżył.

— To pan? — zapytałem zdziwiony. — Co za niespodzianka! Ale zapytam pana jeszcze raz, co pan tu robi?

— Dowie się pan zaraz. Proszę nam zaufać i zejść nieco w cień, bo tu nas ze wszystkich stron widać.

— W jakim celu?

— Nie ma czasu na wyjaśnienia, bo on zaraz się tu pojawi.

— Kto?

— Ten sam, który napadł na señoritę... Jej ojciec...

— Jej ojciec? Czy to możliwe?

— Owszem, to jest jej ojciec. Ale niech pan teraz o nic nie pyta i trzyma dobrze señoritę, aby nie uciekła.

Rzekłszy to, przystąpił do niej i, błysnąwszy jej nożem przed oczyma, zagroził:

— Jeżeli panienka uczyni choćby krok albo wypowie jedno słowo, mogące nas zdradzić, wówczas ten nóż utkwi w jej złym serduszku. Proszę o tym pamiętać, gdyż nie żartuję!

Dziewczyna drżała na całym ciele. Chwyciłem ją mocno za rękę, by nie uciekła, i cofnęliśmy się wszyscy w cień.

Po chwili dały się słyszeć kroki i zjawił się ów mężczyzna, który dopiero co uciekł był w kierunku miasta. Przystanął i jakiś czas rozglądał się dokoła.

— Ani słowa? — szepnął *yerbatero* do mojej towarzyszki, trzymając nóż gotowy do pchnięcia.

Tajemniczy człowiek puścił się tymczasem ku chatce, w której, według opowiadania dziewczyny, leżała chora babka. Zaledwie jednak ubiegł kilkanaście kroków, wyskoczyli z ukrycia moi nieznani towarzysze i, otoczywszy go, powalili na ziemię.

O pomoc wołać nie mógł, gdyż *yerbatero*, przycisnąwszy mu kolanem pierś, groził:

— Milcz, łotrze, bo cię zakłuję jak prosię! Tym razem nie udała ci się sztuczka? Związać go i zanieść do chaty... Wiecie już, jak to się robi.

Polecenie zostało wykonane szybko i sprawnie. Z nami pozostał tylko Monteso.

— Czy zna señorita tego człowieka, którego zabrali moi towarzysze? — zapytał ją.

— Znam — odrzekła wylękniona. — To mój ojciec...

— Ten sam, który poprzednio napadł na señoritę?

Dziewczyna milczała.

— Dlaczego señorita nie odpowiada? — krzyknął. — Gadaj natychmiast albo... użyję noża!

Widać argument ten ją przekonał, bo rzekła cichym głosem:

— Tak, ten sam.

— Kogo upatrzyliście sobie na dzisiaj?

Milczała, spuściwszy głowę.

— Zapewniam cię, że wiem wszystko, i pytam tylko dlatego, aby mój przyjaciel, ten oto señor, usłyszał tę historię z twoich pięknych usteczek. Proszę więc mówić szczerą prawdę, bo nie mam czasu na żarty i zrobię użytek z noża!

— Niech mi pan nie grozi śmiercią — prosiła — bo przecież nie zrobiłam nic złego...

— O, za pozwoleniem! Señorita może nawet nie wie o tym, że popełnia przestępstwo. Ja jednak znam się na tym... Kto mieszka tam, w tej chacie na wzgórku?

— Mój ojciec, babka i ja.

— Skąd ojciec czerpie dochody na utrzymanie domu? Z gry? Nieprawdaż?

— Tak.

— A wasza chata jest pułapką, do której zwabia się ptaszki, by je do naga oskubać. Przynęta jest señorita. Ładna rola jak na panienkę w tym wieku!

— Ja... ja... muszę przecież słuchać ojca... — broniła się ze łzami w oczach.

— I jedynie dlatego traktuję señoritę tak łagodnie. Jednak tylko dopóty, dopóki panna mówi prawdę. Dziś miała señorita zwabić do chaty tego oto señora...

— Tak.

— Zaczailiście się w pobliżu willi Tupida, obmyśliwszy uprzednio komedię z owym napadem... Panna miała wciągnąć tego señora do chaty, wprowadzając go w błąd zmyślonymi opowiadaniem o chorej babce... ze Szwajcarii...

— Tak...

— I aż do tej chwili komedia toczyła się bez przeszkód. Ale czy wiesz, señorito, co czekało tego pana w waszym domu?

— Musiałby grać w karty...

— Tak powiedział panience ojczulek, ale jego prawdziwe zamiary były inne... morderstwo...

— Santa Madonna! To nieprawda!

Powiedziała to z taką naiwnością, że istotnie wierzyć się nie chciało, aby działała świadomie.

— Owszem, prawda! Ojczulek twój, señorito, zaplanował, że kiedy udasz się ze swoją babką na spoczynek, zamordują go...

— Mój ojciec gra w karty jak każdy inny tutejszy obywatel, ale mordercą nie jest.

— Żal mi, bardzo mi żal señority, że się tak daje otumaniać swemu ojczulkowi. Powinnaś jednak wiedzieć, że jest on w zмовie z najniebezpieczniejszymi drabami.

Rzekłszy to, zwrócił się do mnie:

— Señor zapewne rad by się dowiedzieć, w jaki sposób znalazłem się tutaj i skąd znam tajemnicę tego domu? Otóż opowiem to później. Teraz może señor zobaczyć swoich niedoszłych morderców. I nie musi się pan ich obawiać. Ja się oddalę, a pan pójdzie z tą panienką prosto do chaty. Resztę proszę pozostawić mnie...

— A czemu pan nie chce iść razem z nami?

— Bo oczekują tam tylko pana z señoritą, musi więc pan zadowolić się na razie towarzystwem tej pięknej dziewczynki. Gdyby ktoś trzeci był z wami, sprawa wydałaby się im podejrzana. Ja zresztą muszę podążyć za swoimi towarzyszami, którzy w tej chwili są już zapewne za chatą i czekają na rozwiązanie sprawy.

— Cóż to za jedni ci towarzysze?

— Są to poczciwi *yerbaterzy*. Może pan na nich polegać, bo samego diabła nawet się nie boją. Pozna pan ich niebawem. Do widzenia więc! Za kilka minut zobaczymy się znowu.

Oddał się szybko i zniknął w cieniu przydrożnych drzew. Dziewczyna zaś, chcąc wykorzystać okazję, usiłowała wyrwać się z moich rąk, lecz jej nie puściłem.

Powtarzam raz jeszcze, że nie mogłem po prostu uwierzyć, aby to śliczne dziewczę, niemal dziecko, o niewinnej twarzyczce, służyło bandzie karciarzy i morderców jako przynęta dla

nieświadomych niczego ofiar. I istotnie nie miała ona pojęcia o tym, tak jak nie wiedziała o zamachu na moje życie, dlatego byłem skłonny uchronić ją przed odpowiedzialnością za całą sprawę.

— Czy pan wierzy w to, że mój ojciec chciał pana zamordować? — zapytała mnie trwożnie.

— Nie mogę na to pytanie odpowiedzieć, moje dziecko. Ojca panienki nie znam, ale też nie mam powodu, aby nie wierzyć zapewnieniom tego życzliwego mi człowieka. Jestem jednak przekonany, że señorita nie jest wtajemniczona w zbrodnicze plany ojca.

— Istotnie nic o nich nie wiem, señor. Babka moja również nic o nich nie wie.

— Kochasz swoją babcię?

— O bardzo, señor! Nawet bardziej niż ojca.

— A mimo to użyłaś jej imienia, aby mnie zwabić do waszej chaty.

— Tak mi kazał ojciec i musiałam to uczynić, bo inaczej źle by ze mną było.

— Tak czy owak, moja panno, odegrałaś swoją rolę znakomicie. Masz chyba wielkie zdolności aktorskie.

— Dios! To z przyzwyczajenia...

Zdziwienie jej utwierdziło mnie w przekonaniu o jej niewinności. Że prędzej czy później spotka ją nieszczęście — w to nie wątpiłem. Cóż jednak mogłem dla niej uczynić?

Księżyc świecił jasno i w jego blasku stojący na uboczu domek wyglądał dziwnie tajemniczo.

— Sądzi pan — odezwała się dziewczyna — że ci ludzie, którzy nas zatrzymali, zrobią memu ojcu coś złego?

— Nic nie wiem. Ale nie mają oni najmniejszego powodu, aby obchodzić się z nim łagodnie.

— Muszę więc ostrzec ludzi, znajdujących się w chacie.

To rzekłszy, wymknęła mi się i zaczęła uciekać, ale w kilku susach dogoniłem ją i chwyciłem za rękę.

— Powoli, panienko! — rzekłem. — Nie powinniśmy się rozstawać tak nagle i bez pożegnania. To nieładnie z twojej strony, bo świadczy o niewdzięczności za okazaną ci opiekę.

Westchnęła głęboko, ale nic na to nie odpowiedziała.

Gdy zbliżyliśmy się do chaty, we drzwiach ukazał się jakiś człowiek. Stał na progu z ukrytą za plecami lampą. Na głowie miał chustkę jak każdy gaucho. Twarzy znajdującej się w cieniu nie widziałem dokładnie.

— No nareszcie jesteś! — rzekł ponuro. — Babcia myślała, że nie doczeka się lekarstwa...

— To ty, wuju? — zapytała zdziwiona. — Co tu robisz o tak późnej porze?

— Niepokoiłem się o chorą... Ale... widzę, że nie jesteś sama. Od kiedy to moja pieszczoszka pozwala mężczyznom odprowadzać się do domu po nocy?

— Napadł mnie jakiś rabuś i na szczęście ten señor mnie obronił. Poproś go do chaty, aby mu babcia osobiście za to podziękowała.

„Pieszczoszka” odgrywała swoją rolę tak, jak ją nauczono, chociaż wiedziała dobrze, że na nic się to nie zda. Widocznie nie potrafiła wymyślić nic innego.

— Owszem — odrzekł wuj. — Proszę, señor, do chaty! Jesteśmy ci wdzięczni z całego serca...

Ustąpił na bok, by zrobić dla nas przejście, i w tej chwili strumień światła padł na jego twarz. Poznałem draba, z którym niedawno miałem niemiłe dla niego spotkanie. Teraz zmienił głos, a chustka na kapeluszu, zawiązana pod brodą, nadawała jego sylwetce zupełnie inny charakter.

— Dziękuję, señor — odrzekłem. — Nie chcę sprawiać kłopotu o tak późnej porze. Odprowadziłem señoritę aż do drzwi mieszkania, bo jej to przyrzekłem. Straciłem na to trochę czasu i teraz muszę się śpieszyć do domu.

— Ale na momencik może pan przecie...

— No, dobrze, ale tylko na sekundę, by pozdrowić chorą. Czy jest jeszcze ktoś w domu?

— Tylko mój ojciec i brat, więcej nikogo. Musi pan z nami wypić szklaneczkę wina, zanim nadejdzie ojciec señority. Prawda, że to miła dziewczyna? Raczy pan wejść, señor...

Prosił tak serdecznie i z tak uprzejmym naleganiem, że niepodobna było się oprzeć. Ociągałem się tylko dlatego, że wiedziałem przecież, co to wszystko znaczy.

Nagle odezwał się ktoś za moimi plecami:

— Proszę, niech pan wejdzie bez wahania. Poczciwy wujaszek zawsze rad gościom, toteż spędzi pan tu przyjemnie czas. Ja idę również... Proszę!

Był to Monteso. Drab jednak zapytał go zalękniony:

— Jeszcze jeden? Kim jesteś, señor?

— Towarzysz ojca, który wrócił natychmiast po wyjściu — odrzekł *yerbatero*. — Proszę, chodźmy do chaty!

Popchnął mnie lekko, a ja señoritę, która, odtrąciwszy draba, wprowadziła nas do izby. Znalazszy się tu, sięgnąłem przede wszystkim do kieszeni, by mieć pod ręką nóż, który niedawno odebrałem owemu napastnikowi koło domku organisty. Należało przygotować się na najgorsze, gdyż nawet sam *yerbatero*, którego jeszcze właściwie nie znałem, budził pewną nieufność. Jego zachowanie nasuwało mi myśl, że mógł on należeć do tej samej bandy. Podejrzanie to jednak rozwiało się, kiedy spostrzegłem pięciu innych zbieraczy *mate*, którzy weszli za nami z nożami w rękach.

Chata składała się z dwóch pomieszczeń. Do drugiego z nich drzwi były jednak zamknięte. Zamiast okien domek miał tylko otwory bez ram i bez szyb. W kącie na stołku siedziała staruszka, która wyglądała na zaniepokojoną obecnością tylu obcych ludzi. Na ziemi leżały maty słomiane i stał nieduży stół. Poza tym nie było tu żadnych sprzętów.

Nie tylko babcia, ale i „wujek”, zobaczywszy tak liczne towarzystwo, zaniepokoił się i zaczął krzyknąć:

— Coście za jedni? Czego tu chcecie? Kto wam pozwolił wejść?

— Sami sobie pozwoliliśmy — odrzekł Monteso. — Ten señor zaopiekował się señoritą, a my opiekujemy się nim, w ten sposób mamy ze sobą pewien związek, i dlatego weszliśmy tutaj wszyscy. Ale gdzie jest kochany ojczulek i syn jego zacny?

— Zapewne tam — rzekła żywo dziewczyna, wskazując drzwi do drugiego pomieszczenia. — Zaraz poproszę ich tutaj.

— Owszem, bardzo chętnie poznam wasze zacne towarzystwo.

Gdy dziewczyna weszła do przyległej izby, *yerbaterzy* stanęli u drzwi i okien, a staruszka wylekniona, milcząc, patrzyła na nas z ukosa. Mauricio Monteso, spojrzawszy niedowierzająco na draba, zapytał:

— Zdaje mi się, señor, że myśmy się dziś widzieli... Niedaleko biura señora Tupida...

— Być może... przechodziłem tamtędy...

— Nie. Stał pan, oczekując na kogoś. A potem dłuższy czas tkwił pan naprzeciw cukierni, następnie przeszedłszy się po ulicach, zatrzymał się pan przed katedrą.

— Co pana obchodzi moja przechadzka?

— O, nawet bardzo, señor. Przede wszystkim jednak interesuje mnie to, co pan robił dzisiejszego wieczora. Wydaje mi się dziwne, że ten właśnie señor — tu wskazał na mnie — spędził cały czas... przed panem, no, a jeszcze dziwniejsze, że gdzie tylko pan się ruszył, tam postępowałem ja ze swoimi towarzyszami...

— Wybaczenie, ale ja z wami nie chcę mieć nic wspólnego.

— Tak, ale my z panem pragnęliśmy się poznać. Niestety, popełniliśmy błąd i nie poszliśmy za panem aż pod sam domek organisty. Zresztą i tak się panu nie udało, bo nasz señor nie kiep i umie sam się bronić. Potem, gdy bawił u Tupida, przyszedł pan tutaj, by omówić z mieszkańcami tego miłego domku pewną sprawę, a ja, nie zauważony, stałem za oknem i wszystko słyszałem...

— Nic a nic nie rozumiem — odrzekł drab, blednąc.

— Mniejsza o to! My za to rozumiemy wszystko.

— Mój panie, ja znalazłem się w tej chacie dzisiaj po raz pierwszy. Przyszedłem dopiero przed chwilą. Proszę zapytać o to gospodarza, gdy wróci.

— On już wrócił i właśnie pytaliśmy go o to. Leży na dworze związany lassem. Wyznał nam wszystko.

— Głupiec!

— Och, gdyby tak panu przytknięto koniec noża do piersi, to zdaje się, że i pan nie postąpiłby inaczej. Z nami nie ma żartów.

— Co to jest? Co to za napaść?! Zawołałam policję, aby was zatrzymała...

— Owszem, proszę bardzo! Ale nie uczyni pan tego, bo stosunki między wami nie układają się najlepiej.

— Mnie się zdaje, że znasz ten przedmiot — wtrąciłem, pokazując drabowi jego własny nóż. — Może zaprzeczysz?

— Dajcie mi spokój! — odparł. — Podobnego noża nigdy nie widziałem. Teraz dopiero zauważyłem na jego czole spuchnięte od stłuczenia miejsce.

— A gdzie to señor nabił sobie tak okazałego guza? — zapytałem, wskazując opuchliznę. — Czy przypadkiem nie uderzył się pan o mur domu organisty, gdy ja...

— Troszcz się pan o swoje własne oblicze, na które nie zamieniłbym się z panem — odparł gburowato. — Zresztą nie ma pan prawa indagować mnie ani mi rozkazywać! Marsz za drzwi w tej chwili, jeśli pan nie chce, abym go stąd wyrzucił!

— Cóż się stało? Przed chwilą zapraszał mnie pan tak uprzejmie.

— Bo widziałem w panu caballera. Teraz jednak przekonałem się o swojej pomyłce. Proszę nie myśleć, że się pana boję! Nie jestem tu sam i zawołałam o pomoc... — I otworzywszy drzwi do przyległej izby, krzyknął: — Chodź tutaj, pate, bo mamy gości, którzy chcieliby się przekonać, jak silne mamy pięści i jak ostre noże!

Lecz zamiast ojca wyszła z izby señorita i oznajmiła z tajemniczym uśmiechem, że obaj znajdujący się tam mężczyźni już dawno umknęli przez otwór okienny, bo się przełękli *yerbaterów*.

— Tchórze! — huknął drab. — Uciekli jak zające, zostawiając mnie samego! Ale ja mimo to nie boję się nikogo... Na bok! Kto mnie tknie, przebiję go natychmiast!

I z nożem w ręku zwrócił się ku drzwiom.

Cofnąłem się, ustępując mu miejsca, a gdy mnie wyminął, chwyciłem go za ramiona, jeden zaś z *yerbaterów* w okamgnieniu zarzucił na niego lasso. Drab na razie próbował się uwolnić, lecz daremnie, więc począł krzyczeć, miotając obelgami, wobec czego *yerbaterzy* zatkali mu usta jego chustą z kapelusza.

Podczas gdy myśmy się tym zajmowali, niewinna i dobrodusznna señorita, korzystając z zamieszania, wysunęła się razem ze staruszką z chaty. Nie chcąc mieć z nimi kłopotu, nie czyniliśmy im przeszkód.

— No, mamy już jednego draba! — odezwał się Monteso — Dawajcie tu tamtych!

Dwu *yerbaterów* wybiegło z chaty, lecz po chwili jeden z nich wrócił strapiony:

— Uciekł gałgan! Nie ma go przed chatą! — oznajmił.

— Jakim cudem?! Przecież związaliśmy go jak barana i leżał jeszcze przed chwilą pod oknami.

— To pewnie sprawka tych, co uciekli tamtędy — zauważyłem. — Najpierw ulotnił się ojciec z synem, a teraz te dwie niewiasty... Przy sposobności zaś oswobodzili jeńca.

— Do stu tysięcy diabłów! Czyżby naprawdę wszyscy wymknęli się nam bezkarnie? Szkoda było mego lassa... Oto skutki naszej nieostrożności! Ale mamy przynajmniej tego łotra, herszta całej bandy. Zapłaci za wszystkich. Co z nim zrobimy, señor?

Ostatnie pytanie skierowane było do mnie.

— Hm! — wzruszyłem ramionami. — Sam nie wiem... Nie znam tutejszych praw ani zwyczajów, więc i sędzią być nie mogę...

— Kto by tu myślał o sędziach czy o policji! Przysporzyłoby to nam tylko niepotrzebnego kłopotu. Musielibyśmy pozostać w mieście, jako świadkowie, aż do ukończenia procesu i kto wie, czy ci złoczyńcy nie sprzątnęliby nas tymczasem. Może nawet władzom przyszłaby ochota pozamykać i nas dla pewności, abyśmy przed czasem nie opuścili miasta. O, ja znam dobrze tutejsze stosunki! Lepiej więc będzie, gdy załatwimy sprawę sami, bez oglądania się na to, co powie władza i ustawa. My tu sami sobie tworzymy paragrafy. W dziewiczych lasach i w pampach jest zwyczaj, że każdego mordercę i rabusia unieszkodliwia się w sposób krótki i prosty, pakuje mu się kulę w łeb... i po krzyku. Tak też zrobimy i teraz.

— Nie, panowie! Ja się na to nie zgadzam! — rzekłem.

— Dlaczego?

— Bo nie chcę być sędzią ani katem tego człowieka...

— My też od pana tego nie wymagamy, zrobimy to na swoją odpowiedzialność.

— Do tego nie macie prawa, bo ten drab zawinił wobec mnie, a nie wobec was.

— Caramba! Gonię łotra przez całe popołudnie zziajany jak pies, fatyguję swoich towarzyszy, udaje mi się udaremnić morderstwo... i w końcu wszystko to ma ujść łotrowi na sucho? Czy słyszał kto coś podobnego! Wyświadczył mi pan wielką przysługę, tym samym stał się pan moim przyjacielem, a jeżeli ktoś mojemu przyjacielowi wyrządzi krzywdę lub dybie na jego życie, staje się moim wrogiem. Takie przynajmniej pojęcia i zwyczaje panują wśród *yerbaterów*. Chciano pana zamordować, to tak samo, jakby usiłowano zamordować mnie, mam więc prawo ukarać za to złoczyńcę.

— Gdybym istotnie padł był ofiarą, wówczas miałby pan prawo mnie pomścić. Ponieważ jednak żyję i nic mi się dotychczas nie stało, śmiem prosić, abyście draba puścili wolno!

— Widać, że pan przyjechał ze starego kraju... Czy u was, señor, mordercy otrzymują ordery lub legie honorowe? Jeżeli puścimy złoczyńcę, to on uczyni wszystko, aby się zemścić na panu za to, że mu się teraz nie udało!

— A niech spróbuje! Znam jego zamiary i dlatego właśnie nie boję się go wcale. Zresztą możecie mu odmierzyć na grzbiecie kilka kijów, aby wyznał, kto nakłonił go do zamachu na mnie.

— Dobrze, señor, postaramy się wydobyć z niego tę wiadomość. Ile mu wyliczyć?

— Tyle, ile trzeba będzie, aby zaczął mówić. A jak już powie wszystko, puście go, i niech mi zejdzie z oczu!

Wyszedłem z chaty, by nie być świadkiem dotkliwej egzekucji, a po dziesięciu minutach wróciłem. Drab leżał na ziemi na środku izby, pokrwawiony, a mimo to powitał mnie szyderczym uśmiechem. Nie przyznał się do niczego, a podczas egzekucji nie krzyczał nawet.

— Co robić, señor? — zagadnął Monteso. — Nie wydobyliśmy z niego nic, a gdybyśmy ponowili próbę, wyzionie ducha.

— Dosyć mu będzie tej porcji! Zostawcie go; i tak przecież wiemy, kto był jego zleceniodawcą.

— A może zgasić światło i zacząć się, żeby pochwycić mieszkańców tej chaty?

— Nie zależy mi na nich.

— A niechże pana z tą pańską łagodnością! — zaśmiał się Monteso. — Ale skoro pan tak chce, chodźmy.

Wyszliśmy, zamknęliśmy chatę, klucz od drzwi rzucił któryś w trawę, po czym skierowaliśmy się ku miastu. Przez drogę *yerbaterzy* milczeli, widać niezbyt zadowoleni, że zbagatelizowałem całą tę sprawę. Dopiero gdy znaleźliśmy się na bruku miejskim, Monteso zapytał:

— Pójdzie pan do swego hotelu, czy może zechce nas pan zaszczyścić i wypić razem z nami szklanekę wina? Bylibyśmy bardzo zobowiązani.

Przyjąłem tę propozycję, gdyż nie mogłem odmówić ludziom, którzy ocalili mi życie. Poszedłem więc z nimi w jedną z bocznych ulic i wkrótce zatrzymaliśmy się przed nędznym domem, w którym mieścił się zwykły, brudny szynk. Przez otwarte drzwi wydobywał się z wnętrza gęsty dym papierosów i cygar oraz gwar rozbawionych gości. Już żałowałem w myśli swego kroku i chciałem się cofnąć, ale Monteso minął szynk i, wprowadziwszy nas na podwórze domu, zapukał do drzwi kuchennych. Otworzyła je jakaś zgrabna kobieta i ukłoniła się z wyszukaną uprzejmością.

— Czy otwarte na górze? — zapytał Monteso.

— Otwarte. Jest tam kilku tylko gości. Usługuje moja siostra.

— Wejdziemy więc i proszę się postarać o to, by nam niczego nie brakowało.

Powiedział to tak wyniośle, jakby od dzieciństwa przyzwyczajony był do wydawania rozkazów.

Niewiasta ukłoniła się znowu jak przed wielkim panem i weszliśmy po schodach na górę.

W przedpokoju spostrzegliśmy kilka kapeluszy i lasek umieszczonych na wytwornych wieszakach. Monteso odchylił pluszową portierę i weszliśmy do elegancko urządzonego saloniku. Lustra, żyrandole, dywany, plusze... jednym słowem niezwykła dla mnie niespodzianka. Na marmurowych stolikach stały butelki z winem rozmaitego gatunku. Dość powiedzieć, że salonik przypominał najwytworniejsze tego rodzaju lokale w pierwszorzędnym hotelach europejskich.

Powitała nas bardzo uprzejmie, wyszedłszy zza bufetu, młoda dziewczyna. Jacyś czterej eleganccy panowie, siedzący przy najbliższym stoliku, skinęli nam przyjaźnie głowami, a jeden z nich podał rękę naszemu przewodnikowi.

I w takich to „szynkach” bywali *yerbaterzy*! Wszyscy byli ubrani jednakowo, jak Monteso, a więc prawie w łachmany, i byli na bosaka! Ich brody, wąsy i fryzury wyglądały tak, jakby nie myli się i nie czesali od miesięcy.

Dziwiło mnie to wszystko, ale nie dałem tego po sobie poznać.

Monteso zaprosił nas do jednego ze stołów w samym kącie saloniku i podszedł do bufetu złożyć zamówienie. Zaraz też dziewczyna zabrała z naszego stołu butelki, przykryła go obrusem i ustawiła nową... baterię. Na butelkach ze zdziwieniem zauważyłem etykiety: „Chateau Yquem”, „Latour blanche” i „Haut Brion”. Jeżeli to były wina prawdziwe, oryginalne, to ceny ich nie pasowały chyba do kieszeni bosych gości.

Monteso usiadł naprzeciw mnie, skłonił głową uprzejmie i rzekł:

— Nie spuszczałem dziś pana z oka przez całe popołudnie i wiem, że nie spożył pan jeszcze wieczery. U Tupida bawił pan krótko, z czego wnioskuję, że nie korzystał pan u niego z przyjęcia. Śmiem tedy prosić, by był pan naszym gościem i zjadł z nami razem kolację. Oczywiście możemy służyć tylko tym, na co stać biednych *yerbaterów*, gdy przyjadą do miasta.

— Widać to — zaśmiałem się, wskazując butelki z winami. — Jeżeli i potrawy, które spożywacie, odpowiadają tym napojom, to chciałbym sam zostać... *yerbaterem*.

— Bo też istotnie nie jest z nami tak źle, jakby kto sądził z pozorów. Mam nadzieję, że pozna pan bliżej nasze życie i jeszcze niejedną raz spotkamy się przy stole.

Odkorkował kilka butelek, napełnił szklanki i trącił się z nami „za pomyślność nowo zawartej znajomości”. Po chwili zaś wydobyl z zanadrza grubo wypchany portfel i, wyjąwszy zeń banknoty, rzekł:

— Pozwoli pan łaskawie, że mu oddam zaciągnięty dziś dług. Wprawdzie zobowiązałem się zwrócić go dopiero po upływie roku, ale ponieważ, pożyczając od pana pieniądze, wcale ich nie potrzebowałem i tylko pozwoliłem sobie na żart, który mi pan zechce wybaczyć, więc chyba mogę pominąć umówione warunki. Nie jestem bowiem wcale tak ubogi, jakim się panu wydałem. Gdyby jednak nie to mylne o mnie mniemanie, nie poznałbym pańskiej szlachetności i nie zaprzyjaźnilibyśmy się ze sobą, co mi przynosi niemały zaszczyt. Może tam, w starym

kraju, jest wielu ludzi szczerych i dobrych, u nas jednak są oni rzadkością. Dlatego to, poznawszy pana, od razu przylgnąłem do niego całym sercem i opowiedziałem o nim swoim towarzyszom, którzy podobnie jak ja są panem zachwyceni.

Słuchałem tego wyznania z ukrywanym zdziwieniem, ale muszę przyznać, że wszystko to nie mieściło mi się w głowie. Więc też zapytałem mimowolnie:

— Ależ, señor, jeżeli nie jest pan w potrzebie i posiada pan stanowisko tak niezależne, to dlaczego zachowywał się pan wobec tego pyszałka Tupida z taką uległością. Czy szło istotnie o tę kwotę, której żądał od pana?

— Ech, nie señor. Chciałem go tylko podejść. Jesteśmy ludźmi uczciwymi i nigdy nie oszukujemy tego, kto z nami postępuje szczerze. Gdy płacą nam za robotę uczciwie, my też uczciwie wywiązujemy się ze swego zadania. Ów Tupido jednak jest oszustem i szachrajem jakich mało, więc odpłacamy mu pięknym za nadobne i przy każdej okazji naciągamy go, na ile się da. Próbką herbaty, którą mu dostarczyliśmy, była znakomita, ale cała partia dostawionego towaru to najzwyczajniejsza... trawa. Zakradliśmy się w nocy do jego składów i poprzemienialiśmy mu wszystkie bele...

— Ależ to oszustwo, señor!

— Oszustwo! Nie zna pan tutejszych poglądów na tego rodzaju sprawy i gdyby nie był pan Europejczykiem, uważalibyśmy się za obrażonych i żądali satysfakcji. My tu inaczej rozumiemy. Bo czyż można nazwać kradzieżą potajemne odebranie złodziejowi tego, co on mi ukraść?

— Mnie się zdaje, że w tym wypadku sprawiedliwość powinien wymierzyć sąd.

— Dajmy pokój sądowi, bo to się na nic nie zda. Tu jest tak, że gdy na przykład złodziej ukradnie mi sto talarów, a ja go złapię na gorącym uczynku i zaskarżę do sądu, to proces będzie mnie kosztował cztery razy tyle, ile mi ukradziono, nie licząc straty czasu, a mimo to złodziej najczęściej wykręci się z tej sprawy zupełnie bezkarnie. Nasz złodziej uważa się za równego przeciętnemu urzędnikowi. On nigdy nie kradnie, tylko rozmaite rzeczy same w nocy wędrują do jego domu. Biorąc to wszystko pod uwagę, najlepiej samemu wymierzać sprawiedliwość. Tupido oszukał nas bezczelnie, my zaś, zamiast zwracać się o sprawiedliwość do władz, odpłaciliśmy mu taką samą monetą i mamy czyste sumienie. Nie zna pan życia *yerbaterów* i nie wie, ile to trudów i niebezpieczeństw pokonywać trzeba codziennie, aby coś zarobić. Czyż więc możemy poświęcać swoje zdrowie i narażać życie, by pierwszy lepszy szachraj został milionerem?

— Istotnie nie mam pojęcia o owych niebezpieczeństwach, zagrażających waszemu życiu. Nie wiem po prostu, dlaczego zrywanie liści z krzaków *mate* jest rzeczą tak ogromnie trudną i niebezpieczną...

— O, señor, gdyby nie był pan naszym gościem, uśmielibyśmy się z pana. Pan zapewne przypuszcza, że *mate* rośnie na plantacjach, gdzie zbierają ją robotnicy w taki sam sposób jak w ogrodzie. Nieprawdaż?

— Tak przynajmniej sądziłem po przeczytaniu opisów plantacji herbaty w Chinach.

— Domyślałem się tego: Otóż myli się pan zupełnie i chyba powinienem to panu wyjaśnić.

Służąca przyniosła właśnie nakrycie, i to nie byle jakie: prawdziwa sewrska porcelana i srebrne łyżki, noże i widelce. Potem zjawiły się na stole potrawy, podane z wykwinem pierwszorzędných restauracji w wielkim mieście. Oprócz zupy było sześć dań, a na koniec torty i najwspanialsze owoce.

Monteso odgrywał rolę gospodarza z taką miną, jakby co najmniej był właścicielem zamku. Zachowywał się przy tym z galanterią światowca, podsuwał mi raz po raz najlepsze kęski i mówił:

— Prawdziwy *yerbatero* poszukuje herbaty w lasach dziewiczych i w okolicach, gdzie jeszcze stopa ludzka nie stanęła i gdzie na każdym kroku czyha na niego jaguar, puma, aligator lub dziki Indianin. Czy pan nie słyszał o tym?

— Owszem, ale przypuszczałem, że coś podobnego zdarza się tylko wyjątkowo, i chciałbym bardzo dowiedzieć się czegoś bliższego o życiu tych ludzi.

— To wszystko da się streścić w słowach bardzo krótkich. Przede wszystkim *yerbatero* nie wybiera się do puszczy sam. Przedsiębiorca godzi dziesięciu, dwudziestu lub trzydziestu, zaopatruje ich w niezbędne artykuły, jak wódka, tytoń, broń, i daje pewną liczbę wołów na mięso w czasie wyprawy. Oddział *yerbaterów* wybiera następnie spośród siebie dowódcę, którego inni muszą słuchać, i wyrusza do roboty. Kiedy już dotrą do lasów dziewiczych, kierownik ekspedycji oznacza miejsce na szałas i stąd robotnicy, w grupkach po dwóch lub trzech, rozchodzą się w różnych kierunkach. Obłamują małe gałązki *mate* i znoszą je do szałasu. Gdy nazbierają dosyć materiału i zjedzą tyle wołów, że skóry ich wystarczą do opakowania zbiorów, sporządzają w pobliżu szałasu suszarnię. Wysuszoną *mate* pakują w worki ze skóry wołowej, ubijając ją w nich tak mocno, że toból, względnie worek, jest twardy niemal jak kamień i waży ponad sto kilogramów.

— Widzę z tego — rzekłem — że zajęcie *yerbatera* jest podobne do zabiegów poszukiwacza barci w północnej Ameryce.

— Porównanie bardzo trafne. Ale właściwego pojęcia o naszej pracy nabierze pan dopiero wówczas, gdy osobiście pozna te dzikie i niedostępne okolice, w których *mate* rośnie.

— Ja właśnie dlatego całe życie podróżuję, aby poznawać osobliwości i zwyczaje różnych zakątków ziemi. Teraz chciałbym poznać dokładnie pampasy.

— A lasy dziewicze nie nęcą pana?

— Owszem! Interesują mnie również.

— Więc rozporządza pan swoim czasem dowolnie?

— Tak, jestem panem swojego czasu.

— Może wobec tego zechce pan udać się z nami do puszczy na parę tygodni?

— I owszem.

— W takim razie będzie pan miał okazję poznać życie *yerbaterów*. Czy słyszał señor kiedy o Gran Chaco? Okolica to bardzo ciekawa i jeżeli uda się pan z nami, to przedstawię mu *sendadora*, o którym już wspominałem i którego chcę panu polecić na przewodnika w dalszej podróży. Czeka on tam na nas, bo mamy zająć się wspólnie bardzo ważną sprawą.

— Mógłbym się dowiedzieć, co to za sprawa?

— Hm! — mruknął. — Właściwie jest to tajemnica, ale możemy ją panu powierzyć z zastrzeżeniem, że pan nas nie wyśmieje.

— Cóż znowu! Ja, nie znający zupełnie tutejszych zwyczajów, miałbym was wyśmiać?

Monteso spojrział po swoich towarzyszach, a widząc, że kiwiają głowami potakująco, pogładził rozczochraną głowę i rzekł:

— Podobno przebywał pan dłuższy czas wśród Indian na północy i umie się pan obchodzić z koniem oraz z bronią. Dzisiaj zaś zauważyłem, że inteligencją przewyższa pan nas sześciu razem wziętych. Wnoszę stąd, że towarzystwo pańskie byłoby dla nas bardzo korzystne. Zaproponuję panu jedną rzecz, najpierw jednak muszę mieć pewność, że pan z nas nie zakpi i że odpowie zupełnie szczerze.

— Proszę!

— A więc... co by pan uczynił, gdyby znał pan miejsce, w którym ukryto skarb?

— Zwróciłbym na to uwagę jego właścicielowi...

— Właścicielowi, mówi pan? Hm... A gdyby takiego wcale nie było?

— Wówczas zabrałbym skarb dla siebie.

— Czy zna się pan na magii?

— Przesąd! Żadna magia nie istnieje, a gdyby nawet istniała, to wcale jej nie potrzeba do wykrycia skarbu, o którym się wie wszystko.

— Hm... — mruczał dalej, widocznie z przyzwyczajenia. — Jeżeli tak, to tym lepiej dla nas. Jest pan wykształconym, rozumnym człowiekiem i ma pan dar przekonywania ludzi. Chyba

Bóg zesłał nam pana... Znamy miejsce, w którym leży wielki skarb... A właściwie aż dwa miejsca.

— Spieszcie więc tam, panowie, i zabierzcie ów skarb, aby was kto nie ubiegł.

— Hm... gdyby to było takie łatwe... Przyznam się, że czyniłem już poszukiwania, ale nie znając pewnego pisma...

— Chodzi o jakieś pismo?

— Właśnie! Pan, jako uczonec...

— Proszę mnie nie przeceniać — przerwałem. — W jakim języku napisany jest ten dokument?

— W języku Inków, ale literami łacińskimi, w narzeczu zwanym kiczua.

— Zaczyna mnie to naprawdę interesować. Podczas pobytu wśród Indian północnoamerykańskich badałem ich narzecza, a wybierając się do Ameryki Południowej starałem się poznać język Indian tutejszych, zwłaszcza zaś wspomnianego kiczua. Kto ma ten dokument?

— Właśnie ten mój znajomy, którego panu chcę polecić, sendador. Wręczył mu go pewien umierający mnich.

— A dlaczego wręczył właśnie jemu?

— Sendador przeprowadził przez Andy na tę stronę świątobliwego zakonnika, dążącego do klasztoru Dominikanów w Tucuman. Nagle jednak staruszek zachorował i na krótko przed śmiercią powierzył przewodnikowi dokument. Widziałem ten papier. Są na nim dwa rysunki...

— I nie mógł pan przeczytać?

— Nie. Ale sendador, bardziej wykształcony ode mnie, zadał sobie wiele trudu i był pewny, że sprawa się powiedzie. Wziął mnie do spółki, prowadziliśmy razem poszukiwania, niestety jednak zupełnie bezowocne.

— Czy zdradził panu treść pisma?

— Owszem, jeśli sam dobrze ją zrozumiał.

— Ciekaw jestem...

— Ten mnich był bardzo uczonym człowiekiem. Dążył właśnie do Peru, aby tam odcyfrować tajemnicze sznury...

— A! To ciekawe!

— Inkowie nie znali pisma literowego i posługiwali się sznurami. Wiedziałem nawet, jak się one nazywają, ale mi to wyleciało z pamięci.

— *Kipu*?

— Tak... istotnie, *kipu*.

— Każde *kipu* składa się z jednego sznurka, do którego przymocowuje się wiele mniejszych rozmaitej barwy. Ta barwa i grubość każdego z frędzli ma pewne znaczenie.

— Tak samo wyjaśniał mi sendador. Te „dokumenty”, a jest ich podobno wiele, zostały zakopane. Padre znalazł kilka, ślezczał nad nimi długie lata i zdołał wreszcie rozwiązać ich zagadkę. Pewna stara Indianka w podzięce za wyleczenie jej z choroby ofiarowała mu dwa takie *kipu*, które, jak opowiadała, zawierały tajemnicę ukrytego skarbu. Padre odcyfrował te dokumenty, ale tajemnicę zabrał ze sobą do grobu. Co zaś do innych *kipu*, to napisał on całą księgę, ale nie wydał jej drukiem. Staruszek miał zamiar udać się z dwoma *kipu* do dominikanów w Tucuman i tu je przetłumaczyć. Ale, jak wspomniałem, zaskoczyła go w drodze śmierć. W ostatniej chwili oddał rękopis sendadorowi.

— A *kipu* nie?

— Te zostawił w Peru, dokąd miał zamiar powrócić.

— Widocznie przeprował się przez Andy jedynie po to, aby odszukać ów skarb. Powiada pan, że wędrował do dominikanów?

— Tak.

— No, to ten sendador wydaje mi się... podejrzany.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim proszę mi powiedzieć, co pan wie o treści pisma.

— Zaraz to panu powiem. Było dwu Inków, którzy wstawili się zwycięstwami na wyżynach. Oblegli oni raz pewne miasto nad jeziorem, a mieszkańcy w obawie przed rabunkiem złożyli ogromną ilość złota do beczek i spuścili je na dno jeziora. Gdy przyszło do ostatecznej rozprawy, mieszkańcy miasta wyginęli lub rozproszyli się, a skarby ich pozostały na dnie aż do dzisiejszego dnia, gdyż nikt o nich nic nie wie. Mówią o tych skarbach jedynie owe *kipu*.

— W jaki sposób zdołano wydobyć te *kipu* z miasta?

— Niektórzy z mieszkańców zdołali uciec w góry, tam urządzili sobie nową siedzibę i wmurowali *kipu* w skały. Niestety, zwycięzcy wytropili ich niebawem i pomordowali. Nie wszyscy jednak zginęli; jeden z nich był tylko oszołomiony i po jakimś czasie odzyskał przytomność. Nie widząc już wrogów, udał się na miejsce zburzonej siedziby i tu, w znanej sobie skrytce, odnalazł frędzle. Nie wiadomo, dlaczego z nich nie skorzystał. Może nie znał się na tego rodzaju piśmie albo inna jakaś zaszła przeszkoda, dosyć, że drogocenny przedmiot przekazał w spadku swoim następcom, aż trafił on wreszcie do wspomnianej kobiety, która wręczyła go mnichowi.

— Jeżeli to nie jest bajką, to chyba nie ma już bajek na świecie.

— Więc pan mi nie wierzy?

— Owszem, wierzę panu, ale wątpię, aby to, co panu opowiedziano, było prawdą.

— Sendador chyba mnie nie okłamał.

— Nie przeczę również i temu, ale on też mógł być mylnie poinformowany. Przede wszystkim w całej tej sprawie jest wiele rzeczy nieprawdopodobnych, a poza tym podejrzewam sendadora, jak to już wspomniałem przed chwilą.

— Podejrzewa pan mego starego, poczciwego przyjaciela? Gdyby go señor znał osobiście, na pewno zmieniłby o nim zdanie.

— Bardzo to pięknie, że pan broni swego przyjaciela, lecz ja niestety muszę wyznać, że mam podstawy, by go podejrzewać. Czy sendador znał mnicha, zanim został jego przewodnikiem?

— Nie.

— I nie był też jego krewnym?

— Ani jedno, ani drugie.

— Może więc podczas podróży wyświadczył staruszkowi jakąś przysługę?

— Nie. Ale dlaczego pan o to wszystko pyta? Co to ma wspólnego z frędzlami?

— O, ma pewien związek. Ale proszę mi jeszcze powiedzieć, czy miejsca, w których mają być ukryte skarby, znajdują się w okolicy Tucuman?

— Przeciwnie, są one w zupełnie innej stronie.

— Dlaczego więc pobożny mnich wybrał się do Tucuman, a nie do owych miejsc? Przypna pan zresztą, że przejście przez wysokie i strome Andy jest nie tylko uciążliwe, ale i niebezpieczne, zwłaszcza dla starego człowieka. Jeżeli więc mnich mimo tych trudności, niewygód i niebezpieczeństw zdecydował się przejść góry, to miał zapewne ważny jakiś cel i prawdopodobnie chodziło mu o odszukanie owych skarbów. Być może świątobliwy ten człowiek nie pragnął ich dla siebie, bo tacy ludzie nie cenią zbyt wiele dóbr doczesnych. Przypuszczam, że zamierzał wydobyć te skarby dla kogoś. A w takim razie... jak pan sądzi? Czy owym człowiekiem, któremu staruszek pragnął je przekazać, mógł być sendador?

— Na razie mnich nie miał zapewne zamiaru być dobroczyńcą sendadora...

— Mnie się zdaje, że i później nie zmienił zdania. Sendador nic nie wiedział o skarbie i mnich dopiero przed samą śmiercią mógł mu wyjawić tajemnicę. A nie wyjawił jej dobrowolnie, lecz pod przymusem. Pozostaje teraz pytanie, komu właściwie staruszek miał zamiar przekazać ową tajemnicę, zanim wydarł mu ją sendador?

— Przypuszczam, że dominikanom w Tucuman.

— I ja tak sędę. Bracia zakonni mogli łatwiej dojść po nitce do kłębka niż sendador, bo mają więcej danych do tego, aby odcyfrować *kipu*.

— Ale padre nie miał ich wówczas przy sobie.

— W to nie wierzę.

— Powiedział mi o tym wszystkim mój przyjaciel i nie mam powodu, by wątpić w prawdziwość jego opowieści.

— Natomiast ja mam powody. Skąd pochodził ów padre?

— Tego nie powiedział sendadorowi.

— A gdzie znajdują się jego zbiory naukowe, o których poprzednio pan wspomniał?

— Nie wiadomo.

— Czyżby więc padre umarł, nie wyjawivszy tego wszystkiego? Czy dalej pan uważa, że jest to możliwe, aby mnich zabrał ze sobą rękopis, a pozostawił gdzieś *kipu*? Toż one więcej były warte niż pismo!

— Hm... Istotnie, zaczyna mnie pan przekonywać.

— Jestem pewny, że pański przyjaciel zdobył pismo i *kipu* w sposób nieuczciwy.

— Już panu mówiłem, że padre nie miał *kipu* przy sobie.

— A ja twierdę, że miał i że sendador mu je wydarł. Czy rozumie on kiczua?

— Tak jest.

— Ale nie potrafi rozszyfrować *kipu*?

— Nie.

— Wobec tego nie miały one dla niego żadnej wartości, co więcej, były nawet niebezpieczne, toteż poznawszy tajemnicę z rękopisu, zniszczył *kipu* w obawie, aby nie wpadły w ręce kogoś, kto potrafiłby je odcyfrować i ubiec go w zdobyciu skarbów. Cóż on postanowił zrobić, gdy poszukiwania okazały się daremne?

— Nie myśli z nich zrezygnować.

— I znowu bez skutku...

— A gdyby... On ma zamiar znaleźć kogoś, kto zrozumiałby załączone w rękopisie rysunki, i prosił mnie, abym podczas pobytu w Montevideo rozejrzał się za takim człowiekiem. Zdaje mi się teraz, że go znalazłem.

— Ma pan zapewne mnie na myśli?

— Pana.

— Wobec tego muszę oświadczyć, że się pan myli. Nie mam ani chęci, ani zdolności do wprowadzania w życie waszych zamiarów. Zresztą sprawa ta nie jest czysta. Dlaczego sendador sam nie szuka odpowiedniego człowieka, tylko panu powierza to zadanie? Dlaczego on nie wychyla nawet nosa z dzikich, odwiecznych lasów? Mnie się zdaje, że gdyby się tylko pojawił między ludźmi, zaczęto by go natychmiast podejrzewać. Pan, jako osoba trzecia, może się z tego wywinąć. Ale inaczej byłoby z nim.

— Kiedy się pan z nim zobaczy, wyjaśni on wszelkie pańskie wątpliwości.

— I cóż mi z tego? Co mógłbym wówczas zrobić? Na zawrócenie z drogi byłoby za późno.

— Będzie pan mógł w każdej chwili odłączyć się od nas.

— Dziękuję! I zostać w dzikiej puszczy albo gdzieś na pustyni Gran Chaco!

Monteso wetknął wszystkie palce w zmierzwioną czuprynę i powiedział z zakłopotaniem:

— Widzę, że nie będziemy mieli z pana pociechy! A szkoda! Wielka szkoda! Chyba że pan da się jeszcze przekonać i pojedzie z nami...

— Powtarzam: proszę nie liczyć na mnie w tej sprawie, bo nic wam nie mogę obiecać. Jestem tu obcy, nie znam kraju ani ludzi, nie znam też stosunków tutejszych. Wyobraża pan sobie zapewne, ile to trudności należy pokonać, by odkryć owo miejsce ukryte gdzieś w skale lub na dnie jeziora.

— Skrytkę wśród skał istotnie trudno będzie znaleźć, ale jezioro znamy dobrze. Mimo to nic w nim nie znaleźliśmy.

— Oczywiście. Gdybyście nawet natrafili na to miejsce, w którym skarb zatopiono, to przecież nie wystarczy zanurzyć się i chwycić go w ręce. Aby go wydobyć, trzeba wiadomości, o jakich wy najmniejszego pojęcia nie macie. Nie będę wam tego tłumaczył, bo i tak byście nie zrozumieli. Otóż wiadomości te może posiadać tylko ktoś z tubylców albo jakiś uczony człowiek, który poszukiwaniami tego rodzaju zajmował się przez całe lata. Ja zaś nie tylko pierwszy raz znajduję się w tym kraju, ale i nie jestem uczonym, jak to wam zresztą już oświadczyłem.

— Ech, jakoś się to zrobi! Mam wielkie zaufanie do pana i to mi na razie wystarcza. Do niebezpieczeństw podróży jest pan przyzwyczajony, a właśnie przede wszystkim o to idzie. Nie musi pan zobowiązywać się do niczego. Zresztą... czego ja mógłbym od señora wymagać? Gdybyśmy jednak mogli dojść do porozumienia w tej sprawie, byłoby to zapewne korzystne tak dla nas, jak i dla pana. Zresztą nie ma się nad czym w tej chwili rozwodzić. Już mi pan przyrzekł, że z nami pojedzie.

— I nie odwołuję tego.

— Proszę więc pomyśleć, jakby to było pięknie, gdyby nam się poszczęściło. Zostałby pan od razu milionerem. Oczywiście musimy z góry się umówić, jaką część otrzyma każdy z nas.

— To mnie wcale nie porywa, są bowiem skarby o wiele więcej warte od tych, których poszukujecie, i opowiem wam o nich przy sposobności. Poza tym nie myślę narażać swego życia dla bardzo zwodniczej nadziei zyskania czegokolwiek. Bo kto wie, jak taka afery skończyć się może...

— A zatem nie przyłączy się pan do naszej wyprawy?

— Owszem! Pojadę z wami, nie zobowiązując się jednak do niczego.

— Wspaniale, cudownie! — krzyknął *yerbatero*, a twarz rozpromieniła mu się radością. — Porozumieliśmy się nareszcie!

— Niech pan się tak nie ekscytuje. Nie pociąga mnie wasz skarb, ale podróż razem z wami w dzikie okolice. A że jestem tu zupełnie obcy, uczynię tak jak ów człowiek, który, chcąc prędko nauczyć się pływać, wskoczył w wodę w najgłębszym miejscu. Jeżeli zatem chcecie wziąć mnie ze sobą, pojadę z wami. Ale mam pewne warunki...

— Proszę je wyjawić, a zastosujemy się do nich — rzekł Monteso uradowany, że nareszcie upewnił się, iż będzie im towarzyszył.

Tu dodam nawiasem, że później dopiero przekonałem się o niezwykłej jego dla mnie życzliwości, która z każdym dniem wzrastała, tak że zyskałem prawdziwego i szczerego przyjaciela.

— Właściwie stawiam tylko jeden warunek — odrzekłem. — Kto weźmie udział w wyprawie?

— My wszyscy, jak tu jesteśmy, oraz *sendador*. Co do nas sześciu, których tu pan widzi, señor, to pracujemy razem od wielu lat, zżyliśmy się ze sobą, przyzwyczailiśmy do siebie i ciężko byłoby nam się rozstawać. A może pan być pewien, że są to ludzie dzielni, którym można zaufać i którzy potrafią milczeć, gdy zajdzie tego potrzeba, więc tajemnica nie wyjdzie poza obręb naszego kółka.

— Otóż moje zastrzeżenie tego właśnie dotyczy. Wymagam jak najściślejszej dyskrecji w sprawach, które wskażę. Przyznałem się na przykład wobec was otwarcie, że podejrzewam *sendadora*. W naszym wspólnym interesie leży zatem, aby on się o moich podejrzeniach nie dowiedział. Jeżeli mi to przyrzekniecie, przyłączę się do was.

— Zgoda! Oto moja ręka, señor! A i towarzysze moi potwierdzą tę umowę podaniem dłoni. Uczynili to natychmiast i odtąd stałem się członkiem gromady... *yerbaterów*.

— Dotychczas wszystko poszło dobrze — zauważył Monteso — a reszta ułoży się sama z biegiem czasu. Wypada nam teraz ustalić czas odjazdu i zaopatrzyć się na drogę. Czy będzie pan gotów jutro przed południem?

— Owszem, nawet mi to odpowiada. Ale o jakim zaopatrzeniu pan myśli?

— Musi pan mieć przede wszystkim poncho. Kapelusz, chwalić Boga, ma pan dobry i tylko potrzebny do niego szal, który się wiąże pod brodą w ten sposób, aby podczas jazdy wiatr, odbijając się odeń, chłodził szyję, ramiona i grzbiet. Rano przyjdę do pana i wybierzemy się razem po sprawunki, bo pan sam, nie znając miasta, nie wiedziałby, gdzie co nabyć. Oprócz poncha, będzie panu potrzebna także chiripa.

— Cóż to znowu za dziwoląg?

— To rodzaj koca, który mocuje się z tyłu u pasa i przeciąga przez krocze do przodu. Rzeczą ta jest niezbędna, jeśli się nie chce odparzyć sobie skóry już pierwszego dnia jazdy. Trzeba też kupić spodnie, podobne do tych, jakie nosi gaucho, oraz buty, siodło, strzelbę, łąso, bolę i nóż. Mam nadzieję, że z czasem nauczy się pan władać tutejszą bronią, do której zalicza się właśnie łąso i bola. Ponieważ uważam pana za swego gościa, pozwoli pan, abym sprawunki te poczynił na koszt własny.

— Uprzejmość pańska wzrusza mnie do głębi, ale nie mogę z niej skorzystać, bo przygotowałem już wszystko, co będzie mi potrzebne do podróży. Ubiorę się tak, jak to czyniłem w preriach.

— Ależ, señor, to byłoby ogromnie niepraktyczne. Proszę wziąć pod uwagę różnicę między tamtejszymi a tutejszymi warunkami.

— Jeżeli idzie o ubiór, to różnicy nie ma prawie żadnej. Karabin mam własny i wypróbowany, mam też łąso i bolę. Brakuje mi tylko siodła i... konia!

— Postaram się o jedno i o drugie, señor.

W tej chwili wszedł jakiś nowy gość, pozdrowił uprzejmie obecnych, usiadł przy sąsiednim stoliku i zabrał się skwapliwie do butelki. Ponieważ obrócony był do nas plecami i wsadził nos w gazetę, można było sądzić, że jesteśmy mu zupełnie obojętni i dlatego nie mieliśmy powodu, by zmieniać temat rozmowy.

— Którędy pojedziemy? — spytałem.

— W poprzek Urugwaju i Entre Rios do Parany, a potem rzeką do Corrientes. Tam musimy zboczyć na lewo, w kierunku Chaco.

Pierwszy etap podróży był taki sam, jaki mi doradzał Tupido, i to mnie zastanowiło.

— Dla pana oczywiście podróż ta będzie trochę uciążliwa — ciągnął *yerbatero* — i dlatego będziemy urządzali częstsze i dłuższe postoje, aby pan nie odczuwał zbytniego zmęczenia.

Z tych słów można było sądzić, że Monteso miał mnie za delikatnego i nie przyzwyczajonego do niewygód podróżnika. Postanowiłem więc wyjaśnić tę sprawę:

— Nie krępujcie się mną, panowie... Jeżdżę znakomicie konno i jestem wytrzymały na trudy.

— Wiem, wiem... — uśmiechnął się Monteso. — Pierwszy dzień w takiej podróży mija jako tako, drugiego dnia krwawią nogi, trzeciego tworzą rany, no, i nie pozostaje nic innego, jak tylko położyć się na parę tygodni. Aby być dobrym jeźdźcem, trzeba się urodzić na stepie. Jutro dotrzemy nie dalej jak do San Jose, pojutrze do Perdido, a potem zboczymy do Mercedes, aby wypocząć dni parę w estancji mojego brata. Dalszy plan podróży ułożymy później. Nasza droga będzie prowadziła ku granicy, w okolice bardzo w tych czasach niebezpieczne.

— Mnie się zdaje, że tym nie musimy się martwić, bo co nas obchodzą stosunki polityczne tego kraju?...

— Myli się pan, señor. To nie Europa. Tutaj obcy podróżni muszą szczególnie uważać. Tu może się zdarzyć, że człowiek wyjedzie rano jako wolny, bezpartyjny i niezależny obywatel, a wieczorem już jest żołnierzem i walczy na rzecz stronnictwa, w którego łapy się dostał, a którego sprawy są mu zupełnie obojętne.

— Ale ja jestem obywatelem państwa, które ma tu swoich przedstawicieli i w takim wypadku do nich mogę się zwrócić natychmiast o obronę.

— Natychmiast? No, nie bardzo. Byłby pan pilnowany, a każdy krok samowolny uważano by za dezercję. A gdyby się panu nawet udało ucieczka, to, zanim by pan dotarł do swego

konsula, popuchłyby panu w stepie nogi i zaskoczył głód. Nie można tu liczyć na środki legalne lub gwałtowne, ale jedynie na własną przezorność i ostrożność. Ponieważ jednak będzie pan pod naszą opieką, nie pozwolimy uczynić mu żadnej krzywdy i może się pan czuć zupełnie bezpieczny. No — zakończył — rzecz więc omówiona. A teraz niech sprzątną ze stołu, abyśmy mogli sobie zagrać.

Słowo to podziało na jego towarzyszy jak prąd elektryczny. Natychmiast zerwali się, by pomagać dziewczynie w uprzągnięciu naczyń, po czym Monteso wyjął karty i rzucono na stół pieniądze. Było ich tyle, że mimowolnie odsunąłem się nieco od stołu.

— Proszę się nie odsuwać, señor — rzekł Monteso. — Chyba zagra pan z nami partyjkę?

— Bardzo by mi było miło, ale niestety nie grywam i nie mam najmniejszego pojęcia o kartach.

Monteso spojrział na mnie z niedowierzaniem. W tym kraju wszyscy namiętnie grają w karty, i to o grube stawki. Jeżeli więc ktoś odrzuca zaproszenie do gry, to według tutejszych pojęć popełnia duży nietakt.

— Cóż znowu — zaniepokoił się Monteso — może pan chory?

— Nie, ale bardzo zmęczony. Muszę udać się na spoczynek.

— To pana istotnie usprawiedliwia, tym bardziej że ma pan przed sobą forsowną podróż.

W tej chwili ów niedawno przybyły gość podszedł do moich towarzyszy i oświadczył, że chętnie zagrałby z nimi.

Yerbaterzy z ochotą przyjęli go do swego grona, ja zaś wstałem i sięgnąłem do kieszeni po sakiewkę, by zapłacić swoją część. Spostrzegł to Monteso i obruszył się:

— Co? Pan chce płacić? Ależ to byłaby dla nas obraza. To już rzecz załatwiona i nie ma o czym mówić. Teraz niech pan wypoczywa, bo jutro o dziewiątej będę przed hotelem z koniem i niezbędnymi rzeczami... A może lepiej, żebym pana odprowadził na miejsce, bo... wie pan...

— Dziękuję, señor. Nic mi się nie stanie. Umiem być uważny i przezorny. Buenas noches!

— Dobrej nocy! — odpowiedzieli *yerbaterzy*, podając mi rękę, a Monteso dodał:

— Przyjemnych marzeń o naszym skarbie... Może się panu przyśni jakiś sposób odnalezienia go...

ROZDZIAŁ II U BOLARZY

Na drugi dzień rano wstałem dość wcześnie i, zanim przybył Monteso, przygotowałem się do drogi. Przygotowania te zresztą nie wymagały zbytnich trudów: cały swój majątek wziąłem na siebie, a wypróżnioną walizkę podarowałem kelnerowi, ubranie zaś służącemu hotelowemu. Trochę niezbędnej bielizny i innych drobiazgów zapakowałem do skórzanej torby i byłem gotów.

Kelner, Szwajcar z pochodzenia, otrzymawszy oprócz walizy także suty napiwek, wdał się ze mną w dłuższą rozmowę, chcąc mi się odwdziżyć życzliwymi radami. Chwalił przy tym, że wybieram się w drogę na koniu i z ludźmi doświadczonymi, zamiast jechać dylizansem.

Dylizans tutejszy, jak mi go opisał, jest to ogromny wóz, zawierający przedział dla podróżnych na dziesięć do dwunastu osób i osobną rotundę. Do zaprzęgu używają zwykle siedmiu „rumaków”, wygłodzonych w nielitościwy sposób. Cztery konie zaprzęzione są bezpośrednio do wozu, dwa przed nimi, a jeden na samym przodzie. Na tym pierwszym koniu siedzi jeden z parobków i kieruje całym ekwipażem. Drugi siedzi na jednym koniu z owej czwórki przy samym wozie, trzeci wreszcie galopuje konno obok dylizansu, okładając batem zwierzęta bez względu na to, czy potrzeba, czy nie.

Wysoko na koźle siedzi właściwy woźnica, zwany mayoral, który powinien zajmować się końmi, jednak zazwyczaj nie troszczy się o nie i zupełnie się nie przejmuje, gdy który z nich padnie lub gdy dylizans wysypie pasażerów na step jak gruszki z worka.

Koniom nie daje się nigdy biec truchtem, lecz zmusza się je do ustawicznego galopu, szczególnie zaś w tych miejscach, gdzie droga najgorsza i najtrudniejsza. W ten sposób dylizans odbywa dziennie około piętnastu mil drogi.

Oczywiście mówię tu o „drodze” w przenośni, gdyż właściwie nie ma tu żadnych dróg. Jedzie się na przełaj przez step i, choć nie ma tu kamieni, jest za to mnóstwo wyrw, dołów i osypisk. W ogóle teren jest tego rodzaju, że wóz skacze ustawicznie, grożąc wywróceniem się, i podróżni nie mają chwili spokoju, aby porozmawiać ze sobą lub rozejrzeć się po okolicy.

— Czy to była pańska głowa, señor?

— Nie, señorito, to czyjaś inna.

— Panie, przycisnąłeś mi kolanami piersi!

— A pan depcze mi obcasem nagniotki!

— Czy ubezpieczył się pan na życie, wyruszając w tę podróż?

— Nie, bo nie mam rodziny i obojętne mi, czy złamię kark dziś, czy jutro.

— Szczęśliwy z pana człowiek. A ja mam żonę i dzieci... Od chwili kiedy wsiadłem do tego dylizansu, mam wrażenie, iż w domu zostawiłem wdowę i sieroty...

Takie i tym podobne rozmówki toczą się wśród pasażerów dylizansu, którzy za grube pieniądze narażają się na śmierć lub co najmniej na kalectwo.

Woźnica krzyczy jak opętany, peon na pierwszym koniu wyje, ten na ostatnim piorunuje, czwarty obok klnie i okłada batogiem nędzne szkapy, które robią bokami i gonią resztkami sił. Wśród dzikich wrzasków leci wóz w dół, kędy szumi spieniona rzeka i... buch w wodę w gwałtownym skoku! Częścią z prądem, a w części siłą koni dostaje się wóz na drugi brzeg, gdzie katowanie zwierząt dochodzi do szczytu barbarzyństwa. Nareszcie — hou, prrrr! — trzeba stanąć. Jeden koń padł. Obcinają rzemienie, zdejmują siodło z grzbietu... i jazda dalej!

Pozostawiony koń otwiera szeroko pysk, toczy pianę, robi bokami, a z oczu wyziera mu błagalna prośba o litość, o pomoc... W parę minut później zlatuje się stado drapieżnego ptactwa i szarpie żywcem zakrwawione zwierzę.

W czasie jazdy często widzi się szkielety końskie. Nikt tu bowiem nie troszczy się o te szlachetne stworzenia, gdyż jest ich w tym kraju aż nadto. Szkapę można tu kupić za jakieś dwanaście do piętnastu koron, licząc na nasze pieniądze. Stadnina w ogóle jest tu tak tania, że kośćmi końskimi i tłuszczem pałą w piecach cegielnianych.

W całym kraju nie ma stajen. Konie przebywają na powietrzu bez względu na porę roku i nikt się tym nie przejmuje. Obroku, np. owsa lub kukurydzy, nie znają tu wcale. Koń musi zazwyczaj sam troszczyć się o to, by nie zdechł z głodu. Jedynym dowodem opieki właściciela nad zwierzęciem jest wypalanie mu na skórze specjalnego znaku.

Tubylcy nazywają Urugwaj *Banda oriental*, co znaczy strona wschodnia, i Urugwajczyk bardzo chętnie chwępi się nazwą „oriental”, czyli mieszkaniem wschodu. Kraj graniczy na północy z Brazylią, na zachodzie z rzeką Urugwaj, skąd też jego nazwa, na południu z rzeką La Plata, a na wschodzie z Oceanem Atlantyckim. Powierzchnia kraju jest pofałdowana, wśród licznych wzgórz płynie rzeka Rio Negro, co do wielkości równająca się naszej Odrze. Równoległe z tą rzeką biegnie łańcuch górski, zwany Cuchilo Grandę. „Cuchilo” znaczy po hiszpańsku „nóż” i słowo to bardzo trafnie określa ten łańcuch górski, z lotu ptaka przypominający zwrócone ku niebu ostrze.

Prawie całą powierzchnię Urugwaju, poprzerywaną strumykami płynącymi w różnych kierunkach, stanowi step, zwany pampą, pokryty niezwykle bujną trawą. Drzewa spotyka się tu bardzo rzadko, i to wyłącznie nad brzegami rzek lub potoków; właściwego lasu nie znajdziesz tu wcale.

Nie ma również w Urugwaju wsi w naszym rozumieniu, a tylko większe dobra, które mają charakter dwojaki: w jednych wyłącznie hoduje się bydło i noszą one nazwę estancja, w drugich uprawia rolę, podobnie jak w naszych majątkach ziemskich, i te nazywają się hacjenda. Hacjendy owe, z wybielonymi starannie zabudowaniami, czynią z daleka bardzo miłe wrażenie i ludzą dostatkami. Dopiero z bliska widać, że są to bardzo prymitywne budynki, a nieraz nędzne rudery.

Oprócz wyżej wymienionych dużych majątków są tu jeszcze mniej zamożne, drobniejsze gospodarstwa, czyli folwarki. Zagroda taka, zwana ranczo, zbudowana jest zazwyczaj z nie obrobionego kamienia i pokryta słomą lub trzcina.

Oczywiście w tym stepowym kraju jest ogromna liczba bydła, koni i owiec, które wypasają się całymi stadami pod nadzorem peonów. Wół opasowy, przeznaczony na rzeź, kosztuje bardzo tanio, toteż właściciel mało dba o pojedynczą sztukę i obojętne mu, czy zginie ona z głodu, czy też ją peon zamęczy. „Orientale” wyśmiałby naszego włościanina, gdyby widział jego troskę o inwentarz.

Okolo godziny dziewiętej doszedł moich uszu tętent kopyt końskich na ulicy. Wychyliłem się przez okno i ujrzałem wjeżdżających w podwórze hotelu *yerbaterów*. Byli w komplecie i wyglądali niezwykle oryginalnie. Ubrani w łachmany, siedzieli na koniach również nie świadczących o dostatku. Były to po prostu chude, pokaleczone szkapy. Za to miały na sobie siodła i uzdy ozdobione bogato srebrnymi świecidełkami, piórami i dzwonekami, a grzywy i ogony posplatane barwnymi wstążkami jedwabnymi. Jeźdźcy mieli u bosych nóg... srebrne ostrogi nadzwyczajnych rozmiarów. Jak często ostrogi te były w użyciu, świadczyły najlepiej rany na bokach zwierząt.

Zdobienie koni jest w Ameryce Południowej powszechnym zwyczajem, więc i *yerbaterzy* stosują się do niego. Nawet najbiedniejszy z nich, który się jeszcze nie dorobił, marzy o tym, aby po ukończeniu pracy w puszczy kupić w mieście jak najbogatszy rząd dla swego konia, i żaden nie szczędzi na to ciężko zapracowanego grosza. Dlatego to spotyka się w tym kraju jeźdźców, którzy sami wyglądają jak nędzarze, ale siodła, uzdy, strzemiona i inne części rzędu końskiego warte są kilka razy więcej niż sam koń.

To jedna „słabość” *yerbaterów*.

Poza tym lubią oni grać hazardowo i pić aż do utraty ostatniego grosza. Gdy zaś im zabraknie pieniędzy, sprzedają cały swój ruchomy majątek, to jest konia z bogatym rzędem, i wędrują z powrotem do puszczy, aby pracować ciężko przez kilka miesięcy z tą myślą, że znów nadejdą szczęśliwe chwile, gdy będą mogli ponownie paradować na koniach po ulicach Montevideo, Assuncion albo Corrientes. A to, że moi towarzysze, wyruszając do pracy w puszczy, mieli jeszcze konie i rzędy, świadczyło tylko o ich szczególnej zamożności.

Señor Mauricio Monteso, przybywszy przed hotel na czele swych towarzyszy, zsiadł z konia i po chwili wszedł do mego pokoju. Zaledwie jednak spojrzął na mnie, ogromne zdziwienie odmalowało się na jego twarzy i nawet nie usłyszał mego pozdrowienia ani nie spostrzegł ręki, którą wyciągnąłem na powitanie. Stał chwilę w progu jak wryty z otwartymi szeroko ustami.

— Cóż to? Nie chce się pan ze mną przywitać? — spytałem po chwili. — Zdaje mi się, że pan mnie zna... Widzieliśmy się przecież wczoraj.

— Do licha! — ledwie wykrztusił i zamilkł znowu.

— Co pana tak wytrąciło z równowagi? — zagadnąłem ponownie, zaczynając się również dziwić zachowaniu *yerbatera*.

Monteso postąpił na środek pokoju, zamknął za sobą drzwi, po czym wziął mnie za rękę, podprowadził do okna, obejrzał od stóp do głów i... wybuchnął głośnym, niepohamowanym śmiechem.

— Co się z panem stało? Kto pana tak ubrał? A może to przypadkiem karnawał mamy teraz i wybiera się pan na maskaradę...

Domyśliłem się oczywiście, że to mój strój tak go zdziwił i doprowadził do tego wybuchu wesołości. Pozwoliłem mu się wyśmiać, czekałem, aż się uspokoi. *Yerbatero* odszedł ode mnie parę kroków, złożył ręce w trąbki i, przyłożywszy je do oczu, patrzył na mnie znowu przez chwilę niby przez lornetę. W końcu zapytał:

— Proszę mi powiedzieć, ale szczerze, kto z nas jest wariatem, ja czy pan?

Na takie odezwanie się uważałem za właściwe przybrać bardzo poważną minę, nie chciałem bowiem, aby się ze mną tak spoufalał, i odrzekłem:

— Z pewnością... pan! Kiedy zobaczyłem pana po raz pierwszy, też byłem zdziwiony pańskim ubraniem, a jednak nie pozwoliłem sobie na żarty i nie nazwałem pana wariatem...

Słowa moje poskutkowały natychmiast. Monteso zaczął się usprawiedliwiać:

— Proszę mi wybaczyć, señor. Nie miałem wcale zamiaru obrazić pana. Sam jednak chyba pan przyzna, że w ubiorze tym wygląda pan arcykomicznie...

— Nie wydaje mi się. O wiele komiczniejszy widok przedstawia bosa jeździec, który, wybierając się w dziewicze lasy, zdobi swego konia świecidełkami, a sam nie ma na sobie całych portek ani kurtki. Jeżeli zresztą uważa pan, że jestem śmieszny i mogłoby to pana również narazić na śmieszność, to proszę się rozejrzeć za innym towarzyszem...

— Ależ najserdeczniej pana przepraszam — usprawiedliwiał się skonfundowany. — Nie rozumiem jednak, na co się panu przyda w podróży to skórzane ubranie...

— Takie ubranie nosi w Ameryce Północnej każdy porządny wędrowiec.

— Ba, ale pan jest w tej chwili w Ameryce Południowej. A to zupełnie co innego.

— Panu się zdaje, że na północy musi być zimno, a na południu gorąco, nieprawdaż? Proszę zatem posłuchać. Na równiku mamy klimat najgorętszy, lecz im dalej od równika ku północy lub południowi, tym jest chłodniej. Obecnie znajdujemy się czterdzieści stopni od równika na południe i mamy taki sam klimat jak w tej samej odległości od niego na północy. Byłem zresztą dalej na południu i nosiłem skórzane ubranie.

— Tego zupełnie nie rozumiem.

— Wyjaśnię to inaczej. W tym kraju są gorące dni a zimne noce. Wyprawiona skóra jest złym przewodnikiem ciepła, czego nie można powiedzieć o materiale waszych ubrań. Otóż ja w dzień nie będę się pocił, a w nocy nie zmarznę tak jak wy.

— Niby wygląda to na rzecz praktyczną.

— W tutejszym klimacie często padają deszcze. A skóra ta, wyprawiona na sposób indiański, nie przepuszcza wody. Nie czepiają się też jej w leśnych gąszczach gałęzie, podczas gdy wasze ubrania zahaczają o nie i drą się na strzępy. Niech pan zresztą zobaczy, jak to ubranie przylega do ciała. Nie dostanie się pod nie ani komar, ani żaden inny owad. A wasze ubranie chroni was dostatecznie przed tym?

— O señor — westchnął — skóra moja już po kilku dniach pracy pocięta jest raz koło razu.

— A zatem widzi pan, że nie było z czego śmiać się tak bardzo.

— Słusznie. Ale... niech się pan nie gniewa... mimo tych wszystkich zalet ubranie to krępuje pana w ruchach. A wygląda pan jak nurek... Te zaś buty olbrzymie...

To mówiąc, obmacał rękoma cholewy, sięgające mi powyżej kolan.

— Te buty — rzekłem — są bardzo praktyczne. Ani mnie nie ukąsi wąż, ani w wodzie nóg nie przemoczę, gdy mi się zdarzy jechać przez rzekę głęboką aż po siodło.

— A z czego zrobione jest to ubranie?

— Spodnie uszyte są z wyprawionej na sposób indiański skóry łosia, a bluza ze skóry bydlęcej. Jest ona tak cienka i lekka jak wełniana koszula, a przy tym nie drze się i można ją prać. Kurtka zaś wykonana jest z takiej skóry, którą wyprawia się cały rok. Mimo iż cienka nie przejdzie przez nią najostriejsza strzała.

— O, to ważne, bo kto wie, czy nie będziemy mieli do czynienia z mieszkającymi w okolicach Gran Chaco Indianami, którzy posługują się zatrutymi strzałami. Niech taki patyk zadraśnie tylko skórę, a człek w ciągu kilku godzin umiera. Widzę teraz, że nie miałem racji, krytykując pański strój... Ale jeszcze jedno mnie zastanawia: pan nie ma ostróg.

— Mam je w kieszeni i wkładam tylko w razie potrzeby.

— Ależ to niemożliwe. Żaden tutejszy koń nie pobiegnie, jeśli się go nie zmusi do tego ostrogami.

— Ba, konie się zawsze narowią, gdy się nadużywa ostróg. Przyzwyczajają się do nich szybko i wreszcie nic sobie z nich nie robią. Ja całymi tygodniami jeździłem na koniu bez ostróg i było dobrze. Nie używając ich, a właściwie nie nadużywając, wystarczy lekko tylko pocisnąć konia piętami, a omal ze skóry nie wyskoczy.

Monteso nie był przygotowany na tego rodzaju lekcję, że zaś każdy jego zarzut zbijałem natychmiast dobrze umotywowanym argumentem, więc pogodził się wreszcie ze wszystkim i już w milczeniu przypatrywał się moim rewolwerom, karabinom, zawartości pasa. Ja natomiast ciekawy byłem przeznaczonego dla mnie konia, więc wyjrzałem przez okno, a zobaczywszy wśród *yerbaterów* jedną wolną szkapę, pokaleczoną i, zdaje się, ślepa, zapytałem:

— Czy to koń dla mnie?

— Tak, señor. Wybrałem jak najspokojniejszego i posłusznego.

— Za ten wybór, niestety, nie mogę być wdzięczny, podobnie jak za te ozdoby o krzyczących kolorach. Nie lubię tego i proszę to zaraz usunąć. Niech zostanie tylko siodło!

— Trzeba zostawić przynajmniej koc — perswadował. — Pan nie wie, jaka to przykra sprawa, gdy się skórę odparzy...

— Nie. Proszę i koc zabrać.

Monteso wyszedł, wzruszając ramionami, a zbliżywszy się do towarzyszy, mówił im coś przez chwilę — zapewne ostrzegał, by się ze mnie nie śmiali. Gdy następnie poprowadził mojego konia parę kroków, spostrzegłem, że marne to stworzenie kuleje na jedną nogę.

Aha! — pomyślałem — uważają mnie za tak lichego jeźdźcę, iż wybrali mi kulawe zwierzę!

— Señor! — zawołałem przez okno — temu koniowi brakuje coś w nodze...

— Trochę tylko... to nic nie szkodzi.

— Przepraszani, wcale nie trochę.

— Jak pan będzie na siodle, to nic nie odczuje.

— Ależ ja na tę kalekę wcale nie mam ochoty wsiadać...

Zamknąłem okno i wyszedłem zobaczyć się z gospodarzem. Należał on do tych wyjątkowych ludzi, którzy trzymają swoje konie w stajni. Wcześniej już spostrzegłem u niego kilka rośłych rumaków, z których jeden podobał mi się szczególnie. Po długich ceregielach i targach udało mi się wreszcie kupić tego konia. Zapłaciłem za niego stosunkowo drogo, ale wolałem mieć dobrego wierzchowca i przyzwyczaić się do niego, niż wziąć byle jakiego i co kilkanaście mil rozglądać się za innym.

Kupiony koń należał do najprzedniejszej rasy, liczył cztery lata i odznaczał się nie tylko wspaniałym wyglądem, ale i ogromną nerwowością, co zresztą nie było dziwne, bo niedawno dopiero wyrwano go z dziko prawie żyjącego stada. *Yerbaterzy* oglądali go z podziwem i niejako trwogą, a Monteso zauważył:

— Co panu z takiego dzikusa, skoro nawet wsiąść na niego będzie trudno. Trzeba prowadzić go luzem ze dwa dni, aby się dobrze zmęczył, i dopiero wtedy spróbować jazdy.

— O, tak — potwierdził gospodarz. — Będzie pan miał z nim niemały kłopot.

— Tak pan sądzi? — rzekłem. — Szkoda, że nie mam siodła... A może pan odstąpiłby mi jedno ze swoich. Wisi ich kilka pod daszkiem.

— Owszem, sprzedam panu jedno. Proszę sobie wybrać. Zapłaciwszy żadaną kwotę, obmyśliłem sposób okiełznania butnego zwierzęcia, które ani przez chwilę nie pozostawało w spokoju. Cała czeladź hotelowa wyległa na dziedziniec popatrzeć, jak sobie z nim poradzę, tym bardziej że peon, zmęczony już i spocony, nie mógł nic zrobić, bo koń wierzgał nogami na wszystkie strony. Przyniesiono więc lasso. Koń jednak, zobaczywszy je, stał się jeszcze bardziej niespokojny i za każdym razem wywijał się z zarzuconej pętlicy w sposób godny podziwu.

Monteso pokpiwał sobie z nieudolności parobków, twierdząc, że nie potrafią posługiwać się lassem, ale gdy sam spróbował, też mu się nie powiodło.

— Musi pan użyć boli — rzekł do mnie — bo koń chyba ma diabła w sobie. Jeżeli mu się powrozem boli nie oplącze tylnych nóg, nie wsiądzie się na niego.

— Tak pan sądzi? A mnie się zdaje, że lasso zupełnie wystarczy. Jeżeli oczywiście umie nim ktoś władać.

Monteso popatrzył na mnie jak prawdziwy rachmistrz na żaka szkolnego, który śmie stanąć z nim w zawody w pamięciowym obliczeniu pierwiastka trzeciego stopnia z kilkunastocyfrowej liczby.

— To brzmi bardzo ładnie — zaśmiał się po chwili. — Ale proszę spróbować. Zobaczmy, czy to się panu uda.

Nic na to nie rzekłszy, zwinąłem lasso, zbliżyłem się do konia i uczyniłem ruch, jakbym chciał zarzucić mu pętlę na szyję. Wiedziałem, że koń swoim zwyczajem szarpnie się w bok, co się też stało. Rzuciłem pętlę i... trafiła, a zwierzę, obiegłszy raz dokoła mnie, musiało wreszcie stanąć, bo pętlica zaciskała mu się na szyi, tamując oddech. Wówczas podszedłem do rumaka i wskoczyłem na jego grzbiet, rozluźniając jednocześnie ramię, by koń się nie udusił. Teraz zdenerwowanie wierzchowca doszło do ostatnich granic i różnymi sposobami usiłował mnie zrzucić. Ja jednak byłem na to przygotowany i ostatecznie zwyciężyłem jego opór. Gdy mi się poddał całkowicie, zeskoczyłem z grzbietu i posłałem po swoje rzeczy na górę, a sam nałożyłem koniowi uzdę i siodło. Monteso, stojąc z boku, patrzył uśmiechnięty i kiwał głową. Wreszcie rzekł do mnie:

— No, no! Z pana nie byle jaki jeździec...

— A co do lassa?

— Co do lassa... to umie pan rzucać nim wybornie. Widzę, że nie będzie z panem kłopotów w podróży.

— Dziękuję za łaskawe uznanie i mam nadzieję, że nie tylko nie sprawię panom kłopotów, ale okażę się im potrzebny. Wsiadajmy więc i jazda!

Zabrawszy swoje rzeczy na konia, wskoczyłem na siodło i wyjechałem na ulicę, żegnany głębokimi ukłonami gospodarza i całej służby. Widocznie zwycięstwo moje nad koniem i fakt, że nie dałem się zrzucić z grzbietu, wzbudziły prawdziwy szacunek otoczenia.

Pierwszym człowiekiem, którego zobaczyłem na ulicy, był señor Esquilo Anibal Andaro, ten sam, który wczoraj nasłał mi na kark mordercę. Stał przed bramą domu po drugiej stronie ulicy i zdawało mi się, że przybył tu wyłącznie po to, by być świadkiem mojego odjazdu. Zauważyłem, że patrzył na mnie wzrokiem zjadliwym, z wyrazem tryumfu, jakby chciał powiedzieć: „Nie udało mi się wczoraj, ale zastawiłem na ciebie inną sieć, w którą wpaść musisz niechybnie”.

Gdy *yerbaterzy*, wyjechawszy z podwórza, zgromadzili się koło mnie, Andaro przesunął się w poprzek ulicy tuż przed głową mojego konia i rzekł szyderczo:

— Szczęśliwej podróży, señor!

Oczywiście nic na to nie odrzekłem, udając, że nie tylko go nie słyszę, ale nawet nie widzę. Monteso jednak, człowiek górskiej krwi, spiął swoją szkapę i najechał na eleganta, powalając go na ziemię. Andaro, podniósłszy się, począł nas kląć na czym świat stoi, nie żałując grubiaństw i gardła. My zaś puściliśmy się klusem przez miasto.

— Szkoda, że mój koń nie zgniótł na śmierć tego gałgana — mówił Monteso. — Bardzo mu źle patrzyło z oczu i gdybyśmy pozostali dłużej, moglibyśmy mieć poważne kłopoty.

— Bez wątpienia — odrzekłem. — A nawet jestem pewien, że już uknuł coś przeciwko nam i możemy po drodze wpaść w zasadzkę.

— Ba, ale co on może nam zrobić? Najwyżej wyśle Platnego draba, aby strzelił do pana z ukrycia.

— To bardzo możliwe. Pojedziemy przez las?

— Przez las? Tu lasów nie ma, a drzewa można zobaczyć jedynie w pobliżu domów, rozrzuconych tu i ówdzie wśród stepu, i gdzieś nad potokami mizerne krzaki.

— Więc możliwą zasadzkę łatwo byłoby zauważyć z daleka?

— Rozumie się. A zresztą ilekroć tylko teren będzie nierówny, moich dwóch towarzyszy pojedzie przodem. Poza tym grono nasze powiększyło się, bo jedzie z nami pewien señor, który w drodze niejednokrotnie przydać się nam może.

— Jakże to? Pozwolił pan przyłączyć się do nas komuś, nie uzgodniwszy tego ze mną?

— No, tak, bo byłem pewny, że pan się temu nie sprzeciwi — odrzekł z pewnym odcieniem zarozumiałości.

— A jednak mógł mnie pan zapytać o zdanie, wiedząc, jak ogromne ma dla mnie znaczenie to, z kim jadę w tak daleką podróż.

— Proszę jednak pamiętać, że ja jestem kierownikiem naszej małej, że tak powiem, karawany.

— Przepraszam! Ja nie uznaję żadnego kierownictwa, bo uważam, że każdy ma swoją wolę i swoje prawa. Może pan zresztą kierować swoimi towarzyszami w pralesie podczas zbierania maty. Ja jednak, nie będąc *yerbaterem*, nie muszę uznawać pana za swego przywódcę i w ogóle, gdyby mi proponowano, abym się miał stosować do czyichś rozkazów, wolałbym już jechać sam.

Zastrzegłem się umyślnie, by potem Monteso nie zechciał mi rozkazywać. Był on bezsprzecznie człowiekiem dzielnym i uczciwym, ale nie mogłem się zgodzić na to, aby się uważał za mego zwierzchnika, gdyż wiedziałem z praktyki, że ludzie o jego pokroju pozwalają sobie zazwyczaj na więcej, niż im wypada.

Słowa moje sprawiły, że się zmiygotował.

— Źle mnie pan zrozumiał — odparł szybko. — Nie mam ochoty rozkazywać panu i wiem dobrze, że pan nie zgodziłby się na to. Nie mam też zamiaru uważać się za pańskiego zwierzchnika. Jeżeli coś radzę, to jedynie z dobrego serca i troski o pana...

— Przeciw temu oczywiście nic mieć nie mogę.

- A że ów caballero pojedzie z nami, to też nie jest powód, by pan gniewał się na mnie.
- A więc nie jest to zwykły obywatel, lecz caballero?
- O, to człowiek bardzo wykształcony... wyższy urzędnik policji.
- W takim razie nie mam nic przeciwko temu, jeżeli jest on rzeczywiście urzędnikiem policji.
- Dlaczego mielibyśmy w to wątpić? I z jakiego powodu miałby mnie okłamywać?
- Z tych słów wnioskuję, że pan go właściwie nie zna.
- O, znam go, i to nawet bardzo dobrze.
- Od kiedy?
- Od kiedy? — powtórzył zakłopotany. — No... od wczoraj.
- Więc to nazywa pan dobrą znajomością?
- Cóż w tym dziwnego? Pan zna go również. Proszę sobie przypomnieć tego człowieka, który wczoraj przysiadł się do nas w restauracji...
- A, to ten? — mruknąłem.
- Zamilkliśmy.
- O czym pan myśli? — zapytał mnie po chwili.
- O tym, że ów caballero jest za młody na wyższego urzędnika.
- Zdaje się panu. U nas robi się karierę bardzo szybko i nieraz jeszcze spotka się pan z młodszymi nawet ludźmi na wysokich stanowiskach. Odrzucimy jednak przedwczesne podejrzenia. Spodziewam się, że będzie on dla pana miłym towarzyszem podróży, gdyż bardzo się uradował, usłyszawszy, że będzie miał okazję zetknąć się bliżej z Europejczykiem.
- Gdzie on jest obecnie? Może wstąpimy po niego po drodze?
- Nie. Pojechał wcześniej i spotkamy się z nim dopiero za miastem.
- W tym jest coś podejrzanego. Urzędnik na wyższym stanowisku nie czyniłby znajomości ukradkiem. Dlaczego nie przybył do hotelu przedstawić mi się lub nie prosił, abyśmy po niego wstąpili do domu? Czy wie pan przynajmniej, gdzie on mieszka?
- Nie wiem.
- To może zna pan chociaż jego nazwisko?
- Nazywa się Carrera.
- Brzmi ono nie najgorzej i miejmy nadzieję, że odpowiada charakterowi człowieka, który je nosi. Gdybyśmy zajechali przed jego dom, to...
- Urwałem nagle i, zatrzymawszy konia, obmacałem wszystkie kieszenie...
- Ach, señor, co za niedołęga ze mnie! — rzekłem. — Nie mam sakiewki z pieniędzmi! Została pewnie w hotelu...
- Nic się jeszcze nie stało — uspokajał mnie Monteso. — W tak krótkim czasie nikt jej nie mógł sprzątnąć. Poślę jednego z moich towarzyszy...
- Nie! Wolę sam wrócić. Mam konia szybszego, więc wkrótce was dopędzę.
- I nie czekając na odpowiedź ruszyłem galopem, ale nie do hotelu, bo pieniądze miałem przy sobie, lecz do biura policji, które się znajdowało w pobliżu katedry. Przybywszy na miejsce, uwiązałem konia do sztachet i kazałem się zaprowadzić do najwyższego z obecnych urzędników, który zdziwił się ogromnie moim szczególnym wyglądem. Przedstawiłem mu się i zapytałem, czy istnieje komisarz policji nazwiskiem Carrera.
- Nie, señor, nie znam takiego — odrzekł. — Prawdopodobnie się pan przesłyszał.
- O, nie. Człowiek o tym nazwisku oświadczył mi najwyraźniej, że jest komisarzem policji.
- To chyba żartował z pana.
- W takim razie należałoby zainteresować się tym żartem, bo obawiam się, że jakiś kryminalista, podszywając się pod urzędnika państwowego, knuje coś przeciwko mnie.
- Ha, skoro pan tak myśli, muszę istotnie zająć się tą sprawą. Proszę, niech pan siądzie.

Wskazał mi krzesło, po czym zasiadł przy biurku, wyjął kilka arkuszy papieru, pomacał pióro w kałamarzu i rzekł:

— Przede wszystkim poda pan swoje imię i nazwisko, wiek, narodowość, miejsce urodzenia, stan, źródło utrzymania, powody, dla których pan podróżuje, i inne niezbędne informacje. Proszę odpowiadać na moje pytania.

— Na miłość boską! — krzyknąłem, zrywając się z krzesła. — Czyżby to miało być formalne przesłuchanie?

— Rozumie się. Bez tego niepodobna nic zacząć.

— Ależ ja przybyłem tylko po to, by się dowiedzieć, czy istnieje urzędnik nazwiskiem Carrera, nic więcej.

— O, to już bardzo wiele. Czy ma pan jakieś podstawy do podejrzeń, iż człowiek ów żywi względem pana niecne zamiary?

— Oczywiście. Wczoraj dwukrotnie usiłowano mnie zabić. A dzisiaj, kiedy już byłem w drodze do Mercedes, dowiedziałem się, że w mojej grupie ma jechać młody, nie znany mi człowiek, który podaje się za komisarza policji. Człowieka tego właśnie podejrzewam...

— Co też pan mówi? Dwa zamachy na pańskie życie, a my nic o tym nie wiemy? Nie pojedzie pan do Mercedes, lecz zostanie tutaj jako świadek.

— Jak długo?

— Nie wiem. Być może, że nawet kilka miesięcy.

— Dziękuję! Nie mam tyle czasu. Chciałbym tylko, aby policja uwolniła mnie od towarzystwa człowieka, który podszywa się pod czyjeś nazwisko i przywłaszcza sobie tytuł urzędnika.

— No, dobrze. Ale musi pan złożyć odpowiednie doniesienie.

— Czuję to właśnie w tej chwili.

— Ba, ale nie ma pan chęci dopełnić formalności. Tak czy owak muszę zadać panu wspomniane pytania.

— I odpowiedzi wciągnąć do protokołu?

— Tak... Potem wyślę z panem dwóch agentów, aby aresztowali owego podejrzanego człowieka i sprowadzili go razem z panem.

— A potem?

— Załatwię formalności i oddam sprawę sądowi karnemu.

— Będzie zatem przeprowadzone śledztwo i odbędzie się proces?

— To oczywiste.

— I jak długo potrwa to wszystko?

— Powiedziałem już panu, że może nawet kilka miesięcy.

— Wobec tego muszę oświadczyć panu, że to mi nie odpowiada i nie mam innego wyjścia, jak jechać do Mercedes. Bardzo mi przykro, że pana niepotrzebnie trzymałem. Żegnam!

— Proszę zaczekać, señor! — krzyczał urzędnik. — Pan nie może oddalić się bez załatwienia formalności i stwierdzenia, że...

Nie słyszałem dalszych wywodów, gdyż byłem już za drzwiami. Urzędnik jednak wypadł za mną i wołał:

— Usiłowano pana dwukrotnie... zamordować i widzę się zmuszonym...

Coś mówił jeszcze, biegnąc za mną aż na dziedziniec. Ja zaś odwiązałem konia i, wskoczywszy na siodło, skierowałem się na ulicę.

— Zatrzymać go! — wołał, wyciągając ramiona, jakby chciał mnie pochwycić. — Zatrzymać i zamknąć na tak długo, dopóki...

Dalej już nie słyszałem ani słowa, bo koń mój, wystraszony tym krzykiem, poniósł mnie galopem przez ulice miasta, co mi zresztą było na rękę, gdyż nie miałem najmniejszej ochoty wkleść się w proces i tracić z tego powodu kilku miesięcy.

Rzecz prosta, aresztowania nie obawiałem się wcale, gdyż umiałbym sobie w takim wypadku poradzić... Niechby się tylko o to pokuszono...

W kilka minut okrążyłem zatokę i wyjechałem za miasto, gdzie *yerbaterzy* oczekiwali mnie niecierpliwie. Gdy się do nich zbliżyłem, Monteso rzekł:

— No, nareszcie jesteś, señor! Obawialiśmy się, że pan zbłądził... Są pieniądze?

— Są. A gdzie ów towarzysz, który ma jechać z nami? Miał przecież czekać na nas za miastem.

— Widocznie pojechał trochę dalej. Czy pan nie będzie dla niego uprzejmy?

— Będę zachowywał się tak samo jak wy.

— Cieszy mnie to bardzo. Pan nie wie, jaki on jest grzeczny i uprzejmy. Z krwi i kości... caballero.

— Nic dziwnego, jest przecież komisarzem policji.

Powiedziałem to tonem nieco sarkastycznym, co nie uszło uwagi *yerbatera*, zapytał więc:

— Czyżby pan jeszcze mu nie dowierzał?

— Uczynię panu tę przyjemność i wstrzymam się od wyrażania swoich wątpliwości.

— Doskonale! Przekona się pan, jaki to miły człowiek. Opowiadał nam bardzo ciekawe zdarzenia z własnej praktyki kryminalnej i podziwialiśmy go. On wielokrotnie ryzykował nawet życie...

Ujechaliśmy niebawem tak daleko, że miasto zupełnie zniknęło nam z oczu. Od czasu do czasu przejeżdżaliśmy jeszcze obok uprawnych poletek, obwiedzionych dla ochrony przed bydłem żywopłotami z wysokich kaktusów i agaw. Mimo to krajobraz miał już charakter stepowy, właściwy całej tej krainie. Był to obszar falisty, pokryty trawą wysokości stopy, we wgłębieniach zaś karłowatymi krzakami, jeśli w ogóle nazwać je tak można. Na obszarze tym widać było nieprzeliczone stada bydła, koni, a miejscami owiec.

Przed nami w pewnym oddaleniu jechał konno jakiś człowiek, co jakiś czas oglądający się za siebie. Spostrzegłszy nas, zatrzymał się i czekał bez ruchu. Poznałem natychmiast owego „caballero”, który wczoraj w restauracji przysiadł się do *yerbaterów*.

Miał na sobie szerokie spodnie z jasno niebieskiego sukna i z tego samego materiału kurtkę, przepasaną białą szarfą, w której tkwił nóż i pistolet. Karabin przymocowany był do siodła.

— Dzień dobry panu! Nareszcie jesteśmy razem — zagadnął Monteso z daleka. — Przedstawiam panu tego oto Europejczyka, o którym wczoraj opowiadałem.

Jeździec nic na to nie odrzekł, lecz zwrócił się do mnie z uprzejmym ukłonem:

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana. Czy pan pozwoli łaskawie przyłączyć się do szanownego jego towarzystwa?

— Z ludźmi zacnymi i uczciwymi przestaję bardzo chętnie — powiedziałem dość chłodno.

— Cieszy mnie to i mam nadzieję, że wkrótce będziemy serdecznymi przyjaciółmi — odrzekł, podając mi rękę.

Domniemany mój wróg liczył najwyżej lat trzydzieści. W twarzy jego nie mogłem dopatrzeć się ani odwagi, ani nawet zuchwałości; wyglądał raczej na skrytego tchórza, zdolnego posługiwać się jedynie podstępem.

Wyprzedziliśmy nieco naszą kawalkadę, przy czym *yerbaterzy*, widocznie z grzeczności, by nie przeszkadzać nam w rozmowie, i przez szacunek dla nas, jako ludzi wykształconych oraz stojących wyżej od nich pod względem towarzyskim, trzymali się za nami w pewnej odległości. Jadąc zatem we dwójkę, zamienialiśmy od czasu do czasu słów kilka. Ale wkrótce zorientowałem się, że mojemu towarzyszowi niewiele zależy na rozmowie, bo przeważnie milczał, zapewne w obawie, aby się nie zdradzić jakimś prostackim słowem.

Monteso, choć obiecywał poprzednio, że wyśle naprzód dwóch towarzyszy w charakterze straży przedniej, nie uczynił tego dotychczas. Zresztą równina, przez którą jechaliśmy, była zupełnie otwarta, toteż uważałem, że byłoby to zbyteczne. Okolica interesowała mnie, mimo swej jednostajności, a fałszywy komisarz policji był najwidoczniej zadowolony, że nie

zwracałem na niego uwagi. Konie nasze szły wybornie, gdyż droga nie była uciążliwa, i tylko miałem trochę kłopotu z moim gniadoszem, którego musiałem trzymać mocno w cuglach.

Przed południem natrafiliśmy na małe pagórki pokryte tu i ówdzie odłamami skał. Wzgórza te przechodziły później w łańcuch Cuchilla, przez który mieliśmy się przeprawiać.

Po jakiejś godzinie ujrzelśmy po prawej ręce zamieszkaną miejscowość, której nazwy dziś sobie nie przypominam. Na skraju osady stał okazały budynek, który Monteso nazwał stacją pocztową. Można było zresztą domyślić się tego z licznych śladów kół, zbiegających się tutaj niemal ze wszystkich stron.

Zatrzymaliśmy się przed owym domem, aby się pokrzepić.

Gdy zajęliśmy miejsca na ławce pod ścianą na zewnątrz domu, Carrera wszedł do środka i po chwili wyniósł trzy butelki wina, którym częstował *yerbaterów*. Ja również zostałem poczęstowany i, choć odmówić mi nie wypadało, rewanżować się nie miałem zamiaru.

Niedaleko stacji pocztowej płynęła niewielka rzeczka. Aczkolwiek brzegi jej były dość strome, przejeżdżano przez nią wozami, o czym świadczyły wgłębienia od kół w miękkim gruncie.

W jaki sposób odbywa się taka przeprawa, miałem okazję przekonać się niebawem.

Wsiadaliśmy już na konie, by ruszyć w dalszą drogę, gdy nagle dobiegły do nas hałaśliwe głosy ludzkie, coś jakby podczas polowania z nagonką, a wkrótce ukazał się na przebytych przez nas szlaku typowy, opisany już poprzednio, dyliżans.

Woźnica i trzej peoni niemiłosiernie walili szkapy batogami i zdawało się, że olbrzymi wehikuł za chwilę rozleci się w kawałki. Podróżni, siedzący wewnątrz pudła i na platformie na wierzchu, krzyczeli wniebogłosy, domagając się wolniejszej jazdy, lecz daremnie. Parobcy, klnąc, krzycząc i wyjąc, pognali jak wściekli w kierunku rzeczki i przejechali przez nią w takim galopie, że woda wystąpiła falą na obie jej strony, a na przeciwnym brzegu szkapy popadały na kolana.

No, podróżować w ten sposób... dziękuję! — pomyślałem. — Wolałbym już wlec się na ślepej i kulawej szkapie.

Za chwilę ruszyliśmy i my przez tę rzeczkę, w której woda sięgała koniom po tułów, a gdy znaleźliśmy się na drugim brzegu, *yerbaterzy* postanowili dogonić wehikuł i ruszyli pełnym galopem. Zauważyli to parobcy i popędzili swoje szkapy jeszcze energiczniej, co sprawiło, że dyliżans, podskakujący na nierównościach gruntu, zaczął chwiać się gwałtownie i przechylać niemal ku ziemi to na jedną, to na drugą stronę. Starłem się powstrzymać *yerbaterów*, nawoływałem, by zaniechali niemądrego wyścigu, lecz nie odniosło to skutku. Pozostałem więc daleko za nimi, przygotowany na to, że prędzej czy później będę świadkiem katastrofy.

Niebawem spostrzegłem w dali brzegi krętego potoku. Niewątpliwie widzieli tę przeszkodę i parobcy od dyliżansu. Jednak, pomimo grożącego niebezpieczeństwa, ze zdwojoną energią poczęli okładać szkapy batogami. W pełnym galopie wjechano do wody, po czym na drugim brzegu powtórzyła się. Ta sama scena jak po przebyciu poprzedniej rzeczki. Ale tym razem... stało się. Wehikuł runął całym ciężarem na bok, omal nie przygniatając *yerbaterów*, którzy przebyli potok jednocześnie z dyliżansem. Trzej podróżni z platformy oraz woźnica polecili daleko w trawę, jakby wystrzeleni z procy, przedni koń padł razem z parobkiem, padł również jeden ze środkowych, przy czym rzemienie upręży porwały się lub poplątały.

Tu należy dodać, że uprzęż w tym kraju jest bardzo prymitywna, składa się bowiem z jednego tylko rzemienia w rodzaju szlei, oczywiście bez chomąta. Gdy szkapa padnie na drodze, to zdejmuje się z niej tę szleję... i sprawa skończona.

Pospieszyłem na miejsce wypadku, gdzie powstał zgielk, pisk i chaos nie do opisania. Konie, parobcy i podróżni leżeli kupą na ziemi, wierzgając nogami i wymachując rękoma. Gorzej jednak było tym, którzy znajdowali się wewnątrz wywróconego pudła, na kształt śledzi w beczce, w pozycji godnej szczerzego współczucia. Krzyczeli oni wszyscy, nie mogąc

wydobyć się ze środka, a nad wrzaskiem ogólnym górował jeden przeraźliwy głos kobiecy, powtarzający bez przerwy:

— Mój kapelusz! Mój kapelusz!

— Niech diabli porwą pani kapelusz! — odrzyknął na to jakiś mężczyzna. — Przydeptała mi pani żebra.

— Jestem ranny! Ratujcie mnie! — błagał ktoś drugi.

Zeskoczyłem z siodła i, trzymając jedną ręką swego konia za uzdę, drugą otworzyłem drzwiczki, które były teraz w takiej pozycji jak wieko skrzyni. Szyby były pobite i kawałki poleciały zapewne do środka między zbitą masę podróżnych.

Najpierw wylaźł jakiś człowiek ze złamaną ręką; tak przynajmniej można było przypuszczać, bo nie mógł nią poruszać i wrzeszczał z bólu na całe gardło. Potem wyciągnąłem jakiegoś wyrostka, a następnie przyszła kolej na pokaźnego grubasa, którego nie mogłem wydostać z pudła i dopiero Monteso pomógł mi go wydobyć na światło dzienne.

— Mój kapelusz! Mój kapelusz! — brzmiał ciągle jeszcze donośny głos z wnętrza dylizansu. — Niech się pan nie rusza, bo mi się do reszty kapelusz połamie!

— Co mnie obchodzi pani kapelusz! Proszę mnie puścić! Mężczyzna, który gniewnym głosem wypowiedział te słowa, wylaźł niebawem ze środka, a po chwili spostrzegłem dwa wysunięte przez otwór ramiona kobiece i rozwichrzoną fryzurę, zasłaniającą twarz i usta, z których wciąż wybiegały rozpaczliwe krzyki: „Mój kapelusz! Mój kapelusz!”...

— Proszę tylko wydostać się ze środka, señora! — rzekłem, biorąc ją za rękę.

— Och, señor! Co za nieszczęście! Najnowszy fason paryski! Kupiłam go wczoraj w Montevideo...

Głos jej brzmiał tak żałośnie, jakby tu szło o stratę ukochanego dziecka. Odrzuciła jedną ręką włosy z twarzy i zobaczyłem na niej krew. Widocznie niewiasta pokaleczyła się szkłem.

— Niechże pani ratuje przede wszystkim siebie — perswadowałem. — Kapeluszowi nic się nie stanie.

Wydobyłem ją prawie przemocą, lecz to nic nie pomogło, bo wpakowała się zaraz na powrót do środka, by zabrać swój „paryski fason”. Wreszcie wydostawszy się z nim na wierzch, poczęła zawodzić jęklawie:

— Co za nieszczęście! Pudełko całe pogięte! Jak wobec tego musi wyglądać sam kapelusz...

Lecz nie ona jedna lamentowała rozgłośnie. Wszyscy krzyczeli i jęczeli wniebogłose. Jedni klęli woźnicę, drudzy parobków, inni znowu pasażerów. Podróżni grozili parobkom wytoczeniem procesu o odszkodowanie i nawiązkę, ci znowu czynili im wyrzuty, że właśnie z powodu ich krzyku stało się nieszczęście i że zaskarżą ich o odszkodowanie za konie i wehikuł. Nawet by chyba doszło do krwawej bójki między jedną stroną a drugą, gdyby *yerbaterzy* nie rozdzielili rozwścieczonych.

O wóz i o konie nie troszczył się nikt, więc i nikt dotąd nie zauważył, że prawe koła przednie i tylne połamały się niemal w kawałki. Gdy to wreszcie dostrzegł woźnica i oznajmił, że dalsza jazda jest niemożliwa, bo minie wiele czasu, nim te koła się jakoś rzemieniami powiąże, znów podróżni podnieśli niesłychany zgiełk, przy czym najgłośniej lamentowała wysoka, chuda dama. Pochylona nad pudłem z kapeluszem wołała teraz:

— Ja się na to nie zgadzam! Ja tu nie mogę czekać! — I przystąpiwszy do woźnicy, spytała płaczącym tonem: — Czy naprawdę nie możemy dalej jechać?

— Przecież pani sama widzi, że koła pogruchotane. Musimy zawlec jakoś wóz do Santa Lucia i tam dopiero może znajdziemy inny.

— Może! Może znajdziemy! Ja nie mogę polegać na waszym „może” i rozkazuję, byście natychmiast znaleźli nowy dylizans i jechali dalej!

— Widzi pani, że to niemożliwe.

— Ja nic nie widzę! Ja nie chcę nic widzieć! Żądam tylko, byśmy natychmiast ruszyli dalej! A wiecie, kto ja jestem?

— Pochlebiam sobie, że widziałem señorę nieraz — rzekł woźnica. — Ale na pytanie to odpowiedzieć, niestety, nie umiem!

— Jestem siostrą burmistrza w San Jose, nazywam się señora Rixio, a mój mąż należy do najpoważniejszych kupców w mieście... Rozumiecie?

Woźnica skinął głową potakująco.

— Muszę bezwarunkowo być dzisiaj w domu — ciągnęła dalej. — Bo właśnie dziś wieczorem ma się odbyć u mnie wielkie zebranie towarzyskie, tertulia, na którą zaproszony jest kwiat naszego towarzystwa. Nie mogę więc zaniedbać obowiązku pani domu, tym bardziej że jestem duszą i królową życia towarzyskiego w naszym mieście. Musicie to uwzględnić i nie narażać mnie na nieprzyjemności! Jazda więc, i to w tej chwili!

„Królowa życia towarzyskiego” powiedziała to z taką mocą, że w zwykłych okolicznościach byłby wykluczony jakikolwiek opór. Inni podróżni, uspokojeni nareszcie, otoczyli wojowniczą damę, pewni, że ona załatwi sprawę za wszystkich. Ale mayoral kiwał głową i, wskazując połamane koła, mruzczał pod nosem:

— Żądaniu temu zadośćuczynić nie mogę i pani rada nierada musi się pogodzić z losem.

— Ani mi się śni! Specjalnie jeździłam do Montevideo po kapelusz, by go mieć na tertulię, a wy każecie mi tu siedzieć! Nie... Za żadną cenę... Do licha! — krzyknęła jeszcze bardziej podniesionym głosem. — Najmodniejszy fason paryski leży na ziemi zmarnowany! Wasz dyliżans nic mnie nie obchodzi i niech się nawet w drobne trzaski połamie... Ale mój kapelusz, mój kapelusz! Tyle mnie kosztował i na nic! Ja chyba zwariuję, gdy otworzę futerał!

Pobiegła na miejsce, gdzie leżało pudło, ja zaś wyprzedziłem ją szarmancko, by jej je podać.

Żaden artysta-malarz nie mógłby odtworzyć wyrazu jej oblicza, gdy patrzyła na pudełko, pomięte ze wszystkich stron. Nigdy jeszcze nie widziałem kobiety z wyrazem takiej bólesci na twarzy...

Próbowała otworzyć pudło, ale w żaden sposób nie mogła tego uczynić, ze złością więc odrzuciła je od siebie, skarżąc się płaczącym głosem:

— Nawet nie mogę zobaczyć, co się z nim stało. Przepadło wszystko i kto mi zwróci pieniądze? Kto może mi dać odszkodowanie za to, że nie będę na tertulii we własnym domu? Chyba poproszę brata, aby całe towarzystwo zamknął do kryminału... To jedyna moja pociecha!

Podniosłem odrzucone pudło i, oglądając je, rzekłem pocieszająco:

— Może da się jeszcze naprawić szkodę?

— To niemożliwe! Wiem z góry, że cały kapelusz na nic...

— Pozwoli pani, że otworzę pudło!

— Proszę, ale to nic nie pomoże.

Po długich usiłowaniach wyjąłem drewniane listewki i w ten sposób udało mi się otworzyć pudło. W jakim stanie był drogocenny kapelusz, łatwo się domyślić. Był on bardzo wysoki, ale teraz, zgnieciony, wyglądał jak złożony szapoklak. Obejrzawszy go dokładnie, spostrzegłem, że stelaż zrobiony był z cienkiej siatki drucianej, którą pokryto czarną gazą. Jego ozdobę stanowiły dwie jedwabne wstęgi, dwie rozety i białe strusie pióro. Te części znajdowały się oczywiście w stanie bardziej niż oplakany.

Tak samo mniej więcej wyglądała zmięta i wykrzywiona twarz właścicielki.

— Umieram ze zgrozy! — jęczała jak konający.

— Niech się pani uspokoi — rzekłem łagodnie. — Może się da naprawić. Stelaż można wyprostować, pióro ufryzować...

— Naprawdę! — przerwała mi takim tonem, jakby szło o uratowanie życia drogiej jej osoby.

— Bez wątpienia. Trzeba tylko wstęgi odpiąć i rozprasować. Nawet rozety są do uratowania.

— Pan zna się na tych rzeczach? Może pan jest modystą?

— Ależ nie, señora...

— To może kapelusznikiem?

— I to nie. Ale mam siostrę, która zazwyczaj sama sobie robi kapelusze. Przyglądałem się nieraz jej robocie i mam nadzieję, że uda mi się naprawić kapelusz pani bez wielkich trudnoći.

— Ja pana ozłocę, ja... ja... Nie wiem, co ja dla pana zrobię, byle tylko pan się tym zajął.

— Bardzo chętnie, ale przecież tutaj, na stepie, nie ma ani żelazka, ani deski...

— Ależ my tutaj nie zostaniemy. Dokąd pan jedzie?

— O, daleko, ale na razie tylko do San Jose, gdzie zamierzam zanocować.

— Jak to się pięknie składa, señor. Zanim rozpocznie się u mnie tertulia, pan naprawi kapelusz. Czy nie odmówi pan mojej prośbie?

— Jestem do usług pani, jeśli tylko leży to w mojej mocy. Ale w jaki sposób dostanie się pani przed nocą do San Jose? O naprawieniu dyliżansu nie ma nawet co mądrzyć.

— Wobec tego jestem zgubiona!

Było mi żal kobieciny, mimo że zachowywała się wręcz komicznie. Po chwili namysłu rzekłem:

— Gdyby pani umiała jeździć konno...

— Ależ umiem, umiem! W naszym kraju nie ma kobiety, która nie jeździłaby na koniu. Ja pochodzę z Matara nad Rio Salado, a więc z okolicy, w której kobiety nawet bez siodła jeździć potrafią, i to we dwójkę, gdy taka zajdzie potrzeba...

— Jak to?

— To proste. Jedna osoba siedzi na przodzie, a druga w tyle. Jeździłam tak z siostrą wiele razy.

— Wobec tego będzie pani na tertulii.

Dając tę obietnicę, miałem na myśli luzaka, którego prowadził Monteso. Zwróciłem się do *yerbatera*, który rozmawiał właśnie z jednym z pasażerów, i spytałem, czy by nie pożyczył zrozpaczonej damie owego konia.

— Szkoda, że mi pan tego wcześniej nie zaproponował — rzekł Monteso. — Sprzedałem go właśnie temu podróżnemu.

I przy tych słowach wskazał człowieka, z którym przed chwilą rozmawiał.

— Rzeczywiście szkoda. A nie może się pan wycofać.

— Niestety, już mi zapłacił — odrzekł, pokazując pełną garść banknotów.

— To ja od niego odkupię tego konia — wtrąciła dama. — A gdyby mi nie starczyło pieniędzy, to może pożyczę mi który z panów, a oddam natychmiast po przybyciu do San Jose.

— Dobrze, pożyczę pani. Tylko czy nabywca zechce go odsprzedać? Zapytajmy go.

— Powinien być dla kobiety uprzejmy — rzekła. — Inaczej co z niego byłby za caballero...

Niestety, podróżny wolał rzec się tytułu caballera, niż zostać w pustym stepie i czekać Bóg wie jak długo i Bóg wie na co. Gdy oznajmiłem to damie, wskazała mego konia i zapytała:

— Kto jedzie na tym wspaniałym rumaku?

— Ja sam, seniora.

— Może on uniósłby dwie osoby?

Wiedziałem, do czego zmierza rezolutna dama, i omal nie parsknąłem śmiechem.

— No, mocy posiada dosyć — rzekłem, siląc się na powagę.

— Jeżeli tak, to może pan wziąć mnie ze sobą... Ulokuję się za siodłem i pojedę. Kapelusz można przywiązać z drugiej strony albo dać go któremuś z pańskich towarzyszy. Jeżeli pan zgodzi się na tę moją prośbę, wdzięczność moja będzie bez granic.

— Cóż mam robić...

— Znają pana w San Jose?

— Nie señora. Nigdy tam jeszcze nie byłem.

— A ma pan już zamówiony nocleg?

— Nie, ale przypuszczam, że na stacji pocztowej będą wolne miejsca.

— Otóż ja nie zgodzę się na to, aby pan nocował w zajeździe, i zapraszam pana do siebie, do domu. Przedstawię pana swemu bratu i... musi pan wziąć udział w tertulii.

— Nie wiem, señora, czy będę mógł skorzystać. Nie mam odpowiedniego ubrania. I szczerze żałuję, że nie będzie mi wolno z tak błahej przyczyny wejść do rajy, do którego mnie pani łaskawie zaprasza.

— Mówi pan: do rajy? — zapytała, promieniejąc radością. — Gotowam pomyśleć, że jest pan poetą. Mniejsza zresztą o to. Będzie pan u nas na balu i to w tym samym ubraniu, które pan ma na sobie. Usprawiedliwię to przed obecnymi i nie ma o czym mówić. Więc jakże? Weźmie mnie pan na swego konia?

— Owszem.

— I przyjmuje pan moje zaproszenie?

— Jeżeli mogę wystąpić w tak niestosownym stroju, to bardzo chętnie.

— Ależ oczywiście! Spotka pan u mnie dystyngowane towarzystwo, które nie weźmie mu tego za złe. Zresztą niezwykłym swoim strojem wzbudzi pan jedynie miłe zainteresowanie. Cieszę się naprawdę, że będę miała u siebie tak zacnego gościa. Mój syn przybędzie również z Mercedes, gdzie stoi na kwaterze jego szwadron. Jest on w randze rotmistrza i służy pod komendą Latorre'a, o którym pewnie pan słyszał.

— Słyszałem. Być może, powierzę synowi pani przy tej sposobności bardzo ważną wiadomość. Widziała pani Latorre'a?

— Nie.

— To dobrze. Sprawię panu rotmistrzowi pewną niespodziankę. Ale o tym później. Czy pani pozwoli, że zabawię się w lekarza i opatrzę pani ranę na twarzy?

Kobieta skinęła głową potakująco i, umywszy twarz w potoku, poddała się zabiegowi polegającemu na zaklejeniu rany plastrem, który miałem przy sobie. Popsuło jej to trochę wygląd, ale nie było innej rady.

Podeszła ta w latach señora pomimo porywczosci nie przypominała z wyglądu Ksantypy. Była wprawdzie chuda, wysoka i w przystępie gniewu, jak to miałem okazję stwierdzić, czyniła wrażenie nazbyt... energicznej. Teraz jednak, gdy się uspokoiła, można było sądzić, że należy do kobiet stanowczych, ale dobrodusznym i miłych. Kiedyś była może nawet bardzo przystojna, a jej zachowanie świadczyło wymownie o niepospolitej, jak na tutejsze stosunki, inteligencji i o tym, że dom, którego była panią, należał do najlepszych w kraju.

Przechodząc koło dyliżansu, spostrzegłem, że jednego konia, który upadł i podnieść się już nie mógł, wyprzęgnięto z wozu i, odsunawszy na bok, pozostawiono w spokoju. Biedne zwierzę jęczało głośno z bólu i wierzgało kopytami.

— Co się stało temu koniowi? — zapytałem.

— Złamał nogę i już nie będzie z niego żadnego pożytku — odrzekł mayoral.

— Którą nogę?

— Tylną lewą.

— A więc tę samą, do której przywiązaliście lasso i ciągnęliście biedne stworzenie na bok. Czy nie przychodzi wam na myśl, że sprawiacie mu straszny ból?

— Ech, to przecież koń! — odburknął mayoral.

— Otóż to! Co zamierzacie uczynić z tym nieszczęśliwym zwierzęciem?

— Zostawimy je tutaj. Niech sobie zdycha.

— To znaczy, niech je żywcem szarpią zwierzęta i drapieżne ptaki. Przecież szkapa jest zdrowa, tylko nogę ma złamaną, więc może żyć jeszcze dni parę i przez ten czas żywcem będzie pożerana...

— Co mnie to obchodzi? Albo raczej, co to obchodzi pana?

— Za pozwoleniem! Konie Pan Bóg stworzył nie po to, by je ludzie dręczyli przez całe życie, a potem rzucali żywcem na pastwę drapieżnych zwierząt. Domagam się, aby pan dobił natychmiast to cierpiące stworzenie.

— Szkoda na to prochu. Nie mogę go marnować na byle co...

Po tych słowach odwrócił się, co oznaczało, że nie myśli wdawać się w dalszą dysputę ani też dobijać zwierzęcia, choć pistolet miał za pasem.

Nie namyślałem się dłużej i, przyłożywszy lufę karabinu do czoła szkapy, zastrzeliłem ją.

Peoni, widząc to, zbili się w gromadkę i zaczęli coś radzić, po czym przystąpił do mnie mayoral i rzekł surowo:

— Czy właściciel pozwolił panu zabić to zwierzę?

— Nie!

— A zatem popełnił pan przestępstwo i musi pan zapłacić za konia sto talarów papierowych.

— Ach tak? Zupełnie nieźle pan rachuje... Z konia nie mieliście już pożytku, więc zostawiliście go na łaskę i niełaskę losu, a właściwie na powolne męczarnie oraz śmierć. Zlitowałem się nad nieszczęsnym zwierzęciem, skracając jego męki. I sądzi pan, że teraz możecie na tym zarobić, bezczelnie wyrównując sobie spowodowaną przez was samych stratę. Otóż nie myślcie, że jestem tak naiwny i pozwolę się obedrzeć ze skóry dlatego jedynie, że się wam moje talary podobają.

— Ja jednak nie odstąpię od swego żądania...

— Toteż ja panu nie zabraniam. Może pan czekać sobie na pieniądze do sądnego dnia...

I rzekłszy to, chciałem odejść. Ale peoni obstąpili mnie wokoło i przyjęli bardzo groźną postawę, a mayoral nalegał:

— My pana stąd nie puścimy, dopóki nie będziemy mieli pieniędzy w rękę.

— Oho! — wtrącił Monteso, przybywając mi na pomoc ze swymi *yerbaterami*. — Prawo jest po stronie tego señora. Byliśmy wszyscy świadkami, że porzuciliście konia i nie przejmowaliście się jego losem.

— Proszę was — rzekłem do niego — nie narażajcie się na nieprzyjemności z mojej przyczyny. Ja z tymi czterema panami dam sobie radę.

— A my z panem jeszcze prędzej — zawołał mayoral. — Zapłaci pan czy nie? I przystąpiwszy do mnie ujął mnie za ramię.

— Precz z ręką! — rozkazałem. — Nie znoszę, jak mnie ktoś dotyka!

— Będzie pan musiał zrobić dla mnie wyjątek. Proszę natychmiast dać pieniądze, bo inaczej weźmiemy je sobie sami!

Nie mogłem czekać dłużej. Wywinąwszy się spod ramienia draba, złapałem go jedną ręką za kołnierz, a drugą za portki, podniosłem w górę i rzuciłem na pudło dylizansu, aż zatrzeszczało. Widząc to, peoni poskoczyli ku mnie, aby mnie pochwycić, ale pierwszego, który się zbliżył, rzuciłem na mayoralą, a drugiego palnąłem w głowę pięścią tak silnie, że się zatoczył kilka kroków, trzeci zaś, otrzymawszy uderzenie pod brodę, poleciał w tył i nakrył się nogami.

— Znakomicie! — wołał Monteso. — Widzę, że pan i bez pomocy potrafi sobie radzić. Gdyby jednak draby nie chciały się zadowolić tym poczęstunkiem, my z naszej strony dodamy im kilka komplementów na pożegnanie.

To jednak nie było już potrzebne, bo parobcy, nabrawszy przed nami respektu, stulili uszy i odeszła im ochota do dalszych prób zastraszenia mnie. Tylko mayoral, „pozbiawszy się” z trudem, groził:

— Dostaniemy pana w San Jose i wsadzimy do kryminału.

— Owszem, spróbujcie! — wtrąciła señora. — A mój brat zamknie was za usiłowanie wymuszenia. Opowiem mu, jak było. Ale chodźmy już! — zwróciła się do mnie. — Wszak nie będziemy kłócili się z parobkami.

Odeszliśmy do naszych koni, by ruszyć w dalszą drogę.

Podejrzany mój towarzysz, którego ciągle miałem na oku, zachowywał się dość szczególnie: najwyraźniej unikał owej damy, jakby się jej obawiał. Teraz, kiedy dłużej przy swoim siodle, niby je poprawiając, podszedłem umyślnie bliżej i rzekłem do señory:

— Gdyby się parobcy nie uspokoili, mógłbym ich natychmiast oddać w ręce władzy. Bo oto jedzie z nami señor Carrera, komisarz policji z Montevideo. Właśnie ten pan.

Tu wskazałem pochylonego nad siodłem towarzysza drogi. Oczywiście uwaga ta zmusiła go do pokazania twarzy. Señora zaś, ledwie rzuciła na niego okiem, rzekła wielce zdziwiona:

— To ty, Mateo? Tutaj?

Twarz zagadniętego wyraźnie spłoszyła. Opanował się jednak i zapytał zdziwiony:

— Czy pani mówi do mnie? Co znaczy to imię?

— Jak to? Przecież się tak nazywałeś! Skąd się tu wzięłeś?

— Zachowanie pani każe mi przypuszczać, że przypominam pani kogoś znajomego. Raczy więc pani...

— Co za „raczy”? Jakie „raczy”? — oburzyła się. — Niepotrzebnie odgrywasz komedię! Tak, to Mateo. Byłeś przecież praktykantem u mego męża...

— Ależ pani się myli! Nigdy pani nie widziałem. Mieszkam stale w Montevideo i zajmuję stanowisko komisarza tamtejszej policji, jak to już ten señor wyjaśnił.

— No, no! Nie żartuj, Mateo! — mówiła dalej nie zrażona wyraźnym jego niezadowoleniem. — Z ciebie taki sam komisarz jak ze mnie prezydent republiki.

— Ja nie żartuję, señora. Jestem grzeczny dla pań, jeśli na to pozwala moje stanowisko, ale w tym wypadku muszę stanowczo zaprotestować przeciwko obrażaniu mnie i naruszaniu mojej urzędowej powagi nieuzasadnionymi podejrzeniami. Powiedziałem pani, kim jestem, i proszę poprzestać na tym.

Towarzyszkę moją niesłychana bezczelność fałszywego komisarza zupełnie zaskoczyła. Nie wiedziała, co uczynić: wybuchnąć śmiechem czy gniewem. Nie zdobyła się wszakże ani na jedno, ani na drugie, natomiast odrzekła z wielką powagą:

— Proszę cię, Mateo, abyś przez wzgląd na twoich biednych rodziców nie popełnił znowu jakiej niedorzeczności. Z twojego zachowania wnioskuję, że nie skorzystałeś z naszych rad i wskazówek. Maskujesz się, aby ukryć jakąś podłość, a najlepszym dowodem tego jest właśnie podszywanie się pod obce nazwisko i udawanie urzędnika.

— Dosyć już tego! — krzyknął „komisarz”. — Proszę mnie zostawić w spokoju, bo każe panią zamknąć i nie pomogą jej nawet wpływy brata, który, jak słyszałem, jest burmistrzem!

Na te grubiańskie słowa twarz mojej towarzyszkę oblała się rumieńcem oburzenia. Chciała już odwrócić się z pogardą od aroganta, gdy zapytałem ją:

— Proszę pani, kim jest ów Mateo, o którym pani wspomina?

— Były praktykant w sklepie mego męża. Musieliśmy go odprawić, bo mąż złapał go na gorącym uczynku przy kasie...

— I pani utrzymuje, że ten podróżny jest właśnie owym praktykantem? Nie myli się pani?

— O pomyłce nie może być mowy. Znam go przecież od dziecka, bo pochodzi z San Jose.

— Gadanie babskie! — mruknął fałszywy komisarz, siadając na konia.

— Panie — wmieszałem się. — Proszę liczyć się ze słowami i nie zarzucać kłamstwa señorce. Pan jest owym byłym praktykantem i zarazem złodziejem! A teraz znajduje się pan na drodze do jeszcze większej zbrodni.

— Cóż to znowu? Wie pan przecież, kim jestem...

— Owszem, nawet bardzo dokładnie: jesteś bezczelnym kłamcą i mataczem!

— Czy mam na to odpowiedzieć z lufy mego karabinu?

— Proszę bardzo, ale nie z ukrycia, jak to sobie ukartowałeś. Dowiadywałem się w policji w Montevideo i tam mnie poinformowano, że komisarz nazwiskiem Carrera nie istnieje. A kto wie, czy teraz właśnie policja nie pędzi za panem, by go aresztować. Zatrzymaj się więc chwilę i nie ciągnij za sobą panów komisarzy tak daleko w głąb kraju!

Spojrzał w tył wylęknionym wzrokiem, a nie spostrzegłszy nikogo, rzekł znowu wyzywająco i beczelnie:

— Skoro pan powiada, że komisarze podążają za mną, to nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wyjechać na ich spotkanie i rozkazać, by dopędzili pana i aresztowali razem z tą señorą, która mnie obraziła. Płazem tego nie puszcę w żadnym razie!

Wsiadł na konia, pogalopował w kierunku, skąd przybyliśmy, i niebawem zniknął nam z oczu.

— Co pan zrobił! — biadał Monteso. — Obraził go pan śmiertelnie i najniezawodniej czeka pana za to odpowiedzialność.

— Głupstwo! — odrzekłem. — To jest beczelny szalbierz!

— W jakim celu miałby nas okłamywać?

— Aby zawrzeć ze mną znajomość i łatwiej wciągnąć mnie w jakąś zasadzkę. Do wykonania mordu na własną rękę nie ma on ani zdolności, ani odwagi, obmyślił więc coś innego... Ale co, tego na razie nie mogę się domyślić... Dowiem się jednak na pewno.

— W jaki sposób, skoro Carrera wrócił do Montevideo?

— Wcale nie wrócił. Przekona się pan, że pojechał w kierunku miasta jedynie po to, by nas podejść, i że, znalazłszy się poza naszym polem widzenia, podąży znowu za nami, by śledzić nas potajemnie.

Wsiadliśmy z Montesem na konie i podjechaliśmy na pobliski pagórek, skąd przez chwilę było jeszcze widać rzekomego komisarza. Po kwadransie, gdy zniknął nam z oczu, wyjąłem lornetkę, by zobaczyć, co teraz uczyni. Galopował czas jakiś w kierunku stolicy, lecz wreszcie zwolnił kroku i, korzystając z nierównego w tym miejscu terenu, skręcił na lewo, ku północy. Chcąc przekonać Montesa o słuszności moich przewidywań, dałem mu szkła.

— Tak, istotnie, okraża nas.

— A więc dał się pan przekonać?

— Najzupełniej.

— Łotr ten będzie nas prześladował w drodze, musimy zatem zachować ostrożność. Nie ma zresztą wątpliwości, że señora nie myliła się, twierdząc, iż poznała w nim złodzieja, który chciał okraść jej męża.

Wracając, spotkaliśmy dwóch parobków z dyliżansu, którzy szli w kierunku stacji pocztowej zapewne po to, aby pożyczyć kół i zastąpić nimi połamane. Mayoral z drugim parobkiem został na miejscu, a podróżni, zafrasowani wielce, pokładli się na trawie, oczekując z niecierpliwością ratunku w niemiłej przygodzie. Jeden tylko z pasażerów dyliżansu miał wesołą minę, mianowicie ten, który kupił konia od *yerbaterów*. Podszedł teraz do nas i prosił, byśmy mu pozwolili jechać z nami, na co wyraziliśmy zgodę.

Monteso pomógł wsiąść señorze na mego konia i przekonałem się wkrótce, że jej to wcale nie żenowało. Przywykła najwidoczniej do tego rodzaju jazdy.

Można się domyślić, że położenie moje było jednak nie do pozazdroszczenia: za mną kobieta, która aczkolwiek trzymała się mej kurtki, mogła łatwo zlecieć i poturbować się, z przodu zaś pudło, zawierające cenny klejnot tej niewiasty, co prawda prawie doszczętnie zniszczony.

Na szczęście, jak wspomniałem, towarzyska moja umiała mocno siedzieć na koniu, oczywiście po damsku, nogami na jedną stronę, co było w takich warunkach nie lada sztuką (choć widziałem później często na stepie w ten sposób jeżdżące na koniach amazonki). Wkrótce oswoiłem się jakoś ze swoim położeniem i nawet nie odczuwałem zbytnej niewygody, bo towarzyska, jak mogła, uprzyjemniała mi podróż opowiadaniem o swoim mieście, jego mieszkańcach i gospodarstwie. Że zaś kobiety zawsze mają niewyczerpany temat do rozmowy, więc, zanim przybyliśmy na miejsce, dowiedziałem się o całym przebiegu jej życia i poznałem wszystkie plotki z jej miasta.

W San Jose znajduje się niewielki rynek, pośrodku którego zbudowano kościół, bez wieży na razie. Otóż naprzeciw tego kościoła mieszkał mąż mojej towarzyszkę podróży, zamożny kupiec, nazwiskiem Rixio. Zawiózłszy ją przed same drzwi mieszkania i przyrzekłszy, że przybędę wkrótce do jej domu, aby zrobić porządek z nieszczęsnym kapeluszem, zawróciłem do budynku pocztowego, gdzie zakwaterowali się *yerbaterzy*.

Zaledwie jednak zdołałem nieco oczyścić się z kurzu, przybył do mnie młody oficer i, przedstawivszy się jako rotmistrz Rixio, prosił, abym natychmiast udał się z nim do jego rodziców, co też uczyniłem.

Dom państwa Rixio był dosyć obszerny, ale nie miał w sobie owego wykwintu, jaki się widzi w domach zamożnych Europejczyków. Rodzice młodego rotmistrza przyjęli mnie niezwykle grzecznie i życzliwie, a pani domu wychwalała mnie pod niebiosa, opisując wspólną naszą podróż, która dla niej „w towarzystwie poety z Europy była arcyprzyjemna”. Uważała mnie bowiem wciąż za poetę, mimo iż stanowczo temu zaprzeczyłem. Po krótkiej pogawędce zaprowadzono mnie do pokoju gościnnego, abym się tu urządził, przeniesiono też moje rzeczy z kwatery pocztowej i umieszczono w stajni mojego wierzchowca. Zostałem więc w tym domu gościem i traktowano mnie jak najserdeczniej i najżyczliwiej.

Rotmistrz prosił, abym się udał z nim na przechadzkę do ogrodu, lecz musiałem mu odmówić z braku czasu. Wypadało mi bowiem wywiązać się z przyrzeczenia danego pani domu, że doprowadzę do porządku jej połamany kapelusz. Niepokoila się ogromnie, czy zdołam wykonać to zadanie, a kiedy po półgodzinnej pracy oddałem jej kapelusz jak nowy, nie posiadała się z radości.

Dopiero wówczas wyszliśmy z rotmistrzem do ogrodu. Nie był on zbyt cienisty, gdyż rosło w nim zaledwie kilka topoli oraz dwa jakieś nie znane mi drzewa, i jedynie w altance oplecionej dzikim winem można było znaleźć schronienie przed słońcem. Usiedliśmy tu, a oficer przeprosił mnie grzecznie, że będę zmuszony tymczasem korzystać jedynie z jego towarzystwa, bo rodzice są ogromnie zajęci przygotowaniami do wieczornego przyjęcia. Zbyteczne zresztą było to przeproszenie, bo młody człowiek należał do ludzi inteligentnych i miłych, mógł więc podobać się każdemu, zwłaszcza że mimo młodego wieku cechowała go niezwykła powaga i subtelność umysłu. Nie mogłem też powstrzymać się od wyrażenia mu z tego powodu uznania.

— Wydaje mi się pan ogromnie doświadczonym i statecznym człowiekiem pomimo młodego stosunkowo wieku.

— Przyjemnie mi słyszeć to łaskawe o mnie zdanie, ale nie zawdzięczam tego sobie samemu. Zasługa to mego nauczyciela, którego serdecznie kocham. Słyszał pan o nim, mam na myśli Latorre’a.

— Ach, tak! Skąd pan wie, że słyszałem już o tym człowieku?

— Gdy pana po raz pierwszy zobaczyłem w zajeździe, uderzyły mnie rysy pańskiej twarzy. Zresztą wspomniął pan też mojej matce o swoim podobieństwie do pewnej znanej w naszym kraju osoby — rzekł, uśmiechając się tajemniczo i z wyrazem głębokiego do mnie zaufania.

— Tak, przyznaję...

— Jest pan ładząco podobny do Latorre’a i z tego powodu miał pan już różne kłopoty.

— Istotnie. Ale skąd pan wie, że...

— Pst, ciszej! Nie ma pan pojęcia, jak rozwinięta jest w naszym kraju sieć szpiegowska i jak bardzo w każdej chwili należy mieć się na baczności... Widziano pana w Montevideo i z powodu owego właśnie podobieństwa z Latorrem zwrócono na pana szczególną uwagę. Wszak był u pana w hotelu pewien obywatel i może się dowiem, czego od pana żądał? Wziął on pana również za Latorre’a.

— Rotmistrzu! Zadziwia mnie pan! Skąd pan wie o tym wszystkim?

— W tym nie ma nic nadzwyczajnego! W kraju, w którym można bardzo szybko i łatwo zrobić karierę i tak samo łatwo i szybko spaść poniżej przeciętnego poziomu, przezorność

należy do największych przymiotów i cnót obywatela. Po nieudanej misji Andara miał panu złożyć wizytę przedstawiciel naszego stronnictwa, ale zrezygnowano z tego zamiaru, gdy dowiedzieliśmy się, że jedzie pan do Mercedes przez San Jose. Czekałbym na pana w budynku pocztowym, nawet gdyby nie spotkał pan w drodze mojej matki.

— Skąd wiedziano, że mam zamiar udać się Mercedes? Przecież zdecydowałem się dopiero późnym wieczorem...

— No, tak. Stało się to w pewnej restauracji, gdzie znajdowali się ludzie mający podsłuchać pańską rozmowę. Widziano pana w towarzystwie *yerbaterów*, a że ci zbierają się stale w tym lokalu, była pewność, że i pan z nimi tam przyjdzie... Ale oto i mój ojciec. Nie mówmy już o tym, dokończymy później. Gdyby jednak ojciec mój zaczął mówić o tej sprawie, prosiłbym pana o zupełną wobec niego szczerość, gdyż jedynym wyjściem w pańskim położeniu jest zdobycie sobie wdzięczności i życzliwości naszego stronnictwa. Przyniesie to panu zresztą nieocenione korzyści.

Brzmiało to jak prośba i zachęta zarazem do opowiedzenia się po ich stronie. Pomimo jednak tak grzecznej formy nie wzruszyła mnie ona, bo cóż obchodzić mnie mogły tutejsze stronnictwa? Zarówno biali, jak i czerwoni byli mi obojętni i nie miałem najmniejszej ochoty wyjmować kasztanów z ognia dla jednych lub dla drugich.

Señor Rixio przystąpił do nas pełen powagi, a pokłoniwszy mi się z hiszpańską przesadą, prosił, bym pozwolił usiąść obok siebie. Nie był to już ten sam uprzejmy i serdeczny gospodarz, przyjmujący mnie przed kwadrans w salonie. Twarz jego przybrała teraz pewien uroczysty wyraz i stało się to, co przewidział rotmistrz; stary Rixio nawiązał bowiem od razu do naszej rozmowy, pytając syna:

— Porozumiałeś się już z szanownym naszym gościem w interesujących nas sprawach?

— Mówiliśmy tylko ogólnikowo, nie wdając się w szczegóły — odrzekł oficer. — Powiedziałem, że gdyby señor nie spotkał się w drodze z matką i tak zaprosilibyśmy go do siebie.

— A więc pierwsze lody przełamane — rzekł Rixio, po czym zwrócił się do mnie: — Proszę mi wybaczyć, że zapytam, do której partii pan należy, do białych czy do czerwonych?

I spojrział mi w oczy z takim zainteresowaniem, jakby od mojej odpowiedzi zależały losy całego kraju.

— Szczerze panu odpowiem, że dziwi mnie to pytanie, señor. Tam, za oceanem, mam swoją ojczyznę i tak w Europie, jak w innych częściach świata nie zmieniam do niej swoich uczuć.

— Być może, niewłaściwie sformułowałem pytanie... Której mianowicie partii przyznaje pan słusność: białej czy czerwonej?

— Przepraszam, ale nie czuję się powołanym do wydawania o stronnictwach tutejszych jakichkolwiek opinii.

— Ależ, señor, tu nie chodzi o żadne wyroki lub jakieś opinie tylko o pańskie osobiste poglądy i uczucia.

— Niestety, nie pozna pan ich, a to z tego powodu, że ich nie posiadam. Aby móc określić, które stronnictwo opiera się na słusznych zasadach, musiałbym zbadać dokładnie tutejsze stosunki. A ja, jak panom wiadomo, przybyłem do tego kraju dopiero wczoraj... poza tym polityką nigdy się nie zajmuję, ani też nie mam w tym kierunku żadnych zdolności. Interesują mnie jedynie układy geograficzne i etnograficzne kraju, po którym podróżuję, a inne sprawy nie obchodzą mnie wcale.

Na to oświadczenie Rixio zmarszczył brwi i wyczytałem z jego oczu, że się hamuje, aby nie zdradzić uczucia zawodu, jakiego doznał. Mimo to nie stracił jeszcze nadziei i mówił dalej:

— Ależ to niemożliwe, aby były dla pana zupełnie obojętne stosunki polityczne kraju, po którym zamierza pan podróżować przez kilka tygodni lub nawet miesięcy... tym bardziej że należy to również do zakresu krajoznawstwa...

— O tyle, o ile... Może nawet jest to błąd z mojej strony, ale... trudno. Spożywam chleb spokojnie, nie zadając sobie trudu, aby dociec, który i co za piekarz go upiekł. Rzecz to nawet wygodna. Miliony ludzi cieszą się urokami przyrody, nie mając najmniejszego pojęcia o astronomii i o naukach przyrodniczych lub geografii, i nawet nie przyjdzie im do głowy, by badać przyczyny tych zjawisk.

— Umie pan istotnie wyślizgiwać się jak piskorz, choć wie pan, że nie mam wobec pana żadnych ukrytych zamiarów. Co więcej, wie pan doskonale, do czego zmierzam, a przynajmniej to, że są u nas dwa zwalczające się nawzajem stronnictwa.

— Wiem o tym.

— Stronnictwo, do którego ja należę, ma na celu wyłącznie dobro kraju i chce zaprowadzić w nim ład, porządek oraz sprawiedliwość, podczas gdy stronnictwo przeciwne życzy sobie tylko ogólnego zamieszania, by mogło łatwiej w mętnej wodzie łowić dla siebie ryby. My jesteśmy pewni zwycięstwa. Ale nim to nastąpi, musimy ponieść wiele trudów i ofiar. Aby zaś oszczędzić tych ofiar, postanowiliśmy uczynić wielki, decydujący krok. Jeżeli się on nam uda, przeciwnicy nasi będą zdruzgotani raz na zawsze albo przynajmniej unieszkodliwieni na lata całe. A człowiekiem, który mógłby nam to zadanie ułatwić, jest właśnie pan.

— Ja? Doprawdy jestem zdumiony... Cóż może dla was uczynić przybysz z daleka, nie mający żadnych zdolności strategicznych ani politycznych?

— Jedno i drugie jest tu zbyt cenne. Nieoceniona wartość pańska polega na podobieństwie do osoby, którą zamierzamy postawić na czele naszego ruchu.

— A więc podobieństwo z Latorre'em? Czy mogę prosić o bliższe wyjaśnienia?

— Rzecz nie wymaga długich wyjaśnień, bo jest zupełnie prosta. Czy jednak możemy polegać na panu, czy zachowa pan nasze plany w tajemnicy.

— Mogę panu przyrzec jak najściślejszą dyskrecję.

— Aczkolwiek nie znam pana bliżej i tylko z pańskich cech zewnętrznych odgaduję, że mam do czynienia z człowiekiem honoru, zdradzę panu część naszego planu. Przede wszystkim chcielibyśmy wysunąć Latorre'a na stanowisko prezydenta kraju...

— O tym wiedziałem już wcześniej...

— Aby tego dopiąć, nie możemy czekać z założonymi rękoma, lecz musimy pracować, i to nie tylko my. Przede wszystkim sam Latorre musi przeprowadzić akcję, która zaabsorbuje wszystkie jego siły.

— Rzecz zupełnie naturalna... Bez pracy i trudów, a nawet ofiar, nie można osiągnąć tego, co się zamierza.

— Latorre jest oficerem i to go tak absorbuje, że nie może podjąć akcji w innym kierunku. Musi więc albo wystąpić ze służby, i to na zawsze, albo wziąć dłuższy urlop, ażeby oddać się pracy w ukryciu.

— Zupełnie słusznie. Ale jaką w tym wszystkim przewidzieliście dla mnie rolę?

— Może nam pan bardzo pomóc. Nasz przyszły prezydent musi wydawać rozkazy, jak to już wspomniałem, w najściślejszej tajemnicy; musi odbywać podróże, aby być tu i tam, gdzie tylko rzecz będzie tego wymagała; przeciwnicy zaś nie powinni wiedzieć o jego działalności i poruszeniach. Aby zapewnić mu swobodę ruchów, wymyśliliśmy pewien sposób, który może odciągnąć od niego uwagę całej rzeszy szpiegów, i postanowiliśmy prosić, by pomógł nam pan w tej sprawie.

— No, no?

— Czyżby pan nie rozumiał? Chcielibyśmy, aby przeciwnicy mieli na oku... pana, sądząc, że to Latorre we własnej osobie.

— A, pojmuję! Chcecie, bym przywdział mundur i przejął niektóre obowiązki Latorre'a, podczas gdy on zająłby się pracą na rzecz waszego stronnictwa.

— Domyśla się pan, ale niezupełnie. Niepodobna bowiem, aby pan stanął na jego miejscu do służby, bo poznano by się na tej maskaradzie od razu. Chcielibyśmy urządzić to inaczej.

Latorre weźmie kilkumiesięczny urlop dla ratowania zdrowia i niby uda się do odległej hacjendy lub estancji. Istotnie jednak nie on, lecz pan zajmie miejsce w owej hacjendzie. Wówczas przeciwnicy nasi będą mieli utrudnione zadanie, bo pan w roli Latorre'a nie będzie się nigdzie udzielał, a on tymczasem uda się potajemnie w zupełnie inną okolicę i zacznie tam swoją pracę. Będzie urządzał konferencje i obmyślał plany, po czym w odpowiedniej chwili wystąpi jawnie.

— A co stanie się wówczas ze mną?

— Pojedzie pan sobie w dalszą podróż, oczywiście wynagrodzony przez nas po królewsku.

— A w jaki sposób? Pieniędzmi?

— Pieniędzmi? Kto tu mówi o pieniądzech? Możemy przecież określić to jako honorarium, dotację albo dar. Określenie wysokości tego daru pozostawiamy panu. Proszę więc, jeśli pan łaskaw...

— Ba! Ale ja nie mam pojęcia, ile mnie ta ofiara będzie kosztowała, ile czasu stracę na to, a może nawet zaryzykuję własne życie!

— O tym ostatnim nie ma mowy! To jest wykluczone! Może się pan nie obawiać!

— Przeciwnie! Jeżeli prawdziwy Latorre wypłynie nagle jako dowódca powstania, to zdarzyć się może, iż przeciwnicy, złudzeni podobieństwem, napadną na jego sobowtóra, to znaczy na mnie, i zechcą mnie zamordować. A gdyby to się stało, dotacja, którą mi łaskawie proponujecie nie miałaby dla mnie żadnej wartości.

Rotmistrz przez cały czas mojej z jego ojcem rozmowy nie wtrącił ani słowa i dopiero teraz rzekł, usiłując mnie przekonać:

— Czyżby pan się obawiał? Przyznam, że uważam pana za człowieka o ogromnej odwadze...

— Nie jestem tchórzem, panie rotmistrzu, i dowiodłem tego już niejednokrotnie, a i w przyszłości, być może, będę miał jeszcze ku temu sposobność. Ale co innego narażać życie za samego siebie, za swoich lub za ojczyznę, a co innego rzucać je na szalę w sprawie zupełnie obcej i... za pieniądze! To wielka różnica! Co się zaś tyczy ryzyka, to mógłbym śmiało przyjąć rolę Latorre'a i czekać spokojnie końca sprawy, bo nie obawiam się waszych przeciwników tak samo, jak nie trwoży mnie wasze stronnictwo. I gdybym wskutek zbiegu okoliczności miał się spotkać oko w oko z niebezpieczeństwem, to ufny w siebie, w swój spryt i odwagę, sądzę, że wyszedłbym z opresji obronną ręką. Nie te więc względy powstrzymują mnie od przyjęcia waszej oferty...

— Jaki inny miałby pan powód?

— Jedynie ten, że cała sprawa nie podoba mi się. Brzydzą się fałszem i kłamstwem, a właśnie, gdybym spełnił wasze życzenia, sprzeniewierzyłbym się tej zasadzie.

— Przecież tu idzie o najślusznieszą sprawę!

— To samo powiedziałyby mi każdy z członków przeciwnego stronnictwa.

— Widzę, że pana trudno przekonać...

— I nic dziwnego, bo nie chcę dać się przekonać — odrzekłem, wstając.

Lecz w tej chwili kupiec przytrzymał mnie za ramię, mówiąc:

— Niech pan nie postępuje tak gorączkowo. Jest pan i będzie moim miłym gościem bez względu na to, czy się porozumiemy, czy nie. Mam zresztą nadzieję, że po namyśle da się pan przekonać. Bo nie ma pan pojęcia, jak wielka czekałaby pana nagroda za wyświadczoną nam przysługę. Do naszego stronnictwa należą ludzie ogromnie bogaci i wpływowi, a korzyść, jaką odnieśliśmy z pańskiej pomocy, jest dla nas tak wielka i tak byłaby cenna, że wynagrodzenie za nią mogłoby być podstawą pańskiego szczęścia.

— A co pan nazywa szczęściem?

— Jako kupiec wiem, że na tym świecie prawdziwie trwałe szczęście może człowiekowi zapewnić taki kapitał, który by wystarczył na spędzenie reszty życia bez najmniejszej troski. Niech pan określi wysokość takiej sumy.

— To zbyt cenne, bo nie mogę spełnić waszych życzeń.

— Mam nadzieję, że nie jest to ostatnie słowo, gdyż od niego zależy cała pańska przyszłość.

— Nie, panie! Od tego co raz powiedziałem, nigdy nie odstępuję.

— A jednak proszę, bardzo pana proszę, aby rozważył pan jeszcze rzecz całą. Nie będę już teraz nalegał. Dziś wieczorem pozna pan nas wszystkich i jeżeli potem dobrze się zastanowi, jestem niemal pewny, że zmieni pan zdanie. Chciałem ponownie zaprzeczyć, ale on mówił dalej:

— Proszę, niech pan teraz już o tym nie mówi! Wie pan, o co chodzi, i do rana może się pan namyśli. Widzę, że zapalają już światła i niebawem zaczną się schodzić goście. Proszę, pan pozwoli z nami...

Poczęło się ściemniać. Był to bowiem październik, a więc wiosna południowoamerykańską, kiedy wieczory zapadają dość wcześnie. W domu zapalono rzęsiste światła i wkrótce miała się rozpocząć tertulia.

Ojciec i syn pospieszyli do salonu, a ja, nie chcąc być jednym z pierwszych gości, poszedłem do pobliskiego sklepu i, kupiwszy bochenek razowego chleba, zaniósłem go koniowi do stajni. Obecny tam parobek był ogromnie zdziwiony moimi odwiedzinami; tak samo zdziwiony był gniadosz, który zapewne po raz pierwszy w życiu został w podobny sposób potraktowany. Z początku nie chciał jeść, lecz gdy mu prawie przemocą wepchnąłem kęs do pyska, zasmakował, a kiedy zjadł z apetytem cały bochenek, zarżał wesoło i pozwolił się, mimo dzikiego swego temperamentu, głaskać. Dało mi to nadzieję, że szlachetne zwierzę przyzwyczai się do mnie bardzo szybko.

Ze stajni udałem się do przeznaczonego dla mnie pokoju, którego okna wychodziły na podwórze. A były to okna prawdziwe, bo miały szklane szyby, co dla podróżnika w tych stronach jest rzeczą niezwykłą. Znalazłem też w pokoju wygodnie usłane łóżko, stół, kilka krzeseł, umywalnię, dzbanek z wodą i ręcznik. Zamiast sofy na dwu hakach wbitych w ścianę rozwieszony był hamak. Na stole stało pudełko z papierosami, co świadczyło o niezwykłej o mnie trosce ze strony gospodarza domu. Papierosów nawet nie tknąłem, bo dobry palacz, jeżeli nie jest Amerykaninem, pali zazwyczaj tytoń nie zaś... papier.

Z zadowoleniem zauważyłem u drzwi zasuwkę. Oczywiście, nie podejrzewałem mieszkańców tego domu o jakiegokolwiek nieprzyjazne względem mnie zamiary, jednak pamiętałem pseudokomisarza policji, który prawdopodobnie przybył również do tego miasteczka. A że niegdyś był subiektem u Rixiów, musiał znać rozkład domu i teraz mogła mu przyjść ochota, by złożyć mi wizytę. Skoro jednak przy drzwiach znajdowała się zasuwka, mogłem uniknąć tego zaszczytu.

Postawiwszy na stole świecznik z zapaloną świecą łojową, spróbowałem, czy zasuwka nadaje się do użycia, i zacząłem rozglądać się po pokoju. Nagle, znalazłszy się przy oknie, ujrzałem za szybą czyjąś twarz, która jednak natychmiast zniknęła, i nie mogłem stwierdzić, kto mógłby to być; nawet nie miałem pewności, czy była to twarz męska, czy też kobieca. Chciałem szybko otworzyć okno, ale niestety miało ono zardzewiałe okucia, bo widocznie od dawna nie było otwierane. Gdy nareszcie udało mi się uchylić jedno skrzydło i wyjrzałem na zewnątrz, nie spostrzegłem nikogo, co zresztą mnie nie zdziwiło, bo noc była ciemna i księżyc jeszcze nie wzeszedł.

Rzecz prosta, nie przykładałem do tego wielkiej wagi, gdyż mógł to być ktoś z licznej w tym domu służby, któremu przyszła ochota zajrzeć przez okno, aby zobaczyć, co obcy przybysz robi w swoim pokoju.

Zamknawszy starannie okno, by nikt nie mógł dostać się przez nie do środka, począłem przechadzać się po pokoju, a niebawem nadszedł rotmistrz i oświadczył, że chciałby wprowadzić mnie między gości. Nie wtrącił już ani słowa na temat poprzedniej rozmowy i był tak samo uprzejmy jak przedtem. Widocznie miał nadzieję, podobnie jak jego ojciec, że po namyśle zgodzę się na ich propozycję.

W salonie znajdowało się już liczne towarzystwo złożone z pań i panów. Gdy wszedłem, oczy wszystkich zwróciły się na mnie. Przedstawiono mnie poszczególnym gościom, przy czym słyszałem bardzo długie nazwiska i tytuły, które oczywiście pamięci trzymać się nie mogą. Hiszpan lubuje się w długich nazwiskach, podobnie jak Arab, i chętnie przypisuje sobie godności swoich przodków. W języku hiszpańskim godności te i tytuły brzmią mile dla ucha, ale przetłumaczone na inną mowę tracą swój wdzięk i poezję. Don Gęsimalec de Przypiecek, Dona Maryja Małpiskok de Beczkowóz i tym podobne nazwiska oraz przydomki efektowne są tylko w języku hiszpańskim; po polsku, jak widzimy, są śmieszne.

Człowiek mało wybredny, nie wnikający w głąb ludzkiej natury, oceniłby całe to towarzystwo bardzo pochlebnie. Niestety, ja, mając wrodzony dar spostrzegawczości i będąc przyzwyczajony do wnikania w głąb dusz ludzkich, zauważyłem od razu, że cały ten przepych to tylko ułuda. Pudrowane obficie twarzyczki, czernione brwi i karminowane usta, z obcych włosów loki i warkocze, sztuczne klejnoty, szeleszczące jedwabie — wszystko to dostrajało się do wewnętrznej wartości zebranych. Przepych powierzchowny, olśniewający na razie — wewnątrz zaś pustka.

Również i przy stole dała się zauważyć tandeta. Noże i widelce posrebrzane; łyżka moja była nawet kiedyś złamana i została spojona na nowo. Kosztowne patery z owocami pochodziły z garniturów zdekompletowanych: jednej brakło ucha, druga była wyszczerbiona.

Potrąwom jednak nie można było nic zarzucić. Szczególnie smakowało mi asado, prawdziwy przysmak tego kraju. Gauchowie sporządzają ten specjał w sposób następujący: z zabitego wołu lub konia bierze gaucho tęgi kawał razem ze skórą, zatyka na żelazny pręt i piecze nad ogniem, odkrawając nożem upieczone drobne kęsy z wierzchu — i czyni to dopóty, aż pozostanie na pręcie tylko skóra. Nazywa się to asado con cuero. Asado, które podano u Rixiów, było już oddzielone od skóry, ale to nie odebrało mu wybornego smaku. Niektóre damy, nie chcąc trudzić się z nożem i widelcem, brały kawałki asado w paluszki i jadły z apetytem, co tutaj jest przyjęte. Proszono też i mnie, bym się nie krępował jak guwernantka i spożywał dary boże w sposób... wygodny.

Po wieczery rozpoczęły się tańce przy dźwięku gitar. Grano istotnie pięknie. Nie miałem chęci brać udziału w tańcach, wolałbym usiąść w kącie i przypatrywać się im z dala, niestety, nie dano mi spokoju i zajmowano się mną, jakbym był wśród zebranych najdostojniejszą osobą. Troszczono się o mnie na każdym kroku, zasypywano rozmaitymi pytaniami, na które chcąc nie chcąc musiałem dawać odpowiedzi, i doprawdy puchacz, otoczony stadem wron lub kawek, nie czuje się tak zrozpaczony, jak byłem ja w tym uprzejmym aż do przesady towarzystwie. A wszystkim zdawało się, że czynią mi tym wielką przyjemność!

Gdy już przygasł taneczny zapal, pozostała z programu zabawy jedna rzecz: gra w karty. Pozostawiano więc stoliki i całe towarzystwo, oczywiście nie wyłączając kobiet, zasiadło do gry. Nie dałem się do tego namówić, mimo że długo nalegano i nie skąpiono mi wymówek. Przez pewien czas przypatrywałem się grze z daleka. Kiedy jednak grających zaczęły ogarniać emocje, kiedy zaczęły się sypać niezbyt przyzwoite wyrazy i przekleństwa, wyniosłem się z salonu niepostrzeżenie. Sławna tertulia przestała mnie interesować, gdyż widok rozognionych i powykrzywianych namiętnością twarzy nie należał do przyjemnych.

W przedpokoju siedzieli parobcy, mający usługiwać gościom, i... również grali w karty z takim przejęciem, że żadnemu z nich nie przyszło nawet do głowy poruszyć się, gdy wychodziłem.

Pokój mój podczas mojej nieobecności nie był zamknięty, gdyż, opuszczając go, sądziłem, że służba może jeszcze zechcieć coś w nim uporządkować. Wszedłszy, nie zapaliłem nawet świecy, bo księżyc świecił jasnym blaskiem i mogłem się przy jego świetle rozebrać. Przekonawszy się, czy drzwi i okna są dobrze zamknięte, rzuciłem się na łóżko i prawie natychmiast zasnąłem. Raczone mnie bowiem tak obficie winem, i to fałszowanym, że byłem nie na żarty „tracony”, dlatego nawet na myśl mi nie przyszło rozejrzeć się po pokoju dla

pewności, czy się kto w nim nie zaczął, co zwykłem czynić zawsze, znalazłszy się w nie znanym mi miejscu.

Co prawda, w ciągu ustawicznych wędrówek po świecie i przygód zmysły moje tak się wyostrzyły, że nawet w głębokim śnie były lekko napięte. Teraz też, aczkolwiek znużony byłem bardzo, nie zaniknął zupełnie instynkt samozachowawczy. Śniło mi się, że śpię w olbrzymim dzikim lesie i że mnie zdradziecko otoczyli żądni krwi Indianie, a jeden z nich pochylił się nade mną, chcąc zadać mi śmiertelny cios... Zerwałem się na równe nogi i... chwała Bogu... stwierdziłem, że nie jestem w lesie, lecz w pokoju. Księżyc rzucał jeszcze przez okna swe jasne promienie, ale padały już skośnie, toteż przy drzwiach panował gęsty mrok. Spojrzałem w tę stronę i... wydało mi się nagle, że widzę jakąś postać...

— Kto tu? — krzyknąłem.

Nie było odpowiedzi. Natomiast posłyszałem lekki szelest i następnie jakby skrzyknięcie drzwi... Skoczyłem w ich kierunku w mgnieniu oka, nie znalazłem jednak nikogo, drzwi zaś były zamknięte. A zatem była to senna zmora, przywidzenie... Uspokoilem się i spałem już spokojnie do rana.

Przebudziwszy się, umyłem się i ubrałem, po czym skierowałem się do wyjścia. Lecz... o dziwo... zasuwą u drzwi była odsunięta! Pamiętałem doskonale, że zasunąłem ją w nocy dokładnie, przypominałem sobie również, że była zasunięta i wówczas, gdy się zerwałem ze snu pod wpływem męczącej mnie zmory. Cóż więc, u licha, stać się tu mogło?

Obszukałem cały pokój i nie natrafiłem na żaden ślad czyjejkolwiek bytności. Z rzeczy moich nie brakowało nic. Jedynie tylko zwrócił moją uwagę kawałek czerwonej nici złożonej we czworo, jakby ktoś szył igłą o dość dużym uszku i resztę odciął. Czyżby ta nić leżała tu jeszcze przed moim przybyciem? Być może. Bo kto chciałby zadawać sobie tyle trudu po to jedynie, aby ukradkiem w nocy wchodzić do mego pokoju i kłaść tam strzępek nici? Może nawet wówczas, gdy mi się coś przywidziało, sam odryglowałem drzwi i rozespany zapomniałem na nowo zabezpieczyć je zasuwą.

Rozumowanie takie uspokoilo mnie zupełnie. Dłużej już nie zastanawiając się nad tym faktem, udałem się do pokoju stołowego, gdzie domownicy przed chwilą właśnie zasiedli do czekolady.

Po śniadaniu pani domu wyszła z pokoju, a mąż jej i syn zaczęli ze mną rozmowę na wczoraj poruszony temat. Z wyrazu ich twarzy wywnioskowałem, że mieli nadzieję, iż zmienię zdanie. Niestety jednak zawiedli się znowu, gdyż powtórzyłem im to samo, co powiedziałem wczoraj. Przytaczali tysiące argumentów, by mnie przekonać, ale daremnie. Było mi zupełnie obojętne, kto dziś, jutro lub za rok będzie prezydentem republiki Urugwaju, i nie miałem ochoty narażać się na niebezpieczeństwa w celach politycznych obcego mi zupełnie kraju i społeczeństwa.

Odmowa moja sprawiła obu ogromny zawód. Wyczytałem z ich oczu, że z trudem hamowali się, aby nie wybuchnąć.

— Skoro tak — odezwał się Rixio prawie z gniewem — to nie będziemy pana zmuszali. Mamy jednak nadzieję, że dotrzyma pan słowa i nie wyjawi przed nikim naszej tajemnicy.

— Możecie panowie być o to spokojni.

— Czy długo señor zamyśla zabawić w naszej ojczyźnie?

— Postanowiłem odbyć podróż w poprzek kraju i nie mam zamiaru zatrzymywać się nigdzie dłużej. Za kilka dni będę poza granicami Urugwaju.

— To bardzo dobrze. Podobieństwo pańskie do Latorre'a mogłoby pana narazić na wiele kłopotów. Radzę więc panu, we własnym jego interesie, nie wchodzić ludziom w oczy i nigdzie po drodze nie zatrzymywać się zbyt długo.

Uwaga ta wypowiedziana była takim tonem, jakby się mnie chciał pozbyć natychmiast.

— Z życzliwej rady pańskiej skorzystam z wdzięcznością, i to w tej chwili. Wyjeżdżam natychmiast i żegnam panów.

Wstałem i odwróciłem się w kierunku drzwi.

— Przepraszam, señor — rzekł Rixio — pan mnie nie zrozumiał... Dom mój jest do pańskiej dyspozycji, jak długo panu się spodoba... A zresztą postanowiliśmy, że syn mój pojedzie z panem...

— Proszę go więc, by się pospieszył, gdyż za pół godziny będę już poza obrębem San Jose.

— Ależ ja nie jestem w stanie zebrać się tak prędko — tłumaczył oficer. — Będę gotów najwcześniej po południu.

Wyjaśniłem, że nie mogę czekać tak długo, i udałem się do stajni, by osiodłać swego konia. Kiedy już byłem gotowy do drogi, poszedłem pożegnać się z gospodarzami. Potraktowali mnie oziębło.

Rozdawszy służbie napiwki, które, nawiasem mówiąc, wyniosły więcej niż całe moje utrzymanie w tym domu, wsiałem na konia i pojechałem w kierunku poczty.

Yerbaterzy czekali na mnie zniecierpliwieni, a Monteso zaczął od razu:

— Miał pan słuszość. Komisarz policji nie wrócił do Montevideo, lecz przybył tutaj. Widziałem go wczoraj wieczorem, gdy kręcił się po miasteczku. Możliwe, iż coś knuje przeciwko nam.

— Musimy się strzec. Jak daleko pojedziemy dzisiaj?

— Do Perdido, gdzie jest bardzo wygodna stacja dla ruchu kołowego.

— A ten niby-policjant wie, gdzie się zatrzymamy?

— Niestety. Źle się stało, że mu to powiedziałem, i dlatego musimy zanocować w innej miejscowości.

— Niezła myśl, ale trudna do wykonania. Czy stacja w Perdido znajduje się na otwartej przestrzeni?

— Jest to jeden budynek, z którego rozciąga się rozległy widok.

— Lepiej więc, jeśli się tam zatrzymamy, bo przynajmniej będziemy mogli dostrzec tego draba z daleka. Na innej kwaterze moglibyśmy nie zauważyć jego przybycia. A trzeba go mieć ciągle na oku.

— Dobrze, zgadzam się i, jeśli pan rozkaże, możemy ruszyć natychmiast.

Pięć minut później mieliśmy już za sobą miasteczko, w którym niespodziewanie brałem udział w tertulii, o czym nigdy wcześniej nawet nie marzyłem.

Okolica, przez którą przejeżdżaliśmy, nie różniła się niczym od przebytej poprzednio. Konfiguracja terenu w całym Urugwaju jest lekko falista z licznymi rozpadlinami, wśród których płyną potoki i rzeczki, wpadające do Rio Negro. Jak okiem sięgnąć, wszędzie trawa pampasowa, wyglądająca jak jedno wielkie morze zieleni.

Było już koło południa, gdy spostrzegliśmy w oddali budynek pocztowy. Odjeżdżał stamtąd na zachód jakiś jeździec w pełnym galopie i po chwili zniknął za horyzontem.

Niebawem przybyliśmy na miejsce. W budynku pocztowym był sklep i szynk. Dowiedziałem się tam, że ów jeździec czekał przed domem kilka godzin i wyruszył w drogę dopiero w chwili, gdy nas spostrzegł w oddali. Sądząc z opisu, jeźdźcem tym był Mateo.

Opuściliśmy stację i po godzinie jazdy natknęliśmy się na pasmo górskie zwane Cuchilla Grandę. Pomimo swej nazwy nie były to w dosłownym znaczeniu tego wyrazu góry. Na niewielkim wzniesieniu sterczały złomy skalne, przypominające raczej ruiny jakiegoś zamczyska, i to właśnie nosiło nazwę... gór.

Za wzniesieniami znowu rozciągała się podobna do poprzedniej równina, urozmaicona jednak tu i ówdzie kępami ostów wysokości człowieka. Osty te są prawdziwą plagą dla mieszkańców, gdyż bardzo szybko się pienią i zachwaszczają ogromnie pastwiska, a z wykarczowaniem ich połączone są wielkie koszty. Kępy owe stanowią doskonałą kryjówkę dla dzikich zwierząt. Słyszałem, że kryją się tu nawet jelenie i strusie, ale sam nie spostrzegłem żadnego z tych zwierząt.

Jechaliśmy aż do wieczora. Pod koniec dnia konie *yerbaterów* były tak pomęczone, że biegly już tylko pod wpływem batów i ostróg. Mój gniadosz jednak trzymał się znakomicie.

Zanim zmierzch zapadł dotarliśmy nad Rio Perdido, nad którą znajdowała się stacja o tej samej nazwie. Ściany budynku wykonane były z twardo ubitej ziemi, a «dach pokryty trzcina.

Na stacji było w tej chwili tylko troje ludzi: stara służąca i dwóch peonów. Gospodarz pojechał do Mercedes i miał wrócić następnego ranka.

Chociaż stacja ta znajdowała się na odludziu, znaleźliśmy tu bardzo wygodny nocleg i dobry, tani posiłek.

Obaj parobcy byli jak niemi i nie można było wydobyć z nich ani słowa. Widocznie przywykli już do milczenia wśród tego pustkowie. Dziewka nie była tak skąpa w słowach, toteż od niej chciałem się dowiedzieć, czy był tu po południu jaki jeździec. Parobcy, usłyszawszy moje pytanie, wynieśli się natychmiast z izby, nie chcieli widać udzielać jakichkolwiek w tej sprawie wyjaśnień. A i dziewczka odpowiadała tylko tak lub nie i z twarzy jej wyczytałem, że coś przede mną ukrywa.

— O, piękna señorito — zagadnąłem — nie przypuszczałem, że będziesz tak nieuprzejma względem caballera, który zwraca się do ciebie z całym zaufaniem. Nie licuje to z twoją ładną twarzyczką.

Dziewka była stara i brzydka, ale piękne słówka, których jej nie szczędziłem, rozbroiły ją widocznie, gdyż uśmiechnęła się, mówiąc:

— Zapewne, wygląda pan jak wytworny caballero, ale ostrzeżono mnie przed panem...

— Kto?

— Właśnie ów jeździec, o którego pan pyta.

— Cóż ci powiedział, uroczą panienko?

— Ech, nie mogę... stanowczo nie mogę tego powtórzyć.

— Bardzo mi przykro, że panienko ma więcej zaufania do pospolitego gałgana niż do porządnego, prawego człowieka...

— Ależ... panie... — wykrztusiła ze śmiechem — ów człowiek powiedział właśnie, że on jest uczciwy, a pan...

— To kłamstwo, moja panienko.

— Opowiadał nam, że jest komisarzem policji w Montevideo.

— Dokąd on jedzie i po co?

— Do Mercedes, żeby tam aresztować pana, jak tylko przybędziecie na miejsce.

— Powiedział może za co?

— Owszem. Mówił, że pan kieruje jakimś spiskiem, który może narazić kraj na wielkie nieszczęścia.

— I panienko mu uwierzyła? Czy i teraz, widząc mnie, wierzysz w to, miła señorito?

— Nie, panie! Pan nie wygląda na żadnego krwi człowieka.

— Słuszna uwaga. Nie należę do żadnego spisku, nie urodziłem się nawet w tym kraju i jestem tu zaledwie dwa dni. Cóż więc obchodzić mnie mogą miejscowe sprawy? Nie krwi jestem żądny, piękna dziewczyno, lecz wypoczynku, bo cały dzień jechałem bez przerwy. Czy znajdzie się więc tu dla mnie łóżko?

— Niby łóżko jest, ale on mi nie pozwolił przyjąć pana i muszę go słuchać, bo to przecie rozkaz urzędowy.

— Ech, tak źle nie będzie. Znajdzie się dla nas kąt i wieczerza. Jesteśmy głodni.

— Cóż mam robić! — zaśmiała się. — Pan taki uprzejmy, traktuje mnie pan po ludzku i widać, że mam do czynienia z człowiekiem szlachetnym i godnym. Czyż więc mogłabym dopuścić, aby pan spał pod gołym niebem i o głodzie...

— Może ów człowiek specjalnie tak chciał urządzić, żebyśmy spali na dworze?

— Tak, tak! Mówił też o tym do nas.

— To bezczelny łgarz, señorito. Nie jest on wcale urzędnikiem policji, ale najpospolitszym złodziejem, którego my właśnie mamy zamiar uwięzić. Czyżby panienska chciała być orędowniczką podobnego nicponia i wagabundy?

— Ależ nigdy! I jeżeli to wszystko prawda, co pan mówi, to niech się on u nas nie pokazuje więcej, bo byłoby z nim bardzo źle. My wcale z takimi ludźmi nie żartujemy... A teraz przepraszam, że odejdę; muszę przygotować wieczerę. Mam też nadzieję, że nie będziecie narzekali na niewygody.

Mateo życzył więc sobie, abyśmy spali na dworze, i miał zapewne w tym jakiś cel...

Wieczór był prześliczny, pogoda bezwietrzna, więc *yerbaterzy* oświadczyli, że w tak piękny czas nie będą spali w izbie, a moje przestrogi nie odniosły żadnego skutku. Po obfitej i dobrej wieczerzy pozawijali się w koce i pokładli na słomie pod brogiem, znajdującym się w pobliżu domu. Konie puścili wolno na pastwisko.

Mając się na baczności przed swoim prześladowcą, kazałem zaprowadzić gnadosza do korralu, to jest w miejsce otoczone ze wszystkich stron wysokim kaktusowym żywopłotem, a dziewczka dla większego bezpieczeństwa mego wierzchowca uwiązała jeszcze w pobliżu tęgiego psa, aby ostrzegł nas, gdyby zbliżał się złodziej.

Dach domu wykonany był w ten sposób, że na obu szczytach nie posiadał pokrycia. Z jednej strony prowadziły na strych wąskie schodki podobne do drabiny. Prawdopodobnie mieszkańcy wchodzili tam, ilekroć chcieli zobaczyć, czy nie nadjeżdżają podróżni lub co się dzieje z trzodą, roztaczał się stąd bowiem rozległy widok na okolicę.

Zjadłem obfitą kolację i nie byłem bardzo zmęczony, toteż nie udałem się zaraz na spoczynek, lecz urządziłem sobie małą przechadzkę nad rzekę.

Robaczki świętojańskie uwijały się w cichym powietrzu, niewidzialne kwiecie rozsiewało iście balsamiczną woń, gwiazdy południa lśniły na niebie, żywe i migotliwe, odbijając się w przezroczyściej wodzie.

Poeta, gdyby znalazł się na moim miejscu, wpadłby niezawodnie w ekstazę. Co do mnie, odczuwałem piękno przyrody jak zwykły śmiertelnik, nie myśląc o czekającym mnie znużeniu i o trudach dnia następnego.

Ostatecznie trzeba było wracać, bo i tak przechadzka przeciągnęła się do późna; spędziłem na niej przeszło dwie godziny.

Wróciwszy znad rzeki na miejsce naszego postoju, ułożyłem się pod brogiem, gdzie pokładli się wcześniej moi towarzysze. Jeżeli jeszcze czuwali, mogli mnie widzieć z daleka, bo księżyc właśnie wszedł. W pobliżu brogu było jednak ciemno — księżyc znajdował się poza dachem domostwa i cień budynku padał na miejsce wypoczynku *yerbaterów*.

Usiadłszy w owym cieniu na ziemi, rozglądałem się po okolicy, gdy nagle wydało mi się, że jakaś postać przesunęła się przede mną i zniknęła poza domem. Zerwałem się i pobiegłem w tym kierunku, lecz nie znalazłem nikogo. Stanąwszy zatem przy przeciwnym rogu domu, począłem rozglądać się wokół. Niedaleko, może sto kroków ode mnie, znajdowała się duża kępa ostów. W tym czasie, gdy biegłem wzdłuż domu, nie mógł nikt oczywiście przebyć tej jasno oświetlonej przestrzeni — chyba więc ukrył się po drugiej stronie budynku. Zawróciłem tam i obiegłem go dookoła — daremnie; ani śladu jakiegokolwiek żywej istoty.

Wróciłem do *yerbaterów*, którzy spali w najlepsze, a rzeczy ich leżały obok nienaruszone. A przecież gdyby tu był złodziej, zabrałby przede wszystkim ich strzelby.

Co było robić? Zbudzić Montesa z tak smacznego snu? Szkoda. Zresztą owa tajemnicza postać mogła być przywidzeniem.

Poszedłem do swego pokoju i już miałem się rozebrać, aby się położyć do łóżka, gdy wtem błysnęła mi pewna myśl. Może warto by wejść po schodkach na strych i tam poczekać jakąś chwilę. A nuż...

Zabrałem lornetkę i, wszedłszy po cichu na górę, rozejrzałem się wkoło, jednak znowu bez jakiegokolwiek rezultatu. Nie zniechęcony tym zwróciłem lornetkę w dal, aby zlustrować

okolice, i pomimo że szkła przy niedostatecznym świetle, księżycy nie mogły mi oddać należytej usługi, spostrzegłem na skraju najbliższej kępy jakiś poruszający się cień. Był to koń. A więc — pomyślałem — jeżeli jest koń, i to osiodłany, musi tam być i obcy jakiś jeździec, bo konie, należące do tego domu, spędzano na noc do korralu, a szkapy *yerbaterów* pasły się po drugiej stronie domu.

Bezzwłocznie pobiegłem w kierunku kępy i znalazłem szkapę... Matea.

Aby utrudnić drabowi ucieczkę, wsiadłem na konia i odjechałem aż nad rzekę, a zsiadłszy tam, przywiązałem zwierzę do krzaka.

Z powrotem ku domowi skradałem się bardzo ostrożnie, gdyż byłem pewny, że drab kręci się gdzieś w pobliżu.

I okazało się, że przypuszczenia moje były zupełnie trafne. Podchodząc do brogu, spostrzegłem z dala, że ktoś kłęczy nad śpiącym Montesem. Podsunąłem się bliżej, ale w tej chwili ów „ktoś” wstał i począł szybko oddalać się od brogu. Puściłem się więc za nim, wołając:

— Złodziej! Łapcie złodzieja!

Drab potężnymi susami sadył w kierunku kępy i byłby niezawodnie umknął, gdyby znalazł swego konia na miejscu. Kiedy się za nim rozglądał, dopędziłem go i chwyciłem za kołnierz. Ale drab błyskawicznym ruchem wyciągnął nóż i zamierzył się na mnie. Na szczęście przewidziałem to i równie błyskawicznie wymierzyłem mu potężny cios kułakiem w głowę, tak że się rozciągnął jak długi na ziemi.

W tej właśnie chwili nadbiegli też *yerbaterzy*, wrzeszcząc i dopytując się, gdzie złodziej.

— Leży tutaj — rzekłem. — Przed chwilą zastałem go przy robocie... Przeszukiwał zapewne kieszenie Montesa...

— Moje kieszenie? — krzyknął *yerbatero*. — Poczekaj, ptaszku! Ja cię nauczę! Ale przede wszystkim muszę cię zobaczyć... — A pochyliwszy się nad nim, dodał: — Toż to „komisarz policji z Montevideo”! A, łotr bezczelny!

— Tak jest. On we własnej swojej „urzędowej” osobie. Odbierzcie mu pistolet i zaprowadźcie do izby!

Wskutek wszczętego przez nas hałasu pobudzili się również mieszkańcy domu i, bardzo zdziwieni, wypytywali, co się tu stało. Samozwańczy „komisarz” milczał i tylko uśmiechał się złośliwie, jakby nam urągał. Nie odezwał się nawet wtedy, kiedy opowiedziałem, jak to uprowadziłem jego konia.

— A więc mamy już złodzieja — rzekł Monteso. — A on będzie miał sto ciągów lassem... Skąd ci jednak przyszło do głowy, łotrze bezczelny, okradać biednego *yerbatera*?

— Milcz! Nie jestem złodziejem! — odciął się Mateo.

— No, no! Nie tak ostro! — zgromiłem go. — Poznałem się na tobie od razu. Jesteś pospolitym zbrodniarzem, a przywłaszczasz sobie bezczelnie tytuł urzędnika. Czego właściwie od nas chcesz? Dlaczego nas prześladujesz, señor... comisario? Czego szukałeś koło tych ludzi w czasie ich snu? Oczywiście obmacywałeś ich po to, aby ich okraść!

— Proszę mi tego dowieść!

— Bardzo łatwo. Przeliczcie panowie swoje pieniądze — zwróciłem się do *yerbaterów*.

— Owszem, niech liczą. A jeżeli okaże się, że ukradłem cokolwiek wartości choćby jednego peso, pozwalam, abyście mnie powiesili.

Yerbaterzy przeszukali swoje kieszenie i stwierdzili, że mają wszystko. Również nic z rzeczy złożonych pod brogiem nie brakowało.

— No, co? Jestem złodziejem? — triumfował Mateo.

— Schwyciłem pana na gorącym uczynku i widać przeszkodziłem w wykonaniu pańskiego zamiaru — odrzekłem.

— Fi! Co *yerbaterowi* można ukraść? Głupi byłby złodziej, który by się puszczał na takie afery.

— Czego więc u licha szukał pan koło nich?

— Cha, cha — zaśmiał się drwiąco. — Jest pan taki mądry, a nie może tego odgadnąć. No, proszę! Proszę teraz dowieść tej wielkiej swojej mądrości!

— Tylko ostrożnie z gębą! — zgromiłem go. — Jeżeli usłyszę choć jedno jeszcze słowo uwłaczające mi, dam panu takiego byka w nos, że się nakryjesz nogami i zobaczysz wszystkie gwiazdy na niebie. Ma pan względem nas jakieś niecne zamiary i teraz musimy dowiedzieć się o nich.

Mateo usiadł na krześle, które stało obok niego, i obrzuciwszy mnie pełnym drwiny spojrzeniem odrzekł:

— No, dobrze, powiem wszystko. Ale każdy inny na waszym miejscu uważałby to za zupełnie zbyteczne. Jestem komisarzem policji i referentem spraw kryminalnych...

— Nie wierzę w to.

— Czy pan wierzy, czy nie, to mi wszystko jedno.

— Proszę o dowody!

— Owszem, gdy tylko zajdzie tego potrzeba, przedstawię je. Pan jednak nie jest tym człowiekiem, który miałby prawo domagać się ode mnie dowodów. Legitymuję się tylko wobec władzy.

— W takim razie daj nam pan święty spokój i odczep się od nas!

— E, to niemożliwe! — zaśmiał się. — Jesteście podejrzani...

— Czy też raczej pan jest podejrzany...

— Później się okaże, kto z nas ma słuszość. Wzbudził pan podejrzenia władz, które poleciły mi, abym pana śledził w czasie podróży.

— No, no! Kłamie pan wspaniale! Wiem dobrze, że przyczepił się pan do nas w zupełnie innym celu i zamierza popełnić jakieś łotrstwo. Ostrzegam jednak, że byłoby to wielkie głupstwo z pańskiej strony...

— Ba, czasem umyślnie popełnia się głupstwa, które bywają uwiecznione znakomitymi rezultatami.

— Wątpię, czy pańskie postępowanie względem nas przyniesie dobry skutek. Chyba jedynie zmusi mnie pan, bym go oddał w ręce policji, jeżeli raz jeszcze nawinie mi się przed oczy.

— Zdaje mi się, że policja byłaby z tego rada, bo poznałaby we mnie wyższego urzędnika. Kazano mi przyłączyć się do was, by się przekonać, kim pan jest i co w naszym kraju robi. Odpędziliście mnie od siebie, musiałem więc potajemnie dążyć za wami, a spostrzegłszy śpiących, zbliżyłem się do nich po cichu, by sprawdzić, czy to są pańscy towarzysze. Jeżeli za to chce mnie pan oskarżyć, nie oponuję. Domagam się tylko zwrotu mego konia, bo czas mi w drogę.

— A jedź pan sobie na cztery wiatry — rzekłem, puszczając go. — Zwracam jednak pańską uwagę, że drugi raz nie wymknie się pan z naszych rąk tak tanim kosztem.

— Ja zaś, kiedy dostanę pana w swoje ręce, to nie wypuszczę już nigdy!

— Marsz za drzwi! — krzyknąłem. — Konia swego znajdziesz nad rzeką. Urwisz chwycił ze stołu swoje rzeczy i wybiegł z izby, a kilka minut później odjechał.

— Czyżby naprawdę był urzędnikiem? — zastanawiał się wyraźnie zaniepokojony Monteso. — Wystąpił z taką pewnością siebie...

— To nie pewność siebie, lecz bezczelność.

— Dlaczego więc pan go puścił?

— Bo innego wyjścia nie było.

— Jak to? Jeżeli pan istotnie jest przekonany, że przywłaszcza on sobie bezprawnie tytuł urzędnika, to bez wątpienia jest pospolitym wagabundą i niezawodnie zamierzał nas okraść. Szkoda, że puściliśmy go bez cięgów. Mogliśmy go raz na zawsze od siebie odstraszyć.

— Nic by to nie pomogło. Zresztą o kradzieży nie ma mowy, bo w chwili gdy go spostrzegłem, oddalał się od was.

— Czego więc chciał?

— Ba! Gdybym ja to wiedział! Drab szukał czegoś właśnie koło pana i proszę raz jeszcze sprawdzić, czy nie brakuje panu czegoś. Może strzelba zepsuta...

— Nie, señor, wszystkie moje rzeczy są w porządku.

— Poczekajcie, pomyślę nad tym. Może uda mi się rozwiązać tę zagadkę.

— O tak, proszę pomyśleć, bo ja do tego zdolny nie jestem. Wolę pracować nawet bardzo ciężko, byle tylko nie wyężeć myśli. Sądzi pan, że będziemy mogli teraz spać spokojnie, że drab ten już do nas nie wróci?

— On teraz się cieszy, że uszedł cało, i jestem pewien, iż ukaże się dopiero wtedy, kiedy dojrzeje jego plan przeciwko nam skierowany.

Poszedłem do swojej izdebki i długo w noc rozmyślałem nad tajemniczą zagadką, przypominając sobie dokładnie każde słowo i każdy gest draba. Niestety, nie wymyśliłem nic nowego. Nareszcie zmorzył mnie sen. Ale nie był to sen pokrzepiający, gdyż trapiły mnie jakieś złe przecucia.

Rano zerwałem się dość wcześnie, kiedy wszyscy spali jeszcze, i obszedłem bróg oraz cały dom w nadziei, że natrafię na jakieś ślady, nic jednak nie znalazłem. Opanowało mnie dziwne przygnębienie, jakaś trwoga przed czymś groźnym a nieznanym...

Pobudziłem towarzyszy podróży i po spożyciu śniadania, zapłaciwszy za wszystko, pojechaliśmy w dalszą drogę.

Okolica była podobna do przebytej wczoraj: jednostajna i bezludna. Spotkaliśmy tylko kilku parobków, ale niczego się od nich nie dowiedzieliśmy o naszym prześladowcy.

Dopiero koło południa wjechaliśmy w okolicę bardziej urozmaiconą, było bowiem już niedaleko do Mercedes. Wyminąwszy tę miejscowość, skręciliśmy na północ, gdzie znajdowała się posiadłość krewnych Montesa. Jechaliśmy odtąd wzdłuż Rio Negro, nieraz nawet nad samą rzeką, na której uwijały się liczne statki, mieszkańcy Mercedes prowadzą bowiem bardzo ożywiony handel z miastami, leżącymi w głębi kraju.

Wedle zapewnień Montesa estancja jego krewnych leżała o dwie godziny drogi od Mercedes. Jechaliśmy jednak cztery godziny i jeszcze nie dotarliśmy do celu. Droga wszakże nie była nużąca, bo okolice nadrzeczne były tak ciekawe, że czas mijał nam szybko. Natrafiliśmy tu nawet na gaje, które w Urugwaju są rzadkością. Widziałem też po drodze całą gromadę strusiów. Szukały pożywienia w pobliżu rzeki, a spostrzegłszy nas, poczęły uciekać. Zabawny to był widok i *yerbaterzy* nie mogli powstrzymać się od śmiechu. Myślę, że nawet śledziennik lub hipochondryk, zobaczywszy armię uciekających strusiów, śmiałby się beztróska. Biegły tak, jakby za każdym krokiem miały się przewrócić, i wyglądało to bardzo pociesznie. Szczególnie komicznie wyrzucały nogi poza siebie, równie zabawny był też układ głowy i szyi.

Struś południowoamerykański w okolicach La Plata nosi nazwę awestruz. Są to największe na świecie ptaki, żyjące gromadami jako jedna rodzina, którą stanowią para starych i młode. Taka rodzina liczy niejednokrotnie do dwudziestu głów.

Tutejsi mieszkańcy łowią strusie na lassa, uganiając się za nimi na koniach; strzelają do strusiów bardzo rzadko. Tubylcy utrzymują, że mięso tych ptaków jest dosyć smaczne. Jeżeli to prawda, to struś amerykański przewyższa pod tym względem swego pobratymca z Afryki Południowej, którego mięso, gdy jest młody, nie zalicza się do najgorszych, ale podobać starym może chyba tylko szakal.

Pióra strusiów południowoamerykańskich służą do ozdoby i na miotełki do ścierania kurzu, ale nie dorównują pod względem jakości piórom ich afrykańskich braci.

Prawdziwym przysmakiem są strusie jaja. Samiczki, należące do jednej rodziny, składają je do wspólnego gniazda. Mylne jest mniemanie, jakoby strusięta wylęgały się z jaj jedynie pod wpływem ciepła słonecznego. Strusie wysiadują je jak inne ptaki. Gniazdo jest zupełnie proste, a właściwie to tylko dołek wygrzebany w piasku.

Słońce zbliżało się już ku zachodowi, gdy natknęliśmy się na olbrzymie stada bydła. Monteso wskazał mi znaki wypalone na skórze bydła i rzekł:

— Oto już trzody mego krewnego. Jesteśmy niedaleko estancji. Widząc tak liczne stada bydła, koni i owiec, doszedłem do wniosku, że ów krewny *yerbatera* jest bardzo bogatym człowiekiem. Trzody były oddzielone jedna od drugiej wysokimi żywopłotami z agaw, ciągnącymi się całe mile, a wśród nich uwijali się na szybkich koniach parobcy, rozpędzając walczące ze sobą byki.

Niebawem spostrzegliśmy w stronie północnej kępę drzew, wśród których bieleły się ściany dworku.

Estancja składała się z kilku budynków, które tworzyły razem zamkniętą całość, jakby jakąś twierdzę wysokim murem otoczoną. Szczególny podziw wzbudziły we mnie wspaniałe dęby, topole i wierzby, bardzo rozłożyste, a jednak kształtne. W głębi otoczony tymi drzewami wznosił się dwupiętrowy dworek.

Przede wszystkim uderzyła mnie tutaj nadzwyczajna schludność, co w tych stronach spotyka się bardzo rzadko.

Parobcy byli zajęci rozmaitymi czynnościami gospodarczymi i gdy spostrzegli nas, podjeżdżających ku bramie estancji, wybiegli na nasze spotkanie z pełnymi uprzejmości ukłonami. Z radością i szacunkiem zwrócili się do Montesa, który stał przed nimi w łachmanach i boso, wpytując:

— Czy señor w domu?

— Nie — odrzekł jeden z parobków. — Pojechał do Fray Bentos w sprawie trzody, którą dostawiliśmy tam niedawno.

— A señora?

— Jest... i señorita również.

— Idź i powiedz, że przybyłem.

Parobek pobiegł spiesznie w kierunku domu, a Monteso rozkazał pozostałym:

— Nasze konie puście, niech się pasą na wolności, tego zaś gniadosza zaprowadźcie do stajni i pamiętajcie, aby mu niczego nie brakowało!

Yerbatero mówił to takim tonem, jakby sam był tutaj panem i władcą.

Towarzysze jego rozeszli się w różne strony, mnie zaś poprowadził Monteso do domu. Po schodach wysłanych chodnikiem weszliśmy na górę, gdzie peon, który przed nami tam pobiegł, otworzył drzwi do pokoju. Znaleźliśmy tu dwie panie: żonę i córkę gospodarza domu. Monteso pocałował starszą w rękę, a młodszą w policzek, jak to jest w zwyczaju między bliskimi krewnymi, przy czym ku wielkiemu mojemu zdziwieniu usłyszałem, że panienka nazywa go stryjem.

A więc — pomyślałem — Monteso jest bratem właściciela estancji, która niezawodnie należy do najbogatszych w kraju.

Przywitawszy się z niewiastami, Monteso przedstawił im mnie. Były niesłychanie uprzejme, ale po wymianie kilku zdań grzecznościowych *yerbatero* zaproponował, abyśmy udali się do pokoju gościnnego.

Urządzenie w całym domu, a więc i w tym pokoju, było niezwykle eleganckie, co zdziwiło mnie ogromnie. Wyczytawszy zdziwienie z moich oczu, Monteso uśmiechnął się z zadowoleniem i zauważył:

— Jakże się panu tu podoba?

— Nie pytaj pan. Przecież to istny pałac!

— Ech, nie ma tu nic nadzwyczajnego. Jest to zwykła estancja... zwykłego *yerbatera*...

— Estancja zbieracza herbaty? — spytałem nie kryjąc zdziwienia. — Señor, jestem naprawdę zaintrygowany...

— Może i słusznie... Byłem dawniej, zarówno jak i mój brat, ubogim zbieraczem herbaty. Pracowaliśmy uczciwie, oszczędzaliśmy i wreszcie mój brat poślubił posażną pannę.

Kupiliśmy wówczas do spółki tę estancję, którą on zaczął zarządzać, a ja pozostałem tylko jego współnikiem. Dzięki wpływowi żony brat jest już dziś prawdziwym „caballero”. Co do mnie, wolę się włóczyć po lasach dziewiczych i dzikich stepach. Jestem wprawdzie zbieraczem maty, ale na wielką skalę, i po zbiorach, w miesiącach wolnych, tu odpoczywam. Teraz, gdy już tu jesteśmy, muszę dodać, że każdy, kogo ze sobą przyprowadzę, jest traktowany jak członek mojej rodziny. Proszę tedy pomyśleć sobie, że się pan tu urodził i ma takie same prawa w tym domu jak ja. Ile czasu potrzebuje pan na oczyszczenie się z kurzu?

— Za pół godziny będę do usług.

— Dobrze. Gdy pan będzie gotowy, sprowadzę pana na dół. A i ja, korzystając z tego, że jestem w domu, założę strój bardziej odpowiedni... bo tylko w podróży ubieram się byle jak. Śmieją się wprawdzie ze mnie ludziska i nazywają mnie dziwakiem, ale to mi nie przeszkadza. Najwygodniej mi jest w łachmanach prostego *yerbatera*.

Był więc to naprawdę dziwak, skoro, posiadając tak znaczny majątek, lubował się w prostocie i trudach tułaczki. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego z taką swobodą zasiadał do stołu w pierwszorzędnej restauracji, używał srebrnych łyżek, noży i widelców i pił szampana!

I ja takiemu „biedakowi” ofiarowałem dwieście talarów jałmużny!

Ponieważ w estancji była do dyspozycji łazienka, wykapałem się i wróciłem do przeznaczonego dla mnie pokoju. Na stoliku leżały eleganckie przybory do palenia, a także papierosy i cygara; były wśród nich nie tylko prawdziwe „Cuba”, ale i oryginalne hawańskie! Zapaliłem jedno, gdy po chwili zapukał ktoś do drzwi, a następnie ukazała się w nich rozpromieniona twarz mego towarzysza podróży, który zmienił się nie do poznania. Miał na sobie pięknie skrojone ubranie wizytowe, z kieszonki jedwabnej kamizelki zwieszał się złoty łańcuszek, na nogach lśniły... lakierki! Trzeba dodać, że i Monteso wykapał się również, a także przystrzygł sobie brodę i uczesał starannie włosy.

— Jakże się panu teraz podoba *yerbatero*? — zapytał okręcając się przede mną na pięcie.

— Chciał pan powiedzieć „caballero”!

— Naprawdę? Bardzo mi miło, że jest pan dla mnie tak uprzejmy. Ale jutro rano, gdy się wybierzemy na przejażdżkę, aby obejrzeć trzody, będę znów tym samym, co przedtem, obdartusem. A teraz proszę pana do ogrodu na podwieczorek.

Zszedłem za nim po schodkach na dół, przez obszerną sień przeszliśmy na malutkie podwórze, skąd dostaliśmy się przez furtkę do ogrodu kwiatowego. I tu czekała mnie niespodzianka, gdyż nie myślałem, że w tak zapadłym kącie kraju można znaleźć coś podobnego. Trudno było rozejrzeć się tu dokładnie, bo zmrok już zapadał, ale unosząca się w powietrzu rozkoszna woń świadczyła, że w ogrodzie tym hodowane są kwiaty wysokiej jakości.

Do podwieczorku nakryto w altanie oświetlonej lampionami. Stół formalnie ugiął się od potraw i baterii butelek. Najbardziej jednak ujęła mnie serdeczność zarówno Montesa, jak i gospodyni domu oraz jej córki.

Z rozmowy wywnioskowałem, że *yerbatero* przedstawił mnie paniom w świetle jak najkorzystniejszym. Nie dostrzegałem też owej napszoności, z jaką wczoraj przyjmowano mnie w San Jose. Czułem się naprawdę swobodnie i byłem szczęśliwy w towarzystwie tych ludzi.

W tej chwili z jednej strony ogrodu doleciał nas wesoty gwar i brzęk szkła.

— Słyszysz pan? — zapytał Monteso. — To moi towarzysze zaczynają się bawić. Zuchy z nich nie lada! Gdy ja jestem głodny to i oni kłapią zębami, a gdy ja mam, co potrzeba, to i im niczego brakować nie powinno. Pozna pan wkrótce, co to za godni ludzie!

Podczas podwieczorku, gdy Monteso opowiadał kobietom, w jaki sposób mnie poznał i co razem przeszliśmy w tak krótkim czasie, nagle pojawił się u wejścia do altany peon i oznajmił, iż przybył jakiś obcy pan w mundurze porucznika kawalerii, który pragnąłby rozmówić się z señorą, skoro pana w domu nie ma. Gospodyni kazała poprosić nieznanego do altany.

Po paru minutach zjawił się ów gość i dowiedzieliśmy się, że przybywa tu, aby kupić pewną liczbę koni, i załatwiłby ten interes natychmiast, gdyż ma przy sobie gotówkę, żałuje więc, że z powodu nieobecności gospodarza musi odjechać z niczym.

— Mój mąż na pewno powróci jutro rano — oświadczyła señora — i jeżeli pan może do tego czasu pozostać, będzie nam bardzo miło ugościć pana.

— Hm! — namyślał się oficer. — Mam, co prawda, urlop, ale nie chciałbym tracić całego jutrzejszego ranka.

— Może zechce pan skorzystać z mojej usługi? — wtrącił Monteso.

— Jestem bratem właściciela i jego współnikiem, mogę więc pokazać panu stadninę i nawet zawrzeć umowę.

— Skoro pan tak łaskaw, to przybędę tu jutro rano.

— Cóż znowu? Przecież może pan u nas zanoć...

— Serdecznie dziękuję, señor, ale nie mogę narażać państwa na kłopot. Zresztą niech to będzie dla mnie karą za to, że tak późno tu przybyłem.

— A jeżeli my pana nie puścimy? Chyba że nie ma pan zaufania do naszego domu... W takim razie...

— Nie, señor, proszę mnie nie posądzać o coś podobnego. Mam ze sobą pięciu kawalerzystów, którzy są mi potrzebni do transportowania koni, nie śmiałybym przeto z tyłoma ludźmi...

— Drobiazg! W estancji jest więcej miejsca, niż potrzeba dla pięciu ludzi, i proszę mi pozwolić zająć się ich ulokowaniem.

To rzekłszy, Monteso wyszedł, a porucznik rad nierad usiadł przy stole. Przyglądając mu się spod oka czas jakiś, zauważyłem, że sili się na uprzejmość. I przyznam szczerze — nie podobał mi się od pierwszego wejrzenia, z jakiego jednak powodu, nie umiałem sobie wytłumaczyć. Liczył lat co najmniej czterdzieści, wobec czego dziwnym mi się wydało, że w tym wieku jest zaledwie porucznikiem. Twarz miał pokrytą gęstym zarostem, brwi krzaczaste, łączące się z sobą u nasady nosa, a z oczu przekradał mu się na dzikich instynktach oparty temperament, pomimo że starał się uchodzić za bywalca salonów. I w ubiorze znać było pewną dziwaczość i prostactwo: materiał pospolity, krój zupełnie niewybredny, szczegóły zaniedbane. Krótko mówiąc, człowiek ten wywarł zarówno na mnie, jak i na innych wrażenie niekorzystne.

Po jego przybyciu zapanowało przy stole kłopotliwe milczenie i obecni starali się bezskutecznie o odzyskanie swobody oraz dobrego humoru.

Obcy zwracał się z różnymi pytaniami przede wszystkim do mnie i widać było, że zainteresował się mną szczególnie. Pytania te jednak były czasem tak naiwne i głupie, że naprawdę nie wiedziałem, jak na nie odpowiadać, aby go nie kompromitować. Gdy zaś, przechodząc z tematu na temat, zabrałem głos w jakiejś kwestii poważniejszej, spojrzał na mnie wzrokiem tak świdrującym, jakby mnie chciał nim zasztyletować.

Nic zatem dziwnego, że obecność tego „oficera kawalerii”, pod względem umysłowym równego pierwszemu lepszemu parobkowi, popsowała nam nastrój i zabawę na cały wieczór. Zrozumiał to wreszcie i on, gdyż niebawem wstał z miejsca i bez ceremonii oświadczył:

— A teraz przepraszam, że opuszczę towarzystwo, ale jestem bardzo zmęczony i chce mi się spać.

Słowa te pogłębiły jeszcze niemiłe wrażenie, jakie wywarł na obecnych, gdyż przekonali się ostatecznie, że mają do czynienia z prostakiem. Pani domu skłoniła tylko głową na znak przyzwolenia, a Monteso zadzwonił na peona, który wnet się zjawił i odprowadził gościa do przeznaczonego dla niego pokoju.

Odetchnęliśmy wszyscy po jego odejściu, ale przez jakiś czas jeszcze panowało przy stole milczenie. Wreszcie przerwał je Monteso, zwracając się do mnie:

— Jakże się panu podoba nasza konnica?

— Czy tego porucznika można uznać za typowego oficera kawalerii?

— O, nie! Dziwię się, jak mógł ktoś wysłać podobnego niezdarę w celu zakupu koni. Właściwie nie mam ochoty ubijać z nim interesu i, aby pozbyć się go jak najprędzej, podam bardzo wysokie ceny.

— Można było pozbyć się go, zanim jeszcze usiadł przy stole — zauważyła gospodyni z uśmiechem. — Ale stało się! Zapomnijmy o tym.

Po tych słowach uprzejmej pani domu całe towarzystwo szybko się ożywiło i na miłej pogawędce zeszło nam prawie do północy. Wreszcie wstaliśmy od stołu, by się przejść po ogrodzie. Monteso wziął pod ramię señoritę, ja señorę, i pospacerowawszy czas jakiś po ogrodzie oblanym blaskiem księżycy, rozeszliśmy się na spoczynek.

Rano dowiedziałem się, że do śniadania nakryto znowu w altance. Wyszedłem więc do ogrodu, ale spostrzegłszy, że jestem tu pierwszy, zacząłem przechadzać się po alejach.

W głębi ogrodu, pod samym murem, znajdowała się druga altanka, urządzona na nasypie, a z niej roztaczał się widok na okoliczne pastwiska. Wszedłem po schodkach i usiadłem w altance, aby popatrzeć na okolicę płaską wprawdzie i monotonną, ale pełną trzód i pasterzy.

Upłynęło zaledwie kilka minut, gdy usłyszałem w ogrodzie kroki. Altanka była tak gęsto opleciona dzikim winem, że mnie widać nie było, ja zaś mogłem przez szpary między liśćmi obserwować, co dzieje się dokoła. Dwóch jakiś drabów zbliżało się w kierunku altany żywo o czymś rozmawiając i równie żywo gestykułując. Ubrani byli w niebieskie bluzy z czerwonym oblamowaniem i w czerwone spodnie, na głowach mieli również czerwone kaszkiety, a na nogach długie buty z ostrogami. Domyśliłem się natychmiast, że to dwaj podkomendni zagadkowego oficera.

Na razie nie mogłem nic pochwycić uchem z toczącej się rozmowy, gdyż byli za daleko. Lecz wkrótce zbliżyli się do altany i usłyszałem kilka następujących zdań:

— Nie potrzebujemy obawiać się niczego, bo cóż mamy do stracenia? — mówił jeden.

— I ja tak myślę. Lepiej jednak zawnoczu być przygotowanym na to, że sprawa wypadnie inaczej, niż się przypuszczało.

— Z powodu tego *yerbatera*?

— Tak. Kto by pomyślał, że jest on bratem właściciela estancji i jego współnikiem. Wobec tego cała sprawa inny obrót wziąć musi. Przede wszystkim co do kupna koni, to...

Nie dokończył, gdyż mówiąc te słowa wszedł właśnie do altany, spostrzegł mnie i stanął jak wryty, zatrzymując także towarzysza. Na ogorzałych od słońca i wiatru twarzach obydwu drabów odmalowało się przerażenie.

— Przepraszam — wyjąkał jeden z nich zmieszany — nie wiedzieliśmy, że señor jest tutaj...

Nic na to nie odrzekłszy spojrzałem jednemu i drugiemu surowo w oczy, co ich jeszcze bardziej zmieszało. Zawrócili na miejscu i wynieśli się z altany, a po chwili dobiegły mych uszu słowa:

— Do diabła! Kto by się spodziewał, że ten...

Reszty wynurzeń już nie słyszałem. Zdawałoby się, że kilka tych zdań nie zawierało w sobie nic takiego, co mogłoby być powodem podejrzeń, jednak mnie one poważnie zaniepokoiły. Czegoś „nie potrzebowali się obawiać”, „nie mieli nic do stracenia”, „sprawa wypadnie inaczej, niż przypuszczali” — te zwroty z ich rozmowy miały charakter tajemniczy, a zatem budziły podejrzenia; Byłem przekonany, że coś mi ze strony tych kawalerzystów grozi — ale co, nie miałem najmniejszego pojęcia.

Przeczekawszy chwilę, wyszedłem do ogrodu i w drodze ku drugiej altanie spotkałem się z Montesem, który właśnie mnie szukał.

Opowiedziałem mu o zasłyszanej przypadkiem rozmowie dwóch żołnierzy, na co mi odrzekł:

— Czy to pana niepokoi?

— Oczywiście. Przyzna pan sam, że podobne wynurzenia mają charakter podejrzany.

— Dlaczego! Nie widzę w tym nic niepokojącego.
— Żołnierze wspominali, że nie mają nic do stracenia...
— Nic dziwnego. Wszak idzie tu o kupno koni, a wiadomo, że na kupnie można zarobić albo stracić.

— Odniosłem też wrażenie, że czegoś się obawiają. Jeden z nich mówił, iż sprawa stoi gorzej, niż się im wydawało, gdyż nie przypuszczali, że pan jest współwłaścicielem estancji.

— Widocznie obawiają się, że ja jako doświadczony *yerbatero* zażądam za konie wyższych cen, niż by to uczynił mój brat.

— A mnie się zdaje, że słowa te miały zupełnie inne znaczenie... Czy nie wchodzi tu w grę nasz fałszywy komisarz policji?

— Nie widzę między tymi sprawami żadnego związku i wybaczy pan, ale zdaje mi się, że niebezpieczeństwa, które pan przewiduje, są... urojone! Tak, pańskie podejrzenia nie mają podstaw. Ale oto idzie moja bratowa z córką, a towarzyszy im ów oficer. Proszę nie wspominać przy mojej bratowej o niczym, bo by ją to zaniepokoiło.

Monteso ubrany był dziś w codzienną swą odzież, gdyż mieliśmy, jechać na pastwiska; jedyną odmianę zwykłego jego stroju stanowiły długie buty, które świadczyły niejako o jego zamożności.

Śniadanie spożyliśmy prawie w milczeniu, gdyż obecność oficera mroziła nas wszystkich. Tylko Monteso wypowiedział kilka słów, z których wynikało, że wybieramy się na pastwiska, aby obejrzeć stadninę.

Po śniadaniu udałem się do swego pokoju, by na wycieczkę tę uzbroić się jako tako. Rozumie się, że nie mogłem wziąć ze sobą karabinu, a noże, których aż dwa miałem za pasem, nie stanowiły dostatecznej ochrony. Zabrałem więc rewolwery, nie zatknąłem ich jednak za pas, bo zwracałoby to niepotrzebnie uwagę, lecz schowałem je za cholewy, podniesione i zagięte powyżej kolan, po czym wyszedłem na dziedziniec, gdzie Monteso i oficer ze swymi ludźmi gotowi już byli do drogi, brakowało tylko jednego z żołnierzy. Nie zastanowiło mnie to niestety, a jednak okazało się później, że nawet ten drobny szczegół powinienem wziąć pod uwagę, gdyż ów właśnie drab, którego w naszym gronie brakowało, wysłany był naprzód, aby zastawić na mnie i na Montesa zdradliwe sieci.

Wyruszyliśmy z estancji. Monteso, oficer i ja jechaliśmy obok siebie przodem, a żołnierze podążali za nami.

Teraz dopiero, zobaczywszy ogromną liczbę należących do braci stad bydła, koni i owiec, nabrałem wyobrażenia o zamożności *yerbatera*. Część zwierząt pasła się wolno na stepie, a setki i tysiące mieściły się na łąkach ogrodzonych żywopłotami. Pomiedzy stadami uwijali się gauchowie na koniach.

Oficer oznajmił, że pragnąłby obejrzeć całą stadninę, zanim wybierze dla siebie pewną liczbę koni, wobec czego musieliśmy objechać z nim prawie wszystkie pastwiska, nawet te oddalone od estancji. Podczas tego przeglądu miałem się ustawicznie na baczności, a i Monteso widać coś przeczuwał, gdyż, upatrzyszy dogodną chwilę, zbliżył się do mnie i spytał:

— Czy ma pan jeszcze jakieś obawy?

— Niestety, tak.

— Sądzę jednak, że tutaj nic nam grozić nie może...

— Okaże się to niebawem.

— Jak to? Przecież żołnierze ci nie mogą nam nic złego uczynić, choćby nawet mieli jakieś nieprzyjemne zamiary, bo gdybym tylko gwizdnął, przybyłyby nam z pomocą setki moich gauchów.

— Ach, tak? To mnie zupełnie uspokaja.

— Ależ rozumie się! Nie ma się czego trwożyć...

— Trwożyć!

Miałem coś jeszcze powiedzieć, ale w tej chwili wsunął się między nas porucznik, usiłujący chyba przeszkodzić nam w rozmowie, co spotęgowało moje podejrzenia.

Wkrótce Monteso oświadczył, że zbliżamy się do ogrodzeń, w których znajdują się jeszcze nie oswojone, lecz najlepsze z jego stadniny konie. Żywopłot był tu wyższy i gęściejszy niż gdzie indziej.

Rozejrzawszy się wśród tego stada, stwierdziłem, że istotnie znajdowało się tu sporo pięknych rumaków, ale żaden nie dorównywał mojemu gniadoszowi. Porucznik zaś, rzuciwszy tylko okiem na stadninę, oświadczył, że dla szwadronu potrzebne są konie dobrze już ujeżdżone. Wobec tego, opuściwszy ten obszar, położony co najmniej o godzinę drogi od estancji, pojechaliliśmy wzdłuż żywopłotu do następnej „zagrody”.

W chwili gdy znaleźliśmy się na rogu następnego obszaru, spostrzegłem kilku żołnierzy na koniach, zbliżających się ku nam.

— Dość! — rzekłem — dalej nie pojedę.

Na te słowa porucznik uderzył batem mego konia, zwierzę skoczyło gwałtownie do przodu i zanim zdołałem je osadzić, otoczyło nas co najmniej pięćdziesięciu jeźdźców umundurowanych tak samo jak ci, co znajdowali się z nami. Była to raczej banda opryszków, a nie oddział żołnierzy, co wynikało z ich zachowania wcale nie wojskowego.

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego jeden z nich odjechał z estancji wcześniej — wysłany został najwidoczniej, aby uprzedzić ukrytą w zasadzce bandę o naszej wycieczce w te strony.

— Co to ma znaczyć? — krzyknąłem, gdy nas ze wszystkich stron otoczono.

— Jesteście naszymi jeńcami — burknął porucznik.

— Z jakiego powodu?

— Dowiedzie się o tym później.

— Jeżeli tak, to... miejsce! — krzyknąłem, ściskając gniadosza ostrogami.

Rumak mój stanął dęba, po czym wierzgnął kilka razy tak potężnie, że otaczające nas koło napastników pękło przede mną, ja zaś pomknąłem naprzód.

Ale dowódca oddziału zakomenderował:

— Nie puszczaj go! Galop!

I cała banda puściła się obok mnie co koń wyskoczy, tak że nie znalazłem już ani czasu, ani miejsca, by wydostać się z otaczającego mnie pierścienia.

Monteso zupełnie stracił głowę i ani pomyślał o przywołaniu gwizdnięciem swoich gauchów. Zresztą choćby to nawet uczynił, nic by to nie dało, gdyż banda była zbyt liczna, aby się z nią mogli uporać.

Pędziliśmy czas jakiś po stepie jak estampa, czyli spłoszone stado koni. Monteso, jadąc za mną, kłął głośno i wymyślał napastnikom, ale żaden mu na to nie odpowiadał. Ja zaś, widząc, że wszelkie moje usiłowania, by się wydostać z matni, nic nie pomogą, poddałem się losowi i pędziłem na oślep wśród bandy, która zamierzała oddalić się od miejsc, w których znajdowali się gauchowie. Ci zaś, nie wiedząc, co to wszystko ma znaczyć, patrzyli na nas jak na jakie dziwo.

Galopowaliśmy przeszło pół godziny, a kiedy konie na dobre się pomęczyły, przeszliśmy w kłus. Nie tracąc przytomności, przyglądałem się z ukosa otaczającym nas ludziom, by wyciągnąć z tego jakieś wnioski.

Umundurowani byli niejednolicie. Kurtki, bluzy i spodnie zwracały uwagę jaskrawymi kolorami. Co do uzbrojenia, to tylko niektórzy mieli przy sobie broń palną; reszta posiadała tylko lance. Lasso zaś i bolę miał każdy z nich. Dowódca różnił się od innych tym chyba tylko, że ubrany był najbardziej pstrokato.

Gdybym nawet nie miał najmniejszego pojęcia o stosunkach panujących w tym kraju, domyśliłbym się od razu, że mam do czynienia nie z oddziałem regularnego wojska, lecz z bandą opryszków.

Monteso, wysunawszy się nareszcie na równą ze mną linię biegu, zapytał wzburzony mocno:

— Cóż pan na ten gwałt?

— Nic! — odrzekłem krótko.

— Wszystkich sił dołożę, by ukarać napastników jak najsurowiej.

— Zdaje mi się, że to będzie niemożliwe.

— Co to niemożliwe? Jak tylko staniemy, nauczymy łotrów respektu!

Z tych gróźb i przekleństw Montesa opryszkowie drwili sobie tylko i już nie przeszkadzali nam rozmawiać ze sobą.

Zacny *yerbatero* był zdania, że należy bronić się do upadłego, ja zaś byłem temu przeciwny. Wszak jeszcze nie wiemy, czego chcą od nas ci ludzie. Nie popełniliśmy nic takiego, co by mogło pociągnąć jakieś groźne dla nas następstwa, i na razie możemy chyba tylko narzekać, że zmuszono nas do nadłożenia niepotrzebnie drogi. Tłumaczyłem to *yerbaterowi*, aby powstrzymać go przed jakimś nierozważnym krokiem, i uspokoił się wreszcie na tyle, że nie stawiał już oporu.

Ujechaliśmy jeszcze spory kawał kłusem, nim zwolniono biegu i pozwolono koniom odetchnąć. Teraz postanowiłem zwrócić się do dowódcy i żądać od niego wyjaśnień:

— Kiedyż to, señor, dowiemy się, w jakim celu zmusiliście nas do tej jazdy? — zapytałem.

— Dowie się pan w obozie — odparł krótko. — I proszę nie pytać mnie o nic, bo nie mam ochoty wdawać się z panem w rozmowę!

Wypowiedział to surowym i lekceważącym tonem, wobec czego odciąłem się w ten sam sposób:

— Proszę mnie traktować nieco uprzejmiej! Nie ma pan do czynienia z parobkiem!

— Kim pan jesteś, powiem panu później. Teraz proszę milczeć. W przeciwnym razie każę pana związać, a to nie będzie przyjemne.

Zamilkłem. Monteso zgrzytnął zębami z oburzenia.

Aż dotąd jechaliśmy przez gładką równinę, dalej jednak teren stawał się falisty i pagórkowaty, co w tym kraju nazywa się już górąmi. Za tymi wzgórzami pełnymi bloków skalnych i kamieni, widniała rzeka, płynąca prostopadle do kierunku naszej drogi.

— To Rio Yi, która nieco dalej wpada do Rio Negro — wyjaśnił Monteso. — Zapewne niedaleko znajduje się obóz.

Po obu stronach wspomnianej rzeki ciągnęły się wąskim pasmem drzewa i krzaki, czego jednak nie można było nazwać lasem. Dalej stał jakiś samotny dom. Poza tym okolica ziała pustką i nawet stad żadnych nie spostrzegliśmy na rozległym obszarze.

Gdy zbliżaliśmy się do rzeki, zauważyliśmy dążącego naprzeciw nam jeźdźca, który okazał się dobrym naszym znajomym.

— Widzi pan tego draba? — zapytał Monteso. — I tu go lichy przyniosło!

— „Komisarz policji”. Domyśliłem się, że cała ta awantura jest jego sprawką.

— Gdybym miał karabin, uśmierciłbym łotra bez namysłu!

— Nie ma o czym mówić! — rzekłem. — Musimy być teraz cicho. Wagabunda z wielką uniżonością pokłonił się dowódcy, tytułując go majorem, i spojrzął na nas wyniośle. Można sobie wyobrazić jego tryumfującą minę, gdy nas zobaczył. Oczywiście zawrócił konia i pojechał razem z oddziałem.

Przybywszy nad rzekę, stanęliśmy i posiadaliśmy z koni.

Grunt był bagnisty i dlatego zapewne nie trzymano tu bydła. W miejscu jednak, gdzie oddział rozłożył się obozem, było niewielkie wzniesienie powstałe z piasków naniesionych przez wodę. W obawie, abyśmy nie umknęli, umieszczono nas w środku obozowiska, tak że z trzech stron byliśmy otoczeni przez żołnierzy, a z czwartej naturalną przeszkodę stanowiła rzeka. Nie była ona wprawdzie zbyt szeroka, ale, sądząc z wysokości brzegów oraz bystrego prądu, musiała być dość głęboka.

Ponieważ oddział rozłożył się obozem w miejscu najmniej się do tego nadającym, gdyż pełnym wyziewów błotnych i dokuczliwych szczególnie dla koni owadów, potwierdzało to poprzedni mój wniosek, że jest to faktycznie banda opryszków, nie zaś regularne wojsko, które przecież nie miałoby powodu kryć się w mysie nory i wybrałoby sobie odpowiedniejsze miejsce na postój. Przypuszczałem też, że sławetna kawaleria nie mogła pozostawać tu zbyt długo, że losy nasze rozstrzygną się zapewne w tym miejscu.

Obóz rozbito na wolnej od krzaków przestrzeni, przy czym mnie i Montesa umieszczono w ten sposób, że znaleźliśmy się na małym Placyku otoczeni pierścieniem żołnierzy. Major kazał rozkulbaczyć kilka koni, a siodła ich ułożyć na ziemi, po czym wezwawszy kilku ze starszyny oddziału, rozsiadł się razem z nimi na owych siodłach. Miał to być sąd wojenny. Major był przewodniczącym, a trzech inni, których przedstawiono nam jako rotmistrza, nadporucznika i wachmistrza, zostali członkami owego „trybunału”. Komisarz przyłączył się do tego grona jako oskarżyciel.

Monteso, w wysokim stopniu tym wszystkim oburzony, zżymał się z wściekłości i próbował kilka razy wybuchnąć, ale go powstrzymałem. Gdy „wysoki sąd” zajął już swoje miejsce, usiłując przybrać jak najuroczystsze miny i największą powagę, major zwrócił się do mnie:

— Pytałeś señor niedawno o przyczynę swego aresztowania. Otóż teraz ją poznasz. Jest pan oskarżony o zamach stanu, zdradę kraju i podburzanie do zbrojnego powstania.

Mówiąc to, patrzył na mnie pan major spode łba i zdawało mu się, że słowa te zdruzgocą nas doszczętnie. Wywnioskowałem to z jego miny. Monteso w odpowiedzi zachnął się i byłby pewnie rzucił jakieś przekleństwo, lecz go powstrzymałem stanowczym gestem i zapytałem oficerów:

— Któż nas oskarża?

— Ten oto señor — odrzekł major i wskazał rzekomego komisarza.

— Podobne oskarżenie może wnieść jedynie prokuratura a nie zwykły człowiek; ten, którego mi pan wskazał, mógłby jedynie wystąpić w roli świadka.

— Owszem, będzie on także świadczył. A prokuraturę zastępujemy my, sąd wojenny.

— Gdybym nawet uznał wasze prawo do powoływania sądu wojennego, to jeszcze nie bylibyście kompetentni w tym wypadku. Choć jestem obcy w tym kraju, ale wiem, że podobne sprawy należą do ławy przysięgłych i trybunału.

— My pana nie pytamy o zdanie w tej kwestii.

— Za pozwoleniem! Nawet zbrodniarz ma prawo do obrony, a zarzut zbrodni można mu postawić dopiero wówczas, gdy się ma na to dowody.

— Zaraz to panu udowodnimy.

— Wątpię. Uważając za bezprawie ten gwałt nade mną, powiem panu szczerze, że gdybym miał broń, rozmawiałbym z panem nie słowami, lecz ołowiem.

Powiedziałem tak umyślnie, aby wprowadzić drabów w błąd, aby myśleli, że nie posiadam przy sobie broni palnej, której dotychczas nawet nie poszukali przy mnie, a uważałem ją w tej awanturze za jedyny nasz ratunek, choć było nas dwóch przeciw pięćdziesięciu ludziom.

Przy tak nierównej sile sama myśl o walce czynnej wydać się może komuś szaleństwem. Ale ja, który już nieraz w życiu byłem w podobnych opałach, miałem zamiar popełnić to szaleństwo, wiedziałem bowiem, że czasem podstęp i rewolwer mogą dokazać więcej niż pół tuzina armat. Ci zaś, w których ręce dostałem się obecnie, nie wyglądali na takich, których nie można by podejść. Że zaś otwarcie na pewno bym nic nie wskórał, postanowiłem na razie udawać rezygnację.

— Choć karabinów nie macie, ale widzę przy was noże — powiedział na to major. — Na wszelki wypadek proszę więc odłożyć je na stronę.

— Tego nie uczynię i żądanie pańskie uważam za bezprawie.

— Nie pytam pana, co myślisz o tym, lecz żądam! A protesty swoje może pan schować do kieszeni...: My tu rozkazujemy nie pan.

I zwrócił się do żołnierzy:

— Odebrać im broń!

Na te słowa zerwało się kilku drabów i rzuciło się ku nam. Monteso zaprotestował, lecz na nic się to nie zdało. Ja oddałem noże dobrowolnie, a major wetknął je za pas, jakby była to jego własność, i ciągnął dalej:

— Postawię wam teraz konkretne pytania i mam nadzieję, że będziecie odpowiadali bez wykrętów. Obaj stoicie nad grobem i sądzę, iż macie przynajmniej tyle rozumu, że w ostatniej swojej godzinie nie zechcecie narażać się na to, bym musiał siłą wydobywać z was zeznania. Przede wszystkim zabierze głos świadek.

Tu zwrócił się do „komisarza”:

— O co pan ich oskarża señor?

— O usiłowanie morderstwa, ciężkie uszkodzenie ciała i spisek rewolucyjny.

— Czy ma pan na to dowody?

— Owszem, i to takie, które niczym zbić się nie dadzą.

— Wobec takich oskarżeń sprawę rozpatrzymy szczegółowo. Zacniemy od usiłowania morderstwa: gdzie i kiedy do tego doszło?

— W Montevideo przed trzema dniami.

— Kogo miano zamordować?

— Mego kuzyna. Ten cudzoziemiec napadł na niego w nocy na ulicy koło domu organisty z katedry.

— I nie zabił go?

— Nie, bo napadnięty zdołał uratować się ucieczką. Ale niebawem obaj oskarżeni udali się za nim aż do jego mieszkania, napadli na niego, związali i tak zbili, że omal ducha nie wyzionął.

— Czy są na to świadkowie?

— Są. Mogę wymienić ich nazwiska; mieszkają w Montevideo.

— To niepotrzebne. Nie mamy tyle czasu, aby ich stamtąd sprowadzać. Zresztą wystarczą pańskie zeznania, señor, którym wierzę w zupełności.

Rzekłszy to, major zwrócił się do mnie:

— Co macie na swoją obronę?

Nie oburzył mnie ten sposób prowadzenia „sprawy”, gdyż z góry wiedziałem, że skoro w niej macza palce rzekomy „komisarz”, to wszystko od początku do końca oparte będzie na kłamstwie i podłości. Zeznania tego świadka i zarazem oskarżyciela nie wyprowadziły z równowagi ani mnie, ani Montesa, w którego żyłach płynęła krew południa. Na pytanie majora *yerbatero* podszedł do niego bliżej i rzekł:

— Co mamy na swoją obronę? Na kłamstwo i fałsz mogę odpowiedzieć tylko prawdą. To nie mój przyjaciel napadł na owego draba, o którym mowa, lecz przeciwnie: przyjaciel mój został przez niego napadnięty.

— Ma pan na to dowody?

— Możemy obaj stwierdzić to pod przysięgą.

— O, nie miałyby ona żadnej wartości, gdyż nie jesteście tu świadkami, lecz oskarżonymi.

— Może więc przysiąc organista, który był świadkiem zajścia.

— Czy jest on tutaj?

— Przecież sam pan wie doskonale, że nie ma go wśród nas.

— Ponieważ go tutaj nie ma, nie może on świadczyć w waszej sprawie.

— Żądam, aby go powołano.

— Nie mamy na to czasu. A zresztą i tak jesteśmy przekonani o waszej winie.

— Skoro w ten sposób stawiacie sprawę, wątpię, abyście w ogóle byli zdolni do rozsądnego myślenia!

— Uwagi te proszę zachować dla siebie, bo jeśli się to powtórzy, ja, jako przewodniczący sądu wojennego, zmuszę pana do zachowania szacunku dla tego sądu.

Przestroga ta wyprowadziła Montesa z równowagi. Podniesionym głosem rzekł do przewodniczącego:

— Ja sam wiem, jak się mam tutaj zachowywać! Świadek oskarża nas, a my twierdzimy, że to kłamstwo. Jego świadkowie są tak samo nieobecni jak i nasi, a jednak jemu pan wierzy, a nie nam. Cóż to za sąd? Jakaż to sprawiedliwość?

— Świadek gotów jest złożyć przysięgę — burknął major.

— My również gotowi jesteśmy stwierdzić pod przysięgą, że wytoczone przeciwko nam zarzuty są kłamstwem.

— Ba, ale już wam raz powiedziałem, że jako oskarżeni nie macie prawa do przysięgi.

— To niech was wszyscy diabli porwą!

— Nie! — rzekł major. — Nie spełni się to, czego nam życzysz. Zapewniam cię i zarazem ostrzegam, że jeżeli raz jeszcze odezwiesz się w podobny sposób, każę was obydwu oćwiczyć. Zapamiętaj to sobie!

— Poważ się tylko! Już za ten gwałt, jaki nam w tej chwili zadajecie, nie omieszkać was oskarżyć...

— Na to nie będziesz miał już czasu, bo w ciągu kilkunastu minut wydamy na was wyrok i zostaniesz powieszony, a następnie zwłoki twoje wrzucone będą do rzeki!

— Spróbujcie to uczynić!

— Owszem, spróbujemy... chyba że... że zdołacie udowodnić nam swoją niewinność.

— W jaki sposób, skoro pan nie dopuszcza do powołania świadków?

— Nie ma na to czasu i zresztą byłoby to zupełnie zbyteczne.

— Możemy więc tylko raz jeszcze oświadczyć z całą stanowczością, że oskarżający nas człowiek kłamie.

— My jednak wam nie wierzymy, natomiast do niego mamy pełne zaufanie. Cudzoziemiec zamierzał zabić jego przyjaciela i ten fakt potępia go dostatecznie.

— Jeżeli tak, to czego chcecie ode mnie?

— Pan był z nim w zмовie. Udaliście się obaj do mieszkania upatrzonej przez siebie ofiary i tam pobiliście ją niemiłosiernie. Czy zaprzeczy pan temu?

— Nie przeczę, otrzymał, co mu się należało.

— Przyznaje się więc pan do winy?

— Nie przyznaję się. Oćwiczyliśmy łajdaka, to prawda, aż mu trochę popękała skóra na grzbiecie, ale uczyniliśmy tak, bo dybał na nasze życie. Uważa pan to za uszkodzenie cielesne, dobrze, nie mam nic przeciw temu twierdzeniu.

— I to nam wystarczy! Po co było obstawać, że się jest niewinnym? W ten sposób nie wykręcisz się od śmierci, która cię czeka.

— Jak to od śmierci? Kto mógłby mnie skazać na śmierć za to, że łotrowi spod ciemnej gwiazdy za jego sprawki wygarbowałem skórę?

— My, señor! My was skazemy, a wy musicie się z tym pogodzić. I radzę wam, byście nie próbowali protestować, bo to się na nic nie zda.

Zginiecie obaj, a my nie możemy nic dla was uczynić... chyba jedno, a mianowicie... złagodzić wam śmierć, jeśli oczywiście leży to w naszej mocy.

— Do diabła! W łagodny czy gwałtowny sposób nie mam ochoty być zamordowanym! Czy pan rozumie? Byłby to mord, zbrodnia z waszej strony!

— Bynajmniej. Postępujemy według prawa wojennego. Jako dowódca siły zbrojnej ogłaszam po prostu w miejscu postoju stan wojenny i na tej podstawie mogę stosować odpowiednie prawo.

— Takie jest wasze głupie „widzimisię”, ale nikt inny go nie uzna, i oświadczam stanowczo, że nie dam sobie wyrządzić krzywdy.

— A ja panu powtarzam, że nie mam ochoty słuchać dłużej tych obelg i jeżeli pan zechce dalej przemawiać do mnie w ten sposób, to będę musiał zastosować środki specjalne...

— Nie boję się pańskich gróźb! Na jakiej podstawie postępuje pan ze mną jak z pospolitym zbrodniarzem?

— Na jakiej? A na takiej: związać go! — I skinął na żołnierzy.

W jednej chwili kilku drabów rzuciło się na *yerbatera*. Bronił się biedak, ile miał sił, ale w końcu związano mu na plecach ręce, co go tak oburzyło, że zaczął wymyślać drabom nie przebierając w słowach. Uspokajałem go, lecz bezskutecznie. Domagał się, bym go bronił, a gdy nie posłuchałem, zaczął wymyślać i mnie. Wkrótce doprowadził do tego, że związano mu również nogi i rzucono na piasek.

Była chwila, w której miałem ochotę wydobyć rewolwer i napędzić opryszkom trochę strachu, ale po namyśle dałem spokój, bo to pogorszyłoby jeszcze nasze położenie. Czekałem cierpliwie na moment, w którym będę mógł wysunąć się z otaczającego mnie kręgu opryszków, a wówczas — myślałem — dosięgnę konia i umknę. Mieli oni wprawdzie karabiny, lance i lassa, ale tej broni wcale się nie lękałem. Natomiast obawę wzbudzały we mnie bole. Osobliwą tę broń uważałem w istniejących okolicznościach za najniebezpieczniejszą, bo jak mógłbym się bronić, gdyby pięćdziesięciu ludzi zaczęło we mnie nią miotać!

Z zimną krwią więc czekałem, co będzie dalej. Na Montesa nie liczyłem już wcale, gdyż leżał na ziemi skrępowany jak baran, którego wkrótce miano zarznąć. Raczej on mógł liczyć na moją pomoc. Ale w jaki sposób miałbym mu jej udzielić — aż do tej chwili nie miałem pojęcia.

Tymczasem major zwrócił się do mnie:

— Spodziewam się, że widząc, do czego prowadzi krnąbrne zachowanie, nie będzie mi pan utrudniał urzędowania. Niechże się pan podda spokojnie swemu losowi!

— Poddać się nieuniknionemu losowi nie jest żadną sztuką. Ale jak długo nie wierzę w to, że jest on nieunikniony, nie myślę poddawać się panom.

— Niech się pan zastanowi trochę, a dojdzie do przekonania, że nie ma dla pana żadnego ratunku!

— Z tym właśnie nie mogę się pogodzić. Bezprawnie pozbawiliście mnie wolności i bezprawnie usiłujecie mnie sądzić.

— A ja pana zapewniam, że mamy do tego prawo.

— Wobec tego wysłuchajcie mnie spokojnie. Jestem *caballero* i sądzę, że mam do czynienia również z *caballerami*. Dlatego też mogę chyba spodziewać się, że nie postąpiacie ze mną jak zbóje i że będziecie przestrzegali zasad prawa.

— Prawo w tym wypadku to drobnostka, najważniejsze, że pan gotów jest odpowiadać otwarcie i rzeczowo. Proszę mi zatem powiedzieć, czy przyznaje się pan do usiłowania morderstwa w Montevideo?

— Niestety, nie mogę na to odpowiedzieć w sposób, który by pana zadowolił, gdyż nie usiłowałem zabić nikogo w Montevideo.

Major wydobył papierosnicę i, poczęstowawszy mnie papierosem, ciągnął dalej:

— Obiecał pan zachowywać się jak *caballero* i mam nadzieję, że dotrzyma pan słowa. Proszę, niech pan zapali. — Tu podał swego papierosa, abym od niego odpalił. — Proszę też nie rozwódzić się zbyt długo i wyznać wszystko od razu.

Zapaliwszy papierosa, podziękowałem skinieniem głowy i rzekłem:

— Gdyby nawet mogła być mowa o przyznaniu się do czegoś, to musiałyby je poprzedzić różne formalności, których dotychczas panowie nie dopełnili.

— Czego to nie dopełniłszy? Proszę mówić, słuchamy.

— Otóż przede wszystkim, powtarzam, że nie macie prawa do ferowania wyroków. A gdybyście nawet je mieli, musielibyśmy wiedzieć coś o sobie wzajemnie. Oskarżeni powinni wiedzieć, co to za sąd, przed którym ich postawiono, należałoby więc wymienić nazwiska sędziów oraz nazwiska świadków; dalej musiałby oskarżać z ramienia rządu prokurator, a

oskarżonym przydzielono by obrońców... Tego wszystkiego zaś tutaj nie ma. Przyzna więc pan sam, że mam słuszość.

— Nie przeczę, ale niestety nie mamy czasu na tego typu formalności, które właściwie są bez znaczenia. Oskarżono panów i my wydamy wyrok śmierci; to rzecz główna i zasadnicza, wszystko inne zaś jest drobnostką. Że jednak zachowuje się señor o wiele przyzwoiciej niż pański towarzysz, mogę panu zrobić przyjemność i oznajmić, że jestem majorem gwardii narodowej i nazywam się Cadera. Przypuszczam, że nazwisko to nie jest panu obce.

— Niestety, pierwszy raz je słyszę, a to z tej prostej przyczyny, że w kraju tym bawię zaledwie od trzech dni.

— Nic to nie szkodzi, skoro pan poznał mnie teraz osobiście. Przedstawię też panu swoich kolegów.

— Dziękuję. Wystarczy, że znam pańskie nazwisko.

— Cieszy mnie to, gdyż przekonuję się naprawdę, że mam do czynienia z caballero. Zarazem jest mi ogromnie przykro, iż pomimo pańskiego wykształcenia i godności zmuszony będę pana powiesić. Zapewne przebaczy mi pan to jednak, gdyż wykonuję tylko swój obowiązek.

— Ja zaś — rzekłem na to — żałuję ogromnie, że sprawię panu pewną przykrość, ale muszę oświadczyć, że moją śmierć uważam za coś bardzo wątpliwego...

— Wkrótce zmieni pan zdanie. Znane nam są pańskie przestępstwa, a śmierć pańska jest już postanowiona.

— Jak się nazywa człowiek, który nas oskarża?

— Señor Mateo Zarfa. Podobno poznał go pan w drodze.

— Czy to kupiec z zawodu?

— Nie. Był nim kiedyś, obecnie jest przedsiębiorcą.

— Tak przypuszczałem... A więc nie jest on komisarzem policji... okłamał nas bezczelnie...

— Nic to naszej sprawie nie szkodzi. Spotkał się z nami, wniósł skargę i oczywiście nie wolno mu było niczego przemilczeć. Teraz zna pan mnie i jego, a o to właśnie panu chodziło. Aby zadośćuczynić jednak wszystkim żądaniom, pańskim, wypada sprawdzić jeszcze personalia oskarżonych. Z towarzyszem pańskim nie myślę już wdawać się w rozmowę, gdyż dopuścił się obrazy trybunału sądowego. Pan zaś, jak się przekonałem, należy do ludzi dobrze wychowanych i inteligentnych, więc poproszę go o wyjawienie mi nazwiska swego przyjaciela.

— Señor Mauricio Monteso, współwłaściciel tej właśnie estancji, z której nas przed chwilą wprowadziliście.

— Myli się pan. Towarzysz pański nie jest tym, za kogo się podaje.

— Owszem, panie, ja to poświadczam.

— Pańskie świadectwo nie ma tu znaczenia, gdyż pan sam jest oskarżony. Przyjaciel pański jest zwykłym yerbaterem, który kręcił się dłuższy czas po Montevideo jako podżegacz i spiskowiec, a pan dał mu się obalamucić. Zostawmy to jednak i zajmijmy się pańską osobą. Twierdzi pan, że jest cudzoziemcem i że w kraju tym znajduje się od paru dni zaledwie. Czy może pan to udowodnić?

— Mam paszport.

— Proszę mi go pokazać.

Właściwie nie powinienem dawać mu do rąk tak ważnego dokumentu, bo było do przewidzenia, że mi go nie odda. Niestety, za majorem stało pięćdziesięciu ludzi, wobec czego rad nierad wydobyłem portfel i wyjąwszy zeń paszport oddałem mu go spokojnie.

Major przeczytał dokument, złożył go następnie i schował do kieszeni. Wreszcie zapytał:

— Czy to istotnie pański paszport?

— Nie podróżuję nigdy z cudzym paszportem, señor.

— I jest pan istotnie tym samym, na którego dokument wydano?

— Zdaje mi się.

— Wierzę, bo nie wygląda pan na kłamcę. Ma pan jednak zapewne przy sobie i inne rzeczy. Oskarżony zaś nie powinien mieć przy sobie nic. Niech więc pan odda mi swoje pieniądze.

— Proszę — odrzekłem, dając mu portfel i sakiewkę.

— Tchórz! — krzyknął na stronie oburzony moim postępkami Monteso, na co jednak nie zważałem, patrząc uważnie na kieszeń, do której major schował mój majątek. Kieszeń ta znajdowała się na zewnątrz niebieskiego, zdobionego złotymi sznurami kabata.

— Jak widzę, ma pan i zegarek — ciągnął dalej. — Przepraszam pana, że i o ten przedmiot upomnieć się muszę.

— Oto jest — odrzekłem posłusznie.

Major schował zegarek do drugiej kieszeni i spytał:

— Czy ma pan przy sobie jeszcze coś do skonfiskowania?

— Niestety, przykro mi bardzo, ale... oddałem już cały mój majątek i nie mam nic więcej dla pana.

— Broń pańską i konia biorę również... Przyzna pan chyba teraz, że los jego zależy wyłącznie od nas?

— Przyznaję.

— Cieszy mnie to i spodziewam się, że podda się pan swemu losowi z rezygnacją. Formalności, których pan pragnął, zostały już dopełnione. Teraz pozostaje do załatwienia rzecz główna, a mianowicie pańskie zeznania. Pytam więc raz jeszcze, czy przyznaje się pan do usiłowania morderstwa?

— O tym nie może być mowy, gdyż na nikogo nie napadałem i właśnie jestem tym, którego zamordować usiłowano.

„Wysoki sąd” właściwie nie zwracał uwagi na moje odpowiedzi. Zajmowało go bardziej to, że oddałem pieniądze i zegarek. Pan „major” słuchał też słów moich jakby od niechcenia.

— A zatem upiera się pan przy swoim?

— Tak jest.

Tu wystąpił rzekomy „komisarz”:

— To kłamstwo! Powtarzam, że ten właśnie człowiek, napadł na mego przyjaciela i wraz z *yerbaterami* ścigał go aż do jego domu, gdzie go omal nie zabili.

— Słyszysz pan? — wtrącił major. — Świadek nazywa pańskie twierdzenie kłamstwem.

— Ma prawdopodobnie do tego swoje powody. Zresztą gdyby chciał, mógłby mnóstwo podobnych bajek z dobrym skutkiem naopowiadać, gdyż jemu pan wierzy, a nie mnie.

— Rozumie się, że muszę przede wszystkim wierzyć jemu.

— A jednak powiedział pan przed chwilą, że nie wyglądam na kłamcę.

— Tak, ale tylko w tej kwestii, o której była mowa wówczas.

— A jeżeli ja dowiodę, że świadek jest właśnie łotrem, nie zasługującym na wiarę? Jeżeli udowodnię na przykład, że okradł on swoich chleboborców?

— To nie należy do rzeczy, señor. On pana oskarża i to mi wystarcza do wydania wyroku śmierci. Teraz pozostaje jeszcze do rozpatrzenia zbrodnia zdrady stanu i spisek w celu wzniesienia rewolucji. Co pan ma na ten temat do powiedzenia?

— To, że trudno mi samemu pojąć, w jaki sposób i z jakich pobudek mógłbym się dopuścić podobnej zbrodni.

— Mówi pan nieprawdę i udowodnimy to natychmiast. Señor Mateo, co pan słyszał w ogrodzie Rixia w San Jose?

Pytanie to było istotnie dla mnie niespodzianką. A więc łotr ten, który niegdyś był praktykantem u Rixiów i znał rozkład domu oraz ogrodu, zakradł się tam widocznie i podsłuchiwał naszą rozmowę. Byłem bardzo ciekawy, co ma do powiedzenia w tej materii.

— Podczas mego pobytu w San Jose — zaczął — odwiedziłem swego znajomego, który służy u Rixiów. Weszliśmy obaj do ogrodu i słyszeliśmy rozmowę, jaką prowadził w altanie ten

cudzoziemiec z señorem Rixio i jego synem. Oświadczyli oni, że Latorre'a należy koniecznie obalić. Ponieważ zaś cudzoziemiec jest do niego łudząco podobny, postanowiono wyzyskać tę okoliczność w taki sposób, że miał się on udać w północne strony kraju, aby tam, podając się za Latorre'a, przygotować powstanie. Tymczasem spiskowcy mieli pojmać Latorre'a i ukryć go w jakimś odległym folwarku, aby potem nie mógł udowodnić, że nie miał z tym wszystkim nic wspólnego i aby uwierzono, że właśnie on, a nie kto inny, wywołał rozruchy.

Byłem zdumiony. Człowiek ten na pewno słyszał naszą rozmowę, ale obrócił, jak to mówią, kota ogonem. Złożywszy teraz zeznanie, obrzucił mnie tak tryumfującym i bezczelnym spojrzeniem, że nie wahałbym się zmiażdżyć go w tej chwili na miejscu.

Żołnierze jednak, słuchając tego opowiadania, zachowywali się tak, jakby o wszystkim już wcześniej wiedzieli i teraz ciekawi byli, co ja na to odpowiem.

— Słyszałeś, señor? — zapytał major. — Cóż pan na to?

— Kłamstwo! Wszystko to kłamstwo!

— Tak? Może nie był pan u Rixiów w San Jose? Może nie siedział z obydwojma señorami w altanie?

— Tego nie mogę zaprzeczyć.

— I nie mówiliście o polityce i o Latorre'em?

— Owszem, mówiliśmy.

— A czy pan wie, że jest łudząco podobny do Latorre'a?

— Mówiono mi o tym.

— I to samo właśnie jest już najlepszym dowodem prawdziwości słów Matea.

— Do prawdziwości jego zeznań bardzo jeszcze daleko. Mówiliśmy o Latorre'em, ale zupełnie co innego.

— Jednak nie udowodni pan tego?

— Nawet bardzo łatwo. Czy wie pan, że Rixio junior jest oficerem?

— Znam go osobiście. Należy do partii colorado.

— A wy? Do jakiej partii wy należycie?

— Przepraszam! Pan ma tylko odpowiadać, a nie zadawać pytania.

— Dobrze. Niechże pan zapyta rotmistrza Rixia, a dowie się, że Mateo bezczelnie skłamał.

— Na to nie mamy czasu. Przepisy sądu wojennego wymagają szybkiego działania.

— Róbcie więc sobie, co chcecie... Odpowiedzialność za wasze postęпки na was bowiem spadnie.

— Odpowiedzialność tę przyjmuję bez żadnej obawy, gdyż mogę udowodnić, że zaakceptował pan ich plany.

— Proszę, proszę to uczynić...

— Zaraz señor. Mateo ma głos.

— I nie była to taka sobie zwykła rozmowa — mówił dopuszczony do głosu Mateo. — Omówiono bowiem wszelkie, nawet najdrobniejsze szczegóły planu, a cudzoziemiec, podjąwszy się powierzonego mu zadania, otrzymał pismo polecające i przekaz na pieniądze. Obydwa te dokumenty miał oddać w Salto. Na wszelki wypadek jednak sporządzono odpisy i powierzono je *yerbaterowi* do przechowania.

— Przyznaje się pan do tego? — zapytał major.

— To kłamstwo!

— Na nieszczęście pańskie możemy udowodnić, że to nie kłamstwo, lecz prawda. Mateo wie, gdzie pan przechowuje te papiery.

— To ciekawe, że wie on o mnie więcej aniżeli ja sam.

— Niech się pan dobrze zastanowi i przypomni sobie wszystko dokładnie. Mateo podpatrzył Montesa i gotów jest wskazać, w którym miejscu ukrył on duplikaty.

— Co? Jakie duplikaty? Czyście powariowali? — ozwał się Monteso.

— No, no! — mruknął Mateo. — Nie obrażaj mnie. Masz papiery zaszyte w kubraku.

— Do licha! Sam jestem ciekaw...

— Wobec tego oświadczenia świadka może panowie oficerowie zechcą się przekonać, czy tak jest w istocie.

Wszyscy członkowie „trybunału” wojennego powstali z miejsc i zbliżyli się do Montesa, a Mateo ściągnął z niego kubrak i wydobył spod podszewki papiery, które oddał do rąk majora.

— Oto dowód! — rzekł. — Teraz może te draby nie będą już tak beczelnie wypierały się wszystkiego.

— To chyba diabelska sztuka! — krzyknął Monteso wzburzony.

— Milcz! Nie pakuj się sam w większe jeszcze nieszczęście! — ofuknął go major. A zwróciwszy się do Matea, dodał: — Czy i cudzoziemiec ma przy sobie takie papiery?

— Owszem, ma przy sobie oryginały.

— Czy pan to przyznaje? — zwrócił się do mnie oficer.

— Tak! — odrzekłem bez wahania.

Warto było zobaczyć głupią minę Matea, gdy usłyszał to „tak”. Był bowiem przekonany, że się wyprę, gdyż wiedział, że o żadnych papierach nie mam najmniejszego pojęcia.

— To bardzo dobrze! — zauważył major. — Cieszy mnie, że pan, istotnie, jako prawdziwy caballero, przyznaje się otwarcie. Gdzie są te papiery?

— Tego nie wiem, bo nie ja zaszywałem je w ubraniu. Uczynił to Mateo... niech więc on wskaże panu to miejsce!

— Co? Żartuje pan? Mateo ukrył w pańskim ubraniu kompromitujące papiery?

— Tak jest. Podjąwszy się wykonania na nas zemsty, dołączył do naszej grupy w Montevideo, aby w drodze znaleźć sposobność wciągnięcia nas w pułapkę. Przewidziałem jednak jego zamiary i odpędziłem go, więc od tej chwili dążył za nami potajemnie. Wiedząc, że zatrzymam się u Rixiów, i znając rozkład domu, jako były praktykant w sklepie tego pana, zakradł się do ogrodu i podsłuchiwał naszą rozmowę. Zaznaczam tu jednak, że podczas tej rozmowy nie wypowiedziałem ani jednego nieprzychylnego dla rządu słowa. Ale Mateo przekreślił wszystko na swój sposób i nawet postarał się o sfałszowanie dowodów, potwierdzających jego kłamstwo. Podczas tertulii u Rixiów, gdy bawiłem się w salonie, zakradł się do mego pokoju, wlaź pod łóżko i, gdy usnąłem, wyszedł stamtąd po cichu, by wszyć w moje ubranie papiery, które sam sporządził...

— A mnie się zdaje — przerwał major — że ta historia jest jedynie pańskim wymysłem.

— Nie, panie, jest to szczerą prawdą. Spostrzegłem nawet w nocy Matea, ale było zbyt późno, więc zrezygnowałem ze schwytania go. Rano znalazłem w swoim pokoju kawałek czerwonej nici i teraz dopiero wiem, skąd się ona tam wzięła. Mateo wiedział, że moja kurtka ma podszewkę czerwoną, więc postarał się o takie nici i zapewne podczas mojego snu wszył owe papiery. Później, w drodze już, *yerbaterzy* na pewnej stacji spali pod brogiem, Mateo zakradł się do nich i wsunął w ubranie Montesa znalezione przy nim „dokumenty”.

— Ależ to bajki! Głupie bajki, których słuchać nie warto! — drwił Mateo.

— Niech to pana nie drażni — rzekł major. — Nie wierzę w te brednie. Czy zapamiętał pan miejsce, w którym ten cudzoziemiec ukrywa owe dokumenty?

— Bardzo dokładnie. Za podszewką na plecach. Sam stary Rixio dał mu igłę i nici, aby je zaszył.

— Proszę mi wskazać palcem to miejsce.

— Tutaj! — Drab dotknął moich pleców.

Sięgnąłem dłonią i istotnie poczułem tam jakiś przedmiot. Zdjąłem kurtkę, której podszewka uszyta była z delikatnego futerka jelonka, i spostrzegłem, że w jednym miejscu szew był rozpruty, a następnie zszyty szerokimi ściegami. Poprosiłem majora, by mi dał nóż, i rozpruwszy ścięgi wydobyłem dwa papiery, podobne do tych, które znaleziono u Montesa.

Bardzo byłem ciekawy treści tych „dokumentów”, ale major odebrał mi je szybko.

Teraz dopiero przekonałem się, że życie moje było poważnie zagrożone. Kto to wszystko obmyślił i za co mścił się tak srodze, dowiedziałem się dopiero później. Chciano usunąć mnie spośród żyjących za wszelką cenę, a powodem było... moje podobieństwo z Latorre'em!

Oficerowie, dostawszy do rąk papiery, zajęli ponownie miejsca i czytali je kolejno. Po przeczytaniu zaś naradzili się ze sobą po cichu, po czym major rzekł do mnie:

— Teraz jesteśmy już najzupełniej przekonani o pańskiej winie i mam nadzieję, że nie będzie pan nawet próbował się wypierać.

— Nie przeczę.

— Bardzo ładnie, że się pan przyznaje...

— Przepraszam — przerwałem mu — o przyznaniu się ani myślę. Nie zrozumiał mnie pan. Wypierać się można tylko czegoś, czego się istotnie dokonało. Że jednak ja nie poczuwam się do żadnej z zarzucanych mi zbrodni, więc i wypierać się nie mam potrzeby. O papierach nie miałem najmniejszego pojęcia. Mateo sam podłożył je nam podstępnie.

— Nie weźmie mi pan za złe, gdy zauważę — mówił major — że tak panu, jak i jego towarzyszowi nie brak fantazji. Jeżeli jednak sądzicie, że niedorzeczne wasze pomysły przekonają nas, grubo się mylicie. Co do mnie, traktowałem pana uprzejmie i miałem nadzieję, że pan to doceni odwiedzając mi się szczerością, jak przystało człowiekowi honoru...

— Dziękuję za zaufanie, ale pomimo wdzięczności nie mam zamiaru dać się powiesić za to jedynie, że pan traktuje mnie jak szlachcica. Czy nie mógłbym poznać treści tych papierów?

— To niemożliwe. Sprawa jest tak ważna, że musi być utrzymana w tajemnicy. Twierdzi pan zatem, że treść owych dokumentów jest panu nie znana?

— Nie mam o niej najmniejszego pojęcia.

— Ale zgadza się pan z tym, że papiery znaleziono u pana?

— Oczywiście.

— To nam wystarczy. Czy ma pan coś na swoją obronę?

— Nic. Mógłbym zresztą powiedzieć jeszcze niejedno, ale wiem, że szkoda każdego słowa.

— Dobrze. Teraz udamy się na naradę, by wydać wyrok, który będzie wykonany natychmiast.

Podczas gdy członkowie trybunału po cichu rozmawiali ze sobą, Monteso szepnął do mnie:

— Nie pojmuje pana. Zachowuje się pan jak tchórz! Rozstrzelają nas...

— Mnie... tak, ale nie pana. Tu idzie wyłącznie o moją osobę.

— Wątpię bardzo.

— A ja jestem najmocniej przekonany, że pana nie stracą... Bez szwanku z tej całej afery jednak pan nie wyjdzie.

— Niestety! Jakże zbłądziłem, lekceważąc pańskie przestrogi!

— Nie czas teraz na żale... Szkoda tylko, że jest pan związany... Może jednak zdoła się pan uwolnić, dam panu do tego sposobność...

— W jaki sposób?

— Ucieknę i cała banda rzuci się za mną, a tymczasem pan może również czmychnąć.

— To niemożliwe! Myśleć nawet o tym nie chcę...

— Dla mnie zaś wykonanie tego planu ma tak ogromne znaczenie, że jest mi obojętne, co ci ludzie teraz w mej sprawie uradzą.

— Ale pan nie zdoła nawet dotrzeć do konia! Przecież odprowadzili pańskiego gniadosza umyślnie tak daleko, by go pan nie mógł dosiąść. A gdyby zresztą i udało się panu dopaść konia, pierwszy rzut boli połamię nogi rumakowi.

— Ja ucieknę im pieszo.

— To tym pewniej dogonią pana.

— Zobaczymy. Przede wszystkim nie trać pan nadziei. Ucieknę i skieruję się wprost do estancji...

— Koni jest dość i mój brat będzie zapewne już w domu.

— Przyjedziemy tu obaj, aby panu pomóc, tylko niech pan nie da poznać po sobie, że na to liczy. Dowiodę panu, że nie jestem tchórzem, i naprawdę bardziej obawiałbym się trzech czy czterech Indian niż tych pięćdziesięciu ludzi. Jestem też pewny, że ucieczkami się uda. Przedtem jednak muszę naszemu oskarżycielowi, pocziwemu Mateo, zostawić pamiątkę na całe życie.

Cały plan miałem już w głowie. Nie potrzebując do wykonania go rewolwerów, gdyż przewidywałem, że nóż wystarczy mi najzupełniej, zacisnąłem paski u cholew, aby woda nie dostała się do obuwia i nie zamoczyła broni. Indianin od razu by wiedział, co zamierzam, ale otoczenie moje nie zwróciło najmniejszej uwagi na moje przygotowania.

Rada wojenna skończyła się właśnie i członkowie jej powstali z miejsc. Z min ich poznać było można, jaki na nas wyrok wydali. Wyglądało to wszystko jak głupia komedia, gdyż wyrok ten był im znany jeszcze przed „osądzeniem” sprawy i ciekawi byli tylko, jak go przyjmiemy.

Ja byłem przygotowany na najgorsze. Ponieważ jednak nigdy nie tracę nadziei i do ostatniej chwili rąk nie opuszczam, więc teraz też obmyślałem plan ratunku. Jediną drogą ucieczki była woda, gdyż w niej mogłem nie obawiać się boli. Rzeka była wąska i głęboka, a te dwie okoliczności dodawały mi otuchy. Raz, dwa razy wyteżyc siły i jest się po tamtej stronie. Co zaś się tyczy moich rzeczy, które przywłaszczył sobie major, to wcale nie myślałem się ich wyrzekać. Widziałem, że major umieścił je w zewnętrznej kieszeni. Zegarek mój miał szczelną kopertę, a portfel zrobiony był z nieprzemakalnej skóry i zamykał się prawie hermetycznie, nie było więc obawy, aby rzeczy te w wodzie się zniszczyły. Że podczas przeprawy przez rzekę kurtka moja ucierpi, nad tym ubolewać nie miałem potrzeby. Konia również nie zamierzałem zostawić na łup opryszkom i obiecywałem sobie odebrać go później, gdy wrócę, aby uwolnić Montesa.

Gdy rozmyślałem o tym, „sędziowie” skończyli naradę, a major wstał z siodła i zaczął głosem uroczystym:

— Wysoki sąd postanowił, a ja, jako jego przewodniczący, ogłaszam, co następuje: uwalnia się señora Montesa od winy i kary za usiłowanie morderstwa, natomiast uznaje się winnym zbrodni uszkodzenia ciała oraz należenia do spisku, mającego na celu zamach przeciw ojczyźnie. Ponieważ jednak zamach ten nie doszedł do skutku, a podsądny w tej sprawie był tylko pomocnikiem, skazuje się go na dziesięć lat ciężkiego więzienia. Kara rozpocznie się natychmiast.

— A co! Nie mówiłem, że tu nie chodzi o pańską skórę? — szepnąłem do Montesa.

— Tak, o skórę im nie chodzi, ale o okup.

— I mnie się tak zdaje.

— Następnie — ciągnął dalej major — wysoki sąd, przekonawszy się, że towarzysz Montesa był właściwym sprawcą ciężkiego uszkodzenia ciała niewinnego człowieka oraz zdrady naszej ojczyzny, wydaje na niego wyrok śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok ten będzie wykonany bezzwłocznie.

Oczy wszystkich zwróciły się na mnie, ja jednak zachowałem spokój marmuru.

— Czy zasądzeni mają coś do powiedzenia?

— Ja nie — odrzekł Monteso, zaciskając zęby. — To, co mógłbym powiedzieć, usłyszycie ode mnie później.

Głos jego drżał, a twarz była blada jak płótno. Widocznie stracił już wiarę w powodzenie planowanej przeze mnie ucieczki, od której i jego los zależał. Ja przeciwnie, byłem pewny siebie i zupełnie spokojny. Dowiedziona to zresztą rzecz, że w obliczu bliskiego niebezpieczeństwa zazwyczaj trwoga ustaje, a miejsce jej zajmuje śmiała rezygnacja. Uczeń na przykład przez kilka tygodni przed egzaminami może odczuwać lęk, ale gdy nadejdzie ich chwila, pierwsze pytanie lęk ten rozwiewa.

— A pan? — zapytał mnie major — co ma pan do powiedzenia?

— Ja mogę tylko oświadczyć, że nie uznaję w was swoich sędziów... Nie macie najmniejszego prawa sądenia kogokolwiek, a tym bardziej mnie, obcokrajowca. A gdybyście i mieli to prawo, to powinniście wiedzieć, że zasądzonemu przysługuje apelacja do wyższych instancji, wobec czego o natychmiastowym wykonaniu wyroku nie może być mowy. Zaznaczam przy tym, że nie jestem obywatelem tego kraju, i żądam, aby powiadomiono o mojej sprawie przedstawiciela państwa, do którego należę.

Na te słowa „członkowie sądu”, jak to zresztą przewidziałem, wybuchnęli gromkim śmiechem, a major rzekł:

— Oświadczam panu, że tego rodzaju żądania do niczego nie doprowadzą. Uważamy się za uprawnionych do wykonania wyroku. Czy oprócz tego ma pan jeszcze coś do powiedzenia?

— Owszem, prosiłbym o kilka rzeczy.

— Proszę mówić, a jeśli uznam to za stosowne, postaram się spełnić pańskie życzenie.

— Pragnąłbym wiedzieć, jak długo jeszcze mam żyć, panie majorze? Zapytany wyjął mój zegarek, spojrzał nań i odrzekł:

— Powiedzmy... kwadrans. Czy zdoła pan przygotować się na śmierć w tak krótkim czasie?

— O, z pewnością. Chciałbym jednak umrzeć jak caballero, z otwartymi oczyma i nie związany.

— Na to pozwolić nie mogę, bo tego zabraniają przepisy wojskowe. Przywiązany pana i zasłonimy oczy.

— Może więc mógłbym zobaczyć przynajmniej miejsce, w którym mam wydać ostatnie tchnienie?

Major rozejrzał się i wzrok jego spoczął na pniu drzewa rosnącego tuż nad wodą.

— Czy podobałoby się panu to drzewo? — zapytał i wskazał upatrzone miejsce. — Może się pan oprzeć o nie, aby żołnierze mieli pewny cel.

— Mogę stanowić dla nich dobry cel i bez opierania się o drzewo. Nie boję się śmierci i nie padnę ze strachu.

— Ma pan jeszcze jakieś życzenie?

— Jeszcze jedno, ale nie dotyczy ono mnie, a pana.

— Ach, mnie? Proszę!

— Pragnąłbym, aby wykonanie tego wyroku nie wpłynęło na pana stosunek do mnie i żebyśmy pozostali przyjaciółmi, gdy się znowu zobaczymy.

— No, cóż — rzekł major. — Proszę się nie obawiać, gdyż sądzę, że nasze spotkanie nastąpi tam, gdzie milknie wszelka nienawiść.

— Byłbym przy tym bardzo zobowiązany, gdyby pozwolił pan łaskawie memu przyjacielowi być świadkiem mojej śmierci. Leży on związany i nie będzie mógł widzieć dokładnie tego aktu. Niech pan rozkaże, majorze, by zdjęto więzy z jego nóg. Przecież już związane ręce nie pozwolą mu uciec.

— Dobrze, spełnię to życzenie. — I zwrócił się do jednego z żołnierzy: — Rozwiązać nogi Montesa!

Żołnierz wykonał rozkaz. Jednocześnie zbliżył się do mnie Mateo, trzymając w jednej ręce łąso, a w drugiej chustkę.

— Czego pan chce? — zapytał go major.

— Chcę związać skazańca. Czynność ta należy do mnie, gdyż byłem w jego sprawie świadkiem.

I nie czekając, czy major na to pozwoli, zbliżył się do mnie ze słowami:

— Czas już! Proszę dać ręce w tył.

— Po co? — zapytałem.

— Bo już nadeszła chwila zasłużonej kary.

— Najpierw jednak ty poniesiesz swoją, łajdaku! — rzekłem i, ścisnąwszy pięść twardo, uderzyłem go w nos z taką siłą, że mu się całkiem rozpląszczył, a krew popłynęła strumieniem. Drab zatoczył się i nieprzytomny runął na ziemię.

Nikt z obecnych — dziwna rzecz — nie podbiegł mu na pomoc; przeciwnie, widać było pewne zadowolenie na twarzach opryszków. Zresztą zawsze tak bywa, że zdrajcami brzydzą się przede wszystkim ci, którym się oni wysługują.

Major ozwał się tylko oschle:

— Co to? Rzuca się pan na człowieka w mojej obecności?

— Mógł mnie zostawić w spokoju. Bo zresztą kto tu rozkazuje: on czy pan? Przykro by mi było umierać, nie zapłaciwszy łotrowi honorarium, które mu się ode mnie należało...

— Daruje pan, ale kwadrans już dobiega... Dam panu dowód swej życzliwości i sam przywiążę pana do drzewa. Proszę za mną!

— Czy pan już wyznaczył żołnierzy, którzy wykonają egzekucję?

— Zaraz to uczynię.

— Pozwoli pan, że pożegnám się jeszcze ze swoim przyjacielem... Chwyciłem Montesa w ramiona i zacząłem go ścisnąć, szepcząc mu do ucha:

— Rzucę panu nóż. Niech się pan postara rozciąć nim lasso na rękach.

Nadeszła wreszcie „ostatnia” moja chwila... Koło żołnierzy rozwarło się i major poprowadził mnie do drzewa. Nikt z bandy nie okazał mi najmniejszego współczucia; widocznie stracenie człowieka było dla tych ludzi czymś zupełnie zwykłym i naturalnym. Major, wzięwszy lasso i chustkę porzuconą przez Matea, rzekł do mnie:

— A więc, señor, nadeszła chwila... Widzę, że jest pan odważny i nie zadrżysz.

— Proszę się o to nie niepokoić, panie majorze... A czy mógłbym wiedzieć, co się stanie z moimi rzeczami?

— Odeślę je do wyższej władzy; zresztą panu one nie będą już potrzebne. Proszę dać ręce w tył...

Trzymał w ręku rzemień, żołnierze zaś przygotowywali broń. Monteso patrzył na mnie jak na człowieka bezpowrotnie zgubionego.

— A jednak, panie majorze — odrzekłem — te rzeczy będą mi potrzebne i żądam stanowczo ich zwrotu.

— Jak to pan rozumie? — zapytał zdziwiony.

— Ano tak. Proszę uważać.

I chwyciwszy w jednej chwili obiema rękami za kurtkę przy jego kołnierzu, oderwałem cały jej przód wraz z kieszenią. Następnie wyrwawszy mu zza pasa dwa moje noże, wzięłem jeden w zęby, a drugi rzuciłem w stronę Montesa.

— Hola, señor! Do czego... — krzyknął major, ale już nie zdążył dokończyć, gdyż porwałem go za kołnierz i, skacząc do rzeki, pociągnąłem własnym ciężarem w fale.

Wszystko to stało się błyskawicznie i żołnierze, nie przygotowani na tego rodzaju niespodziankę, struchlawszy na razie, stali beczynnymi z bólami w rękach, a major, znalazłszy się nagle w rwących falach rzeki, odruchowo borykał się z prądem, silną dłonią trzymany przeze mnie za kołnierz.

W nasadzonym głęboko na uszy kapeluszu, by mi go fale nie zerwały, w nieprzemakalnym ubraniu, tak obcisłym, że nie stanowiło w wodzie zbyt wielkiej przeszkody, czułem się jak ryba; umiałem zresztą od dawna poruszać się swobodnie w tym żywiole.

Majora pociągnąłem za sobą nie po to, by go utopić, lecz aby utrudnić pogoń za sobą. Gdybym go zostawił na brzegu, on pierwszy rzuciłby się za mną do wody i wówczas, zamiast być stroną atakującą, musiałbym się bronić, co byłoby dla mnie niebezpieczniejsze. Poza tym podkomendni jego, zaskoczeni takim obrotem sprawy, musieli przede wszystkim ratować swego dowódcę, odkładając pogoń za mną na drugi plan.

Wypuściwszy z rąk kołnierz oszołomionego majora, obejrzałem się ku brzegowi. Żołnierze potracili głowy. Jedni biegali nad wodą z przygotowanymi do rzutu bolami, inni zaś z flintami przy ramieniu czekali na odpowiedni do strzału moment. Spostrzegłszy to, dałem nurka, a gdy po chwili wynurzyłem głowę dla zaczerpnięcia powietrza, woda zerwała mi z głowy kapelusz i musiałem go gonić. W tej chwili rozległ się odgłos strzałów, a rwetes wśród żołnierzy zwiększył się jeszcze; ci i owi wrzeszczeli przeraźliwie, rzucając ku mnie raz po raz bole i jedna z nich omal mnie nie dosięgła. Na szczęście, przepłynąłem już z prądem rzeki prawie dwie trzecie jej szerokości i wystarczyłoby jedno zanurzenie się w wodzie, by osiągnąć stały grunt pod nogami. Dałem więc nurka znowu, ale zamiast wydostać się na brzeg, pozwoliłem się unieść prądowi w dół rzeki, po czym, obróciwszy się na wznak i wychyliwszy nieznacznie na powierzchnię twarz tylko, by móc oddychać, popłynąłem w tej pozycji spory kawał. Manewru tego prześladowcy moi nie dostrzegli. Długo patrzyli w to miejsce, gdzie po raz drugi zniknąłem pod wodą, ja zaś tymczasem, płynąc wciąż na wznak, dobiłem szczęśliwie do brzegu, który w tym miejscu był dosyć wysoki. Nie wyskoczyłem jednak na ląd od razu, tylko wysunąłem nad poziom wody głowę, aby zobaczyć, co się dzieje wśród bandy. W podobny sposób usadwiają się hipopotamy, których płaskie łby z osadzonymi na jednej płaszczyźnie oczami, uszami i nozdrzami są do tego przystosowane doskonale. Dla mnie, oczywiście, pozycja ta była mniej wygodna, ale, wykorzystawszy jakiś korzeń przybrzeżny, uzyskałem zupełnie znośne oparcie. O parę kroków dalej zaczynały się krzaki i zarośla, wysuwające swe obwisłe gałęzie daleko ponad wodę. Przeczekawszy chwilę, posunąłem się w to miejsce i znalazłem znakomitą kryjówkę, gdyż spod gałęzi mogłem już swobodnie rozejrzeć się dokoła.

W tej chwili właśnie wyciągano z wody majora. Nie poruszał się wcale i wydawał się martwy.

Dotychczas żaden z członków oddziału nie ruszył w pogoń za mną i dopiero teraz spostrzegłem, że wsiadali na konie, wciąż obserwując miejsce, w którym zniknąłem im z oczu, i jakby czekając na moment, gdy wydotanę się z wody. Pięciu tylko czy sześciu żołnierzy krzątało się około majora. Wyniósłszy go na brzeg, nachyleni nad nim, cucili go czy też starali się wydobyć od niego rozkazy.

Niebawem troska moja, czy nie mam na sumieniu morderstwa, zniknęła, bo major zerwał się na równe nogi, otrząsnął z wody i cofnął wraz z owymi podkomendnymi w krzaki. Po chwili ukazał się znowu na brzegu, ale już nie pieszo, lecz... na moim gniadoszu.

Przyglądając się ze swej kryjówki, co się wśród oddziału dzieje, zauważyłem nerwowe zaniepokojenie, które dało się spostrzec wśród członków bandy. Do tej chwili bowiem nie byli pewni, czy wydobyłem się z wody, czy też pochłonęły mnie nurty rzeki. Na straży koło Montesa pozostał jeden tylko człowiek, cały zaś oddział szykował się najwyraźniej do pogoni.

Pomimo to myślałem w tej chwili nie o sobie, lecz o moim towarzyszu. Jeżeli kiedy, to teraz właśnie zdarzała mu się najdogodniejsza chwila do ucieczki, bo uwaga wszystkich zwrócona była na rzekę. I przyszło mi na myśl, że Monteso mógłby im się wymknąć wówczas, gdybym pociągnął całą bandę za sobą wychodząc ze swego ukrycia. Postanowiłem uczynić to natychmiast. Zresztą nie mogłem już dłużej siedzieć w wodzie, bo i ubranie zaczynało mi ciążyć, i schowane w nim pieniądze papierowe przemokłyby i zniszczyły doszczętnie. Do wieczora zaś było jeszcze daleko, a zniecierpliwiony dowódca oddziału tak czy owak kazałby w końcu przeszukać krzaki i wówczas znaleziono by mnie w nie nadającej się wcale do obrony pozycji.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, zdecydowałem się opuścić swą kryjówkę. Chwyciwszy się więc jedną ręką gałęzi, wyskoczyłem na brzeg i zwróciłem na siebie uwagę całej bandy. Wśród żołnierzy powstał zgielk i na rozkaz majora rzucili się ku mnie w bród.

Później opowiadał mi Monteso, że i pilnujący go żołnierz nie mógł się powstrzymać od ciekawości i pobiegł nad rzekę, zostawiając go samego. Wówczas *yerbatero* skorzystał ze sposobności, przysunął się ostrożnie na grzbiecie do rzuconego przeze mnie noża i w krótkim

czasie zdołał rozciąć łąso, po czym dosiadł konia. Niestety, jeźdźcy, którzy jeszcze pozostali na brzegu, spostrzegłszy go umykającego, rzucili się za nim w pogoń. Major zaś, widząc, co się dzieje, w pierwszej chwili zawahał się, co czynić: czy ścigać Montesa, czy też puścić się śladem tych, którzy popędzili za mną na drugą stronę rzeki. Rozumie się — bardziej zależało mu na mnie niż na moim towarzyszu, ale mógł być pewny, że mnie pochwycają jego podkomendni, którzy wydostali się na przeciwny brzeg i tam się rozpierzchli.

Ja zaś w chwili owej nie byłem daleko. Kiedy bowiem spostrzeżono mnie z przeciwnego brzegu, aby zmylić pogoń, pobiegłem chyłkiem w górę rzeki, pozostawiając miejsce, w którym się ukazałem, za sobą. Ścigający mnie nie spostrzegli tego manewru i popędzili w tym właśnie kierunku, a o to mi przecież chodziło.

Na brzegu rosły krzaki, stanowiące niezłą kryjówkę, ale nie na długo, bo i tak wytropiono by mnie w nich prędzej czy później. Zdecydowałem się zatem, bez względu na niebezpieczeństwo biec dalej w górę rzeki, uważając ten manewr za jedyny środek ocalenia.

Niewątpliwie sprzyjało mi szczęście, bo chociaż padło kilka strzałów, ale mnie nie trafiono, bole zaś zaplątywały się w krzakach, nie dosięgając mnie. Biegłem w ten sposób ze trzysta kroków, po czym skręciłem w step i zniknąłem drabom z oczu wśród wysokich burzanów. Był to jednak z mej strony fortel, gdyż zamiast podążyć w głąb stepu zawróciłem szybko chyłkiem ku rzece, zmyliwszy pogoń, i słyszałem tylko, jak prześladowcy moi z hałasem popędzili w tamtym kierunku i myszkowali wśród wysokich traw, a nieco poniżej, z drugiej strony rzeki, spostrzegłem majora, jak wyciągnięty w strzemionach oglądał się to w jedną, to w drugą stronę, niepewny dokąd się zwrócić. Nie będąc sam widziany, dostrzegłem to wahanie i wpadła mi szalona myśl do głowy: gdyby go tak dosięgnąć i odebrać mu mojego konia oraz wszystko to, co mi zrabował. Zelektryzowany gwałtowną chęcią wprowadzenia w czyn tego zamiaru, rzuciłem się do wody, kilkakrotnie zanurkowałem, aby mnie nie spostrzeżono, przepłynąłem rzekę z powrotem i już miałem wyskoczyć na brzeg, gdy major, postanowiwszy wziąć udział w pościgu za mną, wjechał w wodę na moim gniadoszu. Nie mogło być dla mnie lepszego obrotu sprawy. Kilka potężnych rzutów ramion wystarczyło, bym znalazł się tuż za nim i w chwili gdy koń jego, przepłynąwszy rzekę, oparł się przednimi kopytami o stały grunt, ja trzymałem się już lewą ręką jego ogona, a w prawej miałem nóż przygotowany do walki. Ważyłem się na nią, gdyż major uzbrojony był tylko w szablę i pistolety, a tych się nie lękałem.

— Señor Cadera! — krzyknąłem nagle, gdy znaleźliśmy się obaj na brzegu.

Usłyszawszy swoje imię, obejrzał się przerażony.

— Carrambo! Czy to pan?

— Ciszej, panie majorze, bo tym oto nożem przebiję pana na wylot! — rzekłem i dodałem natychmiast: — Precz z mego konia!

— Ani myślę! — odparł. — Jeżeli nie wypuści pan z rąk noża, będę strzelał...

I przy tych słowach sięgnął ręką do pistoletu. Nie zdążył go jednak wyjąć, gdyż chwyciłem go za pas i szarpnąłem z taką siłą, że zwałił się na ziemię, a jednocześnie złapałem konia za uzdę. Major, zerwawszy się natychmiast na nogi, rzucił się na mnie, koń zaś począł wierzgać i omal mi się nie wyrwał z ręki. Zorientowawszy się szybko, że mogę przegrać zaczęłą partię, palnąłem przeciwnika w skroń, aż się rozciągnął na ziemi, a następnie, trzymając wciąż konia za uzdę, wyrwałem powalonemu pistolet z za pasa i odrzuciłem daleko w trawę, po czym podjąłem z ziemi drugi, który przed chwilą mu wypadł, i uczyniłem z nim to samo. Odciałem mu też szablę i posłałem za pistoletami. Pozbawiwszy przeciwnika broni, skoczyłem na mego gniadosza i sięgnąłem do torby, aby się przekonać, czy nic z moich rzeczy nie brakuje. Znalazłszy wszystko, co mi zrabował, miałem się już najspokojniej oddalić, gdy major, który miał widać twardą głowę, skoro po takim poczęstunku nie stracił na dłużej przytomności, zerwał się nagle i krzyknął:

— Stój! Jeżeli zrobisz choć krok, o...

Nie dokończył, gdyż, pomacawszy się po boku, nie znalazł ani pistoletów, ani rycerskiej swej szabli.

— Co, panie majorze? — spytałem dobywając zza cholewy rewolwer.

— Radzę mówić ciszej, bo poczuje pan natychmiast sześć kul w głowie.

— Sześć kul — powtórzył przerażony, cofając się odruchowo. — Pan tego nie uczyni. Obchodziłem się z panem bardzo przyzwoicie...

— O, tak! I chciał mnie pan rozstrzelać, człowieka niewinnego...

— Nie mogłem postąpić inaczej, bo miałem taki rozkaz.

— Od kogo?

— Tego powiedzieć nie mogę.

— A jeżeli ja pana zmuszę do szczerości tym oto rewolwerem?

— Może mnie pan zastrzelić... Mimo tej groźby nie powiem panu.

— Nie to nie! Właściwie jest mi obojętne, kto mnie chciał chwycić za kołnierz, skoro kołnierz ów mam jeszcze w całości...

— Ale ja go nie mam. Wydarł mi pan kawałek munduru.

— O, przepraszam! Ale musiałem to uczynić, aby odzyskać swoją własność. Mówiłem przecież panu tam jeszcze, w obozie, że jest mi potrzebny zegarek i pieniądze, a pan nie chciał w to wierzyć.

— Tak. Widzę teraz, że miał pan już wówczas na myśli dalszą podróż, a nie śmierć.

— To się rozumie.

— Diabolo! — mruknął skonfundowany. — To pan już wtedy planował ucieczkę?

— To oczywiste.

— Widzę, że z pana nie lada zuch! Ale, do licha, mam ze sobą pięćdziesięciu ludzi!

— Nic mi oni nie zrobią. A jeżeli pan jeszcze kiedyś spotka Europejczyka, to wiedz o tym z góry, że potrafi on dokonać więcej niż pięćdziesięciu pańskich gwardzystów.

— Hm! Wygląda pan istotnie na diabła.

— Ale bardzo w tej chwili mokrego... — rzekłem uśmiechając się, po czym dodałem: — Żegnaj pana. Proszę poszukać swojej szabli i pistoletów... Rzuciłem je w trawę.

— Dokąd pan jedzie?

— Po co panu ta wiadomość? Czyżby chciał pan ścigać mnie raz jeszcze?

Widziałem, że zaciskał zęby i hamował gniew, upokorzony, że go tak łatwo wystrychnąłem na dudka. Ale udając spokój i pewność siebie, rzekł wyniośle:

— Wymknął się pan tym razem z mojej ręki, ale proszę się mieć na baczności, bo drugi raz nie pójdzie panu tak łatwo. Zemszczę się za to, że mnie pan wyprowadził w pole...

— Nie mam nic przeciwko temu, panie majorze, ale będzie pan musiał odłożyć to na później. Tymczasem... do widzenia.

I po tym miłym pożegnaniu skierowałem gniadosza ku rzece.

Przepełnawszy na drugą stronę, rozejrzałem się dokoła i z radością stwierdziłem, że Montesa nie było w pobliżu, a dwa kawałki pociętego lassa świadczyły wymownie, że udało mu się uciec. Gdy jednak pojechałem nieco dalej, zauważyłem ślady wielu kopyt, a przypatrzwszy się im dokładniej, doszedłem do wniosku, że przyjaciela mego ścigało co najmniej dziesięciu jeźdźców. Być może — pomyślałem — ludzie ci dogonili zbiega... A chociażby nie dogonili, to będą wracali ku rzece tą właśnie drogą, jaką ja sobie wytknąłem, to znaczy od estacji *yerbatera*. W normalnych warunkach nie obawiałbym się tak szczupłej garstki przeciwników, tym bardziej że miałem pod sobą wyśmienitego wierzchowca, ale pamiętałem o tym, że oni mają bolę. Ta prymitywna, ale dowcipnie pomyślana broń jest niebezpieczniejsza od lassa, przed którym można się odpowiednio zasłonić karabinem i nie dopuścić do siebie pętlicy, a w ostateczności wystarcza nóż do przecięcia rzemienia, gdy się go ma już na sobie. Inaczej jest z bolą. Rzuca się ją pomiędzy tylne nogi konia w ten sposób, że ciężkie, metalowe kule, umieszczone na końcu rzemienia, powalają zwierzę w jednej chwili i

wówczas nieprzyjaciel dopędza z łatwością swą ofiarę. Dlatego przed bronią tą odczuwałem wyraźny lęk.

Ucieczka moja była o tyle utrudniona, że cofnąć się było niepodobieństwem, bo mógłbym natknąć się na bandę, która zwołana przez majora przeprawiła się już prawdopodobnie na tę stronę rzeki. Na prawo i lewo ciągnęły się rozległe łąki bagniste, a przez to samo niebezpieczne. Pozostała mi zatem jedynie droga wprost przed siebie, a więc ta, którą nas uprowadzono. Ścisnąłem zatem konia ostrogami i popędziłem naprzód w pełnym galopie.

Woda ociekała jeszcze ze mnie kroplami i tylko nogi miałem suche. Wyjąłem więc zza pasa oddartą część munduru majora, a wydobywszy stamtąd portfel i zegarek, schowałem je do cholewy.

Po kilku minutach byłem już na wzgórzu, zarzuconym gęsto kamiennymi głazami, i stąd spostrzegłem oddział dążących ku rzece jeźdźców. Stało się więc, jak przewidywałem. Byli to ci sami żołnierze, co puścili się w pogoń za Montesem. Teraz powracali z nim, trzymając go między sobą.

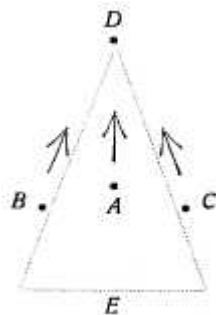
Dostrzegłszy mnie z dala, zatrzymali się, a poznawszy po ubraniu, pomknęli ku mnie w pełnym galopie.

Wobec tego, że miałem pod sobą doskonałego rumaka, a dzieliła mnie od jeźdźców spora przestrzeń, mogłem się ich nie obawiać, bo szkapy ich na pewno nie doścignęłyby mojego gniadosza. Pędziłem więc jak wiatr prosto ku północy, a za mną o jakieś siedemset kroków gnała sfera bolarzy z dzikimi okrzykami i gotowymi do rzutu bólami. Ciekawe było to, że nie pędzili za mną w prostej linii, lecz trzymali się w pobliżu pagórków, ażeby przyprzeć mnie do rzeki, skąd w każdej chwili mógł wypaść drugi oddział. I rzeczywiście niebawem usłyszałem jeszcze liczniejsze okrzyki, toteż spojrzałem za siebie i zobaczyłem, że z nadrzecznych zarośli wypadła dość liczna grupa jeźdźców.

Obawy moje sprawdziły się. Major pozbierał swoich ludzi, rozproszonych po tamtej stronie rzeki, i przeprawiwszy się przez nią, pędził ku mnie co sił razem z całą bandą.

Położenie moje stało się straszne. Za mną bagno, a z jednej i z drugiej strony pogoń.

Plan sytuacyjny tego strasznego dla mnie pościgu wyglądał w taki mniej więcej sposób:



Ja znajdowałem się w punkcie A, w B jeden, a w C drugi oddział moich prześladowców, w miejscu zaś gdzie zbiegały się linie obu oddziałów (D), było rancho, czyli folwarczek, zupełnie odosobniony. Prostopadle dla mego kierunku, w tyle (E), ciągnęło się rozległe bagnisko.

Jedyną więc dla mnie szansą było dotarcie do punktu D. Oczywiście, że nie łudziłem się nadzieją, iż znajdę schronienie w zabudowaniach, bo otoczono by mnie i prędzej czy później schwytano, ale, mając do punktu D krótszą do przebycia drogę niż moi prześladowcy i posiadając szybkiego a wytrwałego konia, liczyłem na to, że punkt ów osiągnę prędzej od nich i już nie będę miał pościgu z dwu stron, lecz tylko za sobą.

Opryszki mieli w pogotowiu bólę i wywijali nimi ponad głowami, wrzeszcząc okropnie jeszcze, niż to mają zazwyczaj czynić atakujący Indianie. Major był przekonany, że mu się nie wymkne.

Och, gdybym miał przy sobie mój wielostrzałowy karabin! Wówczas na pewno dałbym radę całej tej bandzie.

Podniosłem się w strzemionach i, klepiąc rumaka po szyi, pędziłem jak wicher. Szlachetne zwierzę rozumiało mnie, czując instynktownie niebezpieczeństwo — działały też na nie podniecająco dzikie wrzaski pogoni — więc przestrzeń między mną a ścigającymi zwiększała się z każdą sekundą. Dopadłem właśnie rancza, gdy nagle zafurczało coś w powietrzu i tuż za mną upadła w trawę ciężka kula, potem druga i trzecia, nie dosięgając mnie na szczęście. Byłem ocalony, a przynajmniej tak mi się zdawało.

Ranczo było niewielkie, dookoła niego wznosił się mur, poza nim zaś, wśród drzew, białe ściany domu. W murze znajdowała się szeroka brama wjazdowa, która w tej chwili była otwarta, a w niej stało kilku ludzi, przypatrując się ze zdziwieniem dzikiej pogoni. Jeden z mężczyzn wyglądał na duchownego.

W chwili gdy koń mój miał wpaść w ową bramę, mnich wybiegł do przodu i rozkrzyżował ręce, jakby mi chciał zagrozić drogę, krzyknął:

— Stój! Tu pewna zguba!

Człowiek, należący do stanu duchownego, musiał być chyba godzien zaufania. Obejrzałem się, a spostrzegłszy, że pogoń daleko, osadziłem konia i zapytałem obcego:

— Jaka zguba?

— Ucieka pan przed tymi ludźmi?

— Tak.

— Czy im pan co zawinił?

— Uchowaj Boże! Nie wyrządziłem nikomu najmniejszej krzywdy. Jestem podróżnym z Europy i jeszcze nigdy...

— Z Europy? — spytała obok stojąca kobieta. — Proszę tutaj, do nas, a prędko, bo puszczą za panem bole!

— Ledwie to powiedziała, gdy o dwadzieścia kroków za mną znów padła z furknieniem na ziemię metalowa kula. Skoczyłem przez bramę na malutki dziedziniec rancza, po czym mieszkańcy zamknęli szybko bramę i zaryglowali ją dwoma potężnymi drągami.

Do dziedzińca przylegał przyczółek domu murowanego, zaś między tym przyczółkiem a murem otaczającym ranczo znajdowała się mocna brama z tarcic, przez którą wchodziło się do obszernej zagrody z kaktusowym żywopłotem. Tu trzymano złośliwe i srogie byki.

— Więc pan jest z Europy? — pytała kobieta. — Jakże się cieszę, że mogłam wyrządzić panu przysługę i uratować go w niebezpieczeństwie!

— Dziękuję pani za przysługę, ale daruje pani, na nic się ona nie przyda. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło... a przy tym pani i wszyscy domownicy mogą ucierpieć przeze mnie.

— E, cóż znowu! Skoro brat Hilario jest z nami, nic nam grozić nie może. Wie pan coś o nim zapewne...

— Nie wiem, pani. Nie znam tu nikogo. Jestem w tym kraju zaledwie od czterech dni.

W tej chwili za bramą usłyszałem wzmagającą się wrzawę, przekleństwa, a potem gwałtowne dobijanie się do wrót.

— Otworzyć! Otworzyć, bo wywalimy bramę! — wołano z zewnątrz.

Teraz przystąpił do mnie wspomniany przez kobietę brat Hilario i powiedział:

— Proszę wyznać mi szczerze i otwarcie, co pan uczynił tym ludziom. Jeżeli mają do pana uzasadnione pretensje, spróbuję pośredniczyć pomiędzy panem a nimi, jeśli zaś napaść ich jest niesłuszna, będziemy pana bronili, bo jako człowiek niewinny znajduje się pan pod opieką Boga i musimy nieść panu pomoc.

— Zapewniam dobrodzieja słowem najświętszym, że nic złego nie uczyniłem.

— Zapewnienie to, señor, nie jest wystarczające...

— Zaraz opowiem dobrodziejowi, co skłoniło ich do pościgu za mną.

— Dobrze, señor, opowiesz mi pan później, a teraz pójdę rozmówić się z tymi rozszalałymi ludźmi.

Brat Hilario był potężnej budowy ciała, budzącej poszanowanie dla siły, a jednak twarz jego, o szlachetnym wyrazie i wielkich niebieskich oczach, odznaczała się niezwykle łagodnością i słodyczą. Tym dziwniejszy z tą cechą duchownego kontrast stanowiło jego uzbrojenie. Na długiej sutannie miał on pas, zza którego sterczały dwa rewolwery wielkiego kalibru oraz długi nóż. Na nogach miał wysokie buty z ostrogami.

W bramie, do której podszedł brat Hilario, znajdowało się nieduże okienko zakryte drewnianą zasuwą. Brat odsunął ją, wyjrzał na zewnątrz i zapytał:

— Czego panowie sobie życzycie?

— Otworzyć! — krzyknął gromko major, którego głos natychmiast poznałem.

— Coście za jedni?

— Major Cadera z oddziałem gwardii narodowej.

— Aha! Dlaczego dobijacie się z taką gwałtownością do bramy?

— Bo skrył się u was pewien człowiek, który został skazany na śmierć i przed samą egzekucją umknął.

— Za co go skazano na tak surową karę?

— Za morderstwo, spisek i zdradę stanu.

— Kto go sądził?

— Sąd wojenny.

— Z którego garnizonu?

— Do diabła! Bierzesz nas za żaków, że się w ten sposób wypytujesz! Nie jestem do tego przyzwyczajony.

— Za to ja jestem przyzwyczajony, by zbadać gruntownie każdą sprawę, która jest mi powierzona. Jeżeli mam wydać wam zbiega, to przede wszystkim muszę się dowiedzieć, czy macie prawo żądać wydania go w wasze ręce.

— Owszem, mamy prawo, bo go sami zasądziliśmy.

Brat milczał chwilę, obserwując bandę drabów przez otwór w bramie, po czym rzekł:

— Więc to wy sami powołaliście sąd wojenny? Hm... Pomówimy o tym jeszcze, a tymczasem zapytam obcego, co on powie na to wasze żądanie.

— No, no! Głupstwa pleciesz! Mielibyśmy tu czekać, zanim on wybaje wam setki kłamliwych wykrętów? Na to nie mamy ani czasu, ani chęci i jeżeli brama nie będzie w tej chwili otwarta, wyłamiemy ją siłą i dostaniemy się do środka.

— My do tego nie dopuścimy!

— Spróbujcie! Jest nas pięćdziesięciu i nie będziemy się długo namyślali, czy wysadzić bramę, czy też puścić z dymem całą zagrodę.

— Ależ, panie, nie tak groźnie! Tu są ludzie, którzy nie dadzą się niczym zastraszyć. Ja jeden nie boję się was wszystkich!

— Ach, tak? Z jakimże to bohaterem mam do czynienia?

— Brat Hilario...

— Aha, brat... to co innego. A wiesz ty, świętobliwy człeku, że przed mnichem nawet kura nie ucieka? Zresztą szkoda czasu na pustą gadaninę. Proszę natychmiast wydać nam zbiega, bo weźmiemy się do roboty.

— Zupełnie niepotrzebnie silisz się, señor, na rozkazy. Zapamiętaj to sobie, że ja tu jestem dowódcą!

— No, no! Mnich dowódcą... twierdzy... to paradne! Śmiać mi się chce z pańskiego gadania. Czym będziecie się bronili?

— Przede wszystkim bronią moją będzie prosta przestroga. Biada temu, kto choćby najmniejszą krzywdę uczyni tej zagrodzie lub zechce grozić jej mieszkańcom! Tu, w tym domu, jest w tej chwili konający człowiek!

— A niech go diabli wezmą! Co on nas może obchodzić? Tyle chyba co ty, wielbny mnichu!

— Panie dowódco! Uprzedzam, że prócz imienia zakonnego noszę jeszcze inne nazwisko... I w całym niemal kraju jest ono znane. Słyszał pan zapewne? Brat Jaguar...

— Brat... Jaguar? — powtórzył major, przeciągając wyrazy. Wśród bandy na dźwięk tego imienia zapanowało grobowe milczenie. Brat tymczasem zwrócił się do mnie:

— Jest pan tutaj zupełnie bezpieczny. Nie pozwolę nic złego panu uczynić.

ROZDZIAŁ III

BRAT JAGUAR

Nagła zmiana mojej sytuacji, spowodowana przez brata Hilaria, oraz ostatnie jego słowa, wypowiedziane do mnie, wprawiły mnie w prawdziwe zdumienie. Dlaczego osoba duchowna, należąca zapewne do jakiegoś stowarzyszenia misyjnego, nosi tak straszne nazwisko? Czyżby to był przydomek, charakteryzujący czyny tego człowieka? Jaguar należy do najniebezpieczniejszych zwierząt w południowej Ameryce. Jeżeli więc lud nazywa tego zakonnika „Jaguarem”, to ma prawdopodobnie jakieś do tego powody. A jednak nazwa ta nie harmonizowała zupełnie z łagodnością, która malowała się na obliczu tego człowieka. Tym bardziej więc zainteresował mnie, gdyż sądziłem, że pod dziwnym przydomkiem kryje się jakaś tajemnica.

Rozmowa „brata Jaguara” z dowódcą bandy brzmiała groźnie i widać było, że mnich jest pewny siebie. A gdy zwrócił się do mnie, poznałem z jego miny, że gotów jest stanąć naprzeciw groźnego nieprzyjaciela i że nie wątpi w pokonanie go, pomimo liczebnej przewagi. Odwrócił się teraz ponownie do otworu i rzekł do opryszków:

— Zaczekajcie! Za pół godziny powiem wam, co postanowiłem. Gdyby jednak w tym czasie któryś z was ważył się przeciwko nam bodaj palcem kiwnąć, pozna natychmiast bliżej brata Jaguara. Pamiętajcie!

Zamknął okienko i zwrócił się do mnie, a widząc, że głaszczę piśszcztliwie mego gniadosza, który tak bardzo przyczynił się do ratowania mnie z opresji, przystąpił bliżej i, ściskając mi rękę serdecznie, rzekł:

— Człowiek, który dobrze obchodzi się ze zwierzęciem, jest rzadkością w tym kraju. Widząc pańską troskę o konia, dochodzę do wniosku, że należy pan do ludzi zacnych i szlachetnych. Chodźmy do izby!

Otworzył przede mną wąskie drzwi i weszliśmy do środka, do izdebki utrzymanej bardzo schludnie. Podłoga była wymyta jak stół, czyściutki były szyby w oknach oraz wszelkie sprzęty. Na drzwiach znajdowała się kropielniczka ze święconą wodą, czego dotychczas nigdzie nie zauważyłem, aczkolwiek kraj ten jest przecieź katolicki. Naprzeciw drzwi umieszczone było wielkie lustro, a po obu jego stronach dwa obrazy: Matki Boskiej i Pana Jezusa w cierniowej koronie. W jednym rogu wznosił się wysoko piec kaflowy, a w drugim stała sofa pokryta skórą.

Już na pierwszy rzut oka wydało mi się, że jestem nie w Ameryce Południowej, lecz w Bawarii lub gdzieś w krajach alpejskich.

Mili też i bardzo uprzejmi byli mieszkańcy tego domu. Kobieta, która tak skwapliwie zaprosiła mnie do środka, liczyła najwyżej lat czterdzieści, mąż jej był starszy może o lat dziesięć. Mieli na sobie szwajcarski strój ludowy. Druga kobieta, którą zauważyłem po moim przybyciu, była Indianką służącą w tym domu. Nie weszła ona z nami do izby, lecz zawróciła do kuchni, skąd dolatywał dźwięk szklanek i talerzy. W izbie więc było nas czworo.

Podczas gdy gospodarz i gospodyni ustawiali krzesła dookoła stołu, brat Hilario rzekł do mnie:

— Dowiedział się pan przed chwilą, kim jestem, a teraz mam zaszczyt przedstawić panu gospodarzy tego domu: są to señor i señora Bürgli.

— Pochodzą państwo prawdopodobnie ze Szwajcarii? — zwróciłem się do gospodarza. — Wnoszę to z nazwiska i stroju.

— Tak jest, panie. Oboje jesteśmy Szwajcarami.

— Bardzo mi miło poznać państwa i pragnę przede wszystkim podziękować za uratowanie mi życia.

— Nie było z panem tak źle, jak pan przypuszcza — uśmiechnęła się kobieta.

— Jak to? Przecież lada chwila mogłem być powalony przez bolę i dostać się w ręce opryszków. Gdyby mnie zaś schwytali, już bym nie żył.

— Za cóż to uwzięli się tak na pana?

— Za rzekomą zdradę stanu i za morderstwo, które jakobym usiłował popełnić, a które właściwie nie było niczym innym, jak tylko odparciem zamachu, jaki na mnie w Montevideo przygotowano.

— Zechce pan nam zapewne opowiedzieć swoje przejścia i przygody?

— Oczywiście. Jest to zresztą moim obowiązkiem wobec tych, którzy mi pomocy udzielili w ciężkiej chwili.

I opowiedziałem moim wybawcom wszystko, co mnie spotkało w tym kraju od czasu opuszczenia pokładu statku aż do ostatniej chwili. Gdy skończyłem, brat Hilario rzekł przejęty do głębi:

— To ciekawe! Rzadki to wypadek, aby w tak krótkim czasie przeżyć tyle groźnych przygód. Widzę teraz, że istotnie śmierć urządziła pościg za panem.

— Gdybym chociaż wiedział, kto mi nasłał na kark tych przeklętych bolarzy!

— Może się jeszcze dowiemy.

— Podejrzewam Rixia.

— Ja również. Ale mniejsza o to. Skoro bowiem nie zamierza pan zatrzymywać się dłużej w tym kraju, to obojętne, kto dybie na pańskie życie. Najważniejsze to uwolnić się od tej prawdziwej zmory, która pana prześladowuje.

— To będzie trudna sprawa.

— Mam jednak nadzieję, że panu w tym pomogę.

— A mnie się zdaje, że prześladowcy moi będą czekali, dopóki nie opuszczę waszego gościnnego domu.

— Jeżeli oczywiście nie zabraknie im cierpliwości.

— Bardzo będziemy radzi — wtrąciła gospodyni — mieć pana u siebie jak najdłużej. Będzie nam z panem bardzo dobrze. Szkoda tylko, że smutek gości w naszym domu.

— Jest kto chory? — spytałem.

— Mój wuj — odrzekła. — Leży w drugiej izbie i zapewne zauważył pan...

Istotnie w trakcie mego opowiadania kilka razy doszły do uszu moich ciężkie westchnienia i jęki chorego.

— Czy stan jego jest ciężki?

— O, bardzo. Trapi go nie tylko choroba ciała, ale także choroba duszy — odrzekła. — O wyzdrowieniu nie ma nawet mowy. Katastrofa nastąpi prawdopodobnie w ciągu kilku dni. Co jednak najgorsze, to moralne jego cierpienie, które sprawia, że nieszczęśliwy nie chce nawet słyszeć o pokarmie ani o lekach.

— To nieszczęście. Utracił zapewne wiarę?

— Nie sądzę, ale zdaje mi się, że go coś gnębi... może nawet jakieś przewinienie, którego ciężar pragnąłby usunąć ze swego sumienia przed śmiercią, a brak mu do tego odwagi. Przebywał długie lata w górach na Zachodzie, ale czym się właściwie zajmował, nie wiemy. Wspominał tylko, że szukał szczątków zwierząt przedpotopowych, pozostających w ziemi, zarobił trochę pieniędzy i kupił z nami do spółki to rancho. Zanim zachorował, przebywał prawie zawsze w Kordylierach, a do nas zaglądał zaledwie na kilka tygodni, aby wypocząć. Ostatni raz przybył tu przed dwoma miesiącami, a był tak wyczerpany i zabiedzony, że się aż przelękliśmy. Od tej chwili leży chory i za życia już robi wrażenie trupa.

— W takim razie powinniście państwo uczynić coś, aby uspokoić jego sumienie. Od tego przecież zawisło jego życie wieczne.

— Ma pan słuszność — wtrącił brat Hilario, ściskając mi rękę. Nagle rozmowę naszą przerwały dzikie wrzaski, które rozległy się na zewnątrz domostwa.

Ranczer chwycił z kołka strzelbę i chciał z nią wybiec z chaty, gdy brat Hilario powstrzymał go:

— Daj pan spokój! Obejdziemy się bez broni... Przypuszczam, że poradzę sobie z tymi ludźmi. Señor możesz wyjść do nich razem z nami.

Wyszliśmy na dziedziniec. Wierchowca mego już tu nie było i dowiedziałem się, że peon zaprowadził go na drugą stronę domu, gdzie znajdowała się obszerna zagroda dla koni.

Bolarze bili w bramę i domagali się, by wpuścić ich do środka. Brat Hilario otworzył okienko, a major gromkim głosem krzyczał:

— Do diabła! Jak długo będziemy tu czekać? Zastrzeżone pół godziny już dawno minęło.

— Jeżeli nie macie czasu na czekanie, to sobie jedźcie z Bogiem.

— Owszem, pojedziemy, ale dopiero wówczas, gdy wyjdzie do nas cudzoziemiec.

— Ba, ale my go wam nie wydamy.

— Troszczyłbyś się, sługo Boży, raczej o sprawy duchowe, zamiast wtrącać się w nie swoje rzeczy. Muszę wracać do garnizonu i nie mam czasu wystawać tu godzinami.

— Kto was trzyma? Jedźcie sobie, gdzie wam nakazuje obowiązek...

— Pojedziemy natychmiast, ale oddajcie nam cudzoziemca!

— Nie, señor, tego nie uczynię.

— Nie? To zobaczymy. Daję wam pięć minut do namysłu i jeżeli nie wydadacie nam zbiega, zabierzemy go sami.

— Drogo by to was kosztowało!

— Zdaje ci się, mnichu, że skoro ty go bronisz, jest on bezpieczny. Nie łudź się, bo twoja godność zakonna nie ma dla mnie znaczenia i nie zawaham się postąpić z tobą tak samo jak z naszym zbiegiem.

— Spróbuj, señor! Daję ku temu sposobność!

Przy tych słowach brat Hilario zamknął okienko, odsunął rygle i otworzył bramę na oścież. A ciężkie wrota pod jego ręką poruszyły się jak kartki papieru. Teraz znaleźliśmy się z bolarzami oko w oko. Nie ruszyli jednak ku nam, patrzyli tylko z niezdecydowaniem na brata Hilaria i na mnie. Wówczas major zawołał do podwładnych:

— Macie! Tam stoi ten pies, który oberwał mi połę z kieszenią! Weźcie mi go!

To grubiańskie odezwanie dziwnym mi się wydało, bo przecież dotychczas major zachowywał pozory człowieka uprzejmego i dobrze wychowanego. Teraz stał się nagle nieokiełznanym furiatem. Wydobył zza pasa pistolet, ten sam, który rzuciłem w trawę za rzeką, i ruszył ku nam, a za nim bolarze. Lecz brat Hilario, zastąpiwszy mu drogę, krzyknął gromko:

— Precz!

Bolarze zatrzymali się, major jednak usiłował wyminąć mnicha i wejść na dziedziniec.

— Precz albo... — powtórzył groźnie zakonnik, podnosząc rękę. Major zatrzymał się i obaj stali jak głazy, patrząc sobie w oczy. Nie mogłem widzieć twarzy mnicha, ale prawdopodobnie wzrok jego miał druzgocącą siłę, gdyż oficer rzekł po chwili:

— No, dobrze. Nie wejdę do tego obcego mi domu bez pozwolenia. Że jednak nie zamierza mi brat wydać cudzoziemca, wykonam wyrok na miejscu.

I podniósł rękę, mierząc do mnie z pistoletu.

— Stój! Precz z bronią! — rozkazał mnich ponownie.

Major jak zahipnotyzowany opuścił rękę. Ale po sekundzie podniósł ją znowu i wymierzył, mówiąc:

— Dosyć! Nie dam się za nos wodzić mnichowi... i tego włóczęgę... Nie dokończył, gdyż nagle mnich wydarł mu pistolet i rzucił na dziedziniec, a chwyciwszy śmiałka wpół jak lalkę, wywinął nim w powietrze i posadził, nie bardzo zresztą ostrożnie, na ławce pod murem.

— Siedź tu, człowieku zapamiętały, a jeżeli się tylko ruszysz, porozmawiamy ze sobą inaczej!

Zamknawszy następnie wrota, zaryglował je bez najmniejszego ze strony bolarzy protestu.

Major patrzył na to jak osłupiały i burzyło się w nim wszystko, ale mnich elektryzującym wzrokiem trzymał go na miejscu.

— Ma pan to, czego chciałeś — rzekł wreszcie do niego. — Żądał pan, bym wpuścił go do środka, uczyniłem to. Proszę teraz powiedzieć, czym mogę służyć... ale krótko, bo nie mam czasu na długie gawędy.

— Czy brat ma czas, czy go nie ma, jest mi zupełnie obojętne. Pozostanę tu, dopóki mi się spodoba.

— Albo dopóki ja tego będę chciał! — rzekł z mocą brat Hilario. — Jeżeli bowiem zechcę się waćpana pozbyć, przerzucę go przez mur na tamtą stronę... Ot, tak!

I mówiąc, chwycił majora wpół, podniósł do góry i wywinął nim razy młynka w powietrzu.

— Dios mio! Wstrzymaj się dobrodziej! Nie zamierzasz chyba uśmiercić mnie tutaj! — wrzeszczał major. — Zresztą odejdę stąd sam...

— Niepotrzebnie się łudzisz, majorze. Abyś nie był zbyt pewny siebie, oświadczam ci, że jeśli ja tego nie zechcę, nie pozostaniesz tu dłużej, a i oddalić się samowolnie nie zdołasz. Od chwili bowiem, gdy posadziłem pana na tej ławce, nie rozporządza pan już swoją wolą... Jest pan moim jeńcem.

Major spojrział na brata Hilaria z bezsilną złością, a po chwili zerwał się z ławy i krzyknął:

— Co to ma znaczyć? Jakim prawem śmiesz mnie więzić?

Brat Hilario wziął go za ramię i, posadziwszy siłą na ławie, rzekł:

— Kieruję się takim samym prawem, jakim aż do tej chwili pan się kierował, odbierając wolność cudzoziemcowi... mianowicie prawem silniejszego. Z tą jednak różnicą, że ja mam poważniejsze podstawy do uwięzienia pana, aniżeli pan je miał w stosunku do tego obcokrajowca. Bo on nie uczynił nic takiego, co by was upoważniało do pozbawienia go wolności. Nie zawinił też w niczym jego towarzysz. Pan zaś nie tylko samowolnie i bezprawnie sądził ludzi niewinnych, ale i nam groził pistoletem oraz spaleniem tego rancha.

— Proszę pamiętać, że jestem majorem, a wkrótce zostanę pułkownikiem!

— Zupełnie mi to obojętne. Zresztą, rzucając się na osoby bezbronne i niewinne, obniżył pan znaczenie moralne swego mundur, swego stopnia i nawet swego honoru. Skazał pan na śmierć człowieka niewinnego i zamierzał go stracić, a zatem jest pan raczej bandytą i katem w jednej osobie, nie zaś oficerem. A wreszcie cudzoziemiec ten złamał panu szablę, jest pan więc jako oficer zhańbiony... i nie uważam pana za oficera.

— Señor! — warknął major, zaciskając pięści i zrywając się z ławy.

— Milczeć i siedzieć spokojnie! Może się pan ruszyć z miejsca jedynie wówczas, gdy mu na to pozwolę! — odrzekł mnich, przygniatając gościa żelazną dłońią do ławki.

Nieszczęsny major, którego ambicja podrażniona była w najwyższym stopniu, nie wiedział, czy się ma złościć, czy też poddać zupełnie. Pierwsze byłoby niemądre i bezskuteczne, drugie zaś uwłaczało jego honorowi, jeśli oczywiście posiadał jeszcze honor.

— Czego wy chcecie ode mnie? — zapytał wreszcie, wybałuszywszy oczy.

— Będzie pan ukarany za próbę zamordowania cudzoziemca i za pogróżki podpalenia.

— Do diabła! Wy... macie mnie karać?

— Nie inaczej... Tymczasem zaś proszę wyrażać się przyzwoicie, bo żadnych grubiańskich okrzyków nie ścierpię.

— Cóż to? Dobrodziej naprawdę uważa się za kogoś, kto ma władzę nade mną?

— Tak też jest w istocie. Przestępstwo, którego się pan dopuścił, improwizując sąd wojenny, daje mi władzę nad panem i, jeśli obaj poszkodowani wniosą skargę, poniesie pan surową karę.

— Niech jednak wielbny brat nie zapomina, z kim ma do czynienia... Wymieniłem przecież swoje nazwisko i stopień.

— Ale ja panu nie wierzę.

— Do diab... chciałem powiedzieć... Co to ja chciałem powiedzieć? Czyżbyś śmiał... to jest, czyżby wielebny nie ufał moim słowom? Chyba mnie słuch myli...

— Mogę to panu jeszcze powtórzyć: nie wierzę, aby pan był tym, za kogo się podaje.

— To obraza oficera!

— Panie! Armia naszego kraju jest tak nieliczna, że nazwiska wszystkich oficerów sztabowych można wyliczyć z pamięci, a ja pochlebiam sobie, że znam ich wszystkich osobiście. „Major Cadera” jednak to dla mnie coś nowego.

— Źle brata poinformowano...

— Przepraszam, ja nigdy nie pozwolę informować się błędnie. Ponadto znam pewnego señora nazywającego się Enricio Cadera, jednego z owych wichrzycieli argentyńskich, którzy sięją zamęt, gdzie tylko się da. Jak mi opowiadano, gromadzi on oddziały, nie wiadomo w jakim celu, i nieraz zapuszcza się do naszego kraju. Co ciekawsze jednak, że gdzie się tylko ten opryszek pojawi, hodowcy ponoszą znaczne straty.

— O czymś podobnym nie słyszałem — odparł major, spoglądając niepewnie na zakonnika.

— Jak to? Pan, oficer, nie słyszał o tym bandycie? To szczególnie! Jeżeli jest pan istotnie oficerem sztabowym, to musiał pan zostać poinformowany o tym, że rząd Urugwaju wysłał w stepy oddział wojska przeciw temu koniokradowi. Jeśli pan o tym nie wie, to tym bardziej jest pan podejrzany i tym bardziej czuję się w obowiązku zatrzymać pana tutaj.

— Zwiększy dobrodziej w taki sposób karę, jaka go spotka za targnięcie się na moją wolność.

— Ślicznie! Aby zaś panu ułatwić pociągnięcie mnie do odpowiedzialności, wyślę w tej chwili posłańca do Mercedes, gdzie, jak panu wiadomo, stoi obecnie wojsko krajowe. Rzecz prosta jednak, że aby uniknąć nieporozumień, zatrzymam pana tutaj aż do nadejścia wojska.

Na to oświadczenie brata Hilaria major zerwał się z ławy i krzyknął, pieniąc się ze złości:

— Do stu diabłów! Ja na to nie pozwolę!

— Zdaje się więc panu, że odwiedzie mnie od tego przemocą?

— Tak! Niech tylko rozkażę, a moi ludzie zburzą to wasze rancho.

— A więc użyje pan gwałtu, aby się stąd wyrwać? Obawia się pan wojska? Ślicznie! Dał pan w tej chwili najlepsze o sobie świadectwo. Nie myliłem się. Jesteś dowódcą owej bandy opryszków argentyńskich, która kradnie naszym obywatelom bydło i przeciw której wysłano wojsko. Zatrzymuję więc pana tutaj aż do powrotu posłańca, którego zaraz wyprawię do Mercedes.

— Wysyłaj, dobrodziej, jeżeli zdążysz — rzekł i skoczył ku miejscu, w którym leżały jego pistolety, rzucone przez braciszka.

Na to byłem od dawna przygotowany: dopadłem do niego, pchnąłem, że się zatoczył jak pijany i padł na ławkę całym ciężarem ciała. Zerwał się jednak po chwili znowu i skoczył ku mnie jak wściekły, klnąc i złorzecząc. Ale brat Hilario chwycił go za ramię i z taką siłą posadził na ławce, że wydawało się, iż w ciele opryszka połamały się wszystkie kości.

— No i przekonaliśmy się teraz, co pan może — rzekł mnich. — Radzę panu pogodzić się z losem, bo opór na nic się nie przyda. Należymy do ludzi, którzy nie boją się zbójów, a nawet mają dosyć mocy, aby oddać ich w ręce sprawiedliwości... Nie tylko pana, ale i całą bandę uwięzimy, aby po trudach wypoczęła sobie pod kluczem.

— Jestem ciekawy, jak się zabierzecie do tego — odparł szyderczo major.

— W sposób zupełnie prosty. Zwabimy ich wszystkich na dziedziniec, a następnie wypuścimy na nich toros i novillos*, które znajdują się za tym ogrodzeniem. Zobacz pan, jakie będą mieli miny pańscy bohaterowie na widok tych miłych zwierząt. Zapewne zaczną śpiewać innym tonem, niż to czynili dziś rano wobec dwu obezwładnionych jeńców.

* Toro jest to niezwykle groźny dojrzały byk, novillo zaś to młody byczek, równie dziki i nie dający się oswoić. Zarówno jedno, jak i drugie rzucają się na człowieka z wściekłością, a rozdrażnione ścigają go dopóty, aż ofiara nie usunie się im z oczu lub dopadnięta nie skończy straszną śmiercią pod ich kopytami i rogami.

Gdy na te słowa major uśmiechnął się sceptycznie, jakby był pewny sprytu swych ludzi, brat Hilario rzekł:

— A może panu się zdaje, że żołnierze nie dadzą się zwabić tu, do środka? W tej chwili wszyscy oni posiadali z koni i nie są przygotowani do natychmiastowej ucieczki. Wystarczy, gdy otworzę bramę od strony ogrodzenia i wypuszczę na nich gromadę byków. Przyzna pan, że w takich okolicznościach nie uratuje się chyba ani jeden żołnierz. Czy mam spróbować tej sztuki, panie majorze?

To mówiąc, zawrócił ku ogrodzeniu, jakby je chciał otworzyć.

— Na miłość boską! — krzyknął Cadera. — Byki rzucają się przede wszystkim na nas!

— To oczywiste... Ale ranczera i mnie znają one doskonale, cudzoziemca zaś zasłoniły przed nimi. W ten sposób tylko pan będzie wystawiony na niebezpieczeństwo. Co zatem pan woli: albo byki rozniosą pana na swoich rogach, albo zaczeka pan spokojnie, dopóki nie przybędzie wojsko z Mercedes? Jedno z dwojga. Oszczędzać zbójów nie mam zamiaru.

— Ja zaś nie chcę mieć z wami do czynienia. Puśćcie mnie!

— Żądanie to mnie nie dziwi i może nawet zgodziłbym się je spełnić pod warunkiem jednak, że zwróci nam pan jeńca.

— Tego się nigdy nie doczekacie... I proszę mnie puścić! To z waszej strony niesłychane bezprawie zatrzymywać mnie tutaj!

— A pan, zatrzymując señora Montesa, nie popełnia bezprawia? Zresztą nie będę się z panem sprzeczał o to, kto z nas popełnia bezprawie, bo kwestia ta wyjaśni się, jak tylko przybędzie wojsko z Mercedes. Señor Bürgli, proszę wybrać rozgarniętego parobka i dobrego konia.

— Owszem, zaraz to uczynię. Znajdzie się i parobek, i koń — odrzekł ranczer, który aż do tej chwili przypatrywał się całej scenie w milczeniu.

— Każ pan osiodłać natychmiast konia, a ja tymczasem napiszę kilka słów do komendanta załogi w Mercedes. Ponieważ zaś ta banda opryszków wciąż jeszcze czeka przed bramą i mogłaby zatrzymać posłańca, więc niech wyjedzie tylną bramą, aby go nie spostrzeżono.

Bürgli skierował się ku drzwiom izby, a major, widząc, co się święci, krzyknął:

— Zaczekać! Jeszcze jedno słowo! Nie obawiam się wojska z Mercedes, bo to moi koledzy, ale gdyby mnie tu zastali, niejako w niewoli, byłbym ośmieszony. Aby więc tego uniknąć, zgadzam się na propozycję Wielebnego brata i oddam wam Montesa, ale, rzecz prosta, gdy mnie puścicie stąd natychmiast.

Mnich poruszył głową przecząco i odpowiedział:

— O, przepraszam! Nie podejdzie pan tak łatwo! Będzie tak, jak obmyśliłem. Otworzę bramę, aby żołnierze mogli pana widzieć, i wówczas rozkaże im pan przyprowadzić tutaj Montesa. A kiedy jeniec znajdzie się z tej strony wrót, będzie pan mógł stąd odejść. Cóż? Zgadza się pan?

— Dobrze, zgadzam się.

— Ba, ale muszę jeszcze otrzymać od pana słowo, że oddali się pan stąd natychmiast ze swoimi ludźmi i przestanie prześladować nas, to jest mieszkańców rancza oraz obydwu podróżnych, którzy byli waszymi jeńcami. Przyrzeknie pan to pod przysięgą?

Major skinął głową na znak, że się zgadza.

— A więc otwieram bramę — rzekł mnich i odsunął rygle, po czym przesunął oba skrzydła wrót i stanął między nimi.

Bolarze siedzieli na trawie, a wśród nich leżał Monteso. Na ich widok Cadera uśmiechnął się ironicznie, ja zaś, spostrzegłszy to, zbliżyłem się do niego, by mieć go na oku.

I okazało się, że nie można mu było wierzyć, gdyż, widząc przed sobą otwartą drogę, skoczył w okamgnieniu ku wyjściu, chcąc zbiec. Omylił się jednak w swoich rachubach, gdyż w jednej sekundzie chwyciłem go za kołnierz i rzuciłem nim o ziemię, aż jęknęła.

— Na pomoc! Do mnie, ludzie! — krzyknął na swoich.

Ruszyli natychmiast na ratunek swemu dowódcy, ale zakonnik powstrzymał ich:

— Zostańcie tam! — rozkazał groźnie.

Napastnicy stanęli, jakby ich jakaś magiczna siła przygwoździła do ziemi. Tajemniczą tą siłą był wzrok mnicha, paraliżujący przeciwników jak iskra elektryczna.

— Zdrajco! Kłamco! — zwrócił się mnich do majora. — Mienisz się oficerem, a brak ci poczucia honoru! Cóż znaczy twoje słowo, skoro je łamiesz zdradziecko? Powiniennem ci za to wygarbować skórę i dziękuj okolicznościom, że nie mam na to czasu! Czy wydasz nam Montesa! Decyduj się natychmiast!

— Wydam — wycodził przez zęby. — Ale mnie puście!

— O, nie! — rzekłem, przyciskając mu piersi kolanami. — Najpierw wydaj pan rozkaz!

— Niech go tu przyprowadzą...

Zmusiłem bandytę, aby rozkaz powtórzył tak głośno, by go posłyszeli bolarze, i w chwili później Monteso był już między nami.

— Teraz puście mnie, skoro spełniłem warunek! — stękał bandyta, oddychając z trudem pod moim kolanem.

— Owszem, uczynimy to, ale najpierw niech pan powtórzy oficerskie przyrzeczenie, że oddali się pan natychmiast i nie podejmie przeciwko nam żadnych nieprzyjaznych kroków.

— Dobrze, daję słowo honoru, że opuszczę tę okolicę zaraz i nic przeciwko wam nie uczynię.

— Aha, jeszcze jedno. Proszę zwrócić konia *yerbaterowi*.

— Weźcie go sobie, ale prędko, bo mi się spieszy.

Monteso poszedł i po chwili przyprowadził swego wierzchowca, po czym puściłem majora na wolność. Wyrwał się jak ptak z klatki i, wskoczywszy szybko na siodło, natychmiast odjechał ze swymi ludźmi.

Mnich był na tyle przezorny, że wysłał za nimi potajemnie jednego z gauchów, aby przekonać się, czy odjechali naprawdę i czy nie zechcą zagrozić nam drogi, gdy będziemy wracali do estancji *yerbatera*.

Po jakimś czasie gaucho wrócił i oznajmił, że banda przeprowiła się na drugą stronę rzeki, co świadczyło, iż zrezygnowała z dalszego prześladowania nas.

Przez cały ten czas żona ranczera wyglądała przez okno na dziedziniec, dosyć zaniepokojona, ale kiedy weszliśmy do izby, znaleźliśmy suto zastawiony na nasze przyjęcie stół. A że byliśmy głodni jak wilki, więc nie daliśmy się długo prosić. Podczas posiłku rozmowa toczyła się oczywiście na temat naszej przygody. Monteso z najwyższym oburzeniem opowiadał, w jaki sposób uciekł i jak go ponownie schwytano. Nóż, który mu rzuciłem, był dla niego ratunkiem. Dosiadłszy konia, pędził co tchu i byłby niewątpliwie uszedł, gdyby nie przypadek. Oto koń jego, potknąwszy się na kretowisku, padł na ziemię i zanim Monteso zdążył poprawić siodło, żołnierze dopędzili go i schwytali za pomocą boli.

— Ale, ale! — zapytałem mnicha. — Dlaczego wielebny dobrodziej kazał mi zajechać do siebie i co miał na myśli, ostrzegając mnie, że pędzę na zgubę?

— Bo po tamtej stronie rancza znajduje się rzeczka, wpadająca do Rio Negro, i nie mógłby pan przedostać się przez nią, gdyż brzegi są tak bagniste, że byłbyś niezawodnie ugrzązł i został natychmiast schwytany. Są tam wprawdzie pewne miejsca, nadające się do przebycia, ale pan ich me zna zapewne. Skierowałem więc pana do siebie i widzi pan, jaki obrót sprawa wzięła: jest pan uratowany.

— Ale przypuszczam, że nie na długo. Nie wierzę bolarzom, a szczególnie ich dowódcy. Choć przyrzekł dać nam spokój, ja pomimo tej obietnicy nie czuję się bezpieczny i najchętniej sam pojechałbym nad rzekę, aby przekonać się, że naprawdę zbóje opuścili te okolice.

— Szkoda na to czasu. Niech pan będzie spokojny, bo nic już panu nie grozi. Opryszki popędzą co sił, by wydostać się poza granice Urugwaju.

— Czy to są istotnie Argentyńczycy?

— Oczywiście. Przybyli oni w nasze strony kraść konie, a że dowiedzieli się od nas o wojsku, znajdującym się w Mercedes, więc zmykają stąd jak zające.

W tej chwili usłyszeliśmy głos z sąsiedniej izby. Brat Hilario pospieszył tam natychmiast, a powróciwszy niebawem, oznajmił mi, że chory chce zobaczyć się ze mną. Słyszał on naszą rozmowę i dopytywał się o szczegóły napadu. Zainteresowało go również to, że jestem Europejczykiem, i pragnął zamienić ze mną choćby kilka słów.

— Niech mu pan nie odmawia — prosił brat Hilario. — Biedny ten człowiek jest naprawdę godzien pożałowania. Ma on na sumieniu jakieś ciężkie przewinienie i mimo wielu wysiłków z mej strony nie udało mi się uspokoić go bodaj odrobinę. Może pan będzie miał więcej szczęścia.

— Czyżby wielbny brat naprawdę obiecywał sobie po mnie tak wiele? Obawiam się, że się dobrodziej rozczaruje.

— Nie, panie, nie żądam, aby mu pan udzielał jakichkolwiek rad duchowych lub wskazówek. Ale pochodzi on również z Europy i gdy się zobaczy z Europejczykiem, być może, rozmowa z nim uspokoi go. Niedługo on już pożyje, może kilka dni, a może nawet mniej, nie można więc mu odmawiać tej drobnej pociechy. Bardzo możliwe, że przed panem jako współziomkiem otworzy on swe serce... Zobaczymy zresztą...

Udałem się do przyległej izby, miluchno i schludnie urządzonej. Było to coś w rodzaju świetlicy góralskiej, wyglądającej odświętnie i uroczyście. Wśród innych mebelków znajdowała się tu fisharmonia, którą, jak się później dowiedziałem, gospodarz wygrał na loterii dobroczynnej w Montevideo i zabrał do domu, aczkolwiek nie umiał wcale grać na niej.

Chory leżał w łóżku na czystej pościeli. Oczy wpadnięte miał głęboko, policzki wychudłe, a głowa świeciła łysiną, co wszystko razem czyniło ją podobną do trupiej czaszki. Miałem wrażenie, że chory wydaje ostatnie tchnienia.

Na pozdrowienie moje nie odpowiedział zaraz, lecz przez dłuższą chwilę przypatrywał mi się badawczo. I być może, że odkrył w mej twarzy to, czego pragnął, gdyż, kiedy tylko podszedłem bliżej, wyciągnął do mnie obie wychudłe ręce i rzekł, siłąc się na uśmiech:

— Witam pana serdecznie. Wiem, że odwiedzanie umierających nie należy do przyjemności... ale czasem trzeba się zdobyć na to poświęcenie. Chciałbym zasięgnąć pańskiej rady w pewnej sprawie, czy jednak będzie pan ze mną zupełnie szczerzy?

— Ależ rozumie się. Może pan być pewny, że odpowiem szczerze na każde pytanie.

— Och, wzrusza mnie to do głębi... Od pańskiej odpowiedzi zależy bardzo wiele...

Mówił przerywanym głosem oddychając tak ciężko i głęboko, że pierś wznosiła mu się wysoko i opadała. Podsunąłem mu poduszkę, by się o nią oparł i podniósł nieco głowę, co mu trochę ulżyło. W chwili gdy przysuwałem sobie krzesło do łóżka, by usiąść, chory przyglądał mi się z tą samą przenikliwością co przedtem, jakby chciał zgłębić dno mojej duszy. Współczułem nieszczęśliwemu.

— Proszę mówić swobodnie i otwarcie — rzekłem. — Niech pan wyobrazi sobie, że jestem najzyczliwszym jego przyjacielem i jako taki będę mówił z panem jak z bratem.

— Muszę umrzeć — zaczął, składając dłonie. — Wiem to, przeczuwam... Zresztą chciałbym już odejść z tego padotu płaczu... Ale, niestety, duszę moją przygniata olbrzymi ciężar i przemocą chce ją w ciele zatrzymać. Pan należy do wierzących, czy jest wolnomyślicielem?

— Zaliczam się do pierwszych, ale i z drugimi mam coś wspólnego... Żywię przekonanie, że dusza ludzka może osiągnąć wolność jedynie przez wiarę.

— Przepięknie. Takiego właśnie człowieka pragnąłem spotkać przed śmiercią. Co pan sądzi o przysiędze?

Było to bardzo wiele mówiące pytanie. Domyśliłem się z niego, że sumienie nieszczęśliwego obciąża jakaś przysięga. Może przyrzekł dochować jakiejś tajemnicy i teraz, przed śmiercią, napęlnia go to trwoga.

Nie odpowiedziałem od razu, a chory dodał:

— Może pan jej w ogóle nie uznaje?

— Przysięga jest świętym przyrzeczeniem w obecności Boga jako świadka. Kto ją złamie, winien jest Jego obrazy.

— Sądzi więc pan, że przysięgi należy bezwarunkowo dochować?

— Tak, bezwarunkowo.

— I ja byłem tego samego zdania — rzekł smutno, opuszczając ręce. — Dlatego też ciężar, który mnie gniecie, jest nie do usunięcia.

— Ba, ale czy pan przysięgał dobrowolnie?

— Nie, nie dobrowolnie!

— Zmuszono więc pana do tego! Ja bym nigdy nie dał się zmusić do łożenia przysięgi.

— Nawet pod groźbą śmierci?

— Tak, nawet gdyby mi zagrożono zamordowaniem.

— I wołałby pan raczej umrzeć?

— Hm... na pytanie to trudno odpowiedzieć bez namysłu. Trwoga przed śmiercią może bowiem być silniejsza niż wola; zależy to od okoliczności... Ja w każdym razie wyczerpałem wszystkie siły, aby wydobyć się z podobnego położenia. Gdyby jednak wyjścia takiego nie było, to wymuszone pod groźbą śmierci przyrzeczenie mogłoby mnie obowiązywać tylko wówczas, gdyby nie sprzeciwiało się przykazaniom bożym i dobru bliźniego. Gdyby zaś przyrzeczenie moje miało osłaniać jakąś zbrodnię, to oczywiście nie krepowałbym się nim wcale.

— Czy mówi pan to z przekonaniem?

— Tak, panie. Przysięga, zmuszająca do grzechu, jest sama grzechem, i to wcale nie powszednim. Kto miałby w tej kwestii jakieś wątpliwości, powinien poradzić się spowiednika, a z pewnością uzyskałby od niego zwolnienie z takiej przysięgi.

— Pan mi niesie ulgę — westchnął chory jakby nieco uspokojony. — Byłem świadkiem zbrodni... Złoczyńca napadł na mnie i zmusił do przysięgi, w której zobowiązałem się nawet na śmiertelnej pościeli nie zdradzić tajemnicy.

— Jakaż to była zbrodnia?

— Morderstwo. Pewien przewodnik zabił podróżnego w czasie przeprawy przez Kordyliery. Podróżnym tym był człowiek duchowny. Obaj przybywali z Peru. Ja przypadkowo znajdowałem się w pobliżu i byłem świadkiem mordu.

— I nie mógł pan temu przeszkodzić?

— Nie, było już za późno... Dzielili mnie od miejsca zbrodni stroma skała.

— A nie można było nastraszyć mordercy wołaniem?

— Wołałem. Ale on, widząc, że nie mogę dostać się do niego, odpowiedział mi śmiechem i na moich oczach dobił ofiarę. Wstrętne to było nad wyraz...

— A nie miał pan strzelby?

— Owszem, miałem, ale zabrakło mi prochu. Puściłem się następnie w pogoń za mordercą, by go pochwycić i oddać w ręce władzy. Ale nie byłem dostatecznie ostrożny. Drab zaczął się na mnie nad przepaścią, powalił na ziemię i byłby niezawodnie zamordował, gdyby nie wzgląd na to, że znaleźliśmy się przedtem.

— Więc nie poznał go pan od razu?

— W chwili mordu nie mogłem dokładnie widzieć twarzy zbrodniarza, bo dzieliła nas spora przestrzeń. Dopiero gdy mnie powalił, poznałem go. W pierwszej chwili chciał mnie zamordować, ale kiedy mu przypomniałem, że winien mi jest wdzięczność za pewną usługę, którą mu oddałem, darował mi życie pod warunkiem, że dochowam tajemnicy do grobu. Byłem wyczerpany fizycznie... nie mogłem się bronić... trudno mi też było zebrać myśli... przysięgłem więc... i przysięga ta prześladowa mnie jak upiór krwawy...

Zamilkł, wyczerpany mową, i chwilę odpoczywał.

Smutne wyznanie nieszczęśliwego wziętem głęboko do serca i przyszedł mi namysł ów sendador, o którym opowiadał Monteso. Wszak on również prowadził przez Kordyliery jakiegoś mnicha, który podobno, umierając w drodze, przekazał mu tajemnicę. Czy nie jest to przypadkiem ta sama sprawa? Czy ów zbrodniarz nie jest właśnie zabójcą zakonnika, któremu wydarł *kipu*?

— Czy mógłby pan wymienić nazwisko owego zbrodniarza? — spytałem.

Chory przecząco poruszył głową i takim samym ruchem odpowiedział na moje pytanie, dotyczące nazwy miejsca, w którym zbrodnia została dokonana.

— Może pan wie, z jakiego powodu ów człowiek zamordował zakonnika? Może chodziło mu o jakieś papiery, w których znajdowała się wiadomość o zakopanych ongiś przez Inków skarbach?

— Wielki Boże! — szepnął chory, wyciągając ku mnie rękę. — Pan wie o tym? W jaki sposób posiadał pan tę tajemnicę?

— To tylko wniosek, jaki wysnuwam z pańskiego opowiadania. Zakonnik ów zmierzał do dominikanów w Tucuman? Prawda?

— Wie pan wszystko!... Boże! — szeptał chory.

— Morderca zaś jest znanym przewodnikiem?

— Nawet to pan wie! Ale... ja przecież nic konkretnego panu nie powiedziałem... nie zdradziłem tajemnicy ani jednym słowem...

— Tak, ale ja wiedziałem o wszystkim już wcześniej.

Powiedziałem to umyślnie, by uspokoić chorego i nie dać mu czasu na rozmyślanie o tej sprawie. Następnie zagadnąłem:

— A więc tylko to ciąży panu na sumieniu? Na twoim miejscu, przyjacielu miły, dawno już bym się pozbył tej troski. Należało zasięgnąć porady spowiednika i to zaniedbanie właśnie jest jedynym pańskim grzechem. Nie ma tu, co prawda, księdza, ale możemy przecież wezwać brata Hilaria. On panu na pewno poradzi życzliwie i dobrze.

— Nie mogę, panie...

— Owszem. Przecież sprawa ta przestała już być tajemnicą, skoro na przykład ja wiem tyle co i pan. Brat Hilario zaś należy do ludzi godnych zaufania i dochowa tajemnicy tak samo, jakby to była spowiedź. Jestem pewien, że odpowiedź jego na pańskie pytania będzie taka sama jak i moja.

— Ostatecznie muszę przyznać panu słuszność — rzekł po dłuższej chwili milczenia. — Jednak nie wie pan jeszcze wszystkiego. Senda... co to ja chciałem... Mniejsza o to... Ów morderca powiedział mi wiele innych rzeczy.

— Ta okoliczność nie czyni już różnicy w całej sprawie. Nie idzie tu bowiem o to, co pan powinien przemilczeć, ale o to, że już nie wiąże pana przysięga, bo owa tajemnica jest przecież nie tylko panu znana. Zresztą w obliczu śmierci powinien pan być szczery. Nie mówię tego od siebie, lecz stawiam się w położenie pana, bardzo ciężkie i smutne, i zaręczam słowem honoru, że będąc na pańskim miejscu, nie wahałbym się ani chwili i uczynił wyznanie braciszкови Hilario.

Przesunął wyschłymi palcami po brzegu łóżka, opuścił bezwładnie głowę na bok i rzekł:

— Namyślę się nad tym.

— Niech pana nie trapi żadna obawa. Każdego z nas czeka chwila, w której za późno już na jakiegokolwiek namysłu.

— Śmierć? — westchnął. — Czy pan się jej boi?

— Nie!

— Domyślam się, że nie brak panu odwagi, by zajrzeć jej w oczy, ale mam tu na myśli co innego, mianowicie to, co oczekuje nas poza grobem.

— Rozumiem pana. Śmierć sama jest dla bogobożnych ludzi aniołem — wybawicielem posłanym przez Boga w celu odszukania zaginionego dziecka i zaprowadzenia go do domu

ojca. Ale dla zatwardziałych »j grzeszników jest ona surowym dozorcą, który ma ich prowadzić do wiekuistego więzienia. Kto więc spełnił uczciwie swoje obowiązki tu, na ziemi, może bezpiecznie i z ufnością w miłosierdzie Boże zamknąć oczy na sen wieczny.

Chory leżał przez dłuższy czas z przymkniętymi oczyma. Prawdopodobnie przypominał sobie całe swoje życie i przeprowadzał rachunek sumienia. Wreszcie otworzył oczy i odezwał się:

— Tak, ma pan słuszność. Poradzę się zakonnika. Proszę go przywołać.

Spełniłem natychmiast to życzenie i brat Hilario wszedł niebawem do chorego. Ja pozostałem w pierwszej izbie. Po upływie godziny, gdy zakonnik wyszedł ze świetlicy, zauważyłem na jego poważnej twarzy coś jakby przebłysk radości. Podał mi rękę, mówiąc:

— Prosił o księdza i trzeba natychmiast posłać do Montevideo. Najważniejsze jednak jest to, że chory już się nie trwoży. Oświadczył mi, że pragnąłby zobaczyć się jeszcze dzisiaj z panem, i prosił, aby go pan odwiedził.

— Ale my musimy zaraz wracać do estancji — wtrącił Monteso.

— Możecie zostać tu jeszcze — odparł ranczer — bo przecież rozporządzacie własnym czasem.

I wyszedłszy na dziedziniec, wydał rozkaz jednemu z gauchów, aby pojechał po księdza.

Na prośbę gospodyni i braciszka obiecałem pozostać do jutra. Monteso jednak nie dał się namówić. Zresztą nie dziwiłem się temu, gdyż niewątpliwie w domu niepokojono się już o niego. Ze względu jednak na mogące grozić mu w drodze niebezpieczeństwo, ostrzegłem go:

— Lepiej by pan zrobił, zostając tutaj. Nie wierzę bolarzom i obawiam się, że może spotkać pana z ich strony przykra niespodzianka.

— Przecież są oni już daleko, więc nie ma powodu, aby się ich obawiać.

— A jednak radziłbym, aby pan poprosił gospodarza o kilku parobków jako eskorty do miejsca, w którym byłby pan istotnie bezpieczny.

— To niepotrzebne. Zresztą słońce zaraz zajdzie i nie mogę czekać, zanim parobcy będą gotowi do drogi.

Nie przekonałem *yerbatera*, sam więc poprosiłem gospodarza, aby mu dał do towarzystwa dwóch gauchów, na co tenże się zgodził.

Obiecawszy powrócić po mnie następnego ranka, Monteso odjechał w towarzystwie udzielonej przez gospodarza eskorty. Niestety, po upływie kwadransa gauchowie wrócili, oświadczając, że *yerbatero* odprawił ich, gdyż nie chce się narażać na śmiech i uchodzić za tchórza potrzebującego opieki.

Żałowałem teraz, że nie towarzyszyłem mu przynajmniej do połowy drogi, i owładnęło mną jakieś złe przeczucie. Rozejrzawszy się jednak po stepie i nikogo nie zobaczywszy, wróciłem do izby.

Chory zapadł w ciężki sen, a mieszkańcy zajęli się zwykłą codzienną krzątaniem. Aby im nie przeszkadzać, wyprowadził mnie brat Hilario na dwór i pokazał zagrodę, w której trzymano bydłęta, po czym usiedliśmy na ławce pod domem i paląc papierosy, gawędziliśmy o różnych sprawach.

Od chwili odwiedzin chorego brat Hilario ani słowem nie wspominał mi o nim, więc też i ja nie poruszałem tej sprawy. O sobie i życiu swoim również zakonnik nic nie mówił, a ja nie śmiałem o to pytać, chociaż bardzo mnie interesowała ta tajemnicza postać. Jedno tylko zauważyłem, a mianowicie, że był to człowiek bardzo wykształcony.

Przedmiotem naszej rozmowy byłem wyłącznie ja. Słuchał z uwagą moich wspomnień z podróży, a gdy napomknąłem, że obecnie zamierzam dostać się do Tucuman, zdziwił się bardzo.

— Señor Pena? Skąd pan go zna?

— Spotkaliśmy się przed dwoma laty w Maksyku. Obecnie doniesiono mi, że przebywa w Tucuman.

— Tak jest, zastanie go tam pan z pewnością. Wybiera się jednak w podróż. Czy jedzie pan prosto do niego?

— Nie, zawadzę o Gran Chaco.

— To mnie bardzo interesuje, señor, gdyż i ja zamierzam udać się do Gran Chaco, potem zaś do Tucuman.

— To się wspaniale składa! Będziemy mogli odbyć tę podróż razem.

— To zupełnie możliwe. Kiedy pan wyrusza?

— W ciągu kilku dni.

— Chętnie się przyłączę, jeżeli tylko pańscy towarzysze zgodzą się na to. Kto jedzie z panem?

— Monteso i pięciu *yerbaterów*. Jestem przekonany, że będą bardzo zadowoleni, gdy się dowiedzą, że wielebny dobrodziej chce jechać z nami.

— Po co wybierają się oni do Gran Chaco? Przecież mogą w innych okolicach, mniej niebezpiecznych, mieć większy zbiór *mate*.

— Tym razem nie o *mate* im chodzi, lecz o rzecz zgoła inną.

— Tajemnica?

— Właściwie tak. Czy Gran Chaco jest istotnie tak niebezpieczne?

— Bardzo. Ale przypuszczam, że nie dla pana. Kto tyle co pan przebywał wśród czerwonoskórych i spotykał się z dzikimi zwierzętami, na północy, ten może się śmiać z Gran Chaco. Tyle tam niebezpieczeństw co na sawannie lub na pustyni.

— Jakie zwierzęta można spotkać w Gran Chaco?

— Jaguary, których jednak nie należy porównywać z tygrysami indyjskimi, następnie pumy, daleko mniej groźne od lwów afrykańskich, chociaż spotkanie tak z jednym, jak z drugim zwierzęciem wcale nie należy do przyjemności. Tych właśnie drapieżców należy obawiać się najbardziej, gdyż skradają się zazwyczaj do upatrzonej ofiary niepostrzeżenie i zdradliwie jak wąż.

— Coś podobnego to i ja umiem.

— Pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę, oczywiście nie obrażając pana, że pod tym względem porównanie pańskie jest przesadzone.

— W takim razie załóżmy się. Teraz jest ciemno. Brat siedzi tu na ławce, a ja stanę za bramą. Mamy taką ciszę, że najmniejszy szelest nie może ująć uwagi. Mimo to ja przyjdę i usiądę obok, a brat tego nie zauważy.

— Zdziwiasz mnie, señor, i uszom swoim nie wierzę.

— Pozna mnie wielebny brat bliżej, gdy będziemy podróżowali, i przyzna wówczas, że nie przesadzam.

— W jaki jednak sposób może pan przedostać się tu zza bramy, skoro zamknięta?

— Poradzę sobie za pomocą *lassa*.

— Hm, to możliwe, ale chyba tylko za pomocą *lassa*.

— Umiem przedostać się przez kaktusy bez względu na to, czy rosną bezładnie, czy też stanowią żywopłoty. Wystarczy mi do tego nóż.

— W takim razie niebezpieczny z pana człowiek. A jednak wątpię, aby mógł pan przedostać się przez ten mur nie zauważony przeze mnie.

— Może więc spróbujemy?

— Po co, skoro z góry wiem, że to się panu nie uda. Niemożliwe, abym nie usłyszał odgłosu pańskich kroków, bo zdradzą pana te olbrzymie buty.

— Więc przekonam pana. Wprawdzie nie mamy jeszcze egipskich ciemności, ale zmrok zapadł już na dobre. Oddalę się w tamten kąt z prawej strony, a dobrodziej położy kapelusz na tym miejscu, gdzie ja teraz siedzę. Kapelusz ten, jeżeli go wielebny brat nie będzie przytrzymał ręką, ukradnę mu sprzed nosa.

— Dobrze.

— W momencie, w którym brat zauważy moją obecność, proszę mnie schwytać. Od chwili jednak, gdy się stąd oddalę, nie wolno tknąć kapelusza.

— Zgadzam się i będę patrzył w ciemność jak sroka w kość.

Wstałem, a brat Hilario położył na opróżnionym przeze mnie miejscu kapelusz. Ciemność zapadała coraz głębsza i nawet z bliska nie można już było nic dostrzec. Oddaliłem się we wskazane miejsce, na prawo, a zatem, chcąc wziąć leżący na ławce po lewej stronie kapelusz, musiałbym przechodzić tuż przed oczyma zakonnika. Dlatego to był on tak pewny, że mnie schwyta. Ja jednak urządziłem się w ten sposób, że skierowawszy się istotnie w prawo po kilku krokach zboczyłem niepostrzeżenie na lewo, w stronę bramy, i wreszcie wzdłuż żywopłotu, pełnąc na czworakach, skradałem się ku ławce. Poszło mi to o tyle łatwiej, że grunt wysypany był wilgotnym piaskiem. Ażeby zaś zmylić brata Hilaria, rzuciłem małą grudkę ziemi tak, aby trafiła po prawej jego stronie, po czym przesunąłem się kilka metrów i znowu rzuciłem na prawo grudkę ziemi. Brat Hilario nasłuchiwał, wyrażając uwagę w stronę, skąd pochodziły ciche szelesty padających grudek ziemi, ja zaś w tej samej chwili miałem już kapelusz w rękę i siedziałem na poprzednim swym miejscu, tuż u jego boku. Wreszcie odezwałem się:

— Wielebny dobrodzieju ciągle mnie jeszcze oczekuje?

— Jak to? Pan już tutaj? — krzyknął, zrywając się na równe nogi.

— O, i to od paru minut — rzekłem, po czym opowiedziałem, jak to się stało. W trakcie zaś wyjaśniania mu tej sztuki zdjąłem z siebie lasso i zaczępiłem je o wstążkę kapelusza.

— Ba, w taki sposób to i ja coś podobnego potrafię.

— Proszę! Ale teraz ja pozwolę sobie powątpiewać w powodzenie eksperymentu. To wcale nie jest takie łatwe, poza tym ja odróżniam z łatwością szmer rzuconej grudki ziemi od odgłosów stapania i nie jest to już dla mnie czymś nadzwyczajnym. Fortele zaś tego rodzaju ćwiczyłem przez długie lata, przebywając w puszczy i stepie. Najwięcej uczy doświadczenie. Potrzeba zaś jest matką pomysłów i wynalazków.

— Jednak drugi raz już mnie pan nie wyprowadzi w pole.

— Naprawdę? Spróbujmy.

— Dobrze. Jeżeli i tym razem uda się panu zmylić moją czujność, to uznam pana za najgenialniejszego myśliwego pod słońcem.

— Znakomicie. Otóż znowu kładę kapelusz na tym samym miejscu co poprzednio. Proszę się przekonać, że istotnie leży on na ławie. A teraz oddalę się i znowu po pewnym czasie zabiorę go stąd niepostrzeżenie.

Brat Hilario sięgnął ręką do kapelusza, mnie zaś ogarnęła obawa, aby nie namacał lassa, bo bym się haniebnie skompromitował.

— Proszę uważać — rzekłem i, oddalając się, chrząknąłem głośno, aby nie słyszał, jak ściągnięty lassem kapelusz powlókł się za mną. Obszedłszy podwórce, otarłem kapelusz z piasku, owinąłem się lassem i podkradałem się do ławki w taki sam sposób jak poprzednio, lecz od strony prawej. Brat Hilario z wyteżoną uwagą nasłuchiwał mnie od strony lewej, ja zaś, usiadłszy cichutko po prawej jego ręce, wydobyłem papierosa i, zapalając go, rzekłem:

— Zobacz, wielebny bracie, gdzie kapelusz.

— Hm! — mruknął, macając ręką po stronie, gdzie leżał on poprzednio.

— Nie tam! Jest już na mojej głowie, bracie Hilario!

— Tak, istotnie! Zdziwiał mnie pan. Patrzyłem w lewo, a pan pojawia się z prawej strony, i to w kapeluszu. Jak pan to zrobił?

— Tym razem niech to pozostanie moją tajemnicą. Widzi brat teraz, że mam niezwykle zdolności do fortelów.

— Tak, muszę to przyznać.

— Otóż w podobny sposób potrafiłbym wprowadzić w błąd nawet Indian i cieszę się, że w Gran Chaco będę miał okazję wykorzystania swoich umiejętności.

— Czy ci *yerbaterzy* to porządni ludzie?

— Właściwie nie miałem jeszcze czasu przekonać się o tym, ale wierzę, że tak jest w istocie.

— Wspominał pan, że dążą oni w te okolice wcale nie po to, aby zbierać *mate*. Czyżby zajęcie ich nie ograniczało się do herbaciarstwa?

— Cel ich właściwie powinien być tajemnicą. Że jednak wielebny brat pojedzie z nami, więc i tak niebawem dowie się, o co im chodzi. Zamierzają oni odnaleźć sławnego sendadora i udać się z nim w Kordyliery na poszukiwanie ukrytych skarbów.

— A pan z nimi?

— Tak. Mam być, że tak powiem, inżynierem—rzeczoznawcą w całej tej wyprawie.

— Cóż to za skarby?

— Nie wiem dokładnie... podobno jeszcze z epoki Inków.

— Czy miejsce, w którym ukryto skarby jest wam znane?

— Są plany.

— Kto je zdobył?

— Sendador otrzymał je od mnicha, który umarł podczas przeprawy przez Kordyliery.

Pytał na pozór obojętnie, ja zaś odpowiadałem otwarcie. Czy się dowiedział od chorego, że i ja wiem coś o tej sprawie, nie mogłem wywnioskować spod maski spokoju. Wreszcie rzekł:

— Chce mnie pan podejść, wiedząc, że sprawa ta wcale mi nie jest obca.

— Istotnie, przypuszczam, że chory zwierzył się przed bratem.

— Nie mogę teraz nic na ten temat mówić, ale kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, wystąpię czynnie. Jestem zdecydowany odbyć podróż w towarzystwie *yerbaterów* i poznać owego sendadora. Proszę pana jednak, aby nie zdradził mnie pan przed *yerbaterami* lub przed sendadorem. Miałem jechać do Tucuman przez Santa Fe i Santiago i jeżeli zбочę z tej drogi do Gran Chaco, nie będzie to wielką ofiarą z mej strony. Wyruszymy jutro wczesnym rankiem. A teraz muszę zwrócić do chorego.

Okazało się jednak, że chory był pogrążony w głębokim śnie, więc brat Hilario wrócił natychmiast i zasiedliśmy do kolacji. Potem długo jeszcze gawędziliśmy w izbie.

Okolo północy chory przebudził się i zawołał głośno. Brat Hilario wszedł natychmiast do świetlicy, a po chwili przywołał gospodarzy. Przez jakiś czas dobiegały stamtąd przytłumione głosy, po czym nagle zapadła cisza. Po upływie kwadransa wrócili wszyscy troje smutni i przygnębieni.

— Zasnął... nie doczekał się spowiednika — rzekł braciszek. — Requiescat in pace! Umarł jednak spokojny i pełen ufności w miłosierdzie Boże! Niech mu też Bóg będzie miłości w.

Smutek po umarłym był w tym domu głęboki i szczery. Niestety, wypadek ten pokrzyżował nam plany o tyle, że musieliśmy przyrzec gospodarzowi, iż weźmiemy udział w pogrzebie, a więc o parę dni opóźnić swój wyjazd. Bürgli dla pewności, że istotnie dotrzemy obietnicy, zatrzymał nasze konie, a dał nam swoje, byśmy pojechali do estancji *Del Yerbatero*, dokąd też udaliśmy się nazajutrz przed południem.

Brat Hilario znał doskonale okolicę, więc wymijaliśmy miejsca trudne do jazdy, nie zbacząc wszelako z prostego kierunku, i dzięki temu drogę tę odbyliśmy w ciągu dwóch godzin.

Oddawszy konie peonom, udaliśmy się do domu estancjera, gdzie nas powitał dosyć chłodno jakiś człowiek, z którego rysów domyśliłem się od razu, że jest bratem mego znajomego *yerbatera*.

— Witam panów — odezwał się, obrzucając nas badawczym spojrzeniem. — Sądząc z tego skórzanego stroju, przypuszczam, że jest pan owym Europejczykiem, który wczoraj wyjechał z moim bratem.

— Tak jest — odrzekłem. — A towarzyszy mój nazywa się Hilario. Czy zastaliśmy pańskiego brata?

— Jak to? — zapytał zdziwiony. — Przecież pojechał on z panem. Wróciłem do domu wczoraj wieczorem, a dowiedziawszy się od żony, że wyjechaliście rano i nie wróciliście do tej pory, zaniepokoiłem się ogromnie.

— Ależ brat pański jeszcze wczoraj wybrał się do domu z rancho Bürgli.

— Nie widzieliśmy go wcale... — rzekł zaniepokojony. — Może spotkało go w drodze jakie nieszczęście...

— Niestety, i ja tak przypuszczam. Być może schwytali go po raz wtóry bolarze — odrzekłem z uczuciem troski.

— Bolarze? Tak, opowiadali mi moi parobcy, że widzieli oddział jeźdźców, który przegalopował przez nasze pastwiska jak wichur i zniknął.

— Istotnie. Opadli nas obu i wzięli do niewoli.

— Dios! Cóż to było?

— Wierzyć trudno, a jednak zaskoczyli nas tak zniemacka, że niemożliwa była jakakolwiek obrona... Zresztą było ich pięćdziesięciu, a nas tylko dwóch.

— To bardzo mnie niepokoi, señor. Schwytano więc pana i mego brata? Ale co się z nim stać mogło teraz? Proszę wejść do pokoju. Żona moja i córka ogromnie są zatroskane. Opowie pan nam, jak to było... Widocznie bandyci czyhali na mnie, a schwytali señora, i przeze mnie znalazł się pan w niebezpieczeństwie.

— Sądzę, że ani pan, ani brat pański nie jesteście winni, tylko w najgorszym razie ja sam. A właściwie trudno i mnie winić. Wprawdzie napad przygotowany był na mnie, ale bez żadnej z mej strony przyczyny, że zaś brat pański jechał ze mną, więc i jego spotkało nieszczęście.

Weszliśmy do pokoju, w którym znajdowały się niewiasty. Smutne były i strapione z powodu zniknięcia *yerbatera*, że zaś pragnęły poznać okoliczności, jakie towarzyszyły napadowi, więc opowiedziałem drobiazgowo całą naszą przygodę, po czym odbyliśmy naradę, co nam czynić wypada. Po długich debatach doszliśmy do wniosku, że Montesa po raz drugi schwytali bolarze albo też zdarzył mu się w drodze inny nieszczęśliwy wypadek. Ja osobiście skłaniałem się do tego pierwszego wniosku, podczas gdy brat Hilario obstawał przy drugim, twierdząc:

— Jeźdźcy przeprawili się przez rzekę i umknęli, co sił starczyło, w obawie przed wojskiem. Zresztą gdyby mieli w dalszym ciągu jakieś złe zamiary, nie opuściliby tych stron. A przecież wiemy, że poszli za rzekę.

— Bynajmniej. Aby wprowadzić nas w błąd udali oni tylko, że opuszczają nasze strony, a kiedy przekonali się, że zdołali wyprowadzić nas w pole, zawrócili i urządzili zasadzkę na Montesa.

— Ale mówił pan przed chwilą, że uwzięli się oni wyłącznie na pana, coż im tedy przyjdzie z Montesa?

— Ba! Pewnie przypuszczali, że obaj pojedziemy do estancji, a spotkawszy tylko jego, musieli się tym zadowolić.

— Czy mógłby mi pan opisać tych opryszków? — zapytał estancjero. Gdy uczyniłem zadość jego żądaniu, zawołał podniecony:

— Cadera? Rozumiem! To najniebezpieczniejszy opryszek argentyński, który już niejednokrotnie wpadał w granice naszego kraju i rabował stadninę. Opowiadano mi wczoraj w drodze, że pojawił się znowu w naszych stepach i że wysłano przeciw niemu wojsko.

— Ja mu to powiedziałem prosto w oczy — wtrącił Hilario — ale on się wyparł, twierdząc, że jest oficerem armii.

— Dlaczego go puściliście?

— Ba, musieliśmy to uczynić, aby ratować pańskiego brata.

— I coż z tego? Złapali go powtórnie. Zresztą jak długo Cadera był waszym jeńcem, ludzie jego nie mogli nic złego uczynić memu bratu...

— Co za nieszczęście! Zamordują go! — biadała señora.

— O to nie ma obawy — rzekł Monteso. — W najgorszym razie wciągną go w swoje szeregi albo zażądadają okupu.

— Zdaje mi się, że należy spodziewać się tego ostatniego — wtrącił braciszek. — Nie zabiją go, to pewne, a taki przymusowy żołnierz przysporzyłby im więcej kłopotu niż pożytku. Słyszałem, że brat wasz jest zamożny, i oni też wiedzą o tym na pewno. Trzeba więc być przygotowanym, iż zażądadają pokaźnej za niego sumy.

— Wymuszenie! Rabunek! W tej chwili pojedę do Montevideo postarać się, aby rząd interweniował w Buenos Aires z powodu tego łotra.

— To nic nie pomoże — zauważyłem. — Zanim pan przybędzie do Montevideo, zanim rząd wyśle odpowiednie pismo i zanim potem zarządzi dochodzenie, upłynie sporo czasu i brat pański może już nie żyć albo w najlepszym wypadku stracić zdrowie na całe życie.

— Ma pan słuszność. Ale co w takim razie czynić? Urządzić pościg za bolarzami na własną rękę?

— Rozumie się. Nie spoczniemy dopóty, dopóki nie wydrzemy brata pańskiego z niewoli. A czy będziemy musieli użyć gwałtu czy podstęp, okaże się w swoim czasie.

— Bardzo mądra rada. Tak uczynimy. Zwołam natychmiast wszystkich swoich gauchów i uzbroję ich.

— Proszę zaczekać! — zatrzymałem go, gdy chciał wyjść, aby wydać swoim ludziom polecenia. — To na razie zbyt wczesne.

— Ależ, señor, nie mamy ani chwili do stracenia!

— Nie przeczę. Przede wszystkim jednak musimy opracować dokładny plan. Czy i pan ma zamiar wziąć udział w tej wyprawie?

— Naturalnie!

— Czy obecność pańska nie jest konieczna w domu? Czy można zostawić panie bez opieki?

— Najważniejszą sprawą jest ratowanie brata! — rzekła señora. — Zresztą dom nasz nie jest łatwy do zdobycia — dodała.

— A więc nie ma co namyślać się dłużej — rzekł gorączkowo Monteso. — Musimy zaraz jechać.

— Jeszcze nie zaraz. Przede wszystkim trzeba zaopatrzyć się w żywność, która by nam wystarczyła na kilka dni, a następnie musimy mieć, o ile możliwości, najlepsze konie.

— To wszystko się zrobi.

— Wreszcie potrzebna będzie pewna kwota pieniędzy na wykupienie brata, jeżeli w żaden inny sposób nie zdołamy go uratować.

— Wszystko uczynię, ale nie zwlekajmy. Zaraz wezwę gauchów, by...

— To zbyt wczesne — przerwałem. — Nie przydadzą się nam wcale, a nawet mogą być przeszkodą, bo im więcej ludzi weźmiemy, tym bardziej utrudnimy sobie swobodę ruchów. Opryszków jest pięćdziesięciu i gdybyśmy ich chcieli pokonać siłą, musielibyśmy mieć co najmniej taką samą liczbę ludzi, a to przecież niemożliwe. Pozostaje nam zatem jedyny sposób: podstęp.

— Zgadza się z panem — wtrącił brat Hilario — i również jestem zdania, że należy unikać gwałtownego starcia oraz rozlewu krwi. Mniej ludzi, a dzielnych, może zdziałać więcej niż cały oddział, którego nie można by było ukryć przed oczyma nieprzyjaciela.

— Brat dobrodziej wyraża się tak, jakby zamierzał wziąć udział w wyprawie. Czy się nie mylę?

— Bardzo chętnie przyłączę się do was.

— Ba! Ale pomijając, iż wyprawa ta niebezpieczna będzie i uciążliwa, może być przy tym niestosowna dla duchownej osoby.

— Czy będąc duchownym, nie mogę być dobrym jeźdźcem?

— Nie to miałem na myśli. Ale gdyby przyszło do walki...

— To byśmy walczyli.

Estancjero cofnął się o krok i spojrział ze zdumieniem na zakonnika.

— Jak to? Wielebny brat wzięłby udział w bitwie?

— A któż mi zabroni? Czy zakonnik pozbawiony jest prawa obrony, gdy życiu jego zagraża niebezpieczeństwo?

— Nie wiem, co mam na to odpowiedzieć. Słyszałem, że takie poglądy głosi jedynie sławny brat Jaguar...

— Zna go pan?

— Nie widziałem go, co prawda, ale mówiono mi o nim tyle, że Gnałem go za niezwykle dzielnego człowieka. Należy on do zakonu w Tucuman, ale przebywa stale w podróży, zapuszczając się w puszcze między Indian, w pampasy i Kordyliery. Słyszałem wiele o jego odwadze. Nie boi się on nikogo i niczego, nie cofa się przed żadnym niebezpieczeństwem, jaguara chwytą podobno jedną ręką, jakby to była potulna i łagodna owca, drwi sobie ze zbójców, natomiast oni się go boją, chociaż nigdy prawie krwi nie przelewa. Posiada podobno olbrzymią siłę. Może brat zna go bliżej albo też słyszał o nim coś więcej?

— Słyszałem — odrzekł, uśmiechając się. — Ale od ludzi, którzy go nigdy nie widzieli. Ci zaś, którzy go znają, nie mówiliby o nim... do niego samego...

— Dios! Czyżbym miał zaszczyt?

— Ależ tak! Jestem właśnie tym, o którym mowa.

— Co za szczęście! Jakże rad jestem z poznania wielebnego brata! Nie umiem wyrazić swej radości, że się brat do naszej wyprawy przyłączy.

— Wybieram się jednak z wami, señor, nie dlatego, że szukam okazji do walki lub pragnę nowych przygód. Brat pański oraz ten cudzoziemiec postanowili udać się do Gran Chaco, ponieważ zaś i moje sprawy wymagają odwiedzenia tej krainy, więc będę im towarzyszył. Ze zaś przyszły mój towarzysz podróży, brat pański, znalazł się w niebezpieczeństwie, więc mam obowiązek nieść mu pomoc, oczywiście taką, jaka licować będzie z moim stanem duchowym. Żadnego z jego nieprzyjaciół nie zabiję, nie splamię rąk krwią ludzką, ale jako znający dobrze pustynię mogę się wam przydać w tej wyprawie.

— Dziękuję z całego serca. Przyszło mi jednak na myśl i musimy to wziąć pod uwagę, że brat mój mógł utknąć gdzieś po drodze z powodu jakiegoś wypadku. Mógł na przykład złamać nogę i leży gdzieś na stepie...

Słowa te przerwał wejście peona, który oznajmił gospodarzowi, że przybył jakiś jeździec i chce z nim rozmawiać.

— Któż to jest? — spytał Monteso.

— Jeden z tych żołnierzy, którzy byli tu wczoraj w sprawie zakupu koni.

— Przyrowadź go.

Spojrzelismy po sobie zdziwieni. Major Cadera wysłał do nas posłańca! Ciekawe, w jakim celu...

— Nareszcie się dowiemy, jak sprawa stoi — rzekł gospodarz. — Najgorszym stanem duszy jest niepewność.

— Byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby pozwolił mi pan rozmówić się z tym posłańcem — rzekłem.

— Dlaczego? Czyżby pan przypuszczał, że nie potrafię go wybadać?

— Nie to mam na myśli. Niewątpliwie pan zna lepiej ode mnie tutejsze stosunki. Ale pan jest bratem jeńca, o którego zapewne idzie, i sędzę, że obcy człowiek może być w tej sprawie bardziej obiektywny.

— Słuszna uwaga. Niech więc pan rozmówi się z posłańcem w moim imieniu.

Drab wszedł i od razu poznałem, że jest to jeden z tych, którego rozmowę słyszałem, siedząc w altanie. Prawdopodobnie spodziewał się zastać tu samego tylko estancjera, bo spostrzegłszy nagle mnie i brata Hilaria, zaniepokoił się.

— Czego pan sobie życzy? — zapytałem go.

- Od pana niczego — odrzekł. — Mam interes do señora Montesa.
- On właśnie prosił mnie, abym go zastąpił.
- Jeżeli tak, to proszę mu oddać ten list.

Wydobył papier z kieszeni i wręczył mi go. Adres na kopercie napisany był atramentem. Oddałem list Montesowi, który, spojrzawszy na pismo, rzekł:

- Od mego brata.

Po czym, rozdarłszy kopertę, przebiegł szybko oczyma treść listu i zbladł... Nie rzekł jednak ani słowa, wydobył ołówek, zanotował coś na marginesie listu i oddał go do przeczytania braciszкови, a następnie mnie.

Yerbatero pisał:

„Drogi Bracie!

Dostałem się powtórnie w ręce tych, którzy mnie już przedtem więzili. Pojmany też został Jose, którego przypadkowo spotkaliśmy, a który opuścił Santa Fe wcześniej, niż przypuszczaliśmy. Przez oddawcę niniejszego listu prześlij natychmiast 10 000 boliwianos, z którą to kwotą mogę zrobić znakomity interes, jeżeli ją na czas dostanę. Gdybyś się spóźnił, mógłbyś ściągnąć na nas i na siebie wielkie niebezpieczeństwo. Zaufaj posłańcowi i nie pytaj go o nic, gdyż ma surowo zakazane mówić cokolwiek. Nie wysyłaj też za nim pościgu, bo przez to pogorszyłbyś tylko całą sprawę.

Twój brat Mauricio”.

Dopisek estancjera ołówkiem zawierał krótką wskazówkę dla nas: „Moje panie nie powinny nic wiedzieć o ujęciu Jose, gdyż wypadek ten przygnębiłby je jeszcze bardziej”. Aby więc list nie dostał się przypadkowo do rąk señory, schowałem go do swojej kieszeni.

- Czy znana jest panu treść pisma, które pan przywiózł? — zapytałem posłańca.
- Tak. Mam otrzymać dziesięć tysięcy boliwianos.
- Czy przybył pan tutaj sam?
- Tak.

Owo „tak” było powiedziane bez chwili namysłu, a jednak byłem przekonany, że posłaniec kłamie.

- To nieprawda! Jeszcze ktoś jest z panem!
- Nie, señor.
- Proszę się nie wypierać, gdyż wiem o tym. Wysłano z panem jeszcze kogoś, kto w razie zatrzymania pana tutaj doniesie o tym majorowi.
- Ależ zapewniam pana, że przybyłem tu sam.
- Zobaczymy. A wie pan, na co señorowi Monteso potrzebne są pieniądze?
- Nie, tego nie wiem.
- Znowu kłamstwo! Wie pan bardzo dobrze, że jest to okup. Dziwię się, że miał pan czelność przybyć w takiej sprawie aż tutaj. Wie pan, co go tu czeka?
- Wiem! Bardzo życzliwe przyjęcie.
- A jeżeli się pan myli?
- Wówczas nie chciałbym być w skórze *yerbatera*. Jeśli bowiem nie powrócę do oddziału w ściśle oznaczonym czasie z pieniędzmi, to kto wie, czy zobaczycie go jeszcze żywego... Wysłany zostanie w daleki kraj, z którego zazwyczaj nikt nie wraca.
- Tak pan sądzi? Cóż, muszę przyznać, że macie środki do wymuszenia okupu. Kto jednak zapewni nas, że otrzymawszy ów okup, postąpićie poważnie... i uczciwie?
- Major zapewnia słowem honoru, że señor Mauricio odzyska wolność, jak tylko przywiozę pieniądze.
- Wasz major już dwukrotnie nie dotrzymał słowa, dlatego nie mogę mu wierzyć i teraz. Jestem przekonany, że otrzymawszy żadaną sumę, postawi nowe warunki.

— Bynajmniej.

— Dobrze. Przypuśćmy więc, że major faktycznie poprzestanie na wymienionej kwocie. Kto jednak nam zaręczy, że pieniądze dojdą w całości do jego rąk? Dziesięć tysięcy peso boliwijskich to dla pana majątek i gdyby się tak panu nie zechciało wrócić z nimi do majora.

— Nie jestem złodziejem, señor.

— Ale kto o tym mówi? Nie wygląda pan na takiego i mógłbym mu ostatecznie zaufać. Ale przyzna pan, że sprawa jest bardzo śliska i wymaga namysłu.

— Jak pan uważa. Ja dłużej czekać nie mogę.

— Może pan. Proszę się udać do kuchni i coś zjeść, a my tymczasem naradzimy się, jak postąpić. Właściwie jestem za tym, by sprawę załatwić po myśli majora, ale trzeba, aby się na to zgodziła rodzina uprowadzonego.

Zawołałem peona, który stał za drzwiami, i kazałem mu zaprowadzić posłańca do kuchni. Dziesięć tysięcy peso boliwijskich to ogromna kwota, nie zdziwiło mnie zatem pytanie estancjera:

— Czy pan istotnie uważa, że powinienem koniecznie wyłożyć tę sumę na okup brata?

— O „konieczności” nie ma mowy.

— No to brat mój zginie.

— Przeciwnie, właśnie dlatego odzyska wolność. Na razie wiemy w czyim ręku jest pański brat, a wiadomość ta ma wielkie dla nas znaczenie.

— Cóż z tego, skoro nie wiemy, gdzie się banda znajduje?

— Dowiemy się od posłańca. Zresztą nie przybył on tu sam...

— Tak pan przypuszcza?

— Major nie mógł powierzyć załatwienia tak ważnej sprawy jednemu tylko człowiekowi i na pewno dodał mu do towarzystwa kilku innych drabów. Bo przypuśćmy nawet, że posłaniec ten jest pewny i major ma do niego całkowite zaufanie, to jednak ze względu na mogące mu grozić na stepie niebezpieczeństwa, a wskutek tego możliwość utracenia tak poważnej sumy, musiał mu dodać eskortę, i to nie byle jaką. Może nawet sam ukrywa się gdzieś w pobliżu albo powierzył pieczę nad posłańcem co najmniej swemu porucznikowi i kilku żołnierzom. Jeżeli przybył w te strony sam major, łatwiejsze będzie nasze zadanie, jeśli zaś porucznik, to również zyskamy wiele, bo jeniec wskaże nam właściwą drogę.

— Czy zamierza pan targować się z nimi? Obawiam się, by to nie pogorszyło sprawy mojego brata.

— Proszę nie troszczyć się o to. Postaram się właściwie pokierować sprawą. Ów jeździec, który w tej chwili posiła się w kuchni, powie nam wszystko, co nas interesuje, nie wiedząc nawet, kiedy i jak. Czy ma pan w domu tyle pieniędzy, ile wynosi żądany okup?

— Na szczęście, tak. Wczoraj właśnie przywiozłem większą sumę.

— Jednak posłaniec ów nie powinien o tym wiedzieć. Oświadczymy mu, że mamy tylko połowę i że resztę postara się pan pożyczyć od sąsiada, do którego wybierze się pan natychmiast. Drab nie zechce czekać na pana powrót i pojedzie do swoich towarzyszy, którzy ukryci są gdzieś niedaleko. Ja zaś udam się za nim i odnajdę kryjówkę. Proszę mi tylko dać do pomocy dwóch tęgich i rozgarniętych gauchów. Osiodłane konie niech stoją w pogotowiu na dziedzińcu. Posłaniec będzie chciał oczywiście zmylić ewentualną pogoń, ale ja się na tym poznam.

— Czy mogę jechać z panem?

— Właściwie obecność pańska mogłaby pokrzyżować moje plany. Jeżeli jednak przyrzeknie mi pan, że będzie postępował ściśle według moich wskazówek, to możemy wybrać się obaj.

— Spełnię każde pańskie życzenie.

— Więc niech pan każe osiodłać dwa konie i przygotować dwa lassa.

— Mamy już dwa: ja jedno, a pan drugie.

— Oprócz tych przydadzą się nam jeszcze dwa, a nawet dobrze by było wziąć bole. Konie trzeba ukryć, aby ich odjeżdżający nie zobaczył. Nie przypuszczam, aby kryjówka eskorty znajdowała się na pańskim terenie. Ludzie ci przybyli z zachodu, a więc od granicy, i w tamtej też stronie musimy ich szukać; siedzą zapewne w jakimś parowie lub rozpadlinie. Możliwe nawet, że dotrzemy do kryjówki jeszcze przed posłańcem, który dla zmylenia pościgu nałoży prawdopodobnie drogi.

Estancjero wydał odpowiednie rozkazy, po czym wezwano z kuchni posłańca. Z twarzy jego można było wyczytać pewność siebie i hardość. Przypuszczając, że gościnne przyjęcie, jakie tu znalazł, miało na celu zjednanie go dla sprawy, stał się niemal grubiański.

— No i coście postanowili? — zapytał gburowato.

— Wybraliśmy drogę ugody — rzekłem. — Jednak żądana suma jest dla nas za wysoka — dodałem, aby nabrać przekonania, że zamierzam się targować.

— Wcale nie za wysoka — odparł.

— Proszę wziąć pod uwagę, że to cały majątek!

— *Yerbatero* wie chyba najlepiej, że stać was na taką sumę, gdyż inaczej nie byłby jej zażądał.

— Zmuszono go do tego.

— Nie. On sam wyznaczył jej wysokość... z dobrej woli.

— Nieprawda! Powiedz pan raczej, ile możesz z tej sumy spuścić?

— Ani jednego peso. Tak mi polecono i tego trzymać się muszę. *Yerbatero* zgodził się na tę kwotę i zapewnił, że brat może ją wypłacić w każdej chwili.

— W takim razie popełnił niedorzeczność, bo wie doskonale, że tylu pieniędzy nikt w domu nie trzyma.

— Co mnie to wreszcie obchodzi? Wasza to rzecz, nie moja.

— Przepraszam! To rzecz również i pańska. Co panu kazano uczynić na wypadek, gdyby señor Monteso nie złożył tej sumy?

— Na taki wypadek nie otrzymałem żadnej instrukcji i uczynię tak, jak będę uważał za stosowne.

— Może więc zgodzi się pan przyjąć sześć tysięcy gotówką, a na resztę wystawimy weksel.

— O nie! O tym nie może być mowy! Bo w jaki sposób moglibyśmy weksel ów zdyskontować?

— Ma pan słuszość. Pozostaje nam zatem tylko jedna droga: señor Monteso musi pożyczyć brakującą sumę. Jeden z sąsiadów zainkasował niedawno sporo pieniędzy za sprzedane konie, więc Monteso wystawi panu przekaz do niego na cztery tysiące.

— Dziękuję za takie dobrodziejstwo, ale nie mam ochoty jeździć od estancji do estancji.

— Musi więc señor Monteso pofatygować się sam?

— Gdyby to nie trwało długo...

— Najwyżej trzy godziny. Chyba że nie zastałby sąsiada w domu...

— Hm... ostatecznie... Nie jest mi to na rękę, ale cóż zrobić...

— Zostanie pan tutaj parę godzin i odpocznie sobie.

— Dziękuję uprzejmie za gościnność, señor. Nie chcę jednak państwu sprawiać kłopotu i wolę wyjechać. Po trzech godzinach wrócę.

— Ha! Jeżeli pan niefaskaw, to trudno. Ale, ale! Wystawi pan nam, rzecz prosta, pokwitowanie na otrzymane pieniądze.

— To ode mnie nie zależy.

— Ależ my nie możemy odstąpić od tego żądania! Jeżeli major nie dał panu gotowego już kwitu ze swoim podpisem, to przynajmniej pan musi złożyć swój podpis.

— I co panom z tego przyjdzie? Mogę przecież zmyślić nazwisko.

— Nie wygląda pan na takiego, który postąpiłby w ten sposób.

— Bardzo mi to pochlebia i widzę, że mam do czynienia z caballero. Tym lepiej. Zaufanie będzie obustronne. A Dios!

Wyszedł. Ja zaś, ukrywając się w oknie za firanką, śledziłem go, póki nie wyjechał za bramę, po czym zbiegłem do ogrodu i, wdrapawszy się na mur okalający estancję, obserwowałem jeźdźcę. Pogalopował prosto na wschód. Wróciłem prędko do swego pokoju, zabrałem strzelbę oraz kapelusz i wybiegłem.

W sieni spotkałem się z gospodarzem, który mnie zagadnął:

— I dokąd pojechał?

— Na wschód... ale wkrótce skęci w przeciwną stronę. Niech się pan nie gniewa, że go zapytam, czy umie pan dobrze jeździć konno?

— Ależ, señor, czyż można pytać o to właściciela niezliczonej stadniny?

— Przypuszczam, że nadarzy się sposobność do stwierdzenia tego w praktyce, señor. Czy umie pan w pełnym biegu trzymać się nachylony z boku konia?

— Jak pan powiada? Z boku? Nie, nie widziałem nigdy czegoś podobnego.

— Ten sposób jazdy znany jest dobrze Indianom Ameryki Północnej. Jeśli się położy podczas jazdy wzdłuż tułowia końskiego, można być niewidocznym od strony nieprzyjaciela, a gdyby nawet on jeźdźcę dostrzegł, to się jest ukrytym przed strzałami.

— Ba, ale za to bardzo łatwo spaść z konia!

— Otóż właśnie dla ochrony przed upadkiem potrzebne są dwa lassa. Uwiązuje się je na szyi konia i na tym polega cała sztuka jazdy. Przypuśćmy, że nieprzyjaciel znajduje się z prawej strony. Jeśli nie chcemy, aby nas zobaczył, musimy się ulokować po lewej stronie tułowia końskiego. Robimy to w ten sposób, że przechylamy się w tę stronę zupełnie, pozostawiając prawą nogę w strzemieniu przesuniętym w tył, za siodło, rękoma zaś chwytny się lassa, umocowanego do szyi, i możemy patrzeć spod szyi końskiej w prawo lub nawet strzelać.

— Ale w jaki sposób utrzymać nogę w strzemieniu? A nuż się wysunie?

— Prawda, że wasze strzemiona są bardzo niepraktyczne, ale i one mają podwójne rzemienie, między które można wsadzić nogę i jako tako się utrzymać. Takie ukrycie za tułowiem może wprowadzić w błąd nieprzyjaciela, zwłaszcza jeśli jest on daleko, bo może mu się wydawać, że koń jest bez jeźdźcy i pasie się wolno na stepie.

— Takiej jednak sztuki nie potrafię dokonać, señor.

— Zobaczymy.

Wyszliśmy na dziedziniec, gdzie stały osiodłane już konie. Podeszedłem do nich i uwiązałem im lassa u szyi. Stał tu jeszcze wierzchowiec, na którym przybyłem z rancza. Odwiązałem od siodła lornetkę, po czym wsiedliśmy na nasze rumaki i odjechaliśmy w kierunku północno-zachodnim, żegnani przez braci Hilaria oraz niewiasty.

Oddalwszy się na tyle, że nie było już widać estancji, wstrzymaliśmy konie i wówczas zlustrowałem teren przez lornetkę w nadziei, że wypatrzę posłańca majora. Istotnie, dostrzegłem go. Jechał ciągle w tym samym kierunku, ale już nie kłusem, lecz stępą.

Popędziliśmy galopem, skęcając łukiem ku południowi, a przybywszy do granicy posiadłości Montesów, zwolniliśmy, aby poszukać śladów, co było tym łatwiejsze, że pasterze przepędzali stąd swoje trzody, aby przypadkowo nie przekroczyły granicy.

Estancjero, przekonawszy się, że nie dorównuje mi w jeździe, chciał teraz pokazać, że jest zręczniejszy w wyszukiwaniu śladów. Udawałem, że tego nie widzę, i równie uważnie jak on wpatrywałem się w ziemię. Wkrótce jednak spostrzegłem ślady i wyprostowałem się w siodle, on zaś wciąż jeszcze jechał nachylony.

— Hm... — odezwał się wreszcie — zdaje mi się, że poszukiwania nasze są daremne. Szkoda naszego czasu.

— To prawda.

— A więc nie mamy tu już czego szukać?

— Naturalnie.

— Zatem przypuszczenia pańskie były mylne.

— Nie.

— Jak to nie, skoro nie znalazł pan śladów?

— Owszem, znalazłem. Minęliśmy je przed chwilą.

— Czemu pan nic mi o tym nie powiedział?

— Bo chciałem pana przekonać, że sprytny Europejczyk może czuć się tak samo swojsko w tych stronach jak doświadczony krajowiec. Wróćmy zatem do śladów.

Podjechawszy na miejsce, zsiadliśmy z koni. Grunt był tu gliniasty, ale suchy, a trawa spasiona. Wprawne oko mogło zauważyć w suchej glinie odciski kopyt końskich, ale towarzyszy mój patrzył na mnie zdziwiony, nie mogąc sobie wytłumaczyć, w jaki sposób zauważyłem tak nieznaczne ślady trzech koni.

— A więc na posłańca czeka dwóch eskortujących go towarzyszy — rzekłem, wskakując na siodło.

Ujechawszy za tymi śladami spory kawał drogi, zsiadłem z konia znowu, a wzięwszy karabin do rąk, zarzuciłem uzdę na ramię i zaleciłem estancjerowi, aby uczynił to samo.

— Pójdziemy więc teraz pieszo? — zapytał zdziwiony.

— Tak. Siedząc na koniach, mogliśmy być zauważeni przez drabów z daleka, a wówczas mieliby czas, aby przygotować się do obrony, to zaś byłoby nam nie na rękę.

Wziąłem znów lornetkę i powiodłem wzrokiem dokoła — nie nadaremnie. Na jednym z pagórków zauważyłem siedzącego człowieka, na szczęście odwróconego do nas plecami.

— To z pewnością jeden z tych, których szukamy — stwierdził Monteso, wzięwszy ode mnie lornetkę. — Co teraz wypada nam czynić?

— Wsiądziemy na konie i podjedziemy bliżej. Ale ostrożnie, trzymajmy się wgłębień gruntu.

Wgłębienia te ciągnęły się licznymi zakrętami i tu i ówdzie porastały je krzaki. Ziemia tu była wilgotna, więc ślady kopyt końskich odznaczały się w niej wyraźnie.

Zbliżywszy się do owego pagórka, gdzie przez lornetkę zauważyliśmy człowieka, który teraz gdzieś zniknął, upatrzyłem odpowiednie miejsce, w którym zsiadliśmy z koni. Domyślałem się, że ów człowiek skrył się we wgłębieniu stepu niedaleko od nas. Uwiązawszy konie nasze do jednego z gęsto rosnących tu krzaków mimozy, zabraliśmy lassa i ostrożnie, bez szelestu poczęliśmy się skradać. Niebawem zauważyliśmy w niewielkim parowie sadzawkę, a tuż nad nią dwie pasące się szkapy. Z lewej strony dolatywały nas głosy dwóch rozmawiających ze sobą mężczyzn, których jednak nie było stąd widać.

— Czy pochwycimy tych drabów? — zagadnął Monteso.

— Tak. Podsuniemy się do nich pod osłoną krzaków. Nie będzie to trudne, bo mimozy dają od góry niezłe ukrycie, a przy ziemi jest dosyć miejsca, aby popełznąć. Popełźnie pan za mną. Ale proszę pamiętać, że lada szmer zdradzić nas może, a musimy podejść ich zniecka. Pan rzuci się na jednego, ja na drugiego, chwytając ich za gardła. Proszę jednak poczekać na mój sygnał!

— To coś jakby indiańska zasadzka, señor — zauważył estancjero. Mimozy rozrastały się w zbitą gęstwę mniej więcej pół metra nad ziemią, trawa zaś, stanowiąca poszycie, była tu z powodu wilgoci wyższa niż gdzie indziej, co pozwoliło nam podsunąć się bardzo blisko rozmawiających. Z zapartym oddechem zatrzymaliśmy się, nasłuchując.

— A jeżeli on nie wróci? Jeżeli go tam zatrzymają? — pytał jeden.

— Na to się nie poważą — odparł drugi, w którym poznałem porucznika.

— Jednak przypuścimy, że postanowią go zatrzymać...

— Wówczas będzie z nimi bardzo źle. Podłożymy pod estancję „czerwonego koguta”, a potem urwiemy głowy obu jeńcom.

— Ba, ale co nam z tego przyjdzie? Najbardziej niepokoi mnie myśl, że może wrócił do estancji ów cudzoziemiec. Jeżeli tak, to nasz posłańiec będzie miał bardzo trudne zadanie.

- Co w tym trudnego? Albo się zgodzą na spełnienie naszego żądania, albo się nie zgodzą.
- A może dadzą mu pieniądze, po czym będą go potajemnie ścigali?

Na te słowa Monteso szturchnął mnie w bok, najwidoczniej zniecierpliwiony już i pałający chęcią rzucenia się na drabów. Ja jednak uspokoiłem go, gdyż chciałem jak najwięcej dowiedzieć się z ich rozmowy, a zwłaszcza zorientować się, gdzie przebywa major. Wiadomość ta byłaby dla nas bardzo pożądana, bo, znając miejsce jego pobytu, oszczędzilibyśmy sobie długich poszukiwań.

Porucznik na ostatnie słowa towarzysza, wyrażające przypuszczenie, że posłaniec może być ścigany, odparł:

— Oni tego nie uczynią. Zresztą nakazaliśmy surowo posłańcowi, by wracając obrał przeciwny kierunek i zmylił w ten sposób pościg.

— Gdy zaś powróci tutaj — rzekł drugi — rozdzielimy się umyślnie, by znowu wprowadzić ich w błąd, i zjedziemy się gdzieś dalej. Gdy ścigający znajdą trzy tropy, nie będą wiedzieli, za którym się udać.

— Głupis! Mogą przecież udać się którymkolwiek śladem, aż trafią na miejsce, gdzie zjedziemy się znowu.

— Hm! O tym nie pomyślałem!

— Najlepiej by było, gdybyś nie trudził się myśleniem, bo to się na nic nie przyda. Jedyna nasza nadzieja w szybkości koni. Trzeba będzie jechać całą noc. Na szczęście, z wieczora wszędzie księżyc.

— Tak, ale im jasna noc będzie na rękę.

— Bynajmniej. Szukanie śladów kopyt końskich przy świetle księżyca nie jest łatwe. Musimy więc skorzystać z nocnej pory i jak najprędzej dotrzeć do obozu, a gdy już tam się znajdziemy, będziemy mogli kpić z pościgu. Wyjedziemy na spotkanie ścigających i przyjmujemy ich w odpowiedni sposób. Gdyby jednak schwytano nas przedtem, to...

— To i tak nic nam nie zagraża.

— Jak to?

— Bo mamy jeńców.

— No, przynajmniej raz powiedziałeś coś mądrego. Mimo wszystko musimy zachować wielką ostrożność ze względu na wojsko rządowe. Gdyby ono wzięło nas w obroty, nic by nam nie pomógł nawet sam Lopez Jordan. Na szczęście, Peninsula del Crocodilo znajduje się w takim miejscu, że...

Przerwał nagle, po czym szepnął:

— Słuchaj!

Usłyszeliśmy tętent kopyt końskich i zobaczyliśmy, że obaj bandyci podnieśli się z trawy.

Musieliśmy — rzecz prosta — zrezygnować z napaści na drabów, gdyż w tej chwili przycwałował trzeci opryszek i spiesznie zsiadł z konia. Był to właśnie ów posłaniec, którego wyprzedziliśmy znacznie.

— No, jakże? — pytał porucznik.

— Pieniądze otrzymamy — brzmiała odpowiedź. — Estancjero nie miał całej sumy, więc pojechał do sąsiada pożyczyć brakującą kwotę.

— Z kim rozmawiałeś?

— Z cudzoziemcem i z braciszkiem zakonnym.

— A estancjera nie było?

— Był.

— Czemu nie rozmówił się z nim samym?

— Zwróciłem się do niego, ale nie chciał ze mną mówić i polecił cudzoziemcowi, by go w ustalaniu warunków zastąpił. Jestem nawet zadowolony z takiego obrotu sprawy, bo ów Europejczyk jest bardziej szczerzy. Monteso byłby się może wcale nie przyznał, że ma pieniądze w domu, ten zaś od razu wszystko wygadał.

— A jednak ja bym cudzoziemcowi temu tak bardzo nie wierzył. Opowiadaj dalej!

— Nie mogę się długo rozwodzić, bo muszę jechać z powrotem i, żeby wprowadzić ich w błąd, znów będę kluczył. Przybyłem tylko na chwileczkę, aby was uspokoić. Słuchajcie!

I zaczął dokładnie relacjonować przebieg rozmowy w estancji, a gdy skończył, porucznik go zapytał:

— Uważałeś, czy kto nie jedzie za tobą?

— Zatrzymywałem się bardzo często i rozglądałem na wszystkie strony, ale nigdzie żywego ducha nie spostrzegłem.

— Więc cudzoziemiec domagał się twego podpisu na pokwitowaniu?

— Tak, i to uparcie.

— Mnie się zdaje, że za tym kryje się jakiś podstęp.

— A cóż by nam złego mogli zrobić?

— Ba, gdybyśmy to wiedzieli! W każdym razie zachowaj wielką ostrożność. A jak tylko dostaniesz pieniądze, nie kołuj po stepie, lecz przyjeżdżaj tu prosto.

— To nie najlepszy pomysł. Odkryją nas tutaj i będą ścigali.

— Nie obawiaj się. Nie stracimy ani sekundy i umkniemy. A co do podpisu, to oczywiście zmyślane nazwisko powinno im wystarczyć...

— Rozumie się. No, ale czas na mnie.

— Dobrze. Jedź więc i wracaj szybko, abym niepotrzebnie się nie niepokoił. Ponieważ idzie tu o tak pokaźną sumę, mimo woli lęk jakiś odczuwam i będę z niecierpliwością czekał twego powrotu.

— Ja jednak wierzę w pomyślne załatwienie sprawy — rzekł posłaniec. — Zresztą, gdyby mnie chcieli oszukać, wbiję nóż w piersi tego europejskiego przybłądy i umknę. Nim przyjdą do siebie, będę już w bezpiecznym miejscu. A Dios!

Dosiadł konia i odjechał, odprowadzony na pagórek przez dwóch godnych siebie kamratów. Patrzyli oni za nim czas jakiś, wreszcie wrócili do poprzedniej kryjówki wśród krzaków mimozy.

— Sprawa zaczyna mi się nie podobać — zauważył porucznik. — Gdyby przynajmniej wziął te pieniądze, które Monteso miał do dyspozycji...

Na to drugi wyjął karty z kieszeni i odrzekł:

— Po co się martwić zawczasu. Czekajmy cierpliwie, a żeby czas prędzej nam zleciał, utnijmy sobie partyjkę! Dobrze?

— Ha, może masz i rację. Zagrajmy. Co będzie, to będzie. My tutaj w każdym razie jesteśmy bezpieczni.

— Myli się pan troszeczkę! — krzyknąłem i obaj wyskoczyliśmy z krzaków.

Jedno potężne uderzenie pięścią w skroń i porucznik rozciągnął się na ziemi jak długi. Monteso z drugim drabem nie sprawił się tak zwinnie, wobec czego poszedłem mu z pomocą. Chwyciłem opryszka za krtani, aż mu oczy na wierzch wylazły, po czym rozbroiliśmy go i związaliśmy. Ponieważ zaś porucznik odzyskał tymczasem przytomność, więc zręcznym rzutem lassa obezwładniłem go na nowo.

Przerażenie ich nie miało granic.

— Cudzoziemiec! — jęczał porucznik.

— Tak jest, cudzoziemiec z Europy — odpowiedziałem. — Bardzo mi pochlebia, że łaskawy pan raczył zapamiętać rysy mojej twarzy.

— Diable w ludzkiej skórze!

— O nie, poruczniku! Jestem raczej aniołem, skoro nie straciłem cierpliwości słuchając od pół godziny waszych obelg skierowanych pod moim adresem. Ale mniejsza o to. Przebaczam panu nawet i ten nietakt, że zamiast zaszczycić nas swą wizytą, przysłał pan do nas zwykłego szeregowca. My jednak jesteśmy gościnni, jak zwykle, i zapraszamy pana do estancji *Del Yerbatero*.

— Proszę mnie uwolnić! — ryczał, piniąc się ze złości.

— Niech się pan uspokoi. O wolności pańskiej pomówimy, ale za jakieś parę miesięcy.

— Proszę nie drwić! Niech pan pamięta, señor, że mamy w swoich rękach dwóch jeńców.

— Wiem o tym. Ale nie macie jeszcze dziesięciu tysięcy peso, o które wam przede wszystkim idzie. Otóż ja właśnie przybyłem w tej sprawie. Chciałem powiedzieć wam, że nie tylko nie dostaniecie ani jednego peso, ale i jeńców postradacie.

— To się dopiero okaże. Przede wszystkim domagam się odpowiedniego traktowania, gdyż jestem oficerem spod zwierzchnictwa Latorre'a.

— Tak? A przed chwilą przyznał się pan do zwierzchnictwa Lopeza Jordana! Otóż ja panu powiem, kto pan właściwie jesteś... Jesteś mianowicie pospolitym złodziejem i jak złodzieja będziemy ciebie traktować.

— Jeńcy za to zapłacą swą krwią.

— Postaram się dowieść, że mimo aresztowania pana jeńcom włos z głowy nie spadnie.

— Tak! Przecież nie wiecie nawet, gdzie się oni znajdują — rzekł szyderczo.

— Prawdopodobnie spotkamy ich na Peninsula del Crocodilo, dokąd bezzwłocznie się wybierzemy.

— Diabeł!

— Sam pan przecież powiedział, że tam skryła się banda. Być może major będzie się bronił na tym Półwyspie Krokodylim, ale możliwe, że napadnięty od strony ładu zechce szukać ucieczki w nurtach rzeki, gdzie go powitają z radością zgłodniałe potwory.

— Nie będą one zgłodniałe, bo zjedzą wcześniej jeńców.

— Zobaczymy. Aby jednak nie tracić czasu na próżne gawędy, uprzejmie proszę pana porucznika, byś raczył pozwolić na obsłużenie się przy wsiadaniu na konia.

— Ja się stąd nie ruszę!

— E, moja uprzejmość zniewoli pana, i to bardzo prędko. Zwiążemy panu ręce na plecach, a nogi pod tułowiem konia, i poprosimy, aby jechał pan z nami bez szemrania. Gdyby zaś przyszła panu ochota odpowiedzieć niegrzecznością na naszą uprzejmość, oberwiesz pan siarczysty policzek i to uczyni pana bardzo grzecznym.

— Mnie? Policzek?!

— Ludzie pańskiego pokroju nie zasługują na nic innego.

— Spróbujcie tylko tknąć mnie chociażby!

— A ty, łajdaku jeden! Cóż ty sobie wyobrażasz? Schwytaliście mnie podstępem i chcieliście zamordować, uwięziliście teraz niewinnych ludzi i żądacie za nich okupu, a ja mam się obchodzić z takimi łotrami łagodnie? Jeżeli usłyszę bodaj jedno twoje słowo, które mi się nie spodoba, pożegnasz się z życiem, łotrze bezczelny!

Ta groźba poskutkowała. Chwyciłem oniemiałego draba za kołnierz i wsadziłem na konia, oczywiście rozwiązawszy mu nogi, które związałem ponownie, gdy już siedział w siodle, po czym, uporawszy się szybko z drugim drabem, wsiedliśmy na swoje konie — i jazda do estancji, co sił starczyło.

Gauchowie, spostrzegłszy nas powracających z jeńcami, zaczęli wrzeszczeć z radości. Uspokoilem ich skinieniem i zapowiedziałem, aby na przyszłość podobnych hałasów nie wyprawiali, gdyż może to spowodować wielkie niebezpieczeństwo na estancję i jej właścicieli. Chodziło mi zwłaszcza o to, aby nie zdradzić się niczym przed wysłannikiem bandy, który lada chwila mógł się tu pojawić.

Następnie zszadziłem obu drabów z koni i wnieśliśmy na górę. Tu w jednym z pokoiów posadziliśmy ich na krzesłach, krępując tak, by się nawet ruszyć nie mogli.

Monteso podczas tej operacji opowiedział obecnym o przebiegu wyprawy. Braciszek Hilario, wysłuchawszy z uwagą jego sprawozdania, podał mi rękę i rzekł:

— Widzę, señor, że będę miał wspaniałego towarzysza podróży do Gran Chaco. We dwóch nie damy sobie nikomu w kaszę dmuchać. Co zamierza pan uczynić z tymi drabami?

— Przed wszystkim trzeba zaprowadzić konie do korralu, ażeby oczekiwany lada chwila posłaniec nie zobaczył ich i nie domyślił się, co zaszło, bo mógłby nam ze strachu umknąć.

— To mu się nie uda — wtrącił Monteso. — Już ja tak zarządzę, zęby się stąd nie wy dostał.

— Czy ma pan w estancji jaką komórkę, gdzie można by ukryć jeńców?

— Znajdzie się schowek, i to dobrze nawet zabezpieczony. Czy jednak długo będę ich musiał trzymać u siebie?

— Dopóki się panu spodoba. Może pan oddać ich w ręce władzy nawet natychmiast.

— Ba, ale czy to byłoby rozsądne?

— Na razie, dopóki pana brat znajduje się w rękach bandytów, może lepiej nie zaczynać z władzami. Sprawa rozniosłaby się szybko po całym kraju i major, dowiedziawszy się o rezultacie swoich zabiegów, umknąłby za granicę.

— Słusznie. Zatrzymam więc jeńców pod kluczem, dopóki nie wrócimy z wyprawy.

— Tak będzie najlepiej. Później odda pan ich w ręce władzy lub puści na cztery wiatry, aby się nie narażał na zemstę. W tej chwili jednak musimy przygotować wszystko do drogi, bo wybierzemy się natychmiast, jak tylko wysłaniec dostanie się w nasze ręce. Bracie Hilario, czy wiecie, gdzie się znajduje Półwysep Krokodyli?

— Niestety, nie wiem. Zdawało mi się, że znam dokładnie okolice nadrzeczne, ale podobnej nazwy nie słyszałem nigdy. Może by nam to wyjaśnili jeńcy?

— Szkoda czasu. Nie powiedzą nam prawdy. Zresztą przypuszczam, że znajdzie się ktoś w okolicy rzeki, kto nam udzieli informacji.

W tej chwili wszedł peon, aby oznajmić nam, że przybył posłaniec bandy. Wezwaliśmy draba do tego samego pokoju, w którym poprzednio odbyły się rozmowy w sprawie okupu. Rozejrzał się wokoło uważnie i spojrzał kolejno na nas, jednak z twarzy naszych mógł wyczytać jedynie powagę.

— No, jakże? Był pan u sąsiada? Są pieniądze? — zapytał arogancko.

— Niestety, nie zastałem go i dopiero jutro mogę się wystarać o brakującą kwotę.

— Ja czekać tak długo nie będę!

— Może pan poczekać, nic się panu do jutra nie stanie.

— Nie mogę! Mam wyraźny rozkaz. Daj pan zresztą to, co masz teraz w domu.

— Ale ta kwota nic memu bratu nie pomoże. Przecież mówił pan, że nie wolno mu wziąć części okupu, że musi mieć pan całą sumę.

— Tak, ale resztę odbiorę sobie później.

— Lepiej będzie, gdy odbierze pan od razu całą kwotę. Przynajmniej będę spokojny, że otrzymawszy ją w całości, nie zażądacie więcej. Częściowa wyPlata zamiast mnie uspokoić, powiększyłaby jeszcze moje obawy.

W czasie tej rozmowy brat Hilario trzymał się w pobliżu drzwi, aby uniemożliwić drabowi ucieczkę, gdyby taki pomysł wpadł mu do głowy. Ja nie wtrącałem się tym razem do targu. Spoglądając przez otwarte okno na dziedziniec, zauważyłem, że gauchowie przezornie usunęli konia sprzed bramy, co mi się bardzo spodobało.

— Wobec tego naprawdę nie wiem, co począć — rzekł w końcu zakłopotany posłaniec.

— Ja, na pańskim miejscu będąc — wtrąciłem dopiero teraz — wiedziałbym, co mi czynić wypada: nie robiłbym nic na własną odpowiedzialność, lecz wróciłbym do majora po dalsze instrukcje.

— To przedłużyłoby sprawę i groziłoby jeńcom niebezpieczeństwem.

— Niestety, pozostaje panu ta jedna tylko droga. Zresztą... Peninsula del Crocodilo będzie dla pana miejscem o wiele przyjemniejszym niż nasza estancja...

— Co pan mówi? — krzyknął zmieszany. — Skąd pan wie o miejscu pobytu majora?

— Ano, wiem... A skąd, nie potrzebuję się panu tłumaczyć.

— W takim razie major wcale się nie mylił, twierdząc, że jest pan diabłem.

— Dziękuję bardzo za komplement. Niech więc pan pozdrowi ode mnie majora i ostrzeże go przed... Latorre'em.

— My... my przecież jesteśmy jego podwładnymi...

— Jesteście pacholkami Lopeza Jordana, chciał pan zapewne powiedzieć... Mój panie, między tymi dwoma ludźmi jest wielka różnica... Latorre jest po prostu biczem na bandy Jordana. Wysłał właśnie przeciw waszemu majorowi na wspomniany półwysep spory oddział wojska.

— Niepotrzebnie pan mnie straszy. Sam diabeł się nie dowie, gdzie ów półwysep leży... Niech go sobie wojsko szuka do sądnego dnia!

— Diabeł może by się nie dowiedział — rzekłem — ale ja znam to miejsce.

— Mógł się pan tego dowiedzieć w zupełnie prosty sposób, od Piotra Aynasa. Ale ten czerwonoskóry nie zdradzi tajemnicy przed Latorre'em.

— Piotr Aynas? — zapytał brat Hilario, rzucając ku mnie porozumiewawcze spojrzenie. — Znam go, to mój przyjaciel, i powie mi wszystko, czego zażądam.

Niewiele już pozostało do dowiedzenia się i mogłem wziąć draba w obroty.

— Widzi pan, że my wiemy dosyć, a resztę wypaplałeś nam sam, nie wiedząc kiedy i jak...

— Jak to „wypaplałem”?...

— Mniejsza o to. Obiecał pan nam szczerłość, a usłyszeliśmy z ust twoich same tylko kłamstwa. Powiedział pan na przykład, że jest tu sam. Czyż nie tak?

— I powtarzam to raz jeszcze.

— Otóż kłamie jegomość ponownie. A ci dwaj towarzysze, co czekają na pana tam, nad sadzawką, w zacisznym ustroniu pod krzakami mimozy?

— Co u licha! — wyjąkał zdumiony. — Pan... pan naprawdę ma diabła w sobie...

— Cieszy mnie to bardzo, bo, jak panu wiadomo, diabła nie ima się ani kula, ani nóż.

— Nóż? — bąknął z głupią miną.

— Ano tak! Na przykład ten nóż, o którym wspominał pan półtorej godziny temu porucznikowi. Obiecał pan przecież rzucić się na mnie znienacka, a zamordowawszy mnie, skorzystać z popłochu i uciec.

Drab otworzył usta szeroko i stał oniemiały. Po chwili sięgnął ręką do pasa, ja zaś w tym samym momencie wycelowałem w niego rewolwer i rzekłem:

— Zostaw nóż na miejscu, bo strzelam!

Zbladł i opuścił rękę, a braciszek Hilario, zaszedłszy go od tyłu, wyrwał mu nóż zza pasa. Opryszek jednak, skorzystawszy z tego, że zakonnik opuścił swe stanowisko przy drzwiach, rzucił się ku nim, chcąc czmychnąć. Byłem jednak i na to przygotowany i, chwyciwszy go silną dłonią za kołnierz, rzekłem surowo:

— Zostać tu, bo zrobię użytek z broni! A pociągnąwszy go ku oknu, dodałem:

— Patrz! Czy miałbyś na czym uciekać?

— Gdzie mój koń? — zapytał trwożnie.

— Ukryto go, abyś stąd nie mógł umknąć. Zresztą ucieczka twoja byłaby zbyt bezcelna i lepiej, że zostaniesz tutaj... dla kompanii... Zobacz pan!

To mówiąc, pociągnąłem go ku drzwiom przyległego pokoju i otworzyłem je na oścież. Żołnierz, zobaczywszy swoich kamratów, wyszeptał zrozpaczony:

— Teraz to już nie mam żadnych wątpliwości, że jest pan wcielonym diabłem!

— Słyszałem to już kilka razy i dziękuję za uznanie. Licząc zaś i nadal na pańską uprzejmość, spodziewam się, że będzie pan rozsądny i podda się swemu losowi spokojnie. Zresztą nie czeka pana z mej ręki taki wyrok, jaki pan dla mnie obmyślił. Bo jakkolwiek widzi pan we mnie diabła, myślę bardziej po ludzku niż wy wszyscy z waszej łotrowskiej bandy.

Przywiązaliśmy go do krzesła w taki sam sposób jak jego towarzyszy, a on przy tym nie bronił się już wcale. Uciec nie mogli, nie mogli też sobie wzajemnie udzielić pomocy. Dla pewności jednak postawiliśmy przy nich na straży tęgiego parobka.

— Jestem panem zachwycony — rzekł estancjero, gdy opuściliśmy to pomieszczenie. — Ale to jeszcze nie wszystko. Mamy przed sobą zadanie nie lada i bardzo się boję, czy zdołamy mu sprostać.

— Jestem o to zupełnie spokojny — odparłem. — Chociaż, jak już poprzednio zaznaczyłem, byłbym spokojniejszy, gdyby mi wolno było wybrać się na wyprawę samemu. Kucharz najlepiej sporządza potrawy wówczas, gdy kieruje się własnym gustem. Jeśli jednak dadzą mu pomocnika, który również ma prawo kierować się własnym smakiem, wówczas potrawa jest albo przepieprzona i przesolona, albo odwrotnie... Chyba że pomocnik musi stosować się ściśle do wskazówek kucharza; wtedy można się spodziewać dobrego wyniku ich pracy.

— Przykład bardzo jasny i rozumiem go. Chcę towarzyszyć panu, ale pan będzie miał nieograniczoną władzę.

— Nie miałem na myśli nieograniczonej władzy, a tylko prosiłbym, aby w chwilach decydujących wszyscy stosowali się do moich wskazówek. Pan zna lepiej ode mnie ten kraj i ludzi, ale ja mam więcej danych do przeprowadzenia zamierzonego planu. Przede wszystkim musimy zrezygnować z użycia siły, a ograniczyć się głównie do fortelów. Będziemy nawet musieli zabawić się w złodziei, gdyż zamierzam wykraść opryszkom jeńców. A do tego konieczna jest ostrożność i spryt. Ze zaś tych rzeczy nauczyłem się od Indian, mogę bez obawy przystąpić do realizacji swego planu. Wyruszymy w drogę niezwłocznie, więc niech Pan przygotuje natychmiast żywność, broń i amunicję. Bratu pańskiemu i jego towarzyszowi broń zapewne odebrano, dlatego musimy zabrać dla nich inną.

Zanim wyruszyliśmy, trzech naszych jeńców sprowadzono do piwnicy i tam zamknięto, a Monteso wydał surowe zarządzenie, aby ich strzeżono jak oka w głowie. Porucznik przy tej sposobności odgrażał się oburzony i wykrzykiwał, że należy do armii rządowej, więc za porwanie się na niego spotka nas surowa kara. Rozumie się, że nie przyniosło mu to żadnej korzyści i na rzucanie się opryszka nie zwracaliśmy najmniejszej uwagi.

Wreszcie nadeszła przykra chwila pożegnania z kobietami, które szlochały głośno, nie kryjąc obawy o nasze życie. Uspokoilem je, obiecując, oczywiście na osobności, że będę strzegł estancjera przed niebezpieczeństwem i że ręcę za jego życie oraz zdrowie.

Wziąwszy ze sobą zapasowego konia wyłącznie do dźwigania żywności i innych rzeczy, opuściliśmy estancję i późnym popołudniem zostawiliśmy za sobą granice posiadłości Montesów. Było nas ośmiu: ja, Monteso, brat Hilario i pięciu *yerbaterów*, którzy postanowili przyczynić się do wydobycia z niewoli swego towarzysza.

Droga nasza wiodła koło owego rancza, w którym nie tak dawno znalazłem ocalenie. Musieliśmy wstąpić tam, aby odebrać swoje konie i wziąć udział w pogrzebie zmarłego wędrowca.

Pocziwy Bürgli, gdyśmy mu opowiedzieli o celu naszej wyprawy, chciał się do nas przyłączyć, ale nie zgodziliśmy się na to, bo niewiele by nam pomógł, a pozostawiłby ranczo bez opieki.

Pogrzeb nieznanego odbył się o zmroku, przy udziale księdza sprowadzonego z Montevideo, po czym odjechaliśmy, odprowadzeni przez ranczera aż za rzekę. Przeprowadził on nas na drugą stronę we własnej łodzi, którą miał ukrytą w zaroślach. Obiecałem mu, że jeżeli wyprawa nasza zakończy się szczęśliwie, co wcale nie było pewne, gdyż zadanie nasze było połączone z wieloma trudnościami, wstąpię do niego, jadąc w te strony z powrotem.

Począwszy od Rio Negro prowadził nas brat Hilario. Mijaliśmy rancza, estancję, hacjendy i niewielkie wioski, których nazwy umknęły mi z pamięci. Ze zaś Monteso wybrał dla *yerbaterów* najlepsze wierzchowce, a brat Hilario miał rumaka dorównującego memu gniadoszowi, więc pierwszej zaraz nocy ujechaliśmy spory kawał drogi. Na postojach, które urządzałyśmy od czasu do czasu, pamiętałem zawsze, aby wszystkie nasze konie były napojone, o co *yerbaterzy* zupełnie nie dbali, twierdząc, że troska moja jest przesadna, bo jeżeli który koń padnie, to się go zastąpi innym, gdyż jest ich dosyć w okolicy. Wytłumaczyłem im, że takie

rozumowanie wcale nie jest „rozumne” i nie przystoi człowiekowi myślącemu, bo koń jest jednym z najużyteczniejszych stworzeń bożych i nie na męczarnie, lecz na pielęgnowanie zasługuje.

Podczas jednego z takich postojów, zaledwie pozsiadaliśmy z koni, by dać im odpocząć i rozejrzeć się wokół, spostrzeżliśmy w oddali dym.

— W tamtej stronie jest folwark — rzekł brat Hilario — i zabudowania jego stąd powinny być widoczne. Tymczasem nie widzę ich i dym ten wydaje mi się podejrzany... Czyżby biednych tych ludzi dotknął pożar?

— Czy dobrodziej zna właściciela?

— Owszem. Jest to starszy już señor, bardzo zacny i szlachetny. Równie zacną kobietą jest jego żona. Mają syna jedynaka. W gospodarstwie pracuje zazwyczaj pięciu gauchów. Stary słynie z umiejętności ujeżdżania koni. Wśród tej dzikiej, nie zamieszkaney prawie okolicy był to jeden jedyny dom... Widać go było z daleka. Teraz go nie dostrzegam. Być może, spalono go... Jedźmy prędzej!

Już kilka minut po wyruszeniu stwierdziliśmy, że istotnie mamy przed sobą pogorzelisko. Ściany leżały w gruzach, a z kupy zgliszcz i popiołu unosiły się jeszcze gęste smugi dymu. Korrale były próżne, bez bydła, a tylko tu i ówdzie w pobliżu pały się pojedyncze sztuki wołów i krów.

— Tu niedawno dokonano napadu — zawyrokował braciszek.

— Skąd brat to wnosi?

— Bo zwierzęta się porozbiegały.

— Mogły się przestraszyć ognia.

— To nie powód. Proszę zobaczyć, jak mocne jest kaktusowe ogrodzenie; najsilniejszy i najdzikszy zwierz nie byłby w stanie przedrzeć się przez nie. Sądzę, że ktoś umyślnie wypędził bydło, robiąc wyłomy w żywopłocie. Ale zobaczymy, może uda się coś ustalić.

Wzięliśmy drągi, które znajdowały się w pobliżu, i zaczęliśmy rozgarniać gruzy i ciepłe jeszcze popioły, szukając szczątków ludzkich. Na szczęście nie znaleźliśmy ich.

— To jeszcze nie koniec — stwierdził braciszek. — Trzeba przeszukać cały korral może wpadniemy na jakieś ślady.

Rozbiegliśmy się wokół. *Yerbaterzy* na koniach, a my trzej pieszo zabraliśmy się do przeszukiwania wszystkich zakamarków tej siedziby ludzkiej. Niebawem *yerbaterzy* coś odkryli i, słysząc ich okrzyki, pobieглиśmy ku nim co tchu.

Oczom naszym ukazał się niespodziewany widok. Wśród kolczastych kaktusów leżeli skrepowani *lassami* i prawie nie dający znaku życia właściciel, jego żona i trzej *gauchowie*. Ani chwili nie zwlekając pobieглиśmy po wodę. Wydobyliśmy całe jej wiadro z pobliskiej studni, urządzonej jak na puszczy węgierskiej, z wysokim żurawiem. Okazało się to zbawienne, bo jakkolwiek oboje starzy byli niezwykle wyczerpani, jednak udało się nam ich docucić; *gauchowie* odzyskali świadomość dosyć szybko i, jęcząc, chcieli nam opowiadać o zajściu, ale nakazaliśmy im milczenie i spokój, aby doszli do siebie, gdyż przekonaliśmy się, że utracili siły nie z głodu, pragnienia czy trwogi, lecz z zadanych im licznych i ciężkich ran.

Właściciele rancza, ocknąwszy się wreszcie i spojrzawszy na pogorzelisko, ciężko i boleśnie westchnęli; *gauchowie* zaś, którzy poczuli się znacznie lepiej, zaczęli przeklinać *drabów*, którzy im wyrządzili tak straszną krzywdę.

— Nie przeklinajcie — rzekł do nich braciszek — bo to wam nic nie pomoże. Widocznie niedawno tu służyście, gdyż nie znam was i wy nie znacie mnie również. Ale znają mnie señor i señora. Oni wiedzą, że pomogę im w nieszczęściu, jeśli tylko siły moje na to pozwolą.

— Jak tu pomóc, kiedy strata tak wielka — zauważył jeden z *gauchów*. — Całe mienie poszło z dymem, a bydło i konie zabrali *zbóje*.

— Cóż to byli za jedni?

— Jakaś banda, podająca się za wojsko rządowe.

— My właśnie szukamy tych opryszków. W którą stronę podążyli?
— Pojechali stąd na południe.
— A kiedy się pojawili?
— Przedwczoraj w nocy. Rano spostrzeżliśmy ich biwakujących w pobliżu domu. Dowódca ich chciał kupić u nas konie.
— Raczej ukraść albo zrabować...
— No, tak. Ale tego nam przecież nie powiedział. Mieli ze sobą dwóch czy trzech jeńców i strzegli ich pilnie, bo to podobno jacyś przestępcy polityczni...
— Kłamali.
— I nam się tak zdawało. Młody señor żądał nawet uwolnienia nieszczęśliwych.
— Jakiż to młody señor? — zapytał brat Hilario. — Wasz panicz?
— Nie. Señor Jose Monteso z estancji Del *Yerbatero*. Wracił on z Santa Fe i nocował u nas.
— Tak, mój syn! — westchnął Monteso. — Ja właśnie jestem właścicielem wspomnianej estancji. Proszę, opowiedzcie nam dokładnie, jak to było, bo my, dowiedziawszy się, że syn mój i brat zostali pojmani przez tych łotrów, wybraliśmy się właśnie, by ich uwolnić.
— Weźcie i nas ze sobą, abyśmy mogli odpłacić zbrodniarzom za naszą krzywdę.
— Wy musicie zostać tutaj i zaopiekować się señorem i señorą. Zresztą jesteście za słabi, aby wziąć udział w pościgu.
— Więc dobrze, wy nas pomścicie.
— Owszem, ale opowiedzcie nam teraz, jak się to wszystko stało. Czy znaliście mojego syna?
— Powiedział nam zaraz po przybyciu, kim jest i dokąd dąży. Gdy wczesnym rankiem wybrał się w dalszą drogę, spotkał bandę opryszków, a wśród niej swego stryja. Domagał się jego uwolnienia i oczywiście sam dostał się do niewoli.
— Wy zaś dopuściliście do tego?
— Cóż mogliśmy uczynić przeciwko pięćdziesięciu uzbrojonym drabom? Było nas tylko czterech: piąty pojechał z młodym señorem do Salto. Oni wnieśli jeńców do izby i rozmawiali z nimi na osobności, po czym nasz señor musiał dać im pióro i atrament. Podobno jeden z jeńców napisał jakiś list, z którym major wysłał jeźdźca, nakazując mu, by się spieszył i dotarł do celu na południe. Dokąd jednak jeźdźca owego wysłano, nie wiemy.
— Do mojej estancji. List był pisany do mnie. Cóż dalej?
— Potem zbóje zażądali od nas wołu, którego zabili i upiekli. Nie ruszyli się stąd bowiem przez cały dzień i mieli jeszcze zostać przez noc. Nasz señor, obawiając się, że mogą odjechać nocą, nie zapłaciwszy za wołu, poprosił ich o pieniądze. To się im tak nie podobało, że pobili go srodze.
— A wy co na to?
— My pospieszyliśmy mu z pomocą, ale w okamgnieniu obezwładniono nas i wszystkich, nie wyłączając señory, związanych zawleczono do korralu w to miejsce, gdzie nas znaleźliście. Trzech z nas pobito przy tym do krwi.
— To okropne!
— Tak, to są prawdziwi zbrodniarze, z którymi nie mogliśmy sobie poradzić. Zgrzytaliśmy tylko zębami, poprzysięgając zemstę. Widziałem ich wszystkich dokładnie i mógłbym poznać każdego z osobna. Biada łotrom, jeśli mi który stanie kiedykolwiek na drodze!
— Kiedy podpalili dom?
— Nie zaraz. Najpierw wypędzili z korralu bydło i konie. Najlepsze woły pozabijali i przygotowali sobie zapasy żywności, konie zaś powiązali jeden do drugiego w ósemki i popędzili.
— Doprowadzili mnie do zupełnej ruiny — wtrącił drżącym głosem stary señor. — Konie uprowadzone, majątek zrabowany, z domu kupa popiołów... Zostałem nędzarzem!...

— Niech się pan uspokoi — pocieszał go estancjero. — Wybraliśmy się właśnie w pościg za bandytami i może nam się uda coś jeszcze dla pana uratować.

— Nie bardzo ja wierzę w powodzenie waszej wyprawy.

— A gdyby się nam nie powiodło, to także nie należy upadać na duchu. Założy pan sobie gospodarstwo na nowo, w czym ja panu pomogę. Jestem bogaty. Uważam też, że ponieważ obecność mego syna w pańskim domu stała się w pewnym stopniu przyczyną nieszczęścia, powinienem wynagrodzić panu poniesione straty. Pomówimy o tym szczegółowo, gdy będziemy wracali z wyprawy. Obiecuję panu tyle pieniędzy, ile będzie potrzeba na zbudowanie nowego domu i kupno bydła oraz koni.

— Chyba pan żartuje?

— Nie żartuję i żeby pan nie miał żadnych wątpliwości, dam panu teraz pewną sumę na pierwsze potrzeby.

Monteso, aby móc w ostateczności złożyć okup za brata i syna, zabrał ze sobą większą sumę pieniędzy, teraz więc wyjął portfel i wręczył staremu sporą paczkę banknotów.

— Ależ nie tyle! — wzbraniał się ranczer, licząc pieniądze.

— Proszę nie protestować! Nie mam w tej chwili czasu, aby targować się z panem. Chciałem też powiedzieć, że chętnie pozostalibyśmy tu czas jakiś, aby wam pomóc w odszukaniu rozproszonego bydła, ale nie możemy sobie na to pozwolić, bo musimy natychmiast jechać, mając ważniejszą do załatwienia sprawę. Zresztą gauchowie sami dadzą sobie z tym radę. Bydło jest znaczone i przepaść nie powinno. A po drodze poprosimy najbliższego sąsiada, by wam pospieszył z pomocą.

Ruszyliśmy dalej, żegnani serdecznie i błogosławieni przez nieszczęśliwych pogorzalców. Jednak nie podążyliśmy śladami bandy, choć łatwo je było rozpoznać, ale na wniosek brata Hilaria postanowiliśmy odszukać Indianina, Piotra Aynasa, aby dowiedzieć się od niego, gdzie leży Półwysep Krokodyli.

Po godzinie spiesznej jazdy wśród pustkowiec natrafiliśmy na hacjendę, gdzie wypoczęliśmy, a Monteso uprosił jej mieszkańców, aby poratowali najbliższych swoich „sąsiadów”. Wysłali natychmiast kilku ludzi na miejsce pogorzeleli w celu niesienia biedakom pomocy.

Mieszkańcy tej hacjendy nie widzieli wcale bandy Cadery.

— Dlaczego ci zbóje pojechali na południe? — pytał mnie Monteso.

— Aby na wypadek pogoni wprowadzić w błąd ścigających.

— Draby jednak pędzą przed sobą stado, więc chyba najwłaściwsza byłaby dla nich droga najkrótsza.

— To prawda, ale mimo to mogli uznać, iż powinni nadłożyć nieco drogi dla większego bezpieczeństwa.

— A może spieszą zupełnie nie tam, gdzie spodziewamy się ich znaleźć. Czy się señor nie przesłyszał wczoraj pod krzakami mimozy?

— Niech pan będzie o to spokojny — rzekłem — nie przesłyszałem się. Zresztą draby nie muszą się tak spieszyć, jak pan przypuszcza.

— Jak to? Przecież powinni liczyć się z tym, że ich będziemy ścigali!

— Mogą się liczyć, ale są pewni, że jesteśmy od nich daleko. Odjechali ze spalonego rancza wieczorem i wyprzedzili nas co najmniej o sześć godzin. Że zaś są przy tym przekonani, iż nie znamy ich kryjówek, więc nie mają powodu do obaw. Jak daleko stąd do granicy Urugwaju?

— Od mojej estancji jest około dwudziestu godzin jazdy konnej. Przypuszczam, że zdążymy tam do wieczora.

— Tak jest w istocie — potwierdził brat Hilario. — Skoro jednak musimy po drodze odszukać Indianina, więc możemy się spóźnić. Mieszka on w pobliżu rzeki, ale kto wie, czy go w domu zastaniemy. Jeżeli jego żona nie udzieli nam potrzebnych wskazówek, będziemy musieli czekać na jego powrót lub zacząć go szukać.

— A tymczasem nasi przeciwnicy przeprawiają się przez rzekę.

— Wątpię. Przecież czekają na powrót porucznika z pieniędzmi. Ponieważ jednak konie nasze dobrze już odpoczęły, więc nie traćmy czasu i ruszajmy.

Jechaliśmy stale w kierunku zachodnim i około południa wypoczęliśmy znowu w jednym ranczu. Mieszkańcy jego również nie umieli nam nic powiedzieć o Półwyspie Krokodylim i również nie widzieli oddziału bandytów argentyńskich.

Przed wieczorem znaleźliśmy się między dwiema rzekami, wpadającymi do Urugwaju. Wilgotna ta okolica pokryta była bujną trawą stepową, wśród której tu i ówdzie sterczały krzaki, a nawet drzewa. Nie można było nazwać tego lasem, ani nawet gajem, gdyż drzewa owe i krzaki nie stanowiły zwartej masy, lecz rosły z rzadka, małymi kępami lub pojedynczo. Niebawem charakter roślinności znowu się zmienił. Wjechaliśmy na tereny pozbawione traw stepowych, natomiast obfitujące w gęstwy trzcin, bambusów i innych drzew liściastych, między którymi sączyły się leniwie strumyki lub rozprzestrzeniały laguny. Pnące rośliny oplatały pnie drzew od dołu aż po wierzchołki, tworząc chaotyczną gęstwinę, wśród której nie można było rozróżnić, co należało do drzew, a co do owych pnączy, rozpiętych na nich jak na rusztowaniach. Teren był coraz wilgotniejszy, aż wreszcie o zmroku wjechaliśmy w okolicę pokrytą bagnami i trzęsawiskami, utworzonymi przez niezliczone źródła, zasilające rzekę, która w niedalekiej już od nas odległości przeświecała tu i ówdzie przez rzadziejące miejscami drzewostan połyskliwym zwierciadłem swych wód. W niewielkiej od nas odległości spostrzegłem chlapiące się w błocie jakieś opasłe niezgrabne zwierzę.

— A co to za bestyjka? — zapytałem brata Hilaria.

— To świnka wodna — odrzekł.

Dalej, w jednym z rozlewisk tuż przy brzegu, zauważyłem coś jakby kilka kłód drzewa wystających z wody i braciszek wyjaśnił mi, że to są krokodyle.

— Czy jadąc tak blisko tych potworów, nie narażamy się na niebezpieczeństwo?

— Nic one nam nie zrobią. Moglibyśmy się obawiać, gdybyśmy pieszo weszli między to miłe grono.

— Jednak droga nasza nie wydaje się zbyt bezpieczna?

— O, tak, trzeba się tu mieć na baczności. Ja pojedę przodem, a wy trzymajcie się za mną gęsiego, bo wkrótce znajdziemy się w tak niepewnym miejscu, że łąda potknięcie może spowodować nieszczęście.

— I nie ma innej, bezpieczniejszej drogi do owego Indianina?

— Nie. Obrął on sobie siedzibę w tak położonym miejscu, że jest do niej dostęp z jednej tylko strony. Chatka jego jest trudną do zdobycia warownią.

Brat Hilario znał widać drogę doskonale, skoro odważył się przeprowadzić nas prawie przez sam środek niebezpiecznego trzęsawiska. Po kwadransie dostrzegliśmy przed sobą nikłe światełko.

— Teraz zsiądziemy — rzekł brat — bo ścieżka jest bardzo wąska i lepiej będzie przeprawiać się dalej pieszo. Konie poprowadzimy za sobą.

Grunt, po którym teraz stąpaliśmy, był istotnie niepewny i zapadał się pod nogami jak warstwa zastygłego na wodzie łożu. Na szczęście wkrótce wydostaliśmy się na szerszą ścieżkę, ale dla pewności nadal szliśmy gęsiego.

Wreszcie oczom naszym ukazała się niewielka chatka. Stała ona pod rozłożystym drzewem jak pod parasolem. Ściany obłożone były darnią, a dach pokryty trzciną. Okien nie było w niej, a tylko drzwi, które stały w tej chwili otworem, tworząc na ciemnym tle ściany jasny prostokąt, wewnątrz bowiem płonął ogień. Nad ogniskiem wisiał na trójnogu wielki kocioł wypełniony jakąś śmierdzącą masą. W chatce nie było nikogo.

— To jest mieszkanie owego Indianina? — zapytałem.

— Tak jest.

— Zastaliśmy go chyba, skoro jest ogień i coś się na nim gotuje.

— Jeśli nie on, to jest na pewno jego żona — odparł brat Hilario. — Zobaczymy, co się tu warzy.

Zajrzał do kotła i, powąchawszy, rzekł:

— Masa do zatrucia strzał.

— Naprawdę? Owa sławna, a właściwie osławiona, zabójcza trucizna?

Ciekawy, jak to wygląda, zajrzałem również do kotła. Gotujący się płyn był gęsty jak syrop i miał zielone zabarwienie. Kawałek drewna, widocznie zastępujący warząchew, sterczał z kotła. Braciszek wyjął go, zwilżył palec w masie i, pokosztowawszy, potwierdził:

— Tak, to jest trucizna do strzał. Poznają po smaku.

— I nie boi się brat jej próbować?

— Trucizna ta zabójcza jest tylko wówczas, kiedy dostanie się do krwi.

— Z czego się ją sporządza?

— Nie wiem, to tajemnica Indian. Prawdopodobnie jest to mieszanina złożona z jadu węża, soku wilczych jagód oraz pewnych roślin i ziół, ale jakich, tego nie wiem. Mieszaninę tę gotuje się tak długo, aż osiągnie gęstość syropu. Po ostygnięciu tężeje ona i jest podobna do żywicy. Przed użyciem rozgrzewa się ją na nowo.

— Jak długo nie traci swej mocy?

— Z półtora roku, jeżeli sporządzona jest prawidłowo i nie skruszeje.

Brat Hilario widocznie nie po raz pierwszy był w tej budzie, gdyż wyjaśniwszy mi, że strzały znajdują się w komorze, wszedł tam i wyniósł kilka wiązek trzciny, wśród której znajdowały się gotowe już groty długości mniej więcej palca. Zaostrzone końce nosiły ślady trucizny, końce przeciwne zaopatrzone były w ptasie pióra.

Pod jedną ze ścian znajdowało się kilka okrągłych niedużych drążków. Brat wziął jeden do ręki i, pokazując mi, wyjaśnił:

— Ta żerdka jest wewnątrz wydrążona i służy jako przyrząd do wyrzucania strzał za pomocą zgęszczonego powietrza. Sporządza się te rury z drewna palmowego.

— Jak daleko wyrzucić można strzałę przez taką rurę?

— Na odległość czterdziestu kroków, przy czym odbywa się to bez najmniejszego szmeru.

— A jak długo żyć może trafiony zatrutą strzałą?

— Małpy i papugi giną w ciągu paru sekund, człowiek zaś i jaguar po trzech minutach.

— A jest jakiś środek zaradczy przeciw zatruciu taką strzałą?

— Niestety, nie ma.

— Więc broń ta jest potworna i rząd nie powinien pozwolić na jej używanie.

— Ba! Zapobiec używaniu tych strzał byłoby niemożliwością. Rząd nie mógłby dopilnować, by przestrzegano podobnego zakazu. Poza tym Indianin jedynie dzięki tej broni daje sobie radę z dzikimi zwierzętami, wśród których żyje. Bez zatrutych strzał nie mógłby mieszkać w ogromnych tutejszych puszczech i zwierzęta drapieżne rozmnożyłyby się wkrótce do tego stopnia, że rząd musiałby wielkim kosztem prowadzić z nimi uciążliwą walkę, gdy tymczasem Indianie tępią je nie żądając za to wynagrodzenia. Skoro tylko strzała zadraśnie lekko nawet skórę jaguara lub pumy, śmierć drapieżnika jest niezawodna.

— Czy mięso zabitych w ten sposób zwierząt jest również trujące?

— Nie. Jadłem wiele razy takie mięso i nic mi się nie stało. Trucizna bowiem, jak to już mówiłem, działa jedynie bezpośrednio na krew, a w przewodzie pokarmowym jest zupełnie nieszkodliwa, gdyż organizm wytwarza z niej inne związki chemiczne.

W tej chwili weszła do chaty karzełkowata i nie bardzo do człowieka podobna postać. Była to starą już i chuda jak patyk, a wzrostem ośmioletnie dziecko przypominająca, Indianka.

— To ty, Daya? — zapytał brat.

Na te słowa potworek skinął głową i przeżegnał się.

— Mąż w domu?

Skinęła znowu głową i przeżegnała się powtórnie.

- Mówże przecie! — odezwał się surowo.
- A czy dostanę co? — szepnęła drżącym głosem.
- Dostaniesz, Daya, ale później. Najpierw musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań.
- Ja nic nie wiem.
- Kłamiesz! A ja tego nie znoszę!

Spojrzała nań jak małpa i odrzekła:

- Ale ty jesteś dobry i nie gniewasz się za to.
- Nie widziałas mnie jeszcze nigdy w gniewie, ale dziś może ci się to zdarzyć, więc uważaj! Byli tu dzisiaj jacyś ludzie?

— Nie wiem.

— Widzę, że bez podarunku nie można porozumieć się z tobą. Mów więc, co byś chciała otrzymać?

— Ładny, błyszczący guzik do ubrania.

— Dobrze, dostaniesz — odrzekł, sięgając do kieszeni.

Był widocznie przygotowany na tego rodzaju wypadek, skoro nosił przy sobie rozmaite świecidełka. Gdy wyjął z kieszeni mosiężny guzik, karlica wyrwała mu go z rąk i, nie zwlekając, przyszyła do „sukni”.

— Jesteś zadowolona? — zapytał brat.

— Tak, ja jestem zadowolona, a ty jesteś dobry.

— Bądź więc i ty dobra i odpowiedz mi, nie kłamiąc, na moje pytania.

— Daya nigdy nie kłamie.

— Czy byli tu dzisiaj jacyś ludzie?

— Nie.

— Nikt? Nikt nie był? — nalegał braciszek.

— No... był... jakiś mężczyzna.

— A widzisz, przedtem skłamałaś! Czy znasz tego mężczyznę? Wiesz, kto to jest?

— Nie.

— Przybył pieszo czy na koniu?

— Na koniu.

— Jak był ubrany?

— Jak każdy biały señor. Miał lancę.

— Czy rozmawiał z tobą?

— Nie, tylko z Piotrem.

— A więc z twoim mężem. O co go pytał?

— Nie słyszałam.

— Ale wiesz przynajmniej, czego chciał?

— Wiem. Chciał, żeby mój mąż poszedł z nim.

— I poszedł? Dokąd?

— Nie mówili.

— A kiedy Piotr obiecał wrócić?

— Nic mi o tym nie mówił.

— Kiedy był ów mężczyzna?

— Przed zmrokiem.

— Czy nie widziałas więcej nikogo?

— Nie.

— A widziałas kiedy człowieka, który nazywa się Enrico Cadera? Albo takiego, którego nazywają majorem?

— Także nie.

— Czy nie opowiadał ci Piotr o jakichś dwóch jeńcach?

— Nie.

— To powiedz mi przynajmniej, czy znasz miejsce, które się nazywa Peninsula del Crocodilo?

— Znam to miejsce.

— Czy to daleko stąd?

— Niedaleko.

— Możesz nas tam zaprowadzić?

— Mogę.

— Zaprowadź więc natychmiast, ale tak ostrożnie, żeby nikt tego nie zauważył.

— Daya pójdzie najpierw przekonać się, czy tam kogo nie ma.

— Dobrze. Ale co będzie, gdy spotkasz się ze swoim mężem?

— Czy muszę widzieć się z nim?

— Niekoniecznie.

— W takim razie postaram się nie nawijać mu się przed oczy.

— Pięknie! Podobasz mi się! I jeżeli wywiążesz się dobrze z zadania, otrzymasz jeszcze jeden guzik.

I pokazał Indiance drugi mosiężny guzik. Karlica aż krzyknęła z zachwytu i rzekła szybko:

— Daya dostanie guzik. Daya idzie i nikt jej nie zobaczy, nawet Piotr.

To mówiąc, wysunęła się z chaty bez szelestu, jak nietoperz, i zniknęła w ciemnościach. Hilario zapuścił matę we drzwiach, by na zewnątrz nie było widać światła, ja zaś stwierdziłem:

— Ta Daya nie należy do istot, którym można zaufać.

— O, tak — odparł brat Hilario. — To coś jakby nie człowiek, a właściwie pół człowieka, pół dzikiego kota. Nęcą ją jednak świecidełka i dlatego może być z niej pożytek. Zna ona doskonale te bagniska i umie tak świetnie się skradać, że nawet mąż jej nie zauważy, choćby mu się przesunęła przed nosem. Pod tym względem dorównuje ona drapieżnym zwierzętom.

— Jestem ciekawy, czy zbóje są już tutaj.

— To oczywiście. Ów mężczyzna, o którym wspominała Daya, pochodzi na pewno z ich bandy.

— A jeśli był to kto inny?

— Nie wydaje mi się. Miał lancę, a te noszą tylko Indianie i bolarze. Zamilkliśmy i ja zacząłem rozglądać się po chatce w nadziei znalezienia tu czegoś godnego uwagi. Nic jednak nie zauważyłem.

Po upływie kwadransa Indianka wróciła i, wetknąwszy głowę przez chatkę, rzekła:

— Dawaj guzik!

— E, nie tak łatwo. Najpierw musisz zasłużyć na to. Co widziałaś?

— Nic.

— To chyba oślepałaś!

— Daya nie jest ślepa. Daya widzi nawet w nocy.

— Albo kłamiesz!

— Daya świętemu człowiekowi nie kłamie, bo on jest dobry.

— A może chcesz nas specjalnie wprowadzić w błąd?

— Nie, bo nie dostałabym guzika.

— No, dobrze. Wierzę ci. Masz guzik, ale musisz nas teraz zaprowadzić na półwysep.

Skinęła głową na znak zgody i natychmiast przyszyła do łachmana upragnioną błyskotkę.

— Ale zaprowadzisz nas tam potajemnie — mówił dalej Hilario. — Nikt nie powinien nas słyszeć ani widzieć.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Bo masz konie.

— Zostawimy je tutaj.

— A jeżeli się tu kto zjawi?

— To je zobaczy! Cóż stąd?
— Nic. Może je Daya ukryje.
— Jeżeli masz bezpieczne dla nich miejsce, to lepiej ukryj.
— Jest w pobliżu.
— Zaprowadzimy je tam sami.
— To niemożliwe, bo tylko jeden człowiek może przejść tamtędy. Daj jeszcze jeden guzik, to Daya zaprowadzi konie sama.
— Daya jest nienasycona!

Spojrzała nań z uśmiechem, pewna, że otrzyma żądany guzik.

— Daya lubi tylko guziki — rzekła.
— Wiem o tym, a że ja lubię Dayę, więc dam jej trzeci guzik, ale nie teraz, lecz później, gdy przyprowadzi nasze konie z powrotem. Daya musi ich strzec pilnie.
— Dobrze, Daya to uczyni — rzekła i oddaliła się natychmiast.
Chciałem iść za nią, ale brat mnie powstrzymał.
— Mam cenne przedmioty w kieszeniach przy siodle — rzekłem.
— Bądź pan o nie spokojny — odparł brat Hilario.
— Ale walebnym dobrodziej sam mi opowiadał, że tutejsi Indianie to bezwstydni złodzieje!
— Mnie jednak nie okradnie żaden z nich, a że pan znajduje się w moim towarzystwie, więc może być spokojny o swoje rzeczy. Zapewniam pana. Dla tej kobiety więcej wart jeden guzik, otrzymany ode mnie, niż całe pańskie mienie.

W tej chwili posłyszeliśmy stłumione odgłosy kopyt końskich, powtarzające się tyle razy, ile było koni, gdyż Indianka wprowadzała do kryjówek każdego oddzielnie. Następnie wywołała nas z chaty i poprowadziła wąską, zygzakowatą ścieżyną w stronę rzeki. Ścieżyny tej nie znaleźlibyśmy sami nawet w biały dzień.

Nie dowierając Indiance, miałem w pogotowiu rewolwer. Rzecz prosta — nigdy bym nie strzelał do tego dzikiego, nędznego stworzenia, lecz chodziło mi o zabezpieczenie się przed tymi, którzy by nawinęli się nam przed oczy i zachowali się względem nas nieprzyjaźnie.

Indianka zaprowadziła nas przez zarośla, trzciny i sitowia na brzeg niewielkiej zatoki rzecznej i szepnęła:

— Tu!
— Ależ to nie jest wcale półwysep — odrzekł również szeptem Hilario.
— Owszem, to jest Peninsula del Crocodilo. Po lewej ręce jest wąski łąd, a za tym łądem znów woda, więc łąd ten jest półwyspem.
— I nazywa się Peninsula del Crocodilo? Nie mylisz się, Daya?
— Nie myślę się. Daya wie, że to jest Peninsula del Crocodilo, i Piotr wie, więcej nikt.
— Nieprawda! Wie o tym jeszcze ktoś.
— Daya i Piotr nie zdradzą tego nikomu i wiedzą dlaczego.
— No, dlaczego? t
— Daya nie powie.
— Nawet gdybym dał jeszcze jeden guzik?
— Tak, nawet za guzik nie powiem.
— Dlaczego? Mam w kieszeni bardzo piękne guziki, guziki, jakich jeszcze nigdy w życiu nie widziałas...
— Piotr mi zabronił.
— Jeżeli tak, to nie nalegam. Winnaś mężowi posłuszeństwo. Czy jednak naprawdę nie ma tu nikogo?
— Nikogo.
— Może byś się jeszcze rozejrzała lepiej?
— Dobrze — odrzekła i oddaliła się.

Staliśmy, nie ruszając się z miejsca, a jednak nie słyszeliśmy kroków Dayi; najlżejszy szelest nie zdradził przygnięcia jej stopą żdźbła trawy lub liścia. Naprawdę skradała się genialnie. Wróciwszy po paru minutach, oznajmiła, że w pobliżu nie ma żywej duszy.

— Dobrze. Więc idź teraz do chaty — rozkazał Hilario.

— Czy mam wrócić tu jeszcze?

— Nie trzeba. Przyjdziemy sami o świcie.

— Co wy tam będziecie robili tak długo?

— Dowiesz się później.

— Czy powiecie Piotrowi, że jesteście tutaj?

— Owszem, ale tak, żeby on jeden tylko słyszał, nikt więcej.

— Któż inny mógłby słyszeć, kiedy w okolicy nie ma żadnego człowieka?

Po tych słowach oddaliła się, zostawiając nas samych wśród tych nie znanych nam topieli.

— No, señor — zwrócił się do mnie estancjero — jesteśmy w pobliżu Krokodylego Półwyspu i teraz pan powinien przystąpić do działania. Co mamy czynić?

— Czekać, dopóki się tu nie zjawią... Chyba że się dowiemy, iż nie przybędą tu wcale.

— Daya mówiła, że nie ma ich w okolicy.

— Nie wierzę jej.

— Pan ją krzywdzi, posądzając o kłamstwo — wtrącił Hilario. — Znam ją i wierzę, że mówi prawdę. Wprawdzie Indianie dla wyprowadzenia białego w pole nie cofają się przed niczym, ale wobec mnie i moich towarzyszy stworzenie to nie odważyłoby się na coś podobnego.

— Wolałbym jednak przekonać się o prawdzie jej słów osobiście. Potrzymajcie karabin, żeby mi nie przeszkadzał. Pójdę rozejrzeć się.

Było dość ciemno, więc miałem pewność, że nie zostanę spostrzeżony, i śmiało ruszyłem naprzód.

Półwysep okazał się wąskim pasem łądu, wybiegającym ku środkowi rzeki i wzniesionym dość wydatnie ponad jej poziom. Dłaczego „ochrzczono” go mianem krokodyla, nie mogłem się domyślić. Potworów tych nie było tu wcale, gdyż nie lubią one miejsc o podniesionych choć trochę brzegach, na które trudno byłoby im wydostawać się z rzeki, aby wygrzewać się na słońcu. Mały ten półwysep zadrzewiony był dość gęsto, więc, posuwając się od drzewa do drzewa, mogłem obejść go wzdłuż i wszerz. Gdyby znajdowali się tu ludzie, na pewno bym ich zauważył.

Nie znalazłszy na półwyspie żywej duszy, wróciłem do towarzyszy, a gdy im to oświadczyłem, brat Hilario rzekł:

— Teraz przyzna mi pan, że Daya nie kłamie.

— Wątpię w to ciągle. Bolarze muszą być w okolicy i myślę, że będą szukali miejsca, w którym mogliby przeprowadzić przez rzekę uprowadzoną stadninę.

— Oczywiście przeprowadzić się muszą, ale nie tutaj, gdyż to miejsce do tego się nie nadaje.

— Istotnie! Nie pomyślałem o tym. Nie mogliby tutaj doprowadzić koni. Nie pozostaje więc nam nic innego, jak tylko zaczekać, aż księżyc wzejdzie. Nastąpi to za jakieś pół godziny. Wówczas będziemy mogli zorientować się w sytuacji.

Usiedliśmy w trzinach, zachowując jak największy spokój. Dokoła panowała cisza, przerywana tylko miarowym pluskiem fal rzecznych, uderzających o brzegi. Nic nie mówiąc, rozmyślaliśmy z niepokojem o najbliższych godzinach, które miały zadecydować o losach pozostających w rękach bandy jeńców.

Niebawem przez gałęzie drzew przedarł się blask wschodzącego księżyca i powierzchnia wody zasrebrzyła się wspaniale.

Teraz mogliśmy nieco dokładniej przyjrzeć się otoczeniu. Po przeciwnej stronie rzeki rozsiane były drobne wysepki, co sprawiało, że koryto zwężało się tu znacznie; po naszej stronie wrzynający się w rzekę półwysep jeszcze bardziej je zwężał, z czego można było

wnioskować, że prąd wody w tym miejscu jest niezwykle silny i uniemożliwiający przeprawę nawet dla koni.

Siedząc w trzcinie, wygniecionej dosyć szeroko, mieliśmy przed sobą zatokę, po lewej ręce półwysep, a po prawej łagodnie wznoszący się brzeg. Za nami był gęsty i wysoki las.

Zbyt długie i nużące wyczekiwanie zniescierpliwilo mnie i doszedłem do wniosku, że ulokowaliśmy się w niewłaściwym miejscu. Tego samego zdania był i brat Hilario, bo po długim milczeniu mruknął:

— Gdyby nie pewność, że Daya powiedziała mi prawdę, gotów bym uwierzyć, że to nie jest Półwysep Krokodyli. Nie mam zaufania do tego miejsca.

— Ja również — rzekłem.

— Dlaczego?

— Trudno określić podobne uczucie. Jest ono identyczne z owym pierwszym wrażeniem na widok jakiejś twarzy, która nam się nie podoba i budzi niechęć z niewytłumaczonej przyczyny.

— Tak. To ustronie budzi i we mnie jakąś odrazę.

— A przy tym jest niedogodne do naszych celów. Ani tu podkraść się którądy, ani jak napaść, ani ukryć się gdziekolwiek...

— Dlatego też wyniesiemy się stąd i poszukamy odpowiedniego punktu oparcia.

— Uczyńmy to jak najprędzej, bo gdyby bandyci przybyli zaraz, spostrzegliby nas natychmiast. Najlepszą dla nas kryjówką byłaby gęstwina drzew.

— Co więc robimy?

— Poszukajmy sobie innego schronienia, ale nie oddalajmy się zbyt od półwyspu.

Na lewo ku południowi czerniała zwarta grupa drzew, w których gęstwie spodziewaliśmy się znaleźć wygodną kryjówkę. Skierowaliśmy się ku niej i istotnie znaleźliśmy tu nie tylko wygodne schronienie, ale i świetny punkt obserwacyjny. Miejsce to z trzech stron było osłonięte roślinnością, a z czwartej, zupełnie otwartej, można było doskonale widzieć, co się dzieje na półwyspie. Jedna tylko okoliczność nie bardzo się nam podobała, mianowicie — z tej strony było za dużo księżycowego światła. Mimo to o lepszy punkt byłoby trudno.

Usadowiliśmy się wygodnie i z niecierpliwością oczekiwaliśmy przybycia bandy opryszków — niestety daremnie.

— A może zmienili swój pierwotny plan i nie przybędą tutaj — zauważył Monteso. — Jeśli tak, to szkoda naszego trudu.

— To niemożliwe. Przecież umówili się, że czekać będą na tym półwyspie na posłańca, muszą więc przybyć tu wcześniej czy później.

— Ba, ale kiedy?

— Może nad ranem. Sądzę, że w nocy boją się zapuszczać w te niebezpieczne, bagniste miejsca, tym bardziej że mają ze sobą uprowadzone konie i może bydło, które przecież trudno przeprowadzić przez rzekę, zwłaszcza w tym miejscu, gdzie woda jest rwąca.

— Słuszna uwaga.

— W ogóle nie sądzę, aby zechcieli przeprować się przez rzekę wplaw. Wszak mają swoich koni pięćdziesiąt, doliczmy do tego skradzione, również około pięćdziesięciu, no i woły, jeśli ich jeszcze nie pozarzynali. To wszystko można najłatwiej przeprowadzić na promie lub tratwie. Czy znany tu jest ten sposób przeprowy?

— Owszem. Tutejsi mieszkańcy zbijają tratwy z kłoców nie ociosanych lub z belek i tarcic. Na południu drzewo jest bardzo drogie, więc przedsiębiorcy robią znakomite interesy.

— Taka tratwa byłaby dla tych bandytów najlepszym środkiem do przeprowienia łupu przez rzekę.

— Ba, ale skąd ją wezmą? Czy flisacy zechcą im jej pożyczyć?

— Za pieniądze... a nawet pod przymusem. Ruch tratwy przecież zależy od prądu rzeki i gdy prąd zniesie ją do brzegu, nietrudno będzie bolarzom zmusić flisaków do posłuszeństwa.

Gdyby zresztą nie potrafili sobie poradzić w tym wypadku, musiałbym ich uważać za wielkich niedołęgów.

Zaledwie wypowiedziałem te słowa, gdy nagle o pierś moją uderzyła strzała i opadła mi na kolana. Wziąłem ją do ręki i ku wielkiemu przerażeniu stwierdziłem, że jest zupełnie taka sama, jakie widziałem w chacie Indianina.

— Co się panu stało? — zapytał Monteso, spostrzegłszy przestraszony na mej twarzy.

— Kładźcie się wszyscy natychmiast na ziemię! — rozkazałem.

— Natychmiast! I przylgnąłem twarzą do ziemi, towarzysze zaś moi poszli za moim przykładem.

— Co to było? — spytał szeptem brat Hilario.

— Ktoś do nas strzelił.

— Nie słyszałem.

— Oczywiście, bo strzały słyszeć nie można.

— Dios! Strzała? Może zatruta? Gdzie?

— Proszę zobaczyć! — odrzekłem, podając mu grot indiański.

— Cielo mio! — szepnął przerażony. — Czy trafiła pana?

— Trafiła, ale nic mi nie będzie, bo zsunęła się po skórzanym kurtce.

— Czy jest pan pewny, że nie zadrasnęła ciała?

— Jestem o to spokojny, bo mam na sobie ubranie, które stanowi swego rodzaju pancerz przed strzałami.

— Co za szczęście! Gdyby nie to, w tej chwili już by pan nie żył. Muszę zapobiec dalszej strzelaninie.

— Czy zechcą jednak usłuchać pana?

— To strzelał Piotr Aynas, poznaję po grocie. Zaraz mu tego zakażę. Niebezpieczny to człowiek! Ale nie przypuszczałem, że może strzelać do ludzi, którzy mu nic złego nie zrobili. Gdyby trafił w kogo innego, zabiłby.

Rzekłszy to, włożył palec do ust i gwizdnął niezbyt głośno, naśladując dżdżownika.

— To hasło? — zapytałem.

— Tak. Teraz już wie, że strzelał do przyjaciół. Wszyscy jego znajomi znają to hasło. Gdy go nie zastaną w domu, wówczas wołają w ten sposób.

— Sądzi brat dobrodziej, że Indianin przybędzie tutaj?

— Niezawodnie. Usłyszawszy moje gwizdnięcie, przeląkł się zapewne, że zabił kogoś z przyjaciół.

— Gdzie on się ukrywał? — pytał estancjero.

— Oczywiście tu gdzieś, od strony otwartej. Zobaczył nas zapewne w świetle księżyca. Słuchajcie!

Po przeciwnej stronie bagna rozległo się identyczne gwizdnięcie, ale tak ciche, jakby ktoś używający tego hasła obawiał się, by go gdzieś dalej nie słyszano.

— Indianin?

— Tak.

— Proszę mu odpowiedzieć również po cichu, bo zbóje są niedaleko.

— Dlaczego pan tak przypuszcza?

— Dlatego właśnie, że Indianin gwizdnął tak cicho. Poznał przyjaciela i nie chce go zdradzić przed opryszkami.

— Istotnie, słuszny wniosek.

— Niech brat gwizdnie stojąc, aby Indianin mógł poznać brata z daleka.

Braciszek wstał i gwizdnął przytłumionym głosem, po czym spostrzeżliśmy o pięćdziesiąt przeszło kroków przed nami wysuwającą się z cienia drzew postać.

Dobry to musi być strzelec — pomyślałem — skoro z takiej odległości trafia do celu.

— Idzie — rzekł braciszek. — Ciekawy jestem, co go skłoniło do ślania nam śmiertelnych pocisków. Nie ma on zbrodniczych zapędów i strzelał chyba tylko z czyjegoś rozkazu... Choć i to nie zmniejsza jego winy.

Między nami a Indianinem znajdowało się bagno, które on szybkim krokiem okrążył i stanął przed nami w pokornej, mocno zakłopotanej postawie.

— Skąd ci przyszło do głowy strzelać do ludzi, Petro? — zapytał surowo zakonnik.

— Nie wiedziałem, że to czcigodny brat — rzekł wylękniony. — Czy trafiłem?

— Tak.

— Dios! Jestem mordercą!

— Na szczęście jeszcze nie, bo człowiek, w którego strzała trafiła, nosi skórzane ubranie...

— Skórzane ubranie? A więc to jest... Zaciął się nagle.

— Co chciałeś powiedzieć?

— Nic, już nic... Jestem przelęknięty.

Wiedziałem, co chciał powiedzieć i dlaczego się wstrzymał. Zafrapowała go wzmianka brata Hilario o skórzanym moim ubraniu. Wiedział już zatem coś o mnie, i to zapewne od bandytów, którzy prawdopodobnie znajdowali się w pobliżu. Nie przypuszczał jednak, że się znajduję w towarzystwie uwielbianego zakonnika, a zatem jestem niejako pod jego ochroną.

Brat Hilario nie domyślił się niczego, więc pytał:

— Jesteś przelęknięty? Ale to nie uratowałoby señora, którego dosięgła twoja strzała. Piotrze, Piotrze! Kto by się spodziewał, że zdolny jesteś popełnić morderstwo!

— Wielebny dobrodzieju! Wymówka, jaką dobrodziej mi czyni, jest bardzo bolesna... obraża mnie ona...

— Jak to? Więc nie strzelałeś do nas?

— Strzelałem, ale nie wiedziałem, że tu są ludzie.

— A za kogo nas wzięłeś?

— Za małpy...

— Małpy? — powtórzył Hilario. — Nas wzięłeś za małpy? Nie gadaj głupstw, Piotrze!

— Światło księżycy zwiódło mnie... Siedzieliście razem, jak to zwykle czynią małpy... Zresztą... proszę mówić ciszej...

— Dlaczego?

— Bo, bo... w nocy nie jest bezpiecznie mówić tu głośno...

— Są w pobliżu jacyś ludzie?

— Ludzie... nie. Ale przed kilkoma dniami przybłąkała się tu para ogromnych jaguarów, a wielebny dobrodziej wie dobrze, jak trzeba być ostrożnym w takim sąsiedztwie. Tylko ja i moja Daya możemy się ich nie obawiać...

— Ja również się ich nie boję.

— Wiem, ale towarzysze dobrodzieja mogliby się znaleźć w niebezpieczeństwie i dlatego proszę zachować ciszę, aby nie zwabić tych bestii.

Z tych słów zrozumiałem, o co chodziło przebiegłemu Indianinowi. Bez wątpienia był w porozumieniu z bolarzami, ale, żywiąc przyjaźń dla braciszka, nie chciał zdradzić tak jego, jak i ich. Wymyślił więc na poczekaniu bajkę o jaguarach.

— Może przyjsć do nas jaguar ze swoją towarzyszką — rzekł brat Hilario. — Nie boimy się ich wcale... Ale też słuszna jest twoja rada, abyśmy nie byli zbyt głośni. Usiądź, muszę cię o coś zapytać.

Zakłopotany Indianin spojrział na nas i rzekł do zakonnika:

— Może nie tu? Lepiej gdzie indziej... Tu niebezpiecznie. Wywnioskowałem, że chciałby nas stąd usunąć ze względu na grożące nam niebezpieczeństwo, ale usunąć tak, byśmy się tego nie domyślili.

— Nie, Piotrze! Zostaniemy tutaj — odparł brat Hilario, nie rozumiejąc intencji Indianina.

— Znam miejsce o wiele bezpieczniejsze — próbował namówić go Indianin.

— Nie trzeba, tu nam dobrze. Skąd wracasz?

— Z polowania.

— Nie kłam, Piotrze. Nie widzę zdobyczy... A nie zdarzyło ci się przecież dotychczas, abyś wracał do chaty z pustymi rękoma.

— Upolowałem trochę, ale zostało tam... — I wskazał w stronę, skąd przybył.

— Tak? A dlaczego wyszedłeś z domu o tak późnej porze?

Słuchając tej indagacji, pomyślałem sobie, że pocziwy zakonnik mógł być znakomitym członkiem zgromadzenia w klasztorze, a nawet doskonałym myśliwym, ale do prowadzenia śledztwa nie miał najmniejszych zdolności, zwłaszcza w tym wypadku. Zanadto ufał Indianom. Wprawdzie Piotr Aynas nie żywił w stosunku do nas zamiarów nieprzyjaznych, o czym byłem święcie przekonany, ale też nie chciał zdradzić naszych przeciwników, z którymi zawarł jakąś umowę, zanim poznał bliżej okoliczności, łączące ich z naszą sprawą. Teraz więc usiłował nas obalamucić, co mogło mu się udać z pocziwym braciszkiem, który po prostu kładł mu w usta gotowe odpowiedzi. Do tego lisa trzeba się było wziąć inaczej, więc postanowiłem wybadać go sam. Pociągnąłem nieznacznie brata Hilaria za rękaw, aby mi nie przeszkadzał, i wtrąciłem:

— Za pozwoleniem... może ja się tym zajmę.

— Proszę bardzo — odparł zakonnik.

Indianin jednak, spojrzawszy na mnie podejrzliwie, zaprotestował:

— Nie mogę się z tym zgodzić, abym miał dawać odpowiedzi obcemu mi człowiekowi.

Przy tych słowach spojrział na mnie nieufnie i na twarzy jego, oświetlonej promieniami księżyca, pojawił się wyraz przebiegłości. Od kilku minut obserwowałem go. Nie miał tak odrażającej powierzchowności jak jego małżonka, Daya. Zresztą nawet nie można go było porównywać z tamtym potworkiem. Był to mężczyzna wzrostu średniego, barczysty i muskularny. Włosy miał krótko ostrzyżone i głowę nie nakrytą, na plecach tylko i biodrach widać było jakieś łachmany. Na nogach nie miał nic. Uzbrojenie jego składało się z noża, rury do wyrzucania strzał i kołczanu wiszącego na sznurku u pasa.

Zrozumiałem, iż człowiek ten nie chciał wdawać się ze mną w rozmowę, gdyż był przekonany, że go podejść. Tym bardziej utwierdziło mnie to w przekonaniu, że jest on w zмовie z bolarzami, którzy na pewno ostrzegli go, aby się miał na baczności przede mną.

— Czyżbyście mieli nieczyste sumienie, Petro Aynas, że się boicie mówić z obcymi ludźmi? — zapytałem.

— Gdybym miał nieczyste sumienie — odrzekł — to obawiałbym się przede wszystkim wielbego brata jako duchownego.

Ta odpowiedź dowodziła, że Indianin był nie tylko chytry, ale i dowcipny.

— Jeżeli więc nie obawiacie się mnie, to dlaczego unikacie ze mną rozmowy? To budzić może jedynie wzajemną nieufność i podejrzania...

— Jestem człowiekiem uczciwym.

— Dotychczas nie wątpiłem w to. Gdzie wasza chata?

— Niedaleko stąd.

— Może więc pozwolicie, byśmy u was zanołowali?

— Nie, señor! To niemożliwe! — odparł stanowczo.

Z tej kategorycznej odmowy domyśliłem się, że w nocy spodziewa się jakiś odwiedzin, prawdopodobnie bolarzy.

— Dlaczego nie chcecie nas przyjąć? — zapytałem. — Brat Hilario mówił mi wiele o was i sądziłem, że jesteście gościnni.

— W mojej chacie łatwo o febrę.

— Ja nie boję się febry.

— Chwyciłaby pana niezawodnie, bo pan w tym kraju obcy.

Znowu więc wygadał się niebacznie.

— Skąd wiecie, że jestem obcokrajowcem?

Nie stropił się tym pytaniem i odrzekł:

— Wygląda señor na obcego.

— Muszę zauważyć — rzekłem — że macie bardzo kiepski wzrok. Ale mniejsza o to. Ponieważ nie zgadzacie się, byśmy zanocowali w waszej chacie, musimy znaleźć sobie inne na nocleg miejsce. Znacie okolicę dobrze, nieprawdaż?

— Znakomicie! Mogę panom wskazać wygodne schronienie nieco dalej, w górze rzeki.

— Daleko?

— Możemy tam być za pół godziny.

Nie zdawał sobie oczywiście sprawy, jak ważne były dla nas wiadomości, których w tej chwili udzielił. Doradzał nam schronienie w górze rzeki, a więc można się było domyślić, że nasi przeciwnicy znajdowali się poniżej. Z zapowiadanej pół godziny mogło się zrobić kilka wielkich godzin. Odprowadziłby nas daleko i uniemożliwił zetknięcie się z bolarzami, którzy tymczasem mogliby się spokojnie przeprować przez rzekę.

— Może byśmy się wybrali tam zaraz? — zapytał. — Już późna noc.

— Jeszcze tu trochę posiedzimy, bo chciałbym dowiedzieć się od was pewnych rzeczy. Czy długo polowaliście?

— Bardzo długo.

— Kiedy wyszliście z chaty?

— Raniutko.

— Ale od tego czasu byliście w domu kilka razy?

— Nie byłem wcale.

Tym zaprzeczeniem chciał pocziwiec zapewnić sobie „alibi” na wypadek, gdyby mu było potrzebne. Widocznie nie przypuszczał, że byliśmy już w jego chacie, a ponadto fakt, że nie mieliśmy koni, mógł zwrócić jego uwagę.

— Nie wiecie więc, kto był dzisiaj u was? — pytałem dalej.

— Nie. Dowiem się o tym po powrocie.

— Bardzo mi na tym zależy, aby wiedzieć, czy byli dzisiaj w waszym domu ludzie, z którymi chcemy się spotkać.

— Zapytam Dayi i powiem wam o tym. A co to mają być za ludzie?

— Żołnierze.

— Nie było ich u mnie.

— A skąd wiecie o tym, skoro od rana nie byliście w domu?

— Mogę tak przypuszczać, bo chatka moja jest tak ukryta, że znaleźć ją bardzo trudno. Zresztą zapytam Dayi.

— Tak, tak, zapytajcie. Czy słyszeliście kiedyś nazwiska Monteso i Cadera?

— Nie. Ale dlaczego mnie pan o to wszystko pyta?

— Wiadomości te są dla mnie bardzo ważne. Ale się już dowiedziałem tego, co mi było potrzebne, i tylko proszę mi odpowiedzieć na jedno jeszcze pytanie: kto wam kazał strzelać do człowieka, który nosi skórzane ubranie?

— Nikt mi tego nie kazał. Stało się to tylko wskutek pomyłki... Proszę mi wierzyć.

— Wierzę i nie mam do was żalu, że mnie chcieliście zabić.

— Nie ma pan więcej pytań?

— Skończyłem.

— Więc chodźmy, bo zrobiło się bardzo późno.

— Dobrze, pójdziemy tam, gdzie nam radzicie, ale chcielibyśmy przedtem kupić od was zdobycz, którą dziś upolowaliście. Nieźle wam za nią zapłacimy.

— Nie mogę jej sprzedać, señor — odparł z zakłopotaniem.

— Dlaczego?

— Bo to mięso nie dla was. Europejczycy nie jedzą świnek wodnych.

— A kto wam powiedział, że jestem Europejczykiem?

— Przecież to można od razu poznać.

— Mój kochany, zadziwiasz mnie bystrością swojego wzroku, przed którym nie ma żadnych tajemnic. Chcę kupić świnę wodną, czy sprzedacie mi ją?

— Sam potrzebuję mięsa — odparł po krótkim namyśle.

— Jest was tylko dwoje — rzekłem. — Nie zjecie całej świnki, która waży co najmniej cetnar^{*}. Zresztą odstawcie nam tylko część. Wszak byłoby wam chyba przykro, gdyby życzliwy wam brat Hilario cierpiał głód.

— Tak, ale mogę wam dać ryb, które Daya złowiła. Mięso świnki nie dla wielebnego dobrodzieja.

— A jednak żądam, abyście tu natychmiast przynieśli ową zwierzynę.

— Ha, jeżeli już chcecie koniecznie, to pójdę po nią.

To, rzekłszy, oddalił się szybko.

— Nigdy bym się nie spodziewał po tym człowieku — zauważył brat Hilario — że zechce nas okpić.

— Ale w dobrej wierze — odparłem. — Dla naszego dobra. Nieprzyjaciele nasi znajdują się niedaleko stąd, na lewo od nas.

— Skąd pan wie?

— Powiedział mi o tym Indianin.

— Kiedy? Nie słyszałem.

— Pytania moje były tego rodzaju, że z odpowiedzi należało tylko wyciągnąć właściwe wnioski. Petro nie zabił świnki.

— Więc sądzi pan, że skłamał?

— Z pewnością. Zresztą zobaczy brat dobrodziej, że wcale jej nie przyniesie.

— Musi się jednak w jakiś sposób usprawiedliwić.

— Toteż wymyśli nową bajkę. Wróci i powie nam na przykład, że w pobliżu jest jaguar.

— W takim razie posądziłbym go o to, że jest stronnikiem naszych wrogów.

— Owszem, ale i naszym na razie. Waha się jeszcze, po której stronie stanąć. Kto da więcej za usługi.

— Bolarze z pewnością obiecali mu złote góry, więc chętnie będzie im służył.

— I ja tak sądzę. Aby jednak nasza szala nie była zbyt lekka, użyję groźby...

Przy tych słowach spostrzegłem wracającego Indianina, więc zamilkliśmy.

Stało się, jak przypuszczałem. Nie przyniósł ze sobą nic, a na moje pytania, gdzie zwierzyna, odrzekł, udając niezwykły przestrah:

— Señor, nie myliłem się, ostrzegając was przed niebezpieczeństwem. Jaguar kręci się w pobliżu.

— Nic nas nie obchodzi jaguar! Dlaczego nie przynieśliście świnki?

— Bo mi ją zjadł ten drapieżnik i cieszę się nawet z tego, gdyż zgłodniały napadłby na nas niezawodnie. Dla pewności jednak uciekajmy stąd co prędzej!

— Nie ma potrzeby uciekać. Jaguar twój obżarł się świnia i będzie spał całą noc spokojnie.

— Ba, ale i samica jego jest tu niedaleko.

— Zapewniam was, że jaguar był na tyle uprzejmy, iż podzielił się zdobyczą ze swą małżonką.

— Pan jest naprawdę zuchwały!

— Nie świadczy to o zuchwalstwie, a jedynie o tym, że nie dam się nastraszyć wówczas, gdy nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

— Jak pan chce — mruknął, siadając niechętnie. — Ja umyвам ręce, jeżeli stanie się nieszczęście... A stanie się ono, jeśli natychmiast nie opuścimy tego miejsca.

^{*} Jednostka masy równa stu, a w niektórych krajach (np. w Ameryce, Anglii, Danii) pięćdziesięciu kilogramom.

— Owszem, możemy pójść stąd zaraz, ale nie w górę rzeki, lecz w dół, gdzie możemy znaleźć nie tylko nocleg, ale i wyborną wieczerzę.

— Gdzie? U kogo?

— U majora Cadery.

— Nie rozumiem pana.

— Bardzo możliwe, ale ja was bardzo dobrze rozumiem, Piotrze Aynas! Jesteście naprawdę złym i niegodziwym człowiekiem!

— Ja? A skąd to panu przyszło do głowy nazywać mnie niegodziwym człowiekiem?

— Z powodu waszych kłamstw.

— Myli się señor! Kłamliwe słowo nigdy z ust moich nie wyszło.

— Tak? A czy nie mówiliście przed chwilą, że was cały dzień w domu nie było, chociaż tam byliście?

— Przez cały dzień nawet na chwilę do chaty nie zająrzałem.

— Nawet wówczas, gdy major przysłał po was posłańca?

— O tym nic nie wiem — odparł zaniepokojony.

— Przypomnijcie sobie! Był u was człowiek z długą lancą. Wyszliście z nim, aby Daya nie słyszała, o czym będziecie mówili.

— Señor... ja... ja nic o tym nie wiem... Nie byłem w domu od rana.

— Przypomnijcie sobie dobrze, czy nie byliście na krótko przed zmierzchem, gdy wasza żona przysłała z rybami. Sami je wpuściliście do kałuży.

— Señor!...

— No! Zapomnieliście a tym?

— Nie byłem w domu... nie widziałem żadnych ryb.

— A jednak obiecywaliście je zamiast świnki.

— Tak... żartowałem tylko...

— Bądźcie jednak na przyszłość ostrożniejsi, udzielając odpowiedzi.

— Żadnej nieostrożności nie popełniłem... Nic ważnego nie powiedziałem...

— Owszem, powiedzieliście nam, że major Cadera rozłożył się obozem w pobliżu nad rzeką.

— To nieprawda!

— Ba! Ja twierdzę inaczej. Powiedzieliście również, że bolarze będą tej nocy w waszej chacie, a ponieważ chcecie uchronić nas przed ich napadem, radziliście nam przenieść się stąd w bezpieczne miejsce. Czy nie tak?

— Nie!

— Możecie mnie okłamywać spokojnie, bo jestem tu obcy, ale czy godzi się okłamywać również brata Hilaria?

— Ja... ja nie mogę inaczej...

— Owszem, człowiek uczciwy nie tylko może, ale powinien mówić zawsze prawdę.

— Nie, nie! Ja nic nie wiem... Dajcie mi już spokój!

— Utrzymujecie więc, że wszystko, co powiedzieliście, jest prawdą? Dobrze. Pamiętajcie jednak, że jeśli nie przyznacie się do wszystkiego, nie będę już dla was taki łagodny. Ostrzegam po raz ostatni!

— Nie ma pan przed czym ostrzegać, bo powiedziałem prawdę.

— Dobrze! Czy widzieliście już kiedyś coś podobnego? — zapytałem, pokazując Indianinowi rewolwer.

— Widziałem, señor!

— Otóż strzeżcie się, bo...

— Pan mi grozi... Ale brat Hilario nie pozwoli zrobić mi krzywdy...

— Owszem pozwoli, bo okłamaliście go tak samo jak mnie.

— Pomimo to nie zlekąnę się pańskiego rewolweru. Moja broń groźniejsza od niego!

— Dotychczas tak, ale teraz już nie!

Miedzy jednym a drugim zdaniem szarpnąłem go za szmatę, która była jego pasem, i odrzuciłem ją na bok wraz z nożem i kołczanem napełnionym zatrutymi strzałami.

— Señor...!

Porwał się z miejsca, by chwycić wydartą mu broń, ale w tym momencie powaliłem go na ziemię i przygniotłem kolanami.

— Puść go, señor, bo się udusi! — wołał brat Hilario, chwytając mnie za ramię.

— Nic mu się nie stanie.

— Puść! Ręczę za niego. Nie chciał nam przecież zrobić nic złego.

— Cenię bardzo twoją porękę, bracie Hilario, ale przywykłem sam sobie zapewniać obronę przed wrogiem.

— Ale może to pan uczynić, nie dusząc tego biedaka.

— Powiedziałem, że mu nic złego nie uczynię, tylko zwiążę ręce na grzbiecie... A właściwie uczyni to señor Monteso.

Rzekłszy to, zwróciłem się do estancjera:

— Proszę, oto moja chusteczka!

I przyłożyłem lufę rewolweru prawie do ust Indianina, Monteso zaś związał mu ręce w tyle.

— Ratujcie, bracie Hilario! — błagał Indianin, nie mogąc oprzeć się przemocy. — Ten Europejczyk to okropny człowiek.

— Skąd wiesz, że jest on Europejczykiem?

— Tego nie mogę powiedzieć.

— Czy przysięgłeś komu, że tego nie wyznasz?

— Nie przysięgałem, ale dałem słowo.

— Nie powinno się dotrzymywać słowa w sprawach niesłusznych i zbrodniczych.

— Wiem jednak, że ten cudzoziemiec jest mordercą, złodziejem i rabusiem.

— To wszystko kłamstwo.

— Chciał podstępnie wydać Urugwaj w ręce Brazylii.

— Powtarzam ci, że to kłamstwo. Czyżbyś wierzył opryszkom, a nie mnie?

— Nie mieli oni powodu mówić mi nieprawdy. Zresztą sam brat dobrodziej dał się podejść temu człowiekowi.

— Mylisz się. Cudzoziemca tego znam lepiej niż ciebie. Zamierza on zwiedzić kraj i czas jakiś spędzić wśród Indian. Jest im życzliwy i wiezie dla nich podarki. Okłamano cię bezczelnie, Piotrze Aynas. Ci właśnie, którzy tyle głupstw o nim naopowiadali, są zbójami i mordercami.

— Czy to być może?

— Wiesz przecież, Petro, że ja nie kłamię. Wszak są to jeźdźcy. Prawda?

— Tak. Było ich około pięćdziesięciu i prowadzili ze sobą dużo koni luzem.

— Otóż te właśnie konie zrabowali oni ranczerowi, spaliwszy mu przedtem dom i całe mienie.

— To zbrodnia wołająca o pomstę!

— Tak, mój drogi. Czy zbóje ci mieli ze sobą jeńców?

— Z początku mieli tylko dwóch, ale dzisiaj przyprowadzili więcej.

— Otóż ci dwaj to brat i syn tego oto señora, który siedzi koło mnie. Ujęto ich, by wymusić okup. Tego cudzoziemca zaś schwytali również i bez żadnego powodu chcieli rozstrzelać. A dokonaliby tej zbrodni, gdyby się im nie wywinął. Są to więc najpospolitsi złoczyńcy i ścigamy tych łotrów, by wydrzeć z ich rąk nieszczęsnych jeńców.

— I brat czcigodny bierze udział w pościgu?

— Tak, Piotrze!

— Teraz całą sprawę widzę zupełnie inaczej. Wierzę, że ten cudzoziemiec jest człowiekiem uczciwym i że jeńcy również nie są zbrodniarzami, gdyż czcigodny i świątobliwy brat nie spieszyłby z pomocą złoczyńcom.

— Czy więc nabrałeś już do nas zaufania.

— Tak. Rozwiążcie mi ręce. Jestem na wasze usługi.

— I nie wystąpisz przeciwko nam?

— Przyrzekam, iż będę wam przyjacielem i uczynię wszystko, czego ode mnie zażądacie.

— No, dobrze. Jesteście wolni — rzekłem, rozwiązując mu ręce. Podniósł się, podał mi dłoń przyjaźnie i rzekł:

— Dziękuję, señor! Strzelałem do pana bez skutku, a pan omal mnie nie zadusił, rachunek więc między nami wyrównany.

— O, jeszcze nie! Wyście mnie chcieli zabić naprawdę, a ja was chwyciłem za gardło jedynie dlatego, byście nie wołali o pomoc.

— Jeżeli więc winienem co jeszcze, to proszę o przebaczenie.

— Chętnie przebaczam i mam nadzieję, że naprawicie błąd stwierdzając, że major istotnie znajduje się niedaleko.

— O dziesięć minut drogi stąd.

— Czy rozstawił strażę?

— Tak.

— Ale patroli nie wysłał?

— Nie. Dopóki nie usłyszą mojego sygnału, możemy być pewni, że nic nie uczynią.

— Skoro więc jesteśmy bezpieczni, powiedzcie nam, w jaki sposób ci zbóje pozyskali was do współpracy.

— Był u mnie przed tygodniem pewien señor i pytał, czy nie ma tu w pobliżu promu.

— Na cóż mu była potrzebna ta wiadomość?

— Nie wiem. Pytał, czy znam dobrze okolice nadrzeczne, a gdy potwierdziłem, zaczął wypytywać, czy tędy nie płyną tratwy i w którym miejscu prąd znosi je najbardziej do brzegu.

— Czy jest tu takie miejsce?

— Jest. Poniżej stąd woda rwie tak wartko, że przeprawa tamtędy możliwa jest tylko we dnie i dlatego spóźnieni flisacy zatrzymują się przed owym miejscem aż do rana.

— Czy przystań ta jest niedaleko stąd?

— Niedaleko. Właśnie tam obozują teraz bolarze.

— Czy ma ona jakąś nazwę?

— Tak. Obok jest półwysep, który się nazywa Península del Jacare*.

— Nie „del Crocodilo”?

— Półwysep Krokodyli znajduje się powyżej.

— Więc zaszło nieporozumienie, bo myśmy słyszeli, że zbóje zatrzymają się na Península del Crocodilo.

— Widocznie ten, który to mówił, uważał, że to wszystko jedno.

— To szczególne, że dwa miejsca, sąsiadujące prawie ze sobą, nazywają się tak podobnie.

— Península del Jacare sięga niemal środka rzeki, a w zatoce znajdują się całe gromady aligatorów. Półwysep Krokodyli zaś nazywa się tak dlatego, że jest bardzo wąski i swym kształtem przypomina tę bestię.

— Ale półwysep ten wiąże się z jakąś tajemnicą, którą wy znacie?

— Skąd pan o tym wie?

— Mówiono mi, że o owej tajemnicy niechętnie wspominać.

— Tak i mam swoje powody, by jej nie zdradzić przed nikim.

* Półwysep Aligatorów.

— Ja zaś nie chcę jej wam wydzierać i obecnie idzie mi o tamten drugi półwysp. Czy wiecie, dlaczego ów obcy człowiek wypytywał przed tygodniem o flisaków?

— Tak, ale dowiedziałem się o tym dopiero dzisiaj.

— A przez ten cały czas nie zaszło tu nic szczególnego?

— Nie. Dopiero dziś rano przybył znowu ten człowiek na koniu tak zmęczonym, że biedna szkapa ledwie na nogach się trzymała. Puścił ją więc, aby się popasała, a usiadłszy na brzegu rzeki, przypatrywał się tratwom i statkom, które przepływały tamtędy.

— Czy mówił wam co?.

— Opowiadał, że Latorre wysłał wkrótce oddział konnicy, która w tym miejscu musi się przeprawić przez rzekę. Oddział ten prowadzi ze sobą bardzo ważnych jeńców. Prosił mnie też, abym uczynił, co będę mógł, aby ułatwić tę przeprawę, i abym miał na oku całą okolicę ze względu na bezpieczeństwo wojska.

— I zgodziliście się na to?

— Nie zgodziłem się, bo mnie to nic nie obchodziło. Zresztą byłem zmęczony i poszedłem do chaty odpocząć. Ale po południu przyszedł do mnie żołnierz z poleceniem, abym się stawił przed majorem, który rozłożył obóz na Półwyspie Aligatorów. Kiedy tam przybyłem, major dał mi sztukę złota i polecił, bym uważał na okolicę, a w razie ukazania się tu jakiś podejrzanych ludzi miał ich na oku.

— A kto wam kazał strzelać do mnie?

— To nie major. Kto inny wydał mi takie polecenie... Opowiadał mi, że jeden z jego ludzi podsłuchał jakiś włóczęgów, którzy mieli zamiar szukać czegoś na Półwyspie Krokodylim.

— Dlaczego zależy wam na tym, aby przeszkodzić tym poszukiwaniom?

— Bo mi to z pewnych względów nie odpowiada.

— Ach, tak? Rzeka w tym miejscu stanowi granicę i domyślam się, że jesteście przemytnikiem. To jest właśnie wasza tajemnica.

— Mógłbym odpowiedzieć tak lub nie i nic by panu z tego nie przyszło, bo nie zna señor tutejszych stosunków. Aby jednak nie Podejrzał mnie pan o nieuczciwe sprawy, powiem mu, że tajemnicę zachowuję jedynie dlatego, aby nie stracić czegoś, co się na tym półwyspie znajduje.

— A skąd major wie o waszej tajemnicy?

— Nad tym i ja się zastanawiałem. Bardzo możliwe, że wygadałem się z czymś nieopatrznie przed jego posłańcem, a reszty sam się domyślił.

— Czy major mówił, że i ja należę do owych włóczęgów?

— Tak. Powiedział, że señor jest ich hersztem i że zna pan moją tajemnicę. Major opisał mi pana tak dokładnie, że poznałem go od razu pomimo nocy. Mówił mi też, że jeden z pańskich towarzyszy będzie ubrany po zakonnemu. Nie wiedział tylko, ilu ludzi będzie pan miał ze sobą. A przybycia pańskiego spodziewał się jutro lub pojutrze.

— Sprytny jest ten opryszek! Spodziewał się, że będę go ścigał, i wymyślił bajkę, aby was wrogo dla mnie usposobić.

— Teraz to i ja tak myślę. Dziś przez cały dzień chodziłem od jednego półwyspu do drugiego i wypatrywałem, czy nie pojawili się zapowiedziani przez majora zbóje. Kiedy po raz kolejny znalazłem się na Półwyspie Krokodylim, spostrzegłem was w świetle księżyca i poznałem pana, czyli owego herszta bandy włóczęgów, która zamierzała mnie obrabować, a przy tym działała na rzecz Brazylii, pomagając zdrajcom ojczyzny.

— Jesteście widocznie bardzo lojalnym poddanym.

— Takim, jaki powinien być każdy człowiek dla kraju, w którym mieszka.

— Nienawidzicie zapewne Brazylii?

— Oczywiście. Przeżyłem tam straszne lata.

— Wspominaliście o tym majorowi?

— Tak, bo mnie wypytywał, do której partii politycznej należę.

— Przebiegły człowiek z tego majora. Wyzyskał waszą nienawiść do Brazylii przeciwko mnie. Ale mówcie dalej.

— Chcąc zabić pana, chwyciłem strzałę i, wsadziwszy ją do rury, wycelowałem w samą twarz, ale się przeliczyłem, bo strzała trafiła poniżej, w pierś pańską, i temu tylko zawdzięcza señor ocalenie. Szczęście pańskie, że się tak stało.

— I wasze szczęście również, bo zanim bym skonał, was trafiłaby moja kula.

— To niemożliwe, bo señor nie wiedział, gdzie jestem.

— Owszem. Popatrzcie na ten wąski krzak, który wystaje z trzciny.

— Widzę.

— Tam bym wycelował.

— Dios! Zza tego krzaka właśnie strzelałem.

— Wiem o tym. Poznałem to z kierunku i świstu waszej strzały. Zresztą i bez tego widziałem was dobrze. Czekaliście chwilę, patrząc co się ze mną stanie.

— Istotnie. Widzę z tego wszystkiego, że przed panem trudno się ukryć i trudno cokolwiek zataić! Pan jest strasznym człowiekiem!

— Czy major mówił wam coś o mnie?

— Radził mi, bym się strzegł pana i nazywał pana diabłem.

— Mówił tak, bo dałem mu ku temu powody. A więc nie żałujecie teraz, że mnie nie zabiliście?

— Och, to całe szczęście! Przestraszyłem się, słysząc potem znane mi gwizdnięcie, gdyż od razu przyszło mi na myśl, że skoro z panem jest ktoś z moich znajomych, to nie może pan być tym, za kogo go miałem.

— A więc między nami rachunki wyrównane i teraz możemy przystąpić do rzeczy. Co to za ludzie, których major dzisiaj pojmał?

— Flisacy. Przybyli tu oni wczoraj pod wieczór na tratwie i zatrzymali się u brzegu, aby przeczekać do rana i skoro świt przepłynąć przez niebezpieczne wiry.

— Dziwne to, że uciekł się aż do gwałtu, mógł przecież się z nimi jakoś dogadać. Ustalić cenę.

— Tu jednak nie o zaPłatę chodziło, ale o czas. Major nie wie jeszcze, kiedy będzie mógł się przepłynąć na drugi brzeg, i dowie się o tym dopiero wówczas, gdy wróci wysłany przezeń posłaniec. Do chwili jego powrotu chciał major flisaków zatrzymać, a że nie chcieli czekać nie wiadomo jak długo, major zatrzymał ich przemocą.

— Czy są wśród flisaków jacyś obcokrajowcy?

— Jest dwóch.

— Z jakiego kraju?

— Nie wiem. Rozmawiali z majorem trochę po hiszpańsku, a trochę w innym jakimś języku, którego nie rozumiałem.

— Jak byli ubrani?

— Na niebiesko, jak marynarze. Jeden miał kapelusz z tak szerokim rondem, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem, i właśnie ten stawiał się najbardziej. Obaj zaś bronili się ostro i wielu bolarzom dostało się od nich.

— Zuchy! Postaramy się ich uwolnić.

— Niepodobna!

— Nie będzie to nawet trudne. Dwóch poprzednich jeńców i ośmiu nowych to razem dziesięciu, nas jest ośmiu, w sumie więc mamy osiemnastu ludzi. Wy jesteście dziewiętnasty.

— Tak, ja będę dziewiętnasty.

— Sądzę, że damy sobie radę z tymi pięćdziesięcioma drabami nie przygotowanymi wcale do walki. Wy zaś nie będziecie żałowali fatygi...

— O tak! — wtrącił estancjero. — Jeżeli tylko uda się nam uwolnić mego brata i syna, to dostaniecie nie jeden, ale dziesięć dukatów.

— Señor! Istotnie otrzymam dziesięć dukatów? — zapytał Indianin, a z oczu omal nie posypały mu się iskry.

— Tak, wypłacę wam nawet dwadzieścia dukatów.

— Ale pod warunkiem — wtrąciłem żywo — że będziecie się stosowali do moich wskazówek.

— Zastosuję się, señor, jak najskrupulatniej.

— Dobrze. Być może, iż wy właśnie odegracie główną rolę w całej tej sprawie i wówczas dostaniecie jeszcze coś na dokładkę. A teraz proszę mi powiedzieć, jak duży jest ów Półwysep Aligatorów?

— Ma on szerokości ze dwieście kroków i tyle samo długości.

— Czy jest pokryty lasem?

— Tak, same wysokopienne drzewa. Krzaków tam nie ma, bo flisacy ciągle je karczują, aby mieć wygodne miejsce na noclegi.

— Gdzie rozstawione są stráže?

— U nasady półwyspu stoi czterech, co pięćdziesiąt kroków jeden od drugiego. Nikt więc nie mógłby przedostać się tam niepostrzeżenie... chyba moja Daya, ona potrafi przeczołgać się lepiej od węża.

— I ja to potrafię — odparłem. — Dlatego też sądzę, że...

— Pan umiałby tam się dostać? — przerwał mi Indianin. — To niemożliwe! Nie uwierzę w to, dopóki nie zobaczę.

— Możesz być pewny, Piotrze, że ten señor potrafi zrobić to lepiej od Dayi — potwierdził brat Hilario. — Nie będzie nam ona potrzebna.

— Czy palą na półwyspie ognie? — pytałem dalej.

— Rozpalają dwa wielkie ogniska, przy których pieką mięso.

— Mięso ze skradzionych wołów. A gdzie umieszczeni są jeńcy?

— Poprzywiązywano ich do drzew, ale w sporej od siebie odległości, aby się porozumieć nie mogli. Zdaje mi się, że major zamierza umieścić ich na tratwie i postawić podwójną straż, to zaś byłoby dla nas mniej pomyślne.

— Tak z lądu, jak i z tratwy trudno ich będzie wydostać i tylko przy sprzyjających okolicznościach zdołamy tego dokonać. Aby zaś wywnioskować, jakie to mogą być okoliczności, muszę sam udać się na miejsce i zbadać wszystko osobiście.

— To niebezpieczne, señor. Zobaczą pana i pochwycą.

— Nie zechce im się chwytać człowieka, który ma dwa rewolwery z dwunastoma kulami.

— Ale ich jest pięćdziesięciu, a do tego księżyc świeci tak jasno, że można by dostrzec nawet przemykającego węża.

— Nie zobaczą mnie pomimo księżyca, bo moje jasne ubranie nie rysuje się zbyt wyraźnie na tle trzciny.

— Nie mogę wprawdzie narzucać panu swojego zdania, ale radziłbym nie porywać się na to przedsięwzięcie, bo zaszkodzi pan i sobie, i jeńcom.

— Dobrze, dobrze. Zaprowadźcie mnie do miejsca, skąd można rzucić okiem na półwysep.

— Pan rozkazuje, ja słucham. Ale zrobiłem swoje: ostrzegłem pana.

Moi towarzysze również usiłowali mnie przekonać, że zamiar ten oznacza szukanie pewnej śmierci, jednak ja postanowiłem wykonać go natychmiast. Indianin, któremu mimo wszystko nie bardzo ufałem, poprowadził mnie ku zatoce między półwyspem Krokodylim a Aligatorów, stąd odesłałem go z powrotem, a sam, ukrywszy się za krzakiem mimozy, zacząłem się rozglądać dokoła. Tratwy po tej stronie nie było, a więc należało jej szukać po stronie przeciwnej. Półwysep wyglądał jak zbita masa roślinności, wyłaniająca się ze zwierciadła wody. Ludzi nie mogłem dostrzec, tylko światło dwu ognisk przedzierało się ku mnie spomiędzy drzew i zarośli.

Rozejrzawszy się, zauważyłem przed sobą dwie ścieżki: jedna prowadziła na prawo wzdłuż brzegu, druga zaś równoległe do niej przez krzaki. Wybrałem tę ostatnią, gdyż wydała mi się bezpieczniejsza.

Uszedłem ze sto kroków bez żadnej przeszkody i nie zachowując zbytniej ostrożności, gdyż draby, których już przecież miałem okazję poznać, byli głusi i ślepi na wszystko i wierzyli tylko w fizyczną swą siłę.

Nagle spostrzegłem o jakieś trzydzieści kroków od siebie jednego z nich, opartego o pień drzewa. Był to pierwszy posterunek.

Odtąd przypadłem do ziemi i zacząłem się czołgać, mijając kolejno wszystkie stráže, rozstawione w taki właśnie sposób, jak opowiadał Indianin.

Pozostało mi przedostać się jeszcze przez strzeżoną przez nich linię, ale to już było zbyt ryzykowne, i wolałem na razie poczołgać się dalej, aż do drugiej zatoki, gdzie uwiązana była na dwóch linach spora tratwa. Na środku jej stała buda, koło której spostrzegłem dwie postacie. Po chwili jedna z nich skierowała się ku końcowi tratwy, który dotykał brzegu. Domyśliłem się, że ów ktoś chciał wyjść na brzeg, i postanowiłem wykorzystać tę okoliczność. Podbiegłem więc szybko ku brzegowi w to miejsce, w którym stykała się z nim tratwa, i ukryłem się wśród rosnącej tu wysokiej trzciny, czekając z zapartym oddechem na ową postać, by ją schwytać, gdy zejdzie na brzeg. W parę sekund później stwierdziłem, ku wielkiej swej radości, że postacią ową jest... major Cadera we własnej osobie! Wyszedłszy na ląd, przypomniał chyba coś sobie, gdyż zwrócił się do pozostawionego na tratwie człowieka i rzekł:

— Jeńców trzeba poprzywiązywać do kłoców tratwy i muszą tak przeleżeć do rana. Ty będziesz miał nadzór nad wartą. Tylko pamiętaj, że gdyby choć jeden z jeńców uciekł, dostaniesz kulę w łeb! Powiedz to również strażom, które taki sam los czeka w razie zniknięcia jakiegoś jeńca.

W tej chwili owładnęła mną szalona myśl: a gdyby tak schwytać majora? Z półwyspu nie spostrzeżono by tego od razu, bo miejsce, w którym stał Cadera, znajdowało się za drzewami. Jedynym świadkiem mógł być ów człowiek na tratwie, ale był on w tej chwili odwrócony od nas i czymś zajęty przy budzie. Nie namyślając się długo, jak błyskawica wyskoczyłem z ukrycia i stanąłem tuż za plecami majora. Obrócił się nagle i w świetle księżyca ujrzałem jego twarz. Wychudłe policzki pokrywała chorobliwa bladość. Wyglądał raczej na poruszającego się trupa niż na żyjącego człowieka, wobec czego uznałem, że zbyteczne byłoby ogłuszanie go uderzeniem pięści. Major, zobaczywszy mnie, oniemiał i z otwartymi ustami patrzył przerażony.

W mgnieniu oka zarzuciłem na niego lasso i obezwładniłem bez oporu. Tak wystraszonego człowieka nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy widzieć.

— Ani słowa, majorze! — szepnąłem mu do ucha — gdyż w przeciwnym razie utopię nóż w pańskim sercu. Widzę, że sprawił pan sobie inny surdut... Niestety, muszę go panu zniszczyć, bo potrzebna mi szmata do sporządzenia knebla.

Przy tych słowach oderwałem majorowi klapę od surduta i zawiązałem mu starannie usta, przy czym nie usłyszałem najmniejszego protestu z jego strony. Dziwiłem się niejednokrotnie później, dlaczego człowiek ten nie bronił się wówczas ani nie uciekał. Przecież jeden tylko skok, skok na tratwę, mógłby go uratować. Dopiero kiedy miał skrępowane ręce i zakneblowane usta, gdy mu jeszcze, nakazując spokój, błysnąłem nożem przed oczami, ożywił się nagle, zrozumiałszy swoje smutne położenie, i począł się gwałtownie szamotać. Aby go uspokoić, zmuszony byłem uciec się do bardziej radykalnego środka: ukłułem go nożem w ramię, puszczając nieco krwi. Nie szło mi jednak o barbarzyńskie pastwienie się nad bezbronnym, ale o własne bezpieczeństwo, gdyż opór ze strony jeńca mógłby zwrócić czyjąś uwagę i wywołać zgubny dla mnie alarm. Operacja poskutkowała znakomicie i major, prowadzony przeze mnie, szedł tam, gdzie go ciągnąłem, czyli w przeciwną półwyspowi stronę. Ponieważ jednak trzeba było ominąć rozciągające się tu bagnisko i zmuszony byłem

przekradać się ze swym jeńcem w pobliżu obozu, szabla zaś jego pobrzękiwała zdradziecko, więc przeciąłem podtrzymujący ją rzemień i rzuciłem w trzcinę. Gdy jakieś czterdzieści kroków dzieliło nas od linii straży pilnujących półwyspu, major szarpnął się, chcąc mi się wyrwać, ale go przytrzymałem, ostrze noża zaś przypomniało mu znowu o posłuszeństwie, o bliskości obozu świadczyła unosząca się w powietrzu woń przypieczonego mięsiwa i słyszałem nawet, jak ktoś niedaleko wołał:

— Holla! Pieczeń gotowa!

Takie swobodne zachowanie się ludzi, którzy bądź co bądź nie mieli czystego sumienia i mogli spodziewać się lada chwila pościgu, dowodziło absolutnego braku karność. Mogłem więc przypuszczać, że i strażnicy zejną z posterunków, aby wziąć udział w wieczerzy. I nie myliłem się. Na ów okrzyk, pobudzający ich apetyt, wszyscy czterej pobiegli do ognisk, przy czym jeden tylko wziął ze sobą karabin, towarzysze zaś jego pozostawili broń na stanowiskach i oto błysnęła mi nagle myśl, nad którą nie zastanawiałem się nawet chwili. Związałem majorowi nogi jego własnym paskiem od szabli, ułożyłem go na ziemi i pobiegłem na półwysep.

Przy ogniskach jeden przez drugiego tłoczyli się ludzie, aby jak najprędzej otrzymać swoją porcję mięsiwa, przy czym nie zachowywano najmniejszego porządku ani kolei. Popychania, grubiańskie żarty i przekleństwa jeszcze bardziej utwierdziły mnie w przekonaniu, że z tym bezładnym stadem ludzkim nie bardzo liczyć się trzeba. Dotarłem spieszenie do miejsca, w którym leżeli jeńcy, i przeciąłem najbliższym dwóm więzy, dając znak, by podążyli za mną. Trzeba było się spieszyć, więc nie patrzyłem na ich twarze i tylko po chwili, obejrzwawszy się, spostrzegłem, że mają ze sobą karabiny; widocznie zabrali je spod drzew tym strażnikom, którzy pobiegli do ogniska po swoje porcje mięsa.

— *Heigh day! Rue alagria!* — szepnął za mną po angielsku i po hiszpańsku jeden z oswobodzonych. — To było znakomite! Widziałem, jak señor zbliża się do nas, i domyśliłem się od razu, że jest pan naszym zbawcą. Przy sposobności zabraliśmy warcie karabiny. Dokąd idziemy, sir? Kim pan jest? Komu mamy być wdzięczni?

Zaintrygował mnie głos mówiącego, znany mi chyba, ale że nie była to pora na gawędy, więc, odwróciwszy się, dałem znak ręką, aby się zachowywał cicho, i tylko zauważyłem, że miał na głowie kapelusz panamski z olbrzymim rondem, które kładło cień na jego oblicze.

— Cicho teraz! Za mną, a prędko! — szepnąłem.

Dopadłszy do miejsca, w którym leżał major, przeciąłem mu nożem więzy na nogach i, podniósłszy go z ziemi, pchnąłem naprzód przed siebie.

— Do diabła! — zauważył ów w kapeluszu panamskim. — Toż to generał tych drapichrustów! Niezły połów uczyniłeś, sir. Pomogę ci prowadzić tego draba.

I chwycił majora pod ramię, podczas gdy ja ująłem go pod drugie. Czas naglił, więc ponieśliśmy go niemal w kierunku kryjówki, w której pozostawiłem towarzyszy. Spostrzegłszy nas czterech i nie poznawszy mnie, bo przecież spodziewali się tylko jednego człowieka, chwycili za broń. Ale dałem znak ręką i uspokoiłem słowami:

— To ja! Nie bójcie się!

— Bogu dzięki! — rzekł braciszek, podbiegając ku nam. — A... a... kogo to senor prowadzi?

— Dwóch jeńców, którzy teraz są wolni, i jednego wolnego, który teraz jest jeńcem.

— To są ci z tratwy — zauważył Indianin.

— A ten? Cóż to? Major? — pytał zdziwiony brat Hilario.

— Tak, major — odpowiedziałem. — Zrobił nam zaszczyt i pofatygował się do nas... Oczywiście nie dobrowolnie; musiałem go związać i zakneblować mu usta, by się zbyt głośno i szeroko nie wywnętrzał.

— A więc zwyciężyliśmy! — krzyknął Monteso. — Draby muszą nam teraz oddać mego brata i syna w zamian za swego herszta.

— Nie tak głośno, senor! — prosiłem. — Musimy być ostrożni. Przypuszczam, że bandyci będą szukali tych trzech ludzi i moglibyśmy tu łatwo być odkryci. Piotrze Aynas, obmyślcie dla nas miejsce, gdzie byśmy mogli bezpiecznie rozłożyć ognie.

— Owszem, jest doskonały zakątek. Chodźmy!

I poprowadził nas przez bagniste, zarosłe trzciną, sitowiem i krzakami wertepy na suchą, okoloną drzewami i zaroślami polankę, gdzie ku wielkiej swej radości spostrzegliśmy nasze konie. Indianin przyprowadził nas tutaj, gdyż, dowiedziawszy się podczas mojej nieobecności, że przedtem byliśmy w jego chacie i powierzyliśmy Dayi swoje konie, domyślił się, że tylko tu mogła je ukryć.

Nowa nasza kryjówka znakomicie nadawała się na obóz. Dookoła polanki wznosiły się olbrzymie drzewa, których konary i listowie tworzyły wspaniały dach nad głowami, dołem zaś gęstwa krzaków stanowiła ściany. Pośrodku polany szemrał niewielki strumyk. Dla ochrony przed zjadliwymi komarami roznieciliśmy ognisko i zaledwie błysnęły pierwsze jego płomienie, przystąpił do mnie ów człowiek w panamskim kapeluszu i krzyknął:

— Heavens! Czy to możliwe? Pan Charley? Niechże pana uściskam, a prędko, bo serce omal mi z piersi nie wyskoczy.

I zdjawszy z głowy olbrzymi swój kapelusz, zaczął mnie ścisnąć tak serdecznie, jakby mi chciał pogruchotać wszystkie kości.

Można sobie wyobrazić, jak miłą niespodziankę sprawiło mi spotkanie tu człowieka, który był moim starym, dobrym znajomym. Był to kapitan Frick Turnerstick, znany wilk morski, zapalony orator, niegdyś towarzysz mej podróży do Chin.

Ucieszyłem się niewymownie z tego miłego spotkania, ale, niestety, nie mieliśmy teraz czasu na przyjacielską pogawędkę.

— Kapitanie — rzekłem — proszę siadać. Pogadamy później, gdyż w tej chwili muszę zająć się ważniejszymi sprawami.

— Ależ naturalnie — odparł. — Rozumiem dobrze, że ma pan przed sobą ważniejsze zadanie.

Oczywiście musiałem przede wszystkim zająć się majorem, którego przywiązaliśmy do pnia drzewa. Opowiedziawszy pokrótce towarzyszom, w jaki sposób udało mi się go pojmać, zdjąłem mu knebel i zagroziłem śmiercią, gdyby chciał wołać o pomoc.

— Był już pan majorze, w naszych rękach — rzekłem mu — i obiecał pan święcie, że zaniecha wszelkich względem nas nieprzyjaznych kroków. Wierząc pańskiemu słowu, oszczędziliśmy go. Złamał pan jednak dane nam słowo, musimy więc postąpić z panem tak, jak pan na to zasłużył. Piotrze Aynas, przeszukajcie mu kieszenie i odbierzcie wszystko, co ma przy sobie!

— Precz, drabie! — ryknął major, gdy Indianin sięgnął mu ręką do kieszeni.

— Ty sam jesteś nikczemnym, drabem — odciął się Indianin, wymierzając majorowi siarczysty policzek. — I kłamcą również! Teraz wiem już, z kim miałem do czynienia. Otumanieś mnie, nagadałeś niedorzeczności na tych uczciwych ludzi! Milcz teraz, bo gdy mnie jeszcze raz obrazisz, palnę cię w gębę, że ci się głowa na kawałki rozleci.

Major, miał przy sobie zegarek, portfel i sakiewkę. Zegarek włożyłem mu na powrót do kieszeni, natomiast zatrzymałem sakiewkę i portfel. Zbadawszy ich zawartość, znalazłem około osiemnastu tysięcy talarów papierowych.

— Czy nie mogłoby dwóch z was pojechać do spalonego folwarku? — zapytałem *yerbaterów*.

— W jakim celu?

— Oddać ranczerowi dwanaście tysięcy talarów od majora Cadery tytułem odszkodowania za poniesione straty.

Wszyscy *yerbaterzy* wyrazili chęć spełnienia tej misji, ponieważ jednak do jej wykonania trzeba było tylko dwóch, więc wybór ich nastąpił drogą losowania.

— Powiedźcie ranczerowi — rzekłem do tych dwóch — żeby przysłał tu natychmiast swoich gauchów po konie, które mu major zrabował.

— Przecież ich jeszcze nie mamy — zauważył Monteso.

— Ale wkrótce będziemy je mieli. Nie sądzi pan chyba, że puszczę majora, nie odzyskawszy skradzionych koni.

— Na zabranie mi koni potrzebne jest przede wszystkim moje przyzwolenie — ozwał się major gniewnie.

— To zbyt cenne — rzekłem. — Wystarczy, że ja wydam odpowiednie polecenie.

— Ale ja muszę swoim ludziom coś na ten temat powiedzieć!

— Nie! Pan musi milczeć!

— Nie zawarliśmy jeszcze ze sobą żadnej przedwstępnej ugody.

— Co pan przez to rozumie? Czyżby się panu zdawało, że istotnie będziemy się liczyli z pańskim zdaniem? Nie majorze! Pańskie słowa tyle nas obchodzą, co na przykład szmer liści albo rechotanie żab w bagnie.

— Señor! Jestem oficerem sztabowym spod komendy Latorre'a!

— Tym gorzej dla pana, bo ja należę do najzagorzalszych przeciwników Latorre'a, a więc przyznając się do jakichkolwiek z nim związków pogarsza pan swoją sytuację.

— Pomijając to, nie podoba mi się ton, jakim pan do mnie przemawia i pańskie obelżywe porównanie mnie z żabami.

— Ja pana nie pytam, co się panu podoba, a co nie. Teraz ja decyduję i rozstrzygnę wszystkie sprawy tak, jak uznam za stosowne.

— Proszę pamiętać, że w rękach moich ludzi znajdują się zakładnicy i że lada chwila może ich spotkać śmierć.

— Źle pan sobie to wyobraża. Ja sam wziąłem pana do niewoli, a przy sposobności uwolniłem jeszcze dwóch pańskich jeńców. Czy sądzi pan, że nie zdołam uwolnić pozostałych? Zobacz pan, że i to potrafię. A zresztą są tu oprócz mnie i inni ludzie, którzy również nie boją się pana i pańskiej bandy.

— Zażąda pan zapewne wymiany?

— Być może, że zwrócę panu wolność za wydanie mi *yerbatera* i jego bratanka, ale możliwe też, że uwolnię ich sam, a panu, tytułem wynagrodzenia, dam kulę w łeb, na co moi towarzysze, jak sądzę, zgodzą się bardzo chętnie.

— No, nie mamy na razie o co się sprzeczać. Zobaczymy, co będzie. Teraz jednak zaznaczam, że nie wolno panu rozporządzać moimi pieniędzmi.

— Tak? Więc to pańska własność? Przyznaje pan to wobec świadków?

— Przyznaję.

— Doskonale się składa, bo gdyby te pieniądze były własnością kogo innego, nie śmiałybym wynagradzać nimi krzywdy wyrządzonej przez pana. Skoro jednak są to pańskie pieniądze, mogę bez skrupułów wziąć z nich dwanaście tysięcy talarów i dać ranczerowi jako odszkodowanie za spalony przez pana dom i inwentarz.

— Panie! To rabunek!

— Może pan nazwać to rabunkiem, nie będę się sprzeczał. Ale ja jestem złodziejem... uczciwym, pan zaś... nikczemnym podpalaczem i koniokrądem. Aby pan jednak wiedział, że jestem uczciwym złodziejem, zwrócę mu sześć tysięcy talarów. Pan zapewne nie zdobyłby się na taki postępek... Ja zaś nie zdobyłbym się na to, aby rabować woły, rznąć je, pożerać ze swoimi ludźmi i potem nie płacić, nie zdobyłbym się również na chwytanie uczciwych ludzi po to, by następnie wymuszać za nich okup.

— Okup? Nie rozumiem. Ująłem *yerbatera*, bo razem z panem dopuścił się ciężkiej zbrodni. O żadnym okupie nie było tu mowy.

— Tak? Sądzi pan zapewne, że posłaniec pański przybył do estancji Del *Yerbatero* z żądaniem okupu już po naszym wyruszeniu w pościg za panem?

- Mój posłaniec? — zawołał, udając zdziwienie.
- Tak... i jeszcze porucznik z innym żołnierzem.
- Byli w estancji?

— Niech pan nie udaje, że nie wiedział o niczym, bo strasznie głupio wygląda pan przy tym. Oczywiście schwytaliśmy wszystkich i zamknęliśmy pod strażą do czasu, aż zabierze ich sobie oddział wojska z Mercedes i przykładowie ukarze. W procesie tym nazwisko pańskie odegra główną rolę... ba, nie tylko nazwisko, ale i osoba, gdyż mam zamiar zaprosić pana w gościnę do estancji Del *Yerbatero*... Potem odstawimy pana do Montevideo, gdzie będzie pan mógł szukać protekcji u osławionego kryminalisty Matea.

Major, słuchając tych słów, milczał i spoglądał już obojętnie, jak *yerbaterzy*, otrzymawszy ode mnie pieniądze, odjechali w stronę spalonego rancza.

Dwanaście tysięcy talarów papierowych to kapitał niewielki, ale dla pogorzelnika była to na pewno kwota nie do pogardzenia.

Indianin podjął się podprowadzić dwóch *yerbaterów* aż do miejsca, w którym poczuliby się bezpiecznie, że zaś noc była księżycowa, mogli więc jechać bez obawy.

Major wrzał ze złości, obrzucając nas wszystkich nienawistnym spojrzeniem. Aby nie słyszał, o czym rozmawiamy, poleciłem odwiązać go od drzewa i, skrepowawszy nogi, ułożyć w trawie na uboczu. Byłem jednak na tyle przezorny, że oprócz tego kazałem przywiązać go lassem do pnia.

Teraz mogliśmy się zabrać do wieczerzy, na którą zaprosiliśmy nawet Dayę, bo ją Piotr, odprowadziwszy *yerbaterów*, przywiódł ze sobą.

Towarzysz Turnersticka, tytułowany przez niego sternikiem, był roslym i barczystym zuchem, klasycznym typem marynarza. Jasne jego włosy i niebieskie oczy kojarzyły mi się z Germanami, dlatego odezwałem się doń po niemiecku:

— Dziwi mnie to, że pan, mając takie wspaniałe muskuły i potężne pięści, dał się wziąć tym drabom do niewoli.

— Co pan mówi? Ależ... Doprawdy... Nie spodziewałem się... Jestem Fryzem znad Morza Północnego i nazywam się Jan Larsen. Moje pięści... no...

Tu ścisnąwszy je, jak to czynią bokserzy, podniósł w górę. Były to pięści „uczciwe” i wątpię, czy w jakimkolwiek magazynie znalazłyby się na nie odpowiednie rękawiczki.

— Moje ręce — ciągnął — nie są wcale od parady. Tysiące razy spuszczały one i podnosiły kotwicę, a w razie potrzeby zastępowały mi szablę i karabin. Niestety, w tym wypadku nie mogłem się nimi posłużyć; napad był zupełnie niespodziewany.

Wetknął do ust potężny kęs mięsiva i umilkł. Turnerstick zaś zapytał:

— Podoba się panu ten zuch?

— Owszem. Musi być z niego tęgi marynarz i uczciwy człowiek.

— Istotnie. Ale proszę mi opowiedzieć, skąd pan się tu wziął i co pan porabiał od czasu, gdy się rozstaliśmy.

— O tym wszystkim później, kapitanie. Obecnie my musimy się dowiedzieć, w jaki sposób wpadł pan w łapy tym opryszkom.

— Całkiem po prostu. Tak samo jak mój „*The Wind*” wlałem w tę mysią norę w Buenos Aires, którą nazywają portem... Żabi staw... Byłem w Bahii i otrzymałem ładunek do Buenos Aires. Wyładowawszy się tam, chciałem wziąć nowy ładunek, że zaś słyszałem wiele o produktach stanu Rio Grandę do Sul, które spławiają Urugwajem, jak na przykład drewno, herbata paragwajska, miedź, cynk i inne minerały oraz drogie kamienie, więc aby obejrzeć je, popłynąłem parowcem aż do Salto Grande. Tu zamówiłem towary i popłynąłem z powrotem do Buenos. Przyszła mi jednak ochota poznać lepiej okolice rzeki, więc wsiadłem ze swoim sternikiem na tratwę i pięć dni płynęliśmy na niej jak muchy na liściu ogórka. Wreszcie dziś przed wieczorem zatrzymaliśmy się tutaj.

— I tu na was napadnięto?

— *Well!* Leżeliśmy w „kajucie”, to jest w budzie na tratwie, którą krajowcy nazywają *cabanna*, i najspokojniej w świecie paliliśmy cygara. Wtem na przednim pokładzie... chciałem powiedzieć, na przedniej części tratwy zaczęło się pogańskie widowisko. Wystawiłem nos z *cabanny* i, dostawszy porządnego „byka”, cofnąłem się. Był to bardzo grubiański postępek ze strony tych ludzi. *Well!* Potem przyczołgało się do nas kilku drabów, którzy oświadczyli nam, że musimy tu zostać przez kilka dni. Odpowiedzieliśmy na to odmownie... bo co komu do tego, kiedy pojedziemy. Wówczas obrzucono nas wyzwiskami. Nie chcieliśmy być dłużni, więc poczołgaliśmy się za nimi, aby oddać im tego szturchańca, którym mnie obdarzyli, i dorzucić co jeszcze na dokładkę. Ale... do stu diabłów! Myśmy myśleli, że jest ich pięciu, może dziesięciu, a tu, *prosit*, było przeszło pięćdziesięciu drabów! Nie zostawili nam czasu na przypatrzenie się ich szlachetnym obliczom, opadli nas z bolami i lassami i po długim szamotaniu pojмали. Przy tej sposobności otrzymali jednak sporą porcję kułaków, my zaś wyszliśmy z całą skórą. Skrepowano nas tylko, zawleczono na ląd i przywiązano do pni. Byśmy się tam na śmierć zanudzili, gdyby pan nas nie uwolnił, za co wdzięczność moja, sir, nie będzie miała granic! Wprawdzie sytuacja nasza nie była niebezpieczna, ale diabelnie przykra!

— A jak wygląda sprawa z pańskim mieniem? Obrabowano was?

— Nie, chociaż usiłowali. Frick Turnerstick nie jest jednak tak głupi, aby dał się oskubać pierwszemu lepszemu wagabundzie. Nie pokazałem nic. W sakiewce miałem tylko kilka papierów, które w tym kraju nazywają talarami; reszta schowana była tak, że, gdybym nie wiedział gdzie, sam bym nie znalazł. Talary oczywiście zabrali mi i niech sobie za to kupią chleba... żebraki! Ale, sir, co będzie dalej? Ja wcale nie mam ochoty siedzieć godzinami w tym bagnie i dostać febry.

— Mam nadzieję, że o świcie udacie się w drogę.

— Czy tylko banda zechce uwolnić tratwę?

— Przypuszczam, że uwolni, a jeżeli nie zechce uczynić tego dobrowolnie, zmusimy ją do tego.

— Ach, tak. Ma pan przecież majora w ręku i może się pan z nim układać. Tak, tak — zastanawiał się chwilę. — W całej tej sprawie jest jednak pewien szkopuł. Przypuśćmy, że, zwolniwszy oficera, otrzymamy w zamian jeńców oraz pozwolenie na odjazd. Ale dopóki draby nie znajdą się po tamtej stronie rzeki, poty nie będziemy bezpieczni.

— Słuszna uwaga.

— Powinniśmy więc dążyć do tego, aby opryszki jak najszybciej znaleźli się na drugim brzegu, ale możliwe by to było tylko wtedy, gdyby wykorzystali naszą tratwę. Przypuszczam, że i majorowi zależy na tym, by się stąd jak najprędzej ulotnić, ale do tego potrzebna by mu była nasza tratwa. I znowu to nieszczęsne „ale” włązi nam w drogę. Bo jeżeli wypożyczymy mu tratwę, to kto ją przyholuje z powrotem do tego brzegu? Gdybyśmy zaś dali mu i ludzi, to major może ich zatrzymać i tratwy nie odesłać. Wobec tego czy mogę pozwolić mu na to, by się przeprawił na mojej tratwie? Prawda, że gdy mu jej nie użyczę, utrudnię tym samym wasze położenie. Ale cóż mam robić!

— Może się znajdzie inne wyjście. Gdyby tak na przykład nadpłynęła jakaś inna tratwa...

— Ba, gdyby! Zresztą, do licha, może dać mu tratwę i niech go piorun trzaśnie! Zaczekamy tu, dopóki nie nadpłynie z góry jaki parowiec. W tym poczciwym kraju jest taki zwyczaj, że tylko skinąć z brzegu, a statek zatrzymuje się i zabiera pasażera z każdego miejsca.

— To byłoby chyba najlepsze, gdyż ani my, ani wy nie ponieślibyście zbytnej szkody.

— Dobrze więc, uczynię tak. Zaczekam na parowiec, a choćby na inną tratwę. A dokąd pan się stąd uda?

— To zależy od tego, jaki obrót weźmie nasza sprawa. Nie mogę bowiem zdecydować się na nic bez *yerbera*, z którym razem mamy odbyć podróż, a który jeszcze w tej chwili znajduje się w niewoli u tych opryszków.

— Czy wybieracie się może do Buenos Aires? Wprawdzie port nędzny, ale mimo to moglibyśmy spędzić ze sobą kilka przyjemnych dni.

— Moja droga prowadzi w zupełnie przeciwnym kierunku.

— Czy mogę wiedzieć, dokąd pan jedzie?

— Do Gran Chaco, a potem przez pampę do Tucuman.

— Hm! — mruknął, namyślając się. — Właściwie zazdroścę panu tej podróży. Nieraz już marzyłem o wyprawie na koniu przez pampę, ale nie miałem do tego okazji. Niestety i teraz nie mogę pozwolić sobie na tę przyjemność, bo dopóki mój „Wiatr” trzyma się kupy i dźwiga ładunek, trudno mi myśleć o przedzierzgnięciu się w półdzikiego gaucha. Interesy pędzą mnie nielitościwie do tej dziury... chciałem powiedzieć, do Buenos Aires.

— Czy zna pan język krajowy?

— Nie bardzo. Jak panu wiadomo, mówię niemal wszystkimi językami cywilizowanego świata, ale ten znam najslabiej i mocno go kaleczę. Jeździć konno i strzelać umiem za to nie najgorzej.

Przerwaliśmy dalszą rozmowę, gdyż w tej chwili właśnie powrócił ze zwiadów Indianin i oznajmił, że na półwyspie zauważono już brak majora oraz dwóch jeńców i rzucono się na poszukiwania.

— Odwiedzą zapewne i waszą chatę?

— Prawdopodobnie.

— Czy nie zechcą zajrzeć i tutaj?

— Stanowczo nie. Żaden obcy nie mógłby przejść przez te bagna, zwłaszcza w nocy.

— Wyślijcie więc Dayę do domu i gdyby się tam pojawili ci zbóje, niech powie im, że was tam wcale nie było.

Indianin wysłał żonę natychmiast. Po jakimś czasie wróciła i powiedziała nam, że przed chatą spotkała kilku ludzi z bandy i że pytali ją o męża, któremu, o ile dobrze wywnioskowała, zaczynają trochę niedowierzać. Powodem ich nieufności jest to, że od paru godzin nie pojawił się w obozie. Wobec tego Aynas zapytał mnie, czy nie byłoby dobrze, aby natychmiast udał się do nich i, mylnie poinformowawszy, skierował w inną stronę, jak najdalej od miejsca, w którym teraz jesteśmy. Na to odpowiedział brat Hilario:

— To zupełnie zbyteczne. Wszak powiedziałaś przed chwilą, że nas tutaj nie znajdują. Zresztą choćby dowiedzieli się nawet, że tu się ukrywamy i że mamy ich dowódcę w swych rękach, to i tak możemy się ich nie obawiać. Czyż nie, señor? — dodał, zwracając się do mnie.

— Zupełnie słusznie. Jestem zresztą zdania, że nawet powinni wiedzieć, iż ujęliśmy ich dowódcę. Jak jednak zawiadomić ich o tym? Chyba sam pójdę do obozu, aby ich poinformować.

— O, nie! To byłoby dla pana zbyt niebezpieczne.

— Ależ ja się ich wcale nie lękam!

— Wiem o tym, ale mimo wszystko nie wolno panu narażać się na niebezpieczeństwo. Jestem przekonany, że zatrzymaliby pana jako zakładnika, a następnie wydali za majora obydwu Montesów. Pan zaś pozostałby w niewoli.

— Ale ja się im nie dam schwytać!

— Jak by pan to uczynił? Broniłby się pan, gdyby się na pana rzucili? Otóż ja właśnie nie chcę tego. Zostanie pan tutaj, a ja pójdę do nich. Żaden z nich bowiem nie będzie miał odwagi targnąć się na „Brata Jaguara”.

— Czy brat jest istotnie pewny, że nie uczynią mu krzywdy?

— Liczę na to. A gdyby mnie nawet ujęto, nie stałoby się wielkie nieszczęście, gdyż pan, pozostawszy tutaj, dałby sobie radę; gdyby zaś pana zatrzymano, byłoby nam o wiele trudniej uwolnić jeńców. Zbóje ci zresztą nienawidzą pana, podczas gdy do mnie nie mają żadnej urazy.

Mówił tak przekonująco, że rad nierad musiałem się zgodzić na jego projekt, zwłaszcza że go wszyscy moi towarzysze poparli.

— No, dobrze — rzekłem. — Brat pójdzie, ale i ja również.

— To byłoby największym głupstwem z naszej strony. Dwóch nas nie może narażać się jednocześnie.

— Ja też nie myślę iść razem z bratem, lecz z daleka i niepostrzeżenie, by widzieć, co się będzie działo.

— Skoro pan tak nalega, to muszę się zgodzić. Ale pod żadnym warunkiem nie wolno panu wejść ze mną na półwysep. Ponadto niech pan weźmie ze sobą karabin.

— To właśnie by było nieprzezornością z mojej strony. Przecież karabin by mi tylko zawadzał podczas skradania się. Wystarczą mi rewolwery. Proszę także zabrać i swoje.

— To oczywiście, że je wezmę, chociaż nie mam zamiaru strzelać do tych drabów. Jestem pewien, że już sam widok dwóch rewolwerów wzbudzi w nich należyty respekt. Do tego dodajmy moją powagę jako duchownej osoby i wreszcie opinię jako „Brata Jaguara”, to wystarczy. Wiem z doświadczenia, że kto słyszał o mnie, ten nie poważy się podnieść na mnie ręki.

— Dlaczego?

— Zobaczysz to pan. Proszę uważać i nie obawiać się, nie uczynię panu nic złego.

Chwyił mnie prawą ręką za kark i podniósł z wolna w górę, po czym tak samo wolno postawił na nogi.

— Do licha! — krzyknąłem. — Domyślałem się w braciszku siły, ale żeby ona była tak olbrzymia, tego sobie nie wyobrażałem.

— Istotnie, señor? — uśmiechnął się. — Tej siły boją się wszyscy. Niech mi pan wierzy, że wśród znających mnie nie ma tak niemądrego, który by się na mnie porwał; zgniótłbym go na miazgę.

Na te słowa wstał ze swego miejsca Larsen i zwrócił się do mnie:

— Powiada pan, że to siła olbrzymia? Chciałbym i ja coś pokazać. Podziwiał pan moje ręce, a teraz przekonam pana, co one potrafią.

Przy tych słowach zbliżył się do mnie i ujął mnie prawą ręką w taki sam sposób, jak poprzednio uczynił to brat Hilario, lewą zaś chwycił tego ostatniego, podniósł nas obu jednocześnie i trzymał tak w powietrzu przez chwilę, a postawiwszy na ziemi rzekł:

— Szkoda, że mam tylko dwoje ramion, bo gdybym miał więcej, potrafiłbym w ten sposób podnieść w górę kilku najcięższych ludzi.

— Ależ, człowieku? — krzyknąłem zdumiony. — Gotów jestem uwierzyć, że stoi przede mną sobowtór Goliata! Pan może domy rozwałać!

— Ee, najśłabszy człeczyna może to uczynić, gdy umiejętnie zabierze się do rzeczy.

— A z bronią umie się pan obchodzić?

— Głupstwo. Miałem z nią wiele do czynienia, kiedy włóczyłem się po Indiach od portu do portu. Zresztą przekonacie się sami, jeśli weźmiecie mnie ze sobą na łąkę, którą krajowcy, nie wiadomo z jakiego powodu, nazywają pampą.

Usiadł i przybrał taką minę, jakby wypowiedział coś epokowego. Był to również swego rodzaju oryginał. Braciszek przyznał, że nie chciałby mieć do czynienia z takim siłaczem, aczkolwiek często daje przewagę nie siła, lecz spryt i inteligencja.

Po tej próbie mięśni opuściliśmy z bratem Hilario naszych towarzyszy i udaliśmy się w kierunku półwyspu. Zakonnik szedł przodem, ja zaś o kilka kroków za nim.

Wkrótce brat Hilario natknął się na dwóch bolarzy i, zamieniwszy z nimi kilka słów, poszedł w ich towarzystwie w stronę półwyspu. Idąc chyłkiem za nimi, dotarłem do miejsca, w którym podczas poprzedniej wyprawy położyłem związanego majora, i zatrzymałem się tu, aby obserwować, jak brat Hilario zostanie przyjęty w obozie. Dwaj bolarze, którzy go prowadzili, opowiadali coś jednemu z żołnierzy, widocznie najstarszemu z nich stopniem, i wkrótce rozległy się głosy, nawołujące innych, rozproszonych po okolicy w poszukiwaniu zaginionego dowódcy. Zbiegło się kilkudziesięciu i, otoczywszy braciszka kołem, rozmawiali z nim.

Zauważyłem, że traktował ich wyniośle, jakby im rozkazywał, oni zaś odpowiadali szorstko wyraźnie rozjątrzeni. Wreszcie inni ucichli i słyszałem tylko dwa głosy: braciszka oraz domniemanego zastępcy majora. Uspokoilo to mnie, gdyż pomyślałem, że jeśli doszło do układów, to nic bratu zakonnemu nie grozi. Uwagę moją natomiast zwrócił fakt, że wszyscy cisnęli się dookoła braciszka, nie wyłączając nawet wartowników, którzy opuścili swoje stanowiska. Postanowiłem to wykorzystać.

Po długich targach z zakonnikiem rozstąpili się wreszcie bolarze i braciszek ruszył wkrótce w drogę powrotną, prowadząc ze sobą jednego z żołnierzy. Reszta pozostała w obozie. Domyśliłem się, że brat Hilario zabrał tego człowieka, by zaprowadzić go do naszej kryjówki. Zatrzymali się wreszcie niedaleko miejsca, w którym byłem ukryty, i ku wielkiemu memu zadowoleniu brat Hilario zawiązał drabowi oczy chustką. Podobała mi się przezorność zakonnika, bo drab nie powinien znać drogi, prowadzącej do naszej kryjówki, a poza tym ułatwiło mi to powrót jednocześnie z nimi. Gdy mijali mnie, dałem bratu zakonnemu znak ręką, aby się do mnie nie odzywał, i zapadłem w krzaki, chyłkiem go wyprzedzając.

Towarzysze nasi, spostrzegłszy nas z daleka, wstali z miejsc. Gdy się wśród nich znaleźliśmy, brat Hilario zdjął chustkę z oczu wysłańca, który rozejrzał się ciekawie dokoła.

— Kogo to nam brat przyprowadził? — zagadnął Monteso. — Czy było to konieczne?

— Owszem, konieczne, bo człowiek ten będzie pośrednikiem między nami a bolarzami.

— Jak brata przyjęto w obozie?

— Z początku z wielkim zdziwieniem, bo nie spodziewali się, że pojawimy się tu tak prędko.

— Czy grozili?

— Mieli ochotę, ale ostrzegłem ich, że może to wyjść na złe majorowi.

— Rozumie się. Za jeden włos z głowy mojego brata rozbójnik ten zapłaciłby życiem i zginęliby również ci trzej zatrzymani przeze mnie w domu, w estancji. Nie chcieli zapewne uwierzyć, że mamy majora w ręku?

— Tak, na razie nie wierzyli.

— Wysłańiec będzie mógł na własne oczy przekonać się o tym.

— Nie tylko ma się przekonać, ale i rozmówić się z majorem.

— Na to nie pozwolę.

— Dlaczego, señor?

W tej chwili wziąłem braciszka na stronę i szepnąłem mu do ucha, że wysłańiec nie powinien się nawet domyślić, w jaki sposób major wpadł w nasze ręce, bo gdyby się bolarze dowiedzieli, że byłem na półwyspie, to zdwoiliby czujność, a to by mi utrudniło planowane przeze mnie uwolnienie jeńców.

— Señor, proszę pamiętać, że to rzecz bardzo niebezpieczna!

— Wcale nie. I nawet nie będzie trudna, jeżeli brat dobrodziej odegra dobrze rolę, jaką dla niego obmyśliłem.

— Jaka to rola?

— Proszę mi najpierw powiedzieć, czy zbóje godzą się na wydanie jeńców?

— Nie chcą nawet o tym słyszeć.

— Jakie są ich żądania?

— Wydadzą obu Montesów tylko za majora, porucznika i jego dwóch towarzyszy.

— To trwałoby zbyt długo.

— I ja tak myślę.

— Czy zagroził im brat, że jesteśmy zdecydowani odebrać życie jeńcom, będącym w naszym ręku, lub wydać ich władzy?

— Owszem, ale nie lękają się tego i nie chcą odstąpić od swoich żądań.

— Nietrudne to do wytłumaczenia, bo zarówno jedna, jak i druga strona, nie może nic złego zrobić swoim jeńcom. Dlatego mam zamiar wykraść *yerbatera* i jego bratanka, a jeżeli mi się to uda, nasza sprawa będzie wygrana.

— Ale pan narazi się przy tym na ogromne niebezpieczeństwo.

— Udało mi się raz, to może uda się i drugi. Brat teraz odprowadzi wysłańca na półwysep, bacząc jednak pilnie, by nie zapuścić się zbyt daleko, a ponadto musi kochany brat udawać, że nie do końca ufa przeciwnikom. Jestem pewien, że gdy brat się tam pojawi, zlecą się do niego wszyscy bolarze, nie wyłączając warty, a wówczas ja będę mógł działać spokojnie.

— Plan, istotnie, niezły, ale... niebezpieczeństwo nie usunięte.

— Odważnym szczęście sprzyja. Proszę iść z wysłańcem powoli i manewrować tak, aby odwrócić uwagę zbójów od miejsca, w którym są jeńcy, ja zaś tymczasem postaram się tam przedostać.

— Czy ma pan zamiar uwolnić również flisaków?

— Jeżeli to będzie możliwe.

— Sześciu! Niech pan rozważy, ile na to trzeba czasu!

— To się okaże na miejscu. Jeżeli jednak nie zdołam ich uwolnić, to i tak nic złego im się nie stanie; bandyci uwięzili ich tylko dlatego, że chcieli zdobyć tratwę do przepłynięcia się przez rzekę.

Zwróciłem się następnie do pośrednika, który natarczywie domagał się, byśmy mu pozwolili zobaczyć majora.

— Czy chcielibyście się z nim rozmówić? — zagadnąłem.

— Oczywiście. Muszę go zapytać, jak mam postąpić.

— To zbyt cenne. Jest was przecież pięćdziesięciu i znajdują się wśród was zapewne tak mądre głowy, że zbyt cenne będą rady majora.

— Bez pozwolenia majora nikt z nas nic nie uczyni. Nikomu nie wolno bowiem działać na własną rękę.

— Przecież major, jako nasz jeńiec, nie może wam wydawać rozkazów. Obierzcie sobie tymczasem innego dowódcę.

— Już to zrobiliśmy.

— Zwróćcie się więc po rozkazy do niego, nie zaś do naszego jeńca. Mogę wam tylko go pokazać, abyście powiedzieli towarzyszom, że istotnie znajduje się w naszych rękach. Nic więcej nie mogę dla was uczynić. Nie przyjmę też żadnych innych pośredników. Brat Hilario pójdzie teraz do waszego obozu, byście mu przekazali waszą decyzję, i na tym się skończy.

To rzekłszy, podszedłem do majora, założyłem mu knebel, a odwiązawszy go od pnia, przyprowadziłem do ogniska. Gdy zobaczył swego podwładnego, chciał coś do niego powiedzieć pomimo knebla, ale wydał tylko niewyraźny głos.

— No? Major Cadera? — zapytałem pośrednika.

— Tak. Ale ponieważ zakneblowaliście mu usta, więc my uczynimy to samo naszym jeńcom.

— Możecie, nikt wam nie broni. Zresztą założyliśmy mu knebel tylko na tę chwilę, aby się z wami nie porozumiał, i zdejmemy mu go zaraz po waszym odejściu. Czy macie jeszcze coś do powiedzenia?

— Chciałbym o coś zapytać majora.

— Dobrze — odrzekłem, ale knebla jeńcowi nie zdjąłem.

— Czy pozwalasz, majorze, na wymianę jeńców? — zapytał wówczas.

Major przecząco poruszył głową.

— Więc co robić?

W odpowiedzi major podniósł trzy palce i wskazał na wschód, a na pytanie, czy mają żądać wydania tamtych trzech jeńców z estancji, pokazywał na migi pieniądze.

— Co to znaczy? — pytał pośrednik.

— Wy tłumaczę to wam — wtrąciłem. — Major oddał nam część pieniędzy, które miał przy sobie, a myśmy je wysłali owemu ranczerowi, którego puściliście z dymem, jako odszkodowanie za poniesione straty. Otóż teraz chciałby otrzymać te pieniądze z powrotem.

Cadera potwierdził to skinieniem głowy, a wysłaniec pytał dalej:

— A więc możemy wydać jeńców tylko w tym wypadku, jeżeli zwrócą panu wolność, wypuszczą porucznika z dwoma ludźmi i oddadzą pieniądze?

— Mm, mm! — mruczał major, kiwając potakująco głową.

— Słyszysz pan? — zwrócił się do mnie żołnierz. — Musimy się zastosować do tego rozkazu. Co pan na to?

— W tej chwili nic. Pójdzie z wami zakonnik, aby przekazać waszym towarzyszom moje warunki.

— Może mi pan powiedzieć już teraz, czy się pan zgadza na warunki majora.

— Nie zgadzam się. W żadnym wypadku nie zwrócę pieniędzy, których już nie mam. Ponadto domagam się zwrotu skradzionych koni.

— Nie oddamy, bo ich wcale nie ukradliśmy, lecz kupiliśmy je.

— Nieprawda!

— Owszem, prawda. Ten chłop okłamał was. Zresztą to nie my podłożyliśmy ogień pod jego dom.

— Nie mówmy o tym, bo to do rzeczy nie należy. Brat Hilario przyniesie waszą odpowiedź na moje żądania. A żądam bezwarunkowego wydania jeńców i koni, w zamian za co puszcę majora. I na tym koniec, przynajmniej na razie.

Yerbaterzy odprowadzili majora na poprzednie miejsce, a brat Hilario, zawiązawszy pośrednikowi oczy, podążył z nim do obozu bolarzy.

Kiedy się oddalili, kazałem towarzyszom zabrać karabiny i iść za mną. Na straży koło majora pozostał tylko Monteso. Wszyscy, nie wyłączając Indianina, byli niezwykle przejęci i ciekawi, co uczynić zamierzam. Nie zdradziłem im jednak mojego planu, tylko zaleciłem, aby zachowywali się jak najciszej.

Zgodnie ze wskazówkami, jakich udzieliłem przed odejściem bratu zakonnemu, szedł on powoli w kierunku półwyspu, a w pewnej odległości postępowałem za nim ja z towarzyszami. Kiedy doszliśmy do zatoki koło półwyspu, ustawiłem towarzyszy w cieniu drzew, oddałem im karabin, aby go potrzyimali, i rzekłem:

— Stójcie tu i nie ruszajcie się z miejsca.

— Czy mamy zastrzelić chociaż jednego z tych łotrów, sir? — pytał Turnerstick.

— Nic teraz nie wiem, dowiedcie się, gdy powrócę.

— Jak to? Pan chce nas tu zostawić i dalej iść sam?

— Nie idę daleko. Nie bójcie się, a przede wszystkim bądźcie uważni. Cokolwiek się stanie, nie wolno wam ruszyć się z tego miejsca, chyba że usłyszycie wystrzał z mojego rewolweru. Wówczas macie z braciszkiem cofnąć się do naszej kryjówki i czekać tam spokojnie.

Na półwyspie ogniska jeszcze gorzały jasnym płomieniem i przy ich świetle widać było wyraźnie siedzące wokół postacie. Brat Hilario, j prowadząc za sobą pośrednika, podążył ku nim, w pobliżu obozowiska zatrzymał się, zdjął chustkę z oczu swego towarzysza i zbliżył się do i obozujących. W tym momencie bolarze zauważyli go i otoczyli kołem.

Przypuszczałem, że rozmowa z zakonnikiem nie potrwa dłużej niż kilka minut, więc musiałem się spieszyć, by wykorzystać każdą niemal sekundę. Położyłem się więc na piasku i zacząłem się czołgać jak wąż w kierunku obozu. Byłem pewny, że nikt mnie nie zauważy, gdyż barwa mego ubrania nie różniła się od koloru piasku.

Nagle od strony obozu doleciał do mych uszu głośny gwar i domyśliłem się, że przedstawione przez brata Hilaria warunki nie spodobały się bolarzom. Wśród wielu głosów słyszałem przekleństwa nawet i wymysły. Krzyki te zwabiły wszystkich drabów do zakonnika i wkrótce ani jednego żołnierza w pobliżu jeńców nie było.

W kilku susach przebyłem otwartą przestrzeń dzielącą mnie od półwyspu i skierowałem się ku miejscu, w którym poprzednio widziałem jeńców. Nieszczęśliwi znajdowali się tam jeszcze; nie zawleczono ich na tratwę, gdyż zniknięcie majora pokrzyżowało złoczyńcom wszystkie plany.

Obaj Montesowie przywiązani byli do pni drzew, niedaleko od siebie, natomiast od flisaków dzieliła mnie taka odległość, że nie mogłem nawet marzyć o ich ratowaniu. Chyłkiem podbiegłem do *yerbatera*, który poznał mnie od razu i szepnął:

— Señor! Na miłość boską! To szaleństwo z pańskiej strony!...

— Cicho pan bądź! Rozetnę wam rzemienie.

— Dobrze, ale zaraz, bo za chwilę mogą wrócić strażę.

— Zostaniecie w takiej pozycji, jak byście byli przywiązani, i zaczekacie, dopóki stąd nie umknę. Kiedy dam wam znak, wówczas zerwijcie się nagle i pędźcie ku krzakom nad zatoką. Tam na was czekamy. Nie uczynicie tego za wcześnie, bo wszyscy stracimy życie.

Rozdawszy następnie więzy młodemu Montesowi i powtórzywszy mu to samo polecenie, oddaliłem się spiesźnie z niebezpiecznego miejsca i zapadłem w krzaki. A był to ostatni już moment, bo kilku bolarzy oderwało się właśnie od gromady i ruszyło w stronę ogniska.

Szczęśliwie przepelznąwszy przez wydnię, dotarłem wreszcie w cień drzew do ukrytych towarzyszy.

— Do licha! Był pan na pewno na półwyspie? — zagadnął mnie kapitan.

— Owszem.

— Aby uwolnić jeńców jak nas poprzednio?

— Tak, już są wolni.

— Czemu nie przyprowadził pan ich tutaj?

— Bo najpierw braciszek musi się znaleźć w bezpiecznym miejscu. Gdyby zbóje spostrzegli, że wykradziono im jeńców, zatrzymaliby zakonnik.

— *Well!* Słuszna uwaga!

— Proszę teraz uważać. Kiedy gwizdnę na palcach, jeńcy zaczną biec w naszą stronę. Sądzę, że w pierwszej chwili nie przyjdzie na myśl bolarzom, by strzelać do nich, ale potem urzadzą zapewne pościg. Aby im w tym przeszkodzić, damy jedną salwę, ale w powietrze. Ja tylko nie wystrzelę, aby mieć na wszelki wypadek gotową kulę na później.

W tej chwili zauważyłem, że bolarze zaczęli się rozchodzić, a więc prawdopodobnie układy z bratem Hilario już się skończyły. A trwały one dłużej, niż przypuszczałem, gdyż jakieś pół godziny. Niebawem spostrzegliśmy wracającego braciszka. Nie wiedział, że wszyscy już tu jesteśmy.

— Pssst! — syknąłem ostrzegawczo, gdy się zbliżył. — Proszę tutaj!

— Jak to? Pan już wrócił? « — zapytał zdziwiony. — I cóż? Udało się?

— Owszem. A jak poszło bratu? Co odpowiedzieli?

— Nie zgodzili się.

— Nie szkodzi! Teraz proszę uważać i w odpowiedniej chwili strzelić, ale w powietrze!

Włożyłem palce do ust i gwizdnąłem z całej siły. Wśród bolarzy zapanowała nagle cisza. A chwilę potem ujrzeliśmy *yerbatera* i jego bratanka, biegnących w naszą stronę. Spostrzeżono to również i w obozie opryszków. Powstał tam zgiełk i zamieszanie, a nawet dały się słyszeć strzały.

Jeńcy tymczasem dobiegli do nas, a kiedy wkrótce ukazali się ścigający, towarzysze moi oddali salwę, która poskutkowała znakomicie. Zbóje natychmiast cofnęli się, co nam bardzo było na rękę, gdyż pozwoliło na spokojny odwrót.

— Chodźmy — rzekłem. — Żaden z drabów nie pojawi się tu do rana. Będą się bali zasadzki.

Obaj Montesowie nie posiadali się z radości, powstrzymałem ich jednak od jej manifestowania, bo nie było na to czasu. Ale gdy znaleźliśmy się w bezpiecznym miejscu, *yerbatero* chwycił mnie kurczowo za rękę i rzekł:

— Nie mogę już dłużej milczeć. Powiedz, señor, w jaki sposób dostaliście się tutaj?

— Konno — odpowiedziałem z uśmiechem.

— Domyślam się tego, choć jestem zdumiony, że tu trafiliście. Nie miałem najmniejszej nadziei, że zdołacie wpaść na nasze ślady i przybyć nam na pomoc.

— Jak się to stało, dowie się pan, kiedy będziemy mieli trochę więcej czasu.

— Czy istotnie schwytaliście majora?

— Tak. A skąd pan wie o tym?

— Wywnioskowałem to z przekleństw drabów, którzy potracili wprost głowy, gdy zauważyli, że ich dowódca zniknął. Obawialiśmy się, że się to skrupi na nas.

— Tym większa będzie pańska radość, gdy się pan spotka z bratem.

— Z bratem? Czyżby był tutaj? — pytał zdziwiony. — Pozwólcie nam powitać go i uściskać.

— Ależ powoli, señor! Musimy zachować wszelkie środki ostrożności, a przede wszystkim major nie powinien się jeszcze dowiedzieć, że jesteście wolni. Ciekaw jestem, jaką zrobi minę, gdy was zobaczy. Proszę więc, niech powitanie wasze z señorem Monteso nie będzie zbyt głośnie.

Zbliżyliśmy się do ogniska tak ostrożnie, aby major tego nie spostrzegł. Krewni przywitali się serdecznie, ale po cichu, po czym zaleciłem *yerbaterowi* i jego bratankowi, aby ukryli się w krzakach, a Indianin przyprowadził do ogniska majora. Ten ostatni rozejrzał się dokoła i popatrzył na nas badawczo, jakby chciał z min naszych wyczytać, jaki był wynik pertraktacji z jego ludźmi. Zauważywszy to, udałem wielką powagę i rzekłem do niego:

— Będzie pan musiał długo jeszcze pozostać u nas.

— Chętnie! — odparł z szyderczym uśmiechem. — Zaczekamy trochę, chociażby z tego względu, że się pan chyba przeliczył, sądząc, iż moi ludzie będą na tyle głupi, że zgodzą się na pańskie warunki.

— Niestety, ma pan rację, przeliczyłem się.

— Zatem niech pan poczeka, aż wydadzą panu Montesów.

— Pan sobie wyobraża, że stać mnie na taką cierpliwość? Otóż myli się pan. Sam sobie jeńców z obozu pańskiego przyprowadzę.

— Niech mnie pan nie rozśmiesza...

— Dlaczego? Chyba sprawia to panu przyjemność, więc proszę się śmiać, majorze, ile dusza zapragnie. Chwyciłem pana i dwóch marynarzy, których pan trzymał skrupowanych, więc teraz mam prawo wierzyć w powodzenie dalszych moich kroków. Zresztą, jeżeli ja się do czegoś zabieram, to powieść się musi.

— A gdyby tak panu przypadkiem zachciało się zdjąć księżyc z firmamentu, czy i wówczas byłby pan pewny, że mu się to uda?

— O, panie majorze! Tym razem idzie mi o rzecz do wykonania bardzo łatwą.

— Nie sędzę. Moi ludzie na pewno zdwoili czujność i ostrożność.

— Nie ma się o co sprzeczać, majorze. Wszak tu chodzi o pańską wolność. Jedno słowo, a będzie pan oswobodzony.

— Ja pana o wolność nie proszę.

— Nie? Chyba nie będzie dla pana przyjemne, gdy go odstawię do Montevideo?

— Postaram się ze swej strony, abyś pan tego nie uczynił.

— A jednak ja pana tam odwiozę, i to zaraz.

— Albo i nie zaraz...

Wypowiedział te słowa tak stanowczo, jakby miał jakiś nieprzenikniony plan, który odgadnąć było niepodobieństwem — a może udawał pewność siebie, aby się z nami potargować. Nie miałem jednak ochoty wdawać się z nim w długie wywody i rzekłem:

— Jeżeli jest pan tak pewny siebie, to dobrze. Zaraz stąd wyruszamy.

— I zostawicie Montesów?

— Tak albo i nie. Być może jednak są oni już w moim ręku.

— Diabła pan ma nie ich w swoim ręku!

— Przecież według pańskiego zdania, majorze, ja sam jestem diabłem, a kogo mam w ręku, może się pan zaraz przekonać.

Przy tych słowach obaj Montesowie wyszli z ukrycia, a major na ich widok aż przykucnął do ziemi, a następnie zaczął się szamotać jak wariat.

— *Diabolo!* Wierzę teraz... Wierzę, że diabeł i pan to jedna osoba.

— Widzisz więc, łotrze jeden... — rzekł *yerbatero* — że zanadto byłeś pewny swojej przewagi nad nami. Ten Europejczyk wy dostał nas z rąk twojej bandy bez żadnego trudu, a teraz... twój koń czeka już osiodłany, aby cię zanieść... do piekła.

Major w osłupieniu rozglądał się dokoła i bąkał:

— Co się stało? Śnię chyba, u diabła, lub jestem w gorączce? Nie rozumiem...

— I dalej nie wierzy pan — spytałem — że pojedziemy do Montevideo?

— Ależ wierzę! Diabeł wszystko potrafi!

— O to mi właśnie chodziło. Przegrał pan ostatnią swą kartę i nie zechce zapewne grać dalej...

— Owszem, chcę grać dalej — syknął.

— Ale czym?

Major westchnął ciężko i dopiero po chwili rzekł:

— Prawda! Zabrakło mi atutów. — Po czym dodał, zgrzytając zębami: — A wszystkiemu winien ten łajdak!

I rzuciwszy się ku Indianinowi, kopnął go nogą w brzuch tak silnie, że biedak padł na ziemię i skrzył się z bólu jak wąż przygwożdżony nożem.

— Majorze! — krzyknąłem groźnie. — Proszę się liczyć ze swoim położeniem! Jest pan zdany na naszą łaskę i możemy z nim postępować trochę inaczej aniżeli dotychczas.

— Najlepiej wpakować mu żelazo w pierś — wtrącił *yerbatero*. — Łotr ten nie wart żadnego zmiłowania, a tym bardziej jakichkolwiek względów.

Groźba ta wyraźnie poskutkowała. Major zorientował się, że szaleństwem z jego strony byłyby dalsze wybryki, i po chwili zapytał innym już tonem:

— Proszę zatem powiedzieć mi otwarcie, co zamierzacie uczynić ze mną?

— Powinienem właściwie oddać pana w ręce sprawiedliwości... Ale... zaniecham tego, gdyż...

— Señor — przerwał mi estancjero — najlepiej będzie, gdy weźmiemy go ze sobą i wydamy w ręce władzy.

— A mnie się zdaje, że szkoda naszego czasu i fatygi. Pozostawmy go raczej tutaj, jak się to czyni z pierwszym lepszym bydlęciem. Słusznie czy nie? — dodałem, zwracając się do brata Hilaria.

— Zgadzam się z pańskim zdaniem — odrzekł zakonnik.

— Słyszysz pan? — zapytałem majora. — Jesteśmy skłonni puścić pana, ale pod pewnymi warunkami. Przede wszystkim odda nam pan skradzione konie, a następnie przyrzeknie, że skoro świt przeprawi się ze swymi opryszkami na drugą stronę rzeki.

— Bardzo mi będzie miło i uczynię to, chociażby dlatego, aby nie widzieć więcej waszych słodziutkich twarzy.

— Nam również będzie bardzo przyjemnie nie patrzeć więcej na pana. Ponadto podpisze mi pan pokwitowanie na sumę, którą wypłaciłem pogorzelncom tytułem odszkodowania.

— No, proszę! Jeszcze co?

— Może się pan na to nie zgadza? Woli pan stanąć przed sądem?

— *Caracho!* Podpiszę wam, co zechcecie. Czy macie jeszcze jakieś żądania?

— Zapewne... Proszę zobaczyć, co pan uczynił! — Tu wskazałem wijącego się na ziemi Indianiaka. — Widocznie uszkodził pan temu biedakowi wnętrzności, a przynajmniej przyprowadził o chorobę... Należy mu się więc od pana odszkodowanie.

— Czy pan to mówi serio?

— Zupełnie poważnie.

— Señor, gdyby pana w tej chwili jasny piorun spalił, sprawiłoby mi to niewymowną radość...

— O, wierzę! Ale na szczęście nie jest pan gromowładnym Jowiszem, więc niech pan nie myśli o rzeczach niemożliwych i raczej odpowie na pytanie: zapłaci pan czy nie?

— Ile mam zapłacić?

— Pięćset talarów.

Niewielka to była kwota, jednak major próbował się targować. Nie ustąpiłem wszakże i musiał dać żadaną sumę, a nawet stwierdzić pisemnie, że daje ją dobrowolnie.

— Teraz sprawa koni. Kiedy je otrzymamy?

— W każdej chwili... chociażby zaraz.

— E, trudno nam będzie teraz, po nocy, zabierać je od pana. Wolimy załatwić to rano, tym bardziej że pragnęlibyśmy uniknąć zetknięcia się z pańską bandą.

— I chcecie zatrzymać mnie tu do jutra?

— Jak to? Źle panu u nas? Musimy przecież sprawę załatwić porządnie. Brat Hilario uda się jeszcze raz na półwysep, aby przyprowadzić tu jednego z żołnierzy, któremu pan oznajmi, że pokój pomiędzy nami zawarty. Teraz usiądzie pan tu koło mnie i napisze pokwitowanie.

— Jak mogę je napisać, skoro mam związane ręce? — zapytał, a chytry uśmiech przemknął mu po twarzy.

Przypuszczał zapewne, że mu rozwiążą ręce i będzie mógł czmychnąć w gęstwinę.

— Postaramy się o to, aby mógł pan pisać — odrzekłem. — Proszę siadać.

Związaliśmy mu nogi, a ręce zostawiliśmy wolne, by mógł pisać pod moje dyktando. Uczynił to bez oporu, a następnie bez przypominania wyłożył kwotę, przeznaczoną dla Indianina, który nareszcie uspokoił się i, siedząc na ziemi, patrzył pożądliwie na odliczane dla niego pieniądze. Gdy mu dawałem tę sumę, estancjero wręczył od siebie jeszcze dwadzieścia dukatów, na co biedakowi zabłyśły z radości oczy, tym bardziej że Monteso obiecał mu ponadto dobre stanowisko u siebie.

Brat Hilario udał się niezwłocznie na półwysep i przyprowadził tego samego żołnierza, który był już u nas przedtem. Teraz nie mieliśmy już powodu, by taić przed nim, w jaki sposób uwolniłem jeńców, więc pozwoliliśmy mu porozmawiać z majorem, który kazał zanieść mu rozkaz do oddziału, aby nie rozpoczynano przeciwko nam żadnych działań, rano zaś wydano braciszкови, który w tym celu do nich przybędzie, uprowadzoną stadninę.

Po odejściu pośrednika dość długo gawędziliśmy, przy czym miałem sposobność poznać młodego Montesa. Był to młodzieniec cichy, poważny, a choć nie miał w sobie owej tężyzny, która niezbędna jest w samodzielnym życiu na stepie, wśród licznych niebezpieczeństw, jednak wywarł na mnie jak najlepsze wrażenie. Z Turnerstickiem rozmawialiśmy długo o moich i jego podróżach oraz przygodach, zapominając niemal, że po tak trudnym dniu potrzebny jest wypoczynek. Późno już było, gdy postanowiliśmy przespać się nieco, przy czym straż nad naszym bezpieczeństwem podjął się trzymać Indianin ze swoją żoną. Nazajutrz, zbudzeni przez Indianina, postanowiliśmy przede wszystkim znaleźć odpowiednie miejsce, by ukryć konie, które miały być odesłane z obozu majora. Kryjówka ta potrzebna była na wypadek, gdyby majorowi, kiedy go z rąk swoich wypuścimy, przyszła ochota odebrać nam je z powrotem.

Aynas obiecał wskazać mi takie miejsce, więc niezwłocznie udałem się z nim w kierunku jego chaty.

Kiedy się nie opodał niej znaleźliśmy, posłyszeliśmy w pewnej odległości od rzeki, od strony, skąd wczoraj przybyliśmy, parskanie koni. Ukryliśmy się w zaroślach i po krótkiej chwili zobaczyliśmy, że to wracają dwaj *yerbaterzy* wysłani wczoraj z pieniędzmi dla pogorzalców. Wraz z nimi jechało konno ośmiu czy dziewięciu mężczyzn. Wysunęliśmy się więc z krzaków i pokazaliśmy się *yerbaterom*, co ucieszyło ich bardzo, gdyż, jak się okazało, nie byli pewni drogi do naszej kryjówki.

Opowiedzieli mi, że po drodze wstąpili do jakiegoś rancza wypocząć trochę i spotkali tam podróżnych. Jednym z nich był syn pogorzalca, o którym poprzednio wspomniałem. Młodzieniec ten, wróciwszy do domu wkrótce po naszym odjeździe, oburzony na zbójów, którzy zniszczyli mienie jego rodziców, postanowił podążyć naszymi śladami, by nas dopędzić i pomóc w ściganiu rabusiów. Po drodze dobrał sobie jeszcze paru ludzi, a spotkawszy *yerbaterów*, dążących do jego rodziców, zawrócił z nimi, po czym podążył w ich towarzystwie nad rzekę, by się połączyć z nami i odebrać zbójom stadninę. Kiedy mu zakomunikowałem, że konie zostaną jego rodzicom zwrócone, uradował się niezmiernie.

Gdy wróciliśmy do naszej kryjówki, brat Hilario wybierał się właśnie do obozu opryszków, ale powątpiewał jakoś w powodzenie swojej misji.

— Kto wie, czy pójdzie mi gładko — mówił. — Mogą znowu stawiać jakieś warunki.

— O to nie ma obawy — rzekłem. — Major jest ciągle w naszych rękach, więc wszystko pójdzie dobrze. Konie trzeba powiązać w ten sposób, aby szły jeden za drugim, a do przyprowadzenia ich trzeba najwyżej czterech ludzi. Niech dojdą tylko do miejsca, w którym wczoraj czekaliśmy na Montesa. Tam wielebny brat nas spotka, a z nami właściciela koni. Sprawdzi on stemple i stwierdzi, czy są to te same, które mu uprowadzono. Kiedy brat wróci, będziemy mogli puścić majora.

— A gdyby major zechciał potem ścigać tego młodego człowieka?

— Nie dopuścilibyśmy do tego. Zresztą z łatwością pobilibyśmy jego bandę na wąskiej ścieżce wśród bagien.

— Więc pozwolimy bolarzom odpłynąć na tratwie przez rzekę?

— Oczywiście — odrzekłem. — Dopiero wówczas odetchniemy spokojnie, kiedy zejda nam z oczu. Wrócić nie mogą, bo spostrzeżlibyśmy ich z brzegu i nie pozwolili wylądować.

Brat Hilario odszedł, a dziesięć minut później udaliśmy się wszyscy za nim. Przy majorze pozostał tylko estancjero.

W miejscu naszej wczorajszej kryjówki nie czekaliśmy zbyt długo. Jak przewidywałem, sprawa poszła zupełnie gładko. Czterech bolarzy doprowadziło do nas zrabowaną stadninę, którą przejął młody ranczer, dziękując nam gorąco za pomoc w odzyskaniu własności jego rodziców. Prosił nas też, abyśmy, wracając, wstąpili do niego, a odda pieniądze, które Monteso pożyczył jego ojcu. Pożegnawszy się z nami, ruszył w drogę prowadzony przez Indianina, my zaś wróciliśmy do kryjówki, by oswobodzić majora. Zdjąwszy z niego rzemienie, którymi był przywiązany do drzewa, i pozostawiwszy mu tylko skrepowane ręce, rzekłem:

— Rozliczyliśmy się dokładnie i jest pan wolny. Wszystko w porządku.

— Tak pan myśli? Ja jednak sądzę inaczej. Powstał między nami do wyrównania znaczny rachunek. Ale spotkamy się jeszcze i wówczas zmuszę pana do uregulowania go.

— Co do mnie, mam nadzieję, że życzenie pańskie nigdy się nie spełni.

— Zapewniam pana, że zda mi pan jeszcze rachunek ze swego w stosunku do mnie postępowania — rzekł, obrzucając mnie piorunującym spojrzeniem.

— Bardzo to niemądrze z pańskiej strony, że jest pan ze mną tak naiwnie szczery. Będę się tym bardziej miał na baczności.

— Niewiele to panu pomoże... Musimy się kiedyś spotkać...

— Może się i spotkamy, ale zapewne nie gdzie indziej, tylko tutaj. I jeżeli pan zastawi na nas pułapkę, potrafimy mimo wszystko obronić się przed pańską bandą.

— Tutaj miałbym zastawiać pułapkę? Nie jestem aż tak nieroztropny. Zobacz pan zresztą za chwilę, jak odpływamy na drugi brzeg.

— Aby wkrótce powrócić tu niepostrzeżenie.

— Myli się pan. Zobaczymy się później... później, powiadam... Słyszałem, że zamierzacie również przepłynąć przez rzekę, aby udać się do Gran Chaco i Tucuman. Będziemy więc mieli okazję zobaczyć się jeszcze...

— Ach, tak? No, dobrze! Pozwoli pan jednak powiedzieć sobie, że gdy drugi raz dostanę pana w ręce, to nie będę go oszczędzał, jak to uczyniłem teraz.

Słowa moje major skwitował szyderczym śmiechem i oddalił się spiesznie.

— Może by tak posłać mu kulę, señor? — rzekł Monteso, oburzony jego zachowaniem.

— Nie jesteśmy mordercami — rzekłem. — I nie zostaniemy nimi.

— Przekona się pan jednak, że będziemy tego kiedyś żałowali. Teraz jeszcze czas.

— Oszczędzimy go. Ten łotr niewart nawet kuli.

— Ja jednak sądzę, że byłoby bezpieczniej zmieść draba z tego świata...

Skryliśmy się wśród zarośli, by mieć na oku ruchy bandy. Bolarze powitali dowódcę w milczeniu, on zaś powiedział do nich kilka słów i zaraz zaczęli sprowadzać konie na tratwę. Gdy wreszcie cała banda znalazła się na rzece i odbiła od brzegu, poszliśmy na półwysep, by stamtąd obserwować przeprawę oddziału na drugi brzeg. Bolarze wiosłowali niezwykle energicznie, aby tratwa nie zbcoczyła w dół z prądem wody.

Niebawem wylądowali po drugiej stronie rzeki, a flisacy otrzymawszy pieniądze za przewóz, puścili się w dalszą drogę.

Postanowiłem obejrzeć ich obozowisko, aby sprawdzić, czy nie pozostawili czegoś podejrzanego, ale nic nie znalazłem.

Kapitan dowiedział się od Indianina, że po południu spodziewany jest na rzece statek pasażerski, zaproponował więc, byśmy tu trochę odpoczęli, co zresztą po tylu trudach na pewno nam się należało. Nie widząc w tym żadnego niebezpieczeństwa, przenieśliśmy się ze swej kryjówki na półwysep i zaczęliśmy się krzątać przy porannym posiłku. Byłem na tyle przezorny, że dla pewności ustawiłem na brzegu rzeki, poniżej półwyspu, wartę, zmieniającą się co pół godziny. W ten sposób zabezpieczeni przed niespodziankami zasiedliśmy do śniadania. Rzecz prosta, że po tak pomyślnym załatwieniu sprawy zapanowała w naszym kółku wesołość i miła swoboda. Tylko Indianin posmutniał jakoś i trzymał się ciągle za brzuch, skarżąc się na ból we wnętrzu. Kazałem mu iść do chaty, aby się tam położył, a Dayi zaleciłem, by mu naparzyła odpowiednich ziół.

ROZDZIAŁ IV W LWIEJ PASZCZY

Wprawdzie widzieliśmy wyraźnie, że banda przeprowiła się przez rzekę i ruszyła w głąb kraju, tratwa zaś z flisakami odpłynęła z biegiem fal, ja jednak miałem wciąż dziwne uczucie, że wisi jeszcze nad nami jakieś niebezpieczeństwo.

Pod wpływem tego wrażenia postanowiłem rozejrzeć się po okolicy i poszedłem wzdłuż brzegu w dół rzeki. Nic podejrzanego nie zauważywszy i nie spostrzegłszy żywej duszy, prócz stojącego na straży *yerbatera*, zawróciłem ku swoim, gdy nagle doleciał do mnie jakiś szelest i w tej samej sekundzie wyskoczył z krzaków człowiek, który zarzucił na mnie lasso. Choć miałem jeszcze tyle przytomności umysłu, że w krytycznej chwili podniosłem do góry lufę karabinu i lasso zatrzymało się na niej, ale napastnik szarpnął rzemieniem z taką siłą, że pętla zacisnęła się gwałtownie i własny karabin uderzył mnie w głowę, aż mi w oczach pociemniało. W tym momencie wyskoczyło z zarośli jeszcze kilku drabów i rzuciło się ku mnie. Wyrwałem rewolwer zza pasa, lecz już nie zdążyłem go użyć, gdyż ludzie ci wypuścili bole i kule, oplątawszy mi nogi rzemieniem, powaliły na ziemię. Draby podskoczyli ku mnie i, obezwładnwszy do reszty, zabrali wszystko, co miałem przy sobie, drwiąc przy tym i obrzucając mnie obelgami oraz groźbami, na co oczywiście ani słowem nie odpowiedziałem.

Napastnicy należeli do bandy majora Cadery i poznałem ich od razu. Nie mogłem jednak zrozumieć, w jaki sposób znaleźli się tutaj tak szybko po swym odwoście i dlaczego jeden z naszych, stojący na straży, nie ostrzegł mnie przed nimi. Czyżby usnął na posterunku? Nie słyszałem ani strzału, ani krzyku, ani w ogóle nic, co by zdradzało, że go napadnięto. Najwidoczniej nie tylko mnie, ale i jego spotkała smutna niespodzianka, a może i moi towarzysze wpadli również w pułapkę i zmuszeni zostali do poddania się drabom bez oporu.

Ponieważ byłem związany, więc przypuszczałem, że mnie poniosą do swego obozu. Lecz stało się inaczej: zsunięto mi lasso pod pachy i wleczono aż na półwysep. Gdybym nie miał ubrania ze skóry, byłbym niezawodnie przy takiej przeprowie pokaleczył się wśród trzciny i ostrej trawy mokradła.

Ci, którzy mnie schwytali, zaczęli wykrzykiwać, dając znać o swoim zwycięstwie pozostałym na półwyspie. A był tam, jak się łatwo domyślić można, major ze swymi ludźmi, którzy zwartym kołem otaczali leżących na ziemi i powiązanych moich towarzyszy. Nie brakowało wśród nich żadnego, ale też żaden z nich nie był ranny. Najwidoczniej wszyscy wpadli w urządzoną na nich zasadzkę, a major, nie znalazłszy wśród nich mnie jednego, rozesłał w różne strony po kilku swych ludzi, by mnie odnaleźli. Obecnie wracali oni grupkami, posłyszawszy widocznie, radosne okrzyki, zwiastujące, że zostałem pojmany.

Oczywiście smutny ten dla nas zwrot wynikał z braku należytej ostrożności z naszej strony i czyniłem sobie z tego powodu gorzkie wyrzuty. Ale kto mógł się spodziewać podobnej zasadzki, skoro zbóje na naszych oczach przeprowili się na drugą stronę rzeki. Czemu jednak żaden z moich towarzyszy bodaj w powietrze nie wystrzelił, kiedy zostali osaczeni?

Gdy zawleczony zostałem przed majora, powitał on mnie słowami okraszonymi szyderycznym uśmiechem:

— Moje uszanowanie panu... Cieszę się niewymownie, że mogę widzieć pana znowu. Jak pańskie zdrowie?

A gdy nie odrzekłem na to nawet słowem, wrzasnął:

— Mów pan! No, mów pan! Aha, rozumiem! Pan, jako *caballero*, nie może prowadzić rozmowy w pozycji leżącej, bo to nie należy do dobrego tonu i duma pańska na to nie pozwala. Podnieście go — zwrócił się do bolarzy — i oprzyjcie o pień drzewa... Może wówczas zechce zaszczyścić nas łaskawie odpowiedzią.

Rozkaz ten wykonano natychmiast, ja zaś pomyślałem sobie, że jeżeli major był niedawno zdecydowany zastrzelić mnie, to prawdopodobnie z myśli tej nie zrezygnował, tym bardziej że obecnie miał więcej powodów do zemsty niż poprzednio. Wobec tego postanowiłem nie drażnić go i odpowiadać na pytania.

— No, señor! — zaczął znowu — teraz jesteś w pozycji nie uwłaczającej pańskiej godności i mam nadzieję, że raczysz łaskawie porozmawiać ze mną. Powiedz pan otwarcie, czy cieszysz się tak samo jak ja z naszego spotkania?

— Bardzo się cieszę.

— Widzi pan! Stało się to prędzej, niż pan myślał, a przecież nie ukrywałem przed panem swojej co do tego nadziei. Że mi pan nie wierzył, nie moja w tym wina. Przypuszczam jednak, że nie zapomniał pan jeszcze o swej obietnicy poczynionej podczas naszego rozstania. Powiedział pan, że nie będzie mnie oszczędzał tak jak dotąd. Przypomina to pan sobie zapewne?

— Doskonale.

— Ba, ale inaczej się rzeczy ułożyły. Nie ja w pańskich, lecz pan w moich znalazłeś się rękach. Czy się pan spodziewa, że go oszczędzę?

— Nie wiem, co pan rozumie przez słowo „oszczędzenie”.

— Oszczędzeniem na przykład byłoby to, gdybym panu nie odebrał życia, ale dla unieszkodliwienia go wypaliłbym mu ślepym nabojem oczy. Cóż pan na to?

— Nie uczyni pan, majorze, ani jednego, ani drugiego.

— Tak pan przypuszcza? Na czym opiera się ta pewność?

— Na tym, że nie uważam pana za drapieżne zwierzę, lecz za człowieka. Wie pan bardzo dobrze, że dotychczas nieprzyjaźń między nami nie ja wywołałem.

— Również i nie ja. Mnie wystarczy, że jest pan zdrajcą kraju i mordercą, zatem zasłużył pan na kulę albo stryzynek.

— Pan sam nie wierzy w to, co powiedział w tej chwili. Zresztą gdybym się nawet poczuwał do zarzucanej mi zbrodni, to nie ma pan najmniejszego prawa sądzić mnie za to ani tym bardziej karać.

— Do czego mam prawo i co mi wolno, to moja rzecz. Miałem zamiar rozstrzelać pana, bo wymagały tego ważne okoliczności. Teraz jednak zmieniłem postanowienie i wolę pana wcielić do naszych szeregów jako rekruta.

Słowa te uspokoiły mnie. Skoro major zrezygnował z „wykonania wyroku”, o resztę mogłem się nie troszczyć. Ciągłe jednak nie rozumiałem, dlaczego chciał mnie rozstrzelać wówczas nad Rio Negro, a teraz raptem zmienił zdanie.

— Spodziewam się — ciągnął dalej major — że będzie mi pan wdzięczny za zmianę mego postanowienia?

— Bynajmniej, majorze. Nadal twierdzę, że nie ma pan prawa mnie rozstrzelać ani też wcielić w szeregi swych żołnierzy.

— Gdybym nawet nie miał prawa, to je sobie stworzę. I na tej podstawie, jako przełożony pański, ostrzegam, że za wszelkie przejawy niesubordynacji będę karał jak najsurowiej.

— Nie widzę powodu, dla którego miałbym być panu posłuszny.

— Ja zaraz panu ten powód podam. Przedłożę całą sprawę generałowi i jestem pewny, że odda mi pana pod komendę. Na tej to podstawie uważam pana za podległego mi żołnierza już w tej chwili.

— Ja mimo to jednak utrzymuję, że jestem osobą cywilną i nikomu nie przyrzekałem posłuszeństwa.

— To nic nie szkodzi. Może to pan uczynić w każdej chwili razem ze swoimi towarzyszami, którzy już oświadczyli, że chętnie zaciągną się w moje szeregi.

— Co oni postanowili, to ich rzecz, nie moja. Ja nigdy się na to nie zgodzę.

— Zgodzi się pan, bo to jedyny sposób uratowania życia. Co mi obecnie przeszkadza, dajmy na to, zastrzelić pana? Nic! Że tego nie czynię, zawdzięcza pan tylko mej łaskawości, na którą wcale pan nie zasłużył, ale, mam nadzieję, uczyni to potem. Proszę o chwilę cierpliwości!

Obejrzał wszystkie przedmioty, które mi odebrano, i kazał raz jeszcze przeszukać moje kieszenie, a kiedy okazały się puste, dodał:

— Miałem sposobność poznać, jaki jest z pana niezrównany jeździec i jak szaloną posiadasz odwagę, sądzę więc, że armia nasza zyska w panu znakomitego żołnierza, jeśli, oczywiście, nie będzie się pan dalej upierał. Czy służył pan w wojsku?

— Nie.

— To nic nie szkodzi. Wyuczę pana musztry w krótkim czasie i może się pan spodziewać bardzo szybkiego awansu, za co będzie mi pan wdzięczny. Chciałbym nawet wyposażyć pana należycie, ale do tego nie wystarczy gotówki, którą miał pan przy sobie.

— Kto się stara o uzbrojenie żołnierza, ten powinien je opłacić? — rzekłem, domyślając się, czego major zażąda teraz ode mnie. — A zresztą suma, którą mi pan zabrał, wystarczy na uzbrojenie dziesięciu oficerów.

— Widzę, że nie ma pan o tym pojęcia. Czy rozporządza pan jeszcze jakimiś środkami?

— Nie mam już żadnych pieniędzy.

— Ale posiada pan kredyt?

Nie miałem w całej Ameryce Południowej nawet jednego człowieka, na którego mógłbym liczyć, że mi bodaj grosz pożyczycy, mimo to, aby uprościć sprawę, oświadczyłem:

— Rozporządzam kredytem bardzo nieznacznym.

— U kogo?

— U bankiera Haufera w Buenos Aires.

— Do jakiej wysokości?

— Suma nie jest właściwie określona. Zresztą nie należę do ludzi zamożnych.

— Pańskie zachowanie się świadczy o czym innym. Wystawi mi pan przekaz na tego bankiera.

— O, myli się pan, majorze, nie wystawię żadnego przekazu — upierałem się.

— Nie, to nie! Jeżeli woli pan być rozstrzelany...

— Pan tego nie uczyni, bo już pan przyrzekł, że nie odbierze mi życia.

— Prawda, ale dałem słowo pod warunkiem, że się pan zgodzi na wszystko, czego zażadam. Ponieważ jednak upiera się pan przy swoim, mogę słowo to cofnąć.

— Chyba pan żartuje?

— Nie, señor. Mówię zupełnie poważnie. Podpisze pan przekaz czy nie?

— Wymusza pan to na mnie, majorze — odrzekłem po chwili udanego namysłu.

— Ja nic na nikim nie wymuszam, señor.

— Jeżeli żądania przekazu pieniężnego pod groźbą śmierci nie uważa pan za wymuszenie, to nie wiem, co na to odpowiedzieć.

— Mniejsza o to! Co zatem pan postanowił?

— Rozumie się, że nie mogłem nic innego postanowić, jak tylko wystawić panu przekaz.

— Ale natychmiast. Na razie wystarczy, jeżeli potwierdzi pan na papierze, że jest mi winien dziesięć tysięcy talarów. Formalny przekaz wystawi pan później.

— Dziesięć tysięcy! No, no! Nie sądzę, aby wasi żołnierze byli tak wspaniale wyposażeni!

— Przynajmniej pan będzie wyposażony wspaniale. Proszę usiąść i pisać. Oto kartka papieru i ołówek!

Po tych słowach na rozkaz majora rozwiązano mi ręce i posadzono obok niego. W chwili gdy byłem zajęty pisaniem, ukazał się nad rzeką Piotr Aynas z Dayą. Nie wiedzieli oni, co się tu stało, zobaczywszy więc bolarzy stanęli zdziwieni. Major krzyknął:

— Tutaj, tutaj, bo każę strzelać!

Groźba jednak nie poskutkowała; Indianin i jego żona najspokojniej poszli dalej i zniknęli w zaroślach.

— Marsz za nimi! — rozkazał major kilku swoim ludziom. — Przeszukać ich chatę i zabrać wszystko, co się da. Może znajdziecie pieniądze, które niedawno otrzymał.

Draby pobiegli natychmiast, ale wkrótce wrócili z pustymi rękoma, oświadczając, że Aynas z żoną zniknęli jak kamfora, w chacie zaś nie było nic do zabrania.

Major, otrzymawszy moje oświadczenie, polecił związać mnie ponownie i zawlec do reszty jeńców, przy czym pozwolono nam rozmawiać ze sobą, co uważałem za wielki błąd z ich strony. Następnie dwóch bolarzy pobiegło w górę rzeki, aby wypatrywać jakiegoś statku lub tratwy. Major wydawszy im to polecenie, zwrócił się do mnie:

— Jak się pan domyśla, mamy zamiar przeprowić się przez rzekę po raz drugi, i prawdopodobnie chciałby pan wiedzieć, w jaki sposób udało nam się wrócić tutaj tak szybko z tamtego brzegu.

Nic na to nie odrzekłem, a on ciągnął dalej:

— Pan sam ułatwił nam tak szybki powrót... Aha, mam przekazać panu ukłony od flisaków. Przesyłają panu serdeczne podziękowanie za to, że ich pan uwolnił z mych rąk.

— Głupcy! — mruknąłem.

— A jednak gdyby pan ich oswobodził, to rzeczy w tej chwili inaczej by wyglądały.

— Po co miałem ich oswobadzać, skoro nie groziło im żadne niebezpieczeństwo? Zresztą i czasu na to nie było.

— Właściwie nie troszczył się pan o nich i dlatego zemścili się na was, przewożąc mój oddział z powrotem na tę stronę rzeki, ale znacznie niżej, aby pan tego nie zauważył. To dowód, że potrafimy dać sobie radę nawet z takimi śmiałkami jak pan, co więcej, że potrafimy wykorzystać ich zdolności do swoich celów. Jest pan odtąd żołnierzem mojego oddziału. Że jednak mam niezachwiane przekonanie, iż przy najbliższej sposobności będzie pan usiłował zbiec, więc musi być pan skrępowany aż do chwili, gdy się przekonam, że ucieczka będzie niemożliwa.

To rzekłszy, odszedł, nie troszcząc się już o mnie.

Jeńcy słyszeli tę naszą rozmowę, bo ułożono mnie tak, że po jednej stronie miałem brata Hilaria, a po drugiej kapitana. Nie ustawiono przy nas straży, gdyż był dzień jasny i każdy nasz ruch byłby natychmiast zauważony.

Frick Turnerstick po pewnej chwili rzekł do mnie przyciszonym głosem:

— Uf, co za przykra historia, sir!

— Nie trzeba było dać się pokonać — odparłem.

— W rekruty! I to do jakiego wojska! Zwrócę się natychmiast do przedstawiciela Stanów Zjednoczonych.

— W jaki sposób?

— Umknę im.

— Złapią pana i rozstrzelają.

— Tak, istotnie... Do diabła! Czyżby w tej pięknej krainie był zwyczaj werbowania żołnierzy drogą przymusu?

— Prawdopodobnie.

— Ależ to sprzeczne z prawem.

— Czy pan sam nie łamał tego prawa? Nie zmuszał pan ludzi do służby na swoich statkach?

— Hm... To prawda! Pies psa je, gdy barana nie ma.

— A widzi pan.

— Sir, to zupełnie inna sprawa. Jeżeli na przykład marynarze moi zdezerterują, to muszę się postarać o innych, gdyż inaczej bym zbankrutował.

— Zdaje się tylko panu, że ma pan słuszność. Ale mniejsza o to. W jaki sposób obezwładniono pana?

— W sposób najgłupszy na świecie.
— Bez oporu?
— Stało się to tak nagle, że nawet myśli nie zdołałem zebrać.
— To dziwne. Jest pan mistrzem we władaniu bronią sieczną i palną, umie pan nawet podobno trafić z armaty prosto w zęby muchy siedzącej na liściu drzewa.
— Drwij pan sobie! Nie było pana przy tym...
— Albo ten pański sternik, ten kolos... Czyż nie mógł chociaż użyć swych pięści?
— On by wszystkich drabów zmełł na papkę kartoflaną, ale nie mógł tego uczynić, bo leżał prawie bez życia w zaroślach.
— Czym się tak wystraszył, że aż stracił przytomność?
— Sir, proszę nie przekomarzać się ze mną i ze mnie nie szydzić, bo ja tego nie lubię. Jeżeli chce pan wiedzieć, jak było, to proszę zapytać brata Hilaria albo innych towarzyszy, bo co do mnie, nie chcę być obiektem pańskich dowcipów. Mam już i tak dosyć. A co do pana, to sądzę, że powinien pan nieco spuścić z tonu, bo leży pan obok mnie również obezwładniony. Gdyby pan był tutaj, wypadki potoczyłyby się tak samo.
— O, nie! — wtrącił brat Hilario. — Señor nie wpadłby w zasadzkę tak haniebnie; jestem o tym najmocniej przekonany.
— Cóż to była za zasadzka? — zapytałem.
— Głupia, señor! Tak głupia, że wstydzę się na samą myśl, że w nią wpadliśmy z taką łatwością. Opowiem ci, jeśli mnie nie wyśmiejesz.
— Nie widzę powodu do śmiechu. Sprawa jest poważna i nie nadająca się do żartów.
— Niestety, tak. Sternik poszedł zluzować *yerbatera* na posterunku, ale, nie zastawszy go na miejscu, zaczął go szukać i nagle został obezwładniony uderzeniem kolby w głowę.
— A więc przeciwnicy byli już tutaj i przede wszystkim załatwili się ze strażą?
— I to tak cicho, że niczego nie zauważyliśmy. Po pewnej chwili Monteso usłyszał wołanie w oddali i myśląc, że wzywa go towarzysz z warty, poszedł i przepadł. Potem zawołano mnie...
— I brat poszedł również, bez namysłu?
— Daj pan pokój! Wszystko to odbyło się tak szybko i gładko, że nie było czasu na rozważania.
— Więc brat nie stawiał oporu?
— Nie mogłem. Uderzono mnie znenacka kolbą w głowę. W taki zresztą sposób obezwładniono nas kilku, a na pozostałych napadli draby tutaj. Odbyło się to tak błyskawicznie, że żaden nie miał czasu nawet pomyśleć o obronie.
— To oczywiste, że nie każdy obdarzony jest zdolnościami szybkiego orientowania się — rzekłem. — I nie ma nad czym ubolewać. Stało się! Teraz trzeba pomyśleć, jak wydostać się z matni.
— Czy ma pan jakąś nadzieję?
— Owszem, nie tracę jej zresztą nigdy. Nie ma bowiem nieszczęścia, któremu by nie towarzyszyło... szczęście!
— Ale w jaki sposób ujęto pana? Nie mogę wprost uwierzyć, że i pana mogło to spotkać.
— Dziękuję za uznanie. Byłem tak samo nieprzezorny jak wy.
I opowiedziałem towarzyszom, jak zarzucono na mnie łąso, a następnie bole. Słuchali z zainteresowaniem, wreszcie przyznali, że faktycznie nie mogłem się obronić, a sternik syczał przez zęby:
— Gdybym tylko mógł uwolnić ręce z więzów... dałbym ja tym drabom! Pogniółbym im łby jak orzechy!
— No, no! — rzekłem. — Niech się pan uspokoi. Żadnemu z nas nie wolno nic uczynić bez zgody wszystkich. Musimy udawać, że jesteśmy skłonni pogodzić się z losem. Na razie życiu naszemu nie zagraża niebezpieczeństwo i to powinno nas uspokoić.

— Ba, ale później możemy nie mieć żadnych możliwości ratunku — odezwał się *yerbatero*.
— Porozdzielają nas zapewne. Bo wątpię, aby zrezygnowali z zamiaru wcielenia nas do bandy...

— O, nie! Nie zrezygnują z tego!

— Gdyby nas rozdzielono, nie moglibyśmy porozumiewać się ze sobą.

— Do tego jeszcze daleko. A zresztą nie wiemy, do jakiej armii zostaniemy wcieleni.

— Na pewno do oddziałów Lopeza Jordana.

— Hm... Gdyby tak mieć dowody, że przygotowuje on powstanie przeciwko obecnemu rządowi...

— O tym wszyscy wiedzą doskonale.

— Wobec tego rząd może się z nim rozprawić bardzo szybko.

— No, niekoniecznie. Jordan ma podobno liczną jazdę i wojsko rządowe miałyby z nim poważne problemy, zwłaszcza tu, na terenie stepowym.

— A ma on pieniądze?

— Owszem, odziedziczył wielki majątek po teściu.

— Którego kazał zamordować. Wiem o tym. Ale majątek, choćby był nawet ogromny, nie wystarczy na koszt rewolucji. Na to potrzebne są miliony.

— To się postara o pieniądze drogą rabunku lub wymuszenia. Ciągłe przecież wysyła swoich ludzi w dalekie nawet strony, by kradli konie, i nie tylko konie. Rabują też pieniądze, jak tego na sobie doświadczyliśmy.

— Major zabrał wam pieniądze?

— Wszystkie, nie pozostawił nam nic.

— Tylko moich pieniędzy nie ruszył — uśmiechnął się kapitan.

— Czy ma je pan jeszcze? — zapytałem.

— *Yes!* Powiedziałem przecież panu niedawno, że sam bym ich nie znalazł, gdybym nie wiedział, gdzie są ukryte.

— Czy pana znają w Nowym Jorku?

— Nawet bardzo dobrze. Ale czemu pan pyta? Czyżby miał pan tam kogoś, kto by nam pomógł w nieszczęściu.

— Owszem, mam.

— Ja też znam dosyć sprytnego człowieka.

— Doskonale się składa! Cóż to za osobistość?

— Jest to kupiec, właściciel domu handlowego.

— Ach, tak? Gdzie znajduje się jego biuro?

— Na placu Wekslarskim. Spekuluje ostro i nie zawsze pyta o autentyczność papierów. A nazywa się...

— Może Hounters?

— Tak. William Hounters?

— Czy utrzymywał pan z nim stosunki handlowe?

— Kilkakrotnie miałem z nim do czynienia, ale zerwałem kontakty, bo to osobnik zbyt przemądrzały i w dodatku nie bardzo uczciwy. Czyżby na niego pan liczył? Moim zdaniem to nie ma sensu. Człowiek, który mógłby nam pomóc musiałby być tutaj.

— W tym wypadku niekoniecznie. Idzie głównie o to, aby pan dał w tę samą dudę co ja.

— Proszę dać mi tę dudę, a będę grzmiał, nie tylko dał.

— Cieszy mnie to. Otóż koniecznie musi pan powiedzieć, że statek pański stoi w porcie Buenos Aires... ale z jakimi towarami, o tym niech pan nie mówi, udając, że to wielka tajemnica.

— W jakim celu?

— O tym później. Właściwie sam pan nie wie, co zawierają skrzynie i paki, które załadowałem na pański statek.

— Pan? — przerwał zdumiony.

— Tak, ja. Przybyłem razem z panem z Nowego Jorku. W Montevideo wysiadłem na ląd, a pan udał się do Buenos Aires, aby tam oczekiwać mego powrotu.

— Ależ, sir, nie rozumiem z tego ani słowa!

— To nic nie szkodzi. Wywiózł pan z Nowego Jorku jedynie moje towary w pakach i beczkach. Wie pan też, że zakupiłem je u owego Hountersa. Mnie wysłał on jako swego pełnomocnika, a panu nakazał stosować się we wszystkim do moich wskazówek.

— Teraz to już gotów jestem uwierzyć, sir, że komar może zostać wielbłądem. Wszystko to, co mi pan opowiada, wije mi się w głowie jak kłęb gąsienic.

— Ale jedna taka gąsienica przeradza się następnie w pięknego motyla. Otóż ja wysiadłem w Montevideo i mniej więcej za tydzień miałem się spotkać z panem w Buenos Aires. Że jednak czas panu pozwalał, postanowił pan zwiedzić Urugwaj a przy okazji poszukać towaru, który mógłby pan zabrać w powrotnym kursie. I przy tej sposobności zetknął się pan z nami.

— Chyba pan żartuje? Czyżby znalazł się ktoś taki, kto by uwierzył w podobne historie?

— Owszem, uwierzy, i nawet bardzo go ta bajka ucieszy.

— Ba, ale kto to ma być?

— Nikt inny, tylko Lopez Jordan we własnej osobie.

— Nie mam przyjemności znać tego pana.

— Ale go pan pozna, bo prawdopodobnie z nim właśnie będziemy mieli wkrótce do czynienia. Może pan powtórzyć ten wymysł, ale tylko jemu samemu, nikomu więcej. Przy tym tajemnicę tę wolno panu zdradzić przed nim jedynie w mojej obecności. Zresztą musimy się postarać, by nas zawsze przesłuchiowano razem, a więc, abyśmy nie zostali rozdzieleni. Gdyby zaś który z was nie wiedział, co ma odpowiedzieć, niech odeśle pytającego do mnie.

— Czy wchodzi tu w grę jeszcze ktoś inny oprócz mnie?

— Señor Mauricio Monteso.

— Ja? — wtrącił zdziwiony *yerbatero*.

— Tak. Stwierdzi pan mianowicie, że spotkaliśmy się u Tupidy w Montevideo.

— To przecież nie wymysł, tak było rzeczywiście.

— Tym lepiej. Cieszy się pan wielkim zaufaniem Tupidy i on wysłał pana ze mną do prowincji Entre Rios, nakazując surowo, aby pan starał się ułatwić mi tę podróż. Resztę może pan opowiedzieć tak, jak było istotnie.

— Ale po co mam to wszystko opowiadać?

— Aby ułatwić sobie wydobycie się z niewoli. Jestem pewny, że poprowadzą nas do oddziałów dowodzonych bezpośrednio przez Lopeza Jordana.

— Mówiąc nawiasem, nie bardzo rozumiem pańskie plany, ale zastosuję się dokładnie do otrzymanych wskazówek. Czy jednak nie byłoby dobrze, gdyby nam pan przedstawił tę sprawę jasno i zrozumiale?

— Nie. Muszę zachować tajemnicę. I właśnie za to Lopez Jordan będzie mi bardzo wdzięczny.

Przerwaliśmy rozmowę, gdyż w tym momencie wrócili owi dwaj ludzie wysłani przez Caderę w górę rzeki na zwiady i oznajmili, że nadpływa jakaś tratwa.

Major wziął karabin i poszedł ze zwiadowcami ku rzece.

Po kilku minutach usłyszeliśmy huk wystrzału. To prawdopodobnie wystrzelił Cadera, aby porozumieć się z flisakami.

Wkrótce wrócił ze zwiadowcami do obozu i rozkazał swym ludziom, aby zakneblowali nam wszystkim usta, a gdy tratwa przyplęnęła na to samo miejsce, gdzie stała jej poprzedniczka, zaniesiono nas na nią i ulokowano wraz z naszymi końmi.

Major przez chwilę rozmawiał po cichu z flisakami, dawał im jakieś pieniądze, a oni patrzyli przy tym na nas bardzo nieżyczliwie, z czego domyśliłem się, że przedstawił nas jako skończonych łotrów.

Przeprawa na lewy brzeg Urugwaju odbyła się bardzo szybko i bez przeszkód, po czym flisacy, podziękowawszy uniżenie majorowi, popłynęli dalej, a nas poniesiono przez moczary i zarośla na suche miejsce, gdzie kilku bolarzy pilnowało należących do oddziału koni. Na rozkaz majora poprzywiązywano nas do najnędnějších szkap, on zaś sam, widocznie niezły znawca, wybrał dla siebie mego gniadosza, który istotnie był najlepszym ze wszystkich zebranych tu wierzchowców. Kiedy jednak major chwycił za cugle i wsadził nogę w strzemie, mój gniadosz stanął dęba i począł gwałtownie wierzgać.

— Co ta bestia wyprawia! — krzyczał zaperzony Cadera.

Nie mając już ust zakneblowanych, odpowiedziałem na to pytanie:

— Mój koń ma jedną wadę, majorze: pozwala wsiąść na siebie tylko dobremu jeźdźcowi.

— Myśli pan, że ja nie umiem jeździć?

— Mniejsza o to, co ja myślę, najważniejsze, że tak myśli mój gniadosz.

— A ja go przekonam, że się myli — powiedział z pewnością siebie. I przy tych słowach chciał wskoczyć na siodło. Próba jednak znowu się nie powiodła, choć paru drabów trzymało konia z obydwu stron.

— Prawdziwy diabeł, jak jego pan! — mruczał Cadera. — Ale ja go nauczę posłuszeństwa!

I zamierzył się, by uderzyć rumaka. Widząc to, krzyknąłem:

— Nie bij pan! To zwierzę nie przyzwyczajone do bicia!

— Dlaczego więc nie pozwala wsiąść na siebie?

— On tylko mnie przyjmuje na siodło. Zresztą proszę przyprowadzić go tutaj, a może huncwot da się nakłonić i będzie panu posłuszny.

Gdy doprowadzono go do mnie, istotnie przestał się narowić i pozwolił majorowi się wsiąść w siodło. Ale kiedy tylko ten oddalił się ode mnie o parę kroków, nastąpiła katastrofa. Wierzchowiec stanął nagle dęba i szarpnął się w bok tak zwinnie, że major zleciał jak gruszka z drzewa w trawę. Byłem przekonany, znając gniadosza, że sprawi majorowi taką niespodziankę, i dlatego to poradziłem mu, aby się zbliżył z koniem do mnie. Ku nietajonej mojej radości niefortunny jeździec, podnosząc się z trawy, stękał i kłął niemiłosiernie. Wreszcie rozkazał:

— Zastrzelić kanalię! Natychmiast!

— Stać! — krzyknąłem, widząc, jak kilku żołnierzy podniosło karabiny, by wykonać rozkaz majora. — Chce pan zabić najlepszego konia? Przecież on da się powoli ujeździć...

— Może i ma pan słuszość — stwierdził Cadera. — Dajcie mu pokój. Perez, wsiądź ty!

Wywołany żołnierz próbował wskoczyć na siodło, ale daremnie. W jego ślady poszło kilku najśmielszych, oni jednak także musieli zrezygnować. Wreszcie major, klnąc i odgrazając się, rad nierad oddał konia do mojej dyspozycji, bo gdyby tego nie uczynił, musiałby jeden z żołnierzy iść obok kapryśnego rumaka pieszo. Gdy mnie na nim posadzono i przywiązano, zachowywał się zadziwiająco spokojnie. Zaraz też ruszyliśmy w drogę, przy czym nas, jeńców, wzięto do środka.

Okolica nie różniła się prawie od tej, którą przebyliśmy po tamtej stronie rzeki. Jechaliśmy bez wytchnienia, mijając rozrzucone tu i ówdzie rancho i hacjendy, od których jednak trzymaliśmy się z dala. Że zaś nie mówiono podczas drogi ani słowa, nie mogłem się dowiedzieć ani też domyślić celu naszej podróży.

Po południu znaleźliśmy się wśród ożywiających się coraz bardziej stepów. Luźno pasące się trzody zdarzało się nam spotykać już poprzednio, teraz jednak wymijaliśmy od czasu do czasu jeźdźców, dążących w różnych kierunkach, którzy przy zetknięciu się z nami oddawali majorowi honory wojskowe.

Niebawem spostrzegliśmy w oddali całe oddziały jezdnych, zajętych musztrą, a dalej wielki kompleks budynków, które, jak się wkrótce przekonaliśmy, były celem naszej podróży.

— To *castillo del libertador** — rzekł major, zwracając się do nas. — Tam rozstrzygną się wasze losy.

Zapowiadany jednak szumnie przez majora „zamek”, gdy się do niego zbliżyliśmy, okazał się zbiorowiskiem skleconych z ziemi mizernych domków z trzcinowymi dachami. Liczba ich jednak była znaczna, a obszar ogrodzony, czyli korral, imponował swoimi rozmiarami. Wywnioskowałem z tego, że właściciel tej posiadłości musiał należeć do najbogatszych ludzi w kraju. Wprawdzie w pobliżu nie zauważyłem bydła czy owiec, ale budziły mój podziw olbrzymie stada koni. Uwijali się wśród nich ludzie jak w jakim mrowisku.

Po bliższym przyjrzeniu się można było przypuszczać, że są to koszary zamieszkałe przez wojsko, aczkolwiek mundury niezwykle kolorowe i fantastycznego kroju, tworzyły bezładną pstrokaciznę i różnorodność; to samo dałoby się powiedzieć o broni. Żołnierze ci byli przeważnie boso, nie brakowało jednak żadnemu wielkich ostróg umocowanych do gołych pięt. Można było dostrzec wśród tej zbieraniny ludzkiej „rycerzy” bez butów, ale w cylindrach i angielach, skrojonych na modę francuską lub angielską, co sprawiało niezwykle komiczne wrażenie. Karabiny mieli tylko niektórzy z wojaków, natomiast każdy z nich posiadał bole i lasso.

Zatrzymaliśmy się przed budynkiem głównym, przed którym, w pewnej od niego odległości, stało kilkuset tych „rycerzy”.

Wywnioskowałem, że to zapewne kwatera miejscowego pseudo-Napoleona czy Moltkego.

Przed owym domem major zsiadł z konia i udał się do wnętrza, zapewne po to, by zameldować o swoim przybyciu, reszta drabów tymczasem, trzymając nas ciągle w środku, oczekiwała jego powrotu.

Po półgodzinie major wyszedł ku nam, zachowując w ruchach i wyrazie twarzy wielką powagę.

— Wnieść ich do środka! — rozkazał ostrym tonem. Zsadzwszy nas z koni, wprowadzono do wnętrza budynku, do jakiejś sieni, gdzie uwijała się również spora liczba drabów, a stąd do zupełnie pustego pomieszczenia.

— Tu zarzucamy kotwicę — odezwał się ponuro Turnerstick, gdy zaryglowano za nami drzwi. — Diabelnie obrzydliwy port, gorszy niż Buenos Aires, dokąd miałem podążyć. Ha, wiatr powiał z innej strony i zmienił mój kierunek. Ciekaw jestem, co z nami zrobią... Przynajmniej muszę postarać się o uwolnienie rąk...

— Daj pan spokój — rzekłem — bo pokaleczy pan ręce. Rozwiążemy je sobie kolejno.

Pokazałem następnie swoim współtowarzyszom, w jaki sposób można usunąć więzy, i przekonałem się, że najpojętniejszy jest *yerbatero*, który wnet dokonał tej sztuki. Mając ręce wolne, rozwiązaliśmy wszystkim krępujące ich rzemienie, po czym kapitan, podnosząc swą ogromną pięść, rzekł groźnie:

— No, niech teraz przyjdzie tu który, a rozleje się mazią po ziemi!

— Niech pan zachowa spokój — ostrzegłem go — bo tu nic nie uzyska się gwałtownością. Jedyną naszą deską ratunku to podstęp. Przecież widzieliście, że w pobliżu uwija się co najmniej tysiąc drabów.

— To po co nam pan porozwiązywał ręce?

— Bo wkrótce zaprowadzą nas przed oficera wysokiej rangi i uważam, że nie powinienem, stając przed nim, mieć rąk związanych.

— Zwiążą je panu na nowo.

— Przypuszczam, że nie. Proszę was wszystkich, byście zachowali jak największą ostrożność, gdyż najmniejsza próba oporu z waszej strony może pogorszyć naszą sprawę. Zresztą pozwolimy się związać ponownie jedynie w ostateczności. Jeżeli Lopez Jordan znajduje się tutaj, to możecie być pewni, że wkrótce odzyskamy wolność.

* Zamek oswoobodziciela.

Nie mając więzów na nogach, mogliśmy swobodnie poruszać się w naszym więzieniu. A składało się ono jedynie z czterech nagich ścian. Zamiast podłogi była tu tylko twardo ubita ziemia. Pokładliśmy się na niej i czekaliśmy, co nam los przyniesie.

Po upływie kilku godzin odryglowano drzwi i ukazał się major w towarzystwie obdartego żołnierza.

— Niech wyjdzie ten... ten... Europejczyk — rozkazał.

— Ja? Sam tylko? — zapytałem.

— Tak.

— Zarzucić mi pan ramię na ręce — szepnąłem do *yerbatera*, trzymając dłonie z tyłu. — Ale tak, bym w każdej chwili mógł mieć je wolne.

Major nie mógł widzieć tych manipulacji, bo w izbie było ciemno.

— No, prędej tam! Generał czeka! — niecierpliwił się, uważając, że się ociągam.

— Mam się stawić przed generałem? Po co?

— Zaraz się pan dowie.

— Ale dlaczego sam, a nie wszyscy?

— Co to pana obchodzi! Prędej!

Poszedłem za majorem, udając, że mam naprawdę skrepowane ręce. Za drzwiami czekało na nas jeszcze czterech żołnierzy, którzy wzięli mnie między siebie i poprowadzili do obszernego pomieszczenia, w którym leżeli lub siedzieli żołnierze, paląc papierosy i cygara. Pod ścianami ustawiona była lub porozwieszana na kołkach broń. Na ziemi bieleło się od niedopałków papierosów porzucanych wśród warstwy śmiecia, a powietrze było nie do zniesienia. Przeszedłszy przez tę izbę, weszliśmy do następnej, również obszernej, ale nieco schludniej utrzymanej. Na środku stał stół, a na nim paliła się lampa. Na zydlach naokoło stołu siedzieli jacyś mężczyźni, którzy, wywnioskowałem to z ich butnej postawy, należeli do korpusu oficerów, ale w jakich byli stopniach, nie mogłem odgadnąć, gdyż nie mieli żadnych odznak. Zostawiawszy tu żołnierzy, którzy mnie prowadzili, przeszliśmy do kolejnej izby, urządzonej w porównaniu z poprzednimi z pewnym komfortem. Tu stały dwa stoły: jeden koło okna bez szyb, drugi na środku pokoju. Przy pierwszym siedzieli dwaj oficerowie, paląc papierosy; przed nimi stały szklanki z winem. Przy stole środkowym zajmował miejsce oficer w starszym wieku. W tej chwili przyglądał się on pilnie rozłożonej przed nim mapie, szukając na niej widocznie jakiejś miejscowości.

Był to człowiek około lat sześćdziesięciu, a jednak nie miał jeszcze siwych włosów. Ubranie jego składało się z bogato wyłożonego niebieskiego fraka i białych spodni. Na nogach miał buty z wielkimi cholewami. Szlify od ramion zwisały mu niemal po łokcie. Zdawało mi się, że mam przed sobą karykaturę „rycerza” z operetki, tak mizerną wydała mi się ta postać wyłożonego dowódcy bosych i obszarpanych żołnierzy. Najmniejsza trwoga nie zmąciła mojego spokoju, gniewało mnie tylko to, że stojący w pobliżu major miał na sobie mój pas, a w nim moje rewolwery.

Staliśmy przy drzwiach około pięciu minut, a major, nie mając odwagi przystąpić wprost do zwierzchnika, chrząkał i kaszłał, co sprawiło, że generał, nie znalazłszy widać na mapie szukanej miejscowości, raczył wreszcie podnieść głowę. Obrzucił mnie bystrym i przenikliwym spojrzeniem, po czym zapytał majora:

— Czy to ten przybłęda z Europy?

— Tak, generale.

— Dobrze. Zostanie pan tutaj, aby go potem znowu odprowadzić.

To mówiąc, wyjął z pudełka leżącego na stole papierosa, zapalił go, a założywszy nogę na nogę spojrzał na mnie niechętnym i lekceważącym wzrokiem.

— W jakim kraju jesteś urodzony? — zapytał.

Major stał za mną. Odsunąłem się na bok i spojrzałem na niego, jak gdybym przypuszczał, że pytanie to do niego jest skierowane.

— Pytam się, w jakim kraju się urodziłeś — powtórzył podniesionym głosem generał. Ja zaś uparcie patrzyłem na majora, jakby zaintrygowany, dlaczego nie odpowiada.

— Ciebie pytam! Ciebie! — krzyknął generał, zrywając się z krzesła.

— Mnie? — wzruszyłem ramionami.

— Ciebie, ciebie! Odpowiadaj, bo inaczej zmuszę cię do tego.

— Zdawało mi się, że pytanie to skierowane było do señora Cadery, i przyznam, ucieszyło mnie to, że między argentyńskim generałem a majorem panuje stosunek tak familiarny.

— Człowieku! Czy wiesz, z kim mówisz?

— Oczywiście z... tobą!

Generał cofnął się o krok, obaj oficerowie siedzący przy drugim stole zerwali się na równe nogi, major zaś chwycił mnie za ramię.

— *Chispas!* — krzyknął generał. — Czy słyszał kto, żeby pierwszy lepszy gałgan przemawiał do generała per „ty”?

Obaj oficerowie dobyli szabel, a major sięgnął do klamki u drzwi i zapytał:

— Czy mam przywołać profosa, panie generale?

Generał przecząco potrząsnął głową i, usiadłszy na swoim miejscu, mruknął:

— Nie. Taki wagabunda nie jest przecież w stanie mnie obrazić. Ale pan, panie majorze, nie mylił się, opisując mi tego człowieka. Po nim wszystkiego spodziewać się można. Już to samo, na co się wobec mnie powążył, potwierdza pańskie słowa. Ale mniejsza o to — machnął ręką i, rozparłszy się na krześle, zapytał mnie jeszcze raz:

— Jest pan z Europy?

— Tak, señor — odrzekłem.

— Czym się pan zajmuje?

— Jestem uczonym podróżnikiem.

— Olala! Jeżeli tam, w starym kraju, wszyscy uczeni podobni są do pana, to rad bym wiedzieć, jak wobec tego wygląda prostak.

— U nas, panie generale, nie ma prostaków w ogóle. Wątpię, czy nawet analfabeta tykałby u nas obcego człowieka. Poniżałoby to jego samego.

— Zastrzegam, że uwag podobnego rodzaju nie zniosę, i może być z panem bardzo źle.

— Nie obawiam się wcale pańskiej groźby, zastanawiam się natomiast, kto pana upoważnił do przemawiania do mnie podobnego rodzaju tonem. To, że pan jest generałem, nie stawia pana wyżej ode mnie. Zresztą pierwszy lepszy kapral z którejkolwiek armii europejskiej niewątpliwie posiada więcej zdolności i... taktu od pana. Mniejsza jednak o to. Zapytam tylko, jakim prawem wymyśla mi pan od wagabundów? Czy zna mnie pan? Czy próbował pan ustalić, dlaczego, z jakiego powodu znalazłem się przed panem? Czy jest pan pewny, że nie dał się wprowadzić w błąd? Wagabundami są ci, którzy mnie tu przyprowadzili, i ja domagam się, aby ich pan jak najsurowiej ukarał.

Wypowiedziałem to wszystko tak szybko, że ów generał nie zdążył mi przerwać, ale wyglądał na człowieka, którego najnie spodziewaniej wypoliczkowano. Obecni zaś patrzyli na mnie z nieopisanym zdziwieniem, zaskoczeni widać moim śmiałym zachowaniem.

Właściwie jednak postawa moja wobec generała nie była wcale wyrazem odwagi, lecz jedynie taktyki. Wiedziałem, do czego zmierzam. Zorientowałem się już w, sytuacji i zdawałem sobie sprawę, na co mogę sobie pozwolić. Okna były tu takie małe, że nikt przez nie nie mógł ani wyjść, ani wejść. Drzwi za mną zaryglowano. Generał nie miał przy sobie żadnej broni, a obaj oficerowie uzbrojeni byli jedynie w szable. A major? Ten stał właśnie obok mnie...

— Proszę siadać, panowie — zwrócił się generał do oficerów, kiedy już ochłonął. — To wariat i nie można przywiązywać żadnej wagi do tego, co mówi. Chciałbym jednak usłyszeć jeszcze, jakie niedorzeczności przytoczy na swoje usprawiedliwienie.

— Chwileczkę — przerwałem mu. — Może ja mógłbym dowiedzieć się pierwszy, jakie niedorzeczności wymyślono przeciwko mnie?

— Nie, mój kochany, to zbyt wiele. Nie mam ochoty słuchać tego po raz drugi. Pan tylko odpowie mi na kilka pytań. Porwał się pan na majora Cadere?

— Owszem, ale dopiero wówczas, gdy mnie zaczepił zupełnie bezpodstawnie.

— Zna pan señora, który się nazywa Esquilio Anibal Andaro?

— Znam.

— Gdzie go pan poznał?

— W Montevideo.

— Przy jakiej sposobności?

— Wziął mnie za pułkownika Latorre'a i przyszedł do mnie.

— Tak, wiem o tym. Następnie ciąży na panu zarzut, że przy pierwszym spotkaniu z majorem złamał mu pan szablę, a wczoraj wieczorem uwięził go i zabrał mu pieniądze.

— Tak jest.

— To wystarczy. Więcej nie muszę wiedzieć. A teraz niech się pan zbliży do okna i popatrzy na zewnątrz.

Podszedłem do okna, generał zaś zapytał:

— Co pan tam widzi?

— Widzę dwunastu żołnierzy.

— Co mają w rękach?

— Karabiny.

— Otóż za dziesięć minut kule z tych dwunastu karabinów znajdą się w pańskiej głowie.

Powiedział to tonem poważnym i wiedziałem, że nie dla postrachu jedynie. Wróciwszy na poprzednie miejsce, gdzie stał major, rzekłem:

— Pan generał wypowiedział słowa, które dla mnie wcale miłe nie są. Śmiem jednak zauważyć, że mimo twierdzących odpowiedzi na pańskie pytania, nie popełniłem nic takiego, za co by można mnie było ukarać choćby w najłżejszy sposób, a cóż dopiero skazywać na śmierć przez rozstrzelanie. Lecz nawet przypuścimy, że istotnie popełniłem coś złego, to jeszcze przysługuje mi prawo przesłuchania przez upoważniony do tego sąd.

— Owszem, ja i ci dwaj oficerowie tworzymy właśnie sąd.

— Ach, tak! A gdzie jest mój obrońca?

— Nie potrzeba tu żadnego obrońcy.

— Nie? A czy byłem przy tym, gdy mnie oskarżano?

— To rzecz zbyt wiele, to formalność. Tu obowiązuje stan wyjątkowy. Że się pan porwał na oficera, winien jest pan zbrodni i za to właśnie będzie pan rozstrzelany.

— Więc nie mam możliwości odwołania się do wyższych instancji?

— Nie. Mam od naczelnego wodza wszelkie pełnomocnictwa.

— Czy mógłbym wiedzieć, jak się nazywa ta osobistość?

— Lopez Jordan.

— Jordan? Jeżeli tak, to domagam się rozmowy z nim.

— Jego tu nie ma! Lecz choćby i był, nie spełniłbym pańskiego żądania, bo nie mogę obarczać go takimi drobnostkami.

— A co się stanie z moimi towarzyszami?

— Zostaną wcieleni do naszej armii.

— Proszę posłuchać, panie generale. Mam do zakomunikowania Jordanowi bardzo ważną wiadomość.

— Nie wierzę.

— Bez tego, co mu mam powiedzieć, przedsięwzięcie jego w żaden sposób się nie uda!

— Wykręty! Każdy skazaniec zmyśla podobne nedorzecznosci, aby odwlec chwilę egzekucji. Nie, panie! Nie zobaczy się pan z naszym wodzem. A zresztą zachowanie pańskie jest tego rodzaju, że z samej przezorności nie mógłbym dopuścić do czegoś podobnego.

— Więc jakże? Chcecie mnie rozstrzelać natychmiast, pomimo że nie macie do mnie jako do obcego obywatela żadnych praw?

— Powiedziałem już panu, że tu obowiązuje stan wyjątkowy.

— Generale! Bierze pan na siebie wielką odpowiedzialność.

— Wiem, co czynię. Majorze, wyprowadzić delikwenta i złożyć mi potem raport o jego śmierci.

— W ten sposób nie zabija się nawet zbrodniarzy! — rzekłem surowo, wysuwając jednocześnie ręce z rzemieni. — Czy nie mógłbym przynajmniej prosić o księdza?

— Nie! Zabrać go!

— Szkoda, generale, że pan mnie nie zna, gdyż w przeciwnym razie postąpiłby pan ze mną trochę oględniej. Pan mnie nie może rozstrzelać! „

— Ee! Na co pan czeka jeszcze, panie majorze? — krzyknął, tupiąc nogą i wskazując drzwi.

Major chciał chwycić mnie za ramię, ale nie zdążył, gdyż otrzymał potężny cios pięścią w głowę i, zatoczywszy się, runął na podłogę. W jednej chwili wyrwałem mu z pasa obydwie moje rewolwery i, wymierzywszy jeden w oficerów, a drugi w generała, ostrzegłem:

— Panowie, proszę mówić po cichu, aby ci, którzy są w przyległej izbie, niczego się nie domyślili. Jeżeli przy tym ktoś z was choćby ręką ruszy bez mego zezwolenia, dostanie kulę w łeb!

Nagły ten zwrot w sytuacji oszołomił obecnych. Czegoś podobnego przypuszczać nawet nie mogli, stali więc jak wryci, a ja mówiłem:

— Wspomniał pan, generale, że po mnie wszystkiego można się spodziewać. I nie pomylił się pan. Możecie panowie być pewni, że zanim dam się rozstrzelać, padniecie wszyscy trzej od moich kul. Przeliczyliście się bowiem. Ja nie jestem pastuchem argentyńskim, któremu samo słowo „generał” odbiera zdolność myślenia. Ja cenię ludzi, nie tytuły, i nie dam się wywieść w pole byle łobuzom. Ten tak zwany major wpadł w granice Urugwaju jak pospolity zbój, a że chcieliśmy mu przeszkodzić w jego zbrodniach, przysłała wam ochota stracić mnie. Widzicie jednak, że ze mną sprawa nie jest taka prosta, jak się wam zdawało. Proszę zająć miejsca!

Wahali się przez chwilę, czy spełnić mój rozkaz, więc powtórzyłem:

— Proszę siadać! Te rewolwery zrabował mi major i należą do mnie; znam ich właściwości i umiem posługiwać się nimi.

Postąpiłem dwa kroki do przodu, trzymając rewolwery w obu rękach gotowe do strzału. Twarz moja musiała jednak wyglądać o wiele groźniej niż lufy mojej broni, gdyż oficerowie strwożeni usiedli, a generał ledwie zdołał wykrztusić:

— Nie będzie pan strzelał... To byłoby dla pana zbyt ryzykowne.

— Co pan mówi? Co może mieć do zaryzykowania człowiek skazany na śmierć?

— Ale ten krok i tak pana nie uratuje!

— To jeszcze pytanie, generale! Poza tym zbrodnia, którą na mnie chcieliście popełnić, wydając barbarzyński wyrok, a nie mając do tego najmniejszego prawa, wymaga pomsty. Zresztą skąd pan wie, że się od was nie uwolnię? Może się panu zdaje, że się boję tych wyrostków tam, za drzwiami? O, panie generale, nim rozbroiliby mnie, padłoby ich ze stu co najmniej. Uważam jednak użycie broni za zbyt bezczelne i jestem skłonny dać panu sposobność do naprawienia popełnionego błędu, aby pan później gorzko tego nie żałował. Major Cadera oświadczył mi, że należy do armii Latorre’a, i to właśnie spowodowało, że byłem do niego nastawiony nieprzyjaźnie. Gdyby przyznał się od razu, że należy do partii Jordana, nie doszłoby między nami do konfliktu. Ja bowiem zdążyłem do Jordana ze sprawą ogromnie ważną.

— Powtarzam, że znam się na wykrętach — rzekł generał, patrząc na mnie nieufnie.

— Jeżeli pan chce koniecznie uważać to za wykręt, nic na to nie poradzę. Może pan myśleć, co się panu podoba. Jak daleko stąd przebywa Jordan?

— O trzy godziny drogi.

— Niech pan natychmiast po niego pośle, generale.

— Nie mogę. Jestem przekonany, że pan kłamie.

— Mimo że mnie pan obraża — rzekłem — podyktuję panu łagodne warunki i musi je pan przyjąć. Wszak życie pańskie zależy w tej chwili od poruszenia mego palca! Puści mnie pan teraz, a właściwie każe zaprowadzić do wygodnego pomieszczenia, gdzie można przynajmniej siedzieć, następnie wyda polecenie, aby przyprowadzono tam również moich towarzyszy. Każe nas pan pilnować, a tymczasem wyśle posłańca do Jordana z prośbą, by przybył tutaj niezwłocznie. Chcę się z nim rozmówić. I jeżeli on potwierdzi wasz wyrok na mnie, dam się wam zastrzelić bez najmniejszego oporu.

— Obmyślił pan jakiś podstęp — zauważył generał, patrząc na mnie podejrzliwie.

— Nie, idę najprostsza drogą i jestem najzupełniej szczerzy.

— Ba, ale co u stu diabłów pomyśli sobie Jordan, gdy się dowie, że... że...

Nie mógł jakoś wykrztusić reszty słów, więc podchwyciłem żywo:

— Że dał się pan przycisnąć do muru „jakiemuś wagabundzie z Europy”? Może pan być pewny, generale, że przebaczy to panu. Bo lepsze to, niż gdyby miał później dowiedzieć się, że przez zamordowanie mnie wynikła dla niego niepowetowana strata.

— A gdybym się zgodził na pańskie warunki, czy odda pan broń? — zapytał.

— O, nie. Oddam ją jedynie Jordanowi. Widzę tu jakieś drzwi. Co się znajduje za nimi?

— Wolny pokój.

— Nie można z niego uciec?

— Nie.

— Wobec tego proszę sprowadzić tu moich towarzyszy i dostarczyć nam pożywienia oraz papierosów. Gdy przybędzie tu Jordan, oddam mu osobiście moje rewolwery. Do chwili jego przybycia zatrzymam je jednak przy sobie.

— Czy przyrzeknie pan, że nie będzie próbował ucieczki?

— Owszem, przyrzeknę, ale pod warunkiem, że pan również pod słowem honoru spełni moje żądania.

— Dobrze, zgadzam się. Oto moja ręka!

Chwycił moją dłoń, ale widziałem, jak wiele go to kosztowało. Przy tej sposobności rzekłem:

— Major Cadera dał mi dwa razy słowo honoru i dwa razy je złamał. Sądzę jednak, że pan, panie generale, ceni honor bardziej niż on. Ufam panu najzupełniej. Teraz przejdę do tego pokoju i będę czekał na przybycie moich towarzyszy.

— Obiecuję, że dotrzymam słowa. Chciałbym tylko prosić, aby pan zachował w tajemnicy przed moimi podwładnymi to, co tutaj zaszło. Jedynie Jordanowi może pan o tym opowiedzieć.

— Przyrzekam, generale, że spełnię pańskie życzenia.

— Proszę więc — rzekł, otwierając mi drzwi. — Towarzysze pańscy zaraz tu przybędą.

Major aż do tej chwili leżał nieprzytomny na ziemi. Pochyliłem się nad nim i odpiąłem swój pas, w którym znajdowały się naboje, po czym wszedłem do wskazanego pokoju. Gdy drzwi się za mną przymknęły, generał mruknął:

— Prawdziwy diabeł! Major miał rację!

Nie przypuszczał oczywiście, że sprawa przyjmie taki obrót. Co do mnie, zastanawiając się nad tym zajściem, nie mogłem sobie wytłumaczyć, dlaczego podczas rozmowy z generałem towarzyszył mi jedynie major, żołnierze zaś, którzy mnie eskortowali, nie zostali wpuszczeni do izby. Gdyby nie ta okoliczność, kto wie, czy udałaby mi się ta sztuka tak gładko. Generałowi wierzyłem na słowo i nie zawiodłem się. Po upływie paru minut przyprowadzono moich towarzyszy i, zamknąwszy drzwi, zaryglowano je od zewnątrz.

— Co się stało? — pytał brat Hilario. — W tamtym pokoju leży major i nie daje znaku życia.
— Nic mu nie będzie.

— A! Domyślam się. Widocznie dogodził mu pan swoim zwyczajem pięścią w głowę. Ale, jeżeli tak, muszę przyznać, że zaryzykował pan wiele. Proszę powiedzieć, po co nas sprowadzono do tej izby? I jak jest z naszą sprawą? Może gorzej?

— Jeśli o was chodzi, to nie grozi wam nic; tylko mnie postanowiono rozstrzelać.

Wiadomość ta wywarła na towarzyszach moich przygnębiające wrażenie, a gdy im odtworzyłem szczegóły zajścia, wręcz wierzyć nie chcieli. Ich zdaniem, od Jordana nic dobrego spodziewać się nie powinienem, przeciwnie, należało przygotować się na to, że każe mnie zamordować za zuchwałę obejście się z jego podwładnymi. Ja jednak byłem optymistą i, korzystając z tego, że jesteśmy sami, udzieliłem im wskazówek, jak mają się zachowywać wobec Jordana.

Niebawem przyniesiono nam mięsa, soli, wody i butelkę wina. Więcej nie mogliśmy chyba wymagać, skoro nawet dla każdego z nas przeznaczono po dwa cygara. Usiedliśmy na ziemi, spożyliśmy posiłek i zapaliliśmy cygara. Za drzwiami, w pokoju generała, przez długi czas panowała cisza. Dopiero po jakiś czterech godzinach usłyszeliśmy tam przyciszoną rozmowę i odgłosy kroków, po czym odryglowano drzwi i uchylono je zaledwie tyle, że powstała szpara na szerokość ręki. Przez tę szparę dobiegł do mnie głos generała:

— Dotrzymałem danego, panu słowa: señor Jordan przybył i oczekuje pana, ale najpierw musi pan oddać nam rewolwery.

— Proszę — rzekłem, podając mu broń. — Kiedy będę mógł rozmawiać z señorem Jordanem?

— Natychmiast.

— Czy możemy wyjść wszyscy?

— Nie, tylko pan.

I otworzył drzwi przede mną.

W przyległym pokoju sytuacja zmieniła się o tyle, że obaj oficerowie i generał uzbrojeni byli w rewolwery, przy jednym zaś ze stołów siedziało trzech ludzi, z których dwaj mieli na sobie mundury oficerskie, a trzeci, zajmujący naczelne miejsce, ubrany był po cywilnemu. Przed każdym z nich leżał pistolet. Koło drzwi stał major Cadera uzbrojony w dwa pistolety. Błady był jak ściana, a z jego oczu wзираła nie tajona chęć zemsty. Czułem to wyraźnie. Grozy położenia dodawała ta okoliczność, że wzdłuż wszystkich ścian ustawiono żołnierzy z bronią u nogi. Można się było — rzecz prosta — spodziewać, że przy najmniejszym podejrzanym ruchu z mej strony miałbym na sobie nie skórę, lecz rzeszoto. Pomimo że sytuacja taka mogła zatrwożyć nawet najśmielszego, ja uśmiechałem się i rozglądałem dokoła. Ciekawa rzecz, co by się stało, gdyby żołnierze ci zaczęli strzelać ze wszystkich stron... Zresztą już samo zmobilizowanie tylu drabów przeciwko jednemu bezbronnemu człowiekowi wyglądało śmiesznie.

Generał wskazał mi ręką miejsce, w którym miałem stanąć, mianowicie naprzeciw owego ubranego po cywilnemu mężczyzny. Ten zmierzył mnie od stóp do głowy świdrującym wzrokiem, ja zaś, nic sobie z tego nie robiąc, rozglądałem się dalej wśród obecnych. Rozumie się, że z ich twarzy mogłem wyczytać jedynie wyrok śmierci na siebie. Nieszczerólnie położenie! — pomyślałem sobie. — Mogą mnie zawieść rachuby.

— Nazywam się Lopez Jordan — rzekł do mnie po chwili cywil. — Domagałeś się rozmowy ze mną i przypuszczam, że nie bez ważnej przyczyny tracę mój drogocenny czas dla ciebie. Jeżeli się okaże, że nie miałeś powodu do wzywania mnie, to wydany na ciebie wyrok śmierci znacznie zaostrzę.

Na zaimek „ciebie” kładł szczególny nacisk, doszedłem więc do wniosku, że generał opowiedział mu, że ja na jego „ty” odparłem również słowem „ty”. Jordan prawdopodobnie chciał się przekonać, czy i wobec niego postąpię tak samo.

Jak zatem miałem się zachować? Jeżeli poprzednio zaryzykowałem, należało być konsekwentnym i nie zmieniać tonu. Do takiego doszedłem wniosku i rzekłem:

— Pomimo że niektórzy zachowali się wobec mnie bardzo wrogo, cieszę się z życzliwego i poufałego traktowania mnie w tym domu. Już poprzednio bowiem generał raczył łaskawie zaszczyścić mnie braterskim „ty”, a że i od ciebie słyszę to samo, sądzę...

— Psie podły! — wrzasnął Jordan, rzuciwszy się ku mnie. — Śmiesz tak do mnie przemawiać?

— A dlaczego miałbym przemawiać inaczej? — odrzekłem spokojnie. — Wzoruję się w tym wypadku na tobie.

— Co szczekasz? Każę cię wrzucić między byki, żeby cię na rogach rozniosły!

— Straciłbyś na tym sam, Jordanie, gdyż w takim razie ani William Hounters, ani Tupido, którzy mnie do ciebie wysłali, nie mogliby...

Nie dokończyłem, bo już te słowa dokazały cudu. Twarz tego wściekłego człowieka zmieniła się w mgnieniu oka — wypogodziła się natychmiast — a on podszedł bliżej i spytał gorączkowo:

— Wymienił pan nazwiska dwu osób, które nie są mi obojętne. Więc to pańscy znajomi?

— Tak. Hounters wysłał mnie do Tupida, a ten...

— Przysyła pana do mnie?

— Tak jest.

— I co ma mi pan do powiedzenia: „tak” czy „nie”?

— To pierwsze. Wszystko już w drodze.

— *Ach, que' alegria!* I pana chciano rozstrzelać? Przecież ja oczekiwałem tego poselstwa z ogromną niecierpliwością!

Po tych słowach zwrócił się do żołnierzy i krzyknął:

— Marsz stąd, chłystki!

Na rozkaz ten żołnierze wynieśli się co prędzej, a major zrobił tak głupią minę, że na jej widok omal nie wybuchnąłem śmiechem. Ogarnęło mnie przy tym uczucie skazańca, któremu niespodziewanie zdjęto stryczek z szyi.

— Wypędziłem hołotę, señor, i możemy teraz swobodnie porozmawiać. Przede wszystkim miło mi powitać pana najserdeczniej...

To mówiąc, uściśnął mi rękę.

— Przede wszystkim, señor, mam sprawę osobistą, która wymaga niezwłocznego załatwienia — rzekłem. — Obrażono mnie śmiertelnie w drodze do pana i zamiast mi ułatwić zadanie, omal mnie nie rozstrzelano. Daruje więc pan, że go poproszę o ukaranie winnych, a potem dopiero przystąpimy do rzeczy.

— Ależ rozumie się, że spełnię pańską prośbę. Tylko nieszczęśliwemu zbiegowi okoliczności można przypisać tak przykre i niebezpieczne dla pana nieporozumienie.

— Nie, panie! To nie okoliczności, a osoby są winne. Wprowadzono rozmyślnie w błąd zarówno generała, jak i pana, i dlatego domagam się, aby pan wysłuchał mnie i dowiedział się prawdy.

— Proszę, słucham pana.

— Muszą być jednak przy tym obecni moi towarzysze, aby w razie jakiejś wątpliwości mogli poświadczyć moje słowa...

— O nie! Oni nie powinni wiedzieć, że pan...

— No, tak, nie powinni wiedzieć o naszej sprawie, ale to, co teraz będę mówił, nie odnosi się do łączącej nas tajemnicy. Przede wszystkim muszę wyświecić sprawę naszego uprowadzenia.

— Dobrze więc, niech przyjdą.

Otworzyłem drzwi i na moje skinienie wszedł do pokoju brat Hilario a za nim inni. Zobaczywszy Jordana, zakonnik skierował się ku niemu i rzekł:

— Sądząc, że mam do czynienia z señorem Jordanem, śmiem się poskarżyć na pańskich podwładnych, którzy dopuścili się wielu nadużyć. Nie wiem, jakie są pańskie zamiary, ale nie może się pan spodziewać dla swych przedsięwzięć błogosławieństwa Bożego, jeżeli ludzie pańscy postępują jak złodzieje i zbóje, jeżeli nie potrafią nawet uszanować sukni duchownej.

— Przemawiasz, bracie, śmiało, chyba zbyt śmiało — odrzekł Jordan, przypatrując się zakonnikowi uważnie i z pewną niechęcią. — Słyszałem nazwisko brata i wiem, że oznacza ono niepospolitego człowieka. Ale przestrzegam, to jeszcze nie upoważnia brata do zuchwałości.

— Za pozwoleniem, señor! Nie jest to wcale zuchwałością, że się przed panem uskarżam. Przecież dostarczono nas tutaj związanych, jak byśmy byli zbrodniarzami.

— Nie widzę jednak, żeby brat miał kajdany na rękach.

— Ba, do tej pory bylibyśmy skrępowani jak barany, gdybyśmy sami sobie nie poradzili. Zdjęto nam rzemienie jedynie pod groźbą rewolwerów.

— Dobrze, zbadam sprawę, ale najpierw proszę, by się brat uspokoił. Cenię ja odwagę, ale nie znoszę, gdy ją ktoś wobec mnie chce manifestować. Nie wchodząc na razie w to, kto miał słuszność, wy czy major Cadera, wyrażam ubolewanie, że doszło tu do sceny wręcz oburzającej. Bo proszę, jeden jedyny człowiek, i do tego obcy, śmiał w samym środku mego garnizonu, w otoczeniu tysięcy żołnierzy, porwać się na moich oficerów i grozić im śmiercią!

— Musiał to uczynić, gdyż chciano go rozstrzelać bez najmniejszego powodu.

— Gdybyśmy nawet założyli, że słuszność była po jego stronie, to i tak krok jego sam brat musiałby określić, jako... no, powiedzmy otwarcie, jako zadziwiającą bezczelność. Gdyby mi to opowiadał ktoś obcy, po prostu bym nie uwierzył. Człowiek ten wziął w niewolę oficera mającego pięćdziesięciu uzbrojonych ludzi, złamał mu szablę, wykradł jeńców, a gdy go schwytano i przyprowadzono tutaj, by mu wymierzyć zasłużoną karę, obala uderzeniem majora i z bronią w ręku dyktuje oficerom warunki kapitulacji! Tego rodzaju sprawa wcale nie jest dla nas zaszczytna i musimy oczyścić nasz honor!

— Czy może pan czynić wyrzuty Hountersowi, że powierzył tak ważną sprawę człowiekowi tego pokroju? — wtrąciłem się do rozmowy.

— Przeciwnie, muszę mu nawet wyrazić za to pochwałę. Ale sam pan przyzna, że zachowanie się pańskie wobec mych podkomendnych było wprost niemożliwe.

— Zna pan zapewne przysłowie: „Tonący brzytwy się chwyta”. Otóż i ja nie uczyniłem nic innego, jak tylko chwyciłem się brzytwy, i dzięki temu żyję jeszcze.

— A ja panu przytoczę inne przysłowie: „Nie mów, »hop«, dopóki nie przeskoczysz”. A jeśli się pan przeliczył, jeśli nie wywikła się pan z objęć śmierci...

— Niewątpliwie umrę jak każdy z nas, ale obecnie nic mi z pańskiej ręki nie grozi.

— A jeżeli się pan myli w tym punkcie?

— Gdybym się mylił, wówczas pomyłka moja mogłaby przynieść nieobliczalne szkody przede wszystkim panu. Z kim zawarłby pan kontrakt, gdyby mnie rozstrzelano?

— Oczywiście z panem, ale jeszcze za życia.

Mówiąc to, spojrział na mnie z chytrym uśmieszkiem. Był widocznie ciekawy, co mu na to odpowiem, a ja zdałem sobie sprawę, że od tej odpowiedzi zależało wszystko. Wprawdzie, gdy się dowiedział, że jestem pełnomocnikiem Hountersa, zmienił do mnie stosunek, a ja mogłem przypuszczać, że nic mi już nie grozi. Ale mu nie wierzyłem. Wszak człowiek ten kazał zamordować własnego teścia. Czy wobec tego można mu było zaufać? Mógł przecież złamać słowo i zamordować mnie bez żadnych skrupułów, tym bardziej że byłem dla niego zupełnie obcym człowiekiem. Zorientowawszy się szybko w sytuacji, postanowiłem przekonać go, że przeprowadzenie interesu beze mnie było absolutnie niemożliwe, i dlatego rzekłem:

— Pan mnie nie zna. Zresztą pańscy podwładni też nie poznali się na mnie. Nie powiem panu ani jednego słowa w interesującej go sprawie, dopóki nie zaręczy mi pan słowem honoru, że ja i moi towarzysze nie doznamy tu żadnej krzywdy.

— A gdybym dał słowo i złamał je następnie?

— Wówczas zaszkodziłby pan samemu sobie, gdyż odtąd nikt by panu nie wierzył. A przecież zaufanie podwładnych i tych, z którymi utrzymuje pan stosunki, jest dla pana sprawą doniosłej wagi. Zresztą sama logika wskazuje, że wyruszyłem w podróż w te strony nie po to, by się narażać na niebezpieczeństwo, lecz żeby załatwić ważny interes handlowy. Zresztą... czy pan chce dotrzymać słowa, czy też nie, jest mi to obojętne, gdyż na szczęście sprawa przybrała taki obrót, że mogę pana zmusić do dotrzymania tego słowa. A zatem powtarzam raz jeszcze, że nie przystąpię do rzeczy tak długo, dopóki się nie upewnię, że nie zastawiono na nas tutaj żadnej pułapki.

— Mogę panu dać słowo, że postępuję z panem otwarcie.

— To brzmi dwuznacznie i mógłbym żądać od pana jaśniej sformułowanego oświadczenia, choć jestem przekonany, że to nie na wiele by się przydało.

— Zdaje mi się, że już doszliśmy do porozumienia i możemy zacząć mówić o interesie.

— O, nie. Przede wszystkim muszę złożyć skargę na majora Cadereę.

— Przecież może pan to uczynić później.

— Nie, panie. Od sposobu rozstrzygnięcia tej kwestii zależy moje postępowanie w wiadomej sprawie.

— Dobrze. Ale jak mi pan udowodni, że jest pełnomocnikiem Hountersa i Tupidy?

— A jakiego pan żąda dowodu?

— Pełnomocnictwa na piśmie.

— Daruje pan, że wyrażę zdziwienie. Cóż bowiem byłoby ze mną i z panem, oczywiście, gdybym przypadkowo schwytyany został przez waszych wrogów i gdyby znaleźli przy mnie żądany przez pana dokument?

— A więc nie ma pan formalnego pełnomocnictwa?

— Owszem, ale tylko ustne. Jeżeli jednak pan mi nie wierzy, śmiem prosić, by wysłał pan posłańca do Montevideo i przekonał się, czy to prawda, a sprawa cała niech pozostanie w zawieszeniu aż do powrotu owego człowieka.

— Ja nie mam na to czasu i wolę już uznać pana za pełnomocnika. Oczekuję podania warunków.

— Podam je w Buenos Aires.

— Zwariował pan? — krzyknął przerażony. — Toż tam właśnie znajduje się gniazdo moich wrogów. Przecież tam ma swą siedzibę rząd, któremu wypowiedziałem walkę... tam przebywa prezydent Sarmiento, którego chcę obalić. Jak więc pan może proponować mi to miejsce na załatwianie spraw?

— Czynię to z dwu powodów, señor. Po pierwsze, w tamtejszym porcie stoi na kotwicy statek z naszym towarem, po wtóre...

— Tam? Na kotwicy? Toż to szaleństwo ulokować się w podobnym miejscu!

— Powiedział pan przed chwilą, że jestem beczelnie odważny. Dlaczegoż więc nie miałbym wykazać tej odwagi i w tym punkcie? Właśnie najbezpieczniejszy jest ładunek tam, gdzie się go najmniej spodziewają. Beczki, paki i beły zadeklarowane zostały jako nafta, zabawki i tytoń i opłacono już nawet odpowiednie cło za nie.

— Więc urzędnicy celni nie sprawdzali zawartości pak?

— Tylko niektóre z brzegu, ale te zawierały istotnie to, co deklarowano.

— Ma pan ogromne szczęście. Ale na pewno lepiej by było, aby pan temu szczęściu zbytnio nie ufał i usunął statek z portu jak najprędzej. Czy to parowiec?

— Nie. Żaglowiec typu amerykańskiego. Nazywa się „The Wind”.

— A zatem jest to statek niewielki i może podpłynąć Paraną aż do Rosario?

— Nawet do samej stolicy Entre Rios.

— Trzeba natychmiast wydostać statek z tej dziury w Buenos Aires, gdzie lada pampero może nam zaszkodzić. Podam panu nazwę miejscowości nad Parana, gdzie statek ma się zatrzymać, a pan wyśle posłańca do kapitana z odpowiednimi rozkazami.

— To niemożliwe, señor.

— Dlaczego?

— Bo pan sam sprawę utrudnia. Postępuje pan w taki sposób, że nie bardzo wierzę, aby mnie pan puścił natychmiast, i dlatego nie mogę się zgodzić na sprowadzenie statku w takie miejsce, gdzie miałby go pan całkowicie w rękę. Być może bowiem za kilka dni ogłosi się pan władcą tych okolic i ja byłbym wówczas zdany zupełnie na pańską łaskę lub niełaskę.

— To znaczy, że pan mi nie dowierza...

— Istotnie. Zresztą sam dał mi pan do zrozumienia, że może nie dotrzymać słowa. Muszę więc, zadbać o zapewnienie bezpieczeństwa sobie i swoim towarzyszom.

— Za wiele pan sobie pozwala... Licząc na moje względy, nie waha się pan wypowiadać słów, które są dla mnie obrażą.

— Przepraszam! W słowach tych zawarta jest tylko prawda, nic więcej. A zresztą nie mogę wysłać nikogo do kapitana z tego choćby powodu, że znajduje się on właśnie tutaj i słyszy wszystko, co pan w tej chwili mówi. Proszę, oto kapitan Frick Turnerstick z Nowego Jorku, któremu mister Hounters powierzył ładunek.

Słowa te wypowiedziałem dobitnie, aby kapitan, nie umiejący po hiszpańsku, mógł łatwo zrozumieć, że o nim mowa.

I istotnie Turnerstick, usłyszawszy swoje nazwisko i widząc, że go wskazują Jordanowi, domyślił się od razu, o co chodzi. Postąpił krok naprzód i rzekł:

— Yes, señor. Jestem kapitano Fricko Turnersticko z Nowo Jorko. Moje barko nazywa się „The Windo” i zdaje mi się, że to wystarczy.

Jordan popatrzył na niego uważnie, wzruszył ramionami i rzekł do mnie:

— Co to za mowa? Czy nie angielska?

— Kapitan nie zna zbyt dobrze hiszpańskiego, señor.

— I takiemu człowiekowi powierza się tak ważne zadanie?

— To nawet lepiej, że on nie zna hiszpańskiego, bo nikomu na myśl nie przyjdzie posądzić go o załatwienie interesu, do którego potrzebna znajomość tego języka. Zresztą ma on na swoim statku ludzi, którzy mogą mu posłużyć w razie potrzeby jako tłumacze. Należy do nich choćby ten oto sternik.

— O, i sternik tutaj? Co on ma tu do roboty?

— Nic. Przypędzono go tu przemocą, wbrew woli.

— A dlaczego opuścili oni statek?

— Bo wymagały tego ich interesy. Mister Hounters wysłał mnie z nimi jako pełnomocnika przede wszystkim do Tupidy w Montevideo. Tam wysiadłem na ląd, aby się owemu señorowi przedstawić, kapitan zaś pożegłował dalej, do Buenos Aires, i miał tam na mnie czekać. Ponieważ spodziewał się mego przybycia dopiero za kilka dni, wybrał się w podróż w górę Urugwaju, aby w nadrzecznych okolicach znaleźć odpowiedni towar na rejs powrotny do Nowego Jorku. A kiedy wracał z tej wycieczki na jakiejś tratwie, został nagle przez majora Caderę napadnięty i później szczególniejszym trafem spotkał się z nami.

— To rzeczywiście... szczególniejszy traf — zauważył Jordan, patrząc mi w oczy z niedowierzaniem.

— Szczególnie godne uwagi jest to, że major występował przeciwko wszystkim, którzy wam idą z pomocą. Ale na szczęście spotkałem się z panem i sądzę, że nie odmówi pan nam zadośćuczynienia za doznane krzywdy.

— Owszem, dam je, jeśli pozwolą na to okoliczności.

— To znowu dwuznaczne, señor!

— Bo też i pan jest człowiekiem zagadkowym. Wszystko, co mi pan tak pięknie przedstawia, wydaje się nieprawdopodobne.

— To znaczy, że mi pan nie wierzy... W takim razie nie mówmy już o tym. Bo jeżeli pan ma do mnie mniej zaufania niż ja do pana, to lepiej dać spokój wszystkiemu. Zechce więc pan uwolnić nas natychmiast, bo szkoda nam czasu.

— Co takiego? Uwolnić? Ależ o tym nie może być mowy.

— Jak się panu podoba. Ja uważam sprawę za skończoną.

Cofnąłem się parę kroków i przybrałem minę najobojętniejszego w świecie człowieka. Zrobiło to swoje; moja pewność siebie zaimponowała mu. Widocznie jednak chciał poddać mnie jeszcze jednej próbie, bo rzekł:

— Zechce pan teraz przypomnieć sobie złożone przyrzeczenie, że podda się pan spokojnie memu wyrokowi.

— Oczywiście. Powiedziałem, że bez szemrania dam się rozstrzelać, jeżeli pan zatwierdzi wyrok śmierci na mnie.

— A gdybym uczynił to właśnie w tej chwili? Co wtedy?

— Nic, señor.

— Czyżby naprawdę śmierć była panu obojętna?

— Tego nie mówię. Ale jeśli idzie o dotrzymanie słowa... Zresztą świat się nie zawali, jeżeli będzie na nim o jednego człowieka mniej... pomimo że śmierć moja wyrze olbrzymi wpływ na pańskie sprawy.

— Dlatego że kupno nie doszłoby do skutku? Myli się pan. Pozostanie mi przecież kapitan.

— Ależ on nie ma pełnomocnictwa.

— To nic nie szkodzi. Wystarczy, że ma potrzebny mi towar. Zwrócę mu wolność tylko wtedy, jeżeli dostawi mi ów towar w bezpieczne miejsce.

— Nic z tego nie będzie. Ładunek pozostaje w ręku señora Tupidy. Jeżeli pan mnie zamorduje i zatrzyma kapitana oraz sternika, to trudno; zapobiec temu nie jestem w mocy. Ale do zawarcia transakcji w takim wypadku nie dojdzie.

— A cóż Tupido ma do powiedzenia?

— Przecież to wspólnik Hountersa i ładunek jest w połowie jego własnością. Jeżeli w określonym terminie nie wrócimy do Buenos Aires, będzie to dla niego znakiem, że spotkało nas jakieś nieszczęście z pańskich rąk, i oczywiście głupi byłby chyba, gdyby zechciał wdawać się z panem na nowo w interesy.

— Ależ on sam poniósłby stratę.

— Tak? — zaśmiałem się. — Przecież wrogowie pańscy również potrzebują broni i amunicji.

— Tak, ale nie zapłaciliby za nią ani peso.

— Przeciwnie, zapłaciliby gotówką, podczas gdy pan ma wziąć wszystko na kredyt.

— Jest pan dosyć naiwny — zaśmiał się. — Gdyby Tupido przyznał się tylko, jaki ładunek ma na statku, wówczas Sarmiento skonfiskowałby po prostu wszystko z urzędu i jeszcze zamknąłby go w więzieniu.

— Ja jednak sędzę, że naiwność pańską jest większa niż moja. Tupido nie piśnie nikomu słowa, dopóki ładunek nie znajdzie się w bezpiecznym porcie, na przykład w Montevideo. Sprawę tę omówiliśmy już dokładnie. Na wypadek zaś, gdyby pan towaru nie kupił, Tupido ma zaproponować prezydentowi oprócz towaru także inne usługi, choćby wiadomości o pańskich przedsięwzięciach i zamiarach. Przyzna więc Pan, że nie opłaci się dla kaprysu majora, który, nawiasem mówiąc, nawet feldfeblem w pańskiej armii być nie powinien, zabijać mnie i narażać się na tak przykre straty, a może nawet na zupełną klęskę.

„Generalissimo” przeszedł się kilka razy po pokoju, stanął w przeciwległym kącie izby i, skinąwszy na generała, rozmawiał z nim chwilę szeptem, po czym generał wrócił na swoje

miejsce, a Jordan, nie ruszając się z kąta, zaczął mnie pytać o to, co mu już wcześniej wyjaśniłem:

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego zawieźliście ładunek do Buenos Aires, a więc niemal w samą paszczę mego wroga, którego zdusić zamierzam?

— Z przezorności i dla upewnienia się, że pan mnie nie oszuka.

— Jest pan diabelnie szczery!

— Mam nadzieję, że i pan będzie taki sam wobec mnie.

— A więc dobrze, będę szczery... Uważam pana za wyrafinowanego łotra!

— Dzięki ci, señor! Jest to dla mnie wielka pochwała i uznanie. A zresztą nie przybyłem tutaj dyskutować z panem na temat, czym jestem, a czym nie jestem, i żądam kategorycznej odpowiedzi: czy chce pan zawrzeć ze mną umowę, czy też nie?

— Proszę mi najpierw powiedzieć, dlaczego pan nie pojechał do Buenos Aires na statku, lecz wybrał się konno przez pampę?

— Bo to była najkrótsza do pana droga. Co prawda, nie miałem zamiaru kołować, niestety major zmusił mnie do tego. Sądziłem, że znajdę pana w San Jose, w dobrach, gdzie to Urquizo, pański teść, został zamordowany.

Słowa te były bardzo ryzykowne, ale wypowiedziałem je w pewnym ściśle określonym celu. Jordan przecież sam kazał zamordować teścia i już na samo wspomnienie o tej zbrodni wściekłość go ogarnęła. Podskoczył do mnie i wyciągnął ręce, jakby miał zamiar mnie udusić, a następnie, nie panując nad sobą, wrzasnął:

— Co pan wie o tym morderstwie?

— Tyle, co każdy inny człowiek.

— Czy mówią o tym także za granicą?

— Owszem, mówią.

— Co mówią?

— Nie muszą składać sprawozdań przed panem.

— Zamordowali go gauchowie... draby przeklęte!

— To bardzo możliwe.

— A może mówią, że...

Urwał, a ja zapytałem:

— Że co?

— Że ci gauchowie byli tylko czyimś narzędziem?

— Owszem, mówią i o tym...

— Ale, do stu diabłów, czyim narzędziem?

Utkwił we mnie wzrok, jakby mnie co najmniej chciał nim zasztyletować. Ja zaś odparłem spokojnie:

— Narzędziem w ręku pańskim, oczywiście...

Brat Hilario, przerażony moją śmiałą odpowiedzią, wydał mimo woli ciężkie westchnienie, a oficerowie zerwali się z miejsc. Jordan zaś chwycił mnie za ramiona, potrząsnął z całej siły i wrzasnął głosem ochryłym:

— Psie! Ja cię zaduszę, ja... ja...

— Niech się pan opanuje — rzekłem, siląc się na spokój. — Żądał pan, bym mówił prawdę, a gdy to uczyniłem, zachowuje się pan tak, iż można by przypuszczać, że w tej plotce kryje się część prawdy.

— Powiadasz pan... plotkę? No, pańskie szczęście! — rzekł, puszczając mnie. — Uważa pan to istotnie za plotkę?

— Oczywiście. Toż tylko plotkarze mogli roznieść po świecie to, co, gdyby było prawdą, musiałyby pan głową przypłacić.

— Więc istotnie mówią o mnie? Utrzymują, że...

— Tak — skinałem głową.

— Czy i w Europie?

— Tak, i w Europie.

— Co za łotrostwo! Aż wstręt człowieka ogarnia! Więc pan naprawdę nie wierzy tym pogłoskom?

— Pytanie pańskie jest zupełnie zbyteczne, señor. Bo czy moglibyśmy proponować tak poważną transakcję człowiekowi, na którym ciąży zbrodnia ojcobójstwa?

— Przyznać muszę, że mówi pan bardzo rozsądnie — rzekł i znowu zaczął przechadzać się po izbie, jakby chciał uspokoić rozdrażnione nerwy. Po chwili podszedł do mnie i, położywszy mi rękę na ramieniu, stwierdził:

— Pan jest... albo wariatem, który sam nie wie, co mówi i czyni, albo mój major nie pomylił się, nazywając pana diabłem. Tak czy owak jest pan człowiekiem niebezpiecznym. Co pan na to?

— Jestem tylko... szczerzy, señor. Powiedziałem panu prawdę, bo tego ode mnie pan wymagał. Zresztą kto chce się wybić ponad innych, ten musi wiedzieć o wszystkim, co dotyczy jego zamiarów, no, i nawet jego własnej osoby.

— Takie jest pańskie zdanie? Cóż moje jest zupełnie inne. Jest pewna kategoria szczerości, którą uważam za karygodną. A że pańska otwartość do tej kategorii należy, więc zamiast oczekiwanej przez pana wdzięczności odpłacę mu właściwą monetą. Każę pana rozstrzelać, a do Tupidy wyślę pośrednika.

— To się panu nie uda. Tupido bez mego pozwolenia nie może wydać nawet garstki prochu. Podjął pan już kroki przygotowawcze, co pochłonęło cały pański majątek, i będzie pan mógł prowadzić swoje dzieło dalej jedynie wówczas, jeśli my mu przyjdziemy z pomocą, dostarczając broni i amunicji na kredyt. Jeżeli jednak mnie choćby włos z głowy spadnie, interes nie dojdzie do skutku, o czym pan może być najzupełniej przekonany. Oto wóz albo przewóz!

Jordan po tych słowach wyraźnie zakłopotany popatrzył na obecnych. Generał wzruszył ramionami, oficerowie milczeli, a moi towarzysze drżeli z trwogi, co było aż nadto widoczne. Po chwili „*generalissimo*” zaczął:

— Przypuśćmy, że zgodzę się z pańskimi wywodami. W takim razie mam do czynienia z panem, z kapitanem i ze sternikiem. Ale po co są tutaj ci inni? Nie mogę im przecież okazywać względów, skoro nie oczekuję od nich żadnej przysługi.

— Przepraszam. Obecny tu señor Mauricio Monteso podjął się razem ze swoimi *yerbaterami* zaprowadzić mnie do pana.

— A estancjero ze swoim synem?

— Na to pytanie niech odpowie major Cadera.

— A brat Hilario?

— To mój przyjaciel, na którego pańscy ludzie rzucili się bez żadnego powodu. Jeżeli więc chce pan porozumieć się ze mną, to musi pan wiedzieć, że zgodzę się na układy jedynie pod tym warunkiem, że żadnemu z moich towarzyszy nie stanie się krzywda.

— Niech pana diabli wezmą! Nie pojmuję, jak mógł Hounters wysłać do mnie człowieka, z którym w żaden sposób do ładu dojść nie można!

— Zarówno Hounters, jak i Tupido, postarali się o człowieka, który przede wszystkim jest odpowiedni dla nich. A czy się on spodoba panu, jest im to zupełnie obojętne.

— Może mi pan powie przynajmniej, w jaki sposób ma być załatwiona cała sprawa. Przecież musi się podpisać kontrakt. Czy dokument jest już przygotowany.

— Jest, ale ma go Tupido w Buenos Aires.

— Kto go podpisał z waszej strony?

— Jeszcze nikt. Przecież nie wiedzieliśmy, czy we wszystkich punktach nastąpi zgoda. Dopiero po omówieniu warunków señor podpisze się za siebie, a ja za Hountersa.

— Więc ja mam podpisać umowę?

— Pan albo inna upoważniona przez pana osoba, która uda się ze mną do Buenos Aires.

— Hm, byłoby to bardzo niebezpieczne dla owej osoby.

— Większe niebezpieczeństwo groziło mi u was, a jednak odważyłem się. I sądzę, że pan wśród swoich oficerów znajdzie chociażby jednego, który się zdecyduje na tę podróż, pomimo że wydaje się ona trochę niebezpieczna.

— Znowu chce mnie pan dotknąć! Wśród moich ludzi nie ma tchórzy.

— Po co w takim razie zaznacza pan, że podróż do Buenos Aires jest niebezpieczna?

— Czy zapewni mnie pan słowem honoru, że żaden z pańskich towarzyszy nie zdradzi mego wysłannika w Buenos Aires?

— Owszem, daję panu na to słowo honoru.

— Przyjmuję je do wiadomości. Ale proszę sobie nie wyobrażać, że już zgodziłem się na warunki. Muszę najpierw naradzić się ze swymi oficerami. Zaczeka pan tymczasem w przyległej izbie na rezultat.

— Zgadzam się, señor. Ale może nareszcie mógłbym wytoczyć skargę przeciw majorowi Caderze?

— To zbyt cenne.

— Bynajmniej. Zależy mi bardzo na tym, aby pan rozpatrzył całe zajście raz jeszcze w mojej obecności, bo przedstawiono panu wypadki stronnictwo, niekorzystnie dla mnie. Długo to nie potrwa, bo będę się streszczał.

— No, proszę — odburknął niechętnie i usiadłszy słuchał w milczeniu mego opowiadania.

Podczas mojej przemowy Cadera również nie odezwał się ani słowem, pomimo że wysuwane zarzuty, skierowane prawie wyłącznie przeciw niemu, były bardzo obciążające. Widziałem tylko, że z oczu tryska mu śmiertelna ku mnie nienawiść.

Po zakończeniu opowiadania poprosiłem towarzyszy, by potwierdzili prawdziwość moich słów, co też się stało.

— A więc — odezwał się wreszcie Jordan — opowiadanie pańskie zgadza się z tym, czego się dowiedziałem od majora. Tylko że, co zresztą jest zrozumiałe, każda ze stron maluje żagle tak, jak jej wygodnie. Uważajmy więc sprawę za załatwioną.

— Nawet i na to mogę się zgodzić, señor, i nie żądać ukarania winnych, ale pod warunkiem, że każe pan zwrócić natychmiast rzeczy, które mi zrabowano.

— To już nieco wygórowane żądanie.

— Proszę pana... Czy major dowodzi żołnierzami, czy bandą złodziei?

— Oczywiście, że... żołnierzami.

— I ja tak myślę, bo ze zbójcami i opryszkami nie można zawierać umów handlowych. Uczciwy żołnierz nie kradnie i nie rabuje.

— No, dobrze, dobrze! Naradzimy się nad tą kwestią, a pan zaczeka na wynik tych obrad. Poproszę pana natychmiast, jak tylko podejmiemy decyzję.

Cofnęliśmy się wszyscy do przyległej izby, gdzie nas ponownie zamknięto, i posiadawszy na ziemi gawędziliśmy między sobą.

Kapitan poprosił sternika, aby odtworzył mu dokładnie przebieg całej rozmowy z Jordanem, po czym uścisnął mi rękę i rzekł:

— Wspaniale, sir! Tylko pan Charley mógł wymyślić tak świetny wykręt.

Po upływie dobrej godziny zawołano nas do drugiej izby. Wszedłem tam pierwszy i stanąłem możliwie blisko Jordana, bo przecież moje rewolwery leżały przed nim na stole.

Major Cadera spojrział na mnie i w jego oczach dostrzegłem coś w rodzaju tłumionego tryumfu.

— Jesteśmy gotowi, señor — rzekł Jordan. — I może pan sobie powinszować wyniku naszych obrad. Wypadł on dla pana bardzo korzystnie.

— Niestety, nie mogę tego potwierdzić, dopóki go nie poznam. Przy korzystnym dla mnie rozwiązaniu korzyść byłaby obustronna. My ze swej strony nie żądamy żadnych łask, a tylko sprawiedliwości. Ale przede wszystkim co panowie postanowili w sprawie mojej osoby?

— Nie będzie pan rozstrzelany.

— Znakomicie! Wobec tego mogę zabrać moje rewolwery — odrzekłem, chwytając broń ze stołu i zatykając ją sobie za pas, po czym cofnąłem się o dwa kroki.

— Co to znaczy? — krzyknął Jordan. — Myśmy postanowili inaczej: panu nie wolno nosić broni!

— Ba, ale ja tego zakazu nie przyjmuję do wiadomości. Pozwoli więc pan, że zatrzymam rewolwery przy sobie.

— O, nie! Przyrzekł pan przecież, respektować moją decyzję.

— Przepraszam! Ale przyrzeczenie dotyczyło jedynie wyroku śmierci. A że go pan unieważnił...

— Zmusza mnie pan do użycia siły...

— Ja? Cóż ja panu złego robię? Schowałem rewolwery, bo to moja własność.

— Taak? Nie chce pan słuchać moich poleceń? To zobaczymy. Majorze, odebrać mu broń!

Widziałem, że major rad by wykonać ten rozkaz, ale bał się okropnie. Stał o dwa kroki ode mnie i powiedział zdławionym głosem:

— Oddać broń!

— Niech ją pan sobie weźmie, proszę! — Zaśmiałem się. — Tylko ostrzegam przed moją pięścią, do której nie warto zbliżać się zanadto. Powinien pan coś o tym wiedzieć...

— Słyszysz, *generalissimo*? — rzekł major, rozkładając bezradnie ręce: — Nie chce mi oddać broni.

— Ale ja chcę! — odparł ten ostro. — Ja rozkazuję, a major musi słuchać!

Na te słowa major — biedaczysko, drżąc cały, zaczął się do mnie zbliżać, a ja tymczasem rzekłem do Jordana:

— Proszę nie wymagać od niego tak wiele, señor, bo jeśli zbliży się do mnie, zginie.

— On też ma przy sobie pistolet, z którego pozwalam zrobić mu użytek w razie dalszego oporu z pańskiej strony.

— Do tej chwili, owszem:.. Ale teraz. ..O widzi pan? Już pański major nie ma pistoletu!

Wypowiadając te słowa podskoczyłem do majora i wyrwałem mu pistolet z ręki.

— *Diabolo!* — wykrztusił Jordan, blednąc. — To już przechodzi wszelkie granice zuchwalstwa! Ale my sobie damy z panem radę. Proszę oddać broń! — krzyknął. — Bo wezwę żołnierzy. A i my tutaj jesteśmy uzbrojeni!

— Broń oddam, señor, lecz moim towarzyszom — odparłem, wręczając pistolet *yerbaterowi*, a jeden z rewolwerów kapitanowi. Następnie cofnąłem się pod drzwi i wycelowawszy w Jordana rzekłem: — Jeżeli pan krzyknie, będę strzelał!

Wszystko to stało się tak szybko, że major nie zdążył ruszyć się z miejsca, a oficerowie, chociaż chwycili za pistolety, nie odważyli się strzelać. Tymczasem sternik Larsen zabiegł Jordana od tyłu i patrząc na mnie porozumiewawczo oczekiwał mego skinienia.

— Do licha! To niemożliwe! To wręcz niewiarygodne! — mruczał Jordan przez zęby.

— Owszem, możliwe, i ma pan tego dowód — rzekłem.

— Moi ludzie rozniosą was na lancach i szablach...

— Mogą tu przyjść. Ale zanim to zrobią, pan będzie już w takim miejscu, gdzie nie ma jeńców ani rozkazujących generałów.

— Zamierzałem zatrzymać jedynie pana, a towarzyszy pańskich puścić wolno.

— To niemożliwe, bo oni nie odłączą się ode mnie za nic w świecie.

— Cóż to? Gwałt? To... to... Ja sobie w inny sposób poradzę...

I przy tych słowach wyciągnął dłoń po leżący przed nim pistolet. Lecz w tym momencie Larsen objął go z tyłu muskularnymi ramionami jak olbrzymi pajak wątłą muchę.

— Zostaw pistolet, señor! — szepnął do przerażonego Jordana — bo zgmiotę pana jak cytrynę!

— Puść mnie! — charczał Jordan. — Żebra mi połamiesz, łotrze!

I dziwna rzecz! Nikt nie pospieszył z pomocą zagrożonemu. Major stał niby słup nieruchomy, podobnie oficerowie, przeciwko którym skierowaliśmy teraz lufy. Ja zaś rzekłem do nich:

— Panowie zechcą złożyć swe pistolety na stole, i to natychmiast, gdyż ten olbrzym gotów istotnie pogruchotać kości waszemu przełożonemu.

To wystarczyło. Złożyli pistolety, nie zdradzając nawet wielkiego oburzenia ani trwogi. Na twarzy zaś generała można było nawet zauważyć wyraz jakby zadowolenia. Nie ulegało wątpliwości, że usłyszał kilka niezbyt przyjemnych słów od swego zwierzchnika za to, że poprzednio dał się zapędzić przeze mnie w kozi róg — a tu nagle ten sam zaszczyt spotkał jego przełożonego. Musiało mu to zatem sprawić nie lada przyjemność.

— Odłóżyc szable! — rozkazał oficerom *yerbatero*, co też bez wahania uczynili.

A ja zwróciłem się do majora

— Precz stąd, tam, do kąta!

Słowa te wyrwały go z osłupienia i rad nierad podążył na wskazane miejsce.

Na mój znak Larsen puścił Jordana, ale został tuż za jego plecami. „*Generalissimo*” opadł bezwładnie na krzesło i westchnął:

— *Cascaras!* Diabli nie ludzie! A wy na to nic? — dodał, zwracając się do oficerów.

Ci zaś stali bezradni, z opuszczonymi głowami, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Uważałem za stosowne wyręczyć ich, więc rzekłem:

— A czemu to pan nie pomógł sam sobie? *Generalissimo* powinien wiedzieć, co czynić należy w każdej sytuacji. Zresztą pan sam przekonał się wyraźnie, że nie jest rzeczą łatwą rozporządzać życiem i mieniem bliźnich, zwłaszcza gdy nie są to jakieś wagabundy czy awanturnicy, zazwyczaj tchórze, lecz ludzie uczciwi i... odważni.

— Wszystko to dobrze, señor, ale weź pod uwagę, że tu są tysiące moich żołnierzy.

— Cóż, kiedy my się ich nie boimy i niewiele nas obchodzi ich obecność. Jestem przekonany, że żaden z nich, nawet gdybyście ich wezwali, palcem by nie kiwnął, wiedząc, iż wódz naczelny przypląciłby to życiem.

— Ja? — zapytał, patrząc na mnie z wyrazem nieopisanego zdumienia.

— Jest nas tu dziesięciu — rzekłem. — A was tylko sześciu. Możemy bez trudu obezwładnić was wszystkich i powiązać jednych do drugich.

— Po co? W jakim celu?

— Aby wyprowadzić was stąd, spośród tych tysięcy żołnierzy, w miejsce dla nas bezpieczniejsze. Nikt nie poważy się nawet ręki na nas podnieść, bo w tej samej chwili odebralibyśmy życie wszystkim jeńcom, a przede wszystkim panu. Jestem zdecydowany uczynić to, by panu udowodnić, że takie przedsięwzięcie udać się musi. Ja, mój panie, miałem już do czynienia z różnymi ludźmi. Biłem się z rozmaitego rodzaju łotrami, rozbójnikami, handlarzami niewolników, Indianami, i to najczęściej sam przeciw setkom, mam więc dość duże doświadczenie i liczba wrogów wcale mnie nie przeraża. Zobacz pan to zresztą, jak was wszystkich stąd wyprowadzę i odstawię nad rzekę. Będziecie mnie błagali o łaskę, bo to będzie oznaczało waszą przegraną, a zatem niewolę i później szafot. Tak sprawa wasza wygląda w tej chwili, a wszystko to przez bezwzględne traktowanie mnie i moich towarzyszy. A przecież przyszedłem do was jako przyjaciel, przynosząc wam istotną pomoc. Pięknie odwdzięczyliście się nam za życzliwość; potraktowaliście nas jak włóczęgów, odebraliście nam mienie, a wreszcie zagroziliście śmiercią. Nie, panie, teraz już nie dam się wam wodzić za nos, nie pozwolę sobą pomiatać.

Słowa te wywarły na Jordanie wielkie wrażenie.

— Czego pan właściwie chce od nas? — spytał drżącym głosem.

- Uczciwego z nami postępowania! Niczego więcej! Chcę być wolnym, i to natychmiast!
- Miałem zamiar wysłać pana raniutko do Buenos Aires razem ze swoim pełnomocnikiem...
- Bardzo to pięknie, ale to jeszcze nie daje powodu do traktowania mnie dzisiaj jak więźnia. Kto ma być tym pełnomocnikiem?
- Major Cadera.
- Ależ to śmieszne!
- Wybrałem go dlatego, że nie jest znany w Buenos Aires, a poza tym mogę na nim całkowicie polegać.
- W gruncie rzeczy jest mi zupełnie, obojętne, kto będzie mi towarzyszył. Żądam tylko, aby traktowano mnie życzliwie, gdyż na to zasługuję.
- Dobrze więc. Będzie pan moim gościem. Zadowolona to pana?
- Tak. Jeżeli odnosi się to także do moich towarzyszy.
- To oczywiście. Jutro rano odjedziecie z majorem Caderą, któremu dodam tylu ludzi, ilu liczyicie sami.
- A to po co?
- Nie mogę go przecież wysłać bez odpowiedniego zabezpieczenia.
- Jak pan uważa. Ja jednak sądzę, że ta asysta może wzbudzić podejrzenie waszych wrogów. Poza tym nie wszyscy moi towarzysze pojedą ze mną. Estancjero z synem uda się prosto do swego domu, zostaną ze mną jedynie *yerbaterzy*, no, i kapitan ze sternikiem. A w jaki sposób odbędziemy tę podróż?
- Na tratwie. Na parowcu nie możecie się pokazywać, bo zwracalibyście powszechną uwagę.
- Zgadzam się. A zatem major podpisze kontrakt w pańskim zastępstwie?
- Tak, señor.
- Co do mnie, to mógłbym się tym zadowolić, ale Tupido zażąda z pewnością pisemnego pełnomocnictwa.
- Zaopatrzę go w taki dokument.
- Bardzo dobrze. Pozostała jeszcze sprawa naszej własności.
- Jordan z pewnością miał zamiar zatrzymać sobie część naszych rzeczy i pieniędzy. Ale wobec tego, co zaszło, musiał zmienić zamiar. Spojrzał jeszcze wzrokiem pytającym na generała, a widząc, że ten twierdząco skinął głową, rzekł do mnie:
- Otrzymacie z powrotem wszystko oprócz sumy, którą odebraliście majorowi.
- Tej nie dam sobie potracić, gdyż major wypłacił ją pogorzelncom jako odszkodowanie za poniesione przez nich straty.
- Co pana właściwie obchodzi puszczenie z dymem tych obcych mu ludzi?
- Każdego uczciwego człowieka uważam za swego bliźniego i nie mogę być obojętny, gdy mu ktoś wyrządza krzywdę.
- Zresztą niepotrzebnie się pan targuje. Pieniądze te odliczymy z sumy estancjera, nie z pańskiej.
- Z mojej czy z estancjera to wszystko jedno. Nie zgadzam się na to i kwita!
- Czyżby układy nasze miały się rozbić z powodu tego jednego punktu?
- Owszem, jeżeli pan od swego żądania nie odstąpi...
- Ba! Cadera domaga się bezwarunkowo zwrotu tych pieniędzy.
- A my bezwarunkowo domagamy się zwrotu naszych. Po co major podpalił dom ranczera?
- Odbiliście mu też stadninę...
- Zupełnie sprawiedliwie. Nie powinien jej rabować.
- Pan ma strasznie twardą wolę.

— Tak. A przy tym ma ona tę właściwość, że staje się coraz twardsza w miarę tego, jak ktoś nie chce się do niej stosować. I niech pan weźmie pod uwagę, że przy takim moim charakterze nie byłoby dziwne, gdybym cofnął to, na co już zezwoliłem.

— Co ja zrobię? Cadera zażąda wynagrodzenia...

— To pańska rzecz, nie moja. Zresztą jestem przekonany, że pieniądze, które mu zabrałem, nie były jego własnością. Przecież on, działając w pańskim interesie, musiał otrzymać od pana jakąś konkretną sumę.

— Widzę, że z panem w żaden sposób do ładu nie dojdę. Niech więc pan odbierze sobie wszystko. Czy teraz jest pan zadowolony?

— Jeszcze nie. Proszę teraz łaskawie wszystkie punkty naszej umowy potwierdzić swoim podpisem, a panowie oficerowie podpiszą się również w charakterze świadków.

— Ależ, señor, to nam ubliża...

— Bardzo być może. Ale pan sam jest temu winien. Może się pan dziwić, ja jednak muszę żądać wszystkiego, co jest niezbędne dla naszego bezpieczeństwa.

— Sądzi pan, że ja nie mógłbym w pewnych okolicznościach cofnąć słowa danego pisemnie tak samo, jak gdyby było dane ustnie?

— Owszem, sądzę, że jest pan do tego zdolny, dlatego domagam się podpisów panów oficerów, którzy, jestem tego pewny, potrafią szanować swą godność.

Kapitan, *yerbaterzy* i ja aż do tej chwili trzymaliśmy broń skierowaną na „*generalissima*” oraz jego oficerów, co mocno denerwowało Jordana.

— Z pana istotnie straszny człowiek — westchnął. — Przyznam, że takiego... bandyty nigdy jeszcze nie widziałem. Jakiego to pisma pan od nas żąda?

— Podyktuję je panu.

— Chyba nie mnie. Może rotmistrz napisze, a my się tylko podpiszemy. Schowajcie już tę broń.

— O! Jeszcze nie! Schowamy ją dopiero po złożeniu podpisów. Oficer, nazwany rotmistrzem, wziął papier i pióro i zaczął pisać pod moje dyktando zwięzłe zobowiązanie, bardziej dotyczące oficerów niż ich wodza, któremu zupełnie nie ufałem. Zobowiązanie to podpisali wszyscy obecni.

— Tak! — rzekł Jordan, wstając od stołu. — Teraz oddajcie nam naszą broń.

— A na co ona panu? Chciałbym przede wszystkim przekonać się, czy pan dotrzyma słowa. A więc proszę najpierw zwrócić nam nasze rzeczy.

— Ma je generał, niechaj je odda.

— Pozwalam mu więc, aby się oddalił. Panowie jednak tu zostaniecie. Dziesięć minut wystarczy zupełnie na wydanie odpowiedniego zarządzenia. Proszę cię jednak, generale, abyś zechciał pospieszyć się, gdyż zwłoka wzbudziłaby podejrzenia, a ich skutki byłyby straszne. Niech pan nawet nie próbuje podstępu, gdyż to naraziłoby pańskich kolegów na wielkie niebezpieczeństwo.

Generał na te słowa skinął tylko głową i nic nie rzekłszy wyszedł. Obecni milczeli również, a z ich min wyczytałem, że było im bardzo głupio, iż odnieśli tak sromotną porażkę. Bo też istotnie kapitulacja w podobnych warunkach była dla nich rzeczą niezwykle poniżającą i z wyjątkiem rotmistrza, który spoglądał na mnie od czasu do czasu niemal przyjaźnie, musieli być nieszczęśliwie względem mnie usposobieni. Ten ostatni był to człowiek młody, bardzo przystojny, o śmiałej, rycerskiej postawie.

Po upływie kilku minut zapukano do drzwi. Uchyliłem je ostrożnie, trzymając w pogotowiu rewolwer.

Za drzwiami stał generał z kilkoma żołnierzami, którzy trzymali w rękach nasze karabiny oraz inne drobiazgi.

— Proszę mnie wpuścić — rzekł. — Jak pan widzi, usunąłem żołnierzy z obu sąsiednich izb i nawet nie ma w nich warty.

Wpuściłem ich do środka i żołnierze złożyli nasze rzeczy na stole. Kiedy jednak towarzysze moi rozebrali je pomiędzy siebie, okazało się, że jeszcze kilku przedmiotów brakuje. Generał zatem raz jeszcze wyszedł do koszar i po chwili wrócił z wymienionymi przez nas drobiazgami. Odzyskaliśmy więc naszą własność — brakowało tylko... pewnej sumy pieniędzy. Mianowicie, estancjero otrzymał o trzy tysiące talarów papierowych za mało. Można to było wytłumaczyć tylko w następujący sposób: albo pomylił się estancjero w określeniu sumy, albo brakujące trzy tysiące przywłaszczył sobie major.

— Iii! Trzy tysiące talarów to drobnostka i stratę taką można ostatecznie przeboleć — rzekł sternik. — Posadzacie majora... niesłusznie i spodziewam się — dodał, wyciągając ku niemu dłoń — że pan to słowem oficerskim zaręczy.

— Daję słowo honoru, że nie zatrzymałem pieniędzy — rzekł major, wyciągając rękę do sternika.

Ten zaś pochwycił ją w ogromną swą dłoń i zapytał ironicznie:

— Istotnie pan nie ma? Mówi pan prawdę...

— *Cielo! Cieeelo!* — krzyknął major, wijąc się z bólu. — Puść mnie, człowieku, bo zwariuję!

— Aha, puścić... Gdzie się podziały pieniądze? — pytał nieubłagany sternik, cisnąc wciąż rękę draba.

— Nie mam ich! Nie mam... słowo honoru!

— Masz, hultaju, i jeśli się nie przyznasz, to z łapy twojej zrobię marmoladę!

— *Quedolor, quelormento!* — krzyczał major, podskakując z bólu. — Ja nie mam... nie wiem...

— Proszę go puścić! — domagał się generał. — Niepodobna przecie...

— Milczeć! — przerwał mu sternik. — Ja wiem, co robię! Ten drab ma na czole wypisane, że pieniądze ukradł, i zaraz się przyzna, tylko go mocniej pocisnę... Gdzie są pieniądze?

— Są... tu... w kapeluszu... pod podszewką...

— Dawaj go natychmiast! — I Larsen zdjął mu kapelusz z głowy, wydobyl pieniądze, po czym rzekł do generała: — No? Kto miał słuszność? Gdyby pan miał takie silne ręce jak ja, wyłowiłbyś niejednego złodzieja!

Estancjero schował podane mu pieniądze, a Jordan, który przypatrywał się nie bez obawy całej tej scenie, przystąpił teraz do mnie i zapytał:

— Czy jest pan nareszcie zadowolony?

— W zupełności i mam nadzieję, że pokój zawarty między nami będzie trwały i nie naruszony.

— Zależy to jedynie od pana, nie ode mnie. Okaże się wkrótce, czy potrafi pan dotrzymać słowa, tak jak ja to uczyniłem. A teraz odejdę wydać odpowiednie zarządzenia. Jest pan moim gościem i...

— A niech pan łaskawie zapamięta, że jest nas dziesięciu, i że ja wcale nie mam ochoty odłączać się od swoich towarzyszy.

— Owszem, owszem. Polecę nadto rotmistrzowi, by był do waszych usług.

Wyszedł wraz z oficerami, wśród których znajdował się i major, nie uważający za stosowne nawet spojrzeć na mnie. Widocznie dyszał ku mnie niepohamowaną chęcią zemsty; zresztą przyznałem, że nie bez powodu. W izbie został tylko rotmistrz, który zwrócił się do mnie głosem przyciszonym:

— Przekonałem się, że z panem i z pańskimi towarzyszami postąpiono tu niegodnie. Przyłączając się do armii Jordana, sądziłem, że będę służył dobrej sprawie. Tymczasem pan otworzył mi oczy i dziękuję za to stokrotnie. Prosząc pana, byś nie miał do mnie żalu za to, co tu zaszło, oświadczam, że jestem gotowy do usług dla niego i liczę na dyskrecję. Nie zostanę tu długo. Ale dopóki nie opuszczę tych bandytów, może pan liczyć na mnie.

— Dziękuję, rotmistrzu, i niewymownie rad jestem, że spotkałem jednego uczciwego człowieka wśród tej armii rekrutowanej, jak się zdaje, z samych jedynie złodziei i brygantów*.

— Niestety, ma pan rację. Pojąłem to wkrótce po moim tu przybyciu i teraz myślę tylko o tym, w jaki sposób opuścić tę bandę. A nie będzie to łatwe, bo Jordan wtajemniczył mnie w swoje sprawy i zechce zatrzymać mnie przemocą, gdybym się chciał oddalić.

— Może pan przecież ująć stąd cichaczem.

— Mógłbym to uczynić, ale jestem przekonany, że ścigano by mnie zawzięcie.

— E! Nie takie to znowu straszne. Czy składał pan Jordanowi przysięgę?

— Nie.

— Cóż więc pana wiąże? Jeżeli ma pan istotnie zamiar wydostać się z tej matni, to postaram się panu pomóc.

— Pan? — zapytał zdziwiony. — Przecież pan sam potrzebuje pomocy.

— Mnie się zdaje, że teraz, kiedy odzyskaliśmy naszą broń, damy sobie radę. Zresztą Jordan musi nas puścić i pan przy tej sposobności mógłby się do nas przyłączyć.

— Zobaczymy, jak to będzie. A tymczasem niech pan pamięta, że stoję po waszej stronie i postaram się ostrzec was przed niebezpieczeństwem, gdyby wam jakie groziło. Teraz muszę odejść, aby nie zaczęto podejrzewać, że się z wami porozumiewam.

Wyszedł, a po kilku minutach wrócił, żeby zaprowadzić nas do przydzielonego nam mieszkania.

Znajdowało się ono w sąsiednim budynku, więc musieliśmy przechodzić przez dziedziniec wypełniony żołnierzami, którzy ciekawie nam się przyglądali, nie tając przy tym wrogości. Kilku z nich chciało nawet rzucić się na nas, co zmusiło rotmistrza do interwencji.

Budynek, w którym mieściło się przeznaczone dla nas locum, był zwykłą szopą. Ściany jego, zbite z rzadko ułożonych desek, świeciły szerokimi szparami.

Ponieważ miejsca w szopie owej było dosyć, poprosiliśmy rotmistrza, aby nam pozwolił przyprowadzić tu nasze konie, na co chętnie zezwolił. Jednak, jak później się dowiedziałem, za to spełnienie naszej prośby otrzymał od Jordana ostrą reprymendę. Widocznie „*generalissimo*”, mając w stosunku do nas jakieś ukryte zamiary, nie chciał, abyśmy mieli konie przy sobie, gdyż mogło to ułatwić nam ucieczkę.

Rotmistrz postarał się dla nas o dwie lampy i o mięso, zaspokoiliśmy więc głód, dający się nam we znaki.

Na dworze paliły się ognie i mogliśmy przez szpary przypatrywać się skupionym wokół nich ludziom. Na nas w ogóle nie zwracano uwagi.

Późno już było, gdy pogaszono ogniska i na odgłos bębna żołnierze Poczęli się szykować do nocnego spoczynku. My też powinniśmy ułożyć a? do snu, bo bardzo byliśmy zmęczeni emocjami minionego dnia. Położyliśmy się tedy na ubitej ziemi, gdyż słomy nam nie dano, i stosownie do mego zarządzenia każdy z nas kolejno obowiązany był czuwać, gdy inni towarzysze spali.

Zdążyłem się jako tako ułożyć i już oczy mi się kleić zaczęły, gdy do uszu moich doleciał jakiś szmer pod drzwiami. Podeszedłem do nich i spostrzegłem przez szparę rotmistrza. Zapukał lekko i, gdy się odezwałem, poprosił, bym go puścił do środka.

— Przepraszam, señor, że przyszedłem tak późno, ale postawiono tu wartę z poleceniem, by uważała, co robicie. Teraz dopiero, gdy drab czuwający dotychczas u drzwi położył się i usnął, pozwoliłem sobie wejść do was.

— Moglibyśmy więc najspokojniej stąd umknąć — rzekłem.

— O nie! — odparł rotmistrz. — Zauważono by to od razu; przecież tętent kopyt końskich zbudziłby ich i urządziłiby pogoń za wami.

* Brygant — rozbójnik, bandyta.

— Ja też nie myślę uciekać — wyjaśniłem. — Mogę przecież zupełnie swobodnie w biały dzień pożegnać to gniazdo szerszeni. Jakże rotmistrzowi? Co tam postanowiono w sprawie naszej podróży?

— Pierwszy raz w życiu zabawiłem się, że tak powiem, w szpiega i podsłuchałem Jordana, gdy pouczał majora, jak się ma w tej podróży zachować.

— A więc major, mimo wszystko, będzie nam towarzyszył?

— Dodadzą mu do eskorty tylu ludzi, ilu jest was. A że konie nie będą im potem potrzebne, mam polecenie udać się z wami aż do rzeki, aby je potem przyprowadzić z powrotem i przy tej okazji potwierdzić, że faktycznie oddaliliście się na tratwie.

— Więc koniecznie na tratwie? Widocznie Jordan boi się, że na parowcu moglibyśmy poprosić o opiekę załogę.

— Istotnie. Dał też majorowi pełnomocnictwo do podpisania kontraktu. Statek z towarami ma popłynąć Paraną aż do wyznaczonego przez Jordana miejsca, gdzie nastąpi wyładunek.

— Czy zna pan to miejsce?

— Niestety, tylko major wie o nim. Mówili ze sobą tak cicho, że nie wszystko słyszałem. Ale ostrzegam pana, by miał się pan na baczności. Major otrzymał polecenie uwięzienia pana w chwili, gdy wszystko już będzie miał w swoim ręku i gdy uzyska pewność, że sprawie Jordana nic już nie grozi.

— Spodziewałem się tego. Mam jednak nadzieję, że nie dostanie on mnie w swoje ręce i raczej sam wpadnie w nasze. Gdzie jest w tej chwili Jordan?

— Jeszcze znajduje się tutaj.

— Zechce zapewne rozmówić się z nami przed odjazdem?

— Owszem, będzie nawet bardzo uprzejmy. Ale niech mu pan nie wierzy.

— To, co tu zaszło, nie może usposobić mnie do niego życzliwie i będę się miał na baczności. A co pan postanowił uczynić ze sobą? Czy ma pan już jakiś plan uwolnienia się stąd?

— Jeszcze nic konkretnego nie wymyśliłem. Ale że stąd ucieknę przy najbliższej sposobności, to pewne.

— Mnie się zdaje, że później nie znajdzie pan takiej okazji, jaka zdarza się teraz. Może pan przecież pojechać z nami.

— To niemożliwe.

— Co znaczy „niemożliwe”? Słowa tego nie powinno się nigdy wymawiać, nawet w sytuacjach najbardziej rozpaczliwych.

— W zasadzie ma pan słuszność... Czy jednak mógłbym panu całkowicie zaufać?

— Zapewniam pana słowem honoru, że nie mam żadnych ukrytych i nieprzyjaznych co do niego zamiarów i że cieszyłbym się ogromnie, gdyby mi się udało pomóc panu w ucieczce z tej jaskini łotrów.

— Jakkolwiek nie znam pana wcale, jednak wierzę w to zapewnienie. Przeczucie mi mówi, że mam do czynienia z człowiekiem uczciwym.

— I nie zawiedzie się pan na mnie. Czy ma pan dużo rzeczy?

— Prawie wcale. Żyjemy tu jak na stepie. Cały mój majątek to koń, uzbrojenie, dwa komplety ubrań i trochę bielizny.

— Mógłby pan przynieść tłumok do nas, bo gdyby pana z nim zauważono, niechybnie wzbudziłby podejrzenia. Moi ludzie schowają go przy sobie. Pojedzie pan z nami aż do rzeki, a następnie na tratwę i... żegnaj, panie Jordanie!

— Jak to? Przecież muszę tu wrócić...

— Ba! Najlepszym antidotum na „muszę” jest... „nie chcę”.

— Cóżby na to powiedział major?

— Niech to pan mnie zostawi. Postaram się, by wyraził zgodę na pańskie towarzystwo...

— Przecież to mój przełożony.

— Owszem, ale tylko dopóty, dopóki pan go za takiego uważać zechce. Proszę wziąć pod uwagę, że jestem po pańskiej stronie. A przekonał się pan chyba dzisiaj, że potrafię sobie radzić z tym człowiekiem. Może pan być pewny, że ucieczka się powiedzie.

— A jednak to rzecz ryzykowna...

— Nie ma tu najmniejszego ryzyka, zapewniam pana. Proszę sobie przypomnieć, na co ja się odważyłem w samym środku waszej wielotysięcznej bandy. Czyżbym teraz miał się obawiać tych kilku ludzi, którzy nam będą towarzyszyli?

— Może łatwo dojść do bitki...

— Bądź pan o to spokojny. Ludzie ci wiedzą, że broń ich nie dorównuje naszej ani w połowie. Zresztą w spotkaniu z wrogiem zawsze większe znaczenie ma chytryść niż gwałt.

— Dobrze więc. Mówi pan tak szczerze i przekonująco, że gotów jestem pójść za tą życzliwą radą. Rzeczy swoje przyniosę tu zaraz.

Wysunął się cichaczem i po kilkunastu minutach wrócił ze swymi rzeczami. Nie mówiliśmy już o planie ucieczki, bo też i nie można było przewidzieć, jak się sprawy potoczą i jakie wyłonią się trudności. Pożegnałem więc rotmistrza i położyłem się spać.

Nazajutrz, kiedy się obudziłem, w koszarach i na dziedzińcach panował już ruch w całej pełni. Żołnierze rozniecili znów ogień, by upiec mięso, które stanowiło prawie wyłączny ich pokarm, spożywany trzy razy na dzień. Inni krzatali się koło koni, a niektórzy pędzili je do wody.

Byłem przygotowany, że Jordan wezwie mnie do siebie, by omówić szczegóły interesującej go sprawy, omyliłem się jednak. Ambitny „*generalissimo*” sam pofatygował się do mnie.

— Dzień dobry panom! — rzekł uprzejmie. — Przyszedłem wam oznajmić, że dostaniecie za chwilę śniadanie, po czym natychmiast wyruszyacie w drogę. Dotrzymuję więc słowa, co?

— Tak. Nie wątpię w to — odrzekłem. — Jesteśmy więc zupełnie wolni i pan żadnych nieprzyjaznych uczuć do nas nie żywi?

— Może pan być spokojny. Ze względu na wypadki, jakie tu miały miejsce, nie mogę jednak pozwolić, aby major wybrał się z wami sam jeden.

— Może pan wysłać z nim nawet całą swoją armię, mnie to żadnej różnicy nie sprawi...

— Major otrzymał ode mnie pisemne pełnomocnictwo — ciągnął dalej „*generalissimo*” — które przedstawi w Buenos Aires panu i señorowi Tupido. Jest on także poinformowany dokładnie, jak daleko może posunąć się w układach, i jeżeli się z nim zgodzicie, będzie to jak gdybym ja osobiście zawarł z wami umowę. Rozumie się, że towar nie może być wyładowany w Buenos Aires, lecz trzeba go podwieźć w górę Parany.

— Dokąd?

— Major powie to później.

— Wolałbym wiedzieć teraz.

— Umowa jeszcze nie została zawarta i może się zdarzyć, że interes nie dojdzie do skutku. Biorąc to pod uwagę, muszę zachować pewne szczegóły w tajemnicy.

— Mniejsza o to — rzekłem, machnąwszy ręką.

— Stąd pojedziecie konno aż do rzeki, a następnie przesiądziecie się na pierwszą tratwę, jaka z góry nadpłynie. Oprócz towarzyszy majora wyślę z wami mały oddział pod dowództwem rotmistrza, którego pan już poznał. Oddział ten towarzyszyć wam będzie nie dlatego, że wam nie dowierzam, lecz po to, by przyprowadzić z powrotem konie, których major ze sobą wziąć nie może.

— Wcale mi to zarządzenie pańskie nie przeszkadza.

— A major, spodziewam się, że dowiedzie, iż należy do pańskich przyjaciół, nie zaś do wrogów.

— I wyjdzie to przede wszystkim jemu na dobre, gdyż inaczej zaszkodziłby niepotrzebnie sobie i oczywiście... panu.

— Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia? — zapytał Jordan przemilczając moją ostatnią uwagę. — Może pan potrzebuje jakiś wyjaśnień?

— Chciałbym tylko prosić o zapas żywności na drogę, gdyż nie będziemy mogli w podróży zajmować się polowaniem.

— Pomyślałem już o tym i będziecie zaopatrzeni we wszystko. Żegnam panów i mam nadzieję, że spotkamy się następnym razem jako przyjaciele, co zależy wyłącznie od pana.

— O, i od pana również. Raczej, señor, przyjmując od nas podziękowanie za gościnność.

— Nie ma za co. Do widzenia! Po tych słowach oddalił się.

Niebawem przyniesiono nam tobołki z mięsiwem i dano dla naszych koni obroku, a wkrótce przybył i major, by oznajmić, że czas wybrać się w drogę.

Jordan był na tyle przezorny, że całą prawie załogę „castella” wysłał na ćwiczenia; w obrębie baraków pozostawiono zaledwie garstkę żołnierzy, oprócz tych, rzecz prosta, którzy mieli nam towarzyszyć w podróży. Ci ostatni byli dobrze uzbrojeni, co mnie zresztą wcale nie dziwiło. Z min ich można było wyczytać, że nie są do nas przyjaźnie nastawieni, a major wyraźnie silił się na obojętność.

Kapitan i sternik pożyczili dla siebie koni i niebawem byliśmy gotowi do drogi.

Eskorta, mająca nam towarzyszyć do Buenos Aires, składała się z tylu ludzi, ilu było nas, a oprócz tego rotmistrz miał pod swoją komendą dziesięciu jeźdźców. Kiedy wyjeżdżaliśmy, Jordan stał w pobliżu razem z generałem i pomachał nam ręką na pożegnanie.

Podążyliśmy ku rzece nie tą drogą, którą nas tutaj przypędzono, lecz zboczyliśmy nieco na południe. Major, zapytany o przyczynę tego, wyjaśnił, że w miejscu, do którego zdążamy, rzeka zakręca w głąb stepu, tą drogą dojedziemy więc do niej o wiele prędzej. Do rotmistrza nie odzywałem się wcale, by nie zdradzić, że się wcześniej porozumiewaliśmy.

W drodze stwierdziłem ku wielkiemu memu zadowoleniu, że zarówno kapitan, jak i sternik, trzymali się w siodłach wyśmienicie. Dotychczas trudno mi było coś o tym powiedzieć, gdyż wszyscy byliśmy przywiązani do siodeł, co — rzecz prosta — nie pozwalało pokazać swych umiejętności.

— Charley — zagadnął Turnerstick, gdy wyjechaliśmy na szczyry step — gdy teraz pomyślę o naszych ostatnich przejściach, dochodzę do wniosku, że jednak była to straszna pułapka. A mimo to, przyznać panu należy, że umiał pan wydobyć z niej siebie i nas isticie po mistrzowsku. Ciekawy jestem, co sobie pomyślą te draby, gdy po przybyciu do Buenos Aires zobaczą, że ich tak zwiedliśmy.

— Przede wszystkim oni do Buenos Aires nie dojadą, bo ich w pewnym momencie wysadzę na łąd.

— To się nie obejdzie bez walki. I dobrze. Rad nawet jestem z tego, bo mnie ręce swędzą. Co jednak będzie potem? Pojedziemy do Buenos?

— Nie wiem jeszcze, zobaczymy. Przecież ja z moimi towarzyszami zmierzam do Gran Chaco. Niestety, kto wie, czy będziemy się tam mogli udać, gdyż bardzo możliwe, że Jordan obsadził już swymi ludźmi tamte okolice, a ja nie chciałbym ponownie wpaść im w ręce.

— Jedźmy więc prosto do Buenos, a stamtąd już bezpieczną drogą do waszego celu. Ja również pojedę z wami.

— Pan? Ma pan czas na to?

— Statek mój musi zostać w porcie jeszcze parę tygodni, więc byłaby to dla mnie świetna rozrywka. Proszę wziąć mnie ze sobą, będę panu za to bardzo wdzięczny.

— Porozmawiamy o tym później. Teraz wydaje mi się, że nie ma innej rady, jak tylko popłynąć do Buenos. Jordan niezawodnie wysłał oddział wzdłuż rzeki, aby być pewnym, że pojechaliśmy prosto do wytkniętego celu. Zresztą trudno przewidzieć, co się stać może, zanim znajdziemy się na rzece.

— Czyżby miał pan jakieś obawy?

— Obawy nie, ale przypuszczenia... Proszę spojrzeć... Jacyś dwaj jeźdźcy zbliżają się ku nam... Może będą pytali o drogę.

Rozmawialiśmy po cichu, aby nas ludzie Jordana nie słyszeli. Aczkolwiek nie sądziłem, by któryś z nich znał język angielski na tyle, żeby nas zrozumieć, jednak wolałem być ostrożny.

Jeźdźcy zbliżyli się ku nam i zatrzymali konie, a sądząc, że major jest dowódcą oddziału, zwrócili się do niego. Jeden z nich powiedział uprzejmie:

— Przepraszam, señor. Jedziemy do Lopeza Jordana i chcielibyśmy was prosić o wskazanie drogi. Czy nie byłby pan łaskaw udzielić nam wskazówek?

— Z przyjemnością. My właśnie wyjechaliśmy z jego głównej kwatery — odrzekł major.

— Czy należy pan może do jego armii?

— Tak, señor, jestem w niej majorem. Czy macie jakiś interes do Jordana?

— O, i to bardzo ważny.

— No, no?

— Nie wolno nam mówić o tym, majorze.

— Czy macie jakieś pismo?

— Nie, señor — odrzekł jeździec z pewnym wahaniem.

— Skąd jedziecie?

— Od rzeki — odrzekł wymijająco.

— Ja to przecież sam widzę. Pytam, czy jesteście z Urugwaju?

— Tak.

— Z jakiego miasta?

— Możemy to powiedzieć tylko Jordanowi.

— A kto was wysłał?

— Niestety, majorze, i o tym nie wolno nam mówić.

— Do licha! Musi to być niezwykle ważna sprawa! Co jednak będzie, jeżeli was zmuszę do wyjawienia mi jej?

— Ściągnąłby pan w ten sposób gniew Jordana na siebie.

— Hm! — pomyślał chwilę. — Właściwie to powinienem was zatrzymać i przynajmniej...

Nie dokończył i potarł czoło, jakby się zastanawiał, co czynić.

Mnie w tym momencie przyszło na myśl, że ludzie ci mogą być właśnie wysłannikami Tupida, któremu odmówiłem pośredniczenia w zawarciu kontraktu z Jordanem. Chcąc się dowiedzieć cokolwiek na ten temat, zbliżyłem się do nieznanomych i rzekłem:

— Z góry się zastrzegam, że nie chcę wydzierać wam tajemnic. Ale możecie mi bez obawy odpowiedzieć na jedno pytanie. Jedziecie z Montevideo?

Nie otrzymawszy zaś odpowiedzi, dodałem:

— Wysłał was señor Tupido?

I na to odpowiedziano mi milczeniem. Mnie jednak to wystarczyło. Dodałem więc:

— Wiem wszystko o waszej misji, bardzo ważnej misji, i dlatego major was zatrzymywać nie może. Jedźcie z Bogiem.

— Hola! — wtrącił Cadera. — Kto tu rozkazuje: ja czy pan?

— Rozumie się, że ja — odrzekłem.

Uważałem, że muszę wystąpić tak zdecydowanie, aby nie dopuścić do dalszej rozmowy majora z jeźdźcami, w trakcie której mógłby wyjść na jaw mój stosunek do Tupidy.

Po tych stanowczych słowach major spojrzął na mnie zmieszany i rzekł:

— Zapomina pan, że jestem oficerem armii Jordana i mam nadzór nad panem.

— Eee! Zapewniam pana, że nie ma człowieka, któremu bym pozwolił sobą kierować. Ponadto przekonam pana, że nie pan nade mną, ale ja nad panem mam nadzór. Ci ludzie odjadą natychmiast.

— Przepraszam, zostaną i każą ich zrewidować.

— Nie łudź się, majorze, że tego dokonasz.

— Cóż to? Śmiały pan mi przeszkodzić?

— Owszem, przeszkodzę, i to w sposób bardzo prosty. Jeżeli pan tylko tknie którego z tych obcych ludzi, którzy w moim interesie jadą do Jordana, dostanie pan kulą w łeb. Idzie tu przecie o wygraną lub klęskę Jordana i życie pańskie wobec doniosłości tej sprawy ma taką samą wartość jak na przykład życie komara lub nędznej dżdżownicy.

Przy tych słowach trzymałem rewolwer w rękę, a i towarzysze moi byli gotowi do strzału. Żołnierze majora, widząc, na co się zanosi, poczęli się cisnąć do niego, niezbyt radzi widocznie z tej sprzeczki, gdyż myśl o walce z nami napełniała ich lękiem, mimo iż mieli nad nami liczebną przewagę. Aby przekonać ich, że my się nie boimy i że nie poddamy się pod zwierzchnictwo majora, postanowiłem być jak najbardziej stanowczym.

Cadera na widok wymierzonego w jego stronę rewolweru sięgnął do pasa po swój pistolet. Spostrzegłszy to, krzyknąłem:

— Stój! Jeżeli ruszy pan ręką, zastrzelę cię natychmiast!

— Oszalał pan, señor! — rzekł, cofając rękę. — Zdaje się panu chyba, że jest pan co najmniej władcą w Entre Rios...

— Myli się pan! Nic mi się nie zdaje, tylko nie pozwolę rozkazywać sobie byle komu. Zapewnił mnie pański „*generalissimo*”, że będzie pan moim przyjacielem, a tymczasem, jak widzę, rzecz ma się przeciwnie, więc zmuszony jestem odpowiednio do tego postępować.

To rzekłszy, zwróciłem się do jeźdźców:

— Jedźcie dalej i pozdrowcie ode mnie señora Jordana. Uważając na nasze tropy nie zbłądźcie.

Zadowoleni widocznie z takiego obrotu sprawy popędzili galopem we wskazanym kierunku, a major, stojąc bezradnie, syknął przez zaciśnięte zęby ...

— Zapiszę to sobie w pamięci, señor.

— Nic nie mam przeciwko temu, majorze — rzekłem. — Jedziemy dalej. I wysunąłem się ze swymi towarzyszami do przodu. Majorowi najwidoczniej odeszła ochota czynić jeźdźcom przeszkody, gdyż podążył za nami, pomimo że puściliśmy się klusem, bo wobec tego niespodziewanego spotkania każda sekunda była dla nas droga.

— Sądzi pan, że ci dwaj jeźdźcy są istotnie wysłannikami Tupida? — spytał brat Hilario.

— Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości.

— Nasze szczęście, że nie przybyli wcześniej. Musielibyśmy walczyć na śmierć i życie.

— Kto wie, czy nie dojdzie do tego w drodze. Jordan, otrzymawszy kontrakty, na pewno każe nas ścigać.

— I ja tak przypuszczam.

— Jesteśmy w drodze zaledwie godzinę, a więc za godzinę ci posłańcy dojadą do głównej kwatery; my zaś dostaniemy się do rzeki nie prędzej jak za cztery godziny. A i tam mogą nas dopaść, jeżeli będziemy musieli czekać na tratwę.

— Cóż więc robić, aby uniknąć walki i rozlewu krwi?

— Zobaczymy. Jeżeli zbyt długo nie będzie tratwy, pojedziemy w górę rzeki, a może jaką napotkamy.

— Dobra myśl, bo jednocześnie przedłużymy drogę pogoni. Ale czy major zgodzi się na to?

— Musi się zgodzić. Jego ludzie mają respekt przed moją bronią. Puściliśmy konie galopem i major na próżno usiłował nas zatrzymać; udawaliśmy, że nie słyszymy jego nawoływań. Mimo nadzwyczajnego pośpiechu przybyliśmy nad rzekę dopiero po czterech godzinach. Z miejsca, gdzie się zatrzymaliśmy, odślaniała się rozległa przestrzeń. Obserwowaliśmy rzekę, ale niestety nie było na niej ani jednej tratwy, statku ani nawet łodzi.

— Nareszcie odpoczniemy — rzekł Cadera. — Jechaliśmy jak wariaci, dziwię się, że konie nam nie popadały.

— Pan chce odpocząć, majorze? Proszę bardzo, ale ja jadę dalej.

— Gdzie? Po co?

— Tu nie ma paszy dla koni... sama trzcina...
— Przecie konie pasły się całą noc.
— Ba, ale nasze stały w szopie i gryzły tylko liście kukurydzy. Nie możemy głodzić zwierząt w drodze.

— Na tratwie będą mogły wypocząć.

— Ale na tratwie nie rośnie trawa ani owies. Jedziemy tam!

— I wskazawszy ręką w górę rzeki, puściłem się kłusem, a za mną moi towarzysze.

— Zostać tu! Hej! — krzyczał major.

Nie zważałem na jego nawoływania, ani myśląc, rzecz prosta, o powrocie.

— Hej! Bo strzelamy! — groził z wściekłością.

— Ja również będę strzelał! — krzyknąłem z daleka. — Tylko niech pan pamięta, że ja w swoim rewolwerze mam dwanaście kul, a pan jedną... Zresztą spróbuj pan!

I nie oglądając się już więcej, popędziliśmy galopem. Wprawdzie żołnierze majora mogli otworzyć do nas ogień, ale my na to nie zważaliśmy. Do strzelaniny nie doszło. Słyszeliśmy tylko, że, klnąc i złorzecząc na czym świat stoi, ludzie majora pędzą za nami.

Droga była uciążliwa, a właściwie nie było żadnej drogi tylko trzęsawiska porośnięte trzcina. Aby w nie nie zapaść, zmuszeni byliśmy zbaczać od czasu do czasu w głąb łąd. Żołnierze majora mieli oczywiście te same przeszkody, więc nie byli w stanie nas dopędzić.

Przez długi czas na rzece nie widzieliśmy żadnego statku ani tratwy. Za to trafiliśmy nareszcie na suchszy teren, gdzie możliwy był dostęp do brzegu. Tu zatrzymaliśmy się, by dać wypocząć koniom, i niebawem dołączył do nas major ze swymi ludźmi.

Wypocząwszy nieco, spostrzeżliśmy nareszcie płynącą w oddali tratwę i major na jej widok aż podskoczył z radości.

— Chwała Bogu, że się już skończy ta szalona jazda! — rzekł z ulgą.

— Ci flisacy muszą nas zabrać.

— Jeżeli zechcą — rzuciłem mu w odpowiedzi.

— Co znaczy „zechcą”? Zmusimy ich do tego!

— Niech się pan nie waży na najmniejszy nawet wybryk. Lepiej zaofiarować im dobrą zapłatę za przewóz.

— Ba, ale kto da na to pieniądze?

— Ja im zapłacę.

— Chyba że tak. To mi się podoba! W takim razie pan się z nimi umówi.

Podjechałem kawałek naprzód i, przyłożywszy ręce do ust, krzyknąłem do zbliżających się flisaków:

— Hej, hej! Czy weźmiecie nas do Buenos Aires?

— Tratwa nasza nie płynie do miasta — odkrzyknięto mi.

— To nic nie szkodzi.

— Ile osób?

— Dwadzieścia i dziesięć koni. Ile chcecie za drogę?

— Sto talarów papierowych.

— Zgoda.

— Zatrzymamy się zaraz. Poczekajcie!

Tratwa była bardzo długa: składała się z dwunastu pól. Na przodzie i w tyle umieszczone były dwie budki. Kierowało nią dwunastu tęgich mężczyzn, którzy byli prawie całkiem obnażeni.

Zanim tratwa dobiła do brzegu i została umocowana, upłynęło z piętnaście minut, w czasie których nasłuchiwałem, czy od strony łąd nie dobiega tętent kopyt końskich. Jeżeli wysłańcy Tupida od razu trafili do Jordana, musiał on już poznać prawdę, wobec czego zarządzone za nami pościg mógł lada chwila znaleźć się na naszych karkach. Major zsiadł z konia i my uczyniliśmy to samo. Zbliżyłem się do rotmistrza i zapytałem po cichu:

— No, señor! Teraz najodpowiedniejsza pora. Chce pan doprowadzić do skutku swój zamiar?

— Czy myśli pan, że się uda?

— Jestem najzupełniej pewny.

— Ale w jaki sposób?

— Proszę zaprowadzić swego konia na tratwę i zostać tam, schowawszy się za budkę.

Tratwa była już przymocowana do brzegu, więc rotmistrz, zabrawszy swego konia, skierował się ku niej, ja zaś wydałem polecenia bratu Hilario, prosząc, by podał je szeptem towarzyszom.

Tymczasem major chciał wydać rozkazy żołnierzom, którzy mieli wracać z końmi do „castella” Jordana, spostrzegłszy jednak rotmistrza, wchodzącego na tratwę w otoczeniu moich towarzyszy, zapytał:

— Cóż to? Rotmistrz na tratwie?

Ponieważ rozmawiałem w tej chwili z yerbaterem, więc słów majora mogłem nie dosłyszeć.

— Co się stało? — zapytałem, zwracając się ku niemu.

— Po co rotmistrz wsiadł na tratwę — powtórzył pytanie Cadera.

— Prawdopodobnie po to, by z nami popłynąć — rzekłem.

— Diabolo! Kto mu na to pozwolił?

— Czyż Jordan nie wspomniał panu o tym?

— Nie wiem nic o takim poleceniu — rzekł zaniepokojony i zwrócił się do żołnierzy, mających wracać do obozu.

Ja tymczasem przystąpiłem do flisaka, który stał w pobliżu mnie na brzegu, i szepnąłem mu:

— Pięćdziesiąt talarów więcej, jeżeli ci żołnierze zostaną na brzegu.

— Dobrze, señor! — odrzekł.

Zwróciłem się następnie do tracącego głowę majora:

— Wcale się temu nie dziwię. Teraz przekona się pan nareszcie...

— O czym?

— Że znajduje się pan pod moim nadzorem.

— Jak to? Co pan plecie? Ja? Pod pańskim nadzorem?

— Powiedziałem to panu nie tak dawno i chyba pan o tym jeszcze nie zapomniał.

— Nic nie rozumiem...

— Muszę więc powiedzieć to jaśniej: prawdopodobnie señor Jordan nie ma do pana zbyt dużego zaufania...

— Ależ to dla mnie obraza!

— Oczywiście. Ja na pańskim miejscu byłbym na niego bardzo obrażony. Jak mógł podejrzewać pana o spiskowanie ze mną.

— Co pan mówi? Nic nie rozumiem...

— A może panu przyszła do głowy niemądra myśl, aby w chwili gdy ładunek, przeznaczony dla Jordana, znajdzie się w miejscu bezpiecznym, uwięzić mnie powtórnie?

— Señor!

— No, no! Niech pan nie udaje! Znam pańskie myśli! Aby jednak podobnym głupstwom z pańskiej strony zapobiec, Jordan wysłał rotmistrza, by sprawował kuratelę nad panem.

— Co pan mówi? To... To...

— Taka jest wola Jordana.

— Jak pan udowodni prawdziwość tego twierdzenia.

— Jak? Rotmistrz ma przy sobie pisemne polecenie. Może je panu pokazać? Proszę! Niech pan wejdzie na tratwę... do rotmistrza...

— *Tormento!* Żartuje pan chyba?

— Niech on panu powie.

— To oczywiste! Musi mi powiedzieć i pokazać pismo. Ale dlaczego schował się za budę? Jeżeli ma takie pismo, to nie pojedę z wami za nic w świecie. Muszę się z nim natychmiast rozmówić.

Wskoczył na tratwę, a ja podążyłem za nim. Widziałem, jak wrzał gniewem i nie zwrócił nawet uwagi, że zbliżyłem się do jednego z flisaków i dałem polecenie, aby tratwę natychmiast odcumowano od brzegu.

Major, nie widząc tego, zbliżył się do rotmistrza i zaczął go obrzucać ostatnimi wyrazami.

— Niechże się pan nie kłóci — rzekłem, podchodząc do Cadery — bo to się panu na nic nie przyda. Zresztą nie pozwolę na tego rodzaju zachowanie w mojej obecności.

To mówiąc, zwinnym ruchem wyrwałem mu pistolet zza pasa.

— Co to znaczy? Jak pan śmie... — krzyknął.

— Uspokój się, majorze. Pistolet nie jest już panu potrzebny...

— To... to... bezczelny rabunek! To...

Chciał się zwrócić ku swoim ludziom, którzy właśnie w tej chwili wszczęli hałas ogromny, i struchlał z przerażenia, tratwa bowiem, odbiwszy się od brzegu, wypłynęła od razu na bystry nurt.

— Co to ma znaczyć? — rzucił się jak wściekły. — Przybić do brzegu! Natychmiast do brzegu!

— Ciekawy pan jest, co to ma znaczyć? Otóż powiem panu: znaczy to, że jest pan moim więźniem i że w razie najmniejszego oporu zastrzelę pana bez żadnych ostrzeżeń.

— Więźniem? Pan mnie zastrzeli? Zwariował pan chyba! — bełkotał błędąc jak płótno.

— Jestem przy zdrowych zmysłach — rzekłem. — Natomiast pan chyba należy do wariatów, skoro dał się tak łatwo podejść.

— Rotmistrzu, na pomoc! — krzyknął i błędnym wzrokiem spojrzał na kolegę.

Ale rotmistrz, nie odpowiedział nawet słowem, wrzucił obojętnie ramionami.

— Rotmistrzu — powtórzył. — Jestem zdumiony pańskim zachowaniem. Czyżby trzymał pan stronę tego...

— Ani słowa więcej! — przerwałem mu groźnie. — Zapowiadam panu, że nie zniosę najmniejszej obrazy!

— A ja nie zniosę podobnego traktowania. Każę swoim ludziom strzelać... natychmiast...

— Na nic się to panu nie przyda, bo ludzie ci nic mu już nie pomogą. Poza tym, jeśli pan chociaż ręką ruszy, przypłaci to życiem.

To mówiąc, chwyciłem go za ramię i pociągnąłem za budkę.

Tratwa tymczasem szybko oddalała się od przystani, co widząc pozostali na brzegu żołnierze wsiedli na konie i puścili się wzdłuż brzegu, aby nie stracić nas z oczu.

— *Chispas!* — przeklinał major. — Płyniemy szybko, to prawda, ale moi ludzie dążą równolegle... A tam, poniżej, na pewno czeka już Jordan z całą masą...

— Siepaczy — dokończyłem. — Którzy zechcą nas schwytać. Nieprawdaż? Otóż złudna jest pańska nadzieja, że my się ich złękniemy.

Istotnie, w pewnej odległości od miejsca, z którego niedawno wypatrywaliśmy tratwy czy statku dla siebie, ukazał się w tej chwili spory oddział konnicy. Patrząc przez lornetkę dostrzegłem Jordana, który jechał na czele bandy. Nie spuszczałem ich z oka i zauważyłem po pewnym czasie, że dołączyli do nich żołnierze pozostawieni przez nas na brzegu. Widziałem, jak wyciągali ramiona, wskazując nas, po czym oddział rozwinął się w linię bojową i zaczęła się strzelanina.

Na szczęście znajdowaliśmy się tak daleko od strzelających, że kule ich dosięgnąć nas nie mogły.

Major nie krył wściekłości i rozpacz. Czas jakiś kłął, rzucał się, kopał, a w końcu, widząc, że to do niczego nie prowadzi, uspokoił się i, siadłszy na kłocu, patrzył przed siebie dzikim wzrokiem.

Długo jeszcze wzdłuż brzegu pędzili jezdni Jordana, jednak ta ich fatyga nie tylko okazała się zbyt ciężka, ale i godna politowania, gdyż trzęsawiska i zarośla nadrzeczne, które spotykali po drodze, były przeszkodą, która im dziesiąte poty wydobywała na czoła.

Uszliśmy szczęśliwie...

ROZDZIAŁ V

PAMPERO

Wśród grona naszego tylko ja jeden odczuwałem prawdziwą radość z pokonania niebezpieczeństw, jakie dotychczas spotykaliśmy na naszej drodze. Towarzysze moi, znęcani nimi, wciąż jeszcze się obawiali, że wpadniemy ponownie w ręce tej wielkiej bandy, która pościgiem za nami zaalarmowała rozległą okolicę. Co do mnie, byłem przekonany, że nic nam więcej nie grozi, gdyż bagniste brzegi rzeki i rwące prądy jej nurtu sprawiły, że znacznie wyprzedziliśmy ścigających i po kilku godzinach zrezygnowali oni z pościgu.

Major Cadera, widząc, że pogoń skończyła się niepowodzeniem, począł się wściekać na nowo, grożąc nam i łajac niemal do upadku sił, aż zmuszeni byliśmy wysadzić go w końcu na jednej z mijanych wyseppek. Rozumie się, że głowa nas o to nie bolała, w jaki sposób dostanie się na brzeg.

Niebawem doszliśmy do wniosku, że nic już nam nie grozi ze strony Jordana, toteż przybiliśmy do lewego brzegu rzeki i wysadziliśmy na ląd estancjera oraz jego syna, którzy, pożegnawszy nas serdecznie, odjechali do domu.

Dalszą podróż do Buenos Aires odbyliśmy już bez żadnych przeszkód.

Wynagrodziwszy suto flisaków i pożegnawszy się z rotmistrzem, który był nam niezmiernie wdzięczny, że pomogliśmy mu wydostać się z bandy Jordana, wróciliśmy do myśli o przerwanej podróży do Grand Cjiaco. Teraz mieliśmy wyruszyć w liczniejszym gronie, gdyż Turnerstick oraz sternik także postanowili towarzyszyć nam w tej wyprawie, na co się chętnie zgodziłem.

Kilka dni wypoczywaliśmy w Buenos Aires, z czego najbardziej zadowolony był kapitan, gdyż załatwił w tym czasie niektóre ze swych interesów i wydał odpowiednie dyspozycje.

Dla ułatwienia i przyspieszenia podróży postanowiliśmy część drogi, mianowicie do Corrientes, odbyć na statku, wobec czego moi towarzysze musieli posprzedawać konie. Co do mego gniadosza nie chciałem się z nim rozstawać za żadną cenę, więc postanowiłem wyprosić u kapitana pozwolenie na wzięcie go ze sobą, na co się ostatecznie zgodził. Umieściłem faworyta swego na przednim pokładzie między pakami i worami, jakby w jakiej stajence, i żał mi tylko było, że nie miał biedak dachu nad głową.

La Plata stanowi największy po Amazonce system rzeczny w Ameryce Południowej. Powstała ona ze zlewisk Urugwaju i Parany i ma najszersze ze wszystkich rzek na kuli ziemskiej ujście. Bezpośrednio po połączeniu się obu wymienionych rzek szerokość La Platy wynosi 40 kilometrów, koło Montevideo przeszło 105 kilometrów, wreszcie u ujścia 220 kilometrów. Ogromne to ujście ma wodę tak brudnożółtą, że odróżnia się ona od wody morskiej jeszcze w odległości 130 kilometrów w głąb morza.

Rzeka Parana przy zbiegu z La Platą jest głęboka na 30 metrów, można więc sobie wyobrazić, jak jest szeroka. Należy ona do największych w Ameryce Południowej, nie tworzy jednak szerokiego koryta, lecz dzieli się na liczne ramiona, wskutek czego pełno na niej wysp, nieraz bardzo znacznej wielkości.

Statek, na który wsiedliśmy, zawijał po drodze do różnych mniejszych portów, ja jednak nie wysiadałem nigdzie na ląd, nie chcąc narażać się na spotkanie z kimkolwiek. Nawet w Santa Fé i w Paranie nie schodziłem z pokładu i dopiero kiedy minęliśmy te miasta, odetchnąłem pełną piersią.

Minąwszy Puerto Antonio i La Paz, statek zawinął do ujścia Rio Guayguaro, wpadającej od wschodu do Parany.

Pasażerowie naszego statku stanowili mieszaninę ludzi z rozmaitych prowincji; nie brakowało tu nawet Indian z kobietami i dziećmi. Biali prawie wszyscy byli uzbrojeni, nie czuli

się bowiem bezpiecznie nawet na pokładzie statku, gdyż w tym właśnie czasie w Entre Rios zanosilo się na rewolucję.

Spośród odbywających z nami podróż Indian zwrócił moją szczególną uwagę pewien młodzieniec. Zainteresowałem się nim nie dlatego, że był piękniejszy lub lepiej odziany od innych, lecz zupełnie z innego powodu. Jechał on w towarzystwie chorej kobiety, zapewne matki, którą opiekował się niezwykle troskliwie i serdecznie. Zastanowiło mnie to, gdyż u Indian miłość do rodziców zdarza się bardzo rzadko. Indianka, tak samo jak kobieta na wschodzie, czy to jako żona, czy matka, uważana bywa wyłącznie za robotnicę, za nic ponadto.

Oboje obserwowani przeze mnie ludzie odziani byli bardzo ubogo. Młodzieniec miał na sobie zaledwie koszulę, spodnie, buty i pas, od którego zwisał na rzemyku nóż. Wyrazem inteligencji, wyczernającym mu z oczu, różnił się wyraźnie od otaczających go osobników tej upośledzonej dziś rasy.

Uwagę moją zwrócił jeszcze jeden człowiek, biały, który wywarł na mnie zupełnie odmienne niż młody Indianin wrażenie. Zajmował on miejsce na tylnym pokładzie, w pobliżu sternika, a manewrował w taki sposób, aby nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, a jednocześnie widzieć wszystkich i wszystko, co się na pokładzie dzieje. Ubrany był elegancko, na modłę paryską; brodę miał przystrzyżoną jak wszyscy w tym kraju. Z rysów jego i z wyrazu oczu można było wnioskować, że odznacza się niezwykle inteligencją i siłą woli. Sądząc z ogorzałej od słońca twarzy, pomimo eleganckiego wyglądu, nie zaliczał się chyba do bywalców salonów. O jego postawie trudno mi było coś powiedzieć, gdyż siedział skulony i nie podnosił się z zajmowanego miejsca. Z niektórych jednak szczegółów domyśliłem się, że jest wojskowym, być może nawet wyższej rangi oficerem.

Niedaleko od niego siedział Murzyn, prawdopodobnie jego służący, gdyż spoglądał ku niemu ustawicznie, jakby oczekiwał na najmniejsze skinienie.

Obaj wsiedli na statek w Rosario i od razu oddzielili się od reszty podróżnych.

Turnerstick już w ciągu pierwszej godziny podróży zawarł znajomość z kapitanem statku i nie odstępował go prawie na krok. Opowiadał mu o czymś bez przerwy, a kapitan słuchał w milczeniu i od czasu do czasu uśmiechał się tylko.

Sternik Larsen wepchnął się między paki i nie wdając się z nikim w gawędy przypatrywał się okolicy.

Brat Hilario przysiadł się do mnie, a *yerbaterzy* swoim zwyczajem uwijali się między podróżnymi, nawiązując, licho wie po co i na co, zupełnie zbyteczne znajomości.

Podróż Paraną jest bardzo urozmaicona, podobnie jak Dunajem, Renem lub Łabą. Pominąwszy rozmaite osobliwości, będące dziełem rąk ludzkich, godne są również uwagi okolice rzeki, obfitujące w piękne widoki. Szczególną uwagę podróżnika zwraca bogata roślinność, tym bujniejsza, im dalej na północ. Brzegi rzeki przeważnie wznoszą się stromo, tworząc tak zwane *barranca*, a wysokość ich sięga przeciętnie do dwudziestu metrów. Osypiska ich ukazują dwie warstwy ziemne: Wapienną i gliniastą, przedzielone smugą skamieniałych muszli. Owe „*barranca*” są po części nagie, po części zaś pokryte krzakami, wśród których wyróżniają się liczne gatunki palm. Tu i ówdzie brzegi Parany poprzerywane są przez większe dopływy lub potoki, wpadające do głównego łożyska. Nie należy jednak z podanego opisu wnioskować, że obydwie brzegi rzeki są w każdym miejscu i zawsze widoczne. Jej szerokość oraz licznie rozsiane wysepki często uniemożliwiają dostrzeżenie stałego ładu. Żegluga po Paranie jest niezwykle skomplikowana, gdyż trzeba nieraz przeciskać się przez wąskie cieśniny między owymi wysepkami.

Postanowiliśmy płynąć statkiem tylko do Goya, a stamtąd już konno wybrać się do Gran Chaco. Za bilet pierwszej klasy — przeszło siedemset kilometrów — zapłaciłem (licząc na walutę austriacką) niecałe sto koron. *Yerbaterzy* w klasie drugiej zapłacili o połowę mniej. Z tego widać, że ceny nie były obliczone na wyzyskanie podróżnych, co więcej kilka Indianek, które nie miały pieniędzy na opłatę, kapitan zgodził się przewieźć za darmo.

Posilaliśmy się zazwyczaj na pokładzie, po czym gromadzono Indian i dawano im to, co pozostało z pierwszego stołu. W nocy pasażerowie tej kategorii kładli się spać na pokładzie, gdzie kto chciał, i przechodząc tamtędy, trzeba było bardzo uważać, żeby nie nastąpić na przykład komuś na głowę.

Ponieważ wszyscy podróżni mieli broń palną, często słychać było strzały, wymierzone do ptaków wodnych, których całe stada unosiły się w tej nadrzecznej okolicy.

Wśród ptactwa tego na szczególną uwagę zasługuje rodzaj dzikich kaczek, zwanych *cuero*. Ptaki te siedzą całymi stadami na wysepkach, a gdy sieje przypadkowo słoszy, uciekają na wodę i zanurzają się w niej tak, że tylko głowy im widać na powierzchni.

Oprócz tego gatunku czarno upierzonych kaczek spotyka się tu rozmaite ptactwo wodne, na przykład jaskółki morskie i mewy, a na lagunach można nawet zauważyć bociana, którego tu zowią „*tujuju*”.

Ze zwierząt zauważyłem spore świnki morskie i wydry, które określają tu wyrazem „*lobo*”, co znaczy mniej więcej tyle co wilk.

Zdarzyło mi się też widzieć wśród nadbrzeżnych zarośli jaguary, które o świcie urządzają polowania na świnki morskie i inne zwierzęta.

Podróżni, obok ptactwa wodnego, strzelali najczęściej do aligatorów, zwanych w języku krajowym *jacare*. Bestie te leżą zazwyczaj na piasku jedna obok drugiej i nic ich stamtąd poruszyć nie jest w stanie. Dopiero gdy o pancierz aligatora uderzy kilka kul, złązi on leniwie do wody, lecz i tu płynie w ten sposób, że cała głowa sterczy ponad powierzchnią. Pancierz jego jest tak twardy, że zwykła kula nie zdoła go przebić, i aby uśmiercić bestię, trzeba celować w miejsca miękkie, a więc na przykład w spodnią część ciała, co o tyle jest trudne, że zwierzę spoczywa właśnie na brzuchu.

Strzelanie z pokładu do aligatorów dało mi sposobność nawiązania rozmowy z owym eleganckim podróżnym, który widocznie znudzony zbyt długim siedzeniem wstał wreszcie ze swego miejsca i podszedł do burty, by zobaczyć, jakie strzelcy osiągają wyniki. Popatrzawszy jednak czas jakiś, wzruszył ramionami, a z miny jego wyczytać było można, że go to niezdarne i bezskuteczne strzelanie irytuje. Gdy zaś statek zbliżył się do piaszczystego brzegu, na którym wylegiwało się mnóstwo aligatorów, i niefortunni strzelcy przygotowywali się do ponownego psucia kul i prochu, elegancki podróżny zwrócił się do Murzyna i kazał mu podać swój karabin. Stałem w tej chwili obok niego i zauważyłem, że się mną jakby zainteresował, teraz zaś, być może, chciał się popisać swymi strzeleckimi zdolnościami, gdyż spojrzawszy na mnie oparł się o burtę i wycelowawszy strzelił do jednego z potworów. Chybił jednak i kula zaryła się w piasek. Strzelił więc po raz drugi. Aligator, trafiony w grzbiet, podniósł wysoko głowę, a następnie opuścił ją z powrotem na piasek z taką obojętnością, jakby weń ktoś grochem rzucił.

O ile przedtem z oczu strzelca biła duma i pewność siebie, o tyle teraz zabłysły one gniewem i niezadowolaniem z samego siebie. Spojrzał też na mnie tak, jakby się wstydział i chciał przeprosić, że mnie zawiódł. Odwrócił się do Murzyna i oddał mu swój karabin.

— Naładować? — zapytał czarny.

— Szkoda prochu i ołowiu — rzekł. — Kule nie są niebezpieczne dla aligatora.

— Jeżeli bestia leży na brzuchu, to trudno ją zabić — zauważył brat Hilario, który stał obok.

— A mnie się zdaje, że mimo to...

— Co? Gdzie by pan celował, skoro zwierzę pokryte jest pancierzem?

— Celowałbym w oko! — rzekłem.

— Oho! To spróbuj pan. Ja jestem niezłym strzelcem, a jednak nawet bym nie próbował.

— Aby zabić aligatora, niekoniecznie trzeba trafić w oko. Ponad nim znajduje się cienka skóra i kość delikatna, które również kula przebije.

— I pan trafiłby w to miejsce?

— Nie tylko w to miejsce, ale nawet w samo oko.

— Chciałbym to widzieć. Ale... czy to nie przechwałka tylko?

— Jeżeli chce się pan przekonać, że się nie przechwalam, proszę mi wskazać, którą bestię na śmierć pan skazuje.

To mówiąc, wziąłem do rąk swój karabin. Że jednak statek oddalił się już od miejsca, w którym leżały aligatory, trzeba było zaczekać na nową sposobność, gdy będziemy przepływali koło innego „stada”.

Nieznajomy podczas tej rozmowy przypatrywał mi się ciekawie, ja zaś udawałem, że jest mi to obojętne.

Po jakimś czasie zbliżyliśmy się do łachy, na której leżały dwa wielkie aligatory oddalone od siebie mniej więcej o dwadzieścia kroków. Taka sama odległość dzieliła je też od wody.

— Będzie pan strzelał? — zapytał mnie brat Hilario.

— Tak i proszę uważać.

Podszedłem do burty, a tuż za mną podążył elegancki pan, zdradzając wielką ciekawość, nie usprawiedliwioną zresztą, gdyż dla prawdziwego i doświadczonego westmana zastrzelić aligatora to żadna sztuka.

Aligatory leżały zwrócone bokiem do strzału, a więc miałem ułatwiony cel. Byli tacy, którzy też chcieli strzelać, ale *yerbatero* wstrzymał ich, mówiąc:

— Popatrzcie raczej, jak to się robi i jak się trafia w aligatora. Niejednemu z was przydać się to może.

Oczy wszystkich zwróciły się na mnie, co mnie trochę denerwowało, bo nie byłem pewny, czy naboje były dobre i czy w razie wadliwego ich wykonania nie skompromitują siebie i swego karabinu.

W chwili gdy statek znalazł się w pobliżu ławicy, wymierzyłem i oddałem dwa strzały jeden po drugim, co wywołało wrażenie, jakbym wcale nie celował. Tak czynią zazwyczaj strzelcy na preriach, chwytając wprawnym okiem cel, zanim jeszcze broń do ramienia przyłożą.

Cała sztuka polega na tym, aby lufę przenieść od razu na linię łączącą oko z celem i aby nią nie wodzić zbyt długo, szukając punktu, gdyż powoduje to zwykle drżenie ręki. Tego systemu strzelania uczyłem się całe miesiące, a znać go powinien każdy, kto pragnie przeżyć w puszczy lub na stepie. Z obecnych na pokładzie pasażerów żaden nawet pojęcia o takim strzelaniu nie miał, a świadczyło o tym ogólne zdziwienie, że wystrzeliłem dwa razy prawie w jednej sekundzie, i to nie bez skutku. Pierwszy aligator rzucił swym cielskiem w górę, uderzył ogonem o ziemię i, przewróciwszy się na grzbiet, znieruchomiał jak kłoda; drugi skoczył kilka kroków do przodu zatrzymał się, podniósł głowę i powalił się na bok bezwładnie. Oba zostały bez życia.

— Co za celność! — krzyknął elegancki mężczyzna. — Co za mistrzostwo! Albo... może tylko przypadek.

— Ech, señor, cóż znowu! To nie żadna sztuka! — odrzekłem.

Mężczyzna popatrzył na mnie ze zdziwieniem, uchylił kapelusza i wrócił na swoje miejsce. Z zachowania się jego wywnioskowałem, że interesowała go ogromnie moja osoba. Poleciałem więc *yerbaterowi*, by się dowiedział, co to za jegomość. Niestety, nie znał go nikt prócz kapitana statku, ten zaś, zapytany, nie wymienił nazwiska nieznajomego, a tylko napomknął wymijająco, że jest to „oficialo nombrado”^{*}, który siadając na statek zastrzegł sobie incognito.

Pogoda sprzyjała nam dotąd, ale gdy znaleźliśmy się niedaleko Rio Guayauiaro, horyzont w południowej stronie przybrał barwę ciemnożółtą, a leciuchny wiatr poruszył wysokimi żdźbłami trzciny nadrzecznej. Zanościło się na burzę.

Kapitan trwożnym okiem począł spoglądać ku południowi, co nie uszło uwagi Turnersticka, który zwrócił się do mnie:

— Widzisz, sir, kapitan ma taką minę, jakby przeczuwał tajfun. Czyżby wietrzyk stepowy był tak niebezpieczny? Przecież, u licha, nie jesteśmy na pełnym morzu!

* Sławny oficer.

— I dlatego właśnie obawy jego są uzasadnione. Burza na morzu, gdzie nie ma lądu ani skał, nie jest tak niebezpieczna jak tutaj. Tu statek z łatwością rozbić się może o brzeg lub o którąś z wysepek.

— Przecież można zarzucić kotwicę i czekać, aż burza przeminie.

— To się łatwo mówi, ale trudniej zrealizować. Bo przede wszystkim do zarzucenia kotwicy trzeba znaleźć dogodne miejsce, a poza tym wicher silniejszy jest od lin okrętowych i z łatwością porwać je może na strzępy, statek zaś rzucić na brzeg.

— Nie zdaje mi się...

— Bo pan widocznie nie wie jeszcze, co znaczy „pampero”.

— No, niechby sobie przyszedł „master pampero”, rad bym mu zajrzeć w ślepiea.

— Radzę panu nie obrażać tego olbrzyma...

W czasie tej krótkiej rozmowy niebo pokryło się chmurami, powodując groźny mrok, a silny wiatr począł uginać trzciny nadrzeczne do samej ziemi.

Udałem się na przedni pokład zobaczyć, jak się miewa mój gniadosz, i przywiązać go dobrze. Kapitan w tej właśnie chwili wołał głośno:

— Pampero się zbliża! I to mokry! Proszę pod pokład! Marynarze biegali po pokładzie, przygotowując się na przyjęcie burzy, ja zaś wyciągnąłem gniadosza pomiędzy pak i skrzyń, bo groziło mu tam niebezpieczeństwo, i nie pytając nikogo o pozwolenie wyprowadziłem go na środek statku i tu pod rozpiętym płótnem przywiązałem silnie do żelaznego kółka.

Ledwie wydostałem się spod płótna, wicher, miotając mi piaskiem w oczy, uderzył tak silnie, że omal mnie nie zmiotł z pokładu. Powierzchnia wody burzyła się coraz bardziej, uderzając o ściany statku spienionymi falami.

Widziałem, że kapitan przywiązał się do żelaznej balustrady na mostku, czterech zaś majtków stanęło u steru i zabrało się do ciężkiej pracy.

Nagle wicher zerwał płótno w tym miejscu, w którym umieściłem swego konia, i byłby zmiotł zwierzę do wody, gdybym nie zarzucił nań lassa i nie powalił na ziemię. Chociaż z ogromnym trudem, ale udało mi się związać gniadoszowi nogi, ułożyć go na pokładzie i przywiązać linami do burt.

Tymczasem zaczęły już padać olbrzymie krople deszczu, zrazu z rzadka, potem coraz gęściej, aż wreszcie połały się z nieba strumienie wody.

— Dzwonić, dzwonić bez przerwy! — wołał kapitan, usiłując przekrzyczeć odgłosy burzy.

Orkan zaś srożył się coraz straszniej i ciemność zapanowała taka jak w nocy.

Z trudnością odnalazłem schodki, prowadzące pod pokład, i napotkałem na nich Turnersticka, który właśnie chciał wyjść na górę i nawymyślać „zefirowi stepowemu” z dumą prawdziwego i nieustraszonego marynarza.

Zawrócił jednak i zeszedł na dół.

— *All devils!* — rzekł. — Nigdy nie przypuszczałem, że na marnej rzeczulce może się srożyć takie piekło!

Mówiąc to, stał tuż koło mnie, a jednak musiał krzyczeć na całe gardło, abym go mógł słyszeć.

Podróźni zbili się w gromadę jak strwożone stado baranów i zniknęły wszelkie różnice, wynikające z pozycji towarzyskiej. Przy gwałtownym kołysaniu i podskokach statku jedni o drugich obijali się ustawicznie i tylko silniejsi utrzymywali się jako tako na nogach. Kto zaś chociaż na chwilę stracił oparcie, toczył się natychmiast po podłodze jak kłoda bezduszna.

Komuś przyszło do głowy zapalić wiszącą lampę i w jej świetle zaobserwowałem zabawną scenę. Na środku pomieszczenia stał Larsen wyglądający jak kolos rodyjski, a trzech Indian trzymało się go ze wszystkich stron jak deski ratunku. Nagle pod nogi Larsena zatoczył się Murzyn i cała grupa runęła, zatrzymując się dopiero pod ścianą.

Chora Indianka leżała w kącie pod schodami, a syn zasłaniał ją swym ciałem, by ktoś, zataczając się, nie uczynił jej przypadkiem krzywdy.

Wykorzystawszy dogodny moment, wbiłem silnym uderzeniem nóż w ścianę i trzymając się go nie dopuszczałem toczących się do kąta, w którym leżała staruszka. Indianin zauważył to i odtąd patrzył na mnie z wyrazem wdzięczności w inteligentnych oczach.

Na krótkich, niezwykle silnych falach wzburzonej rzeki statek wykonywał ruchy przypominające wirowanie kamienia młyńskiego. Wicher zaś przy akompaniamencie gromów i błyskawic wył tak straszliwie, a strumienie deszczu waliły w pokład z taką siłą, że zdawało się, iż ziemia lada chwila ulegnie jakiemuś ostatecznemu kataklizmowi. Oślepiające błyskawice prawie bez przerwy oświetlały bulaje, jakby się chciały wedrzeć do środka. A nie były to owe długie zygzaki, lecz raczej przypominały wybuchy fantastycznych ogni sztucznych. Przy ogłuszającym huku piorunów i okropnej wichurze jęki ludzkie, będące wyrazem trwogi, nikły zupełnie. Jednak groza bynajmniej nie była przez to mniejsza.

Podobnej burzy nie widziałem jeszcze w życiu, a grozę jej przypominała mi jedynie zamieć śnieżna z grzmotami i piorunami, jakiej byłem świadkiem w okolicach Sioux. I kiedy porównywałem w myśli jedno i drugie szaleństwo żywiołów, uczułem nagle uderzenie statku, któremu nikt już oprzeć się nie mógł; wszyscy padli na podłogę jak gruszki otrząśnięte z gałęzi. Komu rozkołatanе członki nie odmawiały jeszcze posłuszeństwa, ten zerwał się natychmiast na nogi i już bez wysiłku stał na nich, bo... bo statek wcale się już nie kołysał, a tylko przybrał jakąś dziwną pozycję.

Rozumie się, że nie było to rzeczą pocieszającą, gdyż wszyscy zauważyli natychmiast, że podłoga przyjęła w stosunku do poziomu położenie ukośne, a jednocześnie koła warczały w powietrzu, zamiast obracać się w wodzie.

Wstałem i zacząłem nasłuchiwać, zaś Turnerstick, podszedłszy do mnie, rzekł poważnie:

— Uderzyliśmy o brzeg...

— Wcale nie! — krzyknąłem tak, by mógł mnie usłyszeć. — To zderzenie ze statkiem albo z tratwą.

— *Well!* Może i racja. W takim razie wynośmy się stąd.

I mówiąc to, pobiegł na schody, a za nim pospieszył Larsen, ja zaś, nie namyślając się wiele, wzięłem starą Indiankę na plecy i wyniosłem na pokład. Syn jej podążył za mną.

Tu oczom moim ukazał się widok pełen nieopisanej grozy. Deszcz ustał nagle, ale niebo ciągle było zawalone czarnymi chmurami i tylko na południu horyzont błyszczał jasną wstęgą, rozświetlającą ciemności na tyle, że mogliśmy widzieć, co się stało. Okazało się mianowicie, że nasz statek wpadł na tratwę i utknął między jej grubymi kłocami. Dziób podniósł się wskutek tego w górę i koła znalazły się w powietrzu. Część rufowa natomiast zanurzyła się w wodę, która sięgała zajętych u steru czterem ludziom po pachy. Mimo to dzielni marynarze nie opuścili swego stanowiska, jakby im nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Na razie trudno się było zorientować, czy znajdujemy się pomiędzy dwiema wyspami, czy też między brzegiem a wyspą, po obu stronach bowiem widać było ląd, z tym że po lewej porastała go trzcina, po prawej zaś ciągnęły się piaszczyste łąchy.

Wicher dał silnie od dołu, a tor wodny, na którym właśnie się znajdowaliśmy, nie był zbyt szeroki. W zwykłych warunkach mogłyby się tu jednak wyminąć dwa statki, a więc i tratwa przeszłaby obok nas zupełnie swobodnie. Burza jednak oraz ciemności spowodowały, że doszło do wypadku. Flisacy wprawdzie usłyszeli dzwonienie na naszym pokładzie, ale było już za późno, aby uniknąć zderzenia. Na szczęście, zdołali spostrzec niebezpieczeństwo na tyle wcześniej, że cofnęli się nieco i żaden z nich nie ucierpiał przy zderzeniu. Widząc następnie, co się stało, nie potracili głów, ale wyteżyli wszystkie swoje siły, by tratwę przyciągnąć do brzegu, co też im się udało, i właśnie w tej chwili ostatnie jej pole umocowywali linami do wbitych naprędcy na pobliskim brzegu pali.

Kapitan kazał wstrzymać działanie maszyny parowej, ale, niestety, trochę za późno, gdyż statek wpakował się już przednią częścią na pierwsze pole tratwy i osiadł na niej mocno, tylna zaś część wskutek tego była zanurzona głęboko w wodzie. Łódź ratunkowa, źle umocowana,

napełniła się szybko wodą i poszła pod powierzchnię. Na domiar złego wiązania na pierwszym polu tratwy przerwały się w kilku miejscach te olbrzymie kloce poczęły uderzać gwałtownie o ścianę parowca, Zachodziła więc obawa, że wybiją w nim dziurę i zatonię on w ciągu kilku minut.

W tej sytuacji należało natychmiast opróżnić statek z pasażerów. Ale w jaki sposób, skoro łódź ratunkowa była pod wodą?

Gdyby koła statku nie znajdowały się nad powierzchnią wody, można by było puścić w ruch maszynę, dać kontrparę i cofnąć statek. Można by też rozbić siekierami pierwsze pole tratwy i osadzić parowiec na wodzie, ale to znowu trwałoby zbyt długo.

Wszyscy prawie podróżni byli już na pokładzie i zapanowało wśród nich niesłychane zamieszanie, trzeba więc było rozpocząć akcję ratunkową natychmiast.

Podszedłem do mego gniadosza, który leżał wciąż na pokładzie, i ku wielkiej mojej radości przekonałem się, że nic mu się nie stało; jedynie deszcz sprzął go niemiłosiernie. W okamgnieniu odwiązałem go i uwolniłem nogi z powrozów. Zerwał się natychmiast, wstrząsnął kilka razy i zaczął parskać. Poprawiłem rzemienie u siodła i zwracając się do młodego Indianina spytałem:

— Umiecie pływać?

Odpowiedział mi twierdzącym skinieniem głowy, po czym wskazał matkę, jakby chciał wyrazić zwątpienie, czy zdoła przenieść ją do brzegu.

— Wezmę ją — rzekłem — i przewiozę na koniu.

Słyszając to, zbliżył się do mnie ów elegancki pan, co się zachwycał mymi strzałami, i rzekł:

— Mam bardzo ważne papiery i boję się, by mi nie zamokły. Czy nie mógłby pan wziąć ich ze sobą na brzeg? Ja puszczać się wpław.

Na moje wyrażające zgodę skinienie podał mi portfel. Schowałem go do kapelusza, który po włożeniu na głowę przewiązałem dla bezpieczeństwa chustką, i wskoczywszy na siodło zabrałem Indiankę, którą mi syn jej podał na konia.

Był już wielki czas opuścić statek. Zrozpaczeni podróżni zaczęli się tłoczyć na pokładzie, lamentując i krzycząc wniebogłosy. Brat Hilario rzucił się już wpław, za nim poszli *yerbaterzy* i elegancki pan z Murzynem. Zjechałem na tył statku do miejsca zalanego wodą i poklepawszy konia po szyi zachęciłem go do skoku. Rumak rzucił się naprzód i znalazłem się w wodzie, która sięgnęła mi niemal do piersi. Dzielne zwierzę pomimo podwójnego ciężaru pokonało prąd i popłynęło do brzegu. Niebawem rumak mój trafił na stały grunt i po chwili znalazłem się na lądzie. Zeskoczywszy z siodła ułożyłem Indiankę na ziemi i rzuciłem lasso bratu Hilario, który borykał się jeszcze z prądem. Wyciągnąwszy go na brzeg, ułatwiłem w ten sam sposób wydostanie się z wody Montesowi, który natychmiast rzucił swoje lasso towarzyszom.

Tymczasem niebo pojaśniało już i tylko wicher się jeszcze nie uspokoił. Pozostali na okręcie podróżni, zbici w gromadę, wyciągali ku nam ręce, błagając o ratunek, gdyż statek zaczął coraz głębiej zanurzać się w wodę. Flisacy tymczasem, aby ocalić nieszczęśliwych, zebrawszy się na końcu drugiego pola tratwy, rąbali siekierami więzy, a fale zabierały tęgie kloce drzewa i unosiły z prądem. Dzięki temu udało się ostatecznie osadzić w wodzie przód statku i koła jego osiągnęły naturalne położenie. Teraz kapitan ostrożnie cofnął parowiec i kazał skierować go do brzegu. A był już na to czas wielki, gdyż w jednym boku statku wybita została pokaźna dziura, przez którą woda zaczęła się wciskać gwałtownie.

Wysiłki kapitana nie poszły na marne, bo po dojściu do brzegu zdołano oprzeć dno statku na stałym gruncie i, żeby się nie wyrócił, zarzucono w odpowiednich miejscach kotwice. Następnie majtkowie wydobyli łódź ratunkową i przepawili wszystkich podróżnych na brzeg.

O dalszej podróży rzeką nie mogło być mowy, gdyż kapitan musiał opróżnić z wody dolne części statku, a następnie naprawić bardzo poważne uszkodzenia.

Gdy już wszyscy podróżni znaleźli się na brzegu i statkowi nic nie groziło, kapitan wsiadł na łódź i popłynął do flisaków, aby ich wyłajać za spowodowanie wypadku i zażądać

odszkodowania. Że jednak ludzie ci nic właściwie nie zawinili, a ponadto sami ponieśli znaczne szkody, bo przecież całe jedno pole poszło z wodą, więc po długich wyjaśnieniach i wzajemnych wymówkach stanęło na tym, że winnych nie było wcale: flisacy bowiem nie mogli słyszeć dzwonienia z powodu ryku burzy, a kapitan nie mógł w ciemnościach dostrzec tratwy. Ostatecznie kapitan zalecił flisakom, aby zażądali odszkodowania za stracone bale od towarzystwa, którego parowiec był własnością.

Na dzikim pobrzeżu Parany wysadzeni ze statku pasażerowie suszyli się po przymusowej kąpeli, że zaś wiatr dął silny, więc odzież w ciągu paru godzin wyschła zupełnie. Sądziłem, że kąpiel w burzliwych nurtach rzeki przyprawi niejednego o przeziębienie, ale jakoś wszyscy wyszli z niej obronną ręką, a co dziwniejsze, na chorą Indiankę wypadek ten podziałał w sposób wprost cudowny, gdyż czuła się lepiej niż przed nim.

Według oświadczenia kapitana naprawa statku wymagała całego dnia, przy czym wyraził on przekonanie, że nadejścia innej jednostki nie można się spodziewać prędzej niż pojutrze, i radził, byśmy sobie na brzegu rzeki postawili budy z trzciny. Gotów był też wydać nam ze statku wszystko, co mogło zapewnić jaką taką wygodę w czasie obozowania. Oczywiście nie było innego wyjścia, jak zastosować się do tych rad, i już obmyślałem plan budowy prowizorycznej... willi z trzciny i gałęzi, gdy zbliżył się do mnie syn starej Indianki i rzekł:

— Mnie się zdaje, señor, że pobyt tutaj będzie dla nas uciążliwy ze względu na dokuczliwe owady, jakich nad rzeką zazwyczaj bywa pełno. Czyby więc nie lepiej było wyszukać odpowiedniejszego na obóz miejsca?

— Jakież to miejsce?

— Znam w pobliżu ranczo, gdzie niedawno służyłem. Właścicielem jest pewien Indianin, mój daleki krewny. Nazywa się Antonio Gomarra. Mam nadzieję, że przyjmie nas w swoim domku bardzo życzliwie.

— Daleko to stąd?

— Pieszko trzeba iść około trzech godzin, konno jednak można się tam dostać w ciągu godziny.

— Bardzo chętnie skorzystałbym z waszej rady, ale, niestety, nie mogę opuścić swoich towarzyszy.

— Oni przecież mogą również znaleźć tam schronienie.

— Ba, ale ich jest dziewięciu!

— No, to nie tak wielu. Nie byłoby tylko pożądane, aby udali się tam wszyscy podróżni, dlatego proszę nie mówić nikomu, dokąd się wybieramy.

Miałem zupełne zaufanie do młodzieńca i uważałem tak jak on, że wygodniej będzie przenocować w ranczo niż pod gołym niebem. Przedstawiłem więc swoim towarzyszom projekt młodego Indianina i wszyscy zgodzili się nań chętnie.

W chwili gdy już mieliśmy wyruszyć w drogę, podszedł do mnie ów elegancki, ubrany po cywilnemu, oficer i, podziękowawszy za wyświadczoną przysługę, poprosił o chwilę rozmowy.

— Señor, jest tu obcy — rzekł. — Czy mógłbym wiedzieć, dokąd pan zmierza?

— Na razie jadę niedaleko, kawałek drogi od rzeki — odparłem głośno, aby drudzy nie ruszyli za nami.

— Nie zrozumiał mnie pan. Ja pytałem o główny cel pańskiej podróży.

— Chciałbym poznać Gran Chaco i tam się wybieram.

— To niebezpieczne strony. Czy pan jest przyrodnikiem?

— Tak jest — odrzekłem, aby dać do zrozumienia, że nie mam żadnych celów politycznych.

— Polityka więc nie interesuje pana?

— Ani trochę.

— To mnie bardzo cieszy i rad bym towarzyszyć panu w tej niedalekiej wycieczce. Czy nie ma pan nic przeciwko temu?

— Ależ skądże. Udaję się wraz z towarzyszami swymi do pewnego ranczera, który jest krewnym tego młodego Indianina. Ale nie mówmy o tym głośno, aby inni nie pobiegli za nami, bo gospodarz nie mógłby przyjąć tak wielu ludzi.

Chciałem wsadzić Indiankę na konia, ale sprzeciwiła się temu, oświadczając, że może iść pieszo i poprosi o podwiezienie jej wówczas, gdy zacznie tracić siły. Nie chcąc korzystać z konia, gdy inni musieli „maszerować”, kazałem włożyć na niego tłumoki moich towarzyszy i jeden z *yerbaterów* prowadził gniadosza, który miał prawo być obrażony, że zdegradowałem go do roli zwierzęcia jucznego.

Początkowo okolica była bardzo urozmaicona. Tu i ówdzie zdobyły ją kępy drzew mimozy oraz rzadko rosnących krzaków, które nam wcale nie utrudniały drogi. Młody Indianin doskonale znał teren i mijał zdradliwe laguny oraz trzęsawiska.

Wkrótce weszliśmy w las mimozowy, którego drzewa, nie dochodzące dziesięciu metrów wysokości, rosnące dość rzadko i pokryte od dołu do wierzchołków pnącymi roślinami, budziły w nas podziw. Burza i tu poczyniła pewne szkody. Niektóre z drzew leżały wyrwane z ziemi z korzeniami, zauważyłem też wiele połamanych od szalonej wichury gałęzi. W tej chwili jednak pogoda nam dopisywała, słońce nawet wyjrzało zza resztek chmur wesołe i uśmiechnięte.

W drodze gawędziłem cały czas z bratem Hilario, a oficer, idący obok mnie, choć słyszał naszą rozmowę, nie mieszał się do niej. Dopiero gdy braciszek wspomniał majora, oficer zapytał żywo:

— Cadera? Panowie go znają?

— Znamy, tylko nie wiemy, czy to ta sama osoba, o której pan myśli — odrzekł brat Hilario.

— Z pewnością ta sama, bo tylko jeden człowiek nosi to nazwisko. Czy panowie są jego przyjaciółmi?

— Nie, señor. Nie jesteśmy ani jego przyjaciółmi, ani też wrogami. Major Cadera jest osobą zupełnie nam obojętną.

— Ale panowie go znają i byłbym bardzo zobowiązany, gdybyście mi udzielili bliższych o nim wiadomości.

— Daruje pan, ale nie mogę spełnić tej prośby — rzekł brat Hilario. — Poznaliśmy Cadereę w takich okolicznościach, że chcielibyśmy o nim jak najszybciej zapomnieć.

— A! Domyślam się. Musiał nie najładniej wobec was postąpić, skoro nie chcecie przypominać sobie tej przykrości.

— Być może — rzekł brat Hilario.

Oficer, widząc, że nie wydobędzie nic z zakonnika, zwrócił się do mnie, aby o coś zapytać, lecz udałem, że tego nie dostrzegam, z czego powinien zrozumieć, iż temat rozmowy i dla mnie nie jest wcale przyjemny.

Nie zraziło go to jednak i rzekł:

— Przepraszam, bardzo przepraszam, señor! Zauważyłem, że pan niechętnie wspomina tego człowieka... a jednak chciałbym prosić o odpowiedź chociażby na kilka pytań.

— Niestety, nie mogę udzielić żadnych informacji osobie, której nie znam, i to informacji o kimś, kto nie zasługuje na to, aby się nim zajmować.

— Więc uważa mnie pan za osobę podejrzaną? — zapytał. — Czy istotnie wyglądam na takiego? — A po chwili dodał: — Zresztą... może ma pan rację. Wszak i ja pana nie znam. Pan nietutejszy?

— Proszę się przekonać — odparłem, podając mu paszport.

Nieznamomy przeczytał dokument, a oddając mi go rzekł:

— Teraz wiem już. Jak wynika z pieczęci, przebywa pan tutaj zaledwie od dwóch tygodni.

— Widzi pan. Czy mogłem w tak krótkim czasie dać się porwać prądom politycznym w kraju zupełnie mi obojętnym?

— No, tak... A kim są pańscy towarzysze?

— O mnie pan pyta? — wtrącił żywo zakonnik. — Nazywają mnie powszechnie bratem Jaguarem...

— Brat Jaguar? — powtórzył obcy ze zdziwieniem. — Jeżeli tak, to mogę wam zaufać. Czy słyszeliście panowie nazwisko Alsina?

— Alsina? Ma pan zapewne na myśli Rudolfa Alsinę, pułkownika wojsk argentyńskich, który wślawił się niedawno zwycięstwami na południu?

— Tak, o nim właśnie myślę.

— Zna go pan?

— Owszem. Czy mogę jednak liczyć na waszą dyskrecję?

— Najzupełniej. A może mamy przyjemność mówić z nim samym?

— Tak, jestem istotnie Rudolfem Alsina.

— *Cielo!* Więc to pan! Podziwiam pańską odwagę. Ogromnie pan ryzykuje, zapuszczając się w te okolice.

— Musiałem to uczynić, braciszku.

— A wie pan o tym, że cała prowincja Entre Rios objęta jest ruchem powstańczym i że obecnie znajdujemy się już w jej granicach?

— Wiem o tym. Ale trudno! Są sprawy, dla których należy zdobyć się na wszystko. Najbardziej się obawiałem na rzece, wśród mnóstwa obcych ludzi, gdzie łatwo mógłbym wpaść w ręce siepaczy Lopeza Jordana. Dlatego to uznałem za pewniejsze oddalić się nieco od tego nie znanego mi tłumu podróżnych.

— Potem, gdy pan przejdzie granice prowincji, zamierza pan zapewne wrócić ku rzece?

— Być może, jeśli wcześniej nie będę zmuszony zmienić planu podróży... Mianowicie...

— Drogą lądową do obozu Jordana... — wtrąciłem.

— Jordana, pan mówi? Zna go pan?

— Byłem niedawno jego jeńcem.

— Ależ to dla mnie, señor, niezmiernie ciekawa sprawa! Proszę pana, bardzo proszę opowiedzieć mi wszystko.

— Tego się nie da opowiedzieć od razu, trzeba na to czasu.

— Niechże mi pan poświęci chociaż pół godziny, a będę panu niezmiernie wdzięczny. Proszę wziąć pod uwagę, że wybrałem się umyślnie do prowincji Corrientes, aby z tamtej strony zaatakować Jordana, podczas gdy inni napadną nań z południa. Naturalnie zechcecie panowie zachować to przy sobie...

— Proszę się nie obawiać. Ale śmiem zauważyć, że zadanie pańskie będzie bardzo trudne.

— Dlaczego?

— Bo Jordan dysponuje taką siłą, że nie dacie mu rady.

— W tej chwili jestem sam, ale mam nadzieję, że w ciągu kilku tygodni zwerbuję znaczną armię i będę mógł zrealizować swój plan.

— Będzie pan potrzebował ogromnej liczby koni, mieszkańcy Corrientes nie dostarczą tylu — włączył się zakonnik.

— Czyżby armia Jordana była aż taka wielka?

— Ależ, panie! To poważna siła! W samej głównej kwaterze zgromadził kilka tysięcy konnicy, a drugie tyle zapewne rozmieścił w innych garnizonach. Ma więc do dyspozycji pokaźną armię. Ponadto prowincja Entre Rios leży, jak panu wiadomo, między dwiema rzekami, które stanowią naturalną linię obronną.

— My za to mamy okręty.

— Które nie na wiele się tu przydadzą.

— Tak, ale sądzę, że jedna prowincja nie będzie mogła opierać się długo kilku innym. Zresztą Jordan nie ma pieniędzy, a musi płacić spory żołd swoim żołnierzom, aby mu nie dezercerowali.

— Pieniądzy dostarczy mu zagranica.

— Tak pan myśli? Mnie się jednak zdaje, że żadne z państw nie zechce popierać człowieka, na którym ciąży zbrodnia.

— Zupełnie słusznie. Ale jemu pieniędzy dostarczą prywatne osoby i instytucje. Proszę wziąć pod uwagę na przykład sprawę kolei żelaznych w Argentynie. Pewne amerykańskie stowarzyszenie złożyło ofertę, której tam nie przyjęto. Gdyby więc to towarzystwo poparło Jordana materialnie, w zamian żądając od niego koncesji w razie jego zwycięstwa?

— Czy wielebny brat uważa to za możliwe?

— Myślę nawet, że jest to zupełnie bliskie prawdy.

— Bardzo cenne są dla mnie uwagi czcigodnego brata. Dlatego zwracam się do niego z całym zaufaniem, prosząc o zaufanie wzajemne i udzielenie mi możliwych wskazówek na temat Jordana. Przecież tu chodzi o słuszną sprawę i o spokój w kraju.

— To prawda. Ale ja, po pierwsze, nie mam przyjemności znać pana, a po wtóre jestem zakonnikiem i nie wolno mi się mieszać w podobne sprawy. Może więc ten oto señor zechce udzielić panu informacji — dodał, wskazując mnie.

— Czy mogę więc pana o to poprosić? — zapytał pułkownik, zwracając się do mnie.

— Opowiem panu co przeszliśmy — odrzekłem — ale nie tu i nie teraz. Może po przybyciu na rancho, wieczorem, gdy wszyscy pokładą się spać, znajdziemy swobodniejszą chwilę.

— Dziękuję za obietnicę i liczę na pana.

Po godzinie marszu las zaczął rzednąć. Weszliśmy wreszcie na step, taki sam zupełnie jak w Urugwaju. Z początku spotykaliśmy po drodze rozmaite dzikie zwierzęta i ptaki drapieżne. Po pewnym jednak czasie spostrzegliśmy po stronie zachodnio-północnej stada bydła i tabuny koni, pasące się na otwartym stepie lub pomiędzy wysokimi ogrodzeniami z kaktusów. Wreszcie przed oczyma naszymi ukazały się niskie budynki rancho, do którego właśnie zdążaliśmy.

Stanęliśmy na miejscu krótko przed zachodem słońca.

W pobliżu zabudowań stróżowali liczni Indianie. Zwróciliśmy się do nich z pytaniem o gospodarza, ale oni, nie udzieliwszy nam żadnych wyjaśnień, czmychnęli w końcu, pozostawiając nas samych. Widocznie wzięli nas za włóczęgów, których całe gromady wędrowały w tym czasie po kraju. W dodatku nawet najędzniejszy żebrak w stepowych tych okolicach posiada wierzchowca, a my na dwunastu ludzi mieliśmy tylko jednego konia, co nie mogło nikogo usposobić do nas przychylnie.

Rancho znajdowało się w środku czterech wielkich ogrodzeń, stykających się ze sobą i stanowiących znakomitą ochronę w razie napadu. Z przepływającego w pobliżu strumyka za pomocą przekopanych kanałów, jakby jego ramion, doprowadzona była woda do każdego z korralów. Budynki otoczone były niewielkimi ogrodami i sadami.

Przed domem mieszkalnym, bardzo prymitywnym, podobnym raczej do szopy niż do siedziby właściciela licznych stad, znajdowały się przeznaczone do siedzenia deski, ułożone na wbitych w ziemię palach.

Drzwi wejściowe były zamknięte, a w pobliżu nie zauważyliśmy ani żywego ducha; nie odezwał się też nikt na nasze pukanie. I to nazywało się gościnnym przyjęciem, jakie nam obiecywał młody Indianin! . Sądząc, że mieszkańcy znajdują się z innej strony domostwa, obeszliśmy je dookoła. Zauważywszy otwarte jedno z okien, zbliżyłem się do niego, by zajrzeć do wnętrza i zawołać gospodarza, ale natychmiast musiałem się cofnąć, gdyż z okna wysunęła się ku mnie lufa strzelby i ktoś krzyknął gromko:

— Precz stąd, bo strzelam!

— No, chwala Bogu! Widzę wreszcie, że tu mieszkają ludzie. Czemu się tak pozamykaliście.

— Bo nam się tak podoba! Precz stąd! — powtórzył głos ze środka.

— Ależ przepraszam! My nie jesteśmy zbójce...

— Tylko włóczęgi, których nawet na szkapy nie stać i pewnie chcielibyście je nabyć drogą kradzieży.

— Bynajmniej. Przybyliśmy w te okolice statkiem, który został uszkodzony przez pampero i płynąć dalej nie może. Zamierzaliśmy czekać na brzegu na naprawę statku, ale nam jeden z podróżnych zaproponował, abyśmy udali się do was, i przyobiecał, że znajdziemy tu przez dwa dni szczerą gościnność...

— Obejdzie się! Nie potrzeba nam gości! Wynoście się natychmiast! — odpowiedziano z wnętrza.

Uważałem, że nie było już na to nic do powiedzenia, i cofnąłem się. Wówczas podszedł do okna młody nasz Indianin i zapytał:

— Gdzie jest señor Gomarra?

— Nie ma go w domu — odrzekł ktoś ze środka.

— A dokąd poszedł?

— Nic wam do tego!...

— Ależ dajcie sobie wytłumaczyć, o co idzie. Służyłem tutaj dłuższy czas i señor Gomarra jest nawet moim krewnym.

— Jak się pan nazywa?

— Gomez.

— A! To pańska matka była tutaj gospodynią?

— Tak. Jest ona nawet z nami.

— Jeżeli tak, to co innego. Proszę zaczekać, zaraz do was wyjdę.

— Bo krótkiej chwili otworzyły się drzwi chaty i wyszedł ku nam tęgi, o dumnym spojrzeniu, gaucho, a za nim trzech innych, którzy zmierzili nas wzrokiem od stóp do głów.

— Czemu pan od razu nie powiedział swego nazwiska? — zapytał gaucho. — Byłbym was wpuścił do domu natychmiast. Więc mówi pan, że chcecie tu zostać do pojutrze?

— Tak, do pojutrze rana. Zdaje mi się, że wuj Gomarra nie będzie miał nic przeciwko temu.

— Oczywiście że nie, bo rancho nie jest już jego własnością. Ja je od niego kupiłem.

— Czyżby wuj wyprowadził się stąd?

— Nie, mieszka jeszcze, ale tylko jako mój gość.

— Nie bardzo mnie ta wiadomość cieszy, señor. Dlaczego wuj sprzedał to rancho?

— Bo sprzykrzyło mu się siedzieć na jednym miejscu. Woli włóczyć się po świecie i szukać przygód. Przepuszczam, że wieczorem wróci. Wyjechał na dłuższą przejażdżkę.

— Czy zechce nam pan udzielić gościny?

— Owszem.

— Ja z *yerbaterami* mogę się przespać na dworze, chodzi nam tylko o kwaterę dla dwóch panów. Czy ma pan jaką wolną izdebkę?

— Niestety, zamówili ją wcześniej inni goście, którzy tu wkrótce przybędą. Jeżeli zechcecie rozłożyć ognisko na dworze, będzie wam o wiele przyjemniej niż w dusznej izbie.

— Słusznie — wtrąciłem. — Pozostaniemy na dworze i proszę nam tylko wskazać miejsce, gdzie moglibyśmy rozłożyć ogień.

— Możecie to uczynić w pobliżu domu, gdzie są już ślady ognisk.

— A pozwolicie mi zaprowadzić swego konia do korralu?

— O, nie radziłbym — rzekł gaucho. — Mam tam bardzo niesforne zwierzęta i towarzystwo ich byłoby dla pańskiego rumaka niebezpieczne. Może by pan umieścił go w szopie, gdzie przechowujemy narzędzia. O obrok i wodę postaram się sam.

— Gdyby się pan postarał i o kawał mięsa dla nas, oczywiście za wynagrodzeniem, bylibyśmy bardzo zadowoleni.

Na wspomnienie o zapłacie twarz gaucha rozjaśniła się nagle i stał się dla nas od razu uprzejmniejszy. Natychmiast też zaprowadził mego konia do szopy, dokąd i ja się za nim udałem.

Szopa była tak obszerna, że można by w niej umieścić ze dwadzieścia koni. Były tu ułożone motyki, łopaty, siekiery i wiele innych narzędzi niezbędnych w gospodarstwie. Wierzeje umieszczone były naprzeciw drzwi prowadzących do rancza i można było stąd obserwować całe obejście, odległość zaś pomiędzy szopą a domem wynosiła nie więcej nad dwadzieścia kroków. W ścianach szopy po lewej i po prawej stronie od wejścia znajdowały się otwory okienne, które w razie potrzeby można było od wewnątrz zamknąć i zaryglować. Podłogi w niej nie było, a dach tworzyły zwykłe tarcice, zbite jako tako ze sobą.

Ranczer dał memu koniowi zielonej paszy i wszedł ze swymi towarzyszami do chaty, aby przygotować posiłek, a gauchowie tymczasem naznosili nam suchych łodyg kaktusowych do palenia, za co wynagrodziłem ich niewielkim datkiem, z którego byli bardzo zadowoleni. Ogień rozłożyliśmy niedaleko wejścia do szopy, a zapas paliwa kazałem umieścić pod ścianą na kupie.

Niebawem ranczer przyniósł nam sporą porcję mięsa i, kiedy piekliśmy je na ogniu, spoglądał ciekawie na pułkownika.

W tej chwili nie przywiązywałem do tego żadnej wagi i dopiero później okazało się, co oznaczały te spojrzenia. Również dopiero potem dowiedziałem się, że trzech towarzysze ranczera wkrótce po naszym przybyciu pojechali gdzieś chyłkiem. A teraz on sam, ciągle nas obserwując, pomagał piec mięso i milczał jak grób.

Po wieczery weszliśmy z pułkownikiem i bratem Hilario do szopy i siedliśmy u wejścia.

— Spodziewam się — rzekł pułkownik — że pan opowie mi teraz o Jordanie wszystko, co tylko o nim wie.

— Skoro poznałem już pana, mogę bez obawy udzielić panu pewnych informacji, aczkolwiek nie będzie to dla mnie przyjemne, gdyż dopuszczę się niejako zdrady.

— Zdrady? Co pan mówi? Jestem przecież wykonawcą planów prawowitej władzy i obrońcą najślusniejszej sprawy, podczas gdy Jordan to warchoł i buntownik. Jeżeli więc pan przyczyni się do odkrycia jego planów, może to być poczytywane jedynie za zasługę.

— I ja tak myślę, dlatego powiem panu to i owo.

— Czy zna pan jakieś ważne szczegóły dotyczące Jordana?

— O, nawet bardzo ważne.

— W takim razie, podając mi je, może pan oszczędzić wiele krwi ludzkiej i nędzy.

— Jestem tego samego zdania i właśnie z tego względu przekażę panu pewne wiadomości. Otóż Jordan ma otrzymać broń i pieniądze od pośrednika z Montevideo, który nazywa się Tupido.

— Ach, Tupido! Myśmy już zwrócili na niego uwagę. Czy ma pan na to dowody?

— Ja właśnie miałem zawieźć Jordanowi kontrakty.

— I nie zawiózł ich pan?

— Nie.

— Chciał pan je zabrać i dostarczyć w Buenos Aires?

— O, za pozwoleniem! Nie jestem szpiegiem, a cała ta sprawa mało mnie obchodzi. A teraz mówię panu o tym tylko dlatego, że tak mi nakazuje sumienie. Proszę jednak posłuchać, jaka to była zawiślana historia. Gdybym sam nie był w nią wmieszany, nigdy bym nie uwierzył w jej prawdziwość.

I opowiedziałem mu o wszystkim, co mnie spotkało od czasu wstąpienia na ziemię tego niespokojnego kraju, nie wyłączając oczywiście i tego, że dostawa dla Jordana znajduje się w Buenos Aires.

Słuchał mnie z rosnącym zainteresowaniem, a gdy skończyłem, wykrzyknął:

— Ależ, señor, istotnie trudno w to uwierzyć, tak fantastycznie wygląda cała ta pańska opowieść.

— Mogę prawdziwość jej ze spokojnym sumieniem potwierdzić przysięgą.

— Odkrywając mi te machinacje Jordana, wyświadczył pan ogromną przysługę naszej sprawie, wyśle więc natychmiast posłańca do Buenos Aires, aby powiadomił o wszystkim prezydenta. Może jeszcze nie będzie za późno...

— Kogo pan wyśle?

— Mego Murzyna. To bardzo rozgarnięty i zupełnie oddany mi człowiek.

— W jaki sposób on tam pojedzie?

— Statkiem.

— Niech go pan wyśle tak, aby nikt tego nie zauważył.

— Dlaczego? Czy nie dowierza pan ranczerowi?

— Nie znamy go i to wystarczy, aby mu zbyt nie ufać, tym bardziej że niedobrze mu z oczu patrzy.

— Słusznie, señor. Napiszę parę słów i na wszelki wypadek dam mu pewne wskazówki, bo kto wie, co go w drodze spotkać może.

To mówiąc, wyjął z kieszeni portfel, wypełniony dokumentami i banknotami, wyrwał kartkę z notatnika, a napisawszy słów parę, przywołał Murzyna i udzielił mu kilku szczegółowych wyjaśnień.

Ranczer w tym czasie poszedł po coś do izby, wobec czego Murzyn mógł spokojnie i nie zauważony przez nikogo udać się w drogę, a ja opowiedziałem pułkownikowi wszystko, co mogło mieć dla niego jakąkolwiek wartość.

— I pan chce jechać prosto do Gran Chaco? — spytał pułkownik, gdy skończyłem opowiadanie. — Czy nie lepiej by było, gdyby mi pan towarzyszył do Palmar?

— Po co? Nie mam tam żadnego interesu.

— Ale dla mnie byłoby to bardzo pożądane. Na statku nie czuję się bezpiecznie i wolałbym odbyć tę podróż konno, oczywiście, gdyby i pan ze swymi ludźmi zdecydował się na to, bo sam nie odważyłbym się na tego rodzaju wyprawę. Konie moglibyśmy zakupić tutaj, a pana towarzyszy wynagrodziłbym sownie za trudy. Rozumie się, że i dla pana nie byłoby to bez korzyści.

To mówiąc, patrzył mi w oczy pytająco, jakby w nich chciał wyczytać moją odpowiedź, a po chwili dorzucił:

— No, jakże? Proszę, niech się pan zdecyduje. Będę mu za to niezmiernie zobowiązany.

Wyrażona w ten sposób obietnica pułkownika, który później zdobył ogromną sławę, przeważała szalę. Domyślając się, że jestem gotów zgodzić się na jego propozycję, wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

— A więc zgoda?

— Nie mogę sam decydować i muszę najpierw porozumieć się z towarzyszami — odrzekłem i, przywoławszy Montesa, zapytałem go, czy zna drogę do Palmar i czy może coś o niej powiedzieć.

— Nic szczególnego — odrzekł. — Jechać trzeba przez step, po części przez lasy, ale niezbyt gęste, a gdzieniegdzie spotyka się bagna i jeziora.

— A jak długo trzeba tam jechać?

— Gdybyśmy wyruszyli jutro rano, to przybylibyśmy na miejsce pojutrze około południa. Tak mi się przynajmniej zdaje. Gdyby nie trzeba było okrążyć jezior i bagnisk, to drogę tę odbylibyśmy w ciągu jednego dnia. A dlaczego pan o to pyta?

— Ten señor, pułkownik Alsina, chce, żebyśmy mu tam towarzyszyli.

— Co? Señor Alsina? Pogromca Indian? Czy ja dobrze słyszę?

— Niech pan tak głośno nie mówi — ostrzegłem go — nikt bowiem nie powinien wiedzieć, kim jesteśmy, gdyż znajdujemy się jeszcze w granicach Entre Rios i musimy się mieć na baczności.

— Mnie się zdaje, że Jordan nie dotarł jeszcze do granic tego kraju.

— Jeżeli jest mądry, to powinien zwrócić bacniejszą uwagę na pogranicze. Niech pan spyta swych towarzyszy, czy zechcą jechać do Palmar. Ale mówcie cicho, gdyż mieszkańcy rancza nie powinni o tym nic wiedzieć.

— Jeśli chcemy kupić od nich konie, to muszą się przecież dowiedzieć.

— Ale nie wcześniej niż rano. Zresztą konie możemy wybrać tylko za dnia. Tymczasem nikt nie powinien wiedzieć o naszych zamiarach.

Yerbatero odszedł, a niebawem zbliżył się do nas *Turnerstick* i szepnął:

— Pojedziemy wszyscy, sir. Wolę już tłuc się ładem, niż zażywać przyjemności podróży na statkach argentyńskich, na których nie jest się pewnym życia. Niech je diabli na samo dno rzeki pociągną albo zefirek weźmie na skrzydła! Wolę jechać konno, *Well!*

To rzekłszy, wrócił do towarzyszy krzątających się przy ogniu.

Alsina nie taił radości, że zdecydowaliśmy się mu towarzyszyć. Co do mnie — nęciło mnie poznanie nowych okolic i ta myśl, że przerwę nareszcie nudną i monotonną podróż po rzece.

— Jestem szczęśliwy — mówił pułkownik — że pan razem ze swoją małą armią uda się ze mną w drogę. Spokojny będę przynajmniej, że mi się nic złego nie stanie.

— O, proszę! Przecenia mnie pan!

— Bynajmniej. Z tego, czego się od pana dowiedziałem, mam prawo przypuszczać, że nie boi się pan nawet samego diabła.

— Sprawia to czyste sumienie...

— To tylko przenośnia, ale gdyby w drodze napadli na nas wrogowie...

— Ja nie mam żadnych wrogów. Nie jestem zwolennikiem ani przeciwnikiem Jordana. Ale gdyby mi ktoś stanął na drodze, wyteżyłbym oczywiście wszystkie siły, aby go pokonać. Czy ma pan przy sobie jakieś ważne papiery?

— Mam nie tylko papiery, ale i znaczną sumę pieniędzy, których utrata byłaby dla nas wielkim nieszczęściem.

— Postaramy się manewrować tak, aby dotrzeć do Palmar bez narażania się na niebezpieczeństwa. A teraz... czas spocząć, bo musimy jutro wstać wcześniej. Może by zostać na noc w szopie?

— I ja tak myślę. Ale czy nie spotka nas tu jaka niespodzianka? Ranczer wspominał o jakiś gościach, którzy w nocy mają tu przybyć.

— I zapewne będzie ich wielu, skoro rezerwuje dla nich cały dom, a mego konia nie chciał przyjąć do korralu. W tym musi coś być i dlatego powinniśmy zaczekać, nie kładąc się spać, do przybycia tych gości? A nuż są to stronnicy Jordana?

— O, to by było wielce niepożądane. Mogliby mnie poznać i uwięzić. Wielu z ludzi Jordana zna mnie doskonale.

— Więc nie kładźmy się spać. Niepokoi mnie to, że ranczer gdzieś zniknął nagle, a i jego towarzyszy oraz gauchów również nie widać. W całym obejściu nie ma też ani jednej kobiety; dom wydaje się prawie pusty. Doprawdy jest to intrygujące. Zajrzę do środka domostwa, a pan niech tutaj na mnie poczeka.

Przebiegłszy podwórze, wszedłem cichutko przez otwarte drzwi do obszernej, zajmującej całą szerokość domu izby. Stąd prowadziły jedne drzwi na prawo, drugie na lewo. Te ostatnie były lekko przyknięte. Ponieważ ziemię w izbie pokrywały maty z rogoży, mogłem cichutko podejść do owych półotwartych drzwi. Zajrzałem przez szczelinę do wnętrza i stwierdziłem, że jest to rodzaj sypialni. Na ziemi urządzone były dwa legowiska, z których jedno zajmowała, siedząc na nim, jakaś kobieta, a na drugim bawiło się dwoje dzieci. Twarzy ich nie widziałem dokładnie, ani też ubrania, gdyż kaganek łożowy oświetlał izbę bardzo skąpo.

Nie spodziewając się usłyszeć tu nic ciekawego, podszedłem do drugich drzwi. Miały one drewnianą klamkę, pozwalającą otwierać je z wewnątrz i z zewnątrz, więc uchyliłem je ostrożnie i spojrzałem do środka. Skąpa smuga światła z drzwi przeciwległych oświetliła izbę, której urządzenie pozwoliło mi się domyślić, iż jest to kuchnia. Przeszedłszy ją w poprzek,

przeciwległymi drzwiami wyostałem się na zewnątrz domostwa i wróciłem do ogniska, przy którym stali, rozmawiając, pułkownik z braciszkiem.

Nie zdążyłem im jeszcze opowiedzieć o rezultacie moich oględzin i o tym, że wewnątrz budynku mieszkalnego widziałem kobietę z dwojgiem dzieci (co zaintrygowało mnie z tego względu, iż nie pokazywała się dotąd, jakby się ukrywała), gdy nadszedł ranczer w towarzystwie jakiegoś obcego człowieka.

Mężczyzna ów, w młodym jeszcze wieku, ubrany był jak każdy inny gaucho, tylko obuwie oraz ostrogi świadczyły, że gauchem nie jest. Postawą też swoją i ruchami zdradzał człowieka inteligentnego, który dla jakiejś przyczyny maskuje się starannie. Jaki w tym ma interes? — pomyślałem sobie.

Obaj zbliżyli się do nas, a ranczer zapytał:

— Czy zadowoleni jesteście panowie z mojej gościny? Nie trzeba panom czego?

— Dziękujemy — odparłem. — Nic nam nie trzeba i zaraz idziemy spać.

Podczas tej krótkiej wymiany zdań towarzyszący gospodarzowi młody człowiek przyglądał się uważnie pułkownikowi, który odwrócił się szybko od światła, po czym obcy zwrócił się do mnie z pytaniem:

— Może napić pańskiego konia?

— Dziękuję. Uczyniłem to już sam. Zresztą nie chcę pana fatygować. Przecież nie jest pan parobkiem.

— Jak to? Z czego pan to wnosi?

— Z różnych rzeczy. Skąd się pan tu znalazł?

— Przychodzę z korralu.

— Tak? — rzekłem z pewnym powątpiewaniem w głosie, po czym dodałem: — Zresztą mniejsza o to! Niczego już nam nie brakuje.

Nie rzekłszy już ani słowa, obaj weszli do wnętrza domu. Pułkownik po ich odejściu chciał mnie o coś zapytać, lecz nie zdążył tego uczynić, bo już mnie koło niego nie było. Zwinnie jak kot skoczyłem za węgiel domostwa, przez drzwi od kuchni dopadłem przeciwległej ściany i przycisnąwszy się słucałem, co się dzieje we wnętrzu. Przez chwilę panowała cisza, a potem dobiegł do mnie głos ranczera.

— Zgaście światło i nie opuszczajcie chaty, dopóki po was nie przyjdę. Wydawszy to polecenie, skierowane zapewne do owej kobiety z dziećmi, zamknął drzwi i zwrócił się do przybysza:

— No i cóż, poruczniku? Czy sierżant nie pomylił się? Czy to na pewno Alsina?

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości. Widywałem go często na ulicach Buenos Aires...

— Do licha! Będziemy więc mieli znakomity połów...

— Ba! I jeszcze jaki! Ale że nie przyjdzie to nam łatwo, jestem tego pewny.

— Cóż znowu? Prawda, że to sprawa z człowiekiem cieszącym się sławą bohatera, ale tyłu żołnierzy da sobie z nim radę. Jego towarzyszy zaś wystrzelamy po prostu co do nogi.

— Nie będzie to takie łatwe, jak się panu zdaje. Każdy z tych drabów gotów się rzucić na dziesięciu przeciwników. Ale jeśli ten połów się uda, przyniesie więcej, niż się pan spodziewa, gdyż za tymi ludźmi, którzy są z Alsina, Jordan właśnie wysłał pościg.

— Co to za ludzie?

— Są to podobno niezwykle bezczelni oszuści, którzy usiłowali okpić Jordana i za pomocą szantażu udaremnić jego działania. Major Cadera schwytał ich i odstawił do Jordana. Ale się wyłgali, płatając mu przy tym mistrzowskiego figla. Nie dotrzymawszy danego słowa, czmychnęli w drodze do Buenos Aires, wysadziwszy najpierw majora na jednej z wyseppek Parany.

— I co? Utonął?

— Bynajmniej. Wyostał się szczęśliwie na brzeg. Odebrał jakiemuś jeźdźcowi konia i pocałował co tchu do Jordana. Ten dowiedziawszy się, co zaszło, wysłał natychmiast do

Buenos szpiega, który się dowiedział, że draby kupili sobie bilety na statek do Corrientes i odpłynęli w górę Parany. Powiadomiony o tym Jordan obsadził brzegi rzeki i polecił zatrzymywać wszystkie przepływające nią parowce. Zarządzenie to byłoby, co prawda, spóźnione, gdyż draby nie zwlekały z wyjazdem, ale na szczęście pampero spowodował, że musieli wyjść na brzeg niedaleko stąd.

— Ale czy są to istotnie ci sami, co się wymknęli Jordanowi?

— Z pewnością. Najbezpieczniejszy i najniebezpieczniejszy z nich wszystkich jest ten drab w skórzanym ubraniu. Jordan obiecał trzy tysiące talarów temu, kto go schwyta.

— *Animo!* Talary te znajdują się na pewno w mojej kieszeni...

— Sprawdzę zresztą tę rzecz dokładnie, aby się nie pomylić. Mamy wśród swoich ludzi jednego, który był w głównej kwaterze w czasie pobytu tych drabów i widział ich. Przywołam go, niech na nich popatrzy.

— Ale z tym ostrożnie, żeby nie zaczęli czegoś podejrzewać.

— Oczywiście! Ten skórzany jegomość od razu zauważył, że nie jestem gauchem. To sprytny i przebiegły człowiek. Ale my mu przytniemy skrzydeł!

— Czy istotnie byłby on dla nas niebezpieczny?

— I nie tylko on sam, ale wszyscy z tego miłego towarzystwa. Użyjemy więc podstęp, bo to pewniejsze niż przemoc.

— Moim jednak zdaniem, podstęp tu zbyt cenny. Przecież mamy w pobliżu około czterystu żołnierzy. Połowa z nich obsadziła już przejścia między korralami, a reszta pojawi się najdalej za kwadrans. Po cóż więc taka ostrożność?

— Nie zna pan tych ludzi. Opowiadał major Cadera, że oni bez wątplenia muszą mieć między sobą diabła... Najlepiej będzie, gdy zaczekamy, aż posną, a następnie osaczymy ich i obezwładnimy bez przelewu krwi.. Gdzie mają nocować?

— Przed szopą, a może w samej szopie.

— Dlaczego nie w izbie?

— Bo tu przecież musi być miejsce dla panów oficerów.

— Szkoda. Gdyby nocowali w izbie, mielibyśmy ułatwione zadanie.

— Nie mogłem przecież wiedzieć, co to za ludzie. Zdawało mi się, że to banda zwykłych włóczęgów.

To, czego się dowiedziałem, wystarczało mi najzupełniej, wycofałem się więc z niebezpiecznego stanowiska i dobrze się stało, gdyż po krótkiej chwili wyszedł z izby porucznik. Niestety, był sam, co mnie nieco zmartwiło. Nie wiedziałem, co powinienem zrobić.

Gdybym przytrzymał oficera, ranczer uciekłby na pewno i sprowadził natychmiast całą bandę. Ujęcie zaś samego ranczera na nic nam przydać się nie mogło.

Postanowiłem ostatecznie dać im spokój i porozumieć się z Alsina. Towarzysze moi, mimo iż domyślali się, że wisi nad nami coś złego, nie odzywali się ani słowem, a i ja również na razie nic im nie wyjaśniałem. Zwróciłem się natomiast do pułkownika:

— Dlaczego pan odwrócił się od tego przybysza?

— Jestem zdradzony, señor — odrzekł.

— Czyżby ten rzekomy gaucho znał pana?

— Tak. Był on porucznikiem w służbie Jordana.

— I widywał pana w Buenos Aires.

— Skąd pan wie o tym?

— Podśledzałem ich. Jeden z tych ludzi, których tu przedtem zastaliśmy, jest sierżantem.

Poznawszy pana, pojechał natychmiast zawiadomić o tym...

— Wojsko? Czyżby...

— Tak. Około dwustu żołnierzy obsadziło ranczo, a niebawem przybędzie drugi oddział też z dwustu ludzi złożony.

— Co, u diabła, aż tylu ludzi może mieć tutaj do roboty?

— Odkomenderowano ich do obsadzenia granicy. A że przypadkowo sierżant poznał pana i zawiadomił ich o tym, przybyli, aby pana ująć.

— Wobec tego musimy uciekać ku granicy. Nie powinniśmy tracić ani chwili.

— Ba, uciekać, ale w jaki sposób?

— Tak. Trudna to sprawa — rzekł z rezygnacją pułkownik. — Nie ma więc ratunku...

— Na razie, a przynajmniej do rana, nic nam chyba nie grozi i niczego uczynić nie możemy. Musimy przede wszystkim zobaczyć, z kim mamy do czynienia. Czekajmy spokojnie świtu.

— Przypuszcza pan, że rano znajdziemy jakieś wyjście?

— Mam nadzieję.

— Ciekaw jestem, co pan może zdziałać, mając przeciwko sobie czterystu żołnierzy. Zdziwiałam mnie pan pewnością siebie.

— Bo też nie czuję najmniejszej trwogi. Jeżeli zaś chodzi o uratowanie pana, to najważniejsze, aby pański Murzyn przedostał się do rzeki i wsiadł na statek.

— Ale ja nie o sobie w tym momencie myślałem. Ciekaw jestem, w jaki sposób pan wydobędzie się z tej matni?

— To się dopiero okaże. W każdym razie ujdziemy stąd, potajemnie bądź całkiem otwarcie.

Podczas naszej rozmowy Turnerstick, nie rozumiejący po hiszpańsku, stał na uboczu czas jakiś, wreszcie podszedł do nas i zapytał, o czym tak żywo rozprawiamy. Gdy mu wyjaśniłem, rzekł gniewnie:

— Znowu te łotry! Mogliby już dać nam spokój! Jeżeli tym razem nie zejda nam z drogi, to... porachują sobie dziury w skórze od moich kul. Drugi raz nie dam się już wziąć do niewoli, a tym bardziej nie dam się zastrzelić, żeby z tych brzydkich stepów dostać się do wszystkich swoich dziadków i pradziadków!

— Nareszcie będę miał sposobność — wtrącił Larsen — schwytać kilku tych karłów w swoje dłonie. Będzie bardzo miła zabawa! Oj, będzie!

Miałem mu coś odpowiedzieć, ale się wstrzymałem, gdyż w tej chwili na progu domu ukazał się ranczer i ruszył ku nam, aby umożliwić oczekiwanemu żołnierzowi zobaczenie nas z bliska. Żołnierz ten szedł właśnie wzdłuż ogrodzenia. Ubrany był jak gaucho.

— Panie Larsen — szepnąłem do stojącego obok sternika — na mój znak niech pan chwyci ranczera za kołnierz, ale w ten sposób, żeby nie mógł nawet pisnąć.

— Dobrze! — odpowiedział sternik, zacierając dłonie.

Ranczer zrobił taką minę, jakby dopiero teraz zauważył żołnierza, i zwróciwszy się do niego krzyknął:

— Czego chcesz? Goście nie potrzebują już niczego.

— Chciałem tylko zabrać konia na pastwisko.

— Dziękuję! — odrzekłem. — Wolę, aby koń pozostał z nami. Będziemy czuli się bezpiecznie.

— Niepotrzebnie się señor obawia, bo cóż mu może grozić na stepie? Zwierząt drapieżnych tu nie ma.

— Ale bywają ludzie drapieżni i koniokrady.

— Co też pan mówi? Jak świat światem nikt u nas nikomu konia nie ukradł — odparł „gaucho”.

— A gdyby tak na przykład wam jako pierwszemu zachciało się spróbować szczęścia w tym zawodzie?

— Co? Mnie? — zapytał, przeciągając ostatnie słowo. — Ja jestem najlepszym służącym u ranczera i nie śmiałybym uczynić przykrości jego gościom.

— No, no! Nie ma o czym gadać! Spodobał się wam mój koń, więc chcecie go ukraść. Przejrzałem wasze zamiary.

— Zamiary? Ja przecież ani pana, ani pańskiego konia nigdy w życiu nie widziałem.

— Po co te wykrety? Przysłał was tu porucznik, abyście się przekonali, czy to my byliśmy u Lopeza Jordana... Bo wyście tam byli również...

— Ależ myli się pan i bierze mnie za kogoś innego!

— Nie myślę się i wiem dobrze, co mówię. Towarzyszyliście nam w drodze do rzeki w grupie rotmistrza.

— To nieprawda! To nieporozumienie!

— A więc jesteście w służbie u ranczera?

— Tak, zapewniam pana...

— Dobrze! Skoro jesteście jego służącym, pozostaniecie z nami w tej szopie do rana.

— Najchętniej! Tylko muszę być jeszcze w korralu.

— O, nie! Nie puszczę was stąd nawet na sekundę.

— Dlaczego panu tak zależy, abym nocował z wami?

— Przekonacie nas w ten sposób, że jesteście istotnie w służbie ranczera.

Żołnierz miał przy sobie tylko nóż, wobec czego nietrudno go było obezwładnić. Towarzysze moi, przygotowani wcześniej na taką ewentualność, obstąpili go dookoła; sternik stał tuż za ranczerem, a ja obok żołnierza.

— Dziwię się — mówił ranczer — że podejrzewacie tego gaucha. Jest to bardzo porządny człowiek.

— Podejrzewamy nie tylko jego — odrzekłem — ale i pana. Czy pan nie słyszał o poruczniku, który był tutaj przebrany za gaucha?

— To jakieś nieporozumienie, panowie.

— Czy i to, co pan mówił przed chwilą w izbie, jest również nieporozumieniem?

— Co takiego?

— Przykazał pan swojej żonie, aby nie wychodziła z izby, gdyż obawia się pan, aby żona, kobieta uczciwa, nie przeszkodziła w wykonaniu waszych niecznych zamiarów...

— Co pan mówi? — syknął przez zęby ranczer. — Protestuję przeciw podobnym zarzutom.

— Niech pan nie krzyczy tak głośno, señor! Jakże inaczej określić zamiary gospodarza, który swych gości na rzeź wydać zamierza...

— Któż to ma takie zamiary?

— Przecież pan!

— Nieprawda!

— To jest puste gadanie i nie ma dla nas żadnego znaczenia. Po naszym tu przybyciu wysłał pan do oddziału sierżanta z zawiadomieniem, że znajdujemy się w pana domu. Następnie ranczo zostało obsadzone przez dwustu żołnierzy i pan wie o tym, wie pan też, że drugie tyle przybędzie tu wkrótce. Nie zaprzeczy pan też, że ten oto żołnierz ma się przekonać, czy istotnie jesteśmy tymi, których Jordan chce schwytać, a za moją głowę wyznaczył nawet trzy tysiące talarów nagrody... Prawda, że tak jest?

— Pan nas podsłuchiwał?

— Owszem, podsłuchiwałem.

— Ale to wszystko, co pan słyszał, było tylko żartem. Proszę się przekonać, czy w pobliżu jest chociaż jeden żołnierz.

— Dziękuję za życzliwą radę, ale z niej nie skorzystam, gdyż nie chcę wpaść w pułapkę.

— Ależ, señor, może mi pan wierzyć.

— Dobrze więc! Skoro nie poczuwa się pan do niczego, to zgodzi się pan pozostać w ciągu nadchodzącej nocy w naszym towarzystwie.

— Przepraszam, ale nie mogę się na to zgodzić.

— W takim razie muszę stwierdzić, że już sama ta odmowa świadczy przeciw panu.

— Nie mam ochoty tracić czasu na niepotrzebną gadaninę! — powiedział z gniewem. — Proszę mi zrobić miejsce!

— Zostanie pan tutaj! — rzekłem twardo. — Wspomniał panu porucznik, że mamy w naszym gronie prawdziwego diabła, a pan mimo to twierdził, że schwytać nas będzie łatwo. Aby więc pana przekonać, że właśnie rzecz ma się przeciwnie, zostanie pan tutaj!

— A jeśli mi się nie spodoba?...

— To i tak pan zostanie — rzekłem, dając jednocześnie znak sternikowi.

Larsen w jednej sekundzie chwycił draba tak silnie, że omal go nie udusił, po czym położył na ziemi, towarzysze zaś moi związali go lassami, a *yerbatero* przyłożył oniemiałemu ze strachu drabowi nóż do piersi, grożąc przebicciem, gdyby zechciał wołać o pomoc.

Podczas tej sceny żołnierz był tak wystraszony, że stał jak słup, i dopiero po chwili odezwał się:

— Co wy robicie? Przecież ranczer nie jest waszym wrogiem!

— Tak jak i wy! Przecież jesteście żołnierzem jednej z band Jordana...

— Proszę mnie puścić! — odparł wymijająco i szarpnął się zamierzając uciec.

Ale chwyciłem go za ramię mówiąc:

— Nie tak energicznie, mój drogi! Widzisz ten rewolwer? Jeszcze jeden ruch bez mego pozwolenia, a strzelę ci w łeb! Bo z nami, miły człecze, nie ma żartów!

Po tej groźbie zmienił taktykę i zaczął się tłumaczyć:

— Nie ma tu żadnej mojej winy, señor. Muszę przecież robić to, co mi każą...

— To oczywiście, dlatego nie mam zamiaru wyrządzać wam krzywdy, ale pod warunkiem, że zechcecie odpowiedzieć na kilka pytań. Być może nawet, że potem puszczyć was wolno. Ostrzegam jednak, że jeżeli złapię was na kłamstwie, źle będzie z wami!

— Dobrze, proszę pytać.

Łatwe poddanie się draba dało mi wystarczające o nim pojęcie. Nie należał do śmiałków, a wysłano go tu zapewne tylko dlatego, że widział nas przedtem u Jordana.

— Gdzie znajduje się obecnie Lopez Jordan?

— Jeszcze jest w głównej kwaterze.

— A major Cadera?

— W Paranie. Dowodzi tam oddziałem, który ma obsadzić brzegi rzeki i w poszukiwaniu was zatrzymywać i rewidować wszystkie przepływające statki.

— A ilu żołnierzy jest tu, koło rancza?

— Czterystu.

— Kto nimi dowodzi?

— Pewien major.

— Czy Antonio Gomarra, były właściciel tego rancza, jest wśród was?

— Tak. Służy nam za przewodnika, bo zna dobrze okolicę.

— Dokąd dąży wasz oddział?

— Do Corrientes w celu zakupienia koni i zwerbowania żołnierzy.

— To znaczy: w celu kradzieży koni... Wiem coś o tym... A czy w okolicy są jakieś bandy Jordana?

— Nie. Ale za parę dni można się spodziewać przybycia kilku oddziałów.

— Czy dowodzący wami major znajduje się tutaj?

— Owszem, u wejścia do korralów.

— W jaki sposób rozstawione jest wojsko?

— U każdego wyjścia stoi po pięćdziesięciu ludzi, a gdy nadciągnie druga część oddziału, wzmocni te punkty.

— To znaczy, że gdybyśmy chcieli stąd uciec, przy każdym wejściu natknęlibyśmy się na stu ludzi — rzekłem z miną człowieka, który stracił wszelką nadzieję.

Żołnierz, spostrzegłszy to, potwierdził żywo:

— Tak jest, señor. Nie ujdziecie naszym wojskom. Nie ma już dla was ratunku!

— Prawda — rzekłem — jesteście zgubieni.

— A muszę jeszcze dodać, że mielibyście do czynienia nie z owymi stu żołnierzami, lecz z całym oddziałem. Bo skoro zauważą, że chcecie się przedrzeć w jednym miejscu, major wnet zaalarmuje wszystkich.

— A... a... skąd wicie o tym tak dokładnie? Przecież jesteście prostym szeregowcem.

— No, tak. Ale podsłuchałem oficerów i stąd wszystkie plany są mi znane.

— A więc nie ma się co łudzić... Źle z nami! Bardzo źle!

— Tak, tak! I dlatego radziłbym poddać się dobrowolnie.

— Tak radzicie? — zapytałem z wyrazem zakłopotania, a po chwili, udając zupełnie zrezygnowanego, rzekłem: — Tak, nie ma innej rady, tylko poddać się... Nie pomyślałem o tym dotychczas.

A żołnierz, widocznie człek bardzo tępy, wziął moje słowa za dobrą monetę i zaczął mi znowu doradzać:

— Oczywiście, że najmądrzej pan zrobi, poddając się. Proszę mi wierzyć, że bardzo dobrze panu życzę...

— Tak sądzicie? Hm... Czyżby jednak naprawdę nie było żadnego wyjścia? Gdybyśmy tak na przykład nie ruszyli się z tego miejsca?

— Wówczas major by zaatakował.

— Byłoby to z jego strony dosyć ryzykowne. Przecież obsadzilibyśmy korrale i mamy broń.

— My ją mamy również. Cztery oddziały uderzą jednocześnie i ścisną was tak, że nie będzie innej rady, jak tylko kapitulować lub zginąć — tłumaczył żołnierz, uśmiechając się chytrze.

— No cóż, pomyślę nad tym.

— Być może, że major da wam trochę czasu do namysłu. Czy zapytać go o to?

— Jak? Przecież go tutaj nie ma? — rzekłem.

— Pójdę do niego — odparł.

Widać było wyraźnie, że głuptasowi temu bardzo zależało, by jak najprędzej wyrwać się od nas, mimo że wiedział dobrze, iż nic mu z naszej strony nie grozi. Przeciwnie, sami sprawialiśmy wrażenie mocno przygnębionych.

— Wiadomości uzyskane od żołnierza nie były pocieszające, mimo to nie traciłem otuchy i już teraz byłem pewny, że uda się nam wyjść z tej opresji cało.

Udając jednak dalej, powiedziałem do żołnierza:

— Ano, przepadło! Jesteśmy zgubieni!

— A widzi pan — zaśmiał się poufale. — My umiemy zastawiać pułapki...

— Co was naprowadziło na nasze tropy?

— Przypadek. Kilku z nas wybrało się tutaj, aby zakupić żywność, i przypadkowo poznał was sierżant. Byliśmy oczywiście przebrani za gauchów, bo ostrożności nigdy za wiele.

— A gdzie są wasze konie? W korralu?

— Nie, nie byliśmy tacy głupi, aby je tam umieszczać. Zwróciłoby to waszą uwagę i byście uciekli. Aby się więc nie zdradzić, zostawiliśmy konie poza ranczem.

— Czy w korralach są jakieś konie ranczera?

— Nie, wypędzono je na step, aby zrobić miejsce dla naszych.

— Ach, tak? Ale teraz możecie zapędzić konie za ogrodzenie, bo już i tak o was wiemy.

— Tego nie uczynimy, señor. Bo gdyby się wam udało przebić przez kordon, wówczas, nim żołnierze dosiedliby koni, po was mogłoby nie być i śladu.

— Macie słuszość. Wasz major obmyślił ten plan znakomicie, co świadczy o wielkiej jego roztropności. Proszę mu to oświadczyć w moim imieniu.

— Dziękuję za uznanie, ale nie mam zamiaru przyznawać się przed nim, że wszystko tu wygadałem.

— Racja. Ale ja znajdę jakieś środki obrony, mam zakładnika.

— Ach, rozumiem... Może uważa pan mnie za takiego?

— Bynajmniej, przyrzekłem przecież, że was nie zatrzymam.

— Majorowi na mnie by wcale nie zależało.

— Wiem o tym, chyba że bylibyście wyższym oficerem. Mam jednak w swoim ręku osoby, które majorowi nie są obojętne.

— Czyżby pan miał na myśli ranczera? I ten nic dla majora nie znaczy.

— O, nie! Myślę o pułkowniku Alsinie, którego nazwisko mogę już spokojnie wymienić, bo go i tak poznano. On właśnie rozmówi się z wami.

Byłem pewny, że pułkownik zechce wypytać tego żołnierza o posunięcia Jordana, postanowiłem więc zostawić ich samych. Poszedłem do budynku mieszkalnego i wstąpiłem do izby, w której ranczer zostawił kobietę z dziećmi.

Nie spała jeszcze, kazałem jej zatem przygotować obfitą wieczerzę i zapowiedziałem, że wkrótce przybędą tu oficerowie. Gospodyni przyrzekła postarać się o wszystko, przy czym robiła wrażenie nie wtajemniczonej w całą sprawę. Wyszedłszy z izby, skinąłem na młodego Indianina i rzekłem doń:

— No, ładna gościnność! Nie ma co mówić!

— Señor, ja o niczym nie miałem pojęcia. Przecież gdybym wiedział o zmianach, jakie tu zaszły, nie namawiałbym was do ulokowania się tutaj i nie narażałbym na niebezpieczeństwo siebie i matki.

— Wam przecież nic nie grozi.

— Owszem, grozi, chociażby dlatego, że jesteśmy w waszym towarzystwie.

— Nie będzie tak źle. Damy sobie radę. Ale powiedz mi, co to za człowiek ten twój krewny, były właściciel rancza?

— Nie jest on złym człowiekiem. Chmurny jest tylko i zamknięty w sobie. Zamordowano mu brata, którego ogromnie kochał, i odtąd stracił zaufanie do ludzi.

— Jest stronnikiem Jordana...

— Otóż nie pojmuję, jak do tego doszło? Nigdy przedtem nie należał do żadnej partii.

— Jordan podobno obiecuje Indianom bardzo wiele, nic więc dziwnego, że krewny twój przyłączył się do niego. Sądzę jednak, że nie może być nim zachwycony... Czym się zajmował dawniej?

— Polował w Andach na szynszyle.

Wiedziałem, że szynszyle są to zwierzęta z rodziny gryzoniów, żyjące w wysokich partiach gór, a ich skórki są bardzo cenne i poszukiwane. Wiedziałem też, że polowanie na te zwierzęta połączone jest z wielkim niebezpieczeństwem ze względu na niedostępny teren. Jeżeli więc ranczer zajmował się tym, to widocznie był człowiekiem dzielnym i odważnym.

— Każę go tu przywołać i rozmówię się z nim — rzekłem do Indianina.

— Być może go tu przyślą, ale to na nic się nie przyda.

— Wiem, że w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, nic on nam nie poradzi. Ale chodzi mi o coś innego.

Zbliżyłem się do ognia, gdzie Alsina rozmawiał jeszcze z żołnierzem, i z miny pułkownika poznałem, że dowiedział się ważnych dla siebie rzeczy.

— Zdaje mi się, że nie ma innego wyjścia, jak tylko złożyć broń — rzekł do mnie. — Za małe są nasze siły.

— Tak. Osaczyli nas tak, że żywa dusza stąd nie ujdzie.

— Cóż więc poczniemy?

— Co? Czy panu bardzo się śpieszy zostać jeńcem Jordana?

— Wolałbym się bronić, nawet bez nadziei wygranej. Jeżeli mam zginąć, to po bohatersku...

— Ja jestem również tego zdania. Ale wpadła mi do głowy pewna myśl i może uda nam się uniknąć ataku ze strony oddziału. Ranczer jest obezwładniony. Teraz każę związać jego żonę oraz dzieci i gdyby wojsko podjęło przeciwko nam kroki zaczepne, wystrzelam całą tę niewdzięczną rodzinę.

— Och, señor! — jęknął ranczer żałośnie.

— Pan sam jest winien wszystkiemu — rzekłem. — Wydał nas pan tym zbójcom, pomimo że byliśmy pańskimi gośćmi!

A zwróciwszy się do Larsena, dodałem:

— Proszę go zanieść do szopy, a ja tymczasem każę ująć jego żonę i dzieci...

Larsen chwycił ranczera i poniosł jak piórko, a żołnierz powiedział:

— To byłby mord, señor! Zresztą nic wam to nie pomoże.

— Zobaczymy. Teraz muszę rozmówić się z majorem.

— Czy mam pójść i wezwać go tu? — zapytał skwapliwie.

— Poproszę was o to. Ale najpierw niech przyjdzie señor Gomarra.

— A na co on tu potrzebny?

— To już moja rzecz — rzekłem i dodałem: — Proszę poczekać chwilę.

Wziąłem pułkownika pod ramię i, odprowadziwszy go na bok, pouczyłem, jak ma się w tej chwili zachować. Zaczęliśmy udawać, że rozmawiamy o czymś bardzo ważnym i nie chcemy, by słyszał nas żołnierz. Wreszcie pułkownik wyrwał się dość głośno:

— Ależ ja się na to nie zgodzę!

— Ciszey, na Boga! — upominałem go, symulując przestrah. — Bo ten drab nas podsłucha.

— Wszystko mi jedno! — mówił pułkownik. — Mogę dać panu godzinę do namysłu.

Rozmawialiśmy znowu po cichu, udając podnieconych, po czym niby to wpadłem w gniew i rzekłem głośno:

— Nic w tym niebezpiecznego. Uciekniemy wszyscy... wszyscy...

— Na tamten świat...

— Założę się, że draby nie zauważą, gdyż są pomęczeni i drzemią, a my przedrzemy się przez ich stanowiska tak niespodziewanie, że pogłupieją. Nim się zorientują, dopadniemy rzeki, wsiądziemy na statek i... jazda!

— Może to i dobra myśl — rzekł po pewnym namyśle Alsina.

— Najlepiej byłoby prosto na południe, aby nie nadkładać drogi.

— Ciszey, señor! Ten drab może usłyszeć i wówczas wszystko przepadnie.

Jeszcze przez chwilę zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy prowadzili ożywioną rozmowę, po czym wróciliśmy do ogniska. Na ustach żołnierza igrał uśmiezek ironii i tryumfu. Był przekonany, że poznał nasze tajemnice. I nie dziwiło mnie to, bo nawet o wiele mądrzejszy od niego dałby się oszukać. Odegraliśmy bowiem komedię wybornie.

— Porozumiałem się już z pułkownikiem — rzekłem do żołnierza. — Zgodził się na prowadzenie układów. Niech major powie, kogo z nas chce zabrać do niewoli.

— Wszystkich! To nie ulega wątpliwości.

— Dlaczego wszystkich? Są tu przecież tacy, na których wcale mu nie zależy. Idźcie więc i powiedzcie majorowi, żeby nam przysłał Gomarę jako parlamentariusza. Ma przyjść sam i bez żadnej broni. Każdy inny musiałby zostać tu jako zakładnik. I proszę jeszcze powiedzieć, że obsadzimy wszystkie cztery przejścia między korralami i każdego, kto się zbliży, przywitamy ogniem. Ma tu przyjść tylko Gomarra, a tymczasem trwa między nami zawieszenie broni. Marsz!

Żołnierz odetchnął głęboko, rad, że się wyrwał nareszcie z naszych rąk. Po jego odejściu pułkownik zwrócił się do mnie:

— Czyżby miał pan jakiś plan działania? Bo zdaje mi się...

— Owszem, wydostaniemy się stąd jeszcze przed zakończeniem układów.

— I ruszymy na południe?

— Ech, nie! Umkniemy na północ. Poprzednio umyślnie kazałem tak panu mówić, aby żołnierz usłyszał i zameldował o tym majorowi, który na pewno skieruje w tamtą stronę uwagę, a my tymczasem czmychniemy w stronę przeciwną.

— Tam przecież żołnierze obsadzili wyjście.

— Ja wcale nie myślę lecieć im wprost w objęcia. Mam zamiar po cichu przejść w takim miejscu, w którym nikogo nie będzie na straży, czyli przez żywopłot.

— Ach, tak? — szepnęła zdziwiony. — To zupełnie niewykonalne! Dosłyszają szmer i albo nas wyłapią albo wystrzelają.

— Jestem innego zdania, pułkowniku, i proszę tylko posłuchać. Cała ta posiadłość tworzy wielki prostokąt, składający się z czterech mniejszych prostokątów, czyli korralów, ogrodzonych żywopłotami kaktusowymi. U zbiegu ich, w samym środku, znajduje się ranczo, z którego wychodzą cztery główne ulice. Otóż u ich wylotów major rozmieścił swoich żołnierzy, uważając, że przez ogrodzenie kaktusowe nikt się nie wydostanie; zresztą nie wystarczyłoby mu nawet ludzi do obstawienia całego wielkiego prostokąta. W tym więc miejscu, gdzie najprawdopodobniej nie ma żadnej warty, musimy wybić w żywopłocie dziurę i... ulotnić się przez nią.

— Nie wierzę w powodzenie tego planu, señor. Żywopłot jest tak kolczasty, że byśmy się pokaleczyli na śmierć.

— Proszę się nie obawiać, pułkowniku. Zobaczysz pan, jak to łatwo pójdzie. Nie pierwszy raz spróbuję tej sztuki. Ale cicho! Ktoś się zbliża...

Nie obsadziłem dotychczas wewnętrznych wylotów ulic, gdyż byłem pewny, że major wstrzyma się jeszcze z atakiem, i przyznać trzeba, że było to z mojej strony zwykłą lekkomyślnością. Bo gdyby żołnierze podpełzli po cichu pod zabudowania i rzucili się na nas z nienacka, zginęlibyśmy wszyscy.

Ale, na szczęście, zamiast uzbrojonego oddziału nadszedł jeden tylko człowiek, i to bez broni.

Był to mężczyzna wysoki, chudy, ubrany jak zwykły gaucho, na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, przewiązany pod brodą chustką. W ostrych rysach Indianina czaiła się surowość, a oczy patrzyły ponuro, choć widoczna w nich była inteligencja.

Nasz przewodnik zobaczywszy go zerwał się, chwycił go za rękę i rzekł:

— Nareszcie, wuju, jesteś tutaj i mam nadzieję, że nam pomożesz...

— Siedź, siedź! — odparł chłodno przybysz. — Nie masz się czego obawiać, nic ci się nie stanie.

— Nic mi się nie stanie! Dobrze to wujowi mówić! Wszyscy jesteśmy zagrożeni.

— Wszyscy są zgubieni — powiedział Indianin. — Ciebie to jednak nie dotyczy.

— Ależ ci ludzie są moimi przyjaciółmi i ja ich tu sprowadziłem.

— Cóż stąd? Powinni ci byli za to dobrze zapłacić.

— Nie, nie! Ten señor — wskazał na mnie — ratował moją matkę podczas burzy na statku.

— To bardzo ładnie z jego strony i zapewne matka twoja już mu za to podziękowała.

— A ja miałbym się przyczynić do jego uwięzienia, tak odpłacić za jego dobroć? Przecież on tu przybył jedynie pod wpływem mojej namowy.

— Twojej, nie twojej... nie ma o czym mówić! Czeka go śmierć i basta! A zresztą czy śmierć jest tak straszna? Tylu ludzi umiera; niektórzy nawet giną z rąk morderców. Nie trwóż się więc, mój kochany, i siedź cicho. Zabiorę cię stąd.

— Ja go za nic nie opuszczę.

— Widzę, że jesteś uparty, a na to nie ma lekarstwa. Rób więc, jak ci się podoba; możesz zostać... — A zwróciwszy się do mnie, rzekł:

— Sądząc z ubioru, mogę przypuszczać, że mam przyjemność z cudzoziemcem...

— Tak, istotnie jestem cudzoziemcem — odrzekłem.

— Chciał pan rozmawiać ze mną. Co chce mi pan powiedzieć?

— Przede wszystkim rad bym wiedzieć, co pan ma nam do powiedzenia.

— Major oznajmił mi, że pan życzy sobie rozmawiać ze mną

— powtórzył.

— Omówmy zatem warunki porozumienia. Czego żąda od nas major?

— Abyście się poddali dobrowolnie.
— A jeżeli tego nie uczynimy?
— Powystrzela was co do jednego.
— A co się stanie z nami, jeśli postanowimy się poddać?
— To zależy od Jordana.
— My jednak mamy prawo domagać się przynajmniej gwarancji, że nam nie odbiorą życia.
— Major się na to nie zgodzi.
— Ależ, señor, proszę się zastanowić, czego od nas żądacie! Mamy się zdać na łaskę i niełaskę i nie otrzymać za to nic, nawet zapewnienia czy nadziei, że przynajmniej śmierć nam nie grozi?
— A tak!
— I za co? Cośmy zawinili?
— O tym najlepiej sami wiecie. Mnie to nic nie obchodzi.
— Przecież nam właśnie wyrządzono krzywdę.
— Ech, nie ma o czym mówić. Spełniłem swoje zadanie i mogę odejść. Sprawa wasza nie interesuje mnie ani trochę.
— Skoro tak, to proszę oznajmić majorowi, że nie poddamy się za nic w świecie i że wcale nie znajdujemy się w jego mocy, mimo iż byliśmy skłonni z nim pertraktować.
— Jak to? Nie jesteście w naszej mocy? Łudzi się pan zbytnio.
— Takie jest zdanie pańskie, moje jest inne.
— Opór do niczego tu nie doprowadzi.
— Może nawet nie będziemy musieli stawiać oporu.
— A, wiem...
Uśmiechnął się znacząco. Widocznie dowiedział się już od żołnierza, że mamy zamiar przebić się przez kordon ku południowi. Nie okazywałem jednak zadowolenia z tego, że mój fortel zaczyna przynosić owoce, lecz udawałem jeszcze bardziej przygnębionego.
— A jednak mimo wszystko jest dla nas ratunek. Przede wszystkim obsadzimy wyloty ulic i wytłuczemy wam chmarę ludzi...
— Głupota! Dziesięciu przeciw czterystu! — uśmiechnął się ironicznie.
— Ba, ale każdy z nas ma po kilkadziesiąt naboju.
— To bez znaczenia. Nawet z rewolweru jeden człowiek nie wystrzeli dwadzieścia razy na minutę. A zresztą... — tu spojrzął na mnie lekceważąco i wzruszył ramionami. — Czy mogę panu powiedzieć coś szczerze? Ale to zupełnie szczerze?
— Proszę.
— Chciałbym powiedzieć panu, że... jest pan... idiotą!
Słowa te były dla mnie istotnie niespodzianką. Moi towarzysze skierowali wzrok ku mnie, sądząc, że rozgniewam się srodze, ale ja nie pomyślałem nawet o tym. Nie okazując Indianinowi ani oburzenia, ani też gniewu, odrzekłem:
— Wcale się nie dziwię, że pan przemawia do mnie w ten sposób. Jest pan przekonany, że jako parlamentarzysta nic mu nie zagraża... Nieprawdaż?
— Pan nie odważyłby się wystąpić przeciwko mnie, nawet gdybym nie był parlamentarzystą — odparł szorstko. — Pan mnie nie zna. Wprawdzie jestem Indianinem, ale umiem czytać i pisać tak jak i pan, a ponadto podróżowałem dosyć po świecie, polowałem w Andach i niejednemu niebezpieczeństwu zajrzałem w oczy. Kto z was mógłby się poszczycić czymś podobnym? Nikt! Oto wszystko, co wam miałem powiedzieć!
Wyznanie to nie oburzyło mnie ani nie zdziwiło. Bo, moim zdaniem, człowiek zdolny i silny, ale nie mający poczucia własnej siły i zdolności, godzien jest pogardy w takim samym stopniu jak głupi i pyszałkowaty samochwalca.
Ponieważ ja przyjąłem wypowiedź Indianina z całkowitą powagą, taką samą powagą starali się zachować moi towarzysze.

Tylko Larsen nie mógł wytrzymać i rzekł:

— Niech pan trochę spuści z tonu! Wprawdzie i mnie uczono czytać i pisać, ale to było już dawno, i rad bym zmierzyć się z panem, ale w inny sposób, a mianowicie...

Przy tych słowach podszedł do Indianina, chwycił go za pas, podniósł do góry i wywinął ponad głowę młynka kilkanaście razy, po czym postawił go znowu jak lalkę na ziemi i, zacisnąwszy pięści, dodał:

— O, tak! A teraz niech pan spróbuje zrobić ze mną to samo! Indianin popatrzył ze zdumieniem na olbrzyma i ledwie wykrztusił:

— No, co do tego, to ja... ja... nie bardzo...

— Niech się więc pan nie chełpi wobec nas! My tu umiemy niejedną podobną sztuczkę. Nawet najślabi z nas znają chwyt i różne sposoby, za pomocą których dadzą sobie radę z dziesięcioma przeciwnikami z waszego obozu. A panu szczerze bym radził, aby nie próbował przekonywać się o tym, co potrafimy.

To mówiąc usiadł i spojrzął po obecnych, żeby zobaczyć, jakie popis jego wywarł na nich wrażenie. Indianin usiadł również i, choć był bardzo zdziwiony zachowaniem się i siłą olbrzyma, rzekł do mnie:

— Niech pan zapamięta sobie, że nawet tego rodzaju siłacze nie pomogą panu. Bo co znaczy olbrzym wobec kuli? Pan podobno ma być najniebezpieczniejszy ze wszystkich i dziwię się ogromnie, że ktoś mógł powiedzieć coś podobnego.

— A więc opisywał mnie ktoś jako strasznego człowieka?

— I to jeszcze jakimi barwami! Słyszając to, sądziłem, że pan miażdży ludzi już samym wzrokiem, że umie pan odgadywać w lot myśli przeciwnika... Ale... przekonuję się, że to nieprawda; pan nie jest zdolny do walki i rad nierad poddasz się dobrowolnie.

— Oczywiście, ale najpierw chciałbym wytargować pewne ulgi dla siebie i towarzyszy.

— Niech się pan nie łudzi! Żadnej łaski i żadnych względów dla pana nie będzie, a dla towarzyszy... możliwe... że...

— Ha, cóż robić... Może jednak nie będzie wam tak bardzo zależało na mojej osobie i sprawa inny później przyjmie obrót. Tymczasem domagam się wypuszczenia na wolność naszego przewodnika i jego matki, a my wszyscy poddamy się dobrowolnie.

— Dobrze.

— Czy będziemy musieli złożyć broń?

— Oczywiście! Jakże by mogło być inaczej?

— Przypuszczam jednak, że pieniądze i inne rzeczy pozwolicie nam zatrzymać przy sobie.

— I jeszcze co? — zapytał z ironicznym półuśmiechem.

— I konie, które nam będą potrzebne do drogi.

— Przecież macie tylko jednego.

— Na statku mamy ich więcej. Tylko ja wziąłem swojego, bo był potrzebny dla chorej matki Indianina.

— Ach, tak? Dobrze więc, przyprowadzimy tu konie. I co więcej?

— Warunek nieodzowny: nie wolno nas wiązać. Weźmiecie nas między siebie, aby zapobiec, byśmy nie zbiegli.

— Czy to już wszystko?

— Tak, to wszystko. Za godzinę oczekuję waszej odpowiedzi. Proszę zapamiętać, nie wcześniej i nie później, gdyż w razie niepunktualności będziemy strzelali. Wejścia do rancza natychmiast każe obsadzić — dodałem, skinąwszy na *yerbaterów*.

Zrozumieli w lot mój rozkaz i ustawili się z bronią we wskazanych miejscach. Gomarra zaczął chwilę, po czym położywszy mi rękę na ramieniu rzekł:

— A może byłoby lepiej, señor, aby pan omówił warunki bezpośrednio z majorem? On dałby od razu decydującą odpowiedź.

— Ba, ale w jaki sposób mógłbym się z nim zobaczyć?

— Proszę iść ze mną, zaprowadzę pana do niego.
— Dziękuję za łaskawą propozycję...'
— Byłby pan tam, jako parlamentariusz, osobą nietykalną.
— Dobrze, dobrze! Znam ja tych ludzi lepiej niż pan. Już nieraz złamali dane mi słowo.
— A może chce pan, aby major przyszedł tutaj?
— Tak jest. Nikt z nas dotąd danego słowa nie złamał. Proszę zapewnić majora w moim imieniu, że mu nic nie grozi i może bez żadnej obawy pokazać się tutaj.
— Czy i pan pułkownik zaręczy swoim słowem?
— Zaręczam słowem oficerskim — odparł zapytany.
— Dobrze, przekażę mu to wszystko.
— Stawiam jednak warunek — dodałem. — Niech się tu nikt inny nie pokazuje. Albo major, albo nikt! Zrozumiano? Chcemy jak najprędzej skończyć z tym wszystkim. Aby zaś pan mógł opowiedzieć majorowi szczegółowo, co pan tu słyszał i widział, przeznaczam na to całą godzinę.
— Dobrze! — odrzekł, spoglądając na mnie z politowaniem. — Rad bym na odchodnym powiedzieć panu co innego, ale nie mogę... szkoda, że nie mogę. Przedstawiono mi pana zupełnie inaczej. Myślałem, że będę miał do czynienia z człowiekiem roztroptym, mądrym, groźnym, przebiegłym, nieubłaganym, a tymczasem poznałem najzwyczajniejszego pod słońcem pospolitaka. Hołd składał i żegnam! — rzekł ironicznie i zadowolony ze swego konceptu odszedł.

Po chwili brat Hilario zwrócił się do mnie z gorzką wymówką:

— Jestem naprawdę zdziwiony niewolniczą uległością pańską! Jak pan mógł znosić grubiaństwa tego człowieka!

— Jak mogłem? Zbagatelizowałem je, aby wprowadzić go w błąd, i rzecz udała mi się doskonale. Ludzie ci muszą teraz uwierzyć, że jesteśmy bezsilni i bezradni, że nie mamy ani rozumu, ani odwagi, by się stąd wydostać. Zresztą szkoda teraz czasu na bliższe wyjaśnianie mego postępowania. Idę do korralu, a tu niech wszystko pozostanie bez zmian. Gdyby się kto zbliżał przed upływem godziny, proszę strzelać!

Poszedłem do izby i stamtąd, po odsunięciu dwóch grubych belek, dostałem się do północnego korralu. Zwierząt w nim nie było. Właściwie powinienem zbadać dokładnie, czy nie czai się gdzieś w pobliżu wartownik, zrezygnowałem jednak z tego ze względu na brak czasu. Stałem niedaleko wejścia i próbowałem zorientować się w sytuacji. Za sobą miałem ranczo, po prawej i lewej ręce ciągnęły się żywopłoty, a naprzeciw widniała jak czarna smuga zewnętrzna ściana korralu. W rogach na lewo i na prawo znajdowały się wrota z belek podobne do tych, przez które się tu dostałem. U tych właśnie wrót po stronie zewnętrznej stały strażę, znajdujący się zaś na wprost mnie wysoki żywopłot kaktusowy nie był strzeżony wcale, gdyż nikomu prawdopodobnie nie przyszło do głowy, aby przez taki piekielny szaniec można się było przedrzeć.

Skierowałem się w tę stronę, a że ziemia była trochę wilgotna, więc kroki moje nie wydawały żadnego odgłosu; zresztą na zewnątrz i tak nie można ich było dosłyszeć, gdyż korral zajmował spory obszar.

Przybywszy pod samo ogrodzenie kaktusowe, położyłem się na ziemi i nasłuchiwałem czas jakiś, czy na zewnątrz nie ma nikogo w pobliżu. Nie usłyszawszy żadnego podejrzanego szmeru, zabrałem się do roboty. Przede wszystkim trzeba było wyciąć w żywopłocie otwór tak wielki, aby można było przeprowadzić przez niego konia. Otwór ten jednak nie mógł być przebity na wylot, bo gdyby przypadkiem przechodził tamtędy któryś z żołnierzy, natychmiast by go zauważył i plany nasze zostałyby wykryte. Rzecz jasna, że wykrojenie takiego kawałka w grubej, gęsto zarośniętej, najeżonej cierniami i kolcami ścianie kaktusowego żywopłotu stanowiło sztukę nie lada. Ale że miałem już spore doświadczenie, więc rzecz, choć trudna, była dla mnie możliwa do wykonania. Wyjąłem ostry jak brzytwa nóż, sporządzony specjalnie

do tego rodzaju czynności, i przeciąłem żywopłot na wylot w kształt litery „U”. W ten sposób wielki płat w kształcie języka zwisał w wyciętym otworze i można go było z łatwością odchylić, by przejść przez te prowizoryczne drzwi. Robota moja nie poszłaby tak łatwo, nawet przy użyciu wybornego noża, gdyby kaktus był suchy i stwardniały. Na szczęście soczysta i miękka roślina poddała się operacji bez wielkich z mej strony wysiłków i bez najmniejszego szmeru, a kolce kaktusa, ostre i gęsto rozmieszczone, nie uczyniły mi żadnej krzywdy, gdyż chroniło mnie moje skórzane ubranie. Wiedziałem zresztą, z której strony brać się do tych odstrasających żywych igieł.

Ponieważ, jak już wspomniałem, nie pierwszy raz wykonywałem taką pracę, uporałem się z nią w niespełna kwadrans i, zaznaczywszy to miejsce, wróciłem do ogniska.

— Obawialiśmy się już o pana — zauważył pułkownik. — Tak długo pana nie było...

— Bo też wycięcie otworu w kaktusowym żywopłocie nie lada jest robotą — odrzekłem.

— Co? Udało się panu dokonać tego? Señor! Wierzyć mi się nie chce...

— Zobaczysz pan to na własne oczy — odrzekłem.

Wyprowadziłem następnie z szopy mego konia i umieściłem go wewnątrz korralu, tuż za wrotami, a towarzysze na mój rozkaz pozbierali swoje manatki, aby w każdej chwili mogli wyruszyć w drogę.

Po upływie godziny sternik oznajmił, że ktoś się zbliża do rancza. Zasiedliśmy natychmiast dokoła ogniska, nie zapominając zostawić po dwóch towarzyszy u każdego z wylotów ulic.

Przybyły parlamentariusz wyglądał na lat pięćdziesiąt, ubrany był po wojskowemu, ale, zgodnie z umową, nie miał przy sobie żadnej broni. Podeszedłszy do ogniska, rozejrzał się wśród nas, ukłonił pułkownikowi, udając, że inni go nie obchodzą, i rzekł:

— Pan pułkownik życzył sobie rozmówić się ze mną, więc proszę tej czynię zadość. Proszę, słucham!

— Pułkownik jednak udał, że tych słów nie bierze do siebie, i spojrzał na mnie porozumiewawczo, jakby pozostawiał mi rozmówienie się z przybyłym.

— Bardzo to pięknie z pańskiej strony — rzekłem — że raczył pan pofatygować się osobiście. Byłem i jestem pewny, że bez pośredników porozumiemy się najprędzej i najłatwiej.

— A kim pan jest? — zapytał, obrzucając mnie lekceważącym spojrzeniem.

— Przypuszczam, że już panu to powiedziano.

— Być może, ale ja z panem nie chcę mieć do czynienia i zwracam się do pańskiego przełożonego.

— W takim razie pomylił się pan trochę, panie majorze. Nie jestem podwładnym. Przeciwnie, w tej chwili ja jestem dowódcą tej oto garstki obłożonej załogi.

— Pan nie jest nawet oficerem, jakże więc może dowodzić pułkownikiem? — zapytał tym samym lekceważącym tonem. — Jako oficer mogę rozmawiać tylko z oficerem, więc w tym wypadku z obecnym tu pułkownikiem.

— Za pozwoleniem! Nie może pan tego żądać, bo nie jest pan ani prawdziwym oficerem, ani człowiekiem uczciwym, lecz buntownikiem i zdrajcą. Ja, jako osoba cywilna, mogę z mniejszym narażeniem honoru wdawać się z panem w rozmowę. Ale pułkownik?

— Do diabła! Pan mnie obraża! Ja pana oćwiczyć każę.

— Na razie musi pan wyrzec się tej przyjemności, bo nie jest u siebie, ani ja nie znajduję się jeszcze w jego rękach.

— Ale wkrótce się to stanie.

— Uważam to za zupełnie możliwe, dlatego nawet życzyłem sobie rozmowy z panem.

— Ale słyszał pan przed chwilą, co powiedziałem: nie mam zamiaru rozmawiać z panem.

— W takim razie szkoda, że się pan tu fatygował — odrzekłem i odwróciłem się do niego plecami, co go trochę zbiło z tropu.

Po krótkim namyśle odezwał się:

— Zresztą... wszystko mi jedno. Proszę tu bliżej do mnie.

Usłuchałem wezwania i podszedłszy usiadłem naprzeciw niego.

Musiała to być harda dusza i można było wyczytać z jego oczu, że, gdybyśmy się w jego ręce dostali, nie miałby dla nas żadnych względów.

— Czego ci tam stoja? — zapytał, wskazując *yerbaterów* tkwiących u wylotu ulic.

— Aby zastrzelić każdego, kto zbliży się tutaj bez mego pozwolenia.

— Może ich pan stamtąd cofnąć, bo na nic się to wam nie przyda i za jakiś kwadrans nie będzie pan tu już rozkazywał.

— Wiem o tym.

— Dlaczego więc zabawia się pan w wojaka?

— Bo mi się tak podoba. I może pan być pewny, że chociaż nie jestem żołnierzem z zawodu, znam się lepiej na sprawach wojennych niż pan i że bywają tacy majorowie, którzy powinni raczej drwa rąbać lub tłuc kamienie niż dowodzić wojskiem.

— Aaa! Pokazuje pan nareszcie rogi, których Gomarra wcale nie zauważył, No, dobrze! Wolę rozmowę ożywioną cokolwiek niż taką ślamazarną jak na początku. Chciałbym tylko wiedzieć, czy w tej chwili grozi mi coś z waszej strony.

— Nic tu panu nie grozi... Chyba że podczas pańskiej tu obecności żołnierze podejmą przeciw nam kroki zaczepne. Tak, wówczas odczułby pan to na własnej skórze.

— Coś podobnego nie nastąpi.

— Tym lepiej dla pana. Może się pan czuć tutaj nawet bezpieczniej niż wśród swoich kolegów oficerów.

— A mimo to będzie pan miał z nimi do czynienia.

— Wszystko mi jedno. Zresztą czy pan sądzi naprawdę, że dla nas nie ma już żadnego wyjścia?

— Żadnego.

— A gdybyśmy się bronili?

— Na nic się to nie przyda. O świcie żołnierze poczynią wyłomy w żywopłotach i przypuszczą atak.

— My również możemy zrobić wyłom i uciec wam sprzed nosa.

— Nie macie koni...

— Tym lepiej, bo łatwiej nam będzie ukryć się przed wami. Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego pan zamierza nas zaatakować dopiero rano?

— Widać z tego pytania, że nie jest pan oficerem. Przecież gdybyśmy w nocy zaczęli rąbać żywopłot, ludzie pańscy strzelaliby do nas.

— Tak, istotnie. Że też ja nie wpadłem na myśl, aby wyłamać żywopłot i wydostać się w ten sposób na zewnątrz korralu.

— Wystrzelalibyśmy was albo połapali na bole.

— Tak, nie pomyślałem o tym... Słyszałeś, bracie Hilario? — dodałem, zwracając się do zakonnika.

A major mówił dalej:

— Wy nawet pojęcia nie macie, co to jest kaktus z jego strasznymi kolcami. Przecież gdybyście spróbowali wyrąbać sobie w żywopłocie przejście, nie uszłoby to naszej uwagi, bo niezbędne są do tego siekiery i żerdzie. Pierwsze uderzenie topora sprowadziłoby na wasze głowy tysiąc moich żołnierzy.

— Tysiąc? Słyszałem tylko o czterystu.

— Mylnie pana poinformowano. Mam pod swoim dowództwem tysiąc ludzi, wobec czego może pan być pewny, że żywcem stąd nie wyjdziecie. Podaję panu wszystkie te szczegóły jedynie dlatego, abyście się niepotrzebnie nie narażali. Jeśli poddacie się dobrowolnie, uczynię wszystko co w mojej mocy, aby złagodzić waszą dolę. Przewodnik ze swą matką jest wolny zupełnie.

— Czy moglibyśmy jechać z wami bez kajdan?

— O, nie! Nie mogę wam tego obiecać.
— To trudno! W tym punkcie jednak nie mogę ustąpić.
— Ja również nie ustąpię... I daję panu dziesięć minut do namysłu. Jeżeli się zdecydujecie, dobrze, jeżeli nie, nic na to nie poradzę. Skończyłem i nic więcej nie mam tu jako parlamentarzysta do roboty.
— Ha, trudno! Proszę udać się ze mną do izby.
— Po co?
— Chcielibyśmy się naradzić. Przygotowaliśmy też dla pana posiłek, co miało stanowić dowód, że umiemy być uprzejmi dla parlamentarzysty.
— Tego naprawdę nie spodziewałem się po was. Jestem piekielnie głodny.
Zaprowadziłem go do izby i kazałem kobiecie podać mięso, chleb i wino, co też natychmiast uczyniła.
— Dobrego apetytu! — rzekłem. — Wychodzę i za dziesięć minut dam ostateczną odpowiedź.
— Czy jednak przypadkiem nie knuje pan czegoś przeciw mnie?
— Boże ucho! Jeśli się panu podoba, może pan odejść w tej chwili. Nic przeciw temu nie mam.
— No, dobrze, zostanę tutaj, a wy nie traćcie czasu, bo tylko dziesięć minut wam pozostaje.
Wyszedłem na dwór i z zadowoleniem stwierdziłem, że towarzysze moi byli gotowi do ucieczki; zrozumieli widać, że musi ona nastąpić zaraz.
— Już? — zapytał pułkownik.
— Tak — odrzekłem. — Szybko, ale po cichu i ostrożnie.
Larsen już podczas tych kilku minut, które spędziłem w izbie z majorem, zdążył odsunąć wrota, więc nie tracąc nawet sekundy weszliśmy do korralu i założywszy dyle bramy z powrotem podążyliśmy do wyciętego przeze mnie otworu. Pchnąwszy lufą wycięty płat gęstwy kaktusowej, wyjrzałem na zewnątrz. Za żywopłotem nie było żywego ducha, więc po cichu opuściliśmy korral i chyłkiem pomknęliśmy w step, przy czym koniowi swemu położyłem dłoń na nozdrzach, aby przypadkiem nie parsknął. Zatrzymaliśmy się dopiero po przebyciu co najmniej sześciuset kroków.
— Señor, każdej chwili szkoda! — rzekł pułkownik. — Uciekajmy jak najprędzej, bo nas dogonią.
— Niełatwo uciekać pieszo! Musimy mieć konie...
— Tak, ale skąd je wziąć? Chyba ukraść?
— A chociażby. W podobnych okolicznościach nie jest to żadną zbrodnią, zwłaszcza że ukradniemy je żołnierzom, a ci z pewnością ich nie kupili, lecz również pokradli.
— No, no, nie wiedziałem, że ma pan żyłkę koniokrada. Ciekaw tylko jestem, jak się pan do tej rzeczy zabierze. Sprawa ogromnie ryzykowna!
— Kto chce kraść konie, musi ryzykować. Na to nie ma rady. Zresztą uda się ze mną po konie tylko señor Monteso, a wy wszyscy zaczekacie tutaj.
— No, proszę! — zaśmiał się Monteso. — Całe życie byłem uczciwy, a teraz muszę zostać koniokradem. Znakomita sposobność!
Chyłkiem podążyliśmy w prawo pod otaczające ranczo korrale, gdzie spodziewałem się znaleźć wierzchowce. Jakoż niebawem usłyszeliśmy parskanie.
— Niech się pan położy w trawie — szepnąłem do *yerbatera* — i popełźnie za mną, ale ostrożnie, bo najłżejszy szmer może nas zdradzić.
— Dokąd mamy pełznąć, skoro tutaj są konie?
— Chciałbym oprócz koni porwać także człowieka.
— Czy pan zwariował? Kogo pan chce porwać.

— Zabiorę Gomarę. Chcę go ukarać za to, że mnie lekceważył... A poza tym jest on znakomitym przewodnikiem i przyda się nam po drodze. Musimy się jednak spieszyć, bo major, spostrzegłszy naszą ucieczkę, zaalarmuje natychmiast wojsko. Naprzód!

Pozostawiłem *yerbatera* w pobliżu koni, a sam posuwałem się ostrożnie dalej. Po kilkunastu krokach natknąłem się na żołnierza, który siedział na ziemi i, oparłszy się na łokciu, drzemał w najlepsze. Dobyłem noża i przyłożywszy mu go do piersi szepnąłem:

— Hej! Gdzie jest Gomarra? Gadaj, bo zakłuję!

Drab przetarł oczy, spojrział na mnie nieprzytomnym wzrokiem, ale, spostrzegłszy nóż, zrozumiał groźbę i odpowiedział:

— Tu, kilka kroków dalej, jest jego koń. Może i on tam będzie!

— Tam, na prawo?

— Tak.

Żał mi było biedaka, a jednak musiałem zapłacić mu za tę przysługę wypróbowanym sposobem, mianowicie pięścią w skroń, aby stracił na chwilę przytomność, po czym poszedłem dalej. Nagle rozległ się donośny głos majora, biegnącego od strony rancza:

— Hola! Do mnie wszyscy! Otoczeni uciekli!

Przykucnąłem w trawie, w pobliżu wskazanego konia, gdy nagle spostrzegłem nadbiegającego Gomarę. Rzuciłem się na niego jak zaczajony jaguar i, chwyciwszy za gardło, ogłuszyłem uderzeniem pięści, po czym zarzuciłem go sobie na plecy i pospieszyłem do miejsca, w którym oczekiwał na mnie *yerbatero*.

Niestety, zupełnie niespodziewanie natknąłem się na żołnierza, który zbudzony wołaniem majora biegł, nie wiedząc sam dokąd i po co.

— Co się stało? — pytał mnie nieprzytomnie.

— Major woła do siebie żołnierzy — odpowiedziałem.

— Po co?

— Dowiesz się na miejscu.

Żołnierz dopiero teraz spostrzegł, że niosę na plecach człowieka, więc zapytał:

— A to co znowu? Co to za człowiek? Kim pan jesteś?

— Cudzoziemcem, którego chcieliście schwytać... A na plecach mam waszego przewodnika Gomarę. Zamelduj o tym majorowi, gdy się wyśpisz, i powiedz mu jeszcze, że pożyczyłem od niego kilka koni. Dobranoc!

To rzekłszy, grzmotnąłem go również kułakiem w skroń, a on padł na sianie jak długi.

— Montesó! — Zawołałem półgłosem towarzysza.

— Co? — odpowiedział jak spod ziemi.

— Niech pan weźmie jednego konia i jedzie do naszych, aby natychmiast tu przybyli.

Yerbatero dosiadł pierwszego z brzegu wierzchowca i popędził jak wicher, a ja, położywszy na drugiego konia Gomarę, udałem się za nim.

Niebawem nadbiegli i dopadli koni nasi towarzysze. Nie minęło nawet kilka minut, a wszyscy byliśmy już w siodłach, ponadto każdy wziął po kilka koni luzem.

— Dokąd? — pytał pułkownik, nie znający okolicy.

— Na północ! — odrzekł *yerbatero*. — Musimy trzymać się z dala od trzęsawisk, rozciągających się wzdłuż Parany. Niebawem wszędzie księżyc i wtedy będziemy bezpieczniejsi.

Popędziliśmy na oślep ku północy, a po półgodzinie, gdy noc rozjaśniła się od księżyca, zorientowawszy się w sytuacji, skierowaliśmy się na południowy zachód.

Okolica obfitowała w mniejsze i większe rzeczułki i strumienie, które jednak nie utrudniały nam zbytnio jazdy, bagniste zaś miejsca łatwo było w noc jasną poznać po roślinności różniącej się wyraźnie od trawy stepowej.

Dwie godziny forsownej jazdy minęły jak jedna chwila. W tym czasie jeniec nasz nie dawał znaku życia i zacząłem się już obawiać, czy go przypadkiem nie udusiłem. Nie miałem wcale

takiego zamiaru, nie chciałem bowiem obciążać sumienia nawet mimowolnie spowodowaną śmiercią bliźniego.

Zaniepokojony bezwładem Indianina kazałem towarzyszom zatrzymać się i zsiąść z koni, po czym ułożyliśmy biedaka na ziemi i rozwiąaliśmy mu nogi. Jeniec mój jednak, gdy tylko poczuł, że jest wolny, zerwał się z ziemi i zaczął nam wymyślać na czym świat stoi. Gdy zaś wylał już z siebie żółć i uspokoił się nieco, rzekłem do niego:

— Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak nagle zmartwychwstał. Zachowywał się pan przez parę godzin tak spokojnie, że obawiałem się, iż pan nie żyje. Dlaczego nie poruszał się pan dotychczas?

— Nie mogłem. Skrępowaliście mnie przecież jak barana.

— Mógł pan przynajmniej mówić.

— Po co? Aby panu powiedzieć, że jest pan istotnie niebezpiecznym łotrem? Na to jest i teraz dosyć czasu! Gdybym tylko nie był obezwładniony!

— To co by było? Pewnie też by pan powiedział, że jestem głupcem czy idiotą albo człowiekiem pozbawionym wszelkiej godności. A jednak właśnie dlatego, że jestem mądrzejszy od pana i posiadam więcej godności ludzkiej, puściłem pańskie obelgi mimo uszu, wiedząc na pewno, że niebawem będzie pan przeze mnie zawstydzony. Niech się pan jednak niczego nie boi. Podoba mi się pan mimo wszystko.

— Chciałbym jednak wiedzieć, co się ze mną stanie.

— Będzie pan naszym przewodnikiem.

— Dziękuję za zaufanie, ale do tego nikt mnie nie zmusi.

— To się okaże.

— Naprawdę? A gdybym was umyślnie wprowadził w błąd?

— Wówczas zastrzeliłbym pana z zimną krwią. Niech pan zresztą nie myśli, że nas tak łatwo wprowadzić w pole...

— Mimo to jednak oświadczam, że spróbuję zbiec przy najbliższej sposobności.

— Owszem, wolno panu próbować. Ale ręczę, że to się nie uda. Przywiązany pana do konia.

Nie mogliśmy zbyt wiele czasu tracić na wypoczynek, kazałem więc przywiązać czerwonoskórego do siodła i puściliśmy się w dalszą drogę.

Następny postój urządziliśmy w zacisznej dolince, porostej gęstą trawą i krzakami. Konie przywiązaliśmy na lassach, by się pały, a sami pokładaliśmy się w trawie, znużeni niezwykłymi przejściami minionego dnia. Jeden z nas na przemian miał czuwać, a zwłaszcza mieć baczenie na Gomarę. Nie było tu ani co jeść, ani nawet wody do picia, ale nikt o to nie pytał, rad, że przynajmniej odpocząć może.

Obowiązek czuwania w pierwszych godzinach wzięłem na siebie i usiadłem obok leżącego Gomarry. Księżyc rzucał mdłe światło na rozległą płaszczyznę stepu, gdzieś w pobliskim bagnie rechotały żaby, a w bujnej trawie grały koniki polne. Poza tym wokoło panowała głęboka cisza.

Aby nie przeszkadzać śpiącym, nie podnosiłem się z ziemi i z opartymi na kolanach łokciami siedziałem zasłuchany w majestat ciszy i wpatrzony w bezmierny step. Nagle z zadumy wyrwał mnie szept:

— Señor!

Zwróciłem głowę w kierunku głosu. To Gomarra chciał czegoś ode mnie.

— Czego pan sobie życzy?

— Czy pan... czy... Zapytać nie śmiem... Czy powiedziałby mi pan prawdę, ale szczerą prawdę, gdybym zadał panu pytanie?

— Jeżeli tylko będę mógł, to owszem...

— Stwierdził pan, że mu się podobam. Była to ironia czy prawda?

— Owszem, panie, prawda.

— Tak... tak... Może pan nazwie to dziecinadą, ale są takie chwile i okoliczności, które dziwnie wpływają na najtwardsze nawet charaktery. I ja czuję się jakiś inny, jakiś skruszony... Nie wiem zresztą, jak to określić. Prosiłbym tylko o jedno jeszcze wyjaśnienie... Dlaczego się panu podobam?

Głos jego przy tych słowach drżał i brzmiała w nim jakaś rzewność.

Właściwie nie zdawałem sobie sprawy, dlaczego człowiek ten wywarł na mnie korzystne wrażenie. Może z tego powodu, że wiele przeżył, wiele przecierpiał — nie wiem. I w tej chwili, choć twarzy jego nie mogłem widzieć, zdawało mi się, że kryje się w niej rys dla mnie wielce sympatyczny, odzwierciedlający prawą jego naturę. Odrzekłem więc przyjaźnie:

— Pan podobno nie był dawniej tak ponury i zgorzkniały jak obecnie. To jakiś bolesny wypadek wpłynął na zmianę pańskiego usposobienia i poglądów na życie.

— Możliwe, ale ja o tym nie lubię mówić.

— Szkoda! Czasem powierzenie jakiegoś tajemnego smutku czy boleści osobie życzliwej przynosi znaczną ulgę.

— To prawda. Ale czy dzisiaj łatwo znaleźć szczerego, życzliwego człowieka, przed którym można by otworzyć serce?

— O, dlaczego nie. Są przecież na świecie ludzie współczujący i dobrzy. Pan sam był dawniej taki.

— Nie przeczę. Cóż jednak warta myśl o tym, co minęło. Gdybym zresztą i znalazł jaką życzliwą sobie duszę, o której pan wspomina, to i tak niczego od niej oprócz współczucia oczekiwać nie mogę.

— Jeżeli pan nie ma zaufania, to trudno. Wdzierać się przemocą w pańskie tajemnice nie mam zamiaru. A jednak domyślam się...

— Czego? Przecież pan jest tu obcy...

— Mogę jednak pomimo to wiedzieć, że na zmianę pańskiego usposobienia wpłynęła zbrodnia. Zamordowano panu brata...

— Co? Skąd pan wie o tym? — podchwycił żywo.

— Powiedział mi pański krewny.

— Plotkarz! Kto mu pozwolił rozpowiadać o moich sprawach?

— Niech się pan nie gniewa na niego, bo gdyby mi tego nie powiedział, pan już w tej chwili by nie żył. Obraził mnie pan ciężko i jedynie przez wzgląd na to, co usłyszałem od niego, darowałem panu życie.

— Ale byłem przecież parlamentariuszem!

— Parlamentariusza również obowiązuje grzeszność, a przede wszystkim ostrożność. A pan o jednym i drugim zapomniał i życie pańskie wisało na włosku. Słyszałem jednak, że pan od chwili śmierci brata zmienił się nie do poznania, i to właśnie zadecydowało. Bo kto wziął sobie tak bardzo do serca śmierć brata, ten musi być godnym człowiekiem.

— Tak pan myśli? Rozumiem... — szepnął z westchnieniem i zamilkł.

Dopiero po dłuższej chwili zapytał:

— Ale pan nie zna szczegółów tego okropnego zdarzenia?

— Nie, wiem tylko tyle, ile powiedział mi krewniak pański. Od pana zaś nie wymagam szczerości, bo nie mam żadnej podstawy, by liczyć na pańskie zaufanie.

— A jednak ja panu ufam. Dziwne to, ale prawdziwe. Jest pan moim wrogiem, ma mnie pan w swoim ręku, nie wiem nawet, co zamierza pan ze mną zrobić, a jednak zdaje mi się, że jest pan człowiekiem dobrym, szlachetnym i że nie byłby w stanie uczynić mi jakiegokolwiek krzywdy. Teraz dopiero czuję, że tam, przy ognisku, mówiąc z panem jako parlamentariusz, nie oeniłem pana właściwie. Po drodze słyszałem waszą rozmowę i wiem, jaki z pana dzielny człowiek. Wiem też, że wyrwał pan garstkę swoich towarzyszy ze strasznego położenia, i widzę, że jeżeli pan podejmuje jakieś działanie, to ma ściśle określony cel. Sądzę więc, że

uprowadzenie mnie spod rancza nie było przypadkowe, tak jak nie jest przypadkiem, że jedzie pan do Gran Chaco. Bo przecież pan tam zmierza?

— Owszem, jadę do Gran Chaco.

— I jeszcze dalej w górę rzeki?

— To zależy od okoliczności... Może nawet podążę aż do oceanu.

— To się dobrze składa. Interesuje mnie ten pański zamiar. Udaje się pan w te okolice, w których został zamordowany mój brat. A może... podróż pańska przyczyniłaby się... może by pan przy tej sposobności mógł wpaść na ślad mordercy mojego brata...

— Cóż znowu? Sądzi pan, że jestem cudotwórcą? Ile lat upłynęło od śmierci brata?

— O, wiele. Ale mimo to można jeszcze wpaść na ślad zbrodniarza i gdybym miał do tego zdolności, sam podjąłbym poszukiwania. Nawet już próbowałem, ale zawsze jakaś przeszkoda niweczyła moje wysiłki.

— A teraz zdaje mi się, że gdyby pan znalazł się tam... Ale... co ja mówię? To niemożliwe...

— Co?

— Na pewno miał pan rację. Nie jest pan cudotwórcą. Najmądrzejszy nawet człowiek i najbardziej zdolny nie byłby w stanie wykryć mordercy po tylu latach, tym bardziej że miejsce zbrodni znajduje się wśród dzikich, pustynnych okolic...

— Czy brat pański został tam pogrzebany?

— Tak.

— I za punkt wyjścia do wyśledzenia zabójcy uważa pan jego grób?

— Nie tylko. Mam pewien przedmiot, który mógłby pomóc w poszukiwaniach. Jest to butelka, zawierająca jakieś sznurki, którą morderca tam zakopał.

— Sznurki, mówi pan? Może to są tak zwane *kipu* peruwiańskie? Jeżeli tak, to proszę mi opowiedzieć wszystko dokładnie, i to we własnym interesie.

Mimo woli przyszedł mi na myśl ów *sendador*, o którym opowiadał Monteso, a którego podejrzewałem o zbrodnię. Przypomniałem sobie, że według Montesa, miał on jakieś rysunki, ale o *kipu* nic *yerbaterowi* nie wspominał, i domyślałem się, że musiał je ukryć starannie, aby się nie dostały w obce ręce i aby ktoś, odcyfrowawszy je, nie odnalazł ukrytych skarbów.

Posłyszawszy teraz od Gomarry o owych sznurkach, zainteresowałem się sprawą i Indianin poznał to widocznie, gdyż rzekł:

— Widzę, że sprawa ta interesuje pana.

— Bo wspominał pan o przedmiotach, o których wiem cokolwiek...

— Umie pan może odcyfrować węzły na tych sznurkach?

— Czytałem wiele książek naukowych, traktujących o *kipu*, i znam trochę narzecze, w którym one wyrażają swą treść... Ale mimo to wątpię, aby mi się udało uczynić coś dla pana. Byłoby to możliwe jedynie wówczas, gdybym wiedział dokładnie, skąd pochodzą te sznurki. Czy, pańskim zdaniem, mają one cokolwiek wspólnego z zamordowaniem brata?

— Ależ tak, señor.

— Więc proszę mi odpowiedzieć na kilka pytań. Przede wszystkim: gdzie znajduje się miejsce, w którym popełniono morderstwo?

— W górach na pustynnej wyżynie Pampa de Salinas, w Andach Boliwijskich. Czy pan był kiedy w tych górach?

— Nie, ale czytałem o nich wiele. Czy owa pustynia solna jest naprawdę tak ponura i straszna, jak ją opisują?

— O, to niezwykle dzika okolica. Jedzie się tam całymi dniami, nie oglądając żadnej roślinności, prócz niektórych tylko odmian rosnących na słonym podłożu. Przez tę martwą pustynię muszą przedzierać się myśliwi, polujący na szynszyle, które w odległych górach żyją całymi stadami.

— Czy są tam słone jeziora?

— Jest jedno ogromne, pokrywające dno wielkiej, zacisznej kotliny. Opowiadają, że dawniej w tym miejscu znajdowało się kilka pięknych miast i sporych wsi, ale zostały one zniszczone podczas najazdu Europejczyków. Dziś nie ma ani śladu tych wspaniałych osad ludzkich.

— Może przynajmniej zostały jakieś ruiny?

— Nie ma żadnych.

— A są w pobliżu jakieś wulkany?

— Owszem, nawet kilka.

— Czy to jezioro, o którym pan wspomniał, ma jakieś dopływy?

— Nawet bardzo liczne, ale niezbyt szerokie i krótkie.

— Słyszałem, że to jezioro pokryte jest stężałą warstwą soli.

— Tak, i to na tyle grubą, że można przejść po niej jak po lodzie, a nawet przejechać na koniu. Sam próbowałem tego nieraz. W porze deszczowej jednak wzbierają potoki, wody w jeziorze przybywa, pokrywa solna podnosi się i pływa po wierzchu.

— Być może, iż jezioro to było kiedyś niewielkie i dopiero z biegiem lat powiększyło się. Bo skoro na wierzchu znajduje się skorupa solna, to woda nie może wyparowywać, a nowej ciągle przybywa. Ta właśnie okoliczność mogła być przyczyną zalania nisko położonych ruin dawnych miast. Więc mówi pan, że w okolicy tego jeziora zginął pański brat?

— Tak. Wybraliśmy się na polowanie w Andy, a było nas ośmiu tęgich myśliwych, umiających doskonale chodzić po górach. Przenocowawszy w owym strasznym miejscu przy słabym ogniu z solnych roślin, puściliśmy się rano w dalszą drogę, tylko brat mój pozostał, aby odszukać muła, który się mu zbłąkał. Sądząc, że znajdzie go niebawem i nas potem dogoni, nie chciał, abyśmy na niego czekali.

— Czy są tam jakieś zwierzęta drapieżne?

— Nie! Wszak w tej martwej okolicy nie ma żeru i poginęłyby tam z głodu.

— Ale ludzi spotyka się tam często?

— Nie bardzo. Przez Andy prowadzi tylko jedna droga, ogromnie uciążliwa i niebezpieczna. Jedyne śmiałek decyduje się na jej przebycie, i to w dogodnej porze, a przy tym wyłącznie dolinami zawałonymi śniegiem. Czasem zapuszczają się w te ponure ustronia poszukiwacze złota, ale ci nie idą zbyt daleko.

— Zdarzyło mi się niedawno spotkać jednego z takich poszukiwaczy złota, który wałęsał się po tych górach.

— Kto to był? — zapytał Gomarra zaciekawiony. — Może i ja go znam? Może to stary *gambusino* ze Szwajcarii?

— Zna pan jego nazwisko?

— Nie. Nazywano go *gambusino*, a wiem o nim tylko tyle, że miał krewnych w Banda Oriental, w pobliżu Mercedes.

— Tak, istotnie. Tego właśnie człowieka poznałem niedawno.

— Szczególny traf! Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie on obecnie przebywa?

— Umarł. Byłem obecny przy jego śmierci...

— Umarł? I to w domu... zamiast jak prawdziwy *gambusino* na pustyni. Niech mu tam światłość wiekuista przyświeca! Był to człowiek zamknięty w sobie, ponury, smutny, jakby miał na sumieniu jakieś przewinienie. Czy pan coś wie o tym?

Nie chciałem odpowiedzieć wprost na to pytanie Indianina, bo nie miałem już wątpliwości, że mordercą jego brata był ten sam człowiek, który zmusił *gambusina* pod przysięgą do zachowania tajemnicy dotyczącej morderstwa. Byłem też święcie przekonany, że człowiekiem mającym na sumieniu życie dwóch ludzi był *sendador*. Odrzekłem więc wymijająco:

— Jeżeli, jak pan powiada, człowiek ów był zamknięty w sobie, to dlaczego miałby zrobić wyjątek dla mnie?

— Niby racja. Ale przecież mógł pan usłyszeć coś więcej o tej sprawie, która, jak się domyślałam, nie jest dla pana obojętna.

— Być może. Czy ów *gambusino* wiedział o zamordowaniu pańskiego brata?

— Nie! Nigdy z nim o tym nie mówiłem. Zresztą nie znaliśmy się zbyt dobrze, gdyż był on odludkiem i szukał samotności. Widywaliśmy się zwykle krótko, ledwie kilka słów zamienialiśmy ze sobą i rozchodziliśmy się.

— Czy to był jedyny człowiek, z którym się pan tam spotykał?

— Tak, oprócz strzelców, o których wiadomo, że wybierają się w góry w zamiarach nie bardzo uczciwych.

— A zatem zdarzają się tam i tacy?

— Niestety, nie brak łotrów, którzy podają się za przewodników, zwabiają w góry podróżnych, okradają ich i nieraz mordują. Takiemu właśnie drabowi wpadł w ręce mój brat.

— Po co pańskiemu bratu potrzebny był *arriero*^{*}, skoro znał dokładnie okolicę?

— Prawda, brat znał drogę doskonale i nie potrzebował przewodnika. Został przez tego łotra napadnięty przez zwykły przypadek.

— Skąd pan wie o tym?

— Powiedział mi to brat przed śmiercią. Ach, panie! Serce mi się kraje na samo o tym wspomnienie. Jak już mówiłem, zostawiliśmy brata, bo musiał szukać swojego muła, i pojechaliśmy dalej w góry. Z doliny wznosi się dość łagodne zbocze górskie, a po nim wije się serpentyna, z której widać całą okolicę wraz z jeziorem. Wspinając się po owej serpentynie, spotkaliśmy jednego *arriera*, który schodził w dół, prowadząc ze sobą dwa muły. Widocznie, odprowadziwszy jakiegoś podróżnego, wracał teraz do domu; tak zresztą oświadczył moim towarzyszom. Mnie przy tej rozmowie nie było, bo odszedłem na krawędź zbocza, aby spojrzeć w dół, czy nie widać mojego brata. Gdy wróciłem do towarzyszy, *arriero* już się oddalił.

— Czy pytał pan o jego nazwisko?

— Owszem. Podał on swoje nazwisko moim towarzyszom, ale było dno zmyślane, bo, jak się później o tym przekonałem, przewodnika, który się tak nazywał, nie znano w całej okolicy.

— Czy towarzysze pańscy, gdyby go teraz zobaczyli, mogliby go poznać?

— Zapewne. Ale ich już nie ma; niektórzy poginęli nieszczęśliwie w górach, jeden udał się do Brazylii i już nie wrócił, a reszta zaciągnęła się do wojska, by w tych burzliwych czasach walczyć za ojczyznę.

— A więc nikt już panu dopomóc nie może i sam pan musi sobie radzić, mając jedynie ową butelkę. Proszę mi o niej powiedzieć coś więcej.

— Było tak, señor. W południe owego nieszczęsnego dnia zatrzymaliśmy się, by zaczekać na mego brata. Czekaliśmy jednak daremnie. Zatrwożyłem się, bo, sądząc z tego, co mi towarzysze opowiadali o owym przewodniku, miałem powód do obaw. Wróciłem na dół z jednym z towarzyszy i kiedy dotarliśmy na występ skalny nad jeziorem, zobaczyliśmy brata leżącego bez ruchu na ziemi. Zostawiwszy tedy nasze muły na górze, pobiegliśmy do niego. Ślady krwi świadczyły wymownie, że popełniono tu morderstwo... Brat leżał jak martwy... Wręcz opisać nie mogę bólesci, jaka mnie ogarnęła na ten widok...

— Wyobrażam sobie...

— Nie! Pan sobie tego wyobrazić nie może. Mój brat i ja tworzyliśmy niejako jedną istotę; kochaliśmy się niezmiernie. I patrząc na zamordowanego, miałem w pierwszej chwili wrażenie, że kula przeszła nie jego pierś, lecz moją. Rzuciwszy się ku nieszczęśliwemu, począłem lamentować i wtedy umierający otworzył na chwilę oczy, a poznavszy mnie szepnął kilka słów, po czym wyzionął ducha.

— I powiedział panu, kto go zamordował?

* Przewodnik

— Tak. Mordercą jego był ów *arriero*, którego spotkaliśmy, a popełnił tę zbrodnię, aby mój brat nie zdradził jego tajemnicy. W chwili bowiem, gdy brat mój znalazłszy swego muła wszedł nań i chciał się oddalić, zobaczył w pobliżu człowieka, który zakopywał w ziemi butelkę. *Arriero*, ujrawszy niespodziewanie świadka swej czynności, wymierzył doń i strzelił. Trafiony w pierś brat mój spadł z muła, ale po chwili, odzyskawszy przytomność i widząc, że morderca już się oddalił, zebrał resztki sił i zawlókł się na krawędź skały, aby zobaczyć, gdzie się podział *arriero*. I widział, jak drab zakopywał butelkę w innym miejscu, pod skałą nad jeziorem. Wkrótce padł bez zmysłów i ocknął się dopiero, gdy się koło niego znalazłem.

— Cóż pan zrobił potem? Zapewne ścigał pan mordercę?

— Niestety, noc już zapadła i wszelkie wysiłki moje na nic by się nie zdały. Wykopaliśmy z towarzyszem grób i pochowaliśmy zwłoki, a na tym miejscu ustawiliśmy krzyż i położyliśmy kamień. Potem przyjaciel mój się oddalił, a ja jeszcze zostałem.

— Trudno było panu rozstać się ze szczątkami ukochanego brata?

— Tak señor. A poza tym nie chciałem, aby ktoś inny poznał tajemnicę owej butelki, która musiała być bardzo ważna, skoro ów *arriero*, aby ją ukryć, powążył się nawet na morderstwo. Kiedy mój towarzysz oddalił się, rozpocząłem poszukiwania i, aczkolwiek w miejscu, które brat mi wskazał, wiatr zatarł już ślady, jednak udało mi się butelkę odnaleźć. Wydobywszy ją, znalazłem wewnątrz owe sznurki.

— I nie wie o tym nikt prócz pana? Przecież to, co opowiadał panu przed śmiercią brat, mógł słyszeć ów towarzysz, który pozostał z panem.

— Nie słyszał naszej rozmowy, bo pobiegnął szukać mordercy.

— Czy wiedział pan, że owe sznurki to cenne dokumenty?

— Wówczas nie miałem o tym pojęcia, ale później dowiedziałem się i byłem zadowolony, że ich nie zniszczyłem.

— Zabrał je pan ze sobą?

— Tak. Zatarłem jednak wszelkie ślady mojej tam bytności, aby morderca nie domyślił się, że ktoś odkrył jego tajemnicę.

— Przypuszczał pan, że wróci on tam jeszcze?

— Oczywiście. I nie myliłem się. Bywał tam często i szukał butelki. Sądził pewnie, że ukrywając ją w pośpiechu, nie zapamiętał dokładnie miejsca.

— Skąd pan wie? Widział go pan?

— Nie, ale poznałem po znakach, które tam zostawiłem. Niestety, jego nie spotkałem nigdy, nie mogłem się też o nim niczego dowiedzieć w okolicy.

— Nie starał się pan znaleźć kogoś, kto by umiał odczytać owe dokumenty?

— Owszem, ale nie natrafiłem na takiego. Dopiero teraz... Ale co ja mówię? To niemożliwe...

Zamilkł i opuścił głowę na piersi.

— Proszę, proszę mówić dalej! — zachęcałem go, widząc, że obawia się, aby nie powiedzieć za wiele.

— Jestem pańskim jeńcem... czeka mnie śmierć... po co się więc ludzić?

— A gdybym pana puścił wolno?

— Co pan mówi? — szepnął. — Byłby pan skłonny? Jeżeli okazałby mi pan aż taką łaskę, to... to... ja bym śmiało jeszcze prosić o pozwolenie...

— Podróżowania ze mną?

— Tak, señor. Proszę się nie gniewać, że śmiem...

— Wprawdzie nie miałem zamiaru wlec się aż do Pampa de Salinas — przerwałem mu — ale w tej chwili jestem na to zdecydowany i mam nawet nadzieję, że uda mi się schwytać mordercę.

— *Cielo!* Gdyby to było możliwe!

— Owszem, przypuszczam, że podołam temu zadaniu. Ale... co pan robił potem, po śmierci brata? Miał pan ranczo... Czy porzucił pan po tym wypadku polowanie w górach?

— Tak, musiałem zrezygnować z tych wędrowek, gdyż wyczerpały się moje siły podczas daremnych poszukiwań mordercy. Był czas, że siedziałem nad jeziorem całymi tygodniami, myśląc, że go schwytam... niestety bez skutku. Szkoda było tylko trudów moich, znoszenia głodu i zimna. A kiedy tylko oddaliłem się stamtąd, pojawiał się on nagle, jakby spod ziemi wyrósł lub spadł z chmur. Poznawałem to po zostawionych przeze mnie znakach.

— Widocznie sprytny to człowiek i posiada nie byle jakie zdolności, jeżeli umie czaić się jak jaguar. Zna też zapewne każdą ścieżkę, każdą szczelinę w owej górskiej pustyni.

— O, tak! Nie dorównałby mu chyba nawet Geronimo Sabuco...

— Cóż to za osoba?

— Nie słyszał pan tego nazwiska? To najślynniejszy przewodnik i znawca Andów; nazywają go z tego powodu sendadorem.

— Widział go pan kiedy?

— Nie, nie miałem tego szczęścia.

— Czy bywa on często w tamtych stronach?

— On bywa wszędzie, ale główna jego kwatery znajduje się w Gran Chaco. Opowiadają o nim, że zna każdą piędź ziemi w Andach. I jeżeli chce pan przedostać się do oceanu, radziłbym panu wziąć go za przewodnika.

— Myślałem już o tym.

— Czyżby pan o nim już słyszał?

— Tak, słyszałem.

— Jeżeli więc istotnie uda się pan w tamte strony i nie odmówi mej prośbie, to pojedę z panem razem aż do Pampa de Salinas. Cieszę się z tego ogromnie, señor...

— Ba, ale przecież należy pan do armii Jordana.

— Co mnie w tej chwili obchodzi Jordan? Przyłączyłem się do niego wcale nie z przekonania... Nie mogłem wytrzymać dłużej w spokojnym, odludnym ranczo, więc sprzedałem je, a uzyskane pieniądze zawiozłem do głównego miasta Entre Rios, aby je tam złożyć w banku, po czym wyruszyłem w Andy. Po drodze jednak zatrzymali mnie ludzie Jordana i najęli na przewodnika do Corrientes, a że mi Jordan dobrze zapłacił, więc pozostałem w jego armii. To wszystko!

— Podczas pierwszego spotkania z panem odniosłem wrażenie, że jest pan jego zagorzałym stronnikiem.

— Gdy się wlezie między wrony, trzeba krakać jak i one... Ale w tej chwili mam do pana o wiele więcej zaufania niż do Jordana z całą jego armią.

— I ja mam w to wierzyć? W jaki sposób pan udowodni, że mówi prawdę?

— Bardzo łatwo dowiodę panu swojej życzliwości: wydam w pana ręce wszystkich tych, którzy nas teraz ścigają.

— W jaki sposób?

— Wciągnę ścigającą nas bandę w bagna Espinuilli, która odgranicza Entre Rios od Corrientes...

— Przypuszcza pan więc, że pogoń jest już w drodze? Wszak teraz, w nocy, niemożliwe jest rozpoznawanie śladów... Zresztą odjechaliśmy już na znaczną odległość od rancza i powodzenie pościgu jest bardzo wątpliwe. Może go nawet zaniechano zupełnie.

— Myli się pan! Nie darują wam oni i nawet na pewno są już niedaleko. O ślady nasze nie potrzebują się troszczyć, gdyż wiedzą dobrze, że mogliśmy skierować się jedynie do granicy.

— Może ma pan słuszość. Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak tylko natychmiast wyruszyć w dalszą drogę.

— Dobrze! Pojedziemy prosto w kierunku bagien, a oni za nami. Ponieważ znam przejście przez te niebezpieczne obszary, zwabimy ścigających w sam środek trzęsawisk i schwytemy wszystkich bez jednego wystrzału.

— Sądzi pan, że ja wierzę w to, co mi pan obiecuje... pan, zagorzały jordanista? Kto mi zaręczy, że nie będzie to pułapka właśnie dla nas samych?

— Señor! Pański brak zaufania jest dla mnie ogromnie bolesny...

— Jednak nie mogę panu zaufać. Przecież planuje pan zdradę wobec swoich dotychczasowych przyjaciół, a czy zdrajca zasługuje na wiarę?

Gomarra zamilkł i dopiero po dobrej chwili rzekł:

— Przyznaję panu słusność, mimo że słowa pańskie wcale nie są dla mnie pochlebne. Ale proszę wziąć pod uwagę, że Jordan sam jest zdrajcą i sprawiedliwie się stanie, gdy będzie zbierał to, co sieje. Służyłem mu wiernie, dopóki byłem do tego obowiązany. Obecnie jednak uważam się za zwolnionego od wszelkich względem niego obowiązków. Zresztą pamięć mojego brata cenię o wiele wyżej niż względy dla buntownika. Dodam jeszcze, że jestem pana jeńcem i w razie najmniejszego podejrzenia może mi pan odebrać życie, na co zresztą jestem przygotowany.

— Tak, ale co by nam to pomogło, gdybyśmy już wpadli w zasadzkę...

— Zapewniam więc pana na wszystkie świętości, że jestem szczerzy i że nic złego przeciw wam nie planuję. Zresztą czy pan nie spostrzegł, jaką radość sprawiła mi pańska zgoda na podróż z wami w Kordyliery?

— Owszem, widziałem to i wierzę już w pańską szczerłość. Jednak dla wypróbowania pana nie chciałem się od razu zgodzić na pańską propozycję. Od tej chwili niech więc pan będzie naszym towarzyszem.

Pochyliłem się nad nim i przeciąłem mu więzy na rękach i nogach. Indianin zerwał się z ziemi, rozprostował kości i rzekł:

— Uwolnił mnie pan z więzów i mógłbym teraz uciec...

— Nie byłaby to wcale ucieczka, gdyż nie jest pan już moim jeńcem i może się pan udać, gdzie się mu podoba. Mam jednak nadzieję, że zostanie pan przy nas.

— Dziękuję serdecznie — odrzekł wzruszony, ściskając mi ręce. — Ale co na to powiedzą pańscy towarzysze, kiedy się obudzą?

Niedługo czekał na odpowiedź, bo właśnie pułkownik, który spał z drugiej jego strony, zerwał się i ofuknął:

— Co u diabła! Jeniec wolny? Co to ma znaczyć; señor?

— Jak pan widzi. Nie mogę przecież dręczyć przyjaciela, a człowiek ten jest nim teraz i zobowiązał się nawet pomóc nam w ujęciu drabów, którzy nas ścigają.

— I pan mu wierzy?

— Najzupełniej.

— Ha! Skoro tak, to i ja nie mam nic przeciwko temu. Ale w jaki sposób spełni on tę obietnicę?

— W bardzo prosty — odparł Gomarra. — Wie pan, że rzeka graniczna tworzy w niektórych miejscach zdradliwe bagna.

— Owszem, oznaczone są one na naszych mapach. Nie odważyłbym się tam zapuszczać za nic w świecie.

— Ja jednak nie obawiam się ich, bo znam niemal każdą piędź ziemi w tych okolicach. Ludzie Jordana na pewno nas ścigają i chyba już wkrótce zobaczymy ich za sobą. Dlatego poprowadzę was znanymi mi ścieżkami w bezpieczne miejsce, tam rozdzielimy się na dwie grupy i wciągniemy całą zgrają w nieprzebyte topieliska. Szkoda tylko, że jest nas tak mało. Nie chcę wam ubliżyć, ale przyznacie, że czterystu uzbrojonych ludzi przeciw kilkunastu to znacząca przewaga...

— Hm! — mruknął pułkownik. — Może by znalazła się pomoc, mam nawet pewne plany, ale nie wiem, czy wolno mi mówić otwarcie... Wszak pan Gomarra aż do tej chwili był naszym wrogiem...

— Ja ręczę za niego — odrzekłem. — Na czym polegają pańskie plany?

— Otóż, jak panu wiadomo, podążałem do Corrientes, aby stamtąd uderzyć na Jordana; czekają tam na mnie wysłani wcześniej oficerowie, którzy mają zwerbować żołnierzy, postarać się o konie i obsadzić granicę. Przypuszczam, że do akcji tej, czyli do obsadzenia granicy, użyto piechoty, gdyż zdobyć dostateczną liczbę koni nie jest łatwo, bo Jordan jeszcze przed wybuchem powstania zarządził masowe kradzieże tych zwierząt w tamtych okolicach. Dlatego cieszę się, że zabraliśmy mu chociaż kilkanaście szkap.

— Wkrótce będziemy mieli ich kilkaset — wtrącił Gomarra. — Tylko czy znajdzie się tylu jeźdźców.

— Ściągnę ich ze stanowisk nadgranicznych — odrzekł pułkownik. — Przydałby mi się jednak człowiek, który zna dobrze okolicę i wskaże drogę aż do granicy, bo moje mapy nie są za dokładne.

— Pojadę z panem — ofiarował się Gomarra.

— A kto poprowadzi innych?

— Również ja. Znam wąską ścieżkę przez trzęsawiska, która prowadzi na brzeg rzeki zupełnie suchy i bezpieczny. Tam towarzysze nasi mogą zaczekać, a my obaj udamy się za granicę, ażeby ściągnąć z posterunków trochę wojska i skierować je na tyły nieprzyjaciela, który niewątpliwie pojedzie za nami ową ścieżką i wówczas będzie miał drogę z obu stron zamkniętą.

— Niezły plan — zauważył pułkownik. — Żeby tylko się powiodł.

— Powiedzie się, jeżeli tylko zdołamy na czas ściągnąć wojsko z granicy. Dlatego musimy wyruszyć stąd natychmiast.

— Czy jednak potrafi pan znaleźć drogę w nocy?

— Owszem, nawet gdyby księżyc nie świecił, to i tak bym nie zbłądził. Zbudziliśmy towarzyszy i chwilę później ruszyliśmy galopem przez step.

Jechałem z Gomarra przodem. Wprawdzie nie podejrzewałem go o złe zamiary, jednak uważałem za konieczne zachować wszelkie środki ostrożności i byłem zdecydowany zastrzelić go, gdybym spostrzegł, że chce nas wprowadzić w błąd. Na szczęście ostrożność moja była zbyt uczynna.

Nad ranem wjechaliśmy w las, niezbyt gęsty, a więc widny, i mogliśmy dalej pędzić galopem. Nie staraliśmy się ukrywać swych śladów, przeciwnie, czyniliśmy wszystko, aby ułatwić nieprzyjacielowi trzymanie się naszych tropów.

Niebawem znaleźliśmy się w okolicy nadrzecznej, poprzecinanej gęsto małymi leniwie sączącymi się strumykami.

— A więc zbliża się chwila próby — rzekłem do Gomarry.

— I mam nadzieję, że wyjdę z niej zwycięsko — odparł, uśmiechając się wesoło.

— Jeżeli pan dobrze wywiąże się z zadania, to ja spróbuję spełnić pana najgorętsze pragnienie.

— To niewiarygodne! Czy może mi pan już teraz powiedzieć coś o tym?

— Owszem. Obiecuję panu, że zobaczy pan mordercę swego brata...

— Co pan mówi? Czyżby miał pan o nim jakieś wiadomości?

— Mam i udzielę ich panu.

— Señor! Nie wytrzymam z ciekawości. Proszę przynajmniej wymienić jego nazwisko.

— Pan mi je sam niedawno wymienił.

— Ja wymieniłem? Nie przypominam sobie tego.

— Niech pan pomyśli nieco...

— A więc... hm! Wspomniałem o tym starym strzelcu, który podobno umarł. Ale nazwiska jego nie znam. Wszyscy mówili o nim *gambusino*.

— Ależ nie ten. Wspominał pan też o innym, który zna podobno całe Andy jak nikt inny w kraju.

— Czyżby Geronimo Sabuco? Nie, señor! To nieprawdopodobne.

— Dlaczego?

— Pan musi się mylić! Sendador i morderca? Przecież ten człowiek tysiące razy narażał swoje życie, aby ratować bliźnich!

— To o niczym nie świadczy. Są ludzie na oko zacni i szlachetni, a w gruncie rzeczy skończone łotry. Pan go ani nie widział, ani go nie zna i staje w jego obronie!

— Bo wiem, jaką opinią cieszy się ten człowiek w całym kraju. Czy ma pan uzasadnione podstawy do podobnych podejrzeń?

— Nie mówmy teraz o tym...

— Przepraszam! Musimy o tym mówić, bo mnie ciekawość zadreży.

— Później, señor Gomarra! Teraz chciałem tylko dać panu do zrozumienia, że mogę się mu odwdziżyć za uczynioną nam przysługę.

— Ależ ja ze skóry chyba wyskoczę, skonam z niecierpliwości!

— Wobec tego niech się pan pośpieszy i jak najprędzej odda nam w ręce żołnierzy Jordana.

— Czy towarzysze pańscy wiedzą coś o tym?

— Oprócz mnie tylko brat Jaguar wie, że sendador jest mordercą. Z nim może pan mówić o tym, ale tak, aby nie słyszał nikt inny, zwłaszcza *yerbaterzy*, którzy czas jakiś jeszcze powinni uważać sendadora za człowieka uczciwego. Jest to dla naszej sprawy bardzo ważne.

— I nie będzie to trudne, bo ja sam wierzę w prawość i uczciwość sendadora.

— Zapewniam jednak pana, że się nie mylę, i o jedno tylko zapytam: czy posądza pan starego *gambusina* o kłamstwo?

— Nie, panie. Mówił on mało, ale to, co mówił, było zawsze szczerą prawdą.

— Otóż proszę uważać. Człowiek ten opowiedział mi przed śmiercią, że był świadkiem zbrodni popełnionej przez sendadora.

— Czy to możliwe? Ja... ja...

— Sendador zamordował starego mnicha, a spostrzegłszy, że widział to *gambusino*, jego także chciał zabić, aby się pozbyć świadka. Że jednak byli starymi przyjaciółmi, darował mu życie, ale wymógł na nim przysięgę, że przed nikim jego tajemnicy nie zdradzi.

— To wstrętne! To okropne! Ale *gambusino* nie dotrzymał przysięgi, skoro opowiedział to panu.

— Nie wyznał tego wprost, tylko dał pewne wskazówki, z których domyśliłem się reszty, bo o sprawie tej słyszałem już wcześniej.

— Ach, tak? Kto by pomyślał? Sendador mordercą! Czy pan nie myli się co do owego *gambusina*? Może był w gorączce?

— Nie, był zupełnie przytomny. Zresztą wszystko mniej więcej zgadza się z tym, co mi pan opowiedział. Obydwa morderstwa zostały popełnione niemal tuż po sobie. Butelka, którą pan odnalazł, zawiera właśnie sznurki zrabowane owemu mnichowi.

— Jest pan tego pewny?

— Najzupełniej! O pobudkach, jakimi się sendador kierował, dowie się pan później. Wtajemniczam pana w to wszystko, pomimo że nawet *yerbaterzy* nic o tym nie wiedzą. Spodziewam się, że nie nadużyje pan mego zaufania.

— Ani słowem do nikogo o tym nie pisnę.

— Z bratem Hilario może pan mówić otwarcie, ale tylko z nim. Nie wolno też panu zdradzić się z czymkolwiek wobec samego sendadora.

— Ba, ale w jaki sposób ja się na nim zemszczę?

— Już to się jakoś zrobi. Gdyby go pan jednak oskarżył wprost, wykreśliłyby się kłamstwem i szkoda byłoby zachodu. My go podejmiemy inaczej. Sprowadzimy go na miejsce zbrodni, a następnie postawimy mu zarzuty tak nagle i niespodziewanie i poprzemy je tak przekonującymi dowodami, że przyzna się już choćby pod wpływem grozy wyjątkowego położenia. No, ale powiedziałem panu stanowczo za wiele, co niech będzie dla pana dowodem, jak mu jestem życzliwy.

— Dziękuję, señor! Doceniam to i mam nadzieję, że się będę mógł odwdziżyć. Chciałbym jeszcze mówić o tej sprawie, ale nie mogę nadużywać pańskiej uprzejmości. Poza tym nie ma już na to czasu, bo dotarliśmy właśnie do miejsca, o którym mówiłem, i muszę odłączyć się od pana razem z pułkownikiem.

— Ale ja go nie opuszczę.

— Dlaczego? Przecież ja z nim pojedę.

— I ja również. Co trzech, to nie dwóch.

Pułkownik ucieszył się, że będę mu towarzyszył, gdyż nie dowierzał tak bez reszty przewodnikowi.

Znajdowaliśmy się na płaskiej równinie porosłej bujną trawą. Kilka kroków przed nami trawa ta nagle zmieniała barwę i można było od razu wywnioskować, że mamy przed sobą bagno. Zsiadłem z konia, żeby się o tym przekonać, ale Gomarra krzyknął:

— Uwaga, señor! Ani kroku dalej, bo zapadnie pan w niezgłębione trzęsawisko!

Zaraz też się przekonaliśmy, jakie groziło nam niebezpieczeństwo. Poprzedni nasz przewodnik, zrzuciwszy z siebie ubranie i przewiązawszy się pod pachami lassem, którego drugi koniec pozostał w ręku Montesa, wszedł na trzęsawisko, lecz zaledwie postąpił dwa kroki, ugrzązł po pas, a w następnej chwili zniknął zupełnie pod powierzchnią i z wielkim trudem udało nam się wydobyć go z tej osobliwej kąpieli. Próbę taką przeprowadził po obu stronach wąskiej ścieżki, na której się znajdowaliśmy jakby na grobli, co było dla nas dostateczną wskazówką, że nie można z niej zbroczyć ani w lewo, ani w prawo, tylko iść naprzód albo się cofnąć.

Oczywiście musieliśmy jechać gęsiego. Gomarra znajdował się na przedzie, ja za nim, potem szedł luźny koń, dalej jeden jeździec, znowu koń — i tak dalej. Szerokość tej osobliwej grobli nie przekraczała metra, a ona sama ciągnęła się o wiele dalej, niż sobie wyobrażałem. Mogłoby zmieścić się na niej czterystu ścigających nas żołnierzy, gdyby puścili się gęsiego naszymi śladami, i w takim wypadku moglibyśmy ich wszystkich zamknąć na owym przesmyku z obu końców: my od rzeki, a żołnierze pułkownika od stepu.

Osobliwa ta dróżka nie była zresztą twarda, miejscami konie grzęzły na niej po kolana, ale przebyliśmy ją szczęśliwie i wydostaliśmy się na obszerną polanę tuż nad samą rzeką. Dokoła rosły drzewa i krzaki.

Chciałem na tej polanie zatrzymać towarzyszy, aby czekali tu na nasz powrót, ale Gomarra rzekł:

— Pojedziemy jeszcze kawałek, a potem oni wrócą tu pieszo i rozłożą się na wypoczynek.

— Dlaczego pieszo?

— Bo żołnierze pułkownika, stojący na pograniczu, nie mają koni i musimy je dostarczyć im jak najprędzej. Jeśli na każdego z naszych przeszło trzydziestu koni wsiądzie po dwóch żołnierzy, to w krótkim czasie przetransportujemy na miejsce około siedemdziesięciu ludzi.

— Wcale niezła myśl — rzekł na to pułkownik. — Ale czy zna pan dobrą drogę do granicy?

— Owszem, po tamtej stronie rzeki jest takie samo przejście jak to, którym dostaliśmy się tutaj. Musimy jednak podjechać jeszcze nieco dalej, a panowie niech nam towarzyszą, bo sami nie zdołalibyśmy przeprowadzić tylu koni.

Stosownie do tej rady, skierowaliśmy się na prawo, w górę rzeki, i niebawem znaleźliśmy się znów na bardzo niebezpiecznej ścieżce wśród bagien. Przebyliśmy ją jednak szczęśliwie, bo konie były bardzo ostrożne i posłuszne. Pokonawszy te miejsca zdradliwe, znaleźliśmy się

wreszcie na stałym gruncie nad samą rzeką. Po drugiej stronie wody widniała piaszczysta łąka.

— Przepawimy się tędy — rzekł Gomarra, wskazując mieliznę. — Panowie pomogą nam przepędzić konie wplaw, a potem wrócą pieszo na poprzednie miejsce.

Pułkownik, Gomarra i ja wjechaliśmy do wody, a towarzysze nasi wpędzili konie, skróciwszy im przedtem cugle i strzemiona.

Rzeka była nie za szeroka, a i prąd wody niezbyt rwący, przepawiliśmy się więc bez trudności i, ujawszy konie ha lassa, pojechaliśmy zrazu powoli, ze względu na moczary, a następnie galopem do miejsc, gdzie, zdaniem pułkownika, powinno znajdować się jego wojsko.

Po upływie kwadransa zobaczyliśmy w oddali dwóch jeźdźców. Dążyli prosto ku nam i pułkownik niebawem poznał, że byli to wysłani przez niego oficerowie: rotmistrz Maurico z adiutantem. Obaj zdziwili się bardzo na widok swego dowódcy, którego nie spodziewali się spotkać w tej okolicy.

— Co wy tu robicie? — zapytał jeźdźców pułkownik.

— Wybraliśmy się na kontrolę straży granicznych — odrzekł rotmistrz. — Tam — wskazał ku wschodowi — znajduje się nasze wojsko.

— W jakiej liczbie?

— Dwustu ludzi i około siedemdziesięciu koni. Więcej zgromadzić nie mogliśmy, bo Jordan nas w tym wyprzedził.

— Wiem o tym. Macie siedemdziesiąt koni, my mamy trzydzieści, więc razem sto. Jeżeli na jednego konia wsiądzie dwóch żołnierzy, to będzie razem dwustu ludzi. Jaką broń mają nasi żołnierze?

— Karabiny Remingtona.

— Doskonale! Nie traćmy więc czasu i jedźmy!

Ruszyliśmy natychmiast, a po drodze pułkownik opowiedział swoim towarzyszom o przygodach, jakie nas spotkały, i działaniach, jakie mieliśmy podjąć w ciągu najbliższych godzin.

Niebawem natknęliśmy się na małe oddziały żołnierzy, które rozmieszczono wzdłuż rzeki. Była to wprawdzie zbieranina rozmaitych ludzi, ale, oceniając ich według miejscowych stosunków, odnosiło się nawet korzystne wrażenie. Wszyscy byli dobrze umundurowani i uzbrojeni, tylko brakowało im koni.

Urządziliśmy więc rzecz tak, jak przedtem zostało ustalone, to znaczy na każdego konia wsiadło po dwóch żołnierzy, oficerowie po krótkiej naradzie stanęli na czele i pojechaliśmy z powrotem tą samą drogą, którą tu przybyliśmy, kierując się jednak nieco wyżej od miejsca poprzedniej naszej przeprawy. Po sforsowaniu rzeki podzieliliśmy się na dwie grupy. Ja pozostałem na brzegu z garstką tylko żołnierzy, natomiast Gomarra innym, znanym sobie przejściem wśród bagien poprowadził pułkownika z wojskiem na ląd, po czym znów wrócił do mnie. Część żołnierzy, którą tu pozostawiono, ukryła się w zaroślach, a ja z Gomarrą poszedłem pieszo do towarzyszy, oczekujących nas u wylotu ścieżki, którą przybyliśmy ze stepu.

To, że dotychczas wszystko przebiegało zgodnie z planem, napełniało nas otuchą i nadzieją. Byliśmy niemal pewni, że i dalej sprawy potoczą się pomyślnie, a zetknięcie z nieprzyjacielem zakończy się naszym zwycięstwem. Jednak pościgu jakoś długo nie było widać i znużenie kleiło niektórym z nas powieki. Widząc to, zaproponowałem, aby ci, którzy pragną odpocząć, położyli się natychmiast, inni zaś mieli czuwać i w razie pojawienia się pościgu zbudzić towarzyszy. Z propozycji mojej skorzystali wszyscy z wyjątkiem brata Hilaria, co uznałem za okazję do zrelacjonowania mu swojej rozmowy z Gomarrą.

— I niech kto powie — rzekł, wysłuchawszy mnie — że Opatrzność nie kieruje sprawami ludzkimi! Wszak w tym wyraźnie jest wola niebios... Bo jakże bez niej mogłyby się tak wybornie złożyć okoliczności? Spotkał pan najpierw *yerbera*, potem *gambusina*, wreszcie

Gomarrę, zgromadził pan doskonały materiał do wielkich odkryć i przypuszczam, że wobec tego postanowił pan udać się nad słone jezioro.

— Tak jest.

— W takim razie pojedą i ja, a sendador musi nas tam zaprowadzić.

— Czy tylko zechce?

— Gdy mu dobrze zapłacimy, zgodzi się. Czy ma pan nadzieję odcyfrowania sznurków?

— Na razie nie, bo nie mam odpowiednich do tego wiadomości. Ale tylko będę miał w ręku *kipu*, nie spocznę, dopóki nie rozwiążę zagadki.

— Czy powiedział pan to wszystko temu Indianinowi?

— Nie wszystko. Na przykład o ukrytych skarbach nie wspomniałem ani słowem, aby niepotrzebnie nie zaprzętał sobie nimi głowy.

— Domyślam się, że nie bardzo pan wierzy w owe ukryte skarby — zauważył z uśmiechem.

— Hm! Peruwiańczycy posiadali istotnie olbrzymie skarby i nie ulega wątpliwości, że je gdzieś ukryli. Gdyby więc były pod ręką prawdziwe *kipu* i odpowiednie plany, to oczywiście nie wątpiłbym w powodzenie całego przedsięwzięcia.

— A jednak widzę, że dość obojętnie traktuje pan tę sprawę. Jak to tłumaczyć?

— Są różne skarby na ziemi... Bryła złota lub okazały diament należą bezsprzecznie do rzeczy, którymi gardzić nie należy. Ale kubek wody, gdy się ma pragnienie, lub chwilka snu po zmitręzonej nocy więcej nieraz są od nich warte. I w tej chwili, kochany bracie, rad bym ogromnie bodaj troszeczkę się zdrzemnąć. Zgoda?

Położyłem się na trawie i usnąłem natychmiast. Niedługo jednak trwała ta rozkosz, bo wkrótce usłyszałem głos zakonnika:

— Panowie, wstawajcie!

Pozrywaliśmy się wszyscy na równe nogi i patrzyliśmy na step, skąd prosto ku nam pędził oddział żołnierzy.

— *Cielo!* — krzyknął zakonnik. — Pędzą w szeregu i potopią się w bagnach! Trzeba by ich ostrzec...

I przyłożył dłonie do ust, by krzyknąć. Przeszkodziłem mu jednak:

— Cicho, bracie! Jeśli który zapadnie w bagno, inni go wyratują.

Spostrzegli wkrótce niebezpieczeństwo i osadzili konie, po czym kilku żołnierzy zaczęło szukać przejścia, próbując gruntu lancami. Major, przekonawszy się, że przeszkoda jest dosyć poważna, zebrał oficerów na naradę.

— Oby tylko nie chcieli zawrócić! — zauważył Monteso.

Zbliżali się ku nam w galopie...

— I ja się tego obawiam — wtrącił któryś z towarzyszy. — Nie wiedzą przecież, że znajdujemy się tutaj.

— Może by się im pokazać na wabika? Ale... patrzcie! Major wysłała dwóch jeźdźców brzegiem bagna, prawdopodobnie po to, aby znaleźć dogodną drogę. Widać, że to nie w ciemną bity oficer.

Istotnie dwaj jeźdźcy oddalili się od oddziału i powoli ruszyli naszym tropem.

— Kiepsko! — odezwał się Turnerstick. — Gdy ci dwaj przybędą aż tutaj i zobaczą nas, to wszystko przepadło, bo major na pewno nie przeprawi się przez bagno.

— Zróbmy więc tak, aby nas nie zobaczyli — odrzekłem. — Mamy się przecież gdzie ukryć. Krzaki, trzcina...

— Ale ci dwaj zostaną pewnie tutaj, dopóki tamci się nie przeprawią, wobec czego akcja nasza będzie poważnie utrudniona.

— Już ja ich usunę z drogi — zerwał się Larsen i odruchowo zacisnął pięści. — Przecież i ja mogę raz pokazać, co umiem, sir!

— Tylko niezbyt gwałtownie! — ostrzegłem go. — Przede wszystkim trzeba zadbać o to, aby nie mogli krzyczeć.

Skryliśmy się, a tymczasem dwaj jeźdźcy znaleźli się na twardym gruncie, rozejrzeli dookoła, a spostrzegłszy nasze ślady, prowadzące w górę rzeki, doszli zapewne do wniosku, że w tym miejscu odpoczywaliśmy tylko i że następnie pojechaliśmy dalej.

Nie mogliśmy oczywiście rzucić się na nich od razu i musieliśmy czekać, aż na ich znak oddział wejdzie na ścieżkę między bagnami.

Okazało się jednak, że mieli oni widocznie inne polecenie od majora, gdyż po chwili ruszyli z powrotem.

— Szkoda! — biadał Larsen. — Taką miałem ochotę...

— Nic się złego nie stało, a nawet lepiej dla nas, że wrócili — rzekłem — bo prawdopodobnie będziemy tu mieli za chwilę samego majora.

I rzeczywiście, zaledwie wysłańcy dotarli do swego dowódcy, dał on znak ręką żołnierzom, by jechali za nim. Zaciekawiony widocznie, dokąd prowadzą nasze ślady, popędził swego konia i znacznie wyprzedził innych.

— Co zrobimy? — spytał Hilario. — Przepuścimy go aż tutaj?

— Oczywiście.

— Ale jego ludzie zaraz mogą uzyskać stały grunt pod nogami i wówczas dojdzie do walki orężnej, czego przecież nie planowaliśmy.

— Proszę się nie obawiać. Jak tylko go chwycę, będzie tak krzyczał, że tamci muszą stanąć.

— Jak to? Pan go zamierza chwycić — spytał sternik. — Czy nie lepiej, abym ja go wziął w swoje objęcia?

— Może pan, tylko proszę nie połamać mu żeber. Wystarczy, jeśli wysadzi go pan z siodła i położy na ziemi.

Major, trafiwszy na stały grunt, pocisnął konia ostrogami tak, że ten przesadził wysoki krzak i znalazł się tuż przed nami. Zaskoczony oficer jakby zdrętwiał ze strachu, lecz po krótkiej chwili zaczął wołać ku swoim:

— Stój! Wracaj! Oni tu!

Szczególniejszy śmiałek! Wybrał się, by schwytać wroga, a zobaczywszy go nagle, struchlał ze strachu. Widziałem, że uczynił ruch, jakby się chciał cofnąć, ale nie zdążył, bo sternik chwycił go z tyłu za pas i zsadził na ziemię, aż jęknęła pod jego ciężarem.

Na ten widok cały łańcuch żołnierzy zatrzymał się na ścieżce i znalazł się w ten sposób w samym środku naszej pułapki.

— Dzień dobry panu — odezwałem się do majora, który siedział u nóg Larsena jak przygwożdżony i patrzył dokoła z przerażeniem w oczach. — Zobaczyliśmy się znowu, ale już w innym miejscu. Co prawda umówiliśmy się gdzie indziej, ale pan zbyt długo siedział przy wieczerzy. Smakowała panu zapewne? Daruje nam pan, że na pana nie poczekaliśmy. Było to trochę z naszej strony niegościnnie, ale trudno! Tak się okoliczności złożyły, że straciliśmy cierpliwość.

Major na te słowa przygryzł wargi niemal do krwi, a *yerbatero*, widząc to, dodał:

— Biedaczysko tak się ucieszył na nasz widok, że języka w gębie z tej radości zapomniał.

— Proszę mi nie docinać! — wrzasnął jeniec. — Odpląć wam z nawiązką za każdą obrazę!

— W jaki sposób? — zapytałem. — Przecież pan znajduje się w niewoli.

— W niewoli? Co to ma znaczyć? Jakim prawem...

— A takim, jakim wy nas prześladowacie.

Na te słowa zaciętrzewiony major zerwał się nagle i dobył szabli. Ale w tej chwili skierowałem ku niemu lufę rewolweru, wołając:

— Precz z szabłą, bo strzelam!

— Spróbuj pan! Ludzie moi zgniotą was na miazgę!

— Taak? Niech tylko spróbują ruszyć się, a pierwszy trafiony kulą zagrozi drogę innym.

— Każę im zawrócić i objechać bagno, a wówczas...

— Nie panie! Każę im pan złożyć broń i poddać się dobrowolnie...

— Co? — krzyknął rozwścieczony. — Czterystu żołnierzy ma złożyć broń przed dziesięcioma cywilami? To śmieszne!

— Więc śmieć się pan — rzekłem. — Bo ludzie pańscy muszą się poddać nie nam dziesięciu, lecz nawet mnie jednemu. Wystarczy, że zastrzelę trzy pierwsze konie i kilka ostatnich, a dla całego oddziału nie będzie żadnego wyjścia, chyba że... na dno bagna. Niech pan spojrzy: konie, zwłaszcza te, które po dwu dźwigają na grzbiecie, już grzęzną po kolana, bo błoto nie wytrzymuje takiego ciężaru... Za jakieś dziesięć minut wszyscy pójdą na dno.

Major spojrzął major w kierunku trzęsawiska i zbladł. Żołnierze jego istotnie zapadali coraz głębiej w bagno.

— Widzi pan, majorze, iż z pułapki tej nie ma wyjścia. A teraz proszę uważać.

Tu dałem znak *yerbaterowi*, by wystrzelił. Był to sygnał dla pułkownika, który na czele swego oddziału jeźdźców wpadł jak wicher na tyły nieprzyjaciela.

— I cóż pan na to? — zapytałem przerażonego majora.

— Nic! Niech raczej wszyscy zginą, niżby się mieli poddać.

— Skoro pan tak uważa — rzekłem — to zwracam panu wolność. Niech się pan uda do nich, aby razem z nimi zginąć. Będzie to jedyne wyjście dla pana i zasłuży pan na miano bohatera.

— Żartuje pan... w takiej chwili... — wybąkał blednąc.

— Nie żartuję, majorze. Chcę tylko dać panu okazję do odznaczenia się. A jeżeli nie uczyni pan tego dobrowolnie, to moi ludzie popędzą pana *lassami*!

Gdy to mówiłem, na ścieżce wśród trzęsawiska położenie stawało się coraz groźniejsze, bo twarda skorupa pod ciężarem kilkuset jeźdźców zaczęła się rozpadać, a popłoch, jaki ogarnął stojących na niej żołnierzy, pogarszał jeszcze sytuację. Widząc to pułkownik, któremu zależało na tym, by oddział poddał się dobrowolnie, zaczął nawoływać stojących bliżej żołnierzy, aby zawrócili ku niemu, z czego oczywiście skwapliwie skorzystali. Żołnierze zaś z tej strony poczęli kłać majora na cały głos, nie wiedząc, co z sobą uczynić.

— A więc pytam pana po raz ostatni: poddaje się pan? — zwróciłem się do majora.

— Wygrał pan tym razem — rzekł. — Ale mam nadzieję, że przy najbliższej sposobności odbiję to sobie na was. Obecnie... poddaję się!

— Proszę więc dać znak żołnierzom, by wycofali się i złożyli broń przed pułkownikiem.

Major spełnił żądanie, ale ci, którzy byli bliżej nas, obawiając się, że na środku ścieżki ugrzęzną w bagnie, nie chcieli zawrócić. Ja jednak puścić ich na tę stronę nie miałem ochoty, gdyż nie moglibyśmy się im przeciwstawić, a gdyby nawet broń złożyli, nie było tu miejsca na większą liczbę ludzi. Dopilnowałem więc, aby się wszyscy wycofali na przeciwną stronę, po czym pułkownik ze swoimi ludźmi otoczył ich kordonem i kazał złożyć broń. Ani jeden z napastników nie uszedł.

Ponieważ ścieżka na bagnie była prawie zupełnie zniszczona i nie nadawała się już do przebycia, zabrałem majora i wraz z towarzyszami poszedłem dróżką, którą przedtem prowadził Gomarra pułkownika. W ten sposób przedostaliśmy się na drugą stronę trzęsawiska.

Gdy tam połączyliśmy się z oddziałem pułkownika, major przedstawił mu się i rzekł:

— Dopisało panu szczęście tym razem i mam nadzieję, że obejdzie się pan z nami łagodnie, jeżeli pan chce, abym ja na drugi raz tak samo się z panem obszedł.

Na te słowa pułkownik obrzucił go lekceważącym spojrzeniem i odparł:

— Nie widzę tu żadnego szczęścia i kieruję się zawsze obowiązującym w tym kraju prawem. Kto zaś to prawo łamie, nie może liczyć na żadne moje względy. Pan złamał przysięgę i stał się buntownikiem tym gorszym, że przeszedł na służbę ludzi podłych. Godność, którą pan piastuje, nie może być powodem, abym obchodził się z panem łagodniej niż z jego podwładnymi. Przeciwnie, tamci nie są być może nawet świadomi, jak ciężka jest ich zbrodnia względem kraju, bo to ludzie niewykształceni. Pan zaś służył rewolucji z całą świadomością i dlatego zasłużył na karę surowszą. Więcej nie mam panu nic do oświadczenia.

To powiedziawszy, odwrócił się, a major rzekł trzęsąc się z gniewu:

— Zwyciężył pan jedynie dzięki zdradzie. A człowiek honorowy, który zawdzięcza swoje powodzenie zdrajcy, powinien okazywać nieco mniej pychy. — A potem, zwracając się do Gomarry, dodał: — Ty, zdrajco, winienesz wszystkiemu i nie ominie cię za to stryczek!

— Szczeknięcie pańskie wcale mnie nie wzrusza — odciął się Indianin. — Bo gdybym nawet popełnił zdradę, to nie mógłby jej potępiać pan, który sam jest zdrajcą. To pan złamał przysięgę wierności złożoną władzy swego kraju. Ja nikomu wierności nie przyrzekałem. Kto więc jest tu właściwie łotrem: ja czy pan?

— Łajdaku! Ja cię zaduszę! — krzyknął major i rzucił się na Gomarę.

Ale w tej chwili skoczył między nich pułkownik i rozkazał swoim ludziom:

— Związać go! I obezwładnić wszystkich jeńców! Powiązać ich własnymi lassami i każdego przymocować dobrze do siodła, bo pojedziemy natychmiast do Palmar.

Na ten rozkaz podwładni pułkownika obezwładnili majora, po czym związali jeńcom ręce i powadzili ich na siodła, a konie połączyli lassami i bólami tak, by nikt nie mógł się wymknąć. Otoczywszy wreszcie jeńców ze wszystkich stron, puściliśmy się w drogę do Palmar.